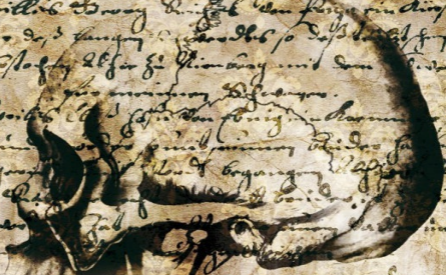


Joel F. Harrington

Powieść kato



grund und ein Dattel Lohrbrot...
 Das 10. Aprilis...
 Das 15. Aprilis...
 Das 26. Aprilis...

ein Volk...
 1578...
 und angekommen...

Das 26. Aprilis...

I pamiętki mistroza

Frantza Schmidta z Norymbergi



Opowieść kata

Joel F. Harrington

Opowieść kata

*Z pamiętnika mistrza
Frantza Schmidta z Norymbergi*

Przełożył
Marian Leon Kalinowski



STOWARZYSZENIE
WYDAWNIKÓW
POLSKICH

Tytuł oryginału: THE FAITHFUL EXECUTIONER: Life and Death, Honor and Shame in the
Turbulent Sixteenth Century by Joel F. Harrington
Copyright © 2013 by Joel F. Harrington
Published by arrangement with Farrar, Straus and Giroux, LLC, New York

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015
Copyright © for the Polish translation
by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Redaktor prowadząca: *Dominika Kuczyńska*

Redakcja: *Karolina Szafczyk*

Korekta: *Paulina Wierzbicka*

Projekt okładki: *Przemysław Kwaśniewski*

Projekt typograficzny wnętrza i łamanie: *Mateusz Czekała*

Mapy wykonał: *Mariusz Mamet*

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: *Dariusz Nowacki*

Wydanie elektroniczne 2015
ISBN 978-83-7177-988-6

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853 99 10
fax: 61 853 80 75
redakcja@wydawnictwopoznanskie.com
www.wydawnictwopoznanskie.com

*Dla ojca,
Johna E. Harringtona juniora*

Spis treści

Słowo wstępne

Uwagi praktyczne

1. Uczeń

Niebezpieczny świat

Ojcowski wstyd

Szansa syna

Katowski kunszt

2. Najemnik

W drodze

Przemoc dla wykrycia prawdy

Przemoc gwoli sprawiedliwości

Wytwarzanie dobrej śmierci

Życiowa szansa

3. Mistrz

Człowiek obarczony obowiązkami

Dobre imię

Mściciel ofiar

Przemiana w norymberczyka

4. Mędrzec

Premedytacja

Afekt

Przyzwyczajenie

5. Uzdrawiciel

Ciała żywe

Ciała martwe

Czarna magia

Katowskie dziedzictwo

Scheda ojcowska

Epilog

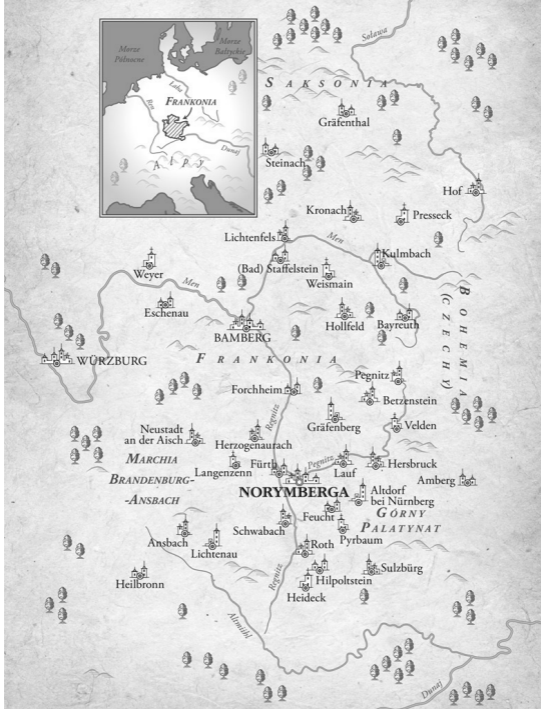
Przypisy

Podziękowania

Źródła zamieszczonych ilustracji

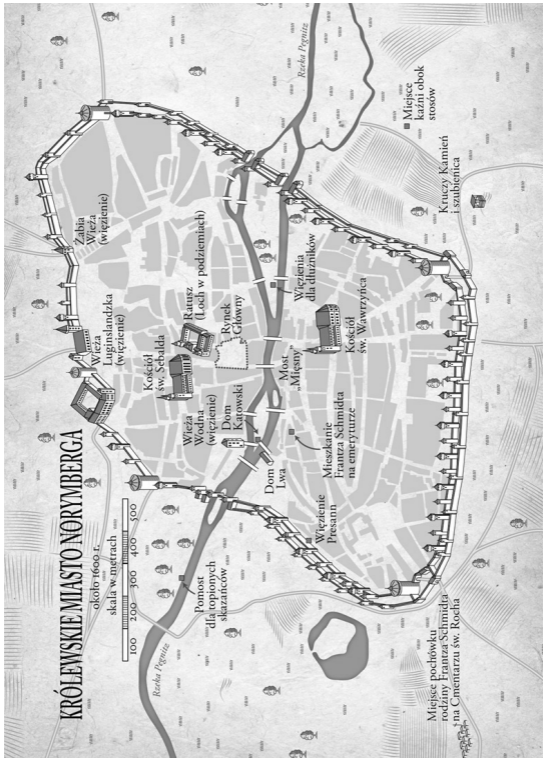
Polecamy również

ŚWIAT FRANTZA SCHMIDTA



KRÓLEWSKIE MIASTO NORYMBERGA

około 1600 r.
skala w metrach



Zabia Wieża (wieżenie)
Wieża Luginslandzka (wieżenie)

Kościół św. Sebalda

Ratusz (Loch w podziemiach)

Rynek Główny

Wieża Wodna (wieżenie)

Dom Katowski

Dom Lwa

Most „Mieśny”

Wieżenia dla dłużników

Kościół św. Wawrzyńca

Mieszkanie Franza Schmidta na emeryturze

Wieżenie Pressann

Miejsce pochówku rodziny Franza Schmidta na Cmentarzu św. Rocha

Kruczy Kamień i szubienica

Miejsce kazni obok stożów

Słowo wstępne

Każdy, kto jest użyteczny, zasługuje na szacunek.

Julius Krautz, berliński kat (1889)[\[1\]](#)

WTEN CHŁODNY CZWARTKOWY PORANEK 13 LISTOPADA 1617 r. tłum zaczął się gromadzić bardzo wcześnie, gdy tylko przejaśniło się na horyzoncie. Norymbergę — to wolne miasto, znane w całej Europie jako bastion ładu społecznego — czekała jeszcze jedna publiczna egzekucja. Jej mieszkańcy, o różnorodnej przynależności stanowej, spieszyli więc zapewnić sobie dobre miejsce do obejrzenia spektaklu, zanim na dobre się rozpocznie to wielkie wydarzenie. Sprzedawcy zdążyli już rozstawić przenośne stoiska z norymberskimi kielbaskami, kiszoną kapustą i obfitością słonych śledzi wzdłuż trasy przejazdu skazańca, czyli między ratuszem a szafotem, który znajduje się za miastem, ale nieopodal jego murów. W tłumie widać było także osoby dorosłe i dzieci sprzedające butelkowane piwo i wino. W porze przedpołudniowej zebrało się już parę tysięcy widzów i kilkunastu strażników miejskich, których nazywano łucznikami, bynajmniej nieucieszonych koniecznością utrzymania porządku. Podpici młodzi mężczyźni częstowali się nawzajem szturchańcami i byli coraz bardziej natarczywi, a do tego przejawiali nadmierny zapał do sprośnych przyśpiewek. Woń rygowin i moczu mieszała się z przyjemnym zapachem dymu znad rusztów do przypiekania kielbasek i kaszanów.

Niebawem okazało się, kim jest skazaniec, którego tradycja każe nazywać „nieszczęsnym grzesznikiem”. To, co najważniejsze, zostało błyskawicznie przekazane z ust do ust: na miejsce kaźni trafi 30-letni Georg Karl Lambrecht, rodem z frankońskiej wioski Mainberheim. Wyuczył się ponoć na młynarza i przez lata pracował w tym zawodzie, ale ostatnio przyszło mu zarabiać na życie w sposób mniej zaszczytny, bo rozwożeniem wina. Wszyscy wiedzą, że skazano go na śmierć za fałszowanie wielu złotych i srebrnych monet, w czym pomagali mu brat i inni łajdacy, którzy zdążyli wziąć nogi za pas. Ciekawsze dla podekscytowanych widzów jest jednak to, że Lambrecht dał się powszechnie poznać jako zręczny mag, że rozwiódł się z pierwszą żoną, którą posądził o cudzołóstwo, i że „prowadzał się po okolicy” z niecną wiedźmą obdarzoną przydomkiem Żelazna Żmija. Wedle opowieści kilku świadków zdarzyło się niezbyt dawno temu, że Lambrecht rzucił przed siebie czarną kurę i zawołał: „Oto, szatanie, kąsek dla ciebie, a teraz ty daj mi to, co moje!”. Potem zaś nie zawahał się przekląć, życząc śmierci jednemu ze swych licznych wrogów. O czary podejrzewano również jego matkę nieboszczkę, a ojciec Lambrechta zawiśł przed laty na szubienicy jako złodziej, toteż więzienny kapelan nie minął się z prawdą, stwierdzając, że „niedaleko padło jabłko od jabłoni”.

Na krótko przed południem rozpoczęło się okolicznościowe bicie w dzwony: najpierw w pobliskim kościele świętego Sebalda, zaraz potem w kościele Mariackim przy głównym rynku i wreszcie u świętego Wawrzyńca na przeciwnym brzegu rzeki Pegnitz. Po paru minutach nieszczęsny grzesznik został wyprowadzony bocznymi drzwiami z okazałego ratusza, mając kostki i nadgarstki splecione mocnym sznurem. Johannes Hagendorn, jeden z dwóch kapelanów sądu, który ferował wyroki na przestępców, zapisze później w swoim diariuszu, że w tamtej chwili Lambrecht odwrócił wzrok w jego stronę i wypowiedział prośbę o przebaczenie mu licznych grzechów. I jeszcze raz daremnie apelował Lambrecht o egzekucję poprzez ucięcie głowy mieczem, a więc o śmierć szybszą i godniejszą aniżeli przewidziane dla fałszerzy spalanie żywcem. Po odrzuceniu tej ostatniej prośby skazaniec trafił na przyległy rynek, wprawna ręką zaprowadzony tam przez Frantza Schmidta, wieloletniego norymberskiego kata. Z rynku dygnitarze powoli wyruszyli ku miejscu kaźni, od którego dzieli rynek nieco ponad półtora kilometra. Sędzia „krwawego trybunału”, w stosownej dla patrycjatu czerwieni i czerni, jechał konno na czele uroczystej procesji, za nim zaś pieszo podążali Lambrecht, dwaj kapelani i kat, jak wszyscy przedstawiciele tego zawodu obdarzani przez mieszkańców miasta zaszczytnym mianem mistrza Frantza. Katu deptali już po piętach norymberscy rajcy w ciemnym odzieniu, potomkowie najzamożniejszych rodzin w tym mieście, a za nimi szli starsi kilku lokalnych cechów rzemieślniczych, bo przecież zdarzenie to szczególnie ważne dla ogółu obywateli. Mijając gapiów, Lambrecht, w którego oczach błyszczały łzy, wypowiadał głośne błogosławieństwa pod adresem rozpoznawanych ludzi i prosił ich o wybaczenie. Wyszędłszy południową Bramą Niewieścią (*Frauentor*) poza solidne mury miejskie, procesja zbliżyła się do celu: swoistego podestu, który lud nazywa Kruczym Kamieniem, jako że właśnie kruki zlatują się tam, aby rozdziobywać pozostawione na ich pastwę trupy skazańców. Nieszczęsny grzesznik pokonał razem z katem parę kamiennych stopni, po czym z owego podwyższenia zwrócił się do tłumu, zerknąwszy wcześniej na szafot. Znowu wyznał publicznie swoje grzechy, błagając Boga o zmiłowanie i wreszcie na klęczkach odmówił Modlitwę Pańską, a tymczasem kapelan szeptał mu do ucha słowa pociechy.

Po modlitwie mistrz Frantz usadowił Lambrechta na „krześle potępienia” i otoczył jego szyję cienkim jedwabnym stryczkiem, a żeby można go było, zanim spłonie, dyskretnie udusić — to ostatni akt miłosierdzia ze strony kata. Następnie mistrz Frantz mocno opasał tors nieszczęśnika łańcuchem, zawiesił na szyi skazańca woreczek napelniony prochem strzeleckim i między nogi oraz ręce Lambrechta położył pokryte smołą wianki, przy czym wszystkie te czynności służyły szybszemu spaleniowi ciała. Kapelan i nieszczęsny grzesznik nadal się modlili, gdy mistrz Frantz rozmieścił wokół krzesła kilka wiązek słomy, wbijając w nie małe kołki, aby utrzymały się na miejscu. Kiedy kat był już gotów rzucić pochodnię pod nogi Lambrechta, katowski pomocnik ukradkiem zacisnął pętlę na szyi skazańca, czym powinien go uśmiercić. Ledwo jednak nieszczęśnik zaczął płonąć, wyszło na jaw partactwo pomocnika, bo skazaniec wykrzykiwał jeszcze z patosem: „Tobie, Panie, powierzam mego ducha”. Spomiędzy płomieni dobiegło jeszcze kilkakrotnie: „Zabierz mego ducha, Panie Jezu”, ale potem słychać było już tylko trzaskanie ognia i rozszedł się w powietrzu zapach spalenizny. W tym samym dniu, już po południu, przejęty współczuciem kapelan Hagendorn zapisał w swoim diariuszu, będąc pod wrażeniem nieklamanej skruchy skazańca: „Ponad wszelką wątpliwość po tej straszliwej, pożałowania godnej śmierci dostał on życia wiecznego, stał się tegoż dziecięciem, jak i sukcesorem[2]”.

Jeden wyrzutek odchodzi do wieczności, drugi pozostaje tutaj i uprząta spalone doczesne szczątki swojej ofiary. Długo było tak, iż ludzi w rodzaju Frantza Schmidta — tych, którzy zabijali z racji wykonywanego zawodu — obawiano się i nie szczędzono im pogardy. Choć

czasem zaznawali miłosierdzia, rzadko kiedy uchodzili za jednostki interesujące, o szczególnych cechach, które czyniłyby ich godnymi tego, by o ich istnieniu dowiedziała się potomność. Cóż jednak przychodzi na myśl temu 63-letniemu weteranowi wśród katów, gdy doprowadza on do porządku kamień, ponad którym tak niedawno przebiły się przez gęstniejący dym ostatnie rozpaczliwe inwokacje pobożnego skazańca? Bynajmniej nie sceptycyzm co do winy Lambrechta — sam przecież pomógł jej dowieść dwoma wielogodzinnymi przesłuchaniami oskarżonego, wykazały ją też zeznania kilku świadków, że nie wspomniemy o narzędziach, które ułatwiły fałszowanie ani też o innych niepodważalnych dowodach znalezionych w mieszkaniu Lambrechta. A może mistrz Frantz ma znowu w oczach niewprawne duszenie, nad czym pewnie boleje, zdumiony, że doszło do tak żenującej sceny? Czy ucierpiała na tym jego duma zawodowa, czy epizod ten nadwężył jego reputację? Chyba że po prostu zubożniał, strawiwszy bez mała 50 lat na zajęciu uznawanym powszechnie za niegodziwe[3]?

Udzielenie odpowiedzi na którekolwiek z tych pytań wymagałoby wdania się w spekulacje, zmusiłoby do snucia domysłów bez nadziei na potwierdzenie. Ale w przypadku mistrza Frantza Schmidta z Norymbergi dysponujemy czymś wyjątkowym, co sprzyja takim odpowiedziom. Podobnie jak tamten kapelan, mistrz Frantz prowadził osobisty dziennik, w którym odnotowywał egzekucje oraz kary za przestępstwa wymierzone w latach swojej niepospolicie długiej kariery. Ten niezwykle diariusz jest kroniką 45 lat pracy zawodowej — od roku 1573, kiedy jako 19-latek wykonał pierwszą egzekucję, do roku 1618, gdy przeszedł na emeryturę. Koszmarne uśmiercenie skruszonego fałszerza okazało się jego ostatnim zadaniem, uwieńczyło karierę, która, wedle jego własnych obliczeń, pozwoliła mu osobiście zabić 394 skazańców i kilkuset innych wychłostać albo okaleczyć.

Cóż więc nurtowało mistrza Frantza? Jego dziennik jest co prawda od dawna znany historykom, którzy zajmują się dziejami Niemiec w pierwszych trzech wiekach epoki nowożytnej (między rokiem 1500 a 1800), ale o dziwo bardzo nieliczni — jeżeli w ogóle ktokolwiek z tego grona — pokusili się o udzielenie odpowiedzi na to pytanie. Zaginiony oryginał diariusza miał co najmniej pięć rękopiśmiennych kopii, które po śmierci autora były przez niespełna dwa następane stulecia w obiegu prywatnym, po czym doczekały się wydania drukiem najpierw w roku 1801 i po raz drugi w roku 1913. Skrócony angielski przekład tej ostatniej edycji ukazał się w 1928 r., opublikowano także, w niewielkich nakładach, reprinty obu wydań niemieckich[4].

Ja sam natknąłem się na dziennik mistrza Frantza przed kilkoma laty w dziale historii regionu w pewnej norymberskiej księgarni. Nie był to fakt aż tak dramatyczny, jak, powiedzmy, odkrycie dawno zaginionego rękopisu w skrytce otwierającej się dopiero po rozwiązaniu całego ciągu zagadek obmyślonych w zamierzchłej przeszłości, ale przecież mogłem wykrzyknąć: „Eureka!”. Zafascynowało mnie już to, że zawodowy kat sprzed czterech wieków włądł swobodnie piórem i że w ogóle zapragnął w ten sposób uwiecznić własne przemyślenia i czyny. A co sprawiło, że nie znalazł się dotąd nikt skory do czerpania z tego zdumiewającego źródła, iż nikt nie podjął próby odtworzenia jego osobistych losów i ukazania świata, w jakim żył? Otóż ja znalazłem na którejś nieekspozowanej półce tej księgarni antykwaryczne kuriozum i zachętę do opowiedzenia niebanalnej historii.

Kupiłem tę skromną książeczkę, przeczytałem ją i dokonałem kilku istotnych odkryć. Po pierwsze, Frantz Schmidt nie był wcale jedynym spośród katów autorem diariusza, ale w pierwszej epoce nikt nie dorównał mu ani liczbą przedstawionych w tej kronice lat, ani bogactwem szczegółów zawartych w większości zapisów. Mało który Niemiec umiał wtedy czytać i pisać, a przecież niejedyn kat posiadał sztukę pisania na tyle, by prowadzić proste,

schematyczne wykazy skazańców, przy czym kilka z nich przetrwało po dziś dzień[5]. U zarania epoki nowożytnej zapiski katów zyskały sobie pewną poczytność, że przypomniemy tu przykład najślawniejszy: kronikę rodziny Sansonów, dynastii katowskiej, która królowała w Paryżu od połowy XVII wieku aż do połowy XIX stulecia. Późniejsza ogólnoeuropejska rezygnacja z kary śmierci przyniosła sporo opublikowanych reminiscencji „ostatnich katów” i niejedna z tych książek stała się bestsellerem[6].

Tajemniczość tamtej fascynującej postaci nurtowała mnie jednak nadal i wczytawszy się w dziennik kata uważniej, dokonałem kolejnego odkrycia, które uznałem za nawet bardziej zaskakujące. Mimo że mistrz Frantz niewątpliwie potrafi zaciekać portretami najróżniejszych przestępców, z którymi się zetknął, siebie samego konsekwentnie pozostawia w tle, sprawiając tym pewien zawód — jest milkliwym, niewychodzącym z cienia obserwatorem, chociaż przyszło mu odegrać kluczową rolę w wielu opowiadanych wydarzeniach. Diariusz ten nie przypomina więc dziennika we współczesnym rozumieniu tego słowa, lecz jest raczej kroniką życia zawodowego. Aż 621 zapisów różnej długości, od paru wierszy po kilka stron, ułożonych w kolejności chronologicznej przyjmuje formę dwóch list: pierwsza dotyczy wykonanych przez mistrza Frantza wyroków śmierci poczynawszy od roku 1573, a druga wyszczególnia kary cielesne, które wymierzył w roku 1578 i wszystkich następnym latach — przypadki chłosty, napiętnowania, ucięcia palców, uszu i języków. Każdy wpis podaje nazwisko, zawód i rodzinne miasto winowajcy, jak również rodzaj przestępstwa, sposób ukarania i miejsce, w którym ono nastąpiło. Z biegiem lat mistrz Frantz podaje coraz więcej informacji o przeszłości winowajców, o ich ofiarach; bardziej szczegółowo omawia przestępstwa, za które trzeba było ukarać w danym momencie, oraz te wcześniej popełnione. Tu i ówdzie autor pisze też więcej o ostatnich godzinach i chwilach przed egzekucją. Kilkadziesiąt obszerniejszych notatek dostarcza jeszcze więcej obszernych informacji o złoczyńcach, odtwarza nawet pewne kluczowe sceny, nie szczędzi barwnych opisów, gdziegdzie przytacza również fragmenty dialogów.

Wielu historyków nie uznałoby dziennika Schmidta za typowy „dokument ego”, czyli źródło, w którym naukowiec poszukuje potwierdzenia czyichś myśli, odczuć, walki wewnętrznej (takim źródłem jest na ogół diariusz, a także zbiór osobistej korespondencji). U Schmidta brak relacji, które wskazywałyby na kryzysy moralne jako efekty długiego torturowania, nie znajdujemy rozwekłych filozoficznych rozważań o sprawiedliwości ani nawet związanych spekulacji na temat sensu życia. W gruncie rzeczy uderza tu znikoma liczba wzmianek o sobie samym. Zaimek „ja” pojawia się 15 razy, tyleż jest przypadków użycia zaimka „mój” i tylko jeden raz występuje odpowiednik formy „mnie”[7]. Większość odniesień dotyczy kamieni milowych w karierze kata (na przykład: „moja pierwsza egzekucja z użyciem miecza”), ale bez wyrażenia opinii albo stosunku emocjonalnego, a cała reszta takich uwag stanowi wrtęty przypadkowe (jest nim choćby zdanie: „Trzy lata temu przepędziłem ją z miasta”)[8]. Co znamienne, i „mój ojciec”, i „mój szwagier” — dwaj kaci — pojawiają się trzykrotnie w kontekście zawodowym. Schmidt nie wspomina w ogóle o żonie, siedmiorgu dzieciach i licznych pomocnikach, czemu nie trzeba się dziwić, skoro przedmiotem zainteresowania dziennika jest coś zgoła innego. Ale zabrakło tu także wszelkich aluzji do pokrewieństwa czy powinowactwa z ofiarami lub sprawcami przestępstw, chociaż pośród tych ostatnich byli ludzie, których autor znał osobiście, między innymi jego szwagier, niesławnej pamięci bandyta[9]. Schmidt nie wypowiada się jednoznacznie na tematy religijne i stroni od moralizatorskiego tonu. Jakże więc ten dokument, tak starannie uczyniony bezosobowym, miałby dać pojęcie o życiu i przemyśleniach autora? Doszedłem do wniosku, że przede wszystkim niewystarczająca obecność mistrza Frantza na kartach diariusza zniechęcała

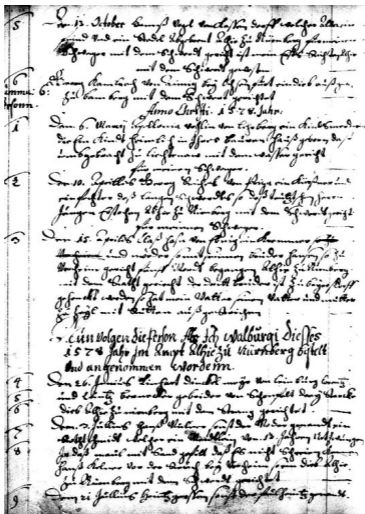
dotychczas do wyzyskania jego dziennika jako źródła biograficznego^[10].

Moje przedsięwzięcie byłoby od początku skazane na porażkę, gdyby nie dwa momenty przełomowe, doprowadzą wielkiej wagi. Pierwszy nastąpił po kilku latach od tamtej chwili, w której natknąłem się na mistrza Frantza: pracując nad czymś innym, odnalazłem w norymberskiej bibliotece miejskiej (*Stadtbibliothek*) starszą i dokładniejszą niż te używane wcześniej, rękopiśmienną kopię diariusza. Edytorzy obu poprzednich wydań dziennika oparli się na manuskryptach z końca XVII stulecia, z pewnymi uczyelniającymi modyfikacjami, na które pozwolili sobie barokowi kopiści, natomiast podstawą przedstawionej tutaj biografii jest manuskrypt ukończony w roku 1634, roku śmierci Schmidta^[11]. Późniejsze wersje zawierają drobne zmiany: odmienną pisownię pewnych wyrazów; ułatwienie, jakim okazała się numeracja wpisów; tu i ówdzie nieco rozbieżne daty; korekty składniowe oraz — jako dodatek — interpunkcję. (Tej brak w manuskrypcie z roku 1634 i zapewne nie było jej w pierwotnej wersji dziennika, Schmidt bowiem nie różnił się chyba od większości autorów na podobnym poziomie wykształcenia — prawdopodobnie stronił od używania znaków przestankowych). Dają się jednak dostrzec i rozbieżności o większym znaczeniu. W niektórych wersjach pominięto całe zdania i dodano nowe, o moralizatorskim tonie, jak również rozmaite szczegóły pochodzące z norymberskich kronik i protokołów spraw karnych. Te późniejsze pastisze czyniły diariusz atrakcyjniejszym dla XVIII-wiecznych norymberskich mieszczan, którzy przekazywali sobie te niskonakładowe manuskrypty z rąk do rąk. Ale zarazem w niejednej takiej wersji charakterystyczny ton mistrza Frantza nie był już rozpoznawalny i zatracala się tym samym jego osobista perspektywa. Zwłaszcza pięć ostatnich lat życia autora przedstawiono w późniejszych edycjach całkiem inaczej niż w tej z roku 1634, gdyż kilka wpisów nie pojawiło się w ogóle, a ponadto zabrakło nazwisk większości sprawców, jak i szczegółowych opisów popełnionych przez nich przestępstw. W sumie co najmniej czwarta część tekstu starszego jest mniej lub bardziej rozbieżna z późniejszymi wersjami.

Różnica najciekawsza — i najprzydatniejsza — pojawia się na samym początku dziennika. W wydaniach z lat 1801 i 1913 czytamy, że Frantz przedstawia swoje dzieło jako „rozpoczęte w roku 1573 dla mojego ojca, osiadłego w Bambergu”. W wersji przyjętej jako podstawa dla tej książki młody kat pisze natomiast: „Anno Christi roku 1573 [*sic!*]: oto nazwiska osób, które zastąpiwszy ojca, Heinricha Schmidta, uśmierciłem w Bambergu”. Ta na pozór drobna różnica rzuca nieco światła na najtrudniejszą kwestię związaną z całością diariusza: co w ogóle skłoniło Frantza Schmidta do tego, by go spisywać? Sformułowanie zawarte w późniejszych wersjach brzmi raczej jak aluzja do ojcowskiego rozkazu niż jak dedykacja, co oznaczałoby, że starszy Schmidt narzucił synowi i czeladnikowi w jednej osobie pisanie tekstu, który mógłby dla ewentualnych pracodawców stanowić rodzaj zawodowego *curriculum vitae*. Ale starsza wersja diariusza uściśla: Frantz podjął się przez pięć początkowych lat wyręczania ojca kata (wymienionego tutaj z imienia i z nazwiska) w egzekucjach, nie zaś pisania z woli ojca. Zresztą praca nad diariuszem, jak to wyjaśnia dalsza wzmianka w owej wersji, rozpoczęła się nie w 1573, lecz w 1578 r., kiedy to Frantz Schmidt został sprowadzony do Norymbergi. Ze swej przeszłości dwudziestoczteroletni Frantz chce pamiętać tylko pięć minionych lat wypełnionych egzekucjami i przemilcza właściwie wszystkie kary cielesne, bo przecież „nie pomnę już, kogo tak pokarałem w Bambergu”.

Tamto odkrycie nasunęło natychmiast kilka kolejnych pytań, między innymi chciałem wiedzieć, na czym polegała prośba i dlaczego Frantz Schmidt pisał dziennik, skoro nie zajął się tym z woli ojca w 1573 r. Wątpliwe, czy przewidywał publikację diariusza, większość notatek w pierwszym 20-leciu miała wszak charakter zapisów niezbyt starannych. Niewykluczone, że wyobrażał sobie późniejsze krążenie dziennika w postaci rękopiśmiennej, co stało się faktem,

ale notatki z lat wcześniejszych zawierają o wiele mniej szczegółów niż mogące konkurować z tym dziennikiem kroniki miejskie i nie są tak interesujące jak tamte, a co gorsza czytelnik odnosi wrażenie, że ma przed oczyma księgę główną, a nie utwór zamierzony jako literacki. Możemy się także domyślać, iż ów dziennik był przeznaczony tylko dla jego autora, ale wtedy trzeba by zapytać, dlaczego Frantz Schmidt rozpoczął diariusz właśnie wówczas, w 1578 r., gdy został etatowym katem w Norymberdze, i dlaczego stale unikał poruszania spraw prywatnych.



Karta z diariusza Frantza Schmidta według kopii z 1634 r., najstarszej wersji zachowanej i dostępnej w norymberskiej Bibliotece Miejskiej. Numerację wykonanych wyroków śmierci w lewym marginesie nadał prawdopodobnie kopista.

Drugim kluczem, który pozwolił rozwikłać tajemnicę dziennika Frantza Schmidta, jest wzruszający dokument z późniejszych lat jego życia, przechowywany teraz w Wiedniu, w Austriackim Archiwum Państwowym. Całe życie poświęciwszy zawodowi darzonemu powszechną pogardą, a nawet oficjalnie uznanemu za haniebnym, 70-letni emerytowany kat skierował do cesarza Ferdynanda II późną petycję o to, by monarcha zwrócił jego rodzinie

dobre imię. Prośbie nadał zapewne kształt i spisał ją zawodowy notariusz, ale znalazły w niej wyraz uczucia nader osobiste, w paru miejscach petycji ujawnione ze zdumiewającą otwartością. Co wiele znamienne, leciwy Frantz opowiada o krzywdzącym rodzinę skazaniu jej na niecną katowską profesję i o swojej przejawianej przez całe życie determinacji w zabiegach służących temu, aby taki sam los nie spotkał jego synów. Trzynastostronicowy dokument zawiera nazwiska kilku znakomitych obywateli Norymbergi uzdrowionych dzięki Schmidtowi, który poza główną profesją udzielał porad medycznych i leczył (tym samym zajmowało się, o dziwo, wielu katów), jak również entuzjastyczną popierającą adnotację norymberskiej rady miejskiej, która przez cztery dekady zatrudniała Schmidta. Rajcy zapewnili, że jego długoletnia służba na rzecz miasta i osobista przyzwoitość okazały się „przykładne”, po czym dodali swoją żarliwą prośbę do cesarza o zwrócenie Schmidtowi honoru.

Czyżby sama rada miejska była od początku — w zamyśle Schmidta — adresatką diariusza pisanego przez człowieka, któremu zależało na odzyskaniu dobrego imienia? Do takiej strategii uciekł się on być może jako pierwszy, ale bynajmniej nie ostatni spośród niemieckich katów[12]. Kiedy ponownie, mając w pamięci prawdopodobny motyw autora, przeczytałem się w dziennikowe zapisy mistrza Frantza, oczyma wyobraźni zobaczyłem człowieka myślącego i wrażliwego, kogoś, kto powoli wyłaniał się z mroku, który spowijał narrację na pozór bezosobową. Dostrzegłem pewną powtarzalność w tematyce i doborze słów; niekonsekwencje stylistyczne były już wyraźniejsze i coraz lepiej rozpoznawałem także osobowość autora. Wprawdzie na ujawnianiu jej Schmidtowi w ogóle nie zależało, bezwiednie jednak w każdej właściwie notatce manifestował swój sposób myślenia i przeżycia wewnętrzne. I właśnie subiektywizm, eliminowany nieświadomie przez późniejszych kopistów, stał się kluczem do poznania przedmiotów niechęci Schmidta, jego obaw, uprzedzeń oraz ideałów. Ewidentne było zaznacza właściwie Schmidtowi rozumienie okrucieństwa, sprawiedliwości, obowiązków, honoru. Dawało się ustalić, jak pojmował osobistą odpowiedzialność i z tych wszystkich elementów, łączonych w trakcie lektury całego diariusza, powstawał zarys spójnego obrazu świata, który jawił się jako charakterystyczny dla owego człowieka. Sam dziennik urastał do rangi moralitetu, już bowiem kompozycja diariusza stanowiła świadectwo prowadzonej przez autora niezmordowanie i przez całe życie walki o szacunek ogółu.

Złożona osobowość, którą poznajemy dzięki tej lekturze i wielu źródłom archiwalnym, wcale nie potwierdza stereotypu bezdusznej brutalnej postaci z powieści dla mas. Spotykamy się natomiast z pobożnym i powściągliwym ojcem rodziny, odrzucanym jednak przez szacowne społeczeństwo, któremu służy, i zmuszonym do tego, aby przeważnie obcować ze skazańcami oraz pomocną mu hałastrą zbirów ze straży miejskiej[13]. Chociaż przez lata właściwie jest izolowany, paradoksalnie potrafi zabyśnąć nadzwyczajną inteligencją socjotechniczną, czym toruje sobie drogę do wspaniałej kariery zawodowej, a z czasem także do uwolnienia siebie od piętna społecznej pogardy, które bardzo mu ciąży. Niemalże czasowy zasięg diariusza pozwala nam obserwować literacką i filozoficzną ewolucję samouka z minimalnym wykształceniem, autora, którego zapisy w dzienniku przemieniają się z lakonicznych omówień sytuacji kryminalnych w całe opowiadania, będąc przy tym potwierdzeniem wrodzonej ciekawości piszącego — zwłaszcza odnośnie do medycyny — oraz moralnego kosmosu tego człowieka. Mimo licznych konfrontacji z całą gamą przejawów ludzkiego okrucieństwa i regularnego osobistego nękania straszliwą przemocą ten najwyraźniej prawdziwie pobożny człowiek nie traci ani przez chwilę wiary w ostateczne przebaczenie i absolucję dla tych, którym zależy na zbawieniu duszy. A co najważniejsze, zastępczo doświadczamy życia zawodowego i prywatnego, na które oddziałuje tyleż gorycz biorąca się ze świadomości dawniejszych i obecnych krzywd, jak niezachwiana nadzieja i ufne spoglądanie

w przyszłość.



Ten jedyny w pełni wiarygodny portret Frantza Schmidta, jaki się zachował, wykonał pewien norymberski notariusz sądowy o artystycznych ambicjach, i to na marginesie rejestru wyroków śmierci. W chwili tej egzekucji — ścięcia Hansa Fröschela, które miało miejsce 18 maja 1591 r. — mistrz Frantz liczył sobie około trzydziestu siedmiu lat.

Książka, która jest efektem całej tej kwerendy, zawiera dwie powiązane ze sobą nawzajem opowieści. Pierwszą stanowi historia człowieka nazwiskiem Frantz Schmidt. Od momentu jego przyjścia na świat w rodzinie katowskiej, w 1554 r., przeżywamy razem z nim lata młodości nauk zawodu pod okiem ojca i samodzielnych podróży najemnego kata. Na przemian powołując się na samego Frantza Schmidta (cytowanego w cudzysłowach) i odtwarzając historyczny świat, w którym ów człowiek żył, dowiadujemy się, jakich umiejętności potrzeba zawodowemu katu, poznajemy żenującą pozycję Frantza w lokalnym środowisku i jego wczesne starania o lepszy los dla siebie. W miarę dojrzwania tego człowieka zaznajamiamy się z norymberskimi strukturami prawnymi i społecznymi na początku epoki nowożytnej, a później, gdy Frantz Schmidt jest już w średnim wieku, obserwujemy jego nieustanne zabieganie o awans — i społeczny, i zawodowy. Wnikamy w to, jak rozumiał sprawiedliwość, ład i podstawy dla powszechnego poważania. Poznajemy również małżonkę Frantza Schmidta i jego coraz liczniejszą rodzinę, a ponadto różnorodnych przestępców i przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości. I wreszcie jesteśmy — w późniejszym życiu Frantza — świadkami rozkwitu dwóch tożsamości zyskujących na znaczeniu: jedna jest atrybutem moralisty, a druga okazuje się właściwa uzdrowicielowi; równocześnie ukazuje się nam wewnętrzne życie zawodowego dręczyciela i zabójcy. Dokonania lat schyłkowych są zaprawione goryczą za sprawą rozczarowania i osobistej tragedii, ale wytrwała, samotna walka o dobre imię sama w sobie zdumiewa i budzi podziw.

Znalazła się w tej książce jeszcze inna narracja — refleksja o naturze ludzkiej i postępie społecznym, jeżeli takie zjawiska w ogóle istnieją. Jakież to przesłanki i odczucia sprawiły, że penitencjarna przemoc stosowana regularnie przez mistrza Frantza, czyli torturowanie i publiczna kaźń, była czymś, na co on i ludzie w jego czasach mogli przystać, a nas żyjących

dzisiaj mierzi? Jak i dlaczego takie struktury umysłowe i społeczne potrafią się utrzymywać i co je odmienia? Europejczycy z początkowego okresu ery nowożytnej nie mieli oczywiście monopolu na międzyludzką przemoc, na okrucieństwo czy odwet — już to indywidualny, już to zbiorowy. Liczba zabójstw popełnionych w świecie Frantza Schmidta pozwala określić tamte czasy jako mniej nacechowane przemocą niż wieki średnie, lecz bardziej nią wypełnione aniżeli najnowsza historia Stanów Zjednoczonych (co godne uwagi)[14]. Z drugiej strony, przemoc państwowa w postaci częściej ferowanych wyroków śmierci i niezadkiego ograbiania wszystkich społeczeństw przednowoczesnych przez armie blednie wobec XX-wiecznych wojen totalnych, czystek politycznych i przypadków ludobójstwa. Nadal, i to w skali globalnej, tortury praktykowane z woli sądów oraz publiczne egzekucje podkreślają nasze niezmiennie pokrewieństwo z „bardziej prymitywnymi” społeczeństwami dawnych epok, jak i nikłe znaczenie transformacji, która rzekomo oddaliła nas od tamtych ludzi. Czy rzeczywiście nastąpi globalna rezygnacja z kary śmierci, czy raczej potrzeba odwetu jest nazbyt głęboko zakorzeniona w naturze człowieka?

Jakie myśli nurtowały mistrza Frantza? Cokolwiek wykryjemy, ten pobożny norymberski kat pozostanie postacią i obcą, i znajomą. Trudno nam zrozumieć samych siebie i osoby najbliższe, a cóż dopiero zawodowego zabójcę z zamierzcłej przeszłości i odległej okolicy. Tak jak to bywa w biografiach, rewelacje pochodzące z diariusza czy innych źródeł historycznych nie udzielają jednak odpowiedzi na wiele pytań (i pewnie nie na wszystkie można odpowiedzieć). Jedyna chyba godna zaufania rycina z tamtej epoki przedstawia Frantza Schmidta, sumiennego kata jako — co nie dziwi — osobę odwróconą plecami. Ale gdy dokładamy starań, aby zrozumieć tego człowieka i jego świat, częściej, niżbyśmy się spodziewali przy pierwszym spotkaniu z tamtym zawodowym dręczycielem i wykonawcą wyroków śmierci, rozpoznajemy siebie samych i częściej stać nas na empatię. Historia życia mistrza Frantza z Norymbergi jest pod wieloma względami fascynującą opowieścią o epoce dawno minionej, a zarazem historią pożyteczną w naszych czasach i we współczesnym świecie.

Uwagi praktyczne

Cytaty z tekstów Frantza Schmidta

Wszystkie bezpośrednie przytoczenia jego tekstów wyróżniono z tekstu głównego (cytaty obszerniejsze na węższej kolumnie tekstu, a krótkie ujęto w cudzysłowy). Są to przekłady autora książki (na język angielski), oparte na wersji dziennika z roku 1634 oraz na petycji dotyczącej odzyskania dobrego imienia (z 1624 r.).

Komentarz na temat nazewnictwa

W początkach ery nowożytnej nie istniała jeszcze znormalizowana pisownia i mistrz Frantz, podobnie jak inni, często podawał te same imiona czy nazwiska rozmaicie, sporadycznie nawet w obrębie jednego akapitu. Uwspółcześniłem nazwy miast, a także innych miejscowości, nie inaczej potraktowałem większość imion; nazwiska zachowały pisownię stosowaną w pierwszym okresie ery nowożytnej, ale, dla jasności, w brzmieniu ujednoliconym. Zapis typowy dla tamtej

epoki mają również nazwiska żeńskie, z charakterystyczną zamianą samogłoski w przedostatniej sylabie i niezmienną końcówką — in. Przykładowo: żona Georga Widmanna była znana jako Margaretha Widmänin lub Wimdenin; córkę Hansa Kriegera nazywano Magdaleną Kriegerin albo Kriegin i tak dalej. Używane powszechnie przydomki oraz pseudonimy zostały przeze mnie przetłumaczone z ówczesnego slangu (*Rotwelsch*) na ich najbliższe dzisiejsze odpowiedniki, przy czym pozwoliłem sobie na pewną twórczą swobodę.

Monety

W początkowym okresie ery nowożytnej na ziemiach niemieckich pozostawało w obiegu wiele monet lokalnych, cesarskich i zagranicznych, ponadto z biegiem lat zmieniały się oczywiście kursy wymiany walut. Aby uzmysłowić tę wielość i umożliwić pewne porównania, podaję przybliżone odpowiedniki każdej sumy z osobna we florenach (czyli guldenach; skrót: fl.), jednostce najważniejszej pod względem wartości. Osoba należąca wtedy do kategorii służących albo do straży miejskiej zarabiała rocznie 10-15 guldenów, nauczyciel uzyskiwał guldenów 50, a prawnik związany z municypalnym sądownictwem — pensję rzędu 300-400 guldenów. Bochenek chleba kosztował cztery pensy (0,03 fl.), za kwaterek wina płacono około 30 fenigów (0,25 fl.), a roczny czynsz, który trzeba było uiścić za podrzędne mieszkanie, wynosił bez mała 6 fl. Oto przybliżone równoważne kwoty:

1 gulden (fl.) = 0,85 talara (th.) = 4 stare funty (lb.) = 15 *Batzen* (Bz.) = 20 szylingów (sch.) = 60 grajcarów (*Kreuzer*; kr.) = 120 pensów (d.) = 240 halerzy (H.).

Daty

Kalendarz gregoriański został w katolickich krajach Cesarstwa Niemieckiego wprowadzony 21 grudnia 1582 r., natomiast większość państw protestanckich przyjęła go dopiero 1 marca 1700 r. albo jeszcze później. W rezultacie w latach 1582-1700 wystąpiła 10- i w końcu 11-dniowa rozbieżność między takim na przykład protestanckim terytorium jak Norymberga a państwami katolickimi w rodzaju biskupstwa bamberskiego, które było zarazem księstwem. Tak więc dzień 13 czerwca 1634 r. w Norymberdze odpowiadał 23 czerwca tegoż roku w Bambergu. Dlatego pisano niekiedy 13/23 czerwca 1634. W całej książce za podstawę przyjmuję kalendarz norymberski, według którego pierwszym dniem roku był (jak już w owym czasie prawie wszędzie) 1 stycznia.

Uczeń

*Ojciec, który nie zapewnia synowi jak najwcześniej
najlepszego wykształcenia, ni sam nie jest mężczyzną,
ni ludzkiej natury nawet nie posiada.*

Erazm z Rotterdamu, *O kształceniu dzieci* (1529) [\[15\]](#)

*Wartość i treść człowieka leży w sercu i woli: tam
spoczywa jego prawdziwa chluba.*

Michel de Montaigne, *O kanibalach*, w: *Próby* (1580) [\[16\]](#)

BAMBERSCY SĄSIEDZI ZDAŻYLI PRZYWYKNAĆ DO RYTUAŁU, który powtarzał się co tydzień na podwórzu za domem mistrza Heinricha Schmidta, więc niezainteresowani tym pilnowali własnych spraw. Większość odnosiła się kordialnie do Schmidta, nowego kata na służbie księcia-biskupa, nie oznaczało to jednak gotowości do przyjmowania u siebie czy to jego, czy kogokolwiek spośród jego najbliższych. Syn mistrza Heinricha, Frantz, na którym ojciec skupił swą uwagę w tamten majowy dzień roku 1573, sprawiał wrażenie młodzieńca uprzejmego i był — jeżeli godzi się tak powiedzieć o potomku kata — dobrze wychowanym 19-latkim. Jak wielu ówczesnych nastolatków zamierzał pójść w ślady ojca i uczył się zawodu już wtedy, gdy liczył zaledwie 11 albo 12 lat. Dzieciństwo i czas dorastania spędził Frantz w rodzinnym miasteczku Hof, na północno-wschodnim krańcu dzisiejszej Bawarii, 16 kilometrów od obecnej granicy z Czechami. Odkąd przed ośmioma miesiącami rodzina Schmidtów osiadła w Bambergu, Frantz towarzyszył już ojcu w czasie kilku egzekucji zarówno w mieście, jak i w pobliskich wioskach, przypatrując się ojcowskiej technice i w niewielkim stopniu pomagając Heinrichowi. Im bardziej Frantz rósł i dojrzywał, tym więcej miał obowiązków i talentów. Postanowił w końcu, że podobnie jak ojciec będzie mistrzem w „szczególnym przesłuchiowaniu” (torturach) i w sztuce posyłania dusz osób skazanych na tamten świat w sposób legalny, a więc od typowej „egzekucji z użyciem stryczka”, poprzez nie tak częste spalanie lub zatopienie, aż po hańbiące, stosowane wyjątkowo „wleczenie za koniem na miejsce kaźni i ćwiartowanie”.

Tego dnia mistrz Heinrich wypróbował umiejętności Frantza w najtrudniejszym i najbardziej zaszczytnym rodzaju egzekucji, jakim była „śmierć od miecza”, czyli ścięcie. Dopiero w ciągu minionego roku ojciec zaczął uznawać syna za zdolnego i godnego robić

„karzącym mieczem”, cenioną przez Heinricha, pięknie wykonaną siedmiofuntową bronią z inkrustacjami, która przeważnie wisiała na honorowym miejscu nad kominkiem. Wspólne ćwiczenia rozpoczęli kilka miesięcy wcześniej i wtedy przydawały się tytkwy albo dynie, zastąpione potem mocnymi trzonami rabarbaru, które swą konsystencją bardziej przypominały ludzkie szyje. Pierwsze próby Frantza okazały się, co było do przewidzenia, nieporadne i czasem groźne dla niego i dla ojca, który przytrzymywał „nieszczęsnego grzesznika”. Po kilku tygodniach ruchy Frantza były coraz bardziej płynne i częściej trafiał, dzięki czemu mistrz Heinrich doszedł do wniosku, że syn gotów jest rozpocząć następny etap ćwiczeń na kozach, świniach i innym żywym inwentarzu — zwierzętach „bez czucia”.

W tym samym dniu na prośbę Schmidta miejscowy „oprawca psów”, rakarz, pozbiierał parę włóczących się kundli i dostarczył je w podniszczonych drewnianych kłatkach do domu kata w sercu miasta. Schmidt zapłacił podwładnemu niewielką sumę za tę przysługę i zabrał zwierzęta na ogrodzone podwórze za domem, gdzie czekał już syn. Mimo obecności jednego tylko świadka Frantz dawał po sobie poznać pewien niepokój. Dynie pozostają przecież nieruchome a nawet świnia niezbyt się broni. Frantz mógł nie mieć pewności, czy godzi się zabijać „niewinne” domowe zwierzęta, ale to przypuszczenie jest chyba projekcją anachroniczną[17]. Co najważniejsze, Frantz był świadomy tego, że udane ścięcie dawnych domowych ulubieńców — za każdym razem jedno pewne uderzenie — będzie ostatnim etapem nauki zawodu, i to uznanym za jej finał przez ojca, a ponadto potwierdzi gotowość Frantza do występowania w szerokim świecie w roli najemnego kata. Mistrz Heinrich był znowu pomocnikiem: przytrzymywał pierwszego ujadającego psa, kiedy Frantz mocno ujmował miecz[18].

Niebezpieczny świat

Strach i lęk są niejako wetkane w materię ludzkiej egzystencji. W tym sensie łączą wszystkich nas, którzy istnieliśmy niegdyś i żyjemy w obecnym stuleciu. Dzisiejsze rozwinięte społeczeństwo nie potrafiłoby sobie zapewne wyobrazić, że w ogóle dawało się znieść tyle zagrożeń dla każdego człowieka z osobna, iloma odznaczał się świat Heinricha Schmidta i jego syna, Frantza. Wrogie siły przyrody i nadprzyrodzone, tajemnicze i śmiertelne epidemie, pełni okrucieństwa i złej woli ludzie, przypadkowe albo zamierzone pożary — wszystko to działało na wyobraźnię i było odczuwalne w codziennym życiu narodów, które egzystowały na początku ery nowożytnej. Atmosfera niepewności, jaka wynikała z owych zagrożeń, nie wyjaśnia chyba w pełni niezadkłej brutalności instytucji prawnych w tamtych czasach, ale może stanowić kontekst ułatwiający zrozumienie faktu, że oficjalni wykonawcy wyroków — tacy ludzie, jak obaj Schmidtownie — doświadczali jednocześnie wdzięczności i pogardy ze strony ówczesnych społeczeństw[19].

Trudy życia można było przewidzieć od samego początku. Urodzony po paru poronieniach matki i wydaniu przez nią na świat kilkorga martwych dzieci (tak kończyła się co najmniej jedna na trzy ciąży), Frantz Schmidt miał tylko połowiczną szansę na przeżycie pierwszych 12 lat. (Sam poród wiązał się dla matek z prawdziwym ryzykiem, skoro jedna na 20 umierała w ciągu siedmiu tygodni od akcji porodowej — ta statystyka jest o wiele gorsza niż współcześnie w tych krajach, które rozwijają się najstabilniej). Pierwsze dwa lata życia dziecka były najbardziej niebezpieczne ze względu na fatalne następstwa ospy, tyfusu i dyzenterii — zwłaszcza dla osób młodszych wiekami. Większość rodziców musiała przeboleć śmierć co

najmniej jednego dziecka, większość zaś dzieci miała do czynienia ze zgonem brata lub siostry oraz jednego albo obojga rodziców[20].

Spśród najpowszechniejszych przyczyn przedwczesnej śmierci trzeba wyróżnić przypadki infekcji z powodu niezliczonych epidemii, które szalały w miastach i wioskach całej Europy. Ci, którzy dożywali 50 lat, mieli na ogół za sobą nie mniej niż pół tuzina różnych śmiertelnych infekcji. Roczne czy dwuletnie nawet epidemie, nadzwyczaj groźne, zmniejszały liczbę ludności większych miast, takich jak Norymberga i Augsburg, o jedną trzecią, a w skrajnych przypadkach aż o połowę. Chorobą, której lękano się najbardziej — mimo że jej śmiertelne żniwo nie było już w owym czasie najobfitsze — pozostawała dżuma. Do wybuchów tej epidemii za życia Frantza Schmidta dochodziło nader często w Europie Środkowej, gdzie zapadano na dżumę liczniej niż w którejkolwiek innej części Europy i w którymkolwiek okresie dziejów tego kontynentu od połowy XIV wieku, kiedy to czarna śmierć pojawiła się po raz pierwszy. Przerażała także nieprzewidywalność kolejnych epidemii co do momentu ich wybuchu oraz przebiegu[21]. Traumatyczne przeżycia i wspomnienia jednostek generowały właściwy całym społeczeństwom strach przed taką infekcją, jeszcze bardziej uwypuklając kruchość ludzkiego życia i skalę osobistego zagrożenia.

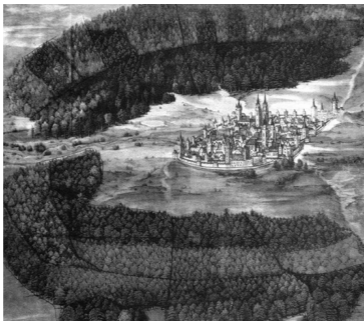
Powodzie, nieurodzaj i klęska głodu zdarzały się również w niedużych — ale rzadko kiedy przewidywalnych — odstępach czasu. Schmidtów spotkało to wyjątkowe nieszczęście, że przyszło im żyć w najgorszych latach okresu znanego nam pod nazwą małej epoki lodowej (orientacyjnie od 1400 do 1700 r.), niechowanego globalnym spadkiem przeciętnych rocznych temperatur, a w efekcie dłuższymi i surowszymi zimami, jak też dotkliwszym chłodem i większą wilgocią w miesiącach letnich, przede wszystkim na północy Europy. Za życia Frantza Schmidta w jego rodzinnej Frankonii spadło znacznie więcej śniegu i deszczu niż w latach wcześniejszych, czego skutkiem były zalane pola i gniecie niezbranych zbóż. Zdarzały się lata bez wystarczającej liczby ciepłych miesięcy, żeby winorośl mogła dojrzeć, i otrzymywano z niej tylko kwaśne wino. Żniwa okazywały się rozpaczliwie mizerne, przez co i ludziom, i hodowanym zwierzętom doskwierały choroby oraz niekiedy śmiertelny głód. Wcześniej ubywało nawet leśnej zwierzyny, głodujące wilcze stada coraz częściej napadały ludzi. Niedostatek wszelkiej żywności powodował niesamowitą inflację, która była z kolei przyczyną tego, że wielu obywateli, dawniej pełnych szacunku dla prawa, uciekało się do kłusownictwa i innych rodzajów kradzieży, aby wykarmić swoje rodziny[22].

Ludziom, którym przyszło żyć w czasach Frantza Schmidta, dawały się we znaki tyleż nieposkromione siły przyrody, ile agresja innych istot ludzkich, szczególnie wszechobecnych, jak sądzono, żołdaków i zgraj, podobnych sobie nawzajem, osób wyjętych spod prawa, rzeźmieszków, którzy swobodnie grasowali po kraju. Większość małych państw — w rodzaju bamberskiego księstwa, biskupstwa czy cesarskiego miasta Norymbergi — pokrywały dziczyce lasy i ogólnodostępne łąki, przetykane niewielkimi wsiami albo tu i ówdzie miasteczkiem, które liczyły do jednego do dwóch tysięcy mieszkańców; państwka te miały po jednej sporej metropolii. Położone w odosobnieniu zagrody lub młyny, bez ochrony, jaką dawały mury miejskie, i zbyt odległe od domów życzliwych sąsiadów, były zdane na łaskę kilkusobowych band, które okazywały swą siłę, dysponując nawet skromnym uzbrojeniem. Uczęszczane trakty i wiejskie drogi często również nie zapewniały pomocy podróżnym. Najbardziej niebezpiecznie było na gościńcach i w lasach podmiejskich oraz wszędzie na pograniczu. Tam podróżny mógł paść ofiarą bandyckiej szajki z takim na przykład wyjętym spod prawa i okrutnym hersztem, jak Cunz Schott; ten nie tylko bił i okradał swe niezliczone ofiary, ale także upodobał sobie kolekcjonowanie rąk obywateli Norymbergi — miasta, które sam uznał za wrogie[23].

Największe podówczas państwo niemieckie nie było w istocie — że przytoczymy znany żart Woltera — ani cesarstwem, ani bynajmniej świętym czy rzymskim. Odpowiedzialność za ład społeczny ponosiło z górą 300 państw egzystujących w obrębie cesarstwa, różnych co do obszaru, mieściły się tu bowiem pojedyncze zamki baronów z paroma okolicznymi wioskami, ale też takie rozległe księstwa, jak Elektorat Saksonii (*Kursachsen*) albo Bawaria. Ponad 70 miast podległych bezpośrednio cesarzowi (*Reichstädte*) — wymieńmy dla przykładu Norymbergę i Augsburg — stanowiło quasi-autonomiczne jednostki administracyjne, a istnieli również opaci i biskupi (między innymi książę-biskup Bambergu), którzy długo dzierżyli władzę świecką i kościelną. Cesarzowi i dorocznemu zgromadzeniu przedstawicieli (był to *Reichstag*, czyli Sejm Rzeszy) przysługiwało symboliczne zwierzchnictwo nad wszystkimi krajami Niemiec, które czyniło z monarchy i parlamentu adresatów podzielonej lojalności, ale pozostawiało oba ośrodki władzy zgoła niezdolnymi do zapobieżenia ciągłym waśniom i wojnom pomiędzy państwami cząstkowymi, jak też do położenia kresu takim konfliktom, ilekroć wybuchały.

Zaledwie dwa pokolenia poprzedzały generację Frantza Schmidta, kiedy to cesarz reformator Maksymilian I właściwie potwierdził straszliwy chaos panujący w całej monarchii i w roku 1495 proklamował wieczysty ziemski pokój krajowy:

Niechaj nikt, jakakolwiek ma rangę, jakikolwiek majątek albo status, nie wdaje się w waśnie, wojny, grabieże, porwania, oblężenia (...) i niechaj wbrew woli bliźnich nie pojawia się w miastach, pod zamkami, na rynkach, ani w twierdzach, wsiach, przysiółkach lub zagrodach, i niech nie stosuje wobec innych przemocy bezprawnym zajmowaniem domostw, groźbą podpalenia ani jakim bądź wyrządzeniem szkody[24].



Ta rycina przedstawia Norymbergę z pierwszych dekad XVI w., pomijając zamieszkałe przez biedotę przedmieścia poza murami i ukazując forteczny charakter życia w obrębie miasta jako ochronę przed wieloma niebezpieczeństwami, które czyhały w okolicznych lasach (rok 1516).

W tamtych czasach zwaśnieni panowie szlachta oraz ludzie z ich otoczenia okazywali się najgorszymi sprawcami niepokojów, często bowiem dopuszczali się wzajemnych napadów, których skala była niewielka, ale traciło wtedy dobytek wielu włościan, podpaleniami pozbawionych dachu nad głową. Niejeden szlachcic — to dawało się wszystkim jeszcze bardziej we znaki — przewodził zbójcom, którzy połączeni w bandy grabili, porywali ludzi, potrafili wymuszać haracze (ten proceder określano jako *Plackerei*) i tym sposobem budzić grozę wśród ludu i osób podróżujących.

Zanim nastąpiło pokolenie Frantza Schmidta, dzięki większej integracji gospodarczej arystokratów i dzięki temu, że zyskiwali na znaczeniu udzielnicy księżęta, nieustannych magnackich konfliktów było coraz mniej[25]. Ale umocnienie własnego wpływu w tak dużych państwach, jak księstwo Wirtembergii albo elektorat brandenburski (późniejsze Prusy), skłoniło tych potężnych władców do nowych podbojów, przy czym niemałe sumy ze swoich obfitych zasobów przeznaczali oni na tworzenie wielkich najemnych armii. Pęd do prowadzenia wojen zbiegł się w czasie ze stopniowym ubywaniem zajęć niemilitarnych dla pospólstwa, póki trwało — nazywane tak przez historyków — wysłużone XVI stulecie, czyli długi okres inflacji oraz wysokiego bezrobocia między (orientacyjnie) rokiem 1480 a 1620. I odpowiednio w wieku XVI i XVII nastąpił aż 12-krotny przyrost liczby opłacanych żołnierzy, co stało się przyczyną nowego przerażającego zagrożenia dla bezpieczeństwa osób oraz ich majątków na ziemiach niemieckich — mowa tu o powszechnie pogardzanych lancknechtach, czyli żołnierzach najemnych.

Episod autor z tamtych czasów scharakteryzował lancknechtów jako „nowy zakon ludzi bez dusz, którzy nie szanują godności człowieka, za nic mają sprawiedliwość i przywykli do rozpusty, cudzołóstwa, obżarstwa, opilstwa, grabieży, mordów”, którzy ponadto żyją „pod wyłączną władzą szatana, ten zaś miota nimi, dokądkolwiek zechce ich posłać”. Nawet cesarz Karol V, chociaż tacy najemnicy nierzadko mu się przydawali, ganił „nieładzką tyranię” grasujących band lancknechtów, widząc w nich „większych bluźnierców i okrutników niżli Turcy”[26]. Gdy zwerbowano ich do służby, najchętniej pozostawali w obozach i sporadycznie płądrowali miejscowości na tyłach wskazanego nieprzyjaciela, dopuszczając się niezliczonych aktów przemocy na mniejszą, lokalną skalę, nie innych niż to, co w sposób mrozący krew w żyłach przedstawił XVII-wieczny autor, Hans Jakob Christoffel von Grimmelshausen w jednym z epizodów powieści *Simplicissimus*:

Zgraja żołdaków jęła wyrzynać, gotować, piec, inni zaś przebiegali dom z góry na dół. Jeszcze inni zbierali w wielkie toboły bieliznę, odzienie, najróżniejszy sprzęt domowy. Czego nie zamierzali zabrać, to niszczyli. Ten i ów wbił bagnet w słomę i siano, jakby nie starczyło zagrabionych owiec i świń. Wielu żołdaków wytrząsało pióra z pościeli i chowało w poszwach szynki. Inni umieszczali w nich mięso i wszelkie utensylia. Rozbijano też piece i tłuczono szyby, nie ostawały się ani miedziane przybory, ani żadne naczynia. Płonęły łoża, stoły, ławy, taborety. Żoldacy niszczyli wszystkie garnki i kralajnice. Jedna ze służek została tak potraktowana w stodole, że nie mogła się potem ruszać. Naszemu słudze, spętanemu na podłodze, lancknechci wetknęli w usta lejek i napoili go obrzydliwą breją pełną moczu. A później jęli torturować wieśniaków, jak gdyby przymierzali się do spalenia całej gromady czarownic[27].



Niemiecki lancknecht, czyli najemny żołnierz (ok. roku 1550).

W latach pokoju wcale nie działo się lepiej. Będąc bez zajęcia i nie otrzymując żołdu (to zdarzało się często), niektóre grupy takich przeważnie młodych jeszcze mężczyzn przetrzebiały wsie w poszukiwaniu żywności, alkoholu i kobiet (niekoniecznie w tej właśnie kolejności). Bywało, że dołączali do nich zbiegowie ze służby albo z terminu (w Anglii nazywano ich: *ronnegates*), jak i zadłużeni mężowie, którzy porzucali swe żony, banici z kryminalną przeszłością i inni włóczędzy, a utrzymywali się ci — zdolni przecież do pracy zarobkowej — żebracy głównie dzięki jałmużnom, jakie im się trafiały, i drobnym kradzieżom. Część przejawiała większą agresywność, nie wahała się terroryzować rolników, innych mieszkańców wiosek i podróżyńych tą samą *Plackerei*, która była zajęciem zbójców szlacheckiego pochodzenia i zawodowych bandytów. Różnica między zbieraczami haraczu i zbójcami działającymi stale a tymi, którzy uprawiali taki proceder od czasu do czasu, nie miała oczywiście żadnego znaczenia dla licznych ofiar — tak było choćby w przypadku dwóch zawodowych złodziei, których wychłostał dorosły już Frantz Schmidt: razem z kompanami (wśród nich znaleźli się żebrzący najemnicy) „wymusili oni na trzech młynarskich rodzinach przekazanie pewnych dóbr i poddali [je] torturom, po czym zabrali kilka toporów i pistoletów” [28].

Spośród wielu przestępstw kojarzonych ze zbójceckimi bardami i inną grasującą łobuzerią wyróżnia się jedno, które mieszkańców wsi przerażało najbardziej: podpalenia. Na długo przed pojawieniem się straży pożarnej i ubezpieczeń sam ten wyraz rozpałał emocje. Wystarczyła jedna umieszczona przemyślnie pochodnia, żeby całe obejście albo i całą wioskę strawił ogień, a mieszkańcy, którzy dotąd żyli dostatnio, w ciągu niespełna godziny zmieniali się w bezdomnych żebraków. Samą groźbę podpalenia czyjegoś domu lub stodoły — często wypowiedaną przez tych, co chcieli wymuszać — uważano za równorzędną wobec takiego

czynu i karano jednakowo: palono sprawców żywcem na stosach. Niektóre bandy — złożone z „podpalaczy-morderców” — miały się doskonale dzięki haraczom od właścicieli gospodarstw i innych wieśniaków, którym groziły[29]. Na wsi niemieckiej szerzył się, a jakże, strach przed podpaleniem przez zawodowców, ale większość umyślnych podpażeń domów była ubocznym wytworem lokalnych waśni prywatnych osób oraz prób odwetu i czasem poprzedzano te sztuczne pożary wymalowaniem — gwoli ostrzeżenia — czerwonego kura na murze lub przybiciem „zapowiedzi pożogi” do frontowych drzwi. W wielkich miastach, w porównaniu ze średniowieczem, nie nastąpił na ogół żaden godny uwagi postęp pod względem ochrony przeciwpożarowej, a wiejskie domy i stodoły nie były wcale chronione. Na składki ubezpieczeniowe pozwalali sobie tylko najzamożniejsi kupcy i wypłacane im sumy pokrywały tylko wartość towaru „w tranzycie”. Czy to naturalne, czy prowokowane, pożary domów i stodoł rujnowały finansowo wszystkie rodziny, którym czegoś takiego przyszło doświadczyć.



Samotny domokrażca pada ofiarą zbójców, którzy przygotowali na niego zasadzkę. Autorem tego obrazu, namalowanego ok. roku 1585, był Lucas I. van Valkenborch.

Osaczani przez tyle niebezpieczeństw, o których była już mowa, ludzie tamtej epoki,

czasów Frantza Schmidta, obawiali się jeszcze jednego zagrożenia — niewidzialnego, pozostającego w ukryciu. Doskwierał im strach przed duchami, mogącymi wyrządzić krzywdę czarownicami, wilkołakami, demonami i innymi nadprzyrodzonymi istotami, osiadłymi ponoć na polach, w lasach, wzdłuż gościńców i w przewodach kominowych. Religijni reformatorzy, założyciele rozmaitych sekt daremnie starali się wypenić takie starodawne wierzenia, ale równocześnie budzili jeszcze powszechniejszy lęk, ostrzegając przed większym, ich zdaniem, nadprzyrodzonym zagrożeniem ze strony iście szatańskiego spisku, który, jak twierdzili, został podówczas uknuty. Widmo czarów straszło i za życia Frantza Schmidta, z tragicznymi często następstwami w świecie rzeczywistym, które znamy dziś jako ogólnoeuropejskie polowanie na czarownice w latach 1550-1650 r., zakończone dla co najmniej 60 tysięcy ofiar wyrokiem skazującym i egzekucją.

Kogoż można było prosić o ochronę i pocieszenie na tym padole płaczu? Członkowie najbliższej rodziny i przyjaciele — typowi wybawcy od okrucieństw doczesnego życia — potrafili czasem pomóc przetrwać nieszczęście, ale mało czemu mogli zapobiec. Popularnym wśród ludu uzdrowicielom, zwanym po angielsku „przebiegłymi” (*cunning people*), balwierzom, aptekarzom i akuszerkom udawało się sporadycznie przynieść komuś ulgę, uśmierzyć ból albo zasklepić ranę, wszyscy oni pozostawali jednak bezradni w obliczu poważniejszych chorób i większości niebezpieczeństw, które wiązały się i wiążą z rodzeniem dzieci. Postacią rzadko spotykaną był w tamtych czasach medyk (dzisiaj nazwalibyśmy go lekarzem specjalistą), który kazał sobie słono płacić, a umiał tyle, na ile pozwalał ówczesny stan medycyny. Astrologowie i inni wróżbici dawali strapionym duszom częściowe poczucie kontroli nad własnym losem, sugerując, że to i owo jest im już pisane, ale oni także nie mogli w żaden sposób ustrzec przed zagrożeniami ówczesnego świata.

Nadal wielce przydatnym źródłem głębokich przemyśleń była religia, która po swojemu objaśniała losowe niepowodzenia i potrafiła podpowiedzieć — ponoć skutecznie — sposoby przeciwdziałania złu. W publikowanych w latach 20. i następnych dekadach XVI stulecia pismach Marcina Lutra i innych protestantów znajdujemy wywody, które obalały „zabobonny” rytuał ustrzegający, ale zarazem potwierdzenia powszechnej wiary w taki zgodny z moralnością wszechświat, w którym nic nie jest dziełem przypadku. Klęski żywiołowe i epidemie interpretuje się tam zazwyczaj jako znaki Bożego niezadowolenia czy nawet gniewu, choć nie zawsze wiadomo, co mogło ten gniew spowodować. Niektórzy teologowie i kronikarze uznali za katalizator takiej reakcji pewne przejawy okrucieństwa nieukaranego — czyn kazirodczy lub dzieciobójstwo. Kiedy indziej zbiorowe cierpienie otrzymuje wykładnię dotyczącą ogółu: zostaje objaśnione jako Boże wezwanie do skruchy. U Lutra, Jana Kalwina i wielu innych wczesnych protestantów stykamy się z apokaliptycznym przeświadczeniem o tym, że przyszło im żyć w dniach ostatnich i że doczesna męka wkrótce dobiegnie końca. I oczywiście w żadnym objaśnieniu klęski żywiołowej nie może zabraknąć wzmianki o szatanie i jego pomocnikach: czasem można przeczytać o gradobiciach za sprawą czarownic, ale zdarzają się też opowieści o demonach, które przekazują zbrodniarzom nadprzyrodzoną moc.

Najpowszechniej stosowaną ochroną przed różnymi „aniołami śmierci” była zwyczajna modlitwa. I dawniej rozbrzmiewał odwieczny zbiorowy śpiew chrześcijan: „Od zarazy, głodu i wojny zachowaj nas, Panie![\[30\]](#)”. Błagalne modły do Chrystusa, Maryi, poszczególnych świętych — gwoli ustrzeżenia przed tym czy innym konkretnym niebezpieczeństwem — pozostawały praktyką rozpowszechnioną w całej drugiej połowie XVI stulecia, także wśród protestantów, którzy formalnie odrzucali wszelką nadprzyrodzoną interwencję oprócz Chrystusowej. Zdaniem wielu osób wierzących dodatkową ochronę w obliczu niebezpieczeństw naturalnych i ponadnaturalnych zapewniały magiczne talizmany — kamienie szlachetne,

kryształy, drewniane artefakty — oraz rozmaite przedmioty quasi-religijne, znane katolikom jako sakramentalne: woda święcona, hostia w postaci konsekrowanych komunikantów, medaliki z wizerunkami świętych, poświęcone gromnice i dzwonki, a także relikwie, które uznaje się za święte, że wspomnimy o rzekomym fragmencie kości lub innej części ciała osoby kanonizowanej bądź należącej do Świętej Rodziny. Odmienne w charakterze, bo o wyraźniejszym przeznaczeniu magicznym amulety, proszki, napoje — niektóre objęte oficjalnym zakazem — miały zapewnić powrót do zdrowia czy ochronę przed nieprzyjaciółmi. Służyło to wszystko właściwie pocieszeniu siebie samych, dodaniu sobie otuchy, nie spieszymy się więc negować skuteczności takich remediów. Wiara w życie pozagrobowe, w to, że ludzie pełni cnót, którzy tutaj cierpią, tam doczekają się nagrody, a zło zostanie ukarane, była zapewne dodatkową pociechą, ale niestety najsilniejsza nawet wiara nie wystarczała, żeby zapobiec katastrofie.

Zewsząd zagrożeni, Frantz Schmidt i współcześni mu ludzie byli spragnieni choćby takiego poczucia bezpieczeństwa i ładu, jakiego mogli się spodziewać. Tegoż pragnęły i to starały się zapewnić władze świeckie: cesarz, udziałni książęta, magnaci, którzy rządili w miastach o odrębnej państwowości. Paternalizm tej elity nie miał nic wspólnego z postawą altruistyczną — *ex definitione* zależało owym ludziom na poszerzaniu zasięgu posiadanej władzy, ale ich troska o bezpieczeństwo i dobrobyt ogółu była zazwyczaj autentyczna. Swoimi zabiegami o złagodzenie skutków trzęsień ziemi, powodzi, kłęski głodu oraz różnych epidemii w jakiejś, choćby niewielkiej mierze pomagali ofiarom. A jednak nawet najambitniejsze działania na rzecz higieny w życiu społecznym przynosiły mizerny efekt, dopóki nie nastąpiła właściwa era nowożytna. Ogłaszane na przykład kwarantanny na czas epidemii (praktykowało to wiele rządów) nieco spowalniały szerzenie się zarazy, podobnie jak lepsza organizacja wywozu śmieci i eliminowania odpadów, ale ucieczka z obszarów miejskich, gdy wybuchały epidemie, pozostawała najskuteczniejszym środkiem zaradczym dla tych, którzy mogli sobie na taki wyjazd pozwolić.

Z drugiej strony, wymiar sprawiedliwości był w oczach rządzących czymś, dzięki czemu mogli oni demonstrować własną umiejętność radzenia sobie z przemocą i sprawiać, że wszyscy mieszkańcy czuli się mniej lub bardziej bezpieczni. Co więcej, ściganie przestępców przysparzało uznania, poszerzając zasięg władzy tych osób świeckich, które sprawowały rządy. Frantz Schmidt i ludzie mu współcześni byli konsekwentni w manifestowaniu wspólnej im, paradoksalnej postawy wobec przemy, wokół nich. Tak jak się spodziewamy, ludzie, którzy z rezygnacją przyjmowali wielokrotne ataki nieuchronnych kłęsk żywiołowych i chorób, nie mniej fatalistycznie reagowali na przemoc ze strony bliźnich. A równocześnie rosnące aspiracje przywódców politycznych do tłumienia takiej przemy, albo przynajmniej surowego karania za tę agresję, niewątpliwie pozwalały ogółowi ufnie oczekiwać czegoś więcej. Gdy przedstawiciele władzy sądowniczej zaczęli odradzać osobom pokrzywdzonym prywatny odwet i namawiać do tego, by zwracano się do nich właśnie, by szukano sprawiedliwości w sądach, zaskoczyła ich zapewne ogromna liczba petycji oraz oskarżeń, które napływały do wszystkich kancelarii. Prośby o interwencje organów władzy były związane ze skargami na stan nienaprawianych dróg i wywóz śmieci, sugerowały ukrócenie natarczywości agresywnych żebraków i rozwydrzenia dzieci ulicy oraz piętnowały niegodziwe albo i karalne czyny sąsiadów. Wyraźniejsza dominacja, na której zależało ambitnym przywódcom, miała swoją wysoką cenę, jako że trzeba było wsłuchiwać się w głosy poddanych i dostarczać widocznych dowodów na to, że ludzie szlachnie dali wiarę oficjalnym obietnicom.

Tak więc fachowy kat okazywał się nieodzownym pośrednikiem elit rządzących w łagodzeniu strachu poddanych przed bezprawnymi atakami i budowaniu iluzorycznego

przeświadczenia o sprawiedliwości na użytek społeczeństwa, w którym każdy wiedział, że ogromna większość niebezpiecznych przestępców nigdy nie zostanie schwytana i uniknie kary. Zrytualizowana przemoc, którą w imieniu społeczeństwa realizował kat, miała cztery aspekty: 1) służyła pomstwie ofiar, 2) kładła kres zagrożeniu ze strony niebezpiecznych złoczyńców, 3) odstraszała i 4) zapobiegała dalszym aktom przemocy, na które byłoby stać rozgniewanych krewnych albo skory do linczu motłoch. Bez starannie wyreżyserowanych, ostentacyjnych i często brutalnych potwierdzeń majestatu władzy administracyjnej „miecz sprawiedliwości” pozostawałby częścią metaforą, z czego świeccy władcy zdawali sobie sprawę, świadomi zarazem i tego, że nie przywiązywano by wagi do arbitralnego odgrywania przez nich roli gwarantów bezpieczeństwa ogółu. Jako przedstawiciel tych, którzy dzierżyli władzę, kat podejmował niewolne od ryzyka działania służące pozorowaniu ładu i sprawiedliwości, które sprowadzały się do fizycznej agresji oraz do zabijania innych ludzi. Ambitny mistrz tej ostatniej sztuki — był nim Frantz Schmidt — musiał przekonywać ewentualnych pracodawców nie tylko do własnych umiejętności technicznych, ale także do tego, że potrafiłby zachować spokój i obojętność nawet w sytuacji wywołującej szczególnie silne emocje. Postawiony tak młodemu człowiekowi cel — właśnie owo zachowanie spokoju — mógł onieśmielić, ale zarówno mistrz Heinrich, jak i jego uczeń dążyli doń ze szczególną, niezmienną determinacją.

Ojcowski wstyd

Względna tolerancja ze strony lokalnej społeczności, okazywana Heinrichowi Schmidtowi i jego rodzinie wiosną 1573 r., była świeżej daty i wcale niekoniecznie pewna na dłużej. Już w wiekach średnich darzono zawodowych katów powszechną niechęcią, jako że widziano w nich ludzi, którzy dla pieniędzy gotowi byli zabijać z zimną krwią, toteż stale wykluczani byli z grona osób godnych szacunku. Większość musiała mieszkać poza miejskimi murami albo — jeśli w granicach miast — w budynkach wcześniej „skażonych”, przeważnie na terenie istniejących rzeźni albo leprozoriów. Ograniczenia prawne również dawały się katom we znaki: żaden z nich (i nikt z najbliższej rodziny) nie mógł zostać obywatelem, wstąpić do cechu, piastować publicznego urzędu, być opiekunem prawnym lub świadkiem w procesie sądowym ani nawet sporządzić testamentu, który miałby moc prawną. Aż do końca XV stulecia prawo nie chroniło tych ludzi z marginesu przed gniewem motłochu w przypadku niefachowej egzekucji; wściekłej gapię ukamienowali kilku katów. W większości miast zabraniano tym „mieszczanom” — bo tak byli pogardliwie [\[31\]](#) określani — wstępu do kościołów. A jeżeli kat zapragnął chrztu dla swojego dziecka lub ostatniego namaszczenia dla kogoś umierającego w rodzinie, spełnienie prośby zależało od tego, czy — czasem wcale nieskory do okazania współczucia — ksiądz albo pastor zechce odwiedzić „nieczyste” mieszkanie. Kaci nie mogli też bywać w łaźniach, gospodach i innych ogólnodostępnych budynkach. Mało tego — nie zdarzyło się, by kat został wpuszczony do domu osoby powszechnie szanowanej. W czasach Frantza Schmidta strach przed społecznym pokalaniem przez dotknięcie ręki kata był tak wielki, że w rozumieniu ludzi godnych szacunku nawet przypadkowy kontakt oznaczał zachwianie podstawami egzystencji. W ówczesnym folklorze roilo się od powieści o nieszczęściach, jakie spadały na łamiących to starodawne tabu, ale też o pięknych wyklętych pannach, którym śmierć była miłsza niż posłubienie starającego się o ich rękę kata [\[32\]](#).

Przyczyna tego głębokiego lęku jest oczywista, wszak katowskie rzemiosło budziło odrazę. Jeszcze dzisiaj w wielu społecznościach przywiązanych do tradycji bezpośredni kontakt ze

zwłokami stygmatyzuje. Na początku ery nowożytnej zawody uważane w Niemczech za takie, które skazywały na „infamię”, wykonywali więc nie tylko kaci, lecz również garbarze, garbarze i rzeźnicy^[33]. W powszechnej opinii kat był także niemoralnym najemnikiem, a takich wykluczano z „przypożytych” społeczności — podobnie jak włóczęgów, prostytutki, złodziei, Cyganów i Żydów. Ludzie tamtych czasów, a nawet uczeni z tej epoki wyznawali pogląd, że każdy, kto ima się tak niecznego zajęcia, sam musi być złoczyńcą — chociaż dowody istnienia tej korelacji nie przekonywały. Zakładano również, iż osoby zmarginalizowane przez lokalne społeczności przysły na świat jako dzieci nieślubne, przy czym często zanikała różnica między pochodzeniem z nieprawego łoża (*unehelich*) a zajęciem niegodziwym (*unehrlich*), toteż nawet w oficjalnych dokumentach pojawiał się sporadycznie „kat-syn ładaczniczy”^[34].

Nie zaskakuje to, że kaci i inni niegodziwcy trzymali się razem i w życiu zawodowym, i w kontaktach towarzyskich. Na obszarze całego cesarstwa powstawały katowskie dynastie, których fundamentami były, po pierwsze, społeczna marginalizacja; po wtóre, strategiczne małżeństwa we własnych środowiskach. Zdarzało się, że ta i owa rodzina nosiła złowieszcze nazwisko, na przykład Leichnam („trup”). Sławę zyskiwano na ogół u kolegów po fachu — można to powiedzieć o południowoniemieckich rodzinach Brandów, Fahnarów, Fuchów i Schwarzów^[35]. Z pokolenia na pokolenie powtarzał się w tych skoliagaonych rodzinach po części podobny rytuał inicjacyjny oraz inne oznaki tożsamości korporacyjnej, wzorowane na rzemiosłach „zaszczytnych”, takich jak złotnictwo czy piekarstwo. Biorąc przykład z tych czcigodnych rzemieślników, którzy ich odrzucali, kaci stworzyli profesjonalne sieci powiązań, dbali o kształcenie nowych adeptów i starali się zapewnić synom lukratywne zatrudnienie w zawodzie.

W tamtym momencie ambicje Heinricha Schmidta dotyczące przyszłości syna były jednak znacznie większe niż te, które chcieliby ujawniać w rozmowach poza domem. Zależało im obu na tym, by zdjąć z rodziny klątwę skazującą ich samych i całe późniejsze potomstwo na marny los katów — wazyli się marzyć o awansie społecznym, który przy ówczesnym sztywnym podziale kastowym był właściwie niewyobrażalny. Utajoną przyczynę pohańbienia rodziny — historię przekazaną synowi przez ojca — ujawnił szerszemu kręgowi zainteresowanych dopiero w podeszłym wieku mistrz Frantz. Ale w tamtym dniu, gdy młody Frantz uniósł miecz nad wystraszoną i zabląkaną psem, ów głęboko skrywany wstyd był dla tego adepta świeżym jeszcze piętnem.

Aż do jesieni 1553 r. ojciec Frantza, Heinrich Schmidt, żył wygodnie, jako człowiek szanowany, leśnik i łowca ptactwa, w mieście Hof w marchii Brandenburg-Kulmbach, rządzonej przez niepośledniej rangi frankońskiego magnata. Schmidt i jego najbliżsi przetrwali (mieli się wtedy niezgorzej) kilka lat zamętu spowodowanego przez ekspansjonistyczne ambicje młodego władcy, urodzonego w 1522 r. Albrechta II Alcybiadesa, znanego ogółowi jako *Bellator* (wojownik). Nie inaczej niż jego ateński imiennik, Albrecht Alcybiades niejedną raz opowiadał się to za jednym, to za drugim, póki — w latach 40. i 50. — trwały właśnie religijne, i w końcu zraził do siebie zarówno katolickich, jak i protestanckich władców niemieckich państewek swoimi barbarzyńskimi najazdami na ich terytoria. Całkiem niedawno agresja i dwulicowość Wojownika sprzymierzyła przeciw niemu nawet protestanckie wojska Norymbergi, Czech i Brunszwiku z katolickimi wojskami dwóch książąt-biskupów: bamberskiego i würzburskiego — w toku konfliktu, który nazwano później drugą wojną margrabiowską. Kulminacją niezamierzonego ekumenizmu Albrechta stał się wspólny najazd na jego ziemię, włącznie z obleganiem licznych twierdz, między innymi miasta Hof.

Wokół Hofu, jednego z lepiej ufortyfikowanych miast marchii, wznosiły się kamienne mury o wysokości przeszło trzy i pół metra i prawie metrowej grubości. Gdy 1 sierpnia 1553 r.

rozpoczęło się oblężenie, sam margrabia nie był tam obecny, ale niespełna 600 osób z miejscowego oddziału samoobrony potrafiło przez ponad trzy tygodnie stawiać opór co najmniej 13-tysięcznej armii, póki nie nadszedł list Albrechta z wiadomością o będących już w drodze posiłkach. Do obiecanej odsieczy jednak nie doszło i po czterech kolejnych tygodniach codziennego bombardowania, wdzierania się do twierdzy i powszechnego głodu udręczone miasto skapitulowało. Okupacja, która po niej nastąpiła, okazała się łagodna. Mimo to zdobywcom przyszło wymóc na rozeźlonych obywatelach należyte powitanie suwerena, gdy 12 października w końcu wjechał do miasta w asyście 60 panów szlachty. Od jego powrotu minęło zaledwie kilka tygodni, a już udało mu się całkowicie zniechęcić do siebie pełnych żalu poddanych i co gorsza na nowo rozniecić wojnę ze zwycięską armią, która nadal stała obozem poza murami miasta. Ta szaleńcza kampania miała katastrofalny finał: nastąpiła o wiele surowsza okupacja Hofu, a sam margrabia musiał uciekać z miasta. Z woli cesarza uznany za osobę wyjętą spod prawa Albrecht błąkał się przez cztery lata po Francji, gdzie zmarł w 1557 r. w wieku 45 lat. Spora część marchii zdążyła popaść w ruinę, a dawni poddani przeklinali go, mocno rozgoryczeni.



Margraf Albrecht Alcibiades.

Znienawidzony powszechnie Albrecht Alcibiades, władca marchii Brandenburg-Kulmbach, który przebywając w Hofie, skazał rodzinę Schmidtów na pohańbienie (portret powstał ok. roku 1550).

Heinrich Schmidt i jego syn mieli powód do jeszcze większego i dłuższego żalu niż ten, który odczuwali wobec okrytego hańbą suwerena pozostali mieszkańcy Hofu. Nieszczęście spotkało Schmidtów w poniedziałek, 16 października 1553 r., gdy od powrotu Albrechta

Alycbiadesa ze swiata do zniszczonego Hofu minely zaledwie trzy dni. Podobnie jak innych niemieckich miast tej wielkosci, Hofu nie bylo stac na etatowego kusa. Ale kiedy otoczony powieczna pogarda Albrecht kazal aresztowac trzech miejscowych rzusznikarzy pod zarzutem przygotowywania zamachu na jego zycie, nie sprowadzil on jak zwykle wędrownego fachowca, aby wykonal egzekucje, lecz powodowany zaciekloscia nawiązal do starodawnego zwyczaju, który pozwalal zlecić natychmiastowe wykonanie wyroku komukolwiek spośród swiadków uwięzienia. Człowiekiem w tak straszliwy sposób wyróżnionym okazal się Heinrich Schmidt. Jako że przedtem był szanowanym obywatelem Hofu, w gorących słowach starał się wyjaśnić margrabiemu, że wykonanie egzekucji skaże jego, Schmidta, i wszystkich potomków na infamie — niestety daremnie. 70-letni Frantz napisal: „[Margrabia] zagrozil, że jezeli ojciec nie zastosuje się, to zawiśnie razem z dwoma męzczyznami stojącymi obok”.

Dlaczego tamto komunalne zlecenie spadło na niewinnego leśnika? Odpowiedz kryje się w innej historii, którą Frantz postanowil ujawnic dopiero pod koniec zycia — w dziwacznej i wręcz nieprawdopodobnej historii kłótni o psa. Na kilka lat przed fatalną konfrontacją Heinricha z Albrechtem Alycbiadesem dziadek Frantza, krawiec Peter Schmidt, zostal poproszony o zgodę na poslubienie córki przez wędrownego tkacza z Turynii. Ozenek doszedł do skutku i mloda para osiadla na niewielkim gospodarstwie w poblizu Hofu. Pewnego dnia, kiedy tkacz (Günther Bergner, jak po kilkudziesięciu latach przypomniäl Frantz) spacerowal po stolicy, padl go duzy pies. W zlosci Bergner podniösl psa i rzucil nim w stronę właściciela, łowcy jeleni, którego „na swoje i nasze nieszczęście” — jak wspominal potem Frantz — zabil. Chociaz nie postawiono tkacza w stan oskarzenia, odsadzono go od czci i wiary, i nie byl juz dopuszczany do wykonywania jakiegokolwiek zawodu. „Poniewaz nikt nie chcial miec do czynienia z tym człowiekiem, z rozpaczy i smutku zostal katem”. Teś, Peter Schmidt, uniknäl chyba hanby, skoro nadal pracowal w Hofie jako krawiec. Ale po kilku latach, gdy lędkliwy margrabia poszukiwal kogos, kto möglby poslac na tamten swiat domniemanych zamachowców, niegodziwe zajecie szwagra Heinricha Schmidta, Bergnera (którego pewnie nie można bylo zatrudnic), przypieczetowalo wybor nowego kata[36].

Jak przepowiedzial Schmidt, ledwo zastosowal się on do rozkazu Albrechta, zostal razem z rodzina bezlitośnie i nieodwoalnie wykluczony z godnej szacunku spolecznosci przez własnych sąsiadów i dawnych przyjaciół, na wszystkich Schmidtów spadlo bowiem odium dwojakie — za sprawą odradzajacego zajęcia Heinricha i jego uleglosci wobec tyrana, który zaslužyl sobie na ludzką nienawisc. Aby uniknac dalszej nieslawy, Heinrich Schmidt mögl w innym odleglym mieście rozpocząc razem z rodzina nowe zycie. Wolal jednak pozostac w domu przodków i zarabiac na utrzymanie tym jedynym zajęciami, które wchodzilo teraz w rachubę. Tak powstala kolejna katowska dynastia, nie istniälaby ona jednak dlugo, gdyby powiödl się plan Heinricha, zaaprobowany pózniej przez jego syna, Frantza.

Ten ostatni przyszedl na swiat po kilku miesiacach od dramatycznej i fatalnej odmiany ojcowskiego losu, na przełomie 1553 i 1554 roku[37]. Miasto Hof, jakie Frantz poznal w dzieciństwie i latach dorastania, pozostawalo zamkniętym swiatem dla co najwyzej 1000 mieszkanców, tym bardziej odizolowanym i niezmiennym pod wzgledem spolecznym, że miälo kresowe polozenie. Region, który otaczal to miasto nad Solawä, nazywany pózniej Syberią BawarskÄ, spowijaly geste wielowiekowe skupiska leśne i wnosily się nad nim szczyty görskie o wysokosci do 1000 metrów. Długie, srogie zimy oraz gleba pełna kredy i zelaza utrudniäl rolnictwo. W samym mieście przewazaly taktwo i kilka innych zajęc włókienniczych, w okolicznych wsiach natomiast — hodowla bydla i owczarstwo. Od wieków źródłem bogactwa bylo takze görnictwo, przy czym za czasów Frantza Schmidta wydobywano tam zloto, srebro, rudę zelaza, miedz, cyne, granit i krysztal[38].



Miasto Hof widziane od wschodu (ok. roku 1550).

Hof był miastem na pograniczu kultur. Z punktu widzenia mieszkańców Turynгии i Saksonii leżał na kresach południowych; Frankończycy kojarzyli Hof ze swoimi kresami północnymi. Położone nieco na zachód od granicy z Czechami, miasto to kształtowało się dzięki szczególnemu przemieszaniu kultury słowiańskiej i niemieckiej; w roku 1430 zostało splądrowane przez husytów, radykalnych zwolenników Jana Husa, reformatora religii, który zginął śmiercią męczeńską. Tożsamość regionalną Hofu wiązano najczęściej z Vogtlandią. W XVI stuleciu kraina ta, o nazwie upamiętniającej cesarskich wójtów (*Vögte*), była już raczej niezbyt klarownym konstruktem kulturowym niż jednostką terytorialną o znaczeniu politycznym i znana była przede wszystkim ze swego dialektu, kiełbasek i wyjątkowo mocnego piwa. Dopiero znacznie później XIX-wieczni nacjonaliści dostrzegli w malowniczym i pierwotnym krajobrazie Vogtlandii archetyp pragermańskiej puszczy, region pełen piękna i dzikiego, i poddane pewnej idealizacji. W przypadku dotkniętej ostracyzmem rodziny Schmidtów geograficzne oddalenie Hofu pogłębiało tylko ich własną izolację duchową, przyprawiając o jeszcze boleśniejszą apatię.

Przyczyna tego, że Heinrich Schmidt pozostał tam po swojej klęsce życiowej, nie jest jasna. Wiadomo jedynie, że polityczne następstwa katastrofalnych rządów Albrechta Alcibiadesa ułatwiły wykonywanie narzuconego zawodu. Po śmierci Albrechta w 1557 r. władzę nad marchią Brandenburg-Kulmbach objął jego kuzyn Jerzy Fryderyk, który wcześniej panował w sąsiednim państewku o nazwie Brandenburg-Ansbach. Nowy pan stołecznego Hofu był przeciwieństwem porywczego krewniaka, człowiekiem statecznym i ostrożnym. W miejscowej kronice Enocha Widmanna czytamy o tym, że owej jesieni nastąpił cud, jako że zakwitły drzewa w mieście, i był to znak nie mniej przekonujący aniżeli trzęsienie ziemi przed brzemieniami w skutki szaleństwami Albrechta[39]. Rezydując w pobliskim Bayreuth, margrabia Jerzy Fryderyk natychmiast przystąpił do odbudowy Hofu i innych zdewastowanych miast, a równocześnie zadbał o lepsze stosunki dwustronne z państewkami ościennymi. Zainicjował także gruntowne reformy finansowe i prawne, a ich początkiem były nowe regulaminy dla policji oraz dekrety dotyczące ścigania przestępców. Rychno zaowocowało to znacznie większą liczbą i szybszym tempem postępowań prokuratorskich. W ciągu 12 miesięcy, do maja 1560 r., Heinrich Schmidt, nowy kat na służbie u margrabiego, musiał wykonać aż

osiem egzekucji w samym tylko Hofie i okolicy[40].

Była to więc służba na tyle stabilna, że zapewniała regularny dochód, uzupełniany dzięki egzekucjom na zlecenie innych osób i dzięki tradycyjnemu dla katów zajęciu ubocznemu, czyli zasklepianiu ran. Heinrich Schmidt nie miał jednak żadnych szans na to, by zarządzić w Hofie wykluczeniu jego rodziny z lokalnej społeczności. Co najmniej dwukrotnie ubiegał się o posadę kata gdzie indziej, ale dopiero w roku 1572, gdy Frantz liczył sobie lat 18, znalazł się wreszcie w Bambergu jako kat przyjęty do pracy przez księcia-biskupa i był to niebagatelny awans[41]. Mając za sobą bez mała 20 lat ignorowania przez dawnych przyjaciół i sąsiadów, Schmidtowie mogli w końcu wyostać się z prowincjalnego Hofu, chociaż nadal nękały ich bolesne wspomnienia i hańbieńca rodzinną spuścizna.

Diecezja (później: archidiecezja) bamsberska była jedną z najstarszych prowincji kościelnych w cesarstwie i sprawowanie tam rządów zapewniało ordynariuszom wielki prestiż. Na rok 1572 przypadło czterechsetlecie połączenia władzy świeckiej z duchowną i pomimo znacznych strat w poprzednich czterech dekadach — na rzecz reformacji — tamtejsi książęta-biskupowie nadal posiadali ponad sześć i pół tysiąca kilometrów jako terytorium diecezji oraz władzę nad niemal 150 tysiącami poddanych. Zarządzanie tym księstwem-biskupstwem było zgoła prestiżowe i budziło powszechny podziw — zwłaszcza za ściganie przestępstw na podstawie ogłoszonego w 1507 r. kodeksu zwanego *Codex Bambergensis*, który wywarł potem ogromny wpływ na prawodawstwo[42]. Biskup Veit II von Würzburg, nowy chlebobawca Heinricha Schmidta, znany był swoim poddanym bardziej z nakładania wysokich podatków, ale tak czy inaczej nad nowym katem i innymi przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości władzę sprawował wicekanclerz. Kiedy Heinrich Schmidt pojawił się w sierpniu 1572 r. w posiadającym katedrę Bambergu, aby podjąć tam służbę, był to dla niego nie lada sukces osobisty i zawodowy.

Rodzina Schmidtów żyła w nowym mieście dostatnio, na co pozwalały spory roczny dochód, przeciętnie 50 florenów — tyle zarabiali pastor i nauczyciel — oraz gratyfikacje uzyskiwane przez mistrza Heinricha jako pracownika municypalnego[43]. Dopóki Heinrich służył biskupowi, za przestronny dom na półwyspie w północno-wschodniej części miasta, znanej dzisiaj jako Mała Wenecja, nie musiał płacić czynszu. Gdy rodzina pod koniec lata 1572 r. znalazła się w Bambergu, władze miejskie przystąpiły do gruntownej renowacji, a także rozbudowy domu wedle wskazówek Heinricha[44]. Wprawdzie oczekiwano, że razem ze Schmidtam zamieszka tam Hans Reinschmidt, katowski pomocnik (znany w Bambergu jako *Peinlein*, „gnębiiciel”), ale że Frantz był ostatnim dzieckiem, które nadal pozostawało w domu, rodzina żywiła jednak nadzieję na nieco prywatności.

Mimo że nadal niezadowolająca, pozycja Schmidtów w tym mieście mniej im doskwierała aniżeli w mniejszej społeczności Hofu. Bamberg był wtedy miastem dosyć kosmopolitycznym, blisko 10-tysięcznym i — zresztą po dziś dzień — znanym głównie dzięki wspaniałej katedrze z XIII stulecia i obfitości palonego piwa o niepowtarzalnym smaku. Mieszkańcy z dumą porównywali siedem majestacyjnych wzgórz, uwieńczonych tyłoma różniącymi się kościołami, do siedmiu wzgórz Wiecznego Miasta. Nowe miejsce pobytu rodziny zapewniało jej, przynajmniej teoretycznie, o wiele większą anonimowość na ulicach i targowiskach niż prowincjonalny Hof i chyba także pewną akceptację ze strony sąsiadów. Niektóre kościoły w miastach o porównywalnej wielkości pozwalały katom na posiadanie własnych ławek, a kilka gospód miało dla nich nawet osobne taborety — czasem trójnożne, jak szafoty[45]. Protestantkie wyznanie Schmidtów niewątpliwie stwarzało dodatkowe bariery w tym typowo katolickim mieście, ale raczej nie przeszkadzało ono katolickim pracodawcom Heinricha, chociaż ordynariusz tej diecezji opowiedział się publicznie za kontrreformacją[46].

Najwymowniejszym potwierdzeniem cokolwiek lepszego (albo mniej hańbiącego) statusu

kata w owej epoce była coraz większa częstotliwość regulacji prawnych, które służyły przywracaniu „tradycyjnych wartości” i „naturalnego” ładu społecznego. Podobnie jak ustawy przeciw zbytłkowi tworzone w poprzednim stuleciu, cesarskie rozporządzenia policyjne z lat 1530 i 1548 narzuciły katom (ale także Żydom i prostytutkom) „odzienienie wyróżniające, dzięki któremu byłyby to osoby łatwo rozpoznawalne”[47]. Wiele lokalnych zarządzeń pojawiało się również jako reakcja na przekreślanie tradycyjnej separacji oraz dostrzeganą rosnącą tolerancję wobec wszystkich ludzi „odsądzonych od czci i wiary”, i nakładało wysokie grzywny albo nawet kary cielesne na tych, którzy dopuszczali się wykroczeń.

Rozpowszechniony przędz zwykle umiera powoli, zwłaszcza gdy trwają przy nim jednostki wielce zaniepokojone swoim pogarszającym się położeniem ekonomicznym i niestabilnym statusem społecznym. W drugiej połowie XVI stulecia następowała coraz wyraźniejsza globalizacja rynków — zmiana, która miała dotkliwe skutki dla tradycyjnego rzemiosła i jego wyrobów. Ale większość „biednych, a przecież uczciwych” rzemieślników nie zwróciła się w swym gniewie przeciwko nowej warstwie nadzwyczaj bogatych bankierów i kupców, lecz wołała zaatakować zamożnych, jak uważano, katów — tak był postrzegany Heinrich Schmidt — i niektórych innych ludzi (głównie Żydów), którzy ponoć zasługiwali na zaliczenie do niższej kategorii. Chcąc koniecznie zachować domniemaną „gołębią” czystość i rangę swoich grup zawodowych, niemieccy rzemieślnicy zgodnie ignorowali cesarski dekret z 1548 r., który umożliwił wstępowanie do cechów synom katów, i zabraniali swoim cechowym pobratymcom utrzymywania kontaktów z takimi rodzinami. Rzemieślnik obojętny na ten zakaz — dotyczył on także szweców, rzeźników, grabarzy, nosicieli worków i ludzi, którzy wykonywali jeszcze parę innych „haniebnych” zawodów — narażał się na ostracyzm, wykluczenie z cechu albo i coś gorszego. Pewien bazylejski rzemieślnik jakoby popełnił samobójstwo z powodu bliskiego kontaktu z miejscowym katem; inni tak samo pokalani czuli się zmuszeni do wyjazdu i zaczęli życie od nowa w innych miastach. Ten niezmienny pogląd na pozycję społeczną, związaną nade wszystko z pochodzeniem, wywierał ogromny wpływ na większość Europejczyków i mieszkańców państw niemieckich także później, doprawdy bardzo długo, właściwie aż po czasy najnowsze, kształtował mentalność i przesądzał o sposobach działania[48].

Szcześnie dla Schmidtów te mało finezyjne próby prawnej marginalizacji oraz utrudniania awansu społecznego nie miały znaczenia w codziennym życiu i przydawały się co najwyżej do uspokojenia lęklwych rzemieślników. Oto na przykład, wbrew naszym wyobrażeniom, Heinrich Schmidt, jak również później jego syn, Frantz, nie musieli nosić na służbie czy poza nią jakichkolwiek przepisowych mundurów. Nigdzie nie znajdziemy też żadnych dowodów na to, że w użyciu była stereotypowa czarna maska — wymyślona chyba przez XIX-wiecznych romantyków. W nielicznych miastach żądano od katów noszenia jaskrawych czapek — czerwonych, żółtych albo zielonych — oraz pasiastych koszul lub wyróżniających kapeluszy[49]. Ale na ilustracjach z drugiej połowy XVI wieku widzimy katów zawsze ubranych wytwornie, czasem nawet dandysów. Krótko mówiąc, ubiór nie odróżniał kata od ogółu mieszczan, przedstawicieli klasy średniej — i w tym tkwił problem rzemieślników, którzy strzegli swojego statusu.

Mała skuteczność owych regulacji prawnych nie zmieniała faktu, że nieco lepsza pozycja Schmidtów w metropolitalnym Bambergu pozostawała niepewna. Osobiste wywyższenie dzięki miejscu w społeczności i reputacji było zawsze dobrem najcenniejszym, ale bardzo delikatnym. W czasach Heinricha Schmidta zelżenie mężczyzny takimi słowami, jak „hultaj” czy „złodziej” i nazwanie kobiety „ladacznicą” albo „wiedźmą” bywało często przyczyną fizycznej agresji, a nawet zabójstw, i to wśród ludzi z różnych szczebli drabiny społecznej. Nazwanie kata „synem

ladacznicy” było obelgą rozpowszechnioną (stykamy się z nią nawet w dramatach Szekspira), a słowa „na szubienicę z tym” stanowiły najdosadniejsze potępienie wszelkich nagannych praktyk. O gorszej kondycji Schmidtów przypominano im przy okazji każdego właściwie święta (gdy odbywały się procesje) i wszelkich publicznych uroczystości, wtedy bowiem manifestowano istnienie hierarchii społecznej i pozostawanie rodziny kata poza tym układem. Podobnie jak w warunkach segregacji na tle rasowym albo jakimkolwiek innym, prawo i obyczaj nadal *explicito* wykluczały katów oraz ich rodziny z wielu zgromadzeń oraz bardzo ograniczały to środowisko pod względem możliwości edukacyjnych, zatrudnienia i znajdowania dachu nad głową, a taki stan rzeczy podtrzymywało niejedno następne pokolenie.

Najdokuczliwszym bodaj aspektem nieodłącznej stygmatyzacji zawodu Heinricha Schmidta okazywała się nieprzewidywalność jej następstw, toteż wszelkie społeczne interakcje Schmidtów z bamberskimi sąsiadami odbywały się w atmosferze niepewności i nie mogły być trwałe. Nie inaczej niż w przypadku każdego innego pojęcia, które nie ma ścisłej definicji socjologicznej (przychodzi tu na myśl dobrze znana amerykańska „klasa średnia”), możliwe są różnorakie, wybiórcze, czasem nawet złośliwe definicje katowskiego pohańbienia, zależne od osób i poszczególnych społeczności. Kupiec z Lubeki, który trafiłby do Augsburga, byłby pewnie zdumiony i tym, że tamtejszy „wieszacz” mieszka w centrum miasta, i regularnością wspólnych posiłków i libacji kata z ludźmi godnymi szacunku, jak również faktem, że ci ostatni bywają w jego domu. W innym natomiast mieście wyrażono by żal (ale raczej nie zdziwienie) z tego powodu, że małżonka kata zmarła w położu, ponieważ akuszerka nie zechciała przyjść do zajmowanego przez oboje domu. Z kolei kat, który cieszył się powszechnym poważaniem i miał ponoć „bardzo wielu przyjaciół we wsi”, został po śmierci potraktowany tak, że nikt nie pokwapił się odprowadzić jego zwłok na cmentarz [\[50\]](#).



Zamieszczona w pewnej norymberskiej kronice wizja wykonania przez Frantza Schmidta wyroku śmierci na Annie Peihelsteinin, która to egzekucja odbyła się 7 lipca 1584 r., a została chyba przedstawiona przez naocznego świadka. Na oryginalnej rycinie kat ma na sobie strój nietypowy i jaskrawy: różowe pończochy, jasnoniebieskie pludry z różowym mieszkim na genitalia, skórzaną kurtkę narzuconą na niebieski kaftan i białą koszulę pod kaftanem, przy czym owa kurtka chroniła przed rozbryzgiwaną krwią (rok 1616).

Heinrich Schmidt zdawał sobie sprawę, że ani status dobrze opłacanego urzędnika państwowego, ani też opinia o nim jako człowieku nieposzlakowanej uczciwości nie mogły mu zapewnić trwałej akceptacji, a całej rodzinie stabilnej przyszłości. Mniej lub bardziej dokuczliwe dowody upokarzania przez innych były na początku dziennym i stale przypominały o pohańbieniu. Ludzie żyjący w tych samych czasach traktowali los obu Schmidtów jako

nieuchronny. Ale mistrz Heinrich i jego nie mniej zdeterminowany syn myśleli inaczej i ufali, że z narzuconego im wstydliwego zajęcia wyniknie coś, co będzie wybawieniem dla całej rodziny.

Szansa syna

O wszelkich osobistych sukcesach przesądzają: odpowiedni moment i pewna doza szczęścia. Frantz Schmidt osiągnął dojrzałość w okresie, który dzisiejsi historycy zwą złotym katowskim wiekiem. Taka epoka nastąpiła jako kulminacja bardzo powolnej, ale głębokiej przemiany niemieckiego prawa karnego, metamorfozy, która rozciągnęła się na co najmniej dwa stulecia. Gdy istniało jeszcze Cesarstwo Rzymskie, ludy germańskie traktowały każde przestępstwo i każdą zbrodnię tak, jakby stanowiły one prywatny konflikt, możliwy do rozstrzygnięcia przez jakąś formę rekompensaty finansowej (*wergild*) albo wymierzenie zwyczajowej kary, którą byłaby na przykład utrata kończyny czy banicja. Urzędnicy państwowi, nieliczni aż po ostatnie wieki średnie, odgrywali na ogół rolę arbitrów, dbając o właściwe procedowanie tych, do których należały śledztwa, rozprawy i wyroki, czyli starszyny lub innych zaprzysiężonych osób. W takiej sytuacji główny cel działań był skromny i sprowadzał się do zapobiegania krwawym waśniom oraz długotrwałej przemocy, a bynajmniej nie do ukarania wszystkich złoczyńców, co jawiłoby się jako zamysł i dziwaczny, i nierealny. Zwykle pozwalano męskiemu krewnemu ofiary mordu na samodzielną egzekucję sprawcy; natomiast zabijanie w imieniu państwa powierzane najemnym katom albo pedlom sądowym (niższej rangi przedstawicielom organów ścigania), opłacanym *ad hoc* za każdą egzekucję z osobna[51].

Późnośredniowieczny aktywniejszy udział rządzących w karaniu za przestępstwa, porównywalny nawet z interwencjonizmem państwowym, miał dwie przyczyny, powiązane ze sobą, a przecież różne. Pierwszą była ambitniejsza definicja suwerenności, stosowana najwcześniej w zamożnych miastach-państwach, takich jak Augsburg czy Norymberga. Chcąc te aglomeracje uczynić bezpiecznymi i atrakcyjnymi ośrodkami handlu oraz wytwórczości, miejskie cechy i sprawujący władzę patrycjat zaczęły wydawać rozporządzenia, które dotyczyły wielu czynów, dawniej pozostawianych w sferze relacji prywatnych. Niektóre nowe przepisy mogą nas, żyjących dzisiaj, zdumiewać albo i razić, zwłaszcza te liczne regulacje prawne, które służyły ponoć utrzymaniu ładu społecznego, a polegały na ograniczeniach dotyczących stroju i pewnych tańców. Otóż tylko szlachlicom zezwalamo na korzystanie z mieczy i futer, podczas gdy ich żony i córki miawały wyłączne prawo do noszenia biżuterii i niektórych barwnych tkanin. Co istotniejsze, na początku XVI wieku ponad dwa tysiące niemieckich miast i innych jednostek administracyjnych uzyskało już monopol na ferowanie wyroków w sprawach najwyższej wagi, czyli pewnie do osądzania wszelkich zbrodni. Większość sądów lokalnych nadal dopuszczała prywatne rozstrzygnięcia w przypadku pomniejszych naruszeń prawa, zazdrośnie strzegąc jednak przywileju wykonywania wyroków śmierci. Lincz — kamienowanie, bicie, wieszanie złoczyńców — był zwalczany, sam bowiem stanowił przestępstwo, co więcej, takie spontaniczne działania motłochu mocno podważały autorytet, na którym zależało przedstawicielom państwa.

Oczywiście od ustanowienia nowych przepisów i zastrzegania właśnie przez państwo pewnych prerogatyw dla siebie było jeszcze daleko do realizacji, zwłaszcza w cesarstwie tak bardzo zdecentralizowanym. Pojawiło się wówczas nowe pokolenie reformatorów prawa, którzy swoimi pomysłami również przyczynili się do przemian w stanowiącym i egzekwowanym prawie karnego na ziemiach niemieckich. Ci wykształceni na uniwersytetach jurysci uświadomili

swoim bardziej zorientowanym na codzienną praktykę kolegom, którzy sprawowali władzę sądowniczą, fakt, że rosnąca liczba i złożoność nowych przepisów, jak również procedur, dowiodła nieprzystosowania dawnego aparatu orzeczniczego i stworzyła potrzebę pojawienia się — na wszystkich szczeblach — coraz liczniejszej kadry profesjonalnych funkcjonariuszy.

Ten sam sposób myślenia skłonił obdarzonych władzą sędziowską augsburskich i norymberskich mieszczan (jako pierwszych) do tego, by uznać, że dla skuteczniejszego ścigania przestępców obu miastom przydałoby się etatowi kaci z umiejętnością przesłuchiwania (i stosowania tortur), a przy tym tacy, którzy potrafiliby wykonywać egzekucje. Status kata jako stałego urzędnika oznaczał legitymację jego pracy: w teorii postawił go na równi ze skrybami i z kategorią inspektorów municypalnych, oddalił natomiast od najemnych żołnierzy, którzy „niestety upodobali sobie przelewanie ludzkiej krwi”[\[52\]](#). Dłuższy kontrakt miejskiego kata dawał ponadto lokalnym władzom poczucie względnego bezpieczeństwa i zapewniał im kontrolę nad tymi, jak zakładano, lojalnymi realizatorami wybujałych ambicji rządzącej elity. Gdy rozpoczęło się XVI stulecie, zatrudnianie katów na stałe było już — wszędzie na obszarze cesarstwa — zjawiskiem nieodwracalnym.

Całkowita przemiana pracującego sporadycznie „wieszaczka” w etatowego kata fachowca, nie inaczej niż ewolucja niemieckiego prawa i orzecznictwa karnego, dokonywała się na oczach kilku kolejnych pokoleń i w roku 1554, kiedy przyszedł na świat Frantz Schmidt, nie była jeszcze procesem zakończonym. Tu i ówdzie płacenie za każdą egzekucję z osobna przetrwało aż do XVIII wieku[\[53\]](#). Wiele mniejszych jednostek administracyjnych nie mogło sobie po prostu pozwolić na luksus posiadania etatowego kata, ale zdarzały się też takie, gdzie zgodnie ze średniowieczną tradycją powierzano wybranemu młodemu mężczyźnie z danej społeczności hańbiące zabijanie na podstawie sądowych wyroków — ten scenariusz aż nazbyt dobrze poznała rodzina Schmidtów. Nieliczne peryferyjne miejscowości trzymały się jeszcze starszego zwyczaju i prawem do odebrania życia obdarzały męskiego przedstawiciela rodziny, do której należała ofiara mordu. Nawet w większości tych niemieckich krain, gdzie w pierwszej dekadzie XVI stulecia zatrudniano katów na stałe, ściganie przestępców i wykonywanie wyroków łączono z kilkoma innymi nieprzyjemnymi zajęciami, takimi jak nadzorowanie miejskiego burdelu, wywożenie śmieci czy palenie zwłok samobójców[\[54\]](#).

W połowie XVI wieku pojawiły się jednak nowe możliwości dla zawodowych katów. Traf chciał, że dwa przyszłe miejsca zatrudnienia Frantza Schmidta, mianowicie Bamberg pod rządami ówczesnego księcia-biskupa i cesarskie miasto Norymberga, przodowały w reformowaniu egzekucji prawa karnego w Niemczech. Juryści obeznani z prawem cywilnym (rzymskim) wywarli największy wpływ na tę reformę we Frankonii, co przyniosło dwa dokumenty o wielkim znaczeniu dla późniejszego rozwoju prawodawstwa karnego: kodeks z 1507 r. o nazwie *Bambergensis*, oficjalnie określany jako *Bambergische Halsgerichtsordnung* (dosłownie „rozporządzenie dotyczące sądów gardłowych” z ewidentną koncentracją na karze głównej) oraz ustawę z roku 1532, cesarską *Constitutio Criminalis Carolina* (odnosząca się do karania za przestępstwa regulacja prawna [cesarza] Karola V), która znana była jako *Carolina*[\[55\]](#). Starsza publikacja, autorstwa frankońskiego arystokraty, barona Johanna von Schwarzenberga, stanowiła w założeniu podręcznik dla sędziów nieprofesjonalnych, którym — tak jak samemu Schwarzenbergowi — brakowało prawniczego wykształcenia, toteż powstała w Niemczech naturalnej, bez nadmiaru ozdobników stylistycznych, a autor zawarł w niej wiele wymownych drzeworytów. Mimo że nie poparto tego dzieła oficjalnie, zyskało ono sobie ogromną poczytność i było już w pierwszych 20 latach swojego istnienia kilkakrotnie wznawiane.

Carolina, niejako dojrzała wersja tamtej publikacji wydana z poparciem samego cesarza,

podobnie jak pierwowzór wyróżniała się bezpośredniością, ale jej cele polityczne były ambitniejsze. W pierwszych dziesięcioleciach XVI wieku władcy państw niemieckich i cesarz również doceniali przydatność ustabilizowanej procedury prawnej dla rządu poszczególnymi monarchiami, z wielu stron sprzeciwiano się jednak podejmowanym przez nich — opartym na prawie rzymskim — próbom kodyfikacji. *Carolina* okazała się regulacją kompromisową, mogła więc zadowolić jurystów nowatorów, których urzekła istota i spójność prawa rzymskiego, ale też konserwatywne elity władzy, niechętnie „cudzoziemskim prawom i obyczajom”, a ponadto zazdrośnie strzegące własnych prerogatyw^[56]. Chociaż „nie chcemy bynajmniej odstępować od starodawnych, zgodnych z prawem i sprawiedliwych zwyczajów elektorów, książąt udzielnych oraz każdego stanu”, autorzy *Caroliny* pragnęli narzucić różnym jednostkom administracyjnym cesarstwa rozsądne i spójne normy oraz procedury, i to z jak największym udziałem fachowych prawników. Inaczej niż dotąd *Carolina* — jako nowy kodeks — nie ograniczyła się do potępienia rozmaitych wykroczeń i uznania ich za przestępcze, lecz określiła starannie ich rozmiary i charakter, unormowała tryb aresztowania i gromadzenia dowodów, co więcej, wskazała, jak powinny procedować sądy. Celami kodyfikatorów były: klarowność i stabilna pragaematyka. A zarazem — z godnymi uwagi wyjątkami, mianowicie uprawianiem czarów i dzieciobójstwem (zaliczonymi do przestępstw najcięższych) — *Carolina* nie zmieniła zwyczajowych definicji poważnych naruszeń prawa karnego. Zachowano także wszystkie średniowieczne sposoby wykonywania egzekucji: pogrzebanie i spalenie żywcem, utopienie, poćwiartowanie.

Co najważniejsze dla młodego Frantza Schmidta, *Carolina* przejęła z kodeksu bamberskiego szczegółowe wytyczne adresowane do wszystkich funkcjonariuszy, także do osób określanych dawniej mianem *Henker* („wieszacze”), których nazywała konsekwentnie katami, stosując alternatywnie terminy: *Nachrichter* (dosłownie „sędziowie późniejsi”) i *Scharfrichter* („sędziowie mieczowi”)^[57]. Istotnym zaleceniem dokumentu była stała praca dla „osób godnych szacunku”, uzupełniana malejącymi gratyfikacjami za poszczególne rodzaje egzekucji (na pierwszych miejscach tabeli znalazły się: wleczenie za koniem i ćwiartowanie). *Carolina* zagwarantowała ponadto zawodowym katom ochronę przed prywatnym albo prawnym odwetem i narzuciła sądom publiczne potwierdzanie katowskiej nietykalności w każdej ogłoszonej sentencji wyroku. Katom okrutnym, przekupnym, ujawniającym swój brak profesjonalizmu w jakikolwiek inny sposób groziło natychmiastowe wydalenie ze służby i stosowna kara. I wreszcie, ażeby wykluczyć samowolne czy z innych względów nieusprawiedliwione używanie przemocy fizycznej, w tej nowej cesarskiej regulacji prawnej zawarto spory zasób różnych instrukcji, które wyjaśniły, jakie dowody należało uznać za wystarczającą podstawę do torturowania (w rachubę wchodziły zeznania dwóch bezstronnych świadków); jakie przestępstwa wymagały takich „specjalnych przesłuchań” (w pierwszej kolejności czarostwo i rozbój na gościach); i jak to nękanie miałyby przebiegać (wymieniono tu typowe narzędzia tortur, począwszy od najmniej bolesnego zaciskacza kciuków, który stosowano wobec kobiet)^[58].

Zapisane w *Carolinie* wyższe wymagania co do profesjonalizmu katów przekładały się zwykle na lepsze zarobki, a szerszy, społeczny wydzźwięk tego kodeksu pociągnął za sobą wręcz niewyobrażalną dla kodyfikatorów poprawę statusu Frantza Schmidta. Po ogłoszeniu kodeksu w okresie życia jednej tylko generacji zaznaczył się w całym cesarstwie ogromny wzrost liczby aresztowanych przestępców, śledztw i kar. Równie wyraźnie wzrosła liczba wykonywanych egzekucji, w porównaniu z pierwszą połową stulecia nastąpiła bowiem wyżka co najmniej stu procentowa (albo wielokrotność tejże, jeżeli statystyki ujmują wyroki na czarownice), stąd ogromny popyt na wykwalifikowanych katów. Otóż przeciętna liczba dziewięciu egzekucji

rocznie, które za życia mistrza Frantza wykonywano w 40-tysięcznej Norymberdze, była najwyższą miarą *per capita* w ośrodkach miejskich cesarstwa. Podobne dane dotyczą wielu jednostek administracyjnych, które miały liczniejsze populacje. Sam Heinrich Schmidt wykonywał średnio prawie dziesięć egzekucji rocznie, póki służył w bardziej zaludnionym bawarskim księstwie-biskupstwie, a roczna przeciętna liczba wyroków śmierci, które wykonano w jeszcze większej pobliskiej marchii Brandenburg-Ansbach, wzrosła niemal dwukrotnie w tym samym okresie [\[59\]](#).

Co przyczyniło się do tego ewidentnego nasilenia czynów przestępczych i przyrostu kar? Pewną rolę za czasów Frantza Schmidta odegrały szerzące się bezrobocie i coraz dotkliwsza inflacja — właśnie one stawały się oczywistymi powodami liczniejszych kradzieży i bardziej widocznej przemocy, pośrednio zatem i wzmożonej przestępczości. Najważniejszą przyczyną częstszego stawania ludzi przed sądem była paradoksalnie sama *Carolina*. Nowy cesarski kodeks przynosił niemało pozytywnych efektów, ale podobnie jak wiele reform przeprowadzanych ze szlachetnych pobudek, *Carolina* miała także skutki niezamierzone, które skomplikowały ówczesną sytuację na kilka bezprecedensowych sposobów. Po pierwsze, nowe regulacje prawne sprawiły, że lokalne władze stały się bardziej podatne na manipulacje ze strony mieszkańców, zgoda haniebne w przypadku polowania na czarownice — tłum albo nawet poszczególne osoby mogły żądać ścigania domniemyanych czarownic, stawiając te kobiety wobec perspektywy kary śmierci. Po drugie, wyrażona w *Carolinie* intencja wyeliminowania arbitralności i „niepotrzebnego” okrucieństwa w procedurze ścigania przestępców odniosła wręcz odwrotny skutek, co się tyczy stosowania tortur, ponoć „ostatniej szansy” osób prowadzących śledztwa. Istniały jednostki administracyjne gotowe ściśle przestrzegać tego, co w *Carolinie* odnosiło się do wymuszania zeznań torturami — przykładem jest Norymberga, Ale gdzie indziej miejscowe władze o dziwo odczytywały wieloraki wykładem i ograniczenia, które w cesarskim kodeksie dotyczyły należytego toku „specjalnych przesłuchań”, jako przyzwolenie uczonych w prawie na przymus fizyczny podczas śledztw.

Inny rozdział *Caroliny*, w zamyśle skierowany przeciwko recydywie, wbrew intencji autorów narzucił pozbawianie życia wielu ponownych przestępców — często za zwykłe przywłaszczenia, zwłaszcza kradzieże, które dawniej nie naraziłyby nikogo na egzekucję. Jak to się stało? Ażeby zniechęcić do recydywy, *Carolina* wyznaczyła gradację kar: publiczną chłostę za pierwsze przewinienie i banicję za drugie, a jeśliby wygnaniec powrócił i został skazany po raz trzeci — egzekucję. Ta deprymująca zbyt mała liczba kar proponowanych wiązała lokalnym władzom ręce, i to z tragicznymi konsekwencjami. Oto na przykład w przeszłości przestępstwa przeciw mieniu były przyczynami jednej trzeciej egzekucji wykonywanych na ziemiach niemieckich, a za życia Frantza Schmidta powodowały one prawie siedem na dziesięć egzekucji [\[60\]](#).

Ta na pozór niewytłumaczalna surowość wynikała nie tyle ze szczególnego okrucieństwa, ile z głębokiej frustracji w obliczu nieskuteczności możliwych kar. Większość tych złodziei, których mistrz Frantz musiał w toku swej kariery zawodowej powiesić, miała za sobą bogatą przeszłość kryminalną, czyli wielokrotne pobyty w więzieniach, rozmaite kary cielesne i okresy banicji. Owszem, bywało tak, że publiczna chłosta, bolesna i upokarzająca, połączona z wygnaniem — kara typowa dla przestępców jednorazowych i dwukrotnych — odnosiła pożądaną skutek. Gdy mistrz Frantz wychłostał publicznie dwóch nastoletnich braci, którzy „kradli tu i ówdzie na targowiskach”, obaj zniknęli z norymberskich rejestrów policyjnych [\[61\]](#). Częściej jednak poniżeni i wygnani złooczyńcy — na stałe odcięci od rodziny, bez dawnych kontaktów — powracali po prostu do jedyne go życia, jakie znali, i kradli znowu w innej, nierzadko pobliskiej miejscowości albo nawet w tym samym mieście.

Oczywista daremność nieodległej banicji jako kary za czyny popełnione bez użycia przemocy skłoniła niektóre państwa europejskie do tego, by wobec złodziei i innych osób niepożądanych stosować wygnania na dłużej — deportację. Ale posyłanie złoczyńcy za ocean nie wchodziło w grę dla wewnętrznych państweczek niemieckich, takich jak Norymberga czy bawarskie księstwo-biskupstwo. Książę Bawarii zdołał co prawda przekonać władze Norymbergi do ekspediowania skazanych złodziei na geneueńskie galery, ale eksperyment ten nie potrwał długo. Po pięciu latach oszczędni rajcy doszli do wniosku, że nie spełnił on oczekiwań. Często sugerowanym rozwiązaniem był ponadto przymusowy pobór do węgierskich wojsk cesarza, ale i ta opcja okazała się przydatna na niewielką skalę i wkrótce jej zaniechano[62].

Charakterystyczne dla późniejszej ery nowożytnej rozwiązanie problemu, jakim jest izolacja w kraju, czyli długotrwałe pozbawienie wolności, wymagało bardziej radykalnej zmiany sposobu myślenia, aby mogło się przyjąć, i z tej racji jeszcze wolniej zyskiwało aprobatę. Większość elit rządzących uważała zamykanie w więzieniach na dłużej za nazbyt kosztowne i zbyt okrutne, a jednak konieczne w przypadku kogoś niebezpiecznego dla otoczenia z powodu choroby psychicznej. Rozpowszechniony poprzednik nowoczesnych więzień, zakład pracy przymusowej, w XVII wieku miał wielu zwolenników głównie dlatego, że uznawano go za samowystarczalny pod względem finansowania. Norymberscy przełożeni Frantza Schmidta nie omieszkali jednak zawczasu ustalić, iż taki zakład pochłania znaczące sumy, sprzeciwili się więc tej innowacji zainicjowanej w kolejnym stuleciu[63]. Zastąpili tę nowinkę karą jakoby skuteczniejszą, bo polegającą na łączeniu łańcuchami żebrzących i skorych do kradzieży podrostków oraz młodych mężczyzn, która to praktyka była dawniej ograniczona głównie do Francji. Takich więźniów, *Springbuben* albo *Schellbuben* („niegodziwców” z łańcuchami wokół stóp lub z dzwoneczkami przy kapeluszach), czekało zwykle kilka tygodni sprzątania ulic oraz różnych napraw, musieli też usuwać ludzkie i zwierzęce ekskrementy oraz wszelkie śmiecie. Podobnie jak banicja, grupowe pętanie łańcuchami odstraszało niektórych — ale przecież nie wszystkich — młodych złodziei od dalszej kryminalnej kariery i, co później odnotował mistrz Frantz, wielu z nich właśnie on, kat, pozbawił życia[64]. Nie dostrzegając jakichkolwiek innych opcji karania złodziei recydywistów, jak i przestępców nieskorych do przemocy, a jednak „niereformalnych”, elity rządzące w drugiej połowie XVI stulecia coraz częściej stosowały „ostatnie rozwiązanie” — powieszenie.

W takiej sytuacji rosły płace wykwalifikowanych katów i rósł popyt na nich, co było pomyślnie dla rokującego nadzieje i ambitnego młodego profesjonalisty, Frantza Schmidta, zresztą katowskiego syna. Ta właśnie okoliczność, że *Carolina* uczyniła katów nieodzownymi sługami wymiaru sprawiedliwości, umocniła zawodową pozycję Frantza. Jako protestant był on prawdopodobnie bardzo wdzięczny za błogosławieństwo ze strony nie kogo innego, jak ojca reformacji. „Gdyby nie było złoczyńców, nie byłoby i katów” — stwierdził Marcin Luter. I zaraz dodał: „Ręka, która dzierży miecz i dusi, nie jest już ręką ludzką, lecz Bożą — to nie człowiek, to Bóg wiesz, łamię kołem, ścina głowę, dusi i toczy wojnę”. Aby oszczędzić katom niechęci, Luter zakończył swój wywód tak:

Mistrz Hans [kat stereotypowy] jest przeto człowiekiem wielce pożytecznym, a nawet miłosiernym, albowiem kładzie kres poczynaniom skazańca, który nikomu więcej nie zaszkodzi, i przestrzega innych, iżby nie czynili [tegoż]. Skazaniec zostaje przez kata pozbawiony głowy, a tych, co stoją z tyłu, kat upomina, każe się bać miecza i zachowywać pokój. Wielka to łaskawość.



Norymberscy skazańcy w drodze na galery, z wyrokami w wymiarze od dwóch do dziesięciu lat. Tę odmianę banicji praktykowano o wiele częściej w krajach śródziemnomorskich (rok 1616).

Podczas gdy Jan Kalwin zadowolili się uznaniem kata za „Boże narzędzie”, entuzjasta Luter wyróżnił tę profesję jako mogącą nawet przysporzyć sławy: „Jeżeli widzisz, iż brakuje katów, policjantów, sędziów, iż nie ma kto rządzić, a sobie przypisujesz taką przydatność, to zaproponuj swoje usługi i upomnij się o godność, która wchodziłaby w rachubę, iżby nikt nie miał niezbędnej władzy w pogardzie i nikt jej nie osłabiał[65]”.

Gloryfikacja zajęcia Schmidów ze strony duchowieństwa — oczywiście miła katom — nieprędko wysłała poza krąg ludzi wykształconych. Perswadowujący ton Lutra pobrzmiwał jeszcze w apologii sformułowanej w 1565 r. przez pewnego znanego jurystę, który napisał, że „imię kata jest co prawda nadal przedmiotem nienawiści podzielanej przez wielu, a jego zajęcie uchodzi za nieludzkie, krwawe, tyrańskie, wszelako kat nie grzeszy wobec Boga ani wobec świata, o ile działa wedle rozkazów, nie z własnej woli, lecz gwoli sprawiedliwości, jako sługa Boży”. Nie inaczej niż występujący w procesie sędzia, przysięgli czy świadkowie, kat miał opinię nieposzlakowaną, jeżeli nie powodowały nim: „pazerność, zazdrość, nienawiść, pragnienie odwetu, ni żądza”; gdy nie budził zastrzeżeń, okazywał się równie potrzebnym gwarantem praworządności jak każdy suweren. Inny autor uczonej w prawie próbował odrazę do katowskiego zawodu ze wstydem, jaki towarzyszy wydalaniu — uznał oba za niepiękne, ale konieczne elementy planu Bożego. Zgadzano się powszechnie co do tego, że przedmiotem niezmiennej dezaprobaty obywatelskiej nie była sama profesja, lecz wywoływał ją ten fakt, iż kusiła „ludzi bezbożnych i nieroztropnych [między innymi] czarnoksiężników, zbrojczych, morderców, złodziei, zbereźników, bluźnierców, hazardzistów i inne osoby obciążone paskudnymi grzechami, uwikłane w skandale i tarapaty”, a tymczasem sądom — aby mogły być skuteczne — potrzeba było „ludzi pobożnych, niezaduźnych, łagodnych, miłosiernych, wolnych od strachu, takich, którzy nabrali doświadczenia w tej pracy, w wykonywaniu wyroków śmierci, którzy pełnią służbę raczej przez miłość do Boga i Prawa, niżli z zadawnionej nienawiści i pogardy wobec nieszczęsnych grzeszników”[66].

Wynika z powyższego, że Frantz Schmidt znalazł się w gronie katów, kiedy zaczęto ich znacznie lepiej opłacać i byli już bardziej tolerowani niż ich poprzednicy, ale zarazem więcej od nich oczekiwano, także co do kwalifikacji moralnych. Za życia kilku wcześniejszych pokoleń władze świeckie z konieczności przystawały na angażowanie wielu kandydatów z naganymi życiorysami, spośród których niejednego zasłużył potem na powieszenie albo spłonął na stosie. A gdy działał Frantz, w odbiorze społecznym każdego, kto wykonywał wolny zawód, liczyła się już bardzo „wielka przyzwoitość i prawomyślność”, toteż naruszenia prawa narażały na szybką utratę pracy i karę. W zamian ironiczne wcześniej określanie katów jako mistrzów przydało im godności, niektórym pozwolono nawet na innego rodzaju praktyki; ten i ów dostąpił ponadto nobilitacji[67].

Oczywiście nie było łatwo wymazać odwiecznych uprzedzeń, odrazy i strachu, tak więc relatywną poprawę statusu Frantza trzeba jednak rozważać w kontekście nadal wysokich kosztów społecznych. Cokolwiek mówili sędziowie i pastorzy, większość ludzi współczesnych Frantzowi nadal widziała w katach osoby podejrzane albo i niesamowite. Dla społeczności, które przywiązywały wielką wagę do rytualnych manifestacji rangi i cenzusu, pojawienie się katów bogobożnych i uczciwych było faktem chwalebny, choć nie zanikł pogląd, że samo zetknięcie z dłonią kata skaziłoby tę drugą osobę. Syn Heinricha Schmidta przekonywał się, póki żył, że wiele drzwi nie staowało przed nim otworem. Ale coraz większy popyt na katów nowego typu był jednak równoznaczny z pewnym otwarciem i tego właśnie młody Frantz nie omieszkiał wykorzystywać, aby wreszcie spełnić ojcowskie i własne marzenie, i dokonać żywota z opinią człowieka zasługującego na szacunek.

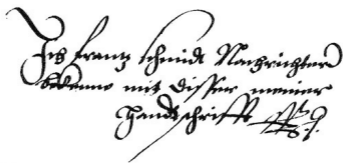
Katowski kunszt

Nie posiadamy żadnych konkretnych informacji o dzieciństwie i młodości Frantza Schmidta w mieście Hof. Mimo hańbiącego zawodu ojca było zapewne w jego życiu zdumiewająco wiele takich doświadczeń, jakie występowały w biografiach ogółu XVI-wiecznych niemieckich chłopców z klasy średniej. Sześć albo siedem pierwszych lat upłynęło Frantzowi głównie w otoczeniu dorosłych kobiet oraz innych dzieci. Matka umarła przed jego szóstymi urodzinami, chyba w połogu, co wtedy zdarzało się bardzo często, po czym zastąpiła ją najprawdopodobniej ciocia lub babka. W 1560 r. pojawiła się macocha, typowa postać w tamtych czasach: owdowiały ojciec poślubił Annę Blechschmidt, przypuszczalnie córkę kata z pobliskiego Bayreuth[68]. Co prawda bracia Grimm wyrobili macochom złą opinię, ale gdy rozpoczynała się era nowożytna, niejedna z nich potrafiła polubić czy nawet pokochać pasierbów albo pasierbice. Możemy tylko żywić nadzieję, że właśnie tego doświadczył młody Frantz.

Jeżeli społeczna izolacja rodziny w Hofie była tak przykra, jak to później Frantz dawał do zrozumienia, w dzieciństwie czuł się zapewne osamotniony. Ówczesne brzdące i starsze dzieci żyły raczej bez nadzoru — według dzisiejszych wyobrażeń ludzi Zachodu — i mogły swobodnie poznawać otwarte studnie, rozżarzone paleniska oraz całe mnóstwo innych niebezpiecznych miejsc, gdzie wiele młodych istnień nagle się kończyło. Niemykluczone, że ta swoboda zyskała Frantzowi paru towarzyszy zabaw, którzy nie zważali na rodzicielskie uprzedzenia. Wiadomo nam o co najmniej jednej starszej siostrze, Kunigundzie, która osiągnęła dorosłość; jest to możliwe i nawet prawdopodobne, że Frantz miał jeszcze inne rodzeństwo i że potwierdziło ono niestety aż 50-procentową śmiertelność dzieci poniżej 12 roku życia.

Kiedy Heinrich Schmidt planował drugi ożenek, Frantzowi przybyło chyba nieco więcej domowych obowiązków i zaczął opanowywać elementarną umiejętność pisania, czytania oraz rachunków. W niektórych miejscowościach pozwalano katolickim dzieciom uczęszczać do szkół z łacińskim językiem wykładowym i średnich szkół, gdzie nauka odbywała się po niemiecku; wszędzie obowiązywało czesne. Norymberski krewniak Frantza, Lienhardt Lippert, skarżał się później, bardzo rozgoryczony, na to, że inni rodzice zabraniali swoim dzieciom siadać w szkole obok jego syna i że władze miasta nie zechciały interweniować, zaproponowały natomiast, aby chłopiec uczył się w domu[69]. W Hofie istniała zarówno niemiecka szkoła parafialna, jak i szkoła łacińska (założona przez jednego z uczniów Filipa Melanchtona), ale że nie zachowały się księgi immatrykulacyjne, to i nie mamy pewności, czy Frantz nauczył się

czytać i pisać w szkole, od prywatnego korepetytora czy od ojca albo matki. Jego pismo jako człowieka dorosłego i elegancki podpis mogą wskazywać na elementarne opanowanie pisanej niemieczyny i chyba także łaciny. Frantz jednak nie stosuje w ogóle interpunkcji, w składni oraz ortografii jest niedbały, zdaje się nieobeznany ze stylem literackim ani choćby urzędowym. Tak jak wielu „niedouczonek” fachowców w jego czasach, Frantz Schmidt odtwarzał w piśmie własny sposób mówienia, wcale nieozdobny. Był kronikarzem praktykiem, który przywiązywał wagę do faktów i wygody szlif, czasem nawet kosztem klarowności.



The image shows a handwritten signature in cursive script. The text is written in dark ink on a light background. The signature is highly stylized and difficult to read, but it appears to be a name followed by a date or location. The first line is the most prominent, followed by a second line and a third line that ends with a flourish.

Abb. 16

Podpis Frantza na umowie o pracę, zawartej w 1584 r. Jego charakter pisma jest, jak na tamte czasy, wyjątkowo czytelny i daje się łatwo odróżnić od charakteru pisma notariusza, który sporządził ów dokument, mamy więc prawdopodobnie do czynienia z podpisem autentycznym.

Naukę religii odbył Frantz prawdopodobnie w domu, ale nie można wykluczyć katechizacji ze strony pastora, o ile ten zechciał bywać u Schmidtów. Podstawy praktykowania religii były ewangelickie, czyli luterzańskie. Miasto Hof oderwało się od Kościoła katolickiego i przyjęło nowo powstały luteranizm w latach 20. XVI wieku, w burzliwym początkowym okresie reformacji. Gdy Frantz pojawił się na świecie, a więc już w następnym pokoleniu, miasto Hof było bastionem luteranizmu i prawie wszyscy obywatele wybrali protestantyzm. Jako dorosły człowiek mistrz Frantz należał do wyznawców głęboko wierzących, nauczywszy się poważnego stosunku do wiary od rodziców albo innych domowników. Wówczas nie brakowało dzieci, które zgłębiały religię w warunkach domowych. Przywódcy duchowi nowego Kościoła głosili zresztą, że każdy *Hausvater* (dosłownie „ojciec domu”) ponosi wobec Boga odpowiedzialność za należyte oswojenie dzieci z religią. Nie inaczej niż w większości domów młody Frantz i jego siostra, Kunigunda, od najmłodszych lat poznawali luterzańską wykładnię głównych prawd wiary chrześcijańskiej, uczyli się o grzechu pierworodnym, Bożym miłosierdziu, dominacji wiary w doświadczeniu każdego człowieka i przywykali do imperatywu trwania w życiu bogobojnym.

Nauka katowskiej profesji rozpoczęła się dla Frantza prawdopodobnie około 12 roku życia. Niezależnie od swej wcześniejszej obecności w życiu syna, Heinrich Schmidt stał się odtąd postacią o największym znaczeniu, wzorcową pod względem osobistych predyspozycji oraz opanowania zawodu. Profesje niehańbiące — takie jak krawiectwo czy ciesielstwo — wymagały przeważnie kontraktu czeladniczego z uznanym mistrzem, który zawierano na czas od dwóch do czterech lat, i który narażał rodzinę ucznia na sporą roczną opłatę. Zdarzało się, że i synowie katów na takich warunkach pracowali poza domem — u krewnych, ale też u obcych mistrzów. Tych ostatnich było jednak niezbyt wielu, toteż większość synów pozostawała

w domach i „od młodych lat” poznawała fach pod ojcowskim okiem [70]. Syn kata — Frantz także — miał oczywiście zakaz nauki innego, szanowanego rzemiosła, nie mógł się kształcić na uniwersytecie ani nawet dołączyć do kleru — ze ściśle, zakorzenione w ludzkiej świadomości zakazy obowiązywały powszechnie jeszcze dwieście lat później. Takie realia nie mogły zniechęcać Frantza Schmidta do wyobrażania sobie odmiennego losu dla siebie i swoich dzieci.

Czegoż nastoletni Frantz nauczył się od ojca? Przede wszystkim wyrobił sobie pogląd na życiową rolę mężczyzny. Gdy nastąpiła era nowożytna, męskość była równoznaczna z godnością — tyleż osobistą, co zbiorową. Frantz już w bardzo młodym wieku wiedział od ojca, że znieawidzony margrabią ograbił ich ze wszystkiego, co można było cenić: udaremnił wykonywanie poważnego zawodu, pozbawił prawa do obywatelstwa, przyjaciół i dobrego imienia. Szczegóły zawarte przez 70-letniego mistrza Frantza w jego o tyle późniejszej relacji — pełne imiona i nazwiska zmarłych dziadka i stryja (większość ówczesnych ludzi nie zdążyła poznać osobiście swoich dziadków), fatalne spotkanie z łowcą jeleni i jego psem, autentyczne słowa margrabięgo pod adresem Heinricha Schmidta, liczba przyszłych morderców, i tak dalej — składają się na często opowiadaną historię rodziny. Ataki na ludzką godność były trudne do zniesienia dla ogółu tych, co żyli w owych czasach; Schmidtowie — co zrozumieli — wyróżniali się wręcz obsesyjnym stosunkiem do takiej agresji, po części dlatego, że o pohańbieniu przypominano im na co dzień. Rozumienie ludzkiej godności przez Frantza uległo w ciągu jego życia pewnej ewolucji, ale — tak jak ojciec — nieustannie pałał gniewem z powodu rażącej niesprawiedliwości, jaka spotkała jego rodzinę. Warto się w tym miejscu zastanowić na następującą kwestię: czy tylko przypadek zrządził, że Heinrich i Frantz podjęli służbę w Bambergu i Norymberdze, miastach najżagorzalszych niegdyś we wrogości do znieawidzonego przez obu Schmidtów margrabięgo Albrechta Alcybiadesa?

Co się tyczy wszelkiej wiedzy, jaką Heinrich Schmidt przekazał swemu synowi, możemy być pewni, że miała ona związek z praktycznym aspektem męskości, czyli zdobyciem fachu. Ówczesny „katowski kunszt” był w istocie połączeniem kilku odrębnych umiejętności. Warunkiem *sine qua non* była sprawność techniczna przy stosowaniu tortur i różnych kar cielesnych. Przesłupcy tracili oczy i palce, byli chłostani brzożowymi różgami i pozbawiani życia na kilka sposobów. Ale na początku Frantz wykonywał błahe czynności, które spadały na każdego ucznia: czyścić i konserwować ojcowski miecz oraz narzędzia tortur, gromadzić i przygotowywać to, co potrzebne w czasie publicznych egzekucji (pęta, sznur, drewno), zapewniał ojcu i jego pomocnikom posiłki i napoje, a ponadto chyba pomagał również usuwać ciała (i głowy) przestępców, których skazano na ścięcie.

Z biegiem lat Frantz, mając więcej siły, pomagał, gdy trzeba było przytrzymać więźnia, którego czekały tortury albo egzekucja, i zaczął towarzyszyć ojcu w podróży po Frankonii, do miejscowości, w których należało wykonać kolejne wyroki śmierci. Obserwując i słuchając doświadczonego mistrza Heinricha, Frantz uczył się ustawiania podwójnej drabiny przed powieszeniem. Ofierze, która stawiała opór, potrafił zakładać stryczek i pętać ją łańcuchami. Pomagał przy budowaniu prowizorycznych drewnianych pomostów, które ułatwiały topienie w rzekach, i uczył się, w jaki sposób przyspieszyć tę bardzo trudną i długo trwającą pracę. A szczególne znaczenie miało to, że Heinrich Schmidt uczył syna, jak posługiwać się różnymi narzędziami tortur, które były do dyspozycji w czasie „bolesnych przesłuchań”, jak ocenić wytrzymałość ofiary i nie narazić jej na przedwczesną śmierć.

Istniał taki obraz umiejętności typowego kata, który dzisiaj często szokuje — otóż nieraz kat łączył swój fach z uzdrawianiem. Niejeden przyciągał pacjentów magiczną aurą, jaka otaczała jego rzemiosło, ale dobra opinia o katach leczących wynikała zwłaszcza z tego, że znali oni anatomię człowieka. Mistrz Heinrich przekazał Frantzowi własną wiedzę z tej

dziedziny (niewykluczone, że przejętą od innych katów) — nauczył syna, jakie zioła i maści lecznicze stosować, aby zasklepić rany złoczyńców, których trzeba było poddać torturom, i jak przed publicznymi egzekucjami nastawiać połamane kości więźniów. Opanowawszy takie umiejętności, dorosły już Frantz Schmidt niemało zarabiał dodatkowo jako uzdrowiciel oraz doradca medyczny — i czerpał z tego dochód, póki żył, już jako emerytowany kat pozostał bowiem przy tej alternatywnej opcji zawodowej.

Skuteczny kat potrzebował także — zgodnie z wszelkimi oczekiwaniami wobec przedstawicieli tego zawodu — czegoś, co chciałoby się nazwać umiętnym obcowaniem z ludźmi oraz pewnej przenikliwości psychologicznej. Takie kwalifikacje oczywiście trudniej było przekazać, ale Heinrich Schmidt dał synowi przykład, jak się zachowywać w kontaktach z przełożonymi, którzy cenili swoją przynależność do patrycjatu; z podwładnymi o niższym statusie społecznym, na których nie zawsze można było liczyć; z pełnymi niepokoju nieszczęsnymi grzesznikami w izbach tortur i na szubienicach. Bamberscy chlebobawcy Heinricha za główne atrybuty skutecznego kata uznawali posłuszeństwo, uczciwość i roztropność, a wszystkie te cechy zostały wskazane w rocie jego przysięgi:

Chcę i będę chronić mojego łaskawego pana, władcę Bambergu, oraz diecezję Jego Dostojności przed wszelaką szkodą, zachowywać pobożność, służyć wiernie na moim stanowisku, przesłuchiwać i karać wedle każdorazowych zaleceń świeckich organów, które podlegają Jego Dostojności; nie przyjmuję też niczego ponad należną zapłatę, w całkowitej zgodności z tym zobowiązaniem; cokolwiek usłyszę w czasie przesłuchań złoczyńców i cokolwiek poza tym każe mi się utrzymać w tajemnicy, tego nie ujawnię nikomu; nie wybiorę się także w podróz dokądkolwiek bez jednoznacznej zgody łaskawych przełożonych: szambelana, marszałka i ochmistra, okazę posłuszeństwo i uległość we wszech sprawach, które zostaną mi zlecone właśnie przez nich, dochowam wierności i w niczym nie zawiodę. Tak mi dopomóż Bóg i wszyscy święci[71]!

Frantz bezpośrednio uczył się szukać kompromisu, czego wymagał każdy przypadek zbrodni w toku pracy jego ojca, trudnego wyważania różnych interesów i celów, jak również transakcyjnego charakteru egzekwowania sprawiedliwości w praktyce kryminalnej. Nie wiemy, czy Heinrich był pod każdym względem postacią pozytywną, czy może negatywną, ale wiadomo, że nastoletni Frantz rychło uświadomił sobie, że dobra technika będzie mieć mniejsze znaczenie dla przyszłego zarobkowego sukcesu niż umiejętność przekonywania do siebie chlebobawców, wywierania strachu u przesłuchiwanym i zyskiwania szacunku sąsiadów. Inaczej mówiąc, manifestacyjny aspekt jego profesji nie ograniczał się do dramatycznych (i oczywiście ważnych) minut egzekucji. Status kata zmuszał do tego, by dożywotnio odgrywać rolę wieloraką, wymagał nieustannej samoświadomości i czujności.

Umiejętność obcowania z ludźmi wchodziła w grę także wtedy, kiedy kaci mieli do czynienia ze sobą nawzajem. Tak jak wszyscy fachowcy, mistrz Heinrich i jego koledzy w innych miastach posługiwali się żargonem, opartym w niemałym stopniu na ówczesnej gwarze ulicznej i złodziejskiej, którą określano jako *Rotwelsch* albo *Gaunersprache*. W katowskim żargonie zamiast „powieścić” mówiło się „zasnurować”, zamiast „uciąć głowę” — „rozkrócić”. Nadzwyczaj zręczny kolega mógł być podziwiany za „ładny supeł”, „dobre obracanie koła” albo „równe cięcie”[72]. Kaci mieli też odrębne określenie egzekucji nieudolnej (*putzen*) i własne żartobliwe nazwy swego zawodu: „zabijaka”, „płatny zabójca”, „swobodny ptak”, „roztrzaskiwacz”, „rozdrabniacz”, „przecinacz”. Choć niezbyt pochlebne, były to przynajmniej

określenia nie tak pogardliwe (barwne), jak dziesiątki innych obiegowych nazw: „skracacz”, „straszdyło”, „krwawy sędzia”, „zły człowiek”, „oprawca złodziei”, „Jasio”, „odgławiacz”, „siekacz”, „młoteczek”, „Mistrz Młoteczek” [73] (tak samo nazywano sztycherzo szatana), „dręczyciel”, „Jasio Drwał”, „suplarz”, „święty aniołek”, „Mistrz Au”, „Mistrz Wykańczacz” i, bardzo zwyczajnie, „rzeźnik” [74].

Podobnie jak w różnych innych cechach i bractwach, kaci z początków ery nowożytnej nazywali siebie wzajemnie kuzynami i chętnie spotykali się towarzysko, nieoficjalnie, na weselach, festynach albo — bardziej licznie — w czasie sporadycznie organizowanych gromadzeń. Najślawniejszy zjazd niemieckich katów, znany pod nazwą *Kohlenberg-Gericht*, odbywał się w Bazylei począwszy od XIV wieku co kilka lat, aż do pierwszej dekady XVII stulecia. Upodabniał się on do charakterystycznego dla późnego średniowiecza „sądu równych” i łączył rozstrzygnięcie sporów z koniecznym rytuałem, obżarstwem, opilstwem i wymianą rozmaitych opowieści. W zgromadzeniu brali udział nie tylko kaci, ale też liczni przedstawiciele innych hańbiących „zawodów wędrownych”, którzy nie mieli ani cechów, ani odrębnego wymiaru sprawiedliwości. Do wieku XVI w zgromadzeniach tych dominowali kaci i nosiciele worków, nadal jednak uczestniczyły w nich inne osoby obojga płci, którym wypadło egzystować na marginesie społeczeństwa. W relacji z 1559 r. czytamy o tym, że ów sąd zbierał się na tak zwanej Górze Węglowej (*Kohlenberg*), na placu przed domem kata i „pod rozłożystą lipą [niemieckim drzewem sprawiedliwości] oraz jeszcze jednym wysokim drzewem, które zwą octowcem”. Wybrany przez obecnych sędzią przewodniczący siadał „zimą i latem z bosymi stopami w cebrze napełnionym wodą” i przesłuchiwał kolegów, czyli innych katów, na okoliczność pomówienia czy w związku ze sporem o odmiennym charakterze. Uzyskawszy opinię siedmiu przysięgłych, sędzią ogłaszał swoją decyzję, wylewał wodę z cebrza i rozpoczynał się przesyłdane na ten dzień świętowanie. Pewien rozsierzony mąż, którego pozwał kochanek jego żony, także kat, ze szczerą niechęcią opisał to zgromadzenie jako „pełne cudzoziemskich ceremonii”, obojętne miejscowym ludziom, chyba że skorym do niecnych zachowań (do tych ostatnich zaliczał pewnie żonę) [75].

Frantz Schmidt nie wspomina w swoim dzienniku o udziale w sądzie na Górze Węglowej ani o żadnym innym spotkaniu towarzyskim. Niewykluczone co prawda, iż Heinrich wymusił na nim kiedyś wyjazd do Bazylei albo na inne tego typu zgromadzenie. Bardziej jednak prawdopodobne jest to, że i ojciec, i syn uważali ostentacyjne popolitowanie się z ładacznikami i żebrakami za niestosowne, za niepożądane przypomnienie wstydliwych skojarzeń, do jakich skłaniał ich fach. Co więcej, ludyczność i dziwaczny charakter owego sądu były przeżytkami, które miały rację bytu, zanim egzekucja prawa została sformalizowana i zanim nastąpiła profesjonalizacja katowskiego rzemiosła. Frantz poznał wcześniej wielu kolegów po fachu — dzięki ojcu — i z niektórymi chyba korespondował. Wszakże w jego pokoleniu preferowano na ogół taką gloryfikację zawodowej tożsamości oraz posiadania pewnych tajemnic tej profesji, która byłaby możliwa we własnym gronie, jak najdalej od futrzarzy, garbarzy i innych niegodziwców — skoro wkładano tyle wysiłku w to, żeby się od nich odróżnić.

Koniec nauki Frantza Schmidta kieruje naszą uwagę ponownie ku temu, że musiał się wprawić w robieniu mieczem, którym wykonywano wyroki śmierci. Inaczej niż topory, na kontynencie europejskim kojarzone powszechnie z najemnym wojowaniem i zawodem drwala, miecze były w późnośredniowiecznej Europie symbolami osobistego honoru, a także sprawiedliwości. Cesarze, udzielni książęta i inni władcy łączyli swoją daną przez Boga hegemonię prawną z mieczem, bronią, która odgrywała istotną rolę przy koronacjach, jak również w czasie wszelkich oficjalnych ceremonii. Prawo do noszenia miecza pozostawało długo zazdrośnie strzeżonym przywilejem szlacheckim i ewidentną oznaką wysokiej rangi

społecznej tej klasy. Również egzekucja z użyciem miecza była od czasów rzymskich przywilejem osób, które posiadały prawa obywatelskie oraz arystokratów, a także metodą preferowaną powszechnie, gdyż kojarzono ją z honorem i takie egzekucje odbywały się szybko.

Sam katowski miecz stał się przedmiotem o szczególnej wartości symbolicznej i materialnej. Była to broń ciężka — długość miecza wynosiła przeciętnie ponad metr, a waga przekraczała trzy kilogramy — i często miała niezwykle zdobienia. W połowie XVI stulecia typowy miecz bitewny, którego używali kaci średniowieczni, został już przeważnie wyparty przez broń zaprojektowaną właśnie dla nich, ze spłaszczonym, nieostrym zakończeniem i staranniejszym rozkładem ciężaru, aby służył wyłącznie ścinaniu głów. Wiele takich mieczy zachowało się po dziś dzień i dają one świadectwo doskonałemu rzemiosłu oraz przemysłowości wytwórców. Każdy miecz posiadał unikatową inskrypcję: „Sprawiedliwość przyniesie krajowi rozkwit i dostatek; bezprawie każe go spisać na straty”; albo „Niecnym czynów unikaj, iżbyś nie dołączył do szubieniczników”; albo taką, bardziej lapidarną: „Panowie ścigają, a kat śmierć zadaje”^[76]. Zdarzały się też miecze z wyrytą szalą sprawiedliwości, wizerunkami Chrystusa i Madonny z Dzieciątkiem, na innych zaś widniały szubienice, koło, głowa odcięta od ciała. Niektóre katowskie dynastie umieszczyły na mieczach imiona i daty urodzenia właścicieli, a jedna rodzina podała nawet na swoim mieczu liczbę ofiar egzekucji wykonanych przez tę dynastię.

Katowski miecz mistrza Heinricha był przeto czymś więcej niż potwierdzeniem jego technicznej sprawności; miał dla członków poddanej ostracyzmowi rodziny niejako symboliczną wartość, która pozwalała myśleć o godności osobistej. Syn Heinricha i jego uczeń uznawał ten miecz także za symbol kata nowego typu — profesjonalisty, który mógł nawet zasługiwać na szacunek i bardzo się różnić od najemnego rzeźnika, nadał obecnego w wyobraźni niejednego człowieka. Osiągnąwszy dorosłość, posługiwał się Frantz mieczem wykonanym według jego wskazań, trzymamy — póki trwał cały rytuał poprzedzający egzekucję — w pochwie drewnianej i obitej skórą, a wydobywamy dopiero w ostatniej chwili publicznego dramatu. W diariuszu Frantz odnotował dokładnie daty „pierwszej egzekucji z użyciem miecza, pierwszej egzekucji z użyciem miecza na Norymberdze” oraz „pierwszej egzekucji z użyciem miecza na ofierze stojącej”^[77].

Wiosną 1573 r. na drodze Frantza Schmidta do godności mistrza w zawodzie kata pozostawały dwie przeszkody. Tak jak wszyscy rzemieślnicy, musiał przez kilka lat być czeladnikiem najmowanym za dniówki, wędrować po całej okolicy i zdobywać zarazem cenne doświadczenie. Ale zanim mógł podjąć tę zawodową wędrowkę, czekał go egzamin mistrzowski. W XVIII-wiecznym państwie pruskim wymagano od przyszłych katów, aby zdawali dłuższy egzamin pisemny oraz praktyczny, dla sprawdzenia, czy kandydat potrafi torturować bez łamania kości, całkowicie spopielić zwłoki i swobodnie się posłużyć tym wszystkim, co przydatne przy przesłuchaniach i egzekucjach^[78]. Bambińska procedura w XVI stuleciu była mniej skrupulatna i nie tak sformalizowana, ale przecież niezbędna, ilekroć czeladnikowi zależało na rytualnym wyrażeniu aprobaty przez mistrzów i na dobrej posadzie w przyszłości.

Dzień próby Frantza nastąpił 5 czerwca 1573 r., gdy liczył on lat 19. Pięć lat później, gdy rozpoczął dziennik, tylko tę datę z minionego okresu potrafił podać dokładnie i podkreślić kluczowe znaczenie owego dnia w jego życiu. Mając ojca u swego boku, Frantz odbył dwudniową podróż do wsi Steinach, ponad 60 kilometrów na północny zachód od Bambergu. Skazańcem był niejaki Lienhardt Russ, rodem z miejscowości Zeyern, przedstawiony w diariuszu Frantza krótko — jako „złodziej”. Niewykluczone, że na egzekucję przybyli jacyś koledzy czy pomocnicy Heinricha. Doszło wtedy do rutynowego powieszenia, był to jednak fakt wielce znamienny w życiu ojca i syna. Taka egzekucja przynosiła najmniej chwały wykonawcy, ale

i najmniej było obaw, że coś mogłoby się nie powieść. Jakie myśli nurtowały młodego Frantza, kiedy prowadził Russa na szubienicę — ze związanymi przepisowo nadgarstkami i stopami — i wyżej, po drabinie pod czekający stryczek? Czy załamał mu się głos, gdy trzeba było zachęcić skazańca do wypowiedzenia ostatnich słów? Czy zgromadzeni wieśniacy skomentowali młody wiek kata albo kwestionowali jego umiejętności? Pozostają nam tylko spekulacje, ale wiemy, że z całą pewnością Frantz wykonał zadanie bez widocznych potknięć. Ledwo ciało skazańca, już martwe, zsunęło się z szubienicy, mistrz Heinrich lub inny mistrz podszedł do młodego Frantza. Z rytualnym rozmachem „wedle starodawnego zwyczaju” trzykrotnie uderzył go w twarz, po czym głośno oznajmił wszystkim świadkom egzekucji, że młodzian „sprawił się należyście, bezbłędnie” i od tej chwili trzeba go uznawać za mistrza. Później Frantz otrzymał sporządzony rejentalnie dyplom (*Meisterbrief*), który mógł okazywać przyszłym pracodawcom, stwierdzający, że nowy mistrz wywiązał się ze swojego zadania „wcale dzielnie i ku pełnemu zadowoleniu”^[79] i dlatego może być najmowany — oraz opłacany — właśnie jako mistrz. Nie inaczej niż w innych środowiskach zawodowych pomyślnie zdanie egzaminu mistrzowskiego przewidzianego dla katów było okazją do uczczenia przez rodzinę i znajomych, skorych do skorzystania z gościnności dumnego ojca. Jeżeli Frantz doczekał się takiej uroczystości, to najpewniej odbyła się ona później w Bambergu.

Mimo że od tamtego dnia minęło pół wieku, we wspomnieniach leciwego kata emeryta jeszcze pobrzmiwały smutek i gorycz — najwyraźniej w passusie dotyczącym „wielkiego nieszczęścia, które narzuciło mojemu niewinnemu ojcu katowską profesję i kazało ją przejąć mnie osobiście, czego — choć bardzo bym tego pragnął — niepodobna było uniknąć”^[80]. Ale w relacji Frantza wyczuwa się także oczywistą satysfakcję z tej przyczyny, że jego życie nie poszło na marne, że mógł krajowi przywrócić „pokój, ład i jedność”. Mając lat 19, przyszły mistrz Frantz, który dopiero co wykonał pierwszą egzekucję, zaczął doświadczać uczuć bardzo mieszanych, bo i odrazy, i dumy z tego powodu, że otrzymał patent na uprawianie swojej profesji. Dwoistość uczuć ułatwiła mu karierę w latach, które nastąpiły po tamtym pamiętnym dniu, ale zwróciła także młodego kata przeciwko samemu sobie i postawiła pod znakiem zapytania prawdziwą satysfakcję osobistą i zawodową, na jakiej mu zależało.

Najemnik

Obracanie się w świecie niezmiernie przyczynia jasności sądowi człowieka.

Michel de Montaigne, „O wychowaniu dzieci” (1580)[\[81\]](#)

Miłość to moją tak zatwardza duszę;

Chcąc być łagodnym, okrutnym być muszę.

William Szekspir, *Hamlet*, akt 3, scena 4, 177-78

(1600; przekład Józefa Paszkowskiego)

WPROWADZONY OFICJALNIE DO KATOWSKIEGO BRACTWA 19-letni Frantz Schmidt mógł już wkroczyć na tę drogę zawodową, która powinna była zapewnić mu z czasem stałe zatrudnienie. Wkrótce po profesjonalnym debiucie w Steinach w czerwcu 1573 r. młody najemnik został wezwany do miasta Kronach, w połowie drogi z Bambergu do Hofu, ażeby wykonać pierwszą „egzekucję z użyciem koła”. Frantz pisze o tym ze zwięzłością, do której przywykł w tamtych latach wędrowek. Dowiadujemy się tylko, że skazany zabójca, niejaki Barthel Dochendte, dopuścił się ze swymi anonimowymi współnikami co najmniej trzech morderstw i że przykry finał jego życia poprzedziło rutynowe powieszenie złodzieja — odbyły się zatem dwie egzekucje, a kat nowicjusz miał dwa debiuty. Młody Schmidt nie zamierza w żaden sposób upamiętnić tych początkowych katowskich doświadczeń — przynajmniej nie w formie pisemnej.

Wspierany przez ojca Frantz w pierwszych 12 miesiącach pracy w tym zawodzie otrzymał aż siedem zleceń. Przeważnie oczekiwano egzekucji „z użyciem stryczka”, które pozbawiały życia różnych złodziei, a Frantz pisał o nich wszystkich oszczędnie i bez emocji. Wieszanie odbywało się w dosyć prosty sposób, chociaż była to czynność, która mogła przerazić: młody kat wchodził z nieszczęsnym grzesznikiem na drabinę o podwójnej wysokości i najzwyczajniej spychał z niej ofiarę. W niektórych jednostkach administracyjnych były w użyciu stołki albo krzesła i później, bo dopiero pod koniec XVIII stulecia, pojawiła się w Europie platforma z zapadnią. Wcześniej więc nie dochodziło do nagłego upadku ofiary, na złamanie karku, lecz ofiara dusiła się dosyć długo, co kat albo jego pomocnik mogli przyspieszyć pociągnięciem delikwenta, już będącego w konwulsjach, za nogi, a wykonywali to w specjalnych rękawiczkach z psiej skóry. Ledwo rozpaczliwa walka ze śmiercią dobiegała końca, Frantz usuwał drabinę i pozostawiał zwłoki ofiary na szubienicy, gdzie tkwiły, póki się nie rozpadły i nie trafiły na stos

kości pod szubienicą.

Trzy zlecenia w pierwszym roku pracy Frantza dotyczyły „egzekucji z użyciem koła”, która trwała dłużej i wymagała od niego znacznie większej siły fizycznej oraz odporności emocjonalnej. Była ona wśród jego zawodowych czynności tą, w której należało okazać szczególną bezwzględność, a nawet okrucieństwo. Zastrzegano takie egzekucje dla notorycznych bandytów i wszelkich morderców, a ich istotą były publiczne tortury, traktowane podobnie jak jeszcze bardziej poniżające — i o wiele rzadsze — wleczenie za koniem i ćwiartowanie. Ale jeśli rozpowszechnione dręczenie w więziennych izbach tortur służyło z zasady wydobyciu informacji, które można by wykorzystać jako podstawę wyroku skazującego — czyli jako dowody w sprawie, odbywające się publicznie łamanie kołem dawano po prostu zrytualizowany upust gniewowi społeczności i stanowiło strasliwą przestrożę dla widzów z inklinacją do zbrodni.

Wszyscy trzej mężczyźni, których Frantz łamał kołem w pierwszym roku pracy, byli wielokrotnymi mordercami. Dopiero jednak Klaus Renckhart z Veilsdorfu, siódma ofiara Frantza, zasłużył na dłuższą wzmiankę w dzienniku młodego kata. W drugiej połowie 1574 r. mistrz Heinrich zadbał o to, aby syn mógł pojechać do wsi Greiz, oddalonej mniej więcej o 60 kilometrów na północny wschód od ich rodzinnego Hofu. Dotarwszy po czterech dniach podróży z Bambergu, Frantz stanął twarzą w twarz z samym Renckhartem, skazanym za trzy morderstwa i liczne grabieże. Za pierwszym razem widzieli się chyba krótko, ale ostatnią godzinę życia skazańca najemny kat i jego ofiara spędzili wspólnie.

Natychmiast po ogłoszeniu wyroku śmierci przez miejscowy sąd Frantz poprowadził spętanego Renckharta do czekającego nań wozu z konnym zaprzęgiem. W czasie powolnej podróży na miejsce kaźni Frantz wykonał ustaloną w sądzie liczbę „uszczypięć” rozżarzonymi do czerwoności obcęgami, wrywając kawałki ciała z ramion i torsu skazańca. W diariuszu rzadko pojawiają się wzmianki o takiej torturze, ale mogły to być co najwyżej cztery uszczypięcia, bo uważano je powszechnie za groźne dla życia. Kiedy obaj dotarli na miejsce egzekucji, Frantz kazał osłabionemu i krwawiącemu Renckhartowi rozebrać się do bielizny i paść na ziemię, aby — jako kat — mógł go unieruchomić i starannie umieścić pod stawami drewniane klocki, które powinny ułatwić połamanie kości. Liczbę uderzeń ciężkim kołem od wozu albo specjalnie przysposobionym żelaznym prętem również określał zazwyczaj sąd, podobnie jak cały przebieg egzekucji. Jeżeli sędzia i przysięgli postanowili okazać miłosierdzie, to Frantz uderzał „z góry na dół” i najpierw dobijał, wykonywał *coup de grâce* („cios łaski”), czyli uderzał w szyję albo serce, po czym druzgotał kończyny trupa. Gdy natomiast popełniono zbrodnię uznaną w sądzie za szczególnie rażącą, przychodziło Frantzowi uderzać „od dołu” i przeciągać mękę skazańca, póki było to możliwe, co oznaczało 30 albo i więcej uderzeń kołem od wozu, zanim skazany morderca wyzionął ducha. Znowu nie znajdujemy u Frantza wyjaśnienia, czy taką mękę poprzedzał *coup de grâce*, ale wydaje się on nieprawdopodobny ze względu na okrutne czyny zbrodniarza. Zmasakrowane ciało Renckharta zostało w końcu przez młodego kata uwolnione z więzów i przeniesione: Frantz umieścił je na kole, które znalazło się na szczycie pala, ustawionego potem pionowo, ażeby syciło drapieżne ptaki i konkretnym przykładem uświadamiało przybyszom całkowitą powagę władz w egzekwowaniu prawa.



Zrealizowana przez Frantza Schmidta w 1585 r. egzekucja ojcobójcy, Frantza Seuboldta — ilustracja z ówczesnej gazety dla masowego odbiorcy. W górnej lewej części widać „nieładzką” zasadzkę Seuboldta i mord na ojcu, kiedy ten rozmieszczał siła, w które chwycił ptaki. Na pierwszym planie mistrz Frantz szarpie ciało skażńca rozpalonymi obcęgami w czasie procesji na miejsce kaźni. Ledwo docierają do Kruczego Kamienia, następuje egzekucja z użyciem koła, na szczybie którego zwłoki zostają umieszczone i wystawione obok szubienicy na widok publiczny (w tle — nieopodal — pokazano głowy na palach).

Jak odnosił się Frantz do własnej roli w tym makabrycznym krwawym rytuale? Zapisy w dzienniku niewiele tu wyjaśniają, może tylko dawać do myślenia ich lakoniczność. Czyżby w latach wędrowek za pracą okazywał w niej tyleż powściągliwości, ile dostrzegamy w późniejszych komentarzach? Cóż, oglądanie takich przerażających widowisk to jednak co innego niż własnoręczne wykonywanie wyroków. Frantz musiał osiągnąć należyty poziom sprawności technicznej, ale też — i było to nie mniej ważne — taką psychiczną odporność, jaka pozwalała spojrzeć skażńcowi w oczy przed przerywaniem jego doczesnej egzystencji. Czy ambicja młodego najemnika z dołąła przeważać nad wrodzoną niechęcią do tej niepięknej pracy, czy też jakoś inaczej uczynił ją łatwiejszą do zniesienia? A przede wszystkim: jak bronił się przed wypaleniem zawodowym, na które mogło go narazić niemal codzienne stosowanie przemocy?

Częściową odpowiedź można znaleźć w krótkiej notatce o Renckharcie w dzienniku Frantza. Ten wędrowny kat nie opisuje samego rytuału egzekucji (co w późniejszym życiu czyni nierzadko), lecz woli się skupić na zbrodniach Renckharta, zwłaszcza na pewnym niedawnym bestialstwie, które musiało zmrozić krew w żyłach Frantza. Po zwięzłym omówieniu innych mordów tego zbója znajdujemy opis napadu na oddalony od reszty zabudowań wiejski dom o nazwie Lisi Młyn — napadu dokonanego przez Renckharta i jego współnika. Gdy obaj włamał się tam, Renckhart „zastrzelił młynarza, po czym zniewolił jego żonę i służącą, i obie zgwałcił. Następnie kazał im usmażyć jajko, to zaś rozłożył na ciele zmarłego młynarza, [i] zmusił młynarżową do wspólnego posilenia się jajecznicą. Kopnął także trupa i zapytał: *Jak ci się to widzi, młynarzu?*” Szokujące podeptanie ludzkiej godności przez tego zbrodniarza było w oczach

Frantza wystarczającym usprawiedliwieniem dla „śmierci z przyczyny łamania kołem”. Taka strategia — wspomnianie i zapisywanie ohydnych przestępstw, za które należało odpowiednio ukarać, i to z jego osobistym udziałem — była pożytecznym wynalazkiem Frantza, który przez wiele lat kariery zawodowej utwierdzał go w przekonaniu o słuszności wykonywanych egzekucji.

W drodze

Między 19. a 24. rokiem życia Frantz niezmiennie wykorzystywał rodzinny dom w Bambergu jako bazę dla swoich podróży po Frankonii, które odbywał, aby realizować kolejne krótkotrwałe zlecenia. Jego ówczesne życie różniło się pod tym względem tylko nieznacznie od egzystencji większości rówieśników zajmujących się do fachowej pracy — wszyscy oni chcieli przecież zyskać dobrą opinię i zapewnić sobie trwałą pozycję jako mistrzowie. W tamtym okresie niejedno ułatwiła Frantzowi renoma mistrza Heinricha i ojcowskie kontakty zawodowe, jako że trafił do paru wiosek, gdzie pilnie potrzebowano kata, który mógłby jednorazowo przesłuchać i wykonać wyrok. Żadna z tych małych miejscowości nie dała Frantzowi nadziewać na stałą posadę, ale wszystkie razem pozwoliły mu zarobić na utrzymanie i zdobyć bezcenne doświadczenie. W swoim dzienniku odnotował w tamtych latach 29 egzekucji w 13 miastach (najczęściej były to Hollfeld i Forchheim), przy czym każda wymagała od niego niespełna dwudniowej podróży z nowego miejsca zamieszkania (por. mapkę). Ponadto wyręczył ojca w tych egzekucjach, do których doszło w Bambergu: jedną wykonał w roku 1574, dwie pozostałe — trzy lata później [82]. Zdarzało się Frantzowi w dalszych latach swojej kariery umieszczać w dzienniku dłuższe refleksyjne notatki i rozważać w nich takie na przykład kwestie, jak motywy ludzi, których pozabawiał życia. W tamtym jednak, wcześniejszym okresie wyłącznie egzekucji na Renckharcie poświęcił nieco więcej miejsca — opisał ją w kilku liniijkach. Przewagę w myśleniu i zapisach młodego najemnego kata zyskiwała natomiast perspektywa awansu zawodowego, toteż koncentruje się on na liczbie wykonanych egzekucji oraz różnorodności metod zabijania, jakie miał w repertuarze. Wszystko, co — choćby w bardzo zwięzłej formie — mogło świadczyć o zamierzzonej introspekcji, musiało poczekać do czasu osiągnięcia stabilności i poczucia bezpieczeństwa.

Tak jak niejednen ambitny młody człowiek, młody Frantz — dzięki ojcowskim radom — wiedział chyba, że upragnionej stałej posady nie zapewni mu sama sprawność techniczna. W światku zawodowych katów, gdzie można było coraz lepiej zarobić i gdzie panowała coraz wyraźniejsza konkurencja, przydawały się ponadto użyteczne kontakty i szanowane nazwisko. Heinrich Schmidt mógł wskazać synowi właściwe drzwi, ale przyszły sukces zależał od tego, czy Frantz potrafi zrobić na wpływowym przedstawicielach władzy sądowniczej korzystne wrażenie i kwalifikacjami, i prawością. Zasłużeń na opinię człowieka uczciwego, obdarzonego roztropnością, takiego, któremu można zaufać i który okaże się nawet pobożny, szło zatem w parze z doświadczeniem nabywanym pod szubienicą. W późniejszych latach Frantz miał lepszą reputację dzięki temu, że był coraz bliżej osób darzonych szacunkiem. Ale na początku kariery pragnął usilnie, aby jak najmniej kojarzono go z ludźmi pogardzanymi. Takie wczesne tworzenie własnego wizerunku uczyniło jego życie w latach najmowania się do pracy trudniejszym i bardziej samotnym, pozwoliło mu jednak przyswoić sobie wiele nawyków i cech charakteru, którymi później mistrz Frantz zasłynął i zasłużył na poważanie.

Podróżując niczym „wędrowny ptak”, spotykał Frantz ludzi z wszystkich właściwie warstw

społecznych. Zwykliśmy myśleć o Europie przełomu średniowiecza i ery nowożytnej jako o kontynencie w gruncie rzeczy statycznym, choć dawała się tu zaobserwować niemała geograficzna mobilność. Młodemu katowi łatwo było rozpoznać większość podróżujących po ubiorze i środku transportu. Szlachcice w futrach i patrycjusz w jedwabnych płaszczach, które przywdziewali, wyruszając z domów, okazywali się — zgodnie z intencją — najbardziej widoczni, a wybierali się w drogę konno albo powozami, na ogół z co najmniej kilkuosobową zbrojną asystą. Kupcy, bankierzy, medycy i juryści także przeważnie podróżowali konno i nakładali szorstkie wełniane opończe. Sam Frantz mógł dosiadać jednego z ojcowskich koni, ale raczej — jak większość poczciwców niższego stanu — wędrował pieszo. Na pełnych kurzu ścieżkach i błotnistych drogach Frankonii bywał chyba często mijany i prześcigany przez galopujących kurierów, a nawet przez wozy używane do transportu, które — załadowane wyrobami manufaktur, winem albo żywnością — posuwały się bardzo mozolnie. Pielgrzymi do miejsc kultu ubierali się w pokutne białe szaty, a także worki, i szli wolniej, natomiast rodzinom podążającym na wesela albo rolnikom w drodze na jarmark spieszyło się i wśród nich zazwyczaj głośno gwarzono. Młody najemnik w skromnym kapeluszu i płaszczu podróżnym, czasem z kosturem w rękę, był jedną z postaci, które widywano najczęściej.

Na wiejskich drogach czyhało wiele niebezpieczeństw, o czym Frantz dobrze wiedział. Jego prawdopodobne osobiste spotkania z rozbójnikami na gościńcach i z innymi ludźmi tego pokroju nie przeszły jednak do historii. Wiadomo nam o zagrożeniu mniej oczywistym, z którym młody kat stykał się regularnie i którego wołał uniknąć — mowa o kontakcie z licznym na drogach „wędrownym pospółstwem”, odsądzanym od czci i wiary^[83]. W tym środowisku najmniej dotkliwa marginalizacja była udziałem migrujących robotników rolnych i ludzi, którzy zajmowali się handlem oraz usługami w różnych miejscowościach: domokrążców, straganiarzy, naprawiaczy garnków, sprzedawców naczyń cynowych, szliferyzy noży i szmaciarczy. Sami kaci, podobnie jak rzeźnicy i garbarze, byli jeszcze na ogół zaliczani do tego właśnie środowiska, traktowani na równi z różnymi dostawcami rozrywki, że wymienimy tutaj akrobatów, kobziarzy, lalkarzy, aktorów i ludzi, którzy szczuli psy na uwiązane niedźwiedzie. Jeżeliby w podróży zdarzyło się Frantzowi mieć publicznie do czynienia z takimi ludźmi, naraziłby się niechybnie na społeczną stygmatyzację, a tej przecież się wystrzegał.

Wnikliwa znajomość świata przestępczego, zwłaszcza tak zwanej kompanii złodziejskiej, stawiała Frantza w jeszcze mniej dogodnej sytuacji. Wielu ojcowskich pomocników wywodziło się z gorszych środowisk i to samo dotyczyło oczywiście większości ofiar Frantza. Obaj — i Heinrich, i Frantz Schmidowie — byli, jak wszyscy kaci, biegli w posługiwaniu się barwnym ulicznym slangiem włóczęgów i przestępców, tak zwanym *Rotwelsch*, który łączył ze sobą wyrazy zaczerpnięte z języków jidysz i romskiego, a także z niektórych dialektów niemieckiej. Ktoś na przykład, kto zadomowił się w świątku kryminalistów i „kupił małą” (był pijany), wołał pewnie nie spotkać „kochanka” (policjanta), zwłaszcza jeśli ostatnio uprawiał „szermierkę” (żebrak), „targował się” (oszukiwał) albo „przypalał” (szantażował)^[84]. Frantzowi nie były obce nawet umowne znaki i symbole, które tacy włóczędzy ryli albo rysowali kredą na gościnnych domach i zajazdach^[85]. Wiele osobistych kontaktów młodego Schmidta z zatwardziałymi zawodowymi przestępcami, w prawdzie nie na gruncie towarzyskim, sprawiało, że należał on raczej i przede wszystkim do ich „uświadomionej” (*kocheme*) społeczności niż do świata „tępego” (*wittische*) ogółu. Oswojenie Frantza z mieszkańcami obu światów ułatwiało mu niewątpliwie rozpoznawanie typów spod ciemnej gwiazdy, pozwalało trzymać się od nich z daleka, ale lata asystowania ojcu nauczyły go również tego, że linia podziału na uczciwych i nieuczciwych nie jest ani zawsze wyraźna, ani też niezmienna.

Pod tym względem największe wyzwanie dla młodego mężczyzny, który chciał jednak

uchodzić za uczciwego, stanowili rówieśnicy. Dokądkolwiek Frantz się udał, wszędzie trafiał na dominującą kulturę mężczyźni w kawalerskim stanie — już to podobnych jemu, uczciwych najemników, już to ludzi uwikłanych w nieczyste przedsięwzięcia, którzy upodobali sobie nade wszystko picie, kobiety i sport. Zwłaszcza alkohol okazywał się nieodzowny w męskiej przyjaźni Niemców na początku ery nowożytnej, miał ponadto szczególne znaczenie w rytuale młodzieńczej inicjacji. Przy sprośnych piosenkach i wierszach, żłopaniu piwa albo wina tworzyła się chwilowa więź uczestników libacji lub następowało wprowadzenie do miejscowej paczki, wojskowej kohorty, stowarzyszenia zawodowego lub nawet przyjęcie do swoistego bractwa krwi. Zajazdy o nazwach, które dzisiaj brzmią dziwnie, na przykład „Błękitny klucz” albo „Złoty topór”, były zwykle pierwszymi przystankami wszystkich mężczyzn, którzy przybywali do wioski czy miasta, i postawienie kolejki ludziom zastanym w zajeździe najszybciej zyskiwało przybyszom szacunek i przyjaźń (choć co prawda niezbyt głęboką).

Tak samo jak dziś ówczesne przyjaźnie młodych mężczyzn rozwijały się najlepiej dzięki najróżniejszym odmianom współzawodnictwa. Rozrywkami oczywistymi były gra w karty i hazard. Zapasy i mecze łucznicze pozwalały przekonać się o własnej kondycji fizycznej i stanowiły dodatkowe okazje do zakładów. Legendarne są też długie alkoholowe libacje Niemców i „pojedynki” w picie wina oraz piwa, które czasem prowadziły do poważnych uszkodzeń narządów wewnętrznych i sporadycznie zabijały. Pijacka komitywa między bywalcami zajazdów skłaniała często do przesadnego chwalenia się jurmością. A oczywiście niebezpieczne połączenie alkoholu z testosteronem nieuchronnie wywoływało agresję — nie tylko bójk i walki na noże pomiędzy młodymi mężczyznami, ale też ataki na inne osoby: przeważnie napastowanie kobiet [\[86\]](#).

Obracanie się w tym swarliwym świątku nie było dobrym pomysłem dla ambitnego młodego kata. Miał konsekwentnie unikać takiego towarzystwa i obcowania z jednostkami wyjętymi spod prawa. Skutkiem okazywała się dobrowolna izolacja, zapewne trudna w sensie emocjonalnym i tym dotkliwsza, że nie został on jeszcze zaakceptowany przez ludzi szanowanych. Właściciele zajazdów, którzy cieszyli się dobrą opinią, wciąż nie byli skorzy do przyjęcia u siebie kogoś, kto pochodził z rodziny katowskiej, mimo że to i owo zlecał mu ksiądz-biskup, a także mimo wytwornego ubioru i nienaganych manier. Podróżując, Schmidt mógł próbować zataić swoją profesję czy nawet okłamać albo też poszukać kwatery gdzie indziej, w domu czy stodole gościnnego człowieka, który go nie znał. Ale gdy docierał do wsi, w której miała się odbyć egzekucja, nie było sposobu, aby przed kimkolwiek ukrył swoją tożsamość, a więc udział w spotkaniach towarzyskich w ogóle nie wchodził w rachubę. Jedynymi młodymi mężczyznami, którzy byli gotowi zasiąść do stołu z Frantzem (i pić na jego koszt), okazywali się ci właśnie, którzy zrażali go do siebie — żebracy, najemni żołnierze i prawdopodobnie przestępcy. Równie ograniczone były szanse Frantza na kobiecie towarzystwo: córki czigodnych rzemieślników unikały go, a gdyby w jego życiu pojawiały się ładacznie czy inne rozwiazęły kobiety, zaprzęcałyby dobrą opinią o sobie, na której przecież bardzo mu zależało.

Franz podjął decyzję osobliwą u mężczyzny z tamtych czasów — postanowił mianowicie wyrzec się wina, piwa i w ogóle wszelkiego alkoholu, nie oznaczało to jednak całkowitej rezygnacji z kontaktów towarzyskich. Wytrwał przy tym postanowieniu do końca życia, zaszły nim i wzbudzał powszechny podziw. Pewną rolę odegrała być może religia Frantza, ale tak czy inaczej całkowita abstynencja zdarzała się w XVI stuleciu rzadko, nawet wśród nadzwyczaj pobożnych osób obojga płci. My, żyjący dzisiaj, moglibyśmy domniemywać, że Frantz ucierpiał z powodu żenujących zachowań czy przemocy w stanie zamroczenia ze strony bliskiej mu osoby, na przykład ojca. Jakikolwiek jednak były religijne czy emocjonalne pobudki Frantza Schmidta, podjął on decyzję dobrze przemyślaną, która mogła mu ułatwić karierę.

W ówczesnej Europie zakładano, że kat musi pić na umór — i nie był to stereotyp bezpodstawny. Wielu przedstawicieli wykonywanego przez Frantza zawodu dodawało sobie odwagi przed koniecznym dręczeniem i zabijaniem bliźnich co najmniej jednym kuflem piwa, a po fakcie szukało zapomnienia w sporych ilościach wina. Publicznie zadawszy kłam legendzie o upodobaniu katów do alkoholu, Frantz w niepospolity sposób podkreślił trzeźwość — dosłowną i metaforyczną — swojego wyboru drogi życiowej. Takim manewrem, godnym mistrza jujitsu, Frantz Schmidt uwolnił się od faktycznej izolacji społecznej: przemienił jej odium w cnotę, która wyróżniała go w oczach przyszłych chlebobawców i być może ogółu ludzi. Spokojny najemnik bez towarzystwa i bez alkoholu, siedzący w najdalszym kącie zajazdu, mógł wydawać się kimś osamotnionym, ale przecież dobrze wiedział, co wybrał [\[87\]](#).



Zajazdy z początków ery nowożytnej były dla takich młodych mężczyzn, jak Frantz, miejscami pijatyk, hazardu, bójek i wyżywania seksualnego. Niektórzy moralści widzieli w zajazdach „szkoły bandytyzmu”, gdzie często obmyślano kradzieże i inne czyny karalne, a tymczasem właściciele tych przybytków bywali paserami, natomiast prostytutki, znane jako „rozpuszne złodziejki”, myszkowały po kieszeniach niczego niepodjrzewających, podpitych gości (ok. roku 1530).

Przemoc dla wykrycia prawdy

Aby uzyskać zawodową stabilność, Franz musiał oczywiście udowodnić swoje umiejętności w dwu odrębnych odmianach egzekwowania prawa, mianowicie w prowadzeniu przesłuchań i wykonywaniu wyroków. I jedno, i drugie wymagało stosowania znacznie większej przemocy fizycznej niż dzisiejsze organy wymiaru sprawiedliwości uznałyby (przynajmniej oficjalnie) za uzasadnione. Przyczyną tej zmiany jest zapewne współczesna większa wrażliwość na ludzkie

cierpienie i większe poszanowanie godności człowieka, jednak z drugiej strony nagłówki z pierwszych stron gazet zadają temu kłam. Taka sama zmienna alchemia współczucia i odwetu, jaka podsyca obecne dyskusje o karaniu za przestępstwa, ujawniała się w reakcjach na te czyny w czasach Frantza Schmidta. Dlaczego zatem na początku ery nowożytnej karano aż tak brutalnie? I dlaczego istniał tak wielki popyt na usługach realizatorów państwowej przemocy, na ludzi podobnych Frantzowi?

Otóż ówczesny wymiar sprawiedliwości, zwłaszcza w takich „postępowych” miastach jak Norymberga, daremnie próbował zasypać przepaść między ambicją skuteczniejszego ścigania przestępców a nieustającym poleganiem na tradycyjnych i zgoła niewystarczających środkach, które prowadziły do tego celu. Mimo cesarskich kodeksów — bamberskiego i *Caroliny* — procedowanie większości miejscowych organów, działalność ich personelu i powszechna mentalność pozostawały związane z dawnym modelem oskarżeń prywatnych. Zdarzało się, że energiczniejsze od pewnego czasu sądy kryminalne manifestowały tragiczną podatność na powszechne uprzedzenia i przyzwolenie na motyw prywatnej rywalizacji — było to widoczne na przykład w kontekście powszechnego panicznego strachu przed czarownicami. Częściej władze świeckie starały się po prostu ukryć własną ewidentną nieudolność w przeciwdziałaniu przestępczości i ujmowaniu sprawców. W dzienniku Frantza nie brak wizerunków notorycznych przestępców, którzy łatwo umykali władzom, czasem „żyjąc jawnie na obszarze działania innych organów wymiaru sprawiedliwości”, póki wreszcie nie musieli stanąć przed właściwym sądem z inicjatywy ofiary, osoby z nią spokrewnionej albo burmistrza (takie wezwanie określano jako *posse comitatus*^[88]).

Godny zaufania i rozsądny kat odgrywał zazwyczaj kluczową rolę w maksymalnym eksploatowaniu tych niewielu możliwości, jakimi dysponowano od chwili, gdy osoba podejrzana znalazła się pod strażą. Właśnie kat wydobywał pierwsze informacje od tych, którzy nie chcieli zeznawać; on również kończył postępowanie wymiaru sprawiedliwości rytualnym publicznym spektaklem wykonania wyroku. Wobec oświadczeń co najmniej dwóch bezstronnych świadków (w wieku co najmniej 12 lat) podejrzany zwykle przyznawał się do winy, a wtedy Frantz nie musiał demonstrować swojej zręczności w izbie tortur. Znacznym ułatwieniem dla prokuratorów były też dowody rzeczowe — ukradzione przedmioty albo broń ze śladami krwi ofiary mordu. Niestety sądy często nie odnajdywały ani świadków, ani dowodów rzeczowych, więc śledztwo spełzało na niczym, bo przecież medycyna sądowa rozwinęła się dopiero w XIX stuleciu, a w czasach Frantza nie na wiele było ją stać. Skoro brakowało niepodważalnych dowodów, skazanie osoby podejrzanej zależało prawie wyłącznie od tego, czy zechciała ona przyznać się do zarzucanego przestępstwa. Tu właśnie przydawał się zawodowy kat. W Bambergu Frantz był pomocnikiem ojca; tam, dokąd jeździł sam, działał na własną rękę.



Tak u schyłku wieków średnich przeprowadzano starodawną próbę mar. Pod koniec XVI w. ten ostatni relikw badania wedle wyroków boskich stracił poparcie władzy sądowniczej, ale nadal wierzono dość powszechnie, że zwłoki ofiary mordu krwawią albo poruszają się, gdy dotyka ich ręka sprawcy (rok 1513).

Podobnie jak ci, którzy przesłuchują obecnie, Frantz Schmidt i jego przełożeni byli świadomymi przydatności zastraszania oraz wszystkich innych odmian presji emocjonalnej. Metodę wydobywania samooskarżeń o morderstwa, która nie wymagała przemocy, ale wiązała się ze znacznym naciskiem na psychikę oskarżonego, stanowiła tak zwana próba mar. Ten starodawny zwyczaj germański, znany czytelnikom *Pieśni o Nibelungach* i innych średniowiecznych sag, pozostawał bardzo użytecznym narzędziem w arsenale towarzyszącym przesłuchaniom. W obecności wielu zgromadzonych świadków kat i jego pomocnik zmuszali osobę oskarżoną — albo nawet całą grupę takich osób — do dotknięcia leżących na marach zwłok. Jeżeli zwłoki krwawiły albo inaczej wskazywały na winę (na przykład wyraźnym ruchem), to zabójca powinien być, jak zakładano, przyznać się do zbrodni^[89].

Żaden prawnik nie upatrywał w samym tym zdarzeniu dowodu wystarczającego ani nawet takiego, któremu należałoby dać wiarę, ale osoby dotykające zwłok przeżywały traumę i często potrafiły jednak wyznać to, co dręczyło ich sumienia. Frantz pisze o jednym tylko w jego karierze przypadku zastosowania próby mar, i to w czasie, gdy lata pracy wędrownej dawno miał już za sobą. Oskarżona Dorothea Hoffmennin zarzekała się, że nie uduśliła urodzonej dopiero co córeczki, ale „kiedy przyniesiono jej martwe dziecko, dotknęła skóry tegoż — uczyniła tak ze ściśniętym sercem — i w tym miejscu pojawił się czerwony ślad”. Dorothea zachowała jednak spokój i nie wyznała swojej winy, i skończyło się tym, „że została różgami wypędzona z miasta”. Mimo wszystko sam strach przed taką przykrą próbą powodował uległość, którą doświadczeni kaci mogli odpowiednio wykorzystać. Po latach Frantz napisał o innej domniemanej morderczynie, która pogrążyła siebie tym, że na głos zabroniła współnikowi ponownego wejścia do patrycjuszowskiego domu starej panny, dopiero co zabitej przez oboje we śnie, gdyż obawiała się „krwawego potu” ofiary, gdyby człowiek ten się zbliżył^[90].

O ile wstępne przesłuchania były bezowocne, a jurysci, których opinii zasięgnięto, znajdowali dosyć „poszlak”, ażeby zarządzić tortury, przełożeni Frantza polecali mu „starannie spętać” podejrzanego i „zagrozić” mu, co stanowiło pierwszy spośród coraz dotkliwszych etapów torturowania^[91]. Schmidt nie pozostawił po sobie opisu tej metody przesłuchań, jaką posługiwał się w latach pracy najemnika, ale zapewne była ona podobna do ustalonej procedury norymberskiej z lat późniejszych. Najpierw kat i jego pomocnik zabierali osobę oskarżoną z celi

do odizolowanej izby, w której na eksponowanych miejscach leżały narzędzia tortur. W Norymberdze przesłuchiwano w „Lochu”, specjalnie wybudowanej izbie tortur, którą nazywano też kaplicą, jako że miała łukowaty sufit (być może tymi, co ją tak ochrzczili, powodowało wyczcucie makabrycznej ironii). Ta salka bez okien, o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych, znajdowała się bezpośrednio pod jedną z ratuszowych sal posiedzeń. W tej ostatniej siedzibie dwaj przysięgli należący do patrycjatu — ludzie, którym oszczędzono oglądania koszmarnego spektaklu, zajęci przeglądaniem notatek dotyczących danej sprawy. Ci dwaj przesłuchiwali podejrzanych przez specjalnie zaprojektowany przewód powietrzny, który łączył tę salę z izbą tortur.

Również w tej fazie procedury kat wiązał większe nadzieje z brakiem odporności emocjonalnej i presją psychologiczną aniżeli z brutalnym wymuszaniem. W „kaplicy” mistrz Frantz i jego pomocnik krępowali ludzi podejrzanych, przywiązując ich czasem do koła tortur, ale częściej sadowiąc na krzesła przytwierdzonym do podłogi, po czym bardzo dokładnie omawiali przeznaczenie widocznych narzędzi. Pewien jurysta weteran radził niedoświadczonym katom, takim jak młody Frantz, aby nie okazywać w tym momencie ani umiaru, ani łagodności, lecz „dzielić się pogłoskami, nawet spekulacjami, i wypowiadać rzeczy zadziwiające [*Wunder-Dinge*]: przedstawiać siebie jako wielkiego człowieka, który zdążył dokonać wielkich czynów, a swój kunszt opanował tak dobrze, iż jego fortele i gesty nie pozwolą nikomu zataić przed nim prawdy, czego szczęśliwie już dowiódł całemu światu, mając do czynienia ze złoczyńcami nadzwyczaj opornymi”^[92]. Niewykluczone, że Frantz nauczył się od ojca jakiejś odmiany odgrywania ról dobrego i złego kata, którzy już to grozili przerażonym ofiarom dręczenia, już to je pocieszali. Większość wołała w takich warunkach wyznać swoje winy, aby uniknąć i bólu, i późniejszej stygmatyzacji z powodu tortur^[93].

Dłużej opierali się nieliczni, na ogół zatwardziali zbrojcy, i wobec nich kat ze swoim pomocnikiem stosował od tej pory taką czy inną — aprobowaną przez przełożonych — metodę wywierania fizycznego nacisku. W Bambergu i Norymberdze władze godziły się na zaciskanie kciuków osobom oskarżonym (to zastrzegano przeważnie dla kobiet), „buty hiszpańskie” (śruby wbijane w nogi), „ogień” (świece albo pochodnie pod pachami ofiar), „wodę” (dzisiaj znaną pod nazwą „pławienie”), „drabinę” (czyli koło tortur; ofiara była przywiązana do drabiny, po czym należało ją rozciągnąć albo poturbować na bębnie ze szpikulcami) oraz „wianek” (czyli koronę; na skroń ofiary trafiała metalowa i skórzana opaska, którą powoli zaciskano). Torturę najbardziej rozpowszechnioną w Bambergu i Norymberdze stanowił „kamień”, lepiej znany pod nazwą *strappado*: wiązano ofierze ręce na plecach, a następnie podnoszono ją i opuszczano na krążku linowym, z kamieniami o różnym ciężarze u stóp. Ludzka pomysłowość i sadyzm nie mogły nie przynieść obfitości innych wyszukanych sposobów zadawania bólu — pomorskiej czapki, polskiego barana, angielskiej koszuli — oraz prostackich, ale skutecznych upokorzeń, że wspomnimy choćby o wymuszaniu zjadania robaków i ekskrementów albo o wbijaniu drewniak pod paznokcie^[94]. Frantz Schmidt wiedział niewątpliwie o istnieniu większości, jeżeli nie wszystkich spośród tych metod. Ale czy on lub jego ojciec — być może w odruchu zniecierpliwienia szczególnym oporem podejrzanej osoby — kiedykolwiek uciekli się do takich nieaprobowanych metod? Jak można było się spodziewać, nie ma o tym wzmianki ani w dzienniku Frantza, ani w urzędowych zapisach.



Sposób przesłuchiwania znany jako *strappado* został tu pokazany w momencie poprzedzającym przymocowanie jednego z kamieni do stóp podejrzanego (rok 1513).

Rzadko się zdarzało, aby w instrukcjach dla Frantza znalazło się wyznaczenie czasu tortur, na przykład nie więcej niż 15 minut dla kobiet, które niedawno urodziły. Z reguły ocena „torturowalności” (*Foltertauglichkeit*) należała wyłącznie do kata. Chirurgów i innych medyków dopuszczano do izb tortur u schyłku istnienia tychże, dopiero 200 lat później^[95]. Teoretycznie znajomość ludzkiej anatomii, uzyskana przez Frantza poza uczelnią, wystarczała, aby zadać dosyć bólu i nie spowodować poważnych obrażeń cielesnych albo śmierci. Gdy sam został mistrzem, mógł odwoływać, odradzać albo łagodzić tortury, chociaż bywało tak, że jego decyzje anulowano. W przypadku skłonnego do kradzieży żołdaka, który „już ucierpiał od głębokich ran nie tylko w głowie, ale też na nogach i rękach”, niemłody wtedy Frantz uznał, że ten człowiek raczej nie przeżyje tortury *strappado*. A kiedy zeznanie tegoż przestępcy — uzyskane dzięki torturze zaciskania kciuków — nie zadowoliło przełożonych kata, polecono Schmidtowi środki boleśniejsze: dwukrotne dręczenie ogniem i cztery seanse „wianka”. Szwagier tego złodzieja okazał się jeszcze bardziej uparty i musiał przetrwać sześć „drabin”, a także wielokrotne wsuwanie woskowych świec pod lewą pachę. Nie zdziwił pewnie to, że obaj w końcu przyznali się do winy i „litościwie zostali ścięci mieczem”^[96].

Na kacie ciążyła ponadto największa odpowiedzialność za w miarę dobre zdrowie wszystkich podejrzanych — przed przesłuchaniami i po ich zakończeniu. Frantz był w pełni świadomy przykrych skutków pobytu w więzieniu, zwłaszcza dla kobiet, toteż boleje w swoim diariuszu nad każdym przypadkiem wielotygodniowego przebywania podejrzanego w małej celi „brudnego więzienia”, celi, która nadawała się tylko do tego, by potrzymać w niej krótko przed przesłuchaniem i wydaniem wyroku^[97]. Frantz osobiście nastawiał złamane kości i opatrywał otwarte rany więźniów, sprowadzał też pielęgniarki dla opieki nad morderczyniami w położu i w ogóle nad chorymi kobietami. Ta ojcowska troska o dobre samopoczucie aresztantów musi dzisiaj razić jako nielogiczny przejaw okrucieństwa, skoro pozwalano dochodzić do zdrowia, ażeby skuteczniej torturować i w końcu pozbawić życia. Frantz i jego koledy zdawali sobie sprawę z paradoksalności tej sytuacji. Pewien kapelan

więzienny wspomina cyrulika, czyli chirurga, którego sprowadzono, żeby katu pomagał, i który „lecząc [skazańca], wyznał mi, iż niechętnie poświęcił tyle czasu na naprawienie tego, co mistrz Frantz musiał obrócić wniwecz”[\[98\]](#).

Utrzymanie skazanego przestępcy w zadowolającym stanie do dnia publicznej egzekucji nie przychodziło Frantzowi łatwo nawet wtedy, gdy miał już za sobą wiele lat praktyki. Rolnik aresztowany w 1586 roku i poddany torturom jako przypuszczalny morderca pasierba przyznał się dopiero, gdy „Bóg dał nagle widoczny znak [jego winy]” i człowiek ten padł trupem, chyba z powodu zawału serca[\[99\]](#). Tortury skutkowały czasem także zaburzeniami psychicznymi, które mogły w jednakowej albo nawet większej mierze przeszkodzić w sprawym i skutecznym wykonaniu publicznej egzekucji. Pewien „niepokorny i uparty złodziej” przetrwał seans trzykrotnego dręczenia ogniem i nadal przysięgał przed Bogiem, że jest niewinny, w celi zaczął jednak zachowywać się „wielce osobliwie i niesfornie”, na przemian uderzając w niepowstrzymany płacz i waląc dookoła siebie, a próbował też gryźć więziennego strażnika. Dawniej „pilnie się modlił”, teraz jednak nie chciał ani modlitwy, ani rozmowy z kimkolwiek — wołał tkwić w kęście celi i podśpiewywać: „oj dana dana, przyzywam szatana”[\[100\]](#)!

Młodzi mężczyźni, którzy trudnili się grabieżą i rzemiosłem zbrojeckim, wkraczali do izby tortur, zadzierżycie okazując zuchwałość właściwą ulicznikom, i oczywiście najdłużej stawiali opór; potrafili też najwięcej wytrzymać. Jako że ani w diariuszu, ani w protokołach przesłuchań nie ma wzmianek o ewentualnych komentarzach kata, trudno rozstrzygnąć, czy bardziej irytowały Frantza nazbyt długie seanse tortur w przypadkach nadmiernego uporu podejrzanych, czy bezlitośni patrycjusze, którzy byli jego przełożonymi. Wojowniczy 16-latek, Hensa Kreuzmayer, oskarżony o podpalenie i próbę morderstwa, był dręczony kilka razy jednego dnia — przetrwał *strappado*, „wianek” i „ogień” — i w końcu przyznał się tylko do tego, że „w złożu wypowiedział sakramentalną klątwę” pod adresem różnych nieżyczliwych mu włóścian[\[101\]](#). Jörg Mayr, zdumiewająco aktywny złodziej w tym samym wieku, przeżył sześć tygodni wypełnionych kilkoma podobnymi seansami, aż wreszcie z rozpaczyny dosłownie padł do stóp przysięgłych, którzy go przesłuchiwali, i zdał się na ich miłosierdzie[\[102\]](#). Ludzie starsi wiekiem i bardziej doświadczeni zwykle rozumieali daremność oporu i dawali się szybciej złamać. Po dłuższym, ale bezskutecznym seansie tortur zastosowanych wobec zbrojcy weterana apodyktyczny przełożony Frantza spokojnym tonem uprzedził podejzranego, że „zrobimy [z tobą] znowu, cokolwiek zechcemy, i rozderzemy [cię] na strzępy, choćbyś nie miał powodu przyznać się do morderstwa”, po czym ten podejrzany pojął, że znalazł się w sytuacji beznadziejnej i do wszystkiego się przyznał[\[103\]](#).

Jak sam Frantz odnosił się do roli zawodowego dręczyciela, którą przyszło mu odgrywać? Ten młody najemnik na najniższym szczeblu hierarchii musiał wykonywać czynności najbardziej brutalne w całej procedurze przesłuchiwania — pociągąc za linę przy torturze *strappado*, dokręcać śruby, przypalać rozwrzeszczanych delikwentów. Kaci mistrzowie byli na ogół nadzorcami, a brudną robotę pozostawiali mniej zacnym pomocnikom. Nie wiemy, czy Frantz wołał cedować takie czynności, gdy sam był już mistrzem — z tej głównie przyczyny, że chociaż prowadził dziennik przez niemal pół wieku, rzadko kiedy pisał *explicite* o swojej roli w aplikowaniu tortur. Obok zestawienia wykonanych egzekucji oraz kar cielesnych brak wykazu seansów torturowania, mimo że przesłuchiwał sam na sam częściej i w dłuższym okresie niż łącznie wykonywał egzekucje i kary[\[104\]](#). Bez zachowanych protokołów przesłuchań jego udział w tym comiesięcznym, a czasem cotygodniowym procedowaniu nie zostałby w ogóle dostrzeżony.

Czy Frantz odczuwał wstyd, czy po prostu wołał pominąć swe niechlubne zajęcia w izbie tortur? Same w sobie nie hańbiły one bardziej niż publiczne chłostanie, wieszanie czy łamanie

kołem, co wykonywał osobiście aż do emerytury, której doczekał się kilkadziesiąt lat później. I chyba nie uważa również takiej planowej przemocy za nieuzasadnioną. W tych kilku przypadkach, kiedy Frantz pisze o torturach, daje wyraz przekonaniu, że właściwie wszyscy, którzy doświadczyli dręczenia, zwłaszcza złodzieje i osławieni zbójcy, w pewnej mierze zawiniли. Jeden tylko przypadek zastosowania tortur skłonił Frantza do wyrażenia żalu, ten mianowicie, gdy wielokrotny morderca Bastian Grübel fałszywie zadenuncjował kompana, „do którego zapałał wrogością, po czym sprowadzono obwinionego do miasta i w obecności delatora poddano torturom. [Tamten] skrzywdził go kłamstwami, albowiem umyślił sobie, iż tą niesprawiedliwością wobec rolnika odsunie podejrzenie o morderstwa od siebie i sam odzyska wolność”[\[105\]](#). Gniewny ton kata świadczy o typowym dla niego współczuciu, jakim darzył wszystkie ofiary, ale Frantz *implicite* przekonuje ponadto samego siebie, że tortury bezpodstawne należą do rzadkości. Temat dręczenia pojawia się jednak w przedstawianych przez posuniętego w latach Frantza Schmidta opisach okrucieństw ze strony włamywaczy, które potwierdzały zdziczenie tych ludzi. Uznajmy te — częstsze — powroty do tematu tortur za interesujące wybiegi kata[\[106\]](#).

Czy Frantz istotnie dawał wiarę ówczesnemu aksjomatowi prawników, który sugerował, że „ból wyzwala prawdę”? Trudno powiedzieć. Prawie zawsze próbował nakłaniać do wyznań presją psychologiczną i innymi metodami dalekimi od przemocy, zanim uciekał się do zadania fizycznego bólu. Nasuwa się tu wniosek, że traktował tortury jako zło — czasami — konieczne, ale raczej nie widział w nich nieodzownego elementu procesu dochodzenia do prawdy. A że po wielekroć wyrażał empatię wobec cierpień, jakich doświadczyli podejrzeni, również nie wskazuje to na sadyzm Frantza Schmidta.

Więcej trudności przysporzy nam pogląd Frantza na efektywność przymusu fizycznego. Wyjątkowo i mimochodem wspomniał on, że pewien człowiek oskarżony o zamordowanie dziecka „wyjawił prawdę”, gdy poddano go torturom, ale jest to wzmianka odosobniona[\[107\]](#). W całym diariuszu Frantz Schmidt pozoruje przyjmowanie na wiarę takich szczegółów, których osoba torturowana w ogóle nie mogła zapamiętać, tyle że również one, jak sam zechciałby pewnie zastrzec, nie wpłynęły na ostateczne uznanie tej osoby winną.

Czy Frantz brał kiedykolwiek pod uwagę taką ewentualność, że wymuszone torturami przyznanie się do przestępstwa mogłoby spowodować egzekucję niewinnego człowieka? Nie możemy mieć co do tego pewności. Niezmiennie dbały o własne miejsce w hierarchii społecznej i — jakże istotny — awans zawodowy, ten pełen zapału młody najemnik mógł pocieszać się tym, że odpowiedzialność za tortury spadała na przełożonych, którym (we własnym interesie) przysiągł posłuszeństwo i wierną służbę. Kat bardziej doświadczony i ustabilizowany pod względem finansowym znalazłby niechybnie jeszcze więcej argumentów, które uspokoiłyby sumienie: jeżeli oskarżony nie ponosi winy za rozpatrywane przestępstwo, to najpewniej popełnił jakieś inne. Występować w obronie kogoś, być może niewinnego, oczywiście nie należało, aby nie stracić pracy i nie narazić dobrobytu rodziny. Katom godziło się i godzi wykonywać rozkazy, a nie rozstrzygać o niewinności lub winie.

Co najważniejsze, Frantz nie stawiał się w pozycji oponenta wobec ludzi torturowanych, który musiał za wszelką cenę uzyskać od nich samooskarżenie. Przyznane oficjalne prawo do odroczenia tortur albo nawet rezygnacji z nich dawało mu znaczną swobodę działania, ilekroć wątpli w czyjaś winę, toteż niekiedy dochodziło do wycofania oskarżeń. W późniejszym okresie życia Frantza były co najmniej dwie takie sytuacje, kiedy z powodzeniem zalecił zwolnienie starszych kobiet podejrzanych o czary, stwierdził bowiem, że nie wytrzymałyby one fizycznie nawet najłagodniejszej tortury[\[108\]](#). Frantz mógł sobie zapewnić pewien komfort duchowy, ponieważ wiedział, że tylko garstka spośród wielu podejrzanych, którzy stawali przed sądem,

doświadczala tortur, i byli to ludzie oskarżeni o bardzo poważne zbrodnie, przy czym mało kto musiał przetrwać więcej niż jeden seans. Wiedział również, że większość torturowanych uniknęła kary śmierci, a jedną na trzy osoby zwolniono, nie każąc jej później w ogóle[109]. To nader istotne wskazanie na domniemany umiar i legalizm jest szczególnie pomocne każdemu, kto chce zrozumieć, jak człowiek pełen empatii, obdarzony inteligencją i pobożny mógł się pogodzić ze swoją rolą w odrażającym i rutynowym upokarzaniu jednostki, które nazywamy torturami.

Przemoc gwoli sprawiedliwości

Sukces Frantza w aranżowaniu publicznego spektaklu przemocy sądowej jawił się jako *conditio sine qua non* jego zawodowej reputacji. Wiele wymierzanych na początku ery nowożytnej kar za przestępstwa dzisiejszy komentator nazwie już to barbarzyńskimi, już to dziwacznymi. Można się dopatrywać dziecinnej dosłowności w dostosowywaniu kar do przestępstw — czegoś, co Jacob Grimm określił jako „poezję w prawie”[110]. Niektóre podstawowe komponenty kary — zwłaszcza odwet zbiorowy i publiczny — miały swoje korzenie w odległej historii plemion germańskich, natomiast inne czynniki, że wskażemy tu na *lex talionis*[111] albo prawo mojżeszowe („oko za oko”), zyskały nowe życie dzięki ewangelickim reformom zainicjowanym przez dwa poprzednie pokolenia. Ówczesna atmosfera wzmożonej religijności także sprzyjała normowaniu procedury prawnej, wierzono bowiem, że bezkarność przestępców mogłaby sprowadzić gniew Boży na całą społeczność (*Landstraffe*), a karą mogła być powódź, klęska głodu lub zaraza. Póki żył Frantz Schmidt (i dłużej, bo jeszcze w XVIII stuleciu), wielkie zainteresowanie Boga Ojca efektywnym wymiarem sprawiedliwości nierządno działało jak katalizator kolejnych kampanii podejmowanych przez bojowników o praworządność i miało wpływ na pewne decyzje prawne.

Skuteczne kary cielesne z ręki Frantza były bardzo istotne w ocenie jego kwalifikacji zawodowych. Przychodzi tu na myśl obserwowana w wiekach średnich skłonność do barwnego i „adekwatnego” poniżania na oczach tłumów: przypomnijmy sobie kłótlive kumoszki w maskach „smoków domowych” albo „skrzypce” (wydłużone drewniane pęta na szyjach i nadgarstkach), skóre do porubstwa młode kobiety z „kamiennymi hańbami” (te ważyły co najmniej 13,5 kilograma) i oczywiście dyby, w których rozmaici złoczyńcy musieli znosić obelgi, opluwanie i obrzucanie różnymi przedmiotami. W warstwach lepiej sytuowanych normą pozostawały natomiast polubowne uzgodnienia finansowe.

Kary okrutniejsze — na przykład ucinanie obu palców przydatnych przy ślubowaniu (wskazującego i środkowego) krzywoprzysięzcom czy wyrywanie języków bluźniercom — były dosyć rozpowszechnione przed XVI stuleciem. Ale za życia Frantza większość niemieckich elit rządzących uznawała takie praktyki za nieskuteczne i szkodliwe, ponieważ dostrzegano już to ich bezsens, już to bezzasadne okrucieństwo. Pewien prawnik norymberski określił brutalne wykłuwanie oczu (za usiłowanie morderstwa) jako „karę surowszą niżli ucięcie głowy”, zresztą prawie wszędzie w cesarstwie zaniechano tej praktyki przed rokiem 1600[112]. Wtedy nie słyszano już o straszliwych okaleczeniach: kastracji czy ucinaniu rąk.



Pod koniec XVI w. tradycyjna kara wyklucia oczu należała już na ziemiach niemieckich do rzadkości (ok. roku 1540).

Mimo takiej tendencji Frantz Schmidt bywał zmuszony do karania przez okaleczenie. I w Bambergu, i w Norymberdze jeszcze długo po zaniechaniu tego starodawnego zwyczaju na innych ziemiach praktykowano karę odcinania krzywoprzysięzcom i recydywistom palców, które następnie wrzucano do rzeki. W swojej długiej karierze stawał Frantz na norymberskim Moście Mięsnym (*Fleischbrücke*), aby uciąć palce dziewięciu osobom, mianowicie ładacznikom, rajfurkom, szulerom, kłusownikom i fałszywym świadkom. Przyszło mu również wypalić duże N (inicjał Norymbergi) na policzkach czterech sutenerów i oszustów, odciąć uszy czterem kobietom, które trudniły się nierządem i złodziejstwem, jak i czubek języka pewnemu szklarzowi bluźniercy^[113].

Pomiędzy zanikiem okaleczeń w imieniu prawa, do czego doszło w połowie XVI stulecia, a XVII-wiecznym rozpowszechnieniem się domów przymusowej pracy i więzień — innymi słowy, za życia mistrza Frantza — najczęstszą karą cielesną na ziemiach niemieckich była banicja, poprzedzona nierazko wychłostaniem różgami. Skoro nie istniało zbyt wiele możliwości karania za przestępstwa mniejszej wagi, zwłaszcza za drobne kradzieże i naruszenia prawa o podłożu seksualnym, przełożeni Frantza w Bambergu i później w Norymberdze po prostu dostosowali ten średniowieczny zwyczaj do swoich potrzeb. Banicję na czas od roku do dziesięciu lat zastąpiono dożywotnim wygnaniem i dotyczyło ono „wszelkich miast i pól” w dawnej jednostce administracyjnej (już nie tylko samego miasta), a ponadto coraz chętniej podkreślano fakt banicji bolesną publiczną chłostą albo przynajmniej zakuwaniem w dyby na pewien czas. W większych miastach niemieckich chłostanie osób wypędzonych stało się wydarzeniem częstym, nawet cotygodniowym. Od jesieni 1572 do wiosny 1578 r. Frantz asystował ojcu, czasem jedynie jako obserwator, przy co najmniej tuzinie, a maksymalnie 15 chłostach rocznie^[114]. W toku późniejszej solowej kariery w Norymberdze sam Frantz potraktował tak co najmniej 367 osób, około 9 w jednym roku, w okresie szczytowym zaś — w latach 1579-1588 — wychłostał ich dwa razy więcej. Diariusz kryje w sobie aluzje do

przypadków nieujętych przez Frantza w zestawieniu, mimo że w grę wchodziły wyroki wykonane osobiście, oraz do — o wiele liczniejszych — przypadków chłosty, którą wykonywał jego pomocnik[115]. W Norymberdze najróżniejsze kary cielesne zdarzały się tak często, że któregoś dnia zostały wykorzystane wszystkie miejskie dyby (w sumie sześć) i mistrz Frantz musiał przywiązać szulera recydywistę „do krzesła kalwińskiego kaznodziei na kamiennym moście” (dzisiaj jest to *Maxbrücke*), aby odrąbać oba palce przydatne do ślubowania, a następnie — chłoszcząc — jeszcze raz wypędzić go z miasta[116].

Rytuał relegowania osób niepożądanych poza granice miast posiadał wszystkie te komponenty, które cieszyły XVI-wiecznych sędziów: przekonującą afirmację ich władzy w publicznym ogłoszeniu wyroku przez pedla, bicie w kościelne „dzwony nieszczęśliwych grzeszników”, upokarzające obnażanie winowajców do pasa (zajmowali się tym kaci, czasem zezwalając kobietom na to, by skromnie zasłaniały się kawałkami płótna), a także bolesne smaganie przestępców w dybach i podczas procesji do bramy miejskiej. Zakładano, że podzielała to jako przestroga i skłoni osobę karaną do zmiany postępowania albo przynajmniej powstrzyma ją przed kolejnymi naruszeniami prawa. Tak jak podczas publicznych egzekucji, zawsze trzeba było się liczyć z niezadowoleniem tłumu gapiów. Chłostą wypędzono pewnego razu z Norymbergi „trzy nadobne młode niewiasty” i [za procesją] „pobiegło nadzwyczaj wielu, co sprawiło, że kilka osób zdeptano pod Niewieścią Bramą”[117]. Mimo zagrożeń paternalistyczne elity rządzące nie umiały oprzeć się pokusie na pozór harmonijnego łączenia odwetu z działaniem odstrasającym w tym rytuale pozbywania się pewnych ludzi, zwłaszcza że brakowało rozsądnej alternatywy.

Samą chłostę powierzano zwyczajowo pomocnikowi kata lub katom najemnikom, do których zaliczał się przecież młody Frantz Schmidt. W Bambergu Heinrich Schmidt wołał wywiązywać się z tego osobiście, gdyż najprawdopodobniej nadal był stale wynagradzany za swoją pracę. Z szacunku do ojca lub kierując się własną etyką zawodową, Frantz nie przestawał chłostać własnoręcznie (i sumiennie to odnotowywać), chociaż od dawna otrzymywał roczne pobory i mógł ten przykry obowiązek scedować na kogo innego. Posługiwał się, dodajmy, witkami brzołowymi, które uważano za narzędzia chłosty powodujące większy ból i trwałe obrażenia cielesne, a nawet, co zdarzało się bardzo rzadko, śmierć[118]. A jednak sam kat wspomina o częstej nieskuteczności tych rytuałów zadawania bólu i poniżania, i czyni to w dziurawych komentarzach na temat „banicji z użyciem różg” zastosowanej wobec wielu winowajców, z którymi przyszło mu się zetknąć. Nie inaczej wypowiadali się norymberscy prawnicy, doradzając augsburskim kolegom karanie w ten sposób mniej groźnych przestępców — jak choćby żebraków, którzy mogli wykonywać pracę zarobkową, i innych włóczęgów — ażeby tacy ludzie nie stawali się zawodowymi kryminalistami[119].



W pewnej norymberskiej kronice uwieczniono mistrza Frantza w trakcie wypędzania chłostą czterech złoczyńców równocześnie. Zauważmy, że ci mężczyźni mają całkiem nagie plecy, ale zachowali na głowach kapelusze, nie inaczej niż mistrz Frantz, który przy tej okazji jest ponadto w czerwonej pelerynie (rok 1616).

Oczywiście tym usankcjonowanym przejawem przemocy, którym kaci z początków ery nowożytnej rozstawili się najbardziej i który także od Frantza wymagał największego kunsztu, była sama publiczna egzekucja. Pewien niemiecki historyk przed stu laty napisał o XVI-wiecznym wymiarze sprawiedliwości, że stosowano w nim „kary najokrutniejsze i tak mało przemyślane, iż gorsze trudno sobie wyobrazić”, ale wiadomo, że każdą karę i każdy przypadek jej zastosowania poprzedzała głęboka refleksja, która dotyczyła przede wszystkim adekwatnej miary okrucieństwa i zrytualizowanej przemocy^[120]. Tak jak przy modyfikowaniu tradycyjnych kar cielesnych, również odnośnie do publicznych egzekucji pod koniec XVI stulecia władze świeckie poszukiwały możliwości stworzenia pewnego precedensu w postaci względnej równowagi między surowością a miłosierdziem, przy czym zależało im na wszechmocy prawa i takim własnym prestiżu, który pozwalały to prawo egzekwować. W „postępowym” prawodawstwie i orzecznictwie miast podobnych Norymberdze nie sposób było dłużej tolerować procedur w jakiegokolwiek mierze kojarzonych z przewagą oraz terrorem motłochu — mowa tu między innymi o egzekucjach wykonywanych na Żydach i czarownicach. Należało prócz tego wyeliminować wszelkie średniowieczne tradycje, które mogły narażać sędziów na śmieszność. W grę wchodziły tu publiczne procesy wytaczane trupom przestępców, jak również procesy drapieżnych i „ohydnych” zwierząt (tam, gdzie panowała ciemnota, zdarzały się one jeszcze w XVIII stuleciu)^[121]. Kat, który odznaczał się sprawnością techniczną i był człowiekiem spolegliwym, mógł osobiście zasłużyć na to, by kojarzono go z mieczem sprawiedliwości — szybko i stanowczo uśmiercał, ale nigdy nie posuwał się do okrucieństwa arbitralnego czy zbędnego.

Nowe standardy, którym ambitny Frantz Schmidt musiał sprostać, były rozpoznawalne dzięki temu, że właściwie wszelkie egzekucje, jakie miał w swoim repertuarze, zmodyfikowano. Nadzwyczajnym wymownym przykładem podjętej wtedy adaptacji „tyleż łagodnych, co budzących grozę” zwyczajów germańskich jest karanie przestępczyni^[122]. W średniowieczu i jeszcze za życia Frantza Schmidta większość kobiet już to poniżano publicznie, zadając jedynie ból fizyczny, już to karano grzywnami. Opcją wybieraną często w przypadkach pomniejszych wykroczeń była ponadto czasowa banicja. Jeśli jednak, co zdarzało się sporadycznie, zapadał wyrok śmierci na zbrodniczkę, jego wykonanie mogło

przerazić. Jako że powieszenie kobiety uchodziło za nieprzyzwoite (dawało przecież widzom możliwość zajrzenia pod spódnicę), a ucięcie głowy zastrzegano dla czcigodnych mężczyzn, przed XVI stuleciem kobiety były najczęściej grzebane żywcem pod szubienicami. Na długo przed narodzinami Frantza Schmidta władze Norymbergi uznały tę karę za „okrutną” i żenująco przestarzałą: „Takie wykonywanie wyroku śmierci jest [nadal] praktykowane w niewielu już miejscach Świętego Cesarstwa”. Na decyzję tych władz miała wpływ także kłopotliwa realizacja grzebania żywcem, choćby i przyspieszona przebicciem serca. Pewna skazana młoda kobieta „broniła się tak zaciekle, że zdarła wielkie płyty skóry z ramion obu dłoni i stóp”, czym w końcu osiągnęła to, iż norymberski kat ułaskawił ją i poprosił tamtejszych sędziów o zaniechanie tej formy egzekucji; ci uczynili to oficjalnie w 1515 r. O dziwo *Carolina*, ogłoszona w roku 1532, zachowała karę pogrzebania żywcem za dzieciobójstwo, „iżby takim rozpacziwym czynom zapobiec”, ale stosowano ją rzadko^[123].

Przyjęty w większości niemieckich państw zamiennik tej kary nie wyda się pewnie nam, żyjącym dzisiaj, alternatywą bardziej pozytywną. Topienie w konopnych workach było również dawnym zwyczajem germańskim, wspomnianym już przez Tacyta (56-117 n.e.). Wielu XVI-wiecznych przedstawicieli władz doszło do wniosku, że niewidoczna walka ze śmiercią, toczona w wodzie, mniej raziła niż oglądane miotania się, które towarzyszyło tamtej opcji — co więcej, grzebanie żywcem budziło nierzadko współczucie tak wielkie, iż lepiej było, zdaniem władz, tego uniknąć. Jednak zawodowi kaci — a wśród nich Frantz Schmidt — uważali, że publiczne topienie jako widowisko mogło przysporzyć nie mniejszych trudności i w pewnych przypadkach nawet potrwać dłużej. W 1500 r. pewnej skazanej kobiecie udało się przeżyć pod wodą tyle czasu, że zdążyła się wydostać z worka i dopłynąć z powrotem do pomostu egzekucyjnego, skąd została wcześniej zepchnięta. Jej dowcipne tłumaczenie — „Wypłynęłam przedtem cztery litry wina, nie było więc miejsca na wodę” — nie zrobiło wrażenia na obecnych tam sędziach, którzy zarządziли natychmiast pogrzebanie żywcem. Na krótko przed przybyciem Frantza do Norymbergi pomocnik jego poprzednika użył długiego drąga, ażeby nie pozwolić nieszczęsnej grzesznicy wynurzyć się z workiem, „ale że drąg się złamał [z wody] wypłynęło ramię i niewiasta podniosła krzyk, pod wodą przeżyła ośfistą prawie trzy kwadranse”^[124].

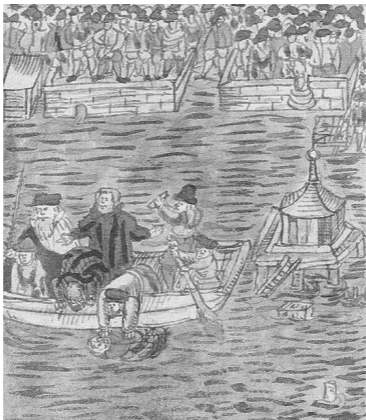


Nawet w średniowieczu palenie kobiet żywcem uchodziło za koszmarnie widowisko i było często skracane wbięciem kołka w serce ofiary, jak na tej rycinie, która przedstawia ostatnią taką egzekucję w Norymberdze z 1522 r. (rok 1616).

Sam Frantz nie komentuje w miarę spokojnego toku swej pierwszej egzekucji tego rodzaju, która pozbawiła życia pewną młodą służącą z Lehrbergu, w 1578 r. skazaną za

dzieciobójstwo [125]. Natomiast dwa lata później jest nadzwyczaj wylewny i nawet chwali się tym, że jemu i więziennym kapelanom udało się doprowadzić do rezygnacji z tej formy egzekucji w Norymberdze — był to precedens prawny, z którego brano później wzór na obszarze całego cesarstwa. Swoją pierwszy apel do przełożonych poparł Schmidt zręcznym praktycznym argumentem: stwierdził, że prawie nigdzie rzeka Pegnitz nie jest wystarczająco głęboka i akurat o tej porze roku (w połowie stycznia) „całkiem zamarza”. Wielu rajców sprzeciwiało się wszelkim zmianom, replikując, iż natura chce, aby kobiety „szły potulnie na dno” i żeby młody kat postarał się to przyspieszyć. Później Frantz wystąpił z propozycją ścięcia tych kobiet skazanych za dzieciobójstwo, czyli kary bezprecedensowej dla osób tej płci, a niektórzy rajcy określili ten pomysł jako nazbyt wspaniałomyślny i nie dość odstraszący, „zważywszy na tę straszliwą i jakże częstą zbrodnię”, godny odrzucenia także dlatego, że potrójna egzekucja musiałaby przyciągnąć ogromny tłum. Szczęśliwie duchowni, którzy stali po stronie Frantza, dostarczyli dodatkowego argumentu, stwierdziwszy, że woda nadaje moc „złemu duchowi”, czym powoduje niezamierzone przedłużenie procedury. Sojusznicy z kręgów prawniczych zdobyli się na *coup de grâce*: przyznali, że topiąc, można uśmiercić „surowo” i niewątpliwie zaskutecznie, ale odpowiedzieli też rajcom, wyjaśniając, że pozbawienie głowy odstrasza skutecznej, potrafi bardziej wstrząsnąć, „ponieważ przy topieniu nie widać, jak owa [skazana] osoba zachowuje się pod koniec”, gdy tymczasem ścięcie na otwartej przestrzeni „przykładnie”, a zatem skutecznie unaocznia coś obecnym. „Dla wszystkich trzech niewiast skazanych na utopienie przygotowano już pomosty, które kazałem poświęcić” — ten zapis w dzienniku Frantza pojawia się w momencie, gdy sędziowie wreszcie ustępują i stawiają godny uwagi warunek: aby kat przybił potem gwoździami „wszystkie trzy głowy od góry do wielkiego szafotu” [126].

Kompromis odnośnie do egzekucji kobiet stał się wzorcem przydatnym Frantzowi w dalszej karierze, pozwolił bowiem na zrównoważenie oczekiwania rządzących, aby w przykładowy sposób „wstrząsano” publiką, i stosownych, czyli niezakłóconych demonstracji posiadanej przez nich władzy. Przybijanie głów i kończyn skazańców do szubienic zaspokajało atawistyczną żądzę krwawego odwetu i upokarzania, a z kolei położenie kresu publicznemu dręczeniu nieodłącznemu przy wielu tradycyjnych odmianach egzekucji dodało prawomocności całej tej procedurze i przyczyniło się nawet do jej swoistej sakralizacji. Poza dwoma wyjątkami wszyscy nieszczęśliwi grzesznicy, których w późniejszej karierze mistrza Frantza czekało spalenie, spłonęli dopiero, gdy odcięto im głowy, albo nie trafiali na stos [127]. (Wszędzie indziej na obszarze Niemiec oczywiście nadal pandemicznie palono czarownice, rzadko kiedy poprzedzając to duszeniem). W późniejszym okresie przyszło Frantzowi utopić tylko jedną kobietę, która należała do nadzwyczaj okrutnej i osławionej bandy zbrojeckiej, żadna też kobieta nie została pogrzebana żywcem ani wbita na pal czy to w Bambergu, czy to w Norymberdze (ale tak właśnie uśmiercano w niektórych miejscowościach Szwajcarii oraz Czech co najmniej sto lat dłużej) [128]. Głowy morderczyń trafiły natomiast nierazdo na szubienice albo pobliskie słupy i tak samo potraktowano wszystkie cztery kończyny pewnego zdrajcy, skazanego na wleczenie za koniem i ćwiartowanie, a później „miłosiernie ściętego tutaj mieczem” [129].



Gdziekolwiek, na przykład — jak na tej rycinie — w Zurychu, wyrzucano nieszczęsnych grzeszników za burtę. Kat norymberski skonstruował prowizoryczne rusztowanie dla topionych w ten sposób (rok 1586).

Utrzymywała się już tylko jedna tradycyjna forma publicznej egzekucji z dręczeniem jako elementem najważniejszym: łamanie kołem. Podobnie jak wtedy, gdy w grę wchodziło dzieciobójstwo, ogromne obawy i gniew z powodu zbrodni brutalnych grabieżców i żołdaków często znaczyły więcej niż ewentualne zaniechanie konsekwentnych manifestacji urzędowego spokoju i umiaru. Tłum wyrażał głośno swój aplauz, gdy nikczemny zbój, Niklaus Stüller (znany również jako Czarny Bandyta) „był wieziony saniami przez Bamberg, mając ciało trzy razy poszarpane rozżarzonymi do czerwoności obcęgami” przez najemnego kata. Razem ze współnikami — byli to bracia Phila i Görgla von Sunberg — zamordował osiem osób, między innymi dwie ciężarne kobiety, co gorsza, każdej wykroił z łona żywy płód. Jak zeznał Stüller, „kiedy Görgla powiedział, że popełnili wielki grzech, i chciał zabrać niemowlęta do księdza, aby ten je ochrzcił, [jego brat] Phila oświadczył, że sam odegra rolę księdza i ochrzci dzieci, po czym chwycił je za nogi i oboje grzmotnął o ziemię”. Zadana Stüllerowi przez Frantza „śmierć z użyciem koła” wydaje się łagodna w porównaniu z karą, jaka spotkała jego współników, których inny kat „powłókł później za koniem i poćwiartował w Koburgu”.

Rozrywanie ciała skazańca rozżarzonymi obcęgami i staranne łamanie kołem były w zawodowej karierze Frantza tymi czynnościami, przy których musiał stosować najwięcej przemocy. Chociaż liczba szarpnięć rozpalonymi obcęgami i liczba uderzeń kołem były wówczas dokładnie określone w sentencji wyroku śmierci, kat miał chyba pewną swobodę

działania, zwłaszcza co do siły uderzeń. Zdarzył się w karierze Frantza taki moment, gry norymberscy przełożeni musieli go przestrzec „przed łagodnym traktowaniem skazańców i polecili mocno szarpać obcęgami, żeby tamci zaznali bólu”[130]. Wszakże nawet w obliczu czynów szokujących — na przykład „mordu na bliskiej rozwiązania połowicy” popełnionego przez Hansa Dopffera — sędzia przewodniczący i przysięgli często przychylali się do próśb o ścięcie, czyli egzekucję litościwszą i bardziej honorową, byleby ciało złamano później kołem i pozostawiono na nim, i byleby tamże zgniło[131].

Tak jak odnośnie do dręczenia, tak i w kwestii łamania kołem Frantz niechętnie ujawnia szczegóły. Egzekucji z użyciem koła wykonał siedem w latach wędrowek i 30 w całej karierze. Jeden tylko raz podaje, ilu uderzeń potrzebował, aby uśmiercić, natomiast we wszystkich pozostałych zapisach, które dotyczą takich egzekucji, mówi przede wszystkim o wielu ciężkich przewinieniach osoby skazanej[132]. Z różnych innych relacji wynika jednak, iż to straszliwe dręczenie trwało czasem bardzo długo i faktycznie perspektywa ta przerażała schwytanych zabójców. Sam mistrz Frantz przedstawia pewnego skazańca z traumą, „który miał przy sobie [w celi] nóż, dwa razy dźgnął nim własny brzuch, a potem rzucił się na nóż, ale nie przebił ciała; rozerwał też koszulkę i chciał siebie udusić, co mu się nie powiodło”. Kapelan, magister Hagendorf, pisze w dzienniku o innym bandycie i mordercy, który też targnął się na swe życie i postanowił uniknąć losu, jaki go czekał, „trzema przebiciami ciała ukrytym wcześniej narzędziem”. Obaj przeżyli próby samobójcze, powrócili do zdrowia dzięki opiece ze strony mistrza Frantza i każdy został we właściwym czasie ukarany na Kruczym Kamieniu[133].

Mimo że śmierć przez powieszenie wymagała mniejszej brutalności niż łamanie kołem, uważano ją na ogół za jednakowo albo nawet — pod pewnymi względami — za bardziej hańbiącą. Upokarzające publiczne odebranie życia stryczkiem czy łańcuchem było już karą niełatwą do przyjęcia; późniejsze rzucenie na pastwę kruków i innej zwierzyny stanowiło jeszcze wstydlivszą perspektywę. Dopowiedzmy, że wielu mistrzów katowskiego rzemiosła wyznaczało to odrażające zadanie podwładnym, ale Frantz Schmidt aż do przejścia po 40 latach na emeryturę obstawał przy własnoręcznym wykonywaniu najokrutniejszych czynności w tej pogardzanej profesji. W latach 1573-1578 powiesił on — co potwierdza dziennik — 14 mężczyzn (pierwszego na samym początku kariery, gdy ledwo ukończył 19 lat), a w sumie 172 osoby, głównie złodziei, ale też dwie kobiety i prawie dwa tuziny młodocianych w wieku do 18 lat. Konieczność powieszenia owych dwóch niewiast (było to w roku 1584) zaskoczyła Frantza, bo przecież „nie zdarzyło się nigdy przedtem”, aby w Norymberdze kobieta zawisła na szubienicy. Na bodaj większy dyskomfort narażało go wieszanie „niereformowalnych” nastoletnich złodziejasków, w każdym jednak przypadku ten gorliwy fachowiec wywiązał się z tego bez komplikacji, o których byłoby wiadomo z jakiegokolwiek źródła[134].



Widać tu rzadką scenę powieszenia szlachcica, augsburskiego ministra finansów, i — w tym samym czasie — chyba jakiegoś wyrostka. Kat pozostaje aż do zgonu ofiar na podwójnej drabinie, a poniżej celebrują kapelani (rok 1579).

Wolno nam się domyślać, iż mistrz Frantz — podobnie jak większość kolegów — miał ponadto wieszanie za czynność nieciekawą z technicznego punktu widzenia. Rola kata sprowadzała się do założenia stryczka na szycę skazańca i zepchnięcia go z drabiny. W tych miastach, gdzie nie było stałych szubienic, przosno czasem Frantza o nadzór nad wznoszeniem prowizorycznych konstrukcji, ale sama budowa należała do fachowców. Tak jak przy każdej innej egzekucji, kat miał baczenie na osobę skazaną, póki trwała ta procedura, przy czym najtrudniejsze było zwykle nakłonienie takiej osoby do wejścia po drabinie i pod stryczek. W norymberskich kronikach można znaleźć ilustracje ukazujące mistrza Frantza i jego pomocnika na przydatnych do tego celu podwójnych drabinach. Czasami jako ułatwienie stosowano krążek do przeciągania liny, dzięki któremu nieszczęsnych grzeszników po prostu zsuwano z drabin sąsiednich, tak że „między ciałem a ziemią świeciło słońce”[\[135\]](#). Niektórzy kaci starali się uczynić taką śmierć nader bolesnym i poniżającym doświadczeniem dla skazanych, po uduszeniu zwieszali ich bowiem do góry nogami na łańcuchach. Na norymberskiej szubienicy był specjalny kącik dla Żydów, ale mistrz Frantz nigdy z niego nie korzystał: jednego Żyda zgarotował na krześle ustawionym przed szubienicą (co było przejawem szczególnej łaskawości), a drugiego powiesił „na chrześcijańską modłę”[\[136\]](#).

W pierwszych trzech latach wędrowania Frantza za pracą 11 wykonanych egzekucji (prócz jednej) oznaczało najbardziej hańbiące pozbawienie życia: już to wieszzał, już to łamał kołem. Takich przykrych zleceń nie sposób było uniknąć, jako że stanowiły nieuchronny trybut zawodowy i wzbudzały zaufanie w okolicy. Dzięki nim w następnych latach czekało go uśmiercenie prawie tylu (10) osób mieczem, ilu (11) skazańcom musiał założyć stryczek — jego status zawodowy wyraźnie rósł. Póki trwała ta długa kariera, oba sposoby wykonywania kary śmierci, przez powieszenie i ścięcie, stanowiły zarówno w Bambergu, jak i w Norymberdze 90% wszystkich 394 egzekucji[\[137\]](#).

Preferencja dla ścięć, która w okresie pracy zawodowej Frantza była coraz bardziej widoczna, miała swą przyczynę w pewnej tendencji o szerszym wymiarze. Otóż w niemieckich państewkach obserwowano stopniowy zanik egzekucji wykonywanych na złodziejach (przez powieszenie), który zbiegł się w czasie z łagodzeniem ekstremalnych sposobów uśmiercania. W pierwszej połowie kariery Schmidta wieszano prawie dwa razy częściej niż ucinano głowy; gdy rozpoczął się wiek XVII, widać już było odwrócenie tej proporcji[138]. Odpowiednio rósł wówczas respekt dla katowskich umiejętności i poprawiał się status samego zawodu.

Sprawne władanie mieczem, czym wyróżniał się Frantz, miało oczywiście większy udział w uzyskiwaniu zawodowej tożsamości niż nieprzynosząca chwały praca „wieszacza”. Sam Frantz nigdy nie posługiwał się tym uwłaczającym określeniem. W swoich zapisach niezmiennie nazywa siebie „katem”, używa terminu *Scharfrichter*, który podkreśla czynny udział takich ludzi w egzekwowaniu prawa, ich związek z sądownictwem, to zaś można przeciwstawić koszmarnej pracy w izbach tortur, łamaniu kołem i zakładaniu stryczka. Wzmianki o dwóch osobach powieszonych w latach wędrówek za pracą znalazły się w dzienniku Frantza tylko dlatego, że chodziło o „moją pierwszą egzekucję” (w roku 1573) i „moją pierwszą egzekucję w Norymberdze” (4 lata później). Natomiast „moja pierwsza egzekucja z użyciem miecza” (z roku 1573) zostaje odnotowana jako zawodowy sukces, ważniejszy niż którekolwiek inne pierwsze wykonanie wyroku upamiętnione w diariuszu[139].

Ponadto wykonanie tego, co Rzymianie określali jako *poena capitis* — w gwarze fachowców, między innymi Frantza, po prostu „skrócenie o głowę” — bardziej przyczyniało się do zwrócenia uwagi na osobę samego kata niż wieszanie[140]. Frantz podejmował w pierwszej kolejności decyzję o tym, czy nieszczęsnym grzesznikom wypadnie kłęcząc, siedzieć czy stać. Delikwenci, którzy stali, zwykle się wiercili, a to było największym wyzwaniem dla kata z mieczem w rękę, toteż Frantz pisze skwapliwie o swoich pięciu sukcesach w posłudzeniu się tą metodą (odniósł je, zanim ukończył 30 lat)[141]. Gdy finezją działania zasłużył sobie na tak dobrą opinię, że pozyskał dożywotnią umowę o pracę, zaczął ścinać na sposób znacznie bardziej rozpowszechniony, czyli skazańców kłęczących albo siedzących. W latach kariery Schmidta przywiązywanie do krzesła dla skazańców praktykowano coraz chętniej, zwłaszcza wobec kobiet, niemogących spokojnie usiedzieć w najważniejszym momencie. Po ostatniej modlitwie kapelana kat stawał tak, by mieć oparcie dla stóp (podobnie osoba, która gra w golfa, przymierza się do perfekcyjnego wybicia) i kierował wzrok w sam środek szyi delikwenta. Następnie kat unosił miecz i zadawał jeden mocny cios, najczęściej z prawej strony i od tyłu, aby przeciąć dwa kręgi szyjne i całkowicie oddzielić głowę od ciała. Znanе wówczas zalecenie głosiło, iż kat „winien odrąbać głowę i jednym ciosem przepołowić skazańca, ażeby między głową a torsem mogło się zmieścić koło chłopskiego wozu”[142]. Po precyzyjnym ciosie głowa nieszczęsnego grzesznika (nieszczęsnego grzesznicy) spadała powoli do stóp tej osoby, a tymczasem z torsu w pozycji siedzącej — ściślej: z przeciętej szyi — nadal tryskała krew na kata i jego pomocnika. Frantz nie pisze o żadnych niezwykłych wyczynach z mieczem w rękę — mogło to być na przykład jednoczesne ścięcie dwóch głów, czego dokonał pewien jego poprzednik. Z uczuciem żalu wspomina natomiast o tych kilku sytuacjach, kiedy dla ostatecznego odcięcia głowy trzeba było zadać kolejny cios, co zakłóciło — w sposób niepożądany — dramaturgię zdarzenia, którą my zainteresujemy się właśnie teraz.

Wytwarzanie dobrej śmierci

Od publicznych egzekucji, podobnie jak od kar cielesnych, oczekiwano, że będą spełnieniem dwóch celów — po pierwsze, wstrząsą widzami, po wtóre, potwierdzą istnienie władzy boskiej i doczesnej. Kat spolegliwy i o nieskazitelnej postawie moralnej odgrywał kluczową rolę w osiąganiu względnej równowagi pomiędzy realizacjami obu celów — wszak w imieniu państwa stosował przemoc wedle przepisów i zgodnie z ustalonym rytuałem. Wydanie wyroku skazującego, procesja na miejsce kaźni i sama egzekucja stanowiły trzy akty moralitetu ze starannie opracowaną choreografią — w czymś, co historyk Richard von Dülmen nazwał „teatrem grozy” [143]. Każdy uczestnik spektaklu, zwłaszcza jednak kat reżyser, był nieodzowny dla zapewnienia widowskiemu sukcesu. „Dobra śmierć”, na której zależało Frantzowi i jego kolegom po fachu, jawiła się w istocie jako dramatyczna pokuta w sensie religijnym: nieszczęśni grzesznicy ze skruczą przyznawali się do swych przestępstw, a każda z tych osób dobrowolnie przestrzegała innych ludzi przed wejściem na przestępczą drogę i w zamian mogła liczyć na rychłą śmierć oraz przyobiecane zbawienie. Były to — w takiej wykładni — ostatnie transakcje skazańców w doczesnym świecie.

Posłużmy się tu przykładem Hansa Vogla z Rasdorfu, „który spalił w stodole swojego wroga [i] był ofiarą pierwszej egzekucji, jaką w Norymberdze wykonałem mieczem” — jeszcze w latach wędrowek za pracą, bo 13 sierpnia 1577 r. Nie inaczej niż przed każdym publicznym widowiskiem wielkie znaczenie miały przygotowania zakulisowe. Na trzy dni przed egzekucją Vogel został przeniesiony do nieco większej celi śmierci. Gdyby wcześniej doznał poważnej kontuzji albo zaniemógł, Frantz i zapewne jakiś drugi medyk zajęliby się nim. Możliwe, że zażądałby nawet odroczenia egzekucji do czasu nabrania przez Vogla sił wystarczających na tę ostatnią godzinę życia. Zwykle jednak uwaga kata w tym okresie skupiała się na stanie Kruczego Kamienia lub innego miejsca kaźni — do niego należało zadbanie o wszystko, co niezbędne, dokończenie logistycznych czynności zgodnie z procedurą sądową i procesją poprzedzającą kaźń.

Oczekując sądnego dnia, Vogel mógł w więzieniu przyjmować wizyty rodziny i innych gości albo — jeśli nie był analfabetą — szukać pociechy w książce czy pisać pożegnalne listy. Nie wykluczamy nawet pojednania z niektórymi ofiarami i krewnymi tychże, coś takiego spotkało bowiem pewnego mordercę: wdowa po uśmierconym przezeń człowieku pojawiła się z pomarańczami oraz imbirowym piernikiem „na znak płynącego z głębi serca przebaczenia” [144]. Najczęstszymi gośćmi w celi Vogla w tym okresie byli chyba więźnierni kapelani. Obaj norymberscy kapelani działali ręką w rękę, czasem też byli dla siebie nawzajem konkurencją, a próbowali „zmiękczyć jego serce” apelami, w których pobrzmiwały: groźby, troska i nadzieja. Jeżeli Vogel nie umiał czytać, to duchowni pokazywali mu zapewne ilustrowaną Biblię, starali się nauczyć go Modlitwy Pańskiej i podstaw luteranckiego katechizmu; o ile był lepiej wykształcony, mogli z nim rozmawiać o łasce i zbawieniu. Nade wszystko kapelani — sporadycznie w towarzystwie naczelnika więzienia i jego rodziny — przyniesili nieszczęsnym grzesznikom pociechę, razem śpiewali hymny i dodawali otuchy, upartych zaś i zatwardziałych musieli wielokrotnie upominać.

Możemy się domyślać, iż więzień uległy mógł liczyć na łagodniejszą egzekucję, ale przecież odwiedzających go kapelanów było stać na większą szlachetność motywów. Umieranie „z wiarą” stanowiło przedmiot szczególnej troski magistra Hagendorna, który w tym czasie co Frantz pracował w Norymberdze, przygotowując więźniów do udania się na miejsce kaźni ze spokojem i rezygnacją, i licząc na to, że zaszczępi owym skazańcom nieco pobożności i zrozumienia. Wypisy w dzienniku Hagendorna ujawniają jego szczególną empatię wobec młodych kobiet skazanych za dzieciobójstwo. Na początku martwi go to, że Margaretha Lindtnerin, na którą w 1615 r. wydano wyrok skazujący, mimo 7 tygodni pobytu w więzieniu tak

słabo opanowała katechizm. A jednak pod koniec wszystko, co manifestuje Margaretha, pozwala przypuszczać, iż umrze ona dobrą śmiercią:

Była bardzo gorliwa w adorowaniu Krzyża, okazywała żarliwość w modlitwie i za każdym razem, gdy mówiono o jej dzieciach albo rodzicach, płakała gorliwymi łzami; doprawdy pogodziła się z bliską śmiercią, wyszła z celi bardzo spokojnie, w drodze entuzjastycznie błogosławiła znanych sobie ludzi (aż osiem lat służyła w różnych domach i poznao ją niezgorzej) i żarliwie modliła się z nami. Kiedyśmy dotarli z nią na miejsce egzekucji, wyrzekła nagle: „O Boże, stój przy mnie i pomóż mi temu sprostać”. Następnie zwróciła się z tą samą prośbą do mnie, pobłogosławiła tłum i poprosiła zebranych o przebaczenie, [a potem] stała tam, jakby oszołomiona i oniemiała, póki ja się nie odezwałem do niej parę razy, i wtedy przemówiła, znów pobłogosławiła widzów, prosząc też o przebaczenie, [po czym] powierzyła swą duszę Wszchemogącemu, usiadła na krześle i, tak jak należało, wystawiła szyję na cios kata. Jako że do końca trwała w słusznej i prawdziwej wierze, osiągnie ona cel wiary i zbawienie duszy, o czym w pierwszym rozdziale swego pierwszego listu pisze święty Piotr [\[145\]](#).

Czy duchownym udało się wpłynąć na głęboko przyjęte nawrócenie, czy też nie, oczekiwano od nich przynajmniej tego, by wystarczająco uspokoił skazanego Vogla przed ostatnim etapem przygotowań, osławionym „posiłkiem wieszacza”. O ironio, Frantz nie miał osobiście do czynienia z tym starodawnym zwyczajem (być może z powodu jego hańbiącej nazwy), wolał więziennemu strażnikowi i jego żonie zlecić dopełnienie tego w osobnej celi, gdzie był stół i krzesła, a nawet okna, w Norymberdze nazwanej „salonem nieszczęsnego grzesznika”. Tak jak w krajach, które nie zrezygnowały z kary śmierci po dziś dzień, Vogel mógł wybrać jadłospis ostatniego posiłku i poprosić o dużo wina. Kapelan Hagendorf widywał takie posiłki, często oburzony skandalicznym, prostackim zachowaniem. Pewien gburowaty rozbójnik wypił wino, którym poczęstował go strażnik, i zażądał grzanego piwa; kto inny, wielokrotny złodziej, „myślał raczej o napełnieniu brzucha niż o duszy i w ciągu godziny pożarł jeden wielki oraz dwa mniejsze bochny chleba, prócz innego jada”, w sumie tyle, iż na szubienicy widać było, że „pośrodku pękł” [\[146\]](#). Zdarzały się jednak wśród nieszczęsnych grzeszników — dotyczyło to zwłaszcza zdenerwowanych młodych matek, morderczyń noworodków — osoby, które nie potrafiły niczego przełknąć.

Gdy Vogel był już nakarmiony do syta (i odpowiednio upojony), pomocnicy kata pomogli mu wdziać biały płócienny kaftan egzekucyjny i wezwali Frantza, który od tej chwili miał pieczę nad przebiegiem publicznego widowiska. Jego przybycie do celi zaanonsował strażnik zwyczajowymi słowami: „Zbliża się kat”, po czym Frantz zastukał do drzwi i w najwytworniejszym stroju wszedł do środka. Poprosiwszy więźnia o wybaczenie, razem z Voglem wysączył tradycyjny świętojański napój pokoju i wdał się z nim w krótką rozmowę, aby sprawdzić, czy Vogel może stanąć przed sędzią i przysięgłymi (którzy już na niego czekali).

W tym momencie nieszczęśni grzesznicy okazywali czasem radość i wielkie przejęcie z powodu rychłego odejścia z doczesnego świata — uczucia wywołane religijnością, irytacją albo po prostu zamroczeniem. W pewnych sytuacjach Frantz uznawał, że zdoła wzmocnić uległość bodaj małym ustępstwem: kiedyś pozwolił skazanej kobiecie udać się na szubienicę w jej ulubionym słomkowym kapeluszu, a kłusownikowi założyć wianek przysłany do więzienia przez siostrę tego człowieka. Potrafił też poprosić pomocnika, żeby ten przyniósł więcej alkoholu, który mieszał czasami ze środkiem uspokajającym własnego pomysłu, ale to bywało zawodne,

ponieważ niejedna kobieta traciła przytomność, a młodzi mężczyźni przejawiali jeszcze większą agresję. Rozbójnik Thomas Ullmann byłby w takim stanie śmiertelnie pobit norymberskiego następcę Frantza, gdyby naczelnik więzienia i paru strażników nie poskromili go. Nabrawszy pewności co do wystarczającego spokoju Vogla, Frantz i jego pomocnicy spętali mu ręce sznurem (kobiece dłonie wiązano pasmami tafty), po czym rozpoczęli pierwszy akt dramatu egzekucyjnego[147].

„Krwawy sąd”, któremu przewodniczyła osoba pochodząca z patrycjatu, i który miał w swoim składzie kilku przysięgłych, stanowił gremium proponujące skazanie, ale niekoniecznie ściśle ustalał winę czy wyznaczał sposób wykonania wyroku. W przypadku Vogla o losie skazańca przesądziło wcześniej jego przyznanie się do zbrodni, uzyskane bez tortur. W wiekach średnich takie właśnie orzeczenie sądu, upubliczniane zwykle na miejskim rynku, było momentem kulminacyjnym w procedurze karania. XVI stulecie uczyniło nim samą egzekucję, „dzień sądenia” organizowano natomiast w specjalnej sali ratusza i te obrady były zamknięte dla publiczności. W owej wstępnej fazie — podobnie jak później, gdy odbywały się doprowadzenia do miejsce kaźni i egzekucja — w grę wchodziło podkreślenie prawomocności działań, co do której upewniali się na początku także wykonawcy wyroków.

W całym tym nieprzyjemnym procedowaniu dawało się zauważyć odpowiedni rytuał, hierarchiczność i formalizm. Na końcu norymberskiej sali obrad sądu przewodniczący siedział wyżej, na poduszce, w prawej dłoni dzierżąc biały pręt, a w lewej krótki miecz o rękojeści, z której zwisały dwie rękawice. Z każdej strony przewodniczącego zasiadało na misternie rzeźbionych krzesłach sześciu przysięgłych spośród patrycjatu i — podobnie jak on — wszyscy mieli na sobie czerwono-czarne togi, stosowane dla krwawego sądu. W tym czasie, gdy kat z pomocnikami przytrzymywał więźnia, skryba odczytywał końcowe zeznanie, listę popełnionych czynów karalnych oraz wyrok skazujący w takim oto brzmieniu: „Skoro wszystko to narusza prawa Świętego Cesarstwa Rzymskiego, Ich Dostojeści postanowiły i orzekły, iż należy tego człowieka skazać na śmierć, to jest [powiesić/ściąć/spalić/utopić/połamać kołem]”. Sędzia przewodniczący pytał potem kolejno wszystkich 12 przysięgłych, począwszy od najmłodszego, czy wyrażają zgodę, i każdy odpowiadał, jak przystało: „Ciesz się mi to, co odbywa się wedle praw i sprawiedliwie”.

Potwierdzenie wyroku skazującego musiało być poprzedzone pierwszym bezpośrednim odezwaniem się sędziego do Vogla — zachętą, aby ten złożył oświadczenie. Nie oczekiwano bynajmniej, że uległy nieszczęsny grzesznik wystąpi z mową w obronie własnej, wypadało raczej, żeby podziękował przysięgłym i sędziemu za sprawiedliwą decyzję i uwolnił ich od wszelkiej winy za to, że właśnie zawyrokowali tragiczną śmierć. Ze strony wybawionych duszyczek skazanych na mniej hańbiące ścięcie zdarzały się nierzadko aż nazbyt wylewne wyrazy wdzięczności. Ale bywali i tacy — co prawda nieliczni — bezczelni hultaje, którzy przekinali cały skład sądu. Wielu strachliwych więźniów stało po prostu w milczeniu. Następnie sędzia przewodniczący zwracał się do Frantza i wypowiadał polecenie, którego zapis od razu wręczał sądowemu słudze: „Kacie, w imieniu Świętego Cesarstwa Rzymskiego wzywam cię, iżbyś doprowadził [nieszczęsnego grzesznika] na miejsce kaźni i ukarał go, jak tu orzeczone”, i wreszcie ceremonialnym gestem składał białą sędziowską laskę we dwoje, co oznaczało, że powierzał więźnia katowskiej pieczy[148].

Drugi akt tego dramatu — procesja na miejsce kaźni — angażował tłumy, setki, może tysiące widzów. Samą egzekucję zapowiadają zwykle afisze, innego rodzaju obwieszczenia, a nawet krwawoczerwone płótna zawieszane na ratuszowych parapetach. Co się tyczy Vogla, oczekiwano, że przejdzie około mili pod szubienicę. Ale niektórych osłabionych lub chorych skazańców musieli pomocnicy Frantza przenosić na wysokich krzesłach. Tak nierzadko

transportowano kobiety starsze albo niepełnosprawne, na przykład oszustkę Elizabeth Aurholtin, która „miała tylko jedną nogę”[\[149\]](#). Skorych do agresji mężczyzn, jak i przestępców skazanych na torturowanie rozżarzonymi obcęgami pętano solidnie i wieziono dwukołową furą lub na saniach ciągniętych przez konia, który przydawał się robotnikom oczyszczającym miasto i w Norymberdze był znany jako *pappenheimer*. Poprzedzani przez dwóch łuczników na koniach i sędziego w odświętnej todze, zazwyczaj też na koniu, Frantz i jego pomocnicy starali się posuwać ciągle naprzód, podczas gdy kilku strażników powstrzymywało napierający tłum. Kapelani, jeden albo obaj, pokonywali całą drogę pieszo, idąc po obu bokach osoby skazanej, odczytując fragmenty Pisma Świętego i głośno się modląc. Religijna aura procesji nie była wcale pozorowana i w karierze Frantza tylko nienawrócony Mosche Judt „doszedł do szubienicy bez duchownych, którzy byliby przy nim i mogli go pocieszyć”[\[150\]](#).

W tej fazie zwyczajowy katowski obowiązek uszanowania ostatnich życzeń skazańców, jak też konieczność takiej postawy kata, która nie zraziłaby tłumu, często wymagały od Frantza niemałej powściągliwości. Hans Vogel nie stawiał chyba większego oporu, ale złodziej i szuler Hans Meller (inaczej: Rycerski Jaś) „rzekł na odchodnym do przysięgłych: «Niech Bóg ma was w Swojej opiece; za to, jakieście mię potraktowali, zobaczycie kiedyś czarnego diabła», a gdy szedł na egzekucję zachowywał się również bezczelnie”. A jednak kat przeczekał cierpliwie odśpiewanie przez Mellera nie tylko jednej, lecz aż dwu popularnych wtedy pieśni szubieniczników: *Kiedy nadejdzie moja godzina* i *Niechaj zawsze dzieje się wola Boża*. Również złodziej Utz Mayer (czyli Szczwany Garbarz) i Georg Sümmler (inaczej: Gaduła) okazali się „ludźmi niepokornymi i butnymi, i gdy ich wyprowadzano, podnieśli krzyk”, a przecież im także pozwolono zaśpiewać *Żołędź na wiśni*, zanim poczuli stryczki na szyjach[\[151\]](#).



Procesja na miejsce kaźni poprzez norymberskie śródmieście odbywała się tak, iż dwaj strażnicy na koniach wiodli idącego pieszo, nieszczęsnego grzesznika, który miał z każdej strony kapelana (ok. roku 1630).

Jeszcze większym wyzwaniem dla reżysera „teatru grozy” było spełnienie oczekiwań przełożonych, którym zależało na ceremoniale godnym i niezmiennym. Kat musiał uciszać obelżywe okrzyki i powstrzymywać osoby rzucające różnymi przedmiotami, a zarazem dbać

o zachowanie powagi podczas całej procedury. Co rozumiałe, Frantz był wytrącony z równowagi i zażenowany, kiedy pewne stare małżeństwo, skazane za kazirodztwo, przemieniło procesję na miejsce swojej kaźni w absurdalny wyścig: „Do Bramy Niewieściej on dotarł wcześniej, a potem ona często wyprzedzała jego”^[152]. W niejednym przypadku Frantz ubolewa nad „wielce niestosownym zachowaniem i kłopotami” ze strony więźniów, ale najbardziej bodaj wystawił cierpliwość kata na próbę podpalacz nazwiskiem Lienhard Deürlein, „śmiałek”, który przez całą drogę na miejsce egzekucji racył się winem. Do mijanych ludzi kierował Deürlein wyzwiska zamiast zwyczajowych błogosławieństw, a kiedy doszedł do szubienicy, wręczył butelkę kapelanowi i, nie krępując się, oddał moc. „Gdy odczytano wyrok, oświadczył, że chętnie umrze, niechby mu jednak pozwolono na szermierkę, w której walczyliby z czterema strażnikami. Ta prośba — co Frantz odnotowuje bez komentarza — została odrzucona”. Zgorzony kapelan pisze, że Deürlein znowu sięgnął po butelkę „i pił tak długo, aż kat odrąbał w końcu głowę z butelką przy ustach skazańca, który nie wypowiedział słów «Panie, na Twoje ręce składam ducha mego»”^[153].

Frantz przywiązywał szczególną wagę do zewnętrznych oznak skruchy, zwłaszcza w trzecim akcie spektaklu — na miejscu kaźni. Z aprobatą pisze o pełnym żalu mordercy, który „kał przez całą drogę, póki nie padł na kłęczki”, i o również skruszonym złodzieju, „co odszedł z tego świata, jak przystało na chrześcijanina”. Zgoła odmiennie niż duchowni, Frantz przedkładał takie widoczne dowody przemiany ponad znajomość podstaw ewangelickiej nauki wiary. Łatwo sobie wyobrazić skrywaną irytację Frantza w chwili, gdy pokorny już i bolejący nad swoimi grzechami Paulus Kraus oznajmił przy szubienicznej drabinie, że jest gotów odkupić to, czego się dopuścił, i z ust magistra Hagendorna padło pedantyczne — głośno wypowiedziane — sprostowanie, iż „nasz Pan, Chrystus, zapłacił za te grzechy, odkupił je wcześniej, [jem] zaś godzi się powierzyć duszę Bogu, Chrystusowemu Ojcu na niebiesiech”^[154].

Bardzo spektakularnym sposobem okazania uległości była ostatnia komunia święta i Frantz trapił się, ilekroć nieszczęśni grzesznicy w końcowych momentach życia okazywali niechęć do przyjęcia tego sakramentu. Vogel uczynił to skwapliwie, kiedy indziej natomiast skazaniec Hans Schrenker (zwany Lizusem) konsekwentnie odmawiał przystąpienia do komunii luterańskiej, „jako że był katolikiem”. Kiedy indziej kat poczuł ulgę z tego powodu, iż Cunz Rhünagel (inaczej: Brutal) „zrazu wzbraniał się przyjmąc sakrament i używał słów nader obelżywych, potem wszakże przystał na to”. Nawet rozbójnik Georg Prückner, u którego Schmidt dopatrzył się „bardzo złego charakteru i który ilekroć przebywał w więziennej wieży, skąd go wypuszczano, gdy obiecywał poprawę, w końcu odczuł żal i postąpił prawdziwie po chrześcijańsku”, przyjął bowiem komunię na Kruczym Kamieniu i głośno oznajmił zgromadzonym swoją skruchę^[155].

W późniejszych latach swej kariery Frantz Schmidt przedstawia tylko jeden przypadek zgonu po dłuższych męczarniach — śmierć niesławnej pamięci zbójcy, Hansa Kolba (nazywano go Długim Ceglarem albo Bratem Wytrwałym):

Ponieważ nie udało mu się uciec z [tutejszego] więzienia, przegryzł lewą rękę, nawet żyły. Ledwo ta ręką wydobrzała i ostatniego dnia został wyprowadzony, znowu wyrwał z ramienia, teraz prawego, płat wielkości batzenowej monety, i na cal głęboki, albowiem pomyślał, że się takim sposobem wyrwawi, ale stało się inaczej: egzekucję tego mordercy, rozbójnika, złodzieja i grabieżcy, który po wielokroć ukradł sporo, wykonano przez łamanie kołem najpierw wszystkich czterech kończyn, potem zaś, jako że dopuszczał się fałszerstw, spalono jego zwłoki. Udawał, że nie może iść, więc trzeba go było nieść. Wcale się nie modlił i poprosił, aby kapelan zamilkł,

wyjaśniwszy, iż to wszystko zdążył poznać i nie chce niczego słuchać, nie chce siebie narazić na ból głowy. Bóg raczy wiedzieć, jak umarł [\[156\]](#).

Właściwie wszystkie zapisy Frantza na temat trudnych zgonów pochodzą ze znacznie późniejszego okresu jego kariery — czasu stabilizacji zawodowej. Ale i wtedy nie zawsze jest całkiem szczerzy, zwłaszcza niewiele pisze o porażkach, które mogłyby źle świadczyć o jego panowaniu nad poszczególnymi sytuacjami. O wielokrotnym złodzieju Georgu Mertz (inaczej: Młocie) można w dzienniku kata przeczytać tylko to, że skazaniec „zachowywał się osobliwie, kiedy go wyprowadzano: kręcił głową, śmiał się jeno, nie szeptał modlitwy, wszakże pastorzy usłyszeli: «Wspomogła mię moja wiara»”. Tymczasem więzienny kapelan i notariusz sądowy omawiają ten katastrofalny spektakl obszernie. U magistra Hagendorna czytamy, że 22-letni Mertz obstawał przy tym, by go wyniesiono i by mógł zginąć w czarnej czapce i wełnianej koszuli; co więcej, obiecał, że jeżeli jego ostatnie życzenie zostanie spełnione, przejdzie na miejsce kaźni spokojnie.

Ledwo jednak opuścił więzienie rozwrzeszczał się i jął błaznować: „Mój to dzień, radujcie się, mili ludzie” — krzyczał, i padały nie takie tylko słowa, jam zaś musiał trzykroć zawrócić i pomóc w prowadzeniu skazańca. Gdyśmy dotarli do ratusza, powtórzył przytoczone zdanie i znowu głośno krzyczał, trzeba było tedy go uspokoić i zachęcić do większego umiaru. Stojąc przed sądem, wystawił siebie na pokaz, śmiejąc się obłądnie: obrócony najpierw na prawo, a potem na lewo, wyszczerzył zęby i wykrzywił twarz tak, iż wypadło mi go dwakroć upomnieć i przestrzec. Kiedy ogłoszono wyrok, skazaniec pokłonił się, jakby chciał rajcom okazać respekt, i niewiele brakowało, iżby padł jak kłoda. Kiedyśmy go wyprowadzili z ratusza, ledwo dał nad sobą zapanować. Wierzgał, wściekał się, pałał gniewem — niczym szalenciec. Rozkazał potem, by przyniesiono mu krzesło i kiedy na nim siadł, jął, przywiązany, kopać jak koń, unosząc i spuszczać głowę, rodzinie wykrzykując: „Jużem spokojny i wybawiła mię moja wiara”. Ludzi dookoła nazwał aniołami i po wielokroć żądał, aby zdjęto mu z głowy kapeluszy i mógł tym aniołom się przyjrzeć.

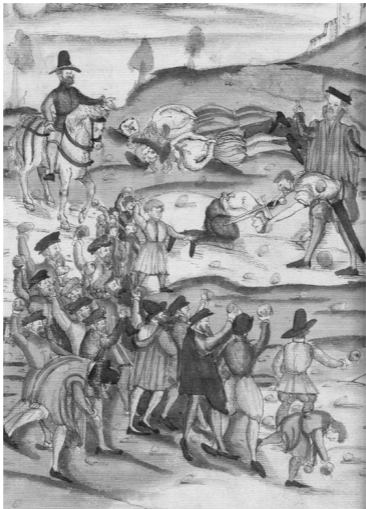
W czasie procesji, jak pisze sądowy notariusz, Mertz nie tylko wymusił na pomocnikach Frantza, by go nieśli, ale też:

Tak bezlitośnie kopał niosących, że ci krzyczeli z bólu i niejednen raz go upuścili. Stroił w tym czasie dziwaczne miny, szczerzył zęby do ludzi i daleko wystawiał język. (...) Kiedy dotarł do stałego miejsca kaźni i kat, czyli wieszacz, kazał mu wejść na drabinę, odrzekł: „Dlaczegoż to tak ci spieszno mię uśmiercić? Na wieszanie nada się każda pora — rano, po południu, później, wcześniej. Sprawi ono, że nie będzie nudy”. A gdy skazaniec był już na drabinie i przemówił doń magister Hagendorn, iżby zapytał, komu powierzy swą nieszczęsną duszę, ów człowiek bardzo się zdumiał, wybuchnął śmiechem i zawołał: „Klecho, po co ta cała mowa? Komuż, jak nie kompanom w picciu, sznurowi i łańcuchom?”.

Frantz wolałby czym prędzej zakończyć tę żenującą sytuację, ale obaj kapelani nadal namawiali skazanego Mertza do żałowania za grzechy i wreszcie usłyszeli od niego: „Chciałbym o wiele dłużej poruszać moimi szczękami, a przecież nie mogę. Widzicie, żem połknął aż nadto stryczka i że pewnie przez to zginę, nie uradzę więc dalej rozpowiadać” [\[157\]](#). Zniweczywszy

zamierzoną powagę i odkupicielskie przesłanie swego zgonu, Mertz umarł ponoć z głupim uśmiechem na twarzy.

Największym zmartwieniem każdego kata — zwłaszcza młodego najemnika — było to, że jego własne błędy mogłyby skutecznie zakłócić starannie obmyśloną dramaturgię grzechu i pokuty, narazić na utratę pracy albo coś gorszego. Wielki tłum widzów, a w nim zawsze nie miała grupa hałaśliwych pijaczków wywierały ogromną presję, która zmuszała dzierżącego miecz wykonawcę wyroku do tego, by jednak sprostał zadaniu jako reżyser spektaklu. Długie mowy pożegnalne i pieśni o wielu zwrotkach wzmagają odczuwane przez tłum napięcie, ale też wystawiały na próbę cierpliwość i nerwy czekającego kata. Pewien kronikarz dopatrywał się u mistrza Frantza wielkiej chęci, aby jak najrychlej ściąć morderczynię Margarethę Böckin, która utrzymywała się na nogach, „choć kat trzykroć poszarpał ją rozpalonymi do czerwoności obcęgami”, ale była tak słaba, że ledwo mówiła. „Kat dał niewieście do zrozumienia, że miał niej sam zwrócić się do tłumu, już jednak po tych słowach dopełnił egzekucji, odrąbawszy głowę”[\[158\]](#). Elizabeth Mechtlin wkroczyła istotnie na drogę, która wiodła ku dobrej śmierci, łkała bowiem nieustannie i magister Hagendorn usłyszał od niej, że „chętnie opuści ona ten świat, gdzie tyle zła i niegodziwych ludzi, i pójdzie na śmierć niczym do tańca, wszakże im bliżej była zgonu, tym więcej okazywała troski i małoduszności”. Gdy nadeszła pora egzekucyjnej procesji, Mechtlin krzyczała wniebogłoso, wyła bez opamiętania aż do samej szubienicy. A że nie uspokoiła się także na krześle dla skazańców, zdołała nawet wyprowadzić z równowagi bardzo już w owym czasie doświadczonego Frantza Schmidta, który — co do niego niepodobne — musiał uderzyć trzy razy, ażeby uśmiercić tę historyczkę[\[159\]](#).



Partactwo kata ze szwajcarskiego kantonu Chur narażiło go na ukamieniowanie przez tłum. Widzowie zawsze reagowali gwałtownie na nieudane egzekucje, ale śmiercią katów kończyły się one rzadko (rok 1575).

Egzekucja Hansa Vogla przebiegła szczęśliwie bez godnych uwagi incydentów. Tak czy inaczej w kronikach z tamtych czasów o ścięciach niełatwych można przeczytać często; w Norymberdze zdarzyły się one kilka razy przed i kilkakroć po kadencji Frantza Schmidta. Sam mistrz Frantz w ciągu 45 lat swojej kariery na 187 „egzekucji z użyciem miecza”, które odnotował, musiał tylko czterokrotnie zadać drugi cios (co oznacza imponującą skuteczność na poziomie 98%), skrupulatnie jednak przyznaje się on w dzienniku do każdego błędu krótką adnotacją „popsute”^[160]. I nie usprawiedliwia popsutego ścięcia tak, jak to zwykle czyniono: że diabeł umieścił przed nim trzy głowy (w tym przypadku należało mierzyć w tę pośrodku) albo że nieszczęsny grzesznik zaczarował go na swój sposób. Niektórzy kaci mieli przy sobie fragmenty łamanych na koniec rozprawy lasek sędziowskich, aby ochronić siebie przed taką magią, czasem też dotykali głowy ofiar czarnym płótnem, chcąc odpędzić zły urok. Znana wstrzemięźliwość Frantza nie narażała go na — bardziej przekonujące dla ogółu — przyziemne domysły, że kat „poszukał natchnienia” przed tą wielką chwilą w butelce albo raczył się

„magicznym trunkiem”[161]. Co najistotniejsze, potknięcia, o których mowa, nie zdarzały mu się w owych latach wędrówek za pracą ani na początku kariery w Norymberdze, lecz o wiele później, kiedy był już tam zadomowiony i szanowany, miał dobrą opinię i czuł się bezpiecznie.

Mniej poszczęściło się innemu norymberskiemu katu, który pojawił się wkrótce po odejściu mistrza Frantza na emeryturę. W roku 1641 nowo przybyły Valentin Deuser winien był ściągć dzieciobójczynię Margarethę Voglin, „nadzwyczaj nadobną osobę w wieku 19 lat”. Jak napisano w jednej z kronik:

To nieszczęsne dziecko wielce zachorzało i osłabło, przeto godziło się ją zanieść pod szubienicę, na Kruczy Kamień, a gdy usiadła na krześle, mistrz Valentin krążył dookoła niej niczym cięłą wokół koryta, po czym mieczem odrąbał cokolwiek drewna, a z jej głowy płat skóry wielkości talara, czym sprawił, że znalazła się pod krzesłem, tłum zaś poprosił, iżby ją puszczono wolno, skoro kat jej nie poranił i skoro tak dzielnie spała.

Ale niedoświadczony Deuser nie zechciał się zlitować, toteż dziewczyna zaczęła krzyczeć:

„Ach, pomóżcie mi, przebóg”, co powtórzyła wiele razy. Naonczas chwycił ją pomocnik kata i znowu posadził na krześle, kat natomiast zadał wtóry cios i [tym razem] trafił w szyję od tyłu, ona zaś, jeszcze żywa, spadła z krzesła i znów zawołała: „Och, Boże, zmiłuj się!”. Później wieszacz rąbnął jej głowę na ziemi i ta okrutna rzeź, haniebna egzekucja sprawiła, że otoczyli go ludzie, którzy ukamienowaliby kata, gdyby nie przybiegli mu z pomocą łucznicy i nie obronili go przed ludźmi, i potem nie zatamowali krwi, która obficie płynęła z jego głowy i naprzód, i do tyłu.

Ten niechlubny występ oraz irytacja tłumu spowodowały aresztowanie młodego kata i zwolnienie go z pracy, chociaż twierdził, że skazana „oślepiła go czy zaczarowała”[162].

Niepowodzenia, których następstwami bywały zamieszki i lincz, potrafiły obrócić wniwecz to, co stanowiło istotne przesłanie spektaklu: odkupienie grzechów ważne ze względu na religię oraz afirmację władzy państwowej. W niektórych miastach niemieckich pozwalano katu na trzy ciosy (i nie więcej), po czym chwycił go tłum i zmuszał, by poniosł śmierć zamiast nieszczęśliwego grzesznika. Frantz dostrzegał w każdej egzekucji „zagrożenie dla mojego żywota”, ale czy to własne umiejętności, czy to łut szczęścia sprawiły, że jeden raz tylko stanął w obliczu sytuacji, która całkowicie zniweczyła ład publiczny: wykonana chłosta przerodziła się w zamieszki i ukamienowanie, ale działo się to długo po okresie wędrówek za pracą[163]. Natomiast każde ścięcie kończyło się tak, jak w przypadku podpalacza Vogla, kiedy to Frantz pytał sędziego albo kogoś, kto go reprezentował (dopełniając pytaniem prawnego rytuału): „Panie sędzio, czym dobrze się wywiązał?” „Wywiązałeś się podług wyroku i prawa” — padała zwyczajowa odpowiedź, a tę kat kwitował słowami: „Za to dziękuję Bogu i mistrzowi, który mię takiego kunsztu nauczył”[164]. Pozostając nadal (dosłownie) na środku sceny, Frantz nadzorował później czynności mniej spektakularne, mianowicie zmywanie krwi oraz należyte usunięcie ciała i głowy ściętej osoby — stale świadomy tego, że kilkuset widzów patrzyło na niego dalej. Jak uczył syna Heinrich Schmidt, publiczne występy katów nie kończyły się nigdy.

Przełom we wczesnej karierze Frantza nastąpił 15 stycznia 1577 r., gdy liczył on prawie 23 lata. Owszem, trochę sprzyjało mu szczęście, ale więcej znaczyły zręczne manewry ojca. Heinrich Schmidt na długo przedtem zorientował się, że posada kata w Norymberdze jest warta zachodu jako bodaj najbardziej prestiżowa w cesarstwie, a zatem mogąca najrychlej zwrócić honor rodzinie. W roku 1563, po krótkotrwałym zastąpieniu często nieobecnego Conrada Vischera, Heinrich postanowił, że sam będzie ubiegał się o tę posadę, ale norymberscy rajcy zdecydowanie odrzucili jego kandydaturę^[165]. Pół roku później, gdy znowu powstał wakat, Schmidt został odrzucony po raz drugi, i to na korzyść Vischera, który właśnie powrócił. Niewykluczone, że Heinrich pretendował do stanowiska pomocnika w czerwcu 1565 r., po śmierci Vischera, albo po upływie roku, kiedy zmarł tegoż następcą, Gilg Schmidt. A jednak w 1566 r. tę dobrą posadę otrzymał Lienhardt Lippert z Ansbachu i pozostał na niej przez wiele lat.

Niezrażeni tym faktem ojciec i syn zdolali obrócić to rozczarowanie na swoją korzyść. Kilka miesięcy po otrzymaniu nominacji na kata w Norymberdze rada miejska musiała rozpatrzyć prośbę Lienhardta Lipperta o zgodę na poślubienie gospodyni, którą okazała się siostra Frantza, Kunigunda. Źródła milczą o tym, kiedy dokładnie i jak doszło do owej strategicznej decyzji, ale Schmidtowie przewidzieli zapewne ten zbieg okoliczności. Początkowo rada stanowczo oddaliła petycję Lipperta, „wszak ma on już połowicę” (chyba nadal w Ansbachu), potem jednak przełożeni kata, których wyczerpały nieustanne zmiany, jakie przyniosła miniona dekada, pozwolili katu dalej zatrudniać „tę frywolną dziewczkę”, byleby bez publicznego skandalu. Niespełna półtora roku później Lippert i Kunigunda Schmidt pobrali się dyskretnie i w październiku 1568 r. nowa małżonka kata urodziła pierwsze spośród siedmiorga dzieci. Jako że pracodawcy Lipperta raczej nie tolerowali ani rozwodów, ani bigamii, musimy zakładać, iż nieco wcześniej małżonka porzucona odeszła do wieczności^[166].

Frantzowi trafił się powinowaty na stanowisku, o które zabiegał ojciec (teraz już dla syna). I ten gorliwy kat najemnik odróżniał się korzystnie od niepoprawnego szwagra. Norymberscy rajcy pragnęli uniknąć nowych perturbacji, długo więc nie przyjmowali do wiadomości faktu, że Lippert raził swoim życiem osobistym i potknięciami zawodowymi. Nawet trzecie z kolei niezręczne ścięcie, wykonane 3 grudnia 1569 r. — potrzebne były wtedy trzy ciosy — naraziło go tylko na łagodną reprimendę, przy czym rajcy zapewnili, że zawsze będą bronić Lipperta przed gniewem motłochu. Ale w listopadzie 1575 r. kat niefortunnie upadł. Po czterech miesiącach oświadczył, że choroba nie pozwoli mu wchodzić na szubienicową drabinę, i zaproponował szwagra, młodego Frantza Schmidta, na swoje miejsce. Rajcy zastąpili jednak karę powieszenia ścinaniem i zażądali od Lipperta, by dalej wykonywał swoje obowiązki. Pomijali też milczeniem skargi na to, że Lippert jest zbyt słaby, aby wykonywać obowiązek torturowania więźniów, i polecili jego pomocnikowi, aby na czas nieokreślony wyręczył Lipperta^[167].

Choroba tego kata była — albo i nie — rzeczywista, ale nagła (i niezgodniona) dwutygodniowa podróż Lipperta do „bamberskiego szwagra” w styczniu 1577 r. zmusiła radę do tego, by powieszenie złodzieja Hansa Webera powierzyć „krewniakowi, katu z innego miasta”^[168]. Czy tę myśl podsunął rajcom także Heinrich Schmidt? Tak czy inaczej, jak potem zapisał w diariuszu Frantz, była to „pierwsza egzekucja tutaj wykonana”. W przeciągu następnych 16 miesięcy „nowy młody kat” uśmiercił w imieniu władz Norymbergi jeszcze siedmiu nieszczęśliwych grzeszników, wszystkich bez incydentów — według sądowego notariusza: „bardzo dobrze” — ale nadal z doraźnym wynagrodzeniem^[169]. Mając wreszcie atrakcyjną alternatywę dla kłopotliwego Lipperta, rajcy okazywali odtąd mniej powściągliwości

w upominaniu starszego kata i ostrzegali go, że „jeśli nie zaradzi lenistwu i nieładzonej egzystencji, to zostanie zastąpiony innym mistrzem”. I oto 25 kwietnia 1578 r., kiedy Lippert powiadomił przełożonych, że jest nazbyt chory, aby kontynuować pracę, rajcy nie omieszkali przyjąć rezygnacji, pogardliwie odrzucili prośbę o emeryturę i pomoc w zakwaterowaniu, a następnie bezceremonialnie umyli ręce obojętni na los weterana, który służył im 12 lat i zmarł niespełna miesiąc później. Tegoż 25 kwietnia nowym katem został mianowany Frantz Schmidt z Hofu[170].

Gdy od nominacji minęły dwa tygodnie, nowi przełożeni Frantza pozwolili mu „na cztery albo pięć dni” wybrać się do Bambergu[171]. Jego przyjazd — związany z mianowaniem — był wielce radosnym momentem w życiu ojca i syna. Frantz otrzymał przecież posesję, której tak długo nie mógł dostąpić jego ojciec, i uczynił milowy krok na drodze ku realizacji wspólnego marzenia o tym, by rodzina odzyskała odebrany jej honor. Dowiedziawszy się o nominacji, Heinrich był zapewne dumny, poczuł też pewną zawiść i ulgę. Właśnie wtedy, chyba zachęcony przez ojca, Frantz postanowił prowadzić dziennik. Po spisaniu egzekucji wykonanych zamiast ojca (i stwierdzeniu, że „kar cielesnych” nie zapamiętał), młody kat doszedł do chwili obecnej. Swoim zwyczajem upozorował styl beznamiętny, ale widać radość z powodu odniesionego zwycięstwa w dumnej zapowiedzi: „Oto osoby [ukarane] od czasu, gdym otrzymał oficjalną nominację i podjął pracę tutaj, w Norymberdze, w dniu świętej Walburgi [1 maja] roku 1578”.

3

Mistrz

Prawdziwym zwierciadłem rozumu jest bieg naszego życia.
Michel de Montaigne, „O wychowaniu dzieci” (1580) [\[172\]](#)

Czyńmy, a zarazem pozorujmy. Rzecz nie jest tym, czym jest, lecz tym, za co uchodzi. Celować i umieć okazać, że się to potrafi, znaczy celować w czyn w dwójnasób.

Baltasar Gracián, *O doświadczeniu życiowym* (1647) [\[173\]](#)

DNIA 11 PAŹDZIERNIKA 1593 R. SŁAWETNY I NIEPOSPOLITY fałszerz Gabriel Wolff zginął z ręki mistrza Frantza. Temu zdarzeniu poświęcił Schmidt jeden z najdłuższych zapisów w całym diariuszu. Wolff, wykształcony potomek miejscowej rodziny mieszczańskiej, popełnił w ciągu 30 lat wiele śmiałych fałszerstw na różnych europejskich dworach monarszych, występując pod coraz to innymi pseudonimami — „znano go jako Szklarza, sam podawał się za Georga Windholza, sekretarza na dworze elektorskim w Berlinie; używał ponadto nazwisk: Jakob Führer, Ernst Haller i Joachim Fürnberger”. Spośród licznych oszustw, na jakie Wolff sobie pozwolił, jedno kat uznał w dzienniku za ważne szczególnej uwagi: ten urodzony norymberczyk „pożyczył od Czcigodnej Rady [miasta] 1500 dukatów, posłużywany się sfałszowanym listem, jakoby napisanym przez elektora, z pieczęcią, którą rzekomo przyłożył w Berlinie margrabia Jan Jerzy”. Tenże Wolff potrafił oszukać „jednego z gdańskich rajców, hrabiego Öttingen, nadto swego chlebobdawcę w Konstancji, dwóch kupców z Gdańska, holenderskiego rzemieślnika, który był już mistrzem”, jak i całą plejadę dygnitarzy w Lizbonie, na Malcie, w Wenecji, na Krecie, w Lubece, Hamburgu, Messynie, Wiedniu, Krakowie, Kopenhadze i Londynie. Księciu Parmy ukraść Wolff 1400 koron, z którymi uciekł do Konstantynopola, gdzie przybrał tożsamość niedawno zmarłego Jakuba Führera, „wszedłszy w posiadanie jego sygnetu, ksiąg i odzienia oraz kilku talarów”. W swojej awanturniczej podróży Wolff dotarł później do Włoch, „gdzie spał z pewną księżką, której nie zdołał uprowadzić; siostrę teję pozbawił wszakże srebrnego zegara z pozłotą. Przy innej sposobności ukraść joannicę, którego zwano paniczem Georgiem, srebrny zegar i konia, po czym odjechał. W Pradze, gdzie był osobistym sługą cesarza, kiedy polecono mu zastawić srebrne puchary i pierścień gwinej damy za 12 florenów, ukraść [je] i sprzedać za 40 florenów”. Znużony tym wyliczaniem

przestępstw i ofiar Wolffa mistrz Frantz skraca swoją opowieść i tak ją podsumowuje: „(...) w przeciągu dwudziestu czterech lat dopuścił się wielu rozmaitych oszustw, zamawiał duplikaty cudzych szlacheckich pieczęci i sam sporządził niemało sfałszowanych dokumentów”. Dodaje jeszcze dwa wymowne komentarze: po pierwsze stwierdza, że Wolff „władza biegle siedmioma językami”; po wtóre oznajmia, iż ów człowiek „został tu, w Norymberdze, bezlitośnie ścięty, a następnie spalono jego zwłoki. Wedle wcześniejszej decyzji należało go pierwszej pozabawić prawej ręki, tego mu wszakże oszczędzono [174]”.

Dlaczegoż ów niepozorny i bezwstydy szalbierz tak zafascynował kata? Awanturniczy żywot Wolffa mógł się zapewne równać z losami jego literackich pobratymców i niewątpliwie stanowił dla wielu świadków egzekucji temat zajmujących opowieści na całe lata. Zdumiewał także skalą złodziejskich wyczynów, jako że przywłaszczył sobie kilka tysięcy guldenów (przeciętne roczne dochody rzemieślników były kilkaset razy niższe) i wszystko przeznaczył na pławienie się w dostatku pośród tych, którzy w Europie wiodli prym i byli bogaczami. Nie ulega wątpliwości, że w tłumie przybyłych na miejsce kaźni Wolffa niejedyn człowiek mimo woli czuł dumę, że szczywany norymberczyk potrafił tak sprytnie wyprowadzać w pole ówczesną kosmopolityczną elitę.

Mistrz Frantz mógł, jako obserwator obyczajów, mieć niejaką przyjemność z poznania tej sławnej historii, ale liczyły się w niej pewne okoliczności o poważniejszym, moralnym wydźwięku, istotne dla niego osobiście. Wolff, który posiadał wrodzoną inteligencję i należał do rodziny pod wieloma względami uprzywilejowanej, co więcej, przyszedł na świat w społeczeństwie z ustaloną hierarchią, postanowił jednak odrzucić własny wyższy status i zdradzić wszystkich tych, z którymi się stykał: rodzinę, władze swego miasta, szlachetnie urodzonych pracodawców, bankierów, kupców, ksenie i tak dalej. Rozpatrywane w szerszym kontekście oszustwa Wolffa okazują się czymś, co niweczyło bardzo kruchą podstawę zaufania, na jakim opierano handel i władzę w ówczesnej europejskiej mozaice królestw, księstw i miast obdarzonych państwowością. A uściślając: przestępstwa Wolffa podważyły ludzką wiarę w to, że przedstawiciele organów ścigania (uwzględnijmy tu również katów) potrafią wykrywać takie naruszenia prawa i za nie karać. Toteż malwersacje pieniężne, zwłaszcza tak rażące, były znacznie większym zagrożeniem dla Frantza Schmidta i jego pracodawców, niż mogłyby się stać dzisiaj — stąd kara spalania na stosie, którą zawyroковано w przypadku Wolffa. Ale fakt, iż Wolff był obywatel Norymbergi i miał ustosunkowaną rodzinę, jak również, co wielce prawdopodobne, oratorska swoboda samego przestępcy, który nadużył zaufania wielu osób, uratowały go. Nie został upokorzony bolesnym „odrabianiem prawej ręki” i nie spłonął haniebnie, w męczarniach na stosie, lecz dostąpił śmierci szybkiej i honorowej — od katowskiego miecza mistrza Frantza. Jak napisał pewien kronikarz, Wolff „prawił dobrze” [175].

Konsternacja Frantza Schmidta z powodu karalnych czynów Gabriela Wolffa — sprawy, która wynikała po 14 latach od mianowania tego norymberskiego kata — ujawnia, że osiągnięte przezeń pomyślność i stabilność zawodowa niezbyt złagodziły ciągly lęk o własny status społeczny. I Frantz nie był wcale jedynym zalęknionym. Historyk Stuart Carroll przypomina nam, że honor „nie jest tylko kodeksem moralnym, regulatorem zachowań; jak magia albo chrześcijaństwo, jest on światopoglądem” [176]. Będąc adherentem tego światopoglądu, Frantz w związku ze sprawą Wolffa przeżywał głęboką duchową rozterkę. Z jednej strony budził w nim odrazę ten potomek „dobrej” rodziny, który zmarnował wszelkie swoje społeczne atuty niedostępne dla katowskiego syna i strawił „ponad 24 lata” na życie nader gorszące i niemoralne. Osobiste ścięcie tego złoczyńcy przez Frantza utwierdziło kata w przekonaniu, że sprawiedliwości stało się wreszcie zadość i że jego własna wiara w ład społeczny nie jest daremna. Kiedy jednak — z uwagi na uprzywilejowany status — zostaje Wolffowi okazane

miłosierdzie i do postanowionego sędownie ucięcia ręki nie dochodzi, gniew Schmidta nie obraca się przeciw dwoistości standardów i obłudzie wyrażonej szczególnym traktowaniem skazańca, lecz przeciw konkretnemu przypadkowi niesprawiedliwonego miłosierdzia. Dziennikowe zapisy, dotyczące całego życia kata, świadczą o jego konsekwentnym szacunku dla hierarchizacji, ponieważ mistrz Frantz nigdy nie pomija milczeniem tego, że ofiarą albo sprawcą przestępstwa jest osoba szlacheckiego pochodzenia lub należąca do patrycjatu (stąd dłuższy passus na temat Wolffa) i w swoich prywatnych notatkach używa nawet pełnej tytułatury osób, o których pisze. Ambitny kat, sam ignorowany przez szanowanych obywateli, nie burzył się przeciwko — jego zdaniem — niezmiennej rzeczywistości społecznej, ale nieustannie zabiegał o lepsze w niej miejsce dla siebie. Postęp na drodze do realizacji owego marzenia zależał od tego, czy powiodłaby się — niemal nieprawdopodobna — przemiana wykonywanej hańbiącej pracy, dotychczas głównej przeszkody, w środek, dzięki któremu można by osiągnąć ten cel.

Człowiek obarczony obowiązkami

Gdy z prowincjonalnego Hofu Frantz trafił do wielkomięskiego Bambergu, był to dla niego dopiero przedsmak szoku kulturowego, jaki czekał go w roku 1578, gdy zawitał w sławnym cesarskim mieście Norymberdze. Z ludnością przekraczającą liczbę 40 tysięcy dusz w obrębie murów miejskich, do której to liczby dodawano 60 tysięcy mieszkańców na peryferiach, czyli na obszarze 1300 kilometrów kwadratowych, to miasto nad rzeką Pegnitz było jednym z największych kosmopolitycznych ośrodków cesarstwa i więcej znaczyły tylko Augsburg, Kolonia oraz Wiedeń. Francuski jurysta Jean Bodin nazwał Norymbergę „najświetniejszym miastem cesarskim, które zyskało sobie największą sławę i jest najlepiej urządzone”, a norymberczyk Johannes Cochläus w imię patriotyzmu uznał to miasto za „centrum Europy oraz Niemiec”^[177]. Inni obywatele nadawali ukochanemu rodzinnemu miastu wielce pochlebne miana Aten, Wenecji lub Florencji Północy — także dlatego, że rozślawili Norymbergę podziwiany Albrecht Dürer (1471-1528) oraz inni wybitni ludzie sztuki i humaniści, że wspomnimy tu Willibalda Pirckheimera (1470-1530) i Konrada Celtisa (1459-1508).



Na tym pejzażu Norymbergi widzianej od południowego wschodu można w tle rozpoznać zamek cesarski, a na pierwszym planie szubienicę i Kruczy Kamień nieopodal murów miejskich,

Nawet obserwatorzy mniej skłonni do przesady przyznawali, że Norymberga była wówczas miastem, które zasługiwało na zaliczenie do najpotężniejszych w sensie politycznym i gospodarczym. Mimo oficjalnego przyjęcia konfesji luterkańskiej, co nastąpiło w roku 1525, ojcowie miasta potrafili zachować korzystne dla niego stosunki z katolickimi cesarzami, Karolem V i Maksymilianem II, które umożliwiły uchwalenie w roku 1555 augsburskiego pokoju religijnego, nie nadwerężając przy tym politycznego wpływu Norymbergi. Tamtejsze banki i firmy handlowe konkurowały na skalę globalną z florenckimi Medyceuszami i z augsburskim klanem Fuggerów, a norymberscy drukarze cieszyli się uznaniem w całej Europie, co zawdzięczali wiarygodnym mapom oraz nowatorskim *Erdäpfel*[\[178\]](#), globusom, projektowanym na podstawie najświeższych doniesień z Nowego Świata. Rzemieślnikom z tego miasta nie mniejszą sławę przynosiło to, co wytwarzali: wyroby najwyższej jakości, zwłaszcza precyzyjne przyrządy i narzędzia, wśród nich zegary, broń, instrumentarium przydatne w nawigacji, jak również imbirowe pierniki i zabawki (te dwa ostatnie rodzaje wyrobów rozsławiają Norymbergę po dziś dzień). „Co dobre, to z Norymbergi” — taki slogan upowszechnił się nie tylko w granicach cesarstwa, dzięki czemu miasto zyskało markę, której mogłoby jej zazdrościć każde zrzeszenie handlowe naszych czasów[\[179\]](#).

Czas życia Frantza Schmidta przypadł niemal dokładnie na zenit zamożności, potęgi oraz prestiżu Norymbergi. Przybywając tam z Bambergu, kat ze świeżej daty nominacją wyostał się z cesarskiego lasu o kilka mil na północ od miasta i zobaczył przed sobą znany mu przecież, a jednak wart podziwiania profil Norymbergi na tle nieba. Na wzgórzu w obrębie miejskich murów uwagę zwracał majestatyczny zamek Kaiserburg, wysoki na 60 i długi na 180 metrów, zbliżony rozmiarami do rzymskiego Koloseum. Służył on cesarzom jako rezydencja, ilekroć bawili oni w mieście, a prócz tego jeszcze w drugiej połowie XVIII wieku przechowywano tam cesarskie klejnoty koronne. Z mniejszej już odległości widział Frantz mozaikę łupkowych dachów po bokach zamkowego wzgórza — zaledwie kilka spośród setek domów i sklepów, od których roilo się na położonych niżej ulicach miasta. Dalej natomiast wyrastały wieże głównych kościołów parafialnych Norymbergi: pod wezwaniem świętego Sebalda na północ od rzeki Pegnitz i nieco na południe od niej kościół świętego Wawrzyńca, gdzie Frantz byłwał potem regularnie. Znalazłszy się znowu o parę kilometrów bliżej, młody Schmidt przejechał przez ubogie peryferie miasta, gdzie ujrzał rozproszone domy i gospodarstwa rolne oraz niewielkie połacie lasu, w którym niechybnie skrywali się zbójcy i podobni im ludzie. I wreszcie dotarł na brzeg fosy szerokiej i głębokiej na około 30 metrów. Po jej przeciwnej stronie wznosił się solidny mur z piaskowca, i to na wysokości około 15 metrów, trzymetrowej grubości, a jego długość wynosiła ponad pięć kilometrów — otaczał on i miasto, i zamek. Wzdłuż tego onieśmielającego umocnienia stały 83 wyniosłe wieże zbudowane w 45-metrowych odstępach i obsadzone uzbrojonymi strażnikami. Ojcowie miasta chcieli, aby Norymberga jawiła się jako twierdza na wyspie, i zapewne ucieszyłoby ich imponujące wrażenie, jakie wywarła na nowym pracowniku oraz jego podziw.

Ledwo Frantz dojechał do fosy, zatrzymał się na kontrolę przy małej wartowni, a potem pokonał wąski drewniany most nad wodą. Przy większej wartowni poddał się staranniejszej kontroli i wtedy pozwolono mu wjechać do miasta dowolnie wybraną spośród ośmiu potężnych bram — jego wybór padł chyba na *Vestnertor* od północnej strony. Frantz przedostał się przez ten należycie umocniony wjazd i długi, a wąski tunel, po czym pozostawił za sobą skarpe i znalazł się w końcu w mieście. Zobaczył labirynt co najmniej 500 ulic i zaułków, na ogół

wąskich i nieprostych, z tysiącami różnych budowli: były to okazałe gmachy publiczne, zadziwiająco zdobne domy patrycjatu, skromne i na poły drewniane siedziby rzemieślników, wielorakie magazyny, stajnie, tymczasowe budynki mieszkalne i sklepiki. Na ulicach, bez wyjątku brukowanych, tłoczyli się sprzedawcy, wędrowni rzemieślnicy i kupcy, panny na posyłki, grupki chodzących bez celu wyrostków i dzieci zajęte zabawą. Widać było też żebraków, prostytutki, złodziei kieszonkowych i włóścian ze swoim żywym inwentarzem, jak i bardzo wiele koni, psów, kotów, świń, a nawet szczurów. Mimo obfitości ludzi i zwierząt ulice Norymbergi były naprawdę czyste, co w tamtych czasach musiało zdumiewać i wyraźnie odróżniało to miasto od pokrytego brudnymi koleinami Hofu z chłopięczych lat Frantza — wszystko to sprawiały wodociągi i rozwinięta kanalizacja (istniało tam 118 publicznych studni), a ponadto cała armia ludzi zatrudnionych przy oczyszczaniu, którzy usuwali odpady poza mury miejskie i czasem bezprawnie topili je w rzece Pegnitz. Urzędnicy miejscy nadal często narzekali na zwały śmieci, ale — jak na epokę początku czasów nowożytnych — miasto było pełne zieleni i urokliwe, miało bowiem kilka parków dostępnych dla ogółu, ogrody, fontanny i przyzdobione place.

Jako że Frantz bywał wcześniej w Norymberdze, wiedział, że rada miejska została zdominowana przez zamknięty krąg 42 rządzących rodzin patrycjuszowskich i że dla „senatorów” wiele znaczyła opinia o ich mieście jako bastionie praworządności — zasłużona, ale pozyskana z nie lada wysiłkiem. Każda z ośmiu dzielnic Norymbergi miała dwóch starostów, którym pomagało około 40 strażników municypalnych, nazywanych tam łucznikami, a także dwudziestu czterech strażników nocnych^[180]. Wspólnie z małą grupą wolontariuszy, którzy patrolowali ulice, ci wszyscy oficjalni przedstawiciele władz miejskich dysponowali zapasami broni i amunicji, mieli konie, latarnie, drabiny i inny sprzęt; co więcej: mobilizowali sprawnych fizycznie mężczyzn w podległych dzielnicach, gdy zdarzył się pożar, nieprzyjacielski atak czy inny powód do alarmu. Rada miejska angażowała także całe zespoły inspektorów sanitarnych i przyglądała się uważnie wytwórczości rzemieślniczej oraz cenom takich wyrobów, przy czym mistrzowie odpowiadali przed radą właśnie, a nie przed niezależnymi cechami, co było zwyczajem większości ówczesnych miast.

Szczególne znaczenie miało dla Frantza Schmidta to, że Norymberga posiadała nadzwyczaj aktywną sieć polityczną, w której znalazło się miejsce dla kilku płatnych informatorów, i mogła się wyróżniać spośród miast cesarstwa jako to, gdzie wydawano najwięcej wyroków śmierci. Kto po zachodzie słońca błąkał się po ulicach i zaułkach Norymbergi, temu groził areszt, gdyż podejrzewano takiego człowieka o zamiar włamania. Nawet drobne naruszenie prawa, jak choćby oddanie moczu w miejscu publicznym, podlegało wówczas — przynajmniej w teorii — sporej grzywnie, w wysokości 20 talarów (17 florenów), gdy większość osób będących na służbie w domach mieszczkańskich zarabiała w ciągu całego roku o połowę mniej. Pewien Anglik, mieszkaniec Norymbergi, napisał z uznaniem (ale i z niejaką przesadą): „Tak rzetelnie i sprawiedliwie sobie poczynają, że kiedy kto zgubi na ulicy sakiewkę z pieniędzmi, pierścień, bransoletkę czy co podobnego, niechybnie tę rzecz odzyska. Oby tak się działo w Londynie”^[181]. Oczywiście gdyby wszyscy obywatele Norymbergi byli faktycznie na tyle uczciwi, to usługi kata okazałyby się raczej zbędne.

Bezpośrednio nad sobą miał Frantz — jako przełożonych — 14 rajców miejskich, którzy byli przysięgniętymi w procesach karnych (*Schöffnen*)^[182]. Jak we wszystkich organach norymberskiej administracji, tak i tu rokrocznie po części zastępowano personel innymi osobami, niezmienna jednak pozostawała ich proveniencja: z tego samego kręgu niewielu miejscowych rodzin patrycjuszowskich i spośród wykształconych jurystów. Codzienne zarządzanie sekretariatem sądu kryminalnego należało do osoby, która na ogół dożywotnie

pełniła funkcje sędziowskie. Tak działał już od trzech lat patrycjusz Christoph Scheurl, syn jednego z najznakomitszych prawników norymberskich, i właśnie on mianował „młodego kata z Hofu”. Zarządzenie to pozostało w rękach Scheurla jeszcze przez 15 lat, a przejął je Alexander Stokamer, i to na kolejnych 17 lat. Do tej i innych zależności służbowych Frantza trzeba odnieść taką refleksję: szczęśliwie dla siebie doświadczył dłuższego podlegania tym samym przełożonym.

W pierwszej 5-letniej umowie o pracę nowy kat uzyskał warunki finansowe, które w owych czasach musiały zdumiewać. Prócz cotygodniowych poborów w wysokości 2 ½ guldena (130 guldenów rocznie), zapewniono Frantzowi bezpłatne i obszerne mieszkanie (w łaźnicy mógł zażywać gorących kąpeli), stałe dostawy wina i drewna na opał, zwrot kosztów podróży i wszelkich innych wydatków związanych z pracą oraz dożywotnie zwolnienie od opodatkowania. Ponadto miał za każde przesłuchanie otrzymywać talara (0,85 fl.) i mógł zwiększać dochody jako kat w delegacji (za zgodą rajców) i konsultant medyczny — to ostatnie lecznicze zajęcie okazało się bardzo intratne. Samo podstawowe wynagrodzenie plasowało go wśród 5% osób najlepiej zarabiających w Norymberdze i było o 60% wyższe od poborów jego monachijskiego kolegi po fachu, dzięki czemu Frantz Schmidt stał się prawdopodobnie najszlachetniej opłacanym katem w cesarstwie i — przynajmniej pod względem finansowym — dorównywał niektórym medykom i jurystom. Co się tyczy kręgu osób bliższych Frantzowi, jego roczny dochód był co najmniej trzykrotnie wyższy niż ojcowski^[183].



Wspaniały norymberski ratusz ujęto tu od zachodu. Przestępcy czekali w lochu pod ratuszem na rozstrzygnięcie ich losu w sali sądowej na pierwszym piętrze. Z prawej (w kierunku południowym) widać tutaj główny rynek (ok. roku 1650).

Jak 24-letni kat najemnik — wprawdzie mimo młodego wieku z doskonałą opinią — potrafił od razu osiągnąć aż tyle? Wpłynęły na to, powtórzmy — i dobry moment, i charakter, i kontakty. Na rządzących Norymbergą zapewne duże wrażenie zrobiły umiejętności zawodowe Frantza, to, że nabrał już wprawy, ale także rekomendacja ze strony Lienhardta Lipperta,

a przesądziły o wyborze takie okoliczności, jak fama o abstynencji oraz postawie człowieka społecznego — i właśnie jego młody wiek. XVI-wieczni kaci nie grzeszyli długim utrzymywaniem się na swoich posadach, przeważnie za sprawą porywczego usposobienia albo jakiejś ułomności fizycznej. Spośród norymberskich poprzedników Frantza jeden został pozbawiony życia za zdradę (i egzekucję wykonał jego pomocnik); drugiego zwolniono, gdy zabił pomocnika w trakcie awantury o wynagrodzenie; trzeci zginął, gdy zasadzono się na niego; czwartego trzeba było się pozbyć, ponieważ nieomal zadźgałby żonę pewnego rzeźnika, który dobijał konie; dwaj następni zaś — jednym okazał się sam Lippert — zostali zmuszeni do odejścia na emeryturę z powodu zaawansowanego wieku oraz poważnych chorób^[184]. Schmidt, młody, a przecież doskonały i, jak sądzono, pobożny fachowiec mógł zapewnić stabilność i powagę stanowiska kata: cechy, których temu zajęciu brakowało. Koneksi rodzinne niewątpliwie ułatwiły Frantzowi start, ale wiele dały mu również doraźne zlecenia w Norymberdze: okazje do tego, by zadziwić obserwatorów swoim kunsztem i zrównoważeniem, zyskując przychyłność późniejszych przełożonych w aparacie sprawiedliwości, z którymi najpierw miał do czynienia sporadycznie.

Rzadko się zdarzało, aby mistrz w jakimkolwiek fachu był kawalerem, toteż Frantz nie zwlekał z nadrobieniem tego mankamentu. W tym półtoraczym okresie, jaki minął od pierwszej wizyty w Norymberdze, młody kat zawarł znajomość z Marią Beckin, kobietą o 9 lat starszą. Maria była córką świętej pamięci Jorga Becka, wieloletniego pracownika magazynu celnego, który zmarł w roku 1561, pozostawiwszy po sobie wdowę i siedmioro dzieci w wieku poniżej 16 lat^[185]. Okoliczności związane ze staraniami młodzieńca z Hofu o rękę Marii dwie dekady później okrywa mgła tajemnicy. Mało która szanująca się niewiasta, choćby z nizin społecznych, wzięłaby pod uwagę poślubienie kata, ale 34-letnia panna bez posagu i z trzema siostrami na wydaniu miała niewielki wybór — jeśli w ogóle miała jakikolwiek. Nie wykluczajmy ewentualnej wzajemnej atrakcyjności, choć oczywiście był to związek korzystny dla obojga ze względów politycznych, zwłaszcza że Frantz miał wysokie pobory i dom. W 18 miesięcy od podjęcia przez niego stałej pracy kata w Norymberdze, czyli 15 listopada 1579 r., wierni z parafii pod wezwaniem świętego Sebalda usłyszeli ogłoszenie o zaręczynach Frantza z Marią Beckin. Po trzech tygodniach rada miejska przychyliła się do prośby mistrza Frantza o zgodę na ślub w nowej siedzibie i odbył się on tam 7 grudnia; ceremonia kościelna nie wchodziła jeszcze w rachubę^[186].

Należący do władz municypalnych dom, który stał się miejscem zamieszkania nowożeńców, był (i jest) znany w Norymberdze jako Dom Katowski (*Henkerhaus*). W większości miast niemieckich nie pozwalano katom mieszkać w obrębie murów miejskich, tak więc Frantz i jego wybranka mogli uważać się za szczęśliwców, chociaż ich dom stał w dzielnicy pełnej obiektów niedarzonych sympatią, gdyż usytuowano w niej rzeźnię, świński targ i miejskie więzienie. Pierwotny dom dla katów powstał w XIV stuleciu i stanowił właściwie niską, trzykondygnacyjną wieżę (pod stosowną nazwą Wieży Katowskiej, *Henkerturm*), ulokowaną na wysepce w obrębie południowej odnogi rzeki Pegnitz. W roku 1457 miasto postawiło dłuższy drewniany most dla pieszych (znany odtąd jako Most Katowski, *Henkerbrücke*) i na nim usytuowano wieżę. Tę z kolei rozbudowano, dodawszy wydłużony na połę drewniany dom z fundamentem bezpośrednio na moście. Poszerzona siedziba była wcześniej nadzwyczaj przestronna jak na potrzeby młodego kawalera, składała się bowiem z sześciu izb i wewnętrznej ubikacji, i miała w sumie 150 metrów kwadratowych powierzchni — w czasach, kiedy przeciętna 4-osobowa rodzina zadowalała się jedną trzecią tej przestrzeni. Rozsądnym kompromisem było centralne położenie domu, które oznaczało zarazem pewną izolację pośrodku rzeki Pegnitz i między pogardzаныmi przyległościami więzienia na jednym brzegu

a dzielnicą prawdziwie mieszczańską na drugim. Owszem, Frantz musiał codziennie wędrować do ratusza obok cuchnących straganów świńskiego targu, ale z oszklonych okien swego domu widział także okazałe budowle śródmiejskie [187].

Niewykluczone, że młody kat jeszcze przez pewien czas dzielił mieszkanie z owdowiąłą niedawno siostrą i jej pięciorgiem pozostałych przy życiu dzieci. Ale ten stan rzeczy nie utrzymał się raczej po ożenku Frantza i Marii, a już na pewno nie po narodzinach ich pierwszego syna Vitusa, który przyszedł na świat 14 marca 1581 r. W odróżnieniu od większości katowskich dzieci Vitus został niezwłocznie ochrzczony u świętego Sebald, tak jak reszta potomstwa państwa Schmidtów. Czy miał znaczenie fakt, że Frantz nie zdecydował się nadać najstarszemu synowi ani żadnemu z braci Vitusa imienia ich dziadka, Heinricha, co w tamtych czasach stosowano powszechnie dla uczczenia przodków? Czyżby Frantz liczył na przyszłą łaskawość ojcowskiego chlebobdawcy, biskupa bamberskiego, który imię Vitus nosił w niemieckim brzmieniu: Veit? Albo może, mimo swej protestanckiej wiary, Schmidt powodował się sławą świętego Wita, patrona uzdrowicieli, którą to funkcję sam przecież dodatkowo sprawował? I w tym przypadku nie sposób odgadnąć motywu Frantza. Mniej tajemniczy jest natomiast wybór imion dwojga następných dzieci: Margarethy, czyli Małgorzaty (ochrzczonej 25 sierpnia 1582 r.), i Jorga, czyli Jerzego (który otrzymał chrzest 2 czerwca 1584 r.) — pierwsze było jednym z najpopularniejszych dla dziewczynek, drugie bardzo chętnie nadawano chłopcom.

Jako — od niedawna — głowa rodziny, *Hausvater*, i dobrze opłacany fachowiec, Frantz Schmidt miał wreszcie podstawy społecznego szacunku, na którym bardzo mu zależało. Wszakże wyższa ranga katowskiej profesji, jej lepszy odbiór publiczny — ważny dla niego i dla przelozonych — nie byłyby możliwe bez odmiennego określenia zakresu działań norymberskiego kata, czego dokonała stopniowo generacja, która poprzedziła pokolenie Frantza. Pewne wielce przykre i hańbiące obowiązki kata, że wspomnimy tu o nadzorze nad miejskim burdelem (zamkniętym w 1543 r. na żądanie protestanckich reformatorów), były od dłuższego czasu anachroniczne. Inne z kolei zadania spadły po prostu na osoby jeszcze mniej poważane niż kat — zwłaszcza oczyszczanie ulic i wywożenie śmieci, nad czym powierzono pieczę „nawozowym” (zwanym także „mistrzami nocnymi”), którzy byli sowsicie wynagradzani [188].

Główny pomocnik kata, w Norymberdze znany jako „Lew” (Löwe; gocki pierwowzór tego wyrazu brzmiał: *lêvjan*, a oznaczał osobę dokonującą aresztowań), odgrywał nader istotną rolę w życiu Frantza, gdyż pomagał mu zrealizować marzenie o ludzkim szacunku. W zamian za dodatkowe gratyfikacje, przyznawane, kiedy świadczył rozmaite usługi, Lew chętnie współcierpiał z powodu stygmatyzacji społecznej, której brzemień kaci musieli wcześniej dźwigać w pojedynkę. Początkowo należało doń tylko przekazywanie osób skazanych, zanim jednak przybył do Norymbergi Frantz, przypadły temu pomocnikowi w udziale: nadzór nad paleniem zwłok samobójców, usuwanie martwych zwierząt oraz likwidacja popsutej żywności, zjełczałego oleju i wina, które skwaśniało (te ostatnie trafiały zwykle do rzeki Pegnitz). Nadal wręczał też Lew wezwania do sądu; co więcej, pomagał katu we wszelkich torturach, chłostach i egzekucjach, czasem nawet zastępował Frantza [189]. Szczególne znaczenie miała jednak rola Lwa jako osoby o pozycji pośredniej między Frantzem a bardzo licznymi wykonawcami prac hańbiących, które były pośrednio związane z działalnością kata: rzeźników, którzy dobijali konie, futrzarzy, grabarzy, strażników więziennych, zwłaszcza zaś municypalnych łuczowników, znieawidzonych z powodu swej brutalności i przekupstwa (*de facto* ci ostatni stanowili miejską policję i patrolowali ulice Norymbergi).

Frantz miał chyba dobry służbowy kontakt ze swoimi Lwami, skoro w ciągu 40 lat jego

pracy w Norymberdze pomocnik zmienił się tylko raz. Weteran Augustin Amman służył już od 13 lat, gdy zaczął pomagać nowemu młodemu katu, i odgrywał tę rolę aż do przejścia na emeryturę (albo może śmierci) w roku 1590. Jego następcą, Claus Kohler, pracował u boku mistrza Frantza, dopóki ten nie zakończył swojej kariery, po czym jeszcze przez trzy lata pomagał kolejnemu katu, aż w 1621 r. umarł^[190]. Bez wątplenia istniała silna profesjonalna więź między Schmidtem a jego Lwami. Nie mogło być inaczej: wszak po wiele godzin dziennie spędzali razem, więcej czasu aniżeli Frantz poświęcał komukolwiek innemu oprócz najpewniej własnej rodziny. Mało tego: wysiłek fizyczny wkładany w tę pracę, jej wymiar społeczny i reakcje ogółu na nią sprawiały, że kat i Lew musieli doskonale koordynować swoje działania i zależeć od siebie nawzajem, jeżeli chcieli sprostać obowiązkowi. W którymś fragmencie dziennika Frantz mówi nawet o norymberskich katach, co pozwala się domyślać, że Lwa traktował bardziej jak partnera niż podwładnego^[191]. Nowy kat miał świadomość tego, że walkę o respekt ogółu dla siebie przegrałby od razu, gdyby nie było u jego boku Lwa — spolegliwego, zasługującego na zaufanie.

Ale bliska więź na służbie nie zawsze się przekłada na taką więź prywatną. W Bambergu pomocnik mistrza Heinricha mieszkał przy rodzinie Schmidtów, w Norymberdze zaś Lew zajmował oddzielne mieszkanie w pobliskim budynku municypalnym. Wszelkie ewentualne towarzyskie kontakty Frantzowych Lwów ze Schmiddami musiały być dyskretne i utrzymywane na ogół za zamkniętymi drzwiami. W dwa lata po pierwszym urzędowym ślubowaniu Frantza, złożonym w norymberskim ratuszu, kilku nowych obywateli miasta poskarżyło się na to, że przyszło im ślubować obok pogardliwego Lwa. Kat nie potrafił (albo nie chciał) uchronić wiernego pomocnika przed rokrocznym powtarzaniem przysięgi w odrębnej grupie, razem ze znieawidzonymi łucznikami^[192].

Norymberga oszczędzała także swoim katom przykrości, jaką był nadzór nad lokalnym więziennictwem: to jeszcze jedno zadanie, które zabierało sporo czasu i w każdym innym mieście cesarstwa budziło niechęć kolegów Frantza. Większość norymberskich więzień, łącznie z Lochem, stanowiło w zamysle areszty dla oczekujących na wyrok, przy czym połowę podejrzanych zwalniano stamtąd w ciągu tygodnia, a 9 na 10 osób — zanim mijał miesiąc^[193]. Cele w Wieży Luginlandzkiej cesarskiego zamku i wewnątrz ratusza były zastrzeżone dla aresztantów spośród patrycjatu. Za kadencji Frantza powstało w Norymberdze sześć osobnych baraków (oznaczonych literami od A do F) dla rozwydrzonej młodzieży i sprawców drobnych przestępstw. Dłużników, którzy mogli się spodziewać pomocy finansowej od przyjaciół i krewnych, zamykano w specjalnym więzieniu — męskim lub żeńskim. Pozostałe miejskie wieże były przeznaczone dla jeńców wojennych i szumowin, które trafiały tam z Lochu, przy czym kilka, na przykład Żabia i Wodna, przydawało się ponadto jako siedziby zakładów psychiatrycznych dla osób nieuleczalnie chorych^[194] (patrz mapka).

Każde więzienie i każda wieża miały swoich naczelników — należał do nich Frantz podległy bezpośrednio sekretariatowi sądu kryminalnego — oraz własną straż (w jej składzie byli tak zwani mistrzowie żelaźni). Pracowników służby więziennej miano w powszechnej pogardzie, choć nie czynili niczego, co oficjalnie uchodziłoby za hańbiące, ale na ogół okazywali się ludźmi z nizin społecznych i mało mogli zarobić. Nierządsko przypisywano im sprzedajność i brak kompetencji, a źródłem takich posądzeń był średniowieczny wzorzec utrzymywania się więźniów, którzy sami za to płacili, określając zarazem, na jaki „komfort” mogli liczyć. Wygórowana stawka dzienna, wynosząca 36 fenigów (ponad 2 guldeny tygodniowo), zapewniała pensjonariuszom zupę na śniadanie, „sporą pajdę” jasnego chleba i litr wina. Za więcej żywności i inne przywileje — jeszcze jeden koc albo poduszkę, dostęp do wody pitnej, częstszą wymianę kubła na ekskrementy — płacono dodatkowo. Więźniowie, którzy żyli w nędzy, nie pokrywali

oczywiście nawet stawki podstawowej i niezależnie od tego, czy byli winni, czy też nie, gdy kończyli pobyt, wyręczały ich w placeniu miejski ośrodek wsparcia lub inna organizacja charytatywna[195].

W ciągu pierwszych 20 lat pracy Frantza Schmidta w Norymberdze on sam i jego Lew mieli częściej do czynienia z długoletnim naczelnikiem Lochu, Hansem Öhlerem, aniżeli z innymi naczelnikami. Jak że prawo wymagało tego, by zarządcy więzień byli żonaci i mieszkali na terenie zakładów karnych, Öhler miał w Lochu skromne lokum dla siebie, dwóch kolejnych żon, córki, syna i dwóch panien służących. Oprócz pozostawiania w związku małżeńskim nie oczekiwano, co rozumią, zbyt wiele od osób gotowych przyjąć tak nieatrakcyjną posadę. Jedyne zabiegi sekretariatu sądu kryminalnego o jak najlepsze egzekwowanie prawa w więziennictwie polegały chyba na tym, że rok w rok przypominano naczelnikom i ich małżonkom o dokładnym wyjaśnianiu obowiązków każdemu, kto dołączał do personelu[196]. Urząd ten niejedną raz upominał (ale oczywiście nie zwolnił) Öhlera z powodu licznych potknięć podwładnych, wśród których nie brakło ludzi z marginesu, podobnych samym więźniom.

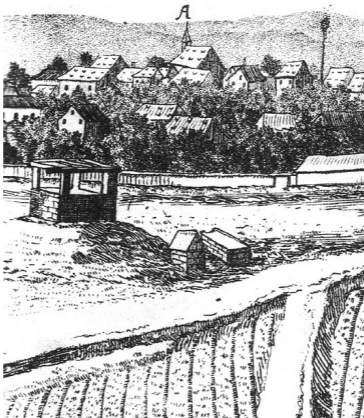
Frantz nie musiał długo czekać na to, by się przekonać o niekompetencji (jak również korupcji) nowych więziennych współpracowników. W nocy z 19 na 20 czerwca 1578 r. złodziej, który miał się stać pierwszą ofiarą mianowanego właśnie kata, w brawurowy sposób uciekł z Lochu. Według relacji z tamtych czasów Hans Reintein upił starszego wiekiem strażnika, który go pilnował, po czym zbiegł sekretnym podziemnym przejściem na zamek cesarski, znany mu z okresu, kiedy jako murarz brał udział w jego budowie. Zamknięte na klucz drzwi rozbił żelaznym łomem i posłużył się tymże narzędziem, aby w suficie korytarza pod kościołem świętego Sebaldy wybić otwór, przez który wypęził na wolność[197]. Strażnik został oczywiście zbesztany, ale zachował pracę. Po dwóch latach kolejną śmiała ucieczka — tym razem przedsięwzięta przez kogoś, kto wykradł żelazny łom samemu naczelnikowi i użył tego narzędzia, żeby dotrzeć do podziemnego tunelu — skończyła się kolejną „surową naganą”[198]. Takie ucieczki śmiałków zdarzały się w ciągu całej kariery mistrza Frantza, podobnie jak — i to często — samobójstwa więźniów oraz ich wzajemne bójkę ze skutkiem śmiertelnym. Rada miejska niezmiennie odnosiła się do tych zdarzeń tak, aby nie podgrzewać atmosfery, i zalecała jedynie naczelnikowi oraz podległym mu strażnikom starsze rewidowanie więźniów nowo przyjmowanych, ażeby można było ustalić, „czy nie ma który noża, gwoździ albo czego bądź, co ułatwiłoby okaleczenie siebie tudzież ucieczkę”[199].

Frantz Schmidt nie cieszył się zapewne z tego, że kojarzono jego osobę z takimi miejscami hańby i z ludźmi, którzy tam trafiali, ale odpowiedzialność za dobry stan fizyczny więźniów wymagała od niego częstego bywania w Lochu i sporadycznie w paru wieżach. Tamże właśnie, w Lochu poniżej ratusza — w miejscu zatłoczonym, brudnym, mrocznym, prawdziwie przerażającym, takim, które potwierdzało nasze najgorsze wyobrażenia o średniowiecznych kazamatach — Frantz przesłuchiwał już to z torturami, już to bez nich. Każda z 13 cel więziennych miała około trzy i pół metra kwadratowego, wąską drewnianą ławę, siennik i wiadro, i ledwo mieściła dwie osoby, które musiały się nią dzielić, nie mówiąc o dwu, a czasem aż pięciu urzędnikach przesłuchujących, którzy zadawali swoje coraz bardziej docieklive pytania w korytarza, w słabym blasku kaganka. Przywiązane piecyki węglowe niezbyt chroniły przed srogim mrozem, a nieliczne i wąskie szyby wentylacyjne nie uwalniały cel od zaduchu i stęchlizny. Jedyne osoby skazane na śmierć dostępowały komfortu umieszczenia w nieco większych celach „dla nieszczęsnych grzeszników” i na ostatnie trzy dni życia we względny luksusie tak zwanego katowskiego salonu, gdzie wyjątkowo były okna. Frantz, codziennie przebywając labirynt korytarzy — aby dręczyć kogoś opornego albo kogoś wyleczyć —

pocieszał się przede wszystkim tym faktem, że jego wizyty w owym siedlisku grzechu i nędzy ludzkiej pozostawały przynajmniej nieznanne ogółowi.

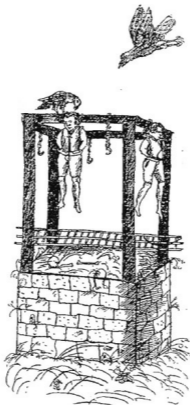
Zadaniem nieprzyjemnym, acz koniecznym i niemożliwym do ukrycia była piecza nad samym miejscem kaźni, czyli szubienicą oraz Kruczym Kamieniem, swoistym podium dla ścinania głów i łamania kołem. Od roku 1441 i szubienica, i kamień znajdowały się po zewnętrznej stronie tego portalu w obrębie murów miejskich, który otrzymał nazwę Bramy Niewieściej, i tam pozostały na niemal 400 lat, dopóki Norymberga nie weszła w skład Królestwa Bawarii[200]. Za czasów Schmidta skromny niegdyś trójnóg szubienicy i wzgórze tuż obok należały do przeszłości, zastąpiono je bowiem dwiema okazałymi budowlami z cegły: solidnym szafotem o czterech poprzecznych belkach i podwyższoną estradą, która została pokryta torfem. Prawo i obyczaj nakazywały, aby miejsce kaźni budziło grozę, „ozdobione” rozkładającymi się zwłokami jednego albo i kilku złodziei, przez wiele tygodni targanymi wiatrem, póki nie spadły na stos kości. W pobliżu stały rzędem zaostrzone pale z „ozdobami” takimi jak ścięte głowy i inne części ciała; nieopodal zdarzył się czasem zmasakrowany tors nieszczęsnego grzesznika, którego kat łamał kołem, wystawiony na szczycie tego narzędzia. Ze wszystkim, co składało się na atmosferę przekłętego miejsca kaźni, lud wiązał jakieś przesyady, a niesamowitą tamtejszą ciszę zakłócało tylko gniewne krakanie głodnych kruków i często słyszalny świst wiatru wokół skarp.

W tydzień po pierwszym występie w roli norymberskiego kata — powieszeniu trzech osób — Frantz Schmidt zainicjował całkowitą zmianę istniejącego kompleksu. W ciągu dwóch ostatnich tygodni czerwca i w pierwszych dniach lipca 1578 r. Lew i jego pomocnicy uporali się z niechlubnym zadaniem, jakim było usunięcie starej szubienicy oraz Kruczego Kamienia. Ponieważ kontakt z konstrukcjami służącymi egzekucjom — nawet nowymi, jeszcze bez żadnej skazy — groził dożywotnim pokalaniem i pechem, w pracach uczestniczyli wszyscy norymberscy murarze i cieśle, co pozwoliło zażegnać niebezpieczeństwo. W dniu 10 lipca przed południem 336 mistrzów i murarzy zatrudnionych dorywczo zebrało się na całodniowym „festynie szubienicznym”. Rozpoczął się on barwnym i hałaśliwym korowodem muzykantów z piszczałkami, doboszów, przedstawicieli całego patrycjatu i wszystkich rzemiosł, jak również dostojnego kleru i wielu innych ludzi. Po uroczystym trzykrotnym okrążeniu miejsca dawnej szubienicy fachowcy sprowadzili tam kilka wozów załadowanych kamieniami i drewnem, i od razu rozpoczęli pracę. Wydajnością i koordynacją działań dorównując współczesnym nam amiszom, kiedy ci stawiają stodoły, ludzie owi ukończyli nową szubienicę i Kruczy Kamień późnym popołudniem. Następnie zasiedli z innymi norymberczykami do sutej biesiady; za cały dzień pracy — każdemu fachowcowi z osobna — zapłacono z miejskiej kasy. W roku 1605, czyli 27 lat później, sytuacja się powtórzyła i przez następne dwa stulecia dochodziło do niej w odstępach czasu równych — orientacyjnie — okresowi trwania jednej generacji[201].



Rycina ukazuje osławione elementy norymberskiego pejzażu: szubienicę, z lewej, i Kruczy Kamień, z prawej (rok 1648).

Należyte utrzymywanie szubienic pomiędzy takimi festynami było niewątpliwie mniej radosnym zajęciem. Nie lękając się złych duchów ani pohańbienia kojarzonego z miejscem kaźni, różne „hieny” regularnie ograbiały i bezczęściły zwłoki wisielców. Nocny wandal potrafił odciąć dłoń, kciuk, a nawet męskość osoby straconej, gdyż wierzył w ich magiczną moc. Inny zdjął głowę z pala i zabrał ją do domu jako niesamowitą pamiątkę. Jeszcze inni łamali starodawne tabu z motywów całkiem przyziemnych. Jesienią 1588 r. ktoś odciął Georga Solena po ośmiu dniach i potem Hansa Schnabla po dwóch tygodniach, i w obu przypadkach chodziło o kamizelkę ze spodniami. Leinhard Bartmann (*alias* Koniokrad) wisił dopiero od trzech dni, kiedy „ktoś rozciął szyję tak, iż głowa wisała dalej, a reszta zwłok spadła”. Również tu motywem była nadzieja na kradzież, tym razem jednak zachęcił do niej sam skazaniec, który umyślił sobie, że pomysłową pogłoską oszczędzi swoim zwłokom dłuższej hańby: „Jacyś bezmyślni ludzie zasłyszeli i dali temu wiarę, że wszył on dużo złota w odzienie, liczyli przeto na obfity łup. Niczego wszakże nie znaleźli”^[202]. Tenże Koniokrad doczekał się później godnego pochówku, jak to zaplanował.



Tak pewien notariusz sądowy przedstawił norymberską szubienicę (rok 1583).

Prawdopodobnie nawet mistrz Frantz i jego przełożeni byli przeciwni nadmiernemu poniżaniu zwłok wisielców, którzy za życia kradli. W przypadku Solena odcięto tylko dolną połowę ciała, a „reszta pozostała na szubienicy”, tę „trzeba zatem było rzucić nazajutrz na stos, wyglądała bowiem zaiste strasznie”. Kiedyś zaś rozszły się słuchy, że powieszony złodziej Matthes Lenger został „w pierwszą noc rozdzielony do naga i nie miał niczego prócz pończoch”, przybyło tam tyle zaciekawionych osób — według więziennego kapelana, najwięcej „bezwstydných niewiast” — że rajcy polecili, aby mistrz Frantz „przyodział go w koszulę i krótkie spodnie”[\[203\]](#). Nie wiadomo, czy kat scedował to nieprzyjemne zadanie, jak wiele innych, na swojego Lwa.

Dobre imię

Dwudziestoczteroletni Frantz Schmidt znalazł się w norymberskim świątku jako nieżonaty obcy przybysz, co gorsza, związany z profesją, którą otaczała pogarda. To, że czekała go doza nieufności ponad miarę tej, jaką zasiedzieli mieszkańcy zwykle okazują przybyszom z innych okolic, jest pewnym niedopowiedzeniem. Nawet wówczas, gdy Frantz poszukał sobie żony i stał się w Norymberdze osobą znaną, nie mógł nie pojmować tego, że na akceptację ze strony obywateli oraz władz miasta trzeba będzie zaszukać nie tylko dostosowaniem się do

tamtejszych norm obyczajowych, ale także skutecznym sformalizowaniem, a zarazem utrwaleniem statusu człowieka poważanego. „W społecznościach, dla których pojęciem podstawowym jest cześć — napisał historyk prawa William Miller — poczucie własnej godności musi zależeć od tego, czy szanują nas inni”, z każdą zatem interakcją, w której uczestniczy dana osoba, wiąże się niebezpieczeństwo utraty czci[204]. Frantz nie zdołał prawdopodobnie nigdy całkowicie przewyciężyć niechęci miejscowych do siebie jako urodzonego gdzie indziej zawodowego zabójcy, ale udało mu się przynajmniej złamać cudzy wewnętrzny opór, uczynić płamę na ojcowskim honorze jeszcze mniej widoczną, a przede wszystkim nie dostarczył argumentów tym, co nie omieszkaliby zepchnąć go z powrotem na margines. Taki efekt wymagał długiej kampanii, prowadzonej nadzwyczaj wytrwale i cierpliwie. Młody kat z Hofu musiał się okazać w niej równie roztropny i precyzyjny, jak w uśmiercaniu mieczem na Kruczym Kamieniu.

Świadome zapewnianie sobie dobrej opinii, czym Frantzowi wypadło się zająć, było zgodne z ówczesnym łańcem społecznym, ale także poniekąd z jego negacją. Do buntowników Frantz nie należał; z wizją własnej przyszłości mieścił się w dosyć wąskich granicach przyjętych wtedy konwencji. Ale dzięki diariuszowi wiemy, że — jak wiele jednostek ambitnych — Frantz posiadał wyobraźnię społeczną, która pozwalała mu dostosowywać owe konwencje do szczególnych okoliczności jego życia. Większość ludzi tamtej epoki wiązała własną reputację, i to nierozzerwalnie, z tożsamością, którą w znacznej mierze dziedziczono, przy czym aspektami dziedzicznymi okazywały się miejsce pochodzenia i status społeczny. Frantz Schmidt przywiązywał niewątpliwie ogromną wagę do tak rozumianej tożsamości, o reputacji przesądzało jednak wówczas nie urodzenie, lecz warunkowały ją charakter i działanie — dwa czynniki zależne od Frantza. Powszechnej aprobaty dla wyróżnienia tych właśnie czynników nie było, ale przynajmniej młody kat z innych okolic w swojej walce o dobre imię nie był całkiem bez szans.

Pierwszą przeszkodą do pokonania okazała się własna obcość. To czy inne miejsce urodzenia — miasto, rodzinna wieś — stanowiło ważny element tożsamości ludzi z początków ery nowożytnej. Miało to pewien sens: podróżowano przecież niespiesznie, każdy region hołdował swoim zwyczajom, w granicach dzisiejszych Niemiec kwitło kilkadziesiąt dialektów, przy czym jeden bywał niezrozumiały dla gościa, który pochodził z miejscowości odległej ledwie o kilka dni drogi. Frantz konsekwentnie identyfikuje każdego wspomnianego w diariuszu złoczyńcę najpierw podług miast albo wsi, z których ci ludzie pochodzili — „z Bürgu”, „z Ansbachu” i tak dalej. Sam był długo znany w Norymberdze jako „kat z Hofu” albo „z Bambergu” (choć w tym ostatnim mieście spędził niewiele czasu). Kogoś nie do zlokalizowania trudniej było zapamiętać i przez to stawał się osobą podejrzaną. Frantz potrafi zapomnieć czyjeś nazwisko w diariuszu, czasem także zapamiętuje niedokładnie, ale w żadnym przypadku — z wyjątkiem kilku wędrownych ładacznic — nie pomija milczeniem rodzinnych miast osób, o których pisze.

Z pochodzeniem geograficznym wiąże on ponadto polityczny wymiar faktu czyjś istnienia, określa bowiem poszczególnych ludzi jako autochtonów, skoro przyszli na świat w Norymberdze i jej okolicach, lub „cudzoziemców”, urodzonych gdziekolwiek indziej, i nie bierze pod uwagę odległości, języka ani aktualnego miejsca zamieszkania. Oto na przykład pastuch Heinz Neuner, w Gostenhofie pod Norymbergą zatrudniony jako garncarz, pozostawał poddany margrabiemu, który za siedzibę miał pobliski Ansbach i z tej racji był takim samym cudzoziemcem, jak „Steffan Rebweller, rodem z Marstallu w Sabaudii, oraz Heinrich Hausmann z Kalki o 22 kilometry na południe od Kolonii”[205]. Frantz odnotowuje często — 45 razy odnośnie do 778 przypadków — to, że dana osoba pochodzi z Norymbergi i, co więcej, należy do

obywateli miasta, ma zatem szczególny status prawny, przyznawany tylko niektórym mieszkańcom. Z obywatelstwem wiązały się pewne prerogatywy, zwłaszcza szansa na ścięcie jako sposób wykonania kary śmierci (tak potraktowano oszustwa Gabriela Wolffa) albo nawet na łagodniejszą chłostę, co zastosowano wobec norymberskiego fałszerza Endresa Petry'ego oraz winnej kazirodtwa Barbary Grimmin (obdarzonej niezrozumiałym dziś przezwiskiem *Schory Mory*)[\[206\]](#). Obywatelka Margaretha Böckin, skazana za morderstwo popełnione z nadzwyczajną perfidią, skorzystała jedynie z przywileju ścięcia w pozycji stojącej, a przedtem „trzykrotnie poczuła rozpalone do czerwoności obcęg, później zaś [ściętą] głowę wbito na pal i zwłoki pochowano pod szubienicą”[\[207\]](#).

W takiej pełnej życia metropolii jak Norymberga nie brakowało oczywiście imigrantów, nierzadko osiadłych tam od kilkudziesięciu lat. Ten aspekt tożsamości nie działał sam przez się na niekorzyść, zwłaszcza wśród ludzi z nizin społecznych. Czy obcość Frantza pogłębiała jego izolację? W którym mieście czuł się jak w domu? Nie mamy co do tego jasności. „Młody kat z Hofu” nie mieszkał w swoim mieście rodzinnym od wielu lat i bez wahania chłostał złoczyńców rodem z Hofu — niektórych mógł nawet znać osobiście. Ale nie dawał też wyrazu głębszemu przywiązaniu do miasta nad rzeką Pegnitz, które go zatrudniło[\[208\]](#). Dopiero po dziesięciu latach pracy w Norymberdze zaczął pisać o „naszym mieście” oraz o „synu jednego z naszych obywateli”, pomimo to jednak, iż jego pobyt na stałe był już oczywisty, w dalszych diariuszowych zapisach tak jednoznaczne oznaki przywiązania pojawiają się nieczęsto[\[209\]](#). Przedzierzgnięcie się we „Frantza Schmidta z Norymbergi” wymagało czasu, cierpliwości i bardziej namacalnych dowodów wzajemnej aprobaty w relacjach tego kata z ojcami miasta.

Pozycja społeczna, o której przesądzały i stan rodzinny, i zawód, była dla młodego najemnika problemem daleko ważniejszym niż taka przemiana. Potrafimy dzisiaj, choć nie całkiem, zrozumieć pogląd Frantza na godność osobistą i możliwy status. Sam pisał co prawda ofiarą rozkazu, którym kapryśny władca odmienił życie rodziny Schmidtów, niemniej on sam zdaje się przystawać na uprzywilejowanie wyższych warstw i żywić przekonanie o świętości tego stanu rzeczy. O ludziach plasujących się wyżej na drabinie społecznej Frantz Schmidt pisze stale z rewerencją, która nie jest tylko nawykiem ani, jak raczej chciałoby się podejrzewać, objawem przezorności człowieka świadomego tego, że chlebobdawcy mogliby kiedyś przeczytać jego słowa. Otóż kiedy Frantz pisze o przestępstwie popełnionym przez osobę z nizin społecznych przeciwko komuś, kto należy do patrycjatu albo szlachty, w niejednym przypadku jest obrażony tyleż tupetem człowieka, który ważył się przekroczyć klasową barierę, co samym nagannym czynem. Gniewa Frantza na przykład impertynencja szalbierza Gabriela Wolffa, winnego różnych malwersacji na szkodę bogatych i należących do znakomitych rodzin norymberczyków, jak również mieszkańców innych miast[\[210\]](#). W pewnym zapisie oburza się Frantz na sprawcę, kiedy pisze o zamordowaniu „szlachetnie urodzonego żołnierza, Albernusa von Wisensteina” przez „Dominicusa Korna, dziecię obywatelskie, żołdaka i nieślubnego syna właściciela zajazdu”[\[211\]](#).

Wielu z nas, dla których rewolucja francuska jest faktem historycznym, trudno zrozumieć głębokie chyba przeświadczenie mistrza Frantza o wrodzonej wyższości bogatych i szlachetnie urodzonych. Nasza współczesna kultura zawiści opiera się na założeniu, że cudza odziedziczona zamożność i takież przywileje mogą być przedmiotami niechęci czy pragnień, ale bynajmniej nie zasługują na respekt jako dane przez Boga. Natomiast Frantz Schmidt i ludzie, którzy wtedy żyli, uważali hierarchię związaną z urodzeniem za coś naturalnego, porównywalnego z pogodą czy zarazą — za siłę kapryśną, nawet niszczącą, a przecież nieuchronną. Nie dziwmy się, że ten *status quo* był dla mistrza Frantza do przyjęcia. Wszak sam należał do głównych gwarantów istnienia owej stratyfikacji społecznej i wierzył, że starczy mu bystrości i zdeterminowania,

ażebym w zakreślonych granicach osiągnąć własne cele dotyczące pozycji w społeczeństwie. Koszta okazywały się znaczne: młody kat cierpiał z powodu nagminnego przypominania mu, że jego status jest niski, a przejawiało się to sporadycznymi przytykami, zawołanym lżeniem, ale też oficjalnym odsunięciem od wszelkich uroczystości, tańców, procesji publicznych i zgromadzeń ogółu, z wyjątkiem tych, które były związane bezpośrednio z jego hańbiącą profesją. Jego współpracownicy w ściganiu przestępstw — medyk miejski, osoby przeprowadzające śledztwa, notariusz sądowy — mieli zakaz rozmawiania z katem na ulicy i okazywania społecznej łączności z nim w jakikolwiek inny sposób. Takie i nie tylko takie przykrości mistrz Frantz musiał po prostu cierpliwie znosić i pewnie widział w nich coś, co nie mogło nie spotykać ludzi w jego szczególnej pozycji społecznej. On jeden wiedział, czy codzienne afronty gniewają go, czy raczej wywołują wstyd albo rozpacz.



Oto obraz egzekucji Niklausa von Gülchena, norymberskiego rajcy skazanego za defraudację i inne przestępstwa. Tę rycinę z 1616 r. zamieszczono w kronice miasta. Ale w rzeczywistości von Gülchen nie klęczał, lecz siedział na krześle dla skazańca.

Pewien dramatyczny incydent z późniejszego okresu kariery Frantza potwierdza, że cechował go głęboki wrodzony respekt dla tych, co dzierżyli władzę i byli wysokiego rodu. W grudniu 1605 r. pochodzący ze szlachty tajny rajca miejski, doktor Niklaus von Gülchen (u Schmida: Gilgen), został skazany za defraudację, na których ucierpiał wiele osób z norymberskiej elity i samo miasto, doszło bowiem do tak haniebnej afery rządowej, że poprzednia tego rodzaju zdarzyła się z górą sto lat wcześniej. Mimo wyroku śmierci Gülchen zaznał wszelkich przywilejów skazańca najwyższej rangi: otrzymał wygodną celę w obrębie Wieży Luginslandzkiej, a nie w Lochu, jadał osobne posiłki, oszczędzono mu tortur podczas przesłuchań (skorzystał ze szlacheckiego prawa *non torquendo*), czekała go honorowa śmierć od miecza i mógł liczyć na pochowanie w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Świętojańskim [212]. Głęboka odraza Frantza daje się rozpoznać w każdej linijce dłuższego zapisu, który autor diariusza poświęca różnym „niecznym czynom” Gülchena, między innymi złamaniu przysięgi tajnego rajcy; adwokackiemu doradzaniu obu stronom różnych sporów; okradzeniu miejskiego skarbcza; przywłaszczeniu sobie municypalnych zapasów piwa i wina; spółdzenia pięciorga dzieci ze służącą małżonki; gwałtowi na osobistej służce; próbie gwałtu na

jednej synowej i przekupieniu drugiej, aby wdała się w dłuższy romans; oszukaniu wielu rodzin szlacheckich i patrycjuszowskich; używaniu fałszywej pieczęci z tytułem doktora prawa. Nie inaczej niż u szlachetnie urodzonego szalbierza Gabriela Wolffa, także u Gülchena wyprowadziły norymberskiego kata z równowagi — jego zdaniem nieomal świętokradcze — skłonność do nadużywania uprzywilejowanej pozycji oraz brak skrupułów w hańbieniu własnej rodziny. A jednak stanowe prerogatywy znów wzięły górę. Mistrz Frantz musiał negocjować ze skazanym szlachcicem — w jego celi — stosowny egzekucyjny strój. Przełożeni Schmidta stracili w końcu cierpliwość do Gülchena i zaopatrzyli go, z zasobów municypalnej zbrojowni, w długą szatę żalobną z czarnym kapeluszem, w którym to odzieniu skazaniec paradował łącie po królewsku w czasie publicznej procesji do krzesła dla ludzi z wyrokami, przykrytego zresztą wykwintnym czarnym jedwabiem [213].

Co się tyczy mas ludzkich usytuowanych poniżej arystokracji oraz patrycjatu, Frantz Schmidt nie był wcale skory do kojarzenia statusu społecznego z reputacją. Najbardziej irytowały go — podejmowane przez różne cechy rzemieślnicze — próby zaradzania spadkowi rangi ich członków i zanikowi wcześniejszego prestiżu poszczególnych zawodów dyskredytacją, która godziła w osoby związane z profesjami hańbiącymi (między innymi w katów) i poniżała ludzi bez żadnego zawodu. Frantz wiedział z dawien dawna, że nauka rzemiosła szacowanego ani wykonywanie tegoż nie czynią nikogo osobą godną poważania. Praktykuje on zatem w dzienniku powszechny wtedy zwyczaj określania zawodu każdego przestępcy — „kuźnierz”, „rolnik”, „przeciągacz drutu” — nigdy jednak nie nazywa rzemiosła albo cechu godnym szacunku. Sama ta klasyfikacja pojawia się tylko w odniesieniu do szlachty i patrycjatu, a jej przeciwieństwo, „niegodny szacunku”, w ogóle w diariuszu nie występuje. Dla Frantza fach, jak miasto rodzinne i nazwisko, jest po prostu naturalnym wskazaniem na obecność danej osoby w kosmosie. Według niego taki formalny sposób identyfikacji nie wyjaśnia, czy jednostka odznacza się dobrym, czy złym charakterem, toteż nawet seryjny morderca Nickel Schwager zostaje zrazu nazwany tylko „murarzem” [214].

Oddzielanie statusu społecznego od reputacji, czemu Frantz hołduje, jest często dostrzegalne w łączeniu dwóch tożsamości: zawodowej i kryminalnej, tak więc autor diariusza pisze o „właścicielu sklepu z artykułami spożywczymi i mordercy”, „rajtarze i złodzieju”, „domokrądcy i szulerze, który miał także trzy połowice”. Tę skłonność widać zwłaszcza w pierwszych latach norymberskiego żywota Frantza, chociaż bywa on niekonsekwentny, jak choćby w identyfikacji Georga Götz jako „łuczніка [municypalnego], złodzieja i człowieka rozpustnego”, później zaś po prostu jako „łuczніка”, co łatwo zrozumieć, skoro w prowadzeniu diariusza Frantz był całkiem spontaniczny [215]. (Wątpliwe, czy ścięty w końcu Götz stracił upodobanie do kradzieży i ładacznicy między kolejnymi wyrokami). Coraz wyraźniejsza preferencja Frantza dla określeń wielorakich — „Michel Gemperlein, rzeźnik, najemnik, morderca, zbójca i złodziej” — świadczy zarazem o tym, że ów kat, któremu przybywa doświadczenia życiowego, zaczyna rozumieć, iż wyłączone wskazanie na fach ma nikłą wartość jako aluzja do moralnego osądu autora [216].

Te nieliczne przypadki, w których Frantz identyfikuje oprawców wyłącznie według ich czynów, mówią nawet więcej o jego osobistym poglądzie na moralność i charakter: „morderczynie swojego dziecka” (odnośnie do dzieciobójstwa); „podpalacz”; „heretyk” (odnośnie do kazirodztwa i bestialstwa). W odróżnieniu od zwykłego porubstwa albo nawet zabójstwa tego rodzaju czyny karalne, jak przytoczone wyżej, zaćmiwały w katowskim rozumieniu każdy inny aspekt tożsamości danej osoby. Z tejże racji ci, którzy wybrali los przestępców zawodowych, zostają czasem określani tylko wedle profesji — pojawiają się, będące przecież oceną, słowo „złodziej” lub „rozbójnik”.

Niechęć Frantza do kojarzenia statusu społecznego z rozpowszechnioną opinią o danym człowieku miała chyba swą przyczynę przede wszystkim w jego własnej sytuacji. Nawet tytuł „mistrza Frantza” wiązał go pewnie w cudzych oczach z hańbiącym fachem. Natomiast nazwisko danej osoby wносиło na ogół niewiele do poznania jej tożsamości, nie mówiąc o reputacji. Nazwiska szlachty i patrycjatu oczywiście były łatwo rozpoznawalne, również w dzienniku, zwłaszcza z wymownym dodatkiem, na przykład „wielmożny” albo „Jego Eksceleńcja”. Łatwo rozpoznawano ponadto Żydów po nazwiskach, jako że zwykle występowały one z imionami hebrajskiego pochodzenia (Mosche, Moses = Mojżesz) i były czasem swoistymi etykietkami, jak choćby Jude („Żyd”). We wszelkich innych przypadkach same imiona czy nazwiska nie ułatwiała identyfikacji. Protestantka mogła nosić imię Najświętszej Pani (niekiedy niewiasty kanonizowanej; szewc nazywał się Fischer („Rybak”); zasiedziali norymberczycy należeli do rodziny Frankfurterów. W różnych życiowych sytuacjach pewne nazwiska oczywiście miały gdzieś większy ciężar gatunkowy, ale było i tak, iż nawet nazwiska wielu norymberskich patrycjuszów pojawiały się w rejestrach ubożego pospólstwa i w spisach przestępców.

Ochroną przed ową dwuznacznością było tylko identyfikowanie przydomkiem albo pseudonimem. Nie każda osoba ochrzczona przydomkiem wykonywała zawód niechlubny, ale właściwie wszyscy, którzy sobie chwały nie przysporzyli, mieli co najmniej jedną tożsamość alternatywną. Większość młodocianych złodziei, z którymi przyszło Frantzowi się zetknąć, zdążyła jeszcze przed przemianą w zawodowych przestępców zyskać sobie barwne przezwiska w półświatku: Jasio Żaba, Czarny Piekarz, Czerwony Leoś, Wesołek, Oszust, Spryciarz. Popularne przydomki miały związek z profesjami (Handlarz, Mularz, Piekarczyk), miejscem urodzenia (Szwajcar, Cunz Pomorzanie), strojem (Zielona Czapeczka, Jaś Elegant, Jerzy Rękawicznik) albo łączyły różne informacje (Szewc Rzepoła, Leśny Człowiek z Lauflu, Czarnowłosa z Baidersdorfu). Bywały komiczne (Udka Kurczaka, Królik, Ślimak), protekcyjne (Gaduła, Bartek Jąkała, Chłoptaś), a nawet obelżliwe (Giez, Padlina). W tamtej epoce, kiedy polityczna poprawność miała niewątpliwie mniejsze znaczenie, przydomki brały się często z wyglądu danych osób — Spiczasta Głowa, Długi Ceglarski, Czerwony Piotrek, Chudy Jurek, Tłuszczek — albo wytykały kłopotliwą higienę osobistą (Brudas) [217]. Niejednym przydomkiem był nawiązaniem do nazwiska, jak w przypadku Katheriny Schwertzin („Czarnej”), którą przezwano Węglowym Dziewczęciem [218]. Jakiekolwiek miały źródło, przydomki okazywały się przydatne dla rozróżnienia ludzi w społecznościach, którym wystarczało kilka imion (zwłaszcza imię Hans).

Doświadczony norymberski kat często kojarzył samo posiadanie przydomka z egzystencją danej osoby wśród „wolnych ptaków” albo i w światku przestępczym. Co do tego, czy tak samo reagował na przydomki ogół ludzi, nie można mieć pewności — zależało to oczywiście również od brzmienia konkretnych przydomków. Ktoś, kto wtedy żył, mógł, co zrozumiałe, obawiać się agresywnych skłonności takich ludzi, jak Jan Żołdak albo Zabijaka, czy zaniepokoić się o los własnej sakiewki, gdy został przedstawiony Zwinnemu Garbarzowi lub Ośmiopalczastemu. Na poważanie w społeczności ani na szanowaną pracę nie mogły raczej liczyć kobiety o takich przydomkach, jak Króliczek, Kudłata Kaśka, Dziewka Młynek czy — brzmi to szokująco — Cipa Anka [219]. Mistrz Frantz był zapewne świadomy istnienia paru niepochlebnych lub co najmniej pogardliwych przezwisk, jakimi go obdarzono, ale nie zechciał zachować ich dla potomności.

Abstrahując od okoliczności przyjęcia na świat, od profesji (oraz przydomka), można założyć, iż ci wszyscy, którym dane było żyć w epoce Frantza Schmidta, zgodziliby się chyba z tym, że najbardziej wiarygodnym wskazaniem na posiadaną reputację okazywał się w owych czasach krąg towarzyski, co musiało doprawdy cieszyć norymberskiego kata, który nie wybrał

sobie pochodzenia ani kolegów po fachu, lecz mógł wybrać znajomych, a także przyjaciół. Któż należał do niewielkiego grona tych ostatnich — mimo odczuwalnego nadal ostracyzmu wobec Frantza Schmidta? I gdzie się ci ludzie spotykali? Najpewniej nie w miejscach zwykle uczęszczanych przez mężczyzn, którzy pragnęli towarzystwa, jako że zajazdy pozostawały na ogół niedostępne dla katów, a Frantz byłby tam witany z tym większą niechęcią, że stronił od trunków i hazardu. Nie bywał także na festynach, weselach i podobnych uroczystościach ani też nie odwiedzał wykształconych kolegów czy innych znajomych, którzy straciliby dobre imię, gdyby się okazało, że przestają z katem. Wieloletnia służba zapewniła Frantzowi przynajmniej tyle, że miał niezłe robocze kontakty z niektórymi sędziami, z tym i owym jurystą, medykiem i aptekarzem. Korespondował ponadto i być może przyjaźnił się z paroma innymi katami w okolicy[220]. Natomiast jego kontakty z kapelanami więziennymi nie były chyba bardzo częste: magister Hagendorn i magister Müller mało kiedy wymieniają go w swoich dziennikach z nazwiska — występuje on tam zwykle jako „kat” albo „wieszacz”. Schmidt pisze bezosobowo o „kapłanach”. Jeżeli Frantz miał jakichkolwiek serdecznych przyjaciół — a mamy podstawy po temu, by sądzić, iż jednak zaznawał przyjaźni — to ich spotkania musiały się odbywać w zaciszu katowskiego domu, chociaż gościom tegoż również groziło narażenie własnej reputacji na szwank, gdyby ktokolwiek ich wypatrzył.

Unikać złego towarzystwa było w miarę łatwo i syn Heinricha Schmidta nabrał w tym niemalej wprawy. Wysiłki sprawiły, że Frantz mógł ograniczyć do minimum swój bezpośredni kontakt z łucznikami miejskimi i innymi funkcjonariuszami niższej rangi, którzy byli związani z wymiarem sprawiedliwości, a to z kolei chroniło przed powszechną niechęcią, z jaką spotykały się korupcyjne i w sumie bandyckie praktyki tamtych. Nowy kat bez wahania karał pedłó, którzy żebrali, jak i municyjalnych łuczników, gdy tych przylapywano na zadawaniu się z ładacznicami albo gdy gwałcili oni powierzone im pieczy dziewczęta — karał chłostą albo pozbawiał życia[221]. Ze spokojem odnotowuje Frantz osobiście wykonane egzekucje, które spotkały czterech dawnych współpracowników, morderców i złodziei, między innymi specjalistę w dobijaniu koni, Hansa Hammera (czyli Kamyka albo Młodego Szewca); tak samo zginął łucznik Carl Reichardt (inaczej: Eckerlein), który „tu i gdzie indziej okradał katów, pomocników tychże, tudzież domostwa dobijaczy koni, u których zamieszkiwał”. Rozumiemy wyraźnie u Frantza pragnienie odciążenia się od takich współpracowników, bo przecież odium ich czynów padało pośrednio na jego profesję. Co wymowne, Frantz nie próbuje przekonać samego siebie, że tacy niegodziwcy są wyjątkami wśród pracowników tej rangi, lecz — całkiem przeciwnie — ze zdumieniem stwierdza, iż pewien dawny pedel, którego skazano na śmierć jako mordercę, wydaje mu się z innych powodów „człowiekiem godnym szacunku” i dlatego uzyskuje dlań łagodniejszą egzekucję: zamiast łamania kołem — ścięcie[222].

Dołączenie do „wolnych ptaków” pojmowano w świecie mężczyzn rozmaicie, ale na ogół w grę wchodziły kontakty lub nawet wspólne akcje z zawodowymi kryminalistami. Wystarczyło przypadkowe zetknięcie się z kimś wyjętym spod prawa, aby — to stosowano w pewnych śledztwach szczególnej wagi — już sam taki kontakt stał się usprawiedliwieniem tortur. Kto w ich efekcie ujawniał swą przynależność do większej bandy zbójców, ten pograżał siebie zupełnie, przy czym mistrz Frantz miał wtedy możliwość uświadomić w kilku słowach niegodziwość Joachima Walda (inaczej: Mentora), „który okrutnymi sposobami wiele kradł i włamywał się [do domów] z trzydziestoma bodaj kompanami” albo Hensy Waltera (inaczej Krajacza Serowych Kręgów), herszta bandy, w której działało „czternastu jego kompanów i były także dwie ładacznice”. Częściej zapisywał po prostu, że skazany rozbójnik „miał wielu kompanów”, czym uzasadniał nazwanie go „łotrem”, zgodnie z ponurą famą o tym człowieku, oraz w pełni zasłużoną egzekucję[223].

Na złą reputację mężczyzn składały się zazwyczaj również takie przewiny, jak pijaństwo, hazard, wszczynanie bójek, korzystanie z usług nierządnic, a ponadto coś mniejszej wagi, bo „mowa ohydna i sprośna”[224]. Mowa tu o zachowaniach rozpowszechnionych, które mogły świadczyć o skłonności do czynów karalnych, ale same w sobie nie stanowiły jeszcze dowodów. Frantz podaje takie szczegóły jako elementy tła przestępczych działań i często wykorzystuje te detale, ażeby jeszcze bardziej uwypuklić zły charakter tych, których właśnie pozbawił życia, oraz słuszność kary śmierci. Hans Gerstacker (*alias* Czerwony) „nakraść niemało [i] w czas pewnej zwady pobił niewiastę”. Wytwórca toreb i mytnik nazwiskiem Andreas Weyr został sprawdzalnie wychłostany, „ponieważ dopuścił się porubstwa z trzema pospolitymi ladacznicami; miał już swoją połowicę i sprzeniewierzał myto”[225].

Ów kat pozostawał konserwatystą również w kwestii reputacji kobiet. Tak jak mężczyźni, tak też wiele kobiet wychłostanych albo ściętych przez Frantza splamiło się konszachciami z tymi, co dali się poznać w świecie przestępczym, niejedna była konkubiną lub żoną osławionego zbrojcy. Jeżeli udowodniono współudział w kradzieży czy morderstwie, to wyrok okazywał się surowszy: w grę wchodziło co najmniej odrażanie palców, a w skrajnym przypadku utopienie, jak to się stało w przypadku Margarethy Hörnlein, która „przyczyniła się do śmierci zabitych w jej domu noworodków, nakarmiła nadto morderców i złodziei, iżby niczego nie ujawniali”. O kobietach przyzwyczajonych do takiego stylu życia był Frantz tego zdania, że pograżyły się one już w światku odrębnym, tajemniczym, światku złodziei, rozbójników i morderców. Maria Canterin miała za sobą kilka chłost i okaleczenie ciała jako kary za związenie się z dwoma zbrojcami, których trzeba było uśmiercić — Przystojniakiem i drugim, o przydomku Jerzyk Rękawicznik — kiedy sama, razem z aktualnym gachem, Szklarzem z Bayreuth, została ścięta, ponieważ dopuściła się kolejnych kradzieży[226].

Jakikolwiek był jednak udział kobiet o marnej reputacji w okradaniu bliźnich i agresji wobec innych, przedmiotem potępienia stawała się — niezmiennie i w pierwszym rzędzie — ich rozwiązłość. Wystarczyło podejrzenie kobiety o porubstwo, aby Frantz i ktokolwiek inny w jego czasach zmienił jednym piętnującym słowem opinię o niej, i to o wiele skuteczniej niż przez nazwanie mężczyzny „łotrem” albo „rozpustnikiem”. Zawodowe prostytutki, „żołdadzkie konkubiny”, wszelkie kobiety „lekkich obyczajów” (w niejednym przypadku ofiary gwałtu czy kazirodztwa) są w katowskim diariuszu określane regularnie jako „pospolite ladacznice”[227]. Nie inaczej niż mężczyzna, który podnosił rękę na swoją matkę lub wyzywał w sądzie osobę więcej znaczącą, kobieta, o której mówiono, że sypia z wieloma, była automatycznie podejrzewana o cięższe przewiny. W swoim dzienniku Frantz używa zresztą czasem określeń złożonych: „trzy obywatelskie córki i ladacznice”; „córka hydraulika i ladacznica”; „kucharka i ladacznica”, a nawet „małżonka łuczniaka i ladacznica”. Ale częściej takie kobiety tracą wszelką tożsamość w katowskich wspomnieniach i zdarza się, iż Frantz nie podaje także ich nazwisk[228].

Przedasade zainteresowanie religijnych reformatorów dewiacjami seksualnymi sprawiło, że wszystkie kobiety — mężatki, panny, wdowy — były coraz częściej narażone na oskarżenia o porubstwo i idące za tym konsekwencje. W najgorszych scenariuszach takie posądzenia bywały argumentami na rzecz trafności oskarżeń o czary i pograżały te kobiety, które dopuściły się dzieciobójstwa — mowa tu o dwóch najpowszechniejszych przyczynach wyroków śmierci, które na początku ery nowożytnej ferowano wobec kobiet. Wszelkie pozamałżeńskie związki kobiet skutkowały na ogół chłostą i banicją, a w rzadkich sytuacjach — gdy w rachubę wchodziła także kradzież — egzekucją. Wśród pozbawionych życia przez Frantza było zaledwie 10% kobiet, natomiast aż ponad 80% osób tej płci musiał on zakuć w dyby, po czym „różgami wypędzić z miasta” za przestępstwa o podłożu seksualnym[229].

Frantz Schmidt miał świadomość dwoistości norm stosowanych wobec mężczyzn i kobiet, odnotowywał zresztą przypadki, kiedy za przestępstwa seksualne wymierzano mężczyznom niższe kary, choćby popełnił kazirodztwo[230]. A jednak raczej z rozważaniem aniżeli ze współczuciem przytacza słowa wypisane na kościelnym murze przez nieszczęśliwego męża kobiety ściętej za „porubstwo i nierząd, który uprawiała z mężczyznami żonatymi i młodzieńcami (a było ich dwudziestu jeden)”, między innymi z pewnym ojcem i synem: „Tego ojca i syna należało potraktować tak, jak ją, i nie inaczej rajfurów. Na tamtym świecie odwołam się do cesarza i króla, albowiem sprawiedliwości nie stało się zadość. Ja, maluczki, cierpię bez winy. Bywajcie i dobranoc”[231]. Norymberski kat miał ludzi za wytwory ich własnych poczynań, jeżeli zatem któraś kobieta „straciła przed pięćmiu laty cześć [cnotę] z jakim żołdakiem” lub „wydała na świat troje bękartów”, to była „ladacznica”[232].

Co w tamtej epoce (i u pobożnego luteriańskiego kata) mogło dziwić, to fakt, że tożsamość religijna nie była przez Frantza Schmidta w ogóle brana pod uwagę, gdy oceniał reputację i charakter tej czy innej osoby. Nie okazuje otwarcie wrogości ścinanym katolikom (żadnego nie nazwał papistą), wspomina natomiast, że któryś poprosił pod szubienicą o modlitwę albo o komunię świętą[233]. Hans Schrenker (inaczej: Lizus) pozwolił sobie na to, iż wyznawaną wiarą katolicką uzasadnił prośbę o wstrzymanie egzekucji, z którą wystąpił pod szubienicą: chciał „pielgrzymować do swego spowiednika, po czym powróciłby (na co nie wyrażono zgody)”. Szczególne używanie przez Frantza Schmidta takich wyrazów, jak „heretyk” i „bezbożność” dotyczy zawsze konkretnych czynów winowajców, nie zaś ich opcji religijnych[234].

Nawet Żydzi, zgodnie z rytuałem upokarzani w każdy Wielki Piątek w Hofie, miłośnicy młodości Frantza, w roku 1498 oficjalnie wygnani z Norymbergi, są w dzienniku częściej wymieniani ze współczuciem, raczej jako ofiary świętych złodziei lub zbójców niż jako sprawcy[235]. Otrzymałszy rozkaz publicznego uduszenia (w imię miłosierdzia) żydowskiego szpiega i złodzieja z Otenfossu, Mojżesza, mistrz Frantz notuje skrupulatnie, że „minęły 54 lata od poprzedniej egzekucji wykonanej na Żydzie (Ambselu)”. Autor diariusza nie pisze w ogóle o tym, że nowożytni antysemita przypisywali Żydom „skażanie krwi” i nie podaje przykładów kar poważniejszych aniżeli chłosta, jak choćby w przypadku Haya Juda, skazanego za to, że „od tyłu molestował chrześcijanki, dopóki nie zaspokajał własnej natury”. Julius Kunrad — żydowski przechrzta, który chełpił się kilkoma potężnymi chrześcijańskimi protektorami, między innymi biskupem Würzburga — został również, jak to zwykle bywało, wychłostany i przepędzony, czym ukarano go za bigamię i porubstwo, chociaż miał ponadto bękart z „pospolitą [chrześcijańską] ladacznicą, nim przyjął chrzest”. W tym samym roku ów człowiek (teraz już Kunrad z Reichensachsen) otrzymał wyrok śmierci za bandytyzm, wiele kradzieży i morderstwo, ale Schmidt nie komentuje religijnej tożsamości skazańca — pisze tylko, że pod szubienicą Kunrad „nie zechciał przyjąć sakramentu luteriańskiego, lecz [wybrał] katolicki”[236].

Przemysłne zabieganie o własne dobre imię czyniło Frantza Schmidta, co zrozumiałe, wyczulonym na wszelkie nadużycia, które dotyczyły reputacji. Najbardziej irytowali go ludzie skorzy do posługiwania się cudzymi nazwiskami i do uzurpowania sobie wyższej pozycji społecznej — było to w miarę łatwe, póki nie stosowano znanych nam dzisiaj sposobów weryfikacji tożsamości[237]. Zjawisko, które nowoczesni ludzie nauki nie bez podziwu nazywają „tworzeniem własnego wizerunku”, a prawnicy wolą określać jako „podszycanie się”, było czymś nader poważnym i żenującym w oczach norymberskiego kata. Smuci go to, że Lienhard Dischinger, który „ze sfalszowanymi listami i pieczęciami podawał się za przeniesionego nauczyciela lub kapłana”, dograł się tylko chłosty, niewartej dłuższego komentarza, ale cieszy

przypadek Kunrada Kraffta, człowieka winnego wielu oszustw popełnianych pod przybranym nazwiskiem, „który chciał uchodzić za obywatela Forchheimu i rajcę w Colmuth”, i w końcu został ścięty jako notoryczny kłamca[238]. Kradzież dobrego imienia — tej dopuścił się niesławnej pamięci fałszerz Gabriel Wolff — była dla poglądu Schmidta na świat większym wstrząsem niż kradzież pieniędzy albo mienia. Kiedy kat pisze o córce tkacza, Marii Corduli Hunnerin ściętej za swe czyny, bardziej niż oczywiste okradanie dawnych chlebobawców gniewa go haniebne i gorszące szalbierstwo:

W Altdorfie zadała się z synem sukiennika ze Schweinfurtu i oświadczywszy, że jest córką właściciela zajazdu „Pod Czarnym Niedźwiedziem” w Bayreuth, wynajęła powóz, pojechała do teje gospody z narzeczonym i małżonką pewnego żołnierza, kazała przygotować jadło i trunki, obecnego tam starca pozwoliła sobie nazwać ojcem, i wreszcie wyszła, ponoć, iżby sprowadzić siostrę, tamci zaś pozostali w zajęzdzie i żołnierskiej połowicy przyszło zapłacić 32 guldeny[239].

Używanie wielu nazwisk było oczywiście nagminne wśród zawodowych złodziei i tą praktyką potwierdzali oni swój hańbiący status. Właściwie wszyscy ci, których Frantz napotkał, póki trwała jego kariera, mogli się pochwalić co najmniej jednym pseudonimem. Rozbójnik i żołdak Lienhard Kiesswetter „znany jest również jako Lienhart Lubing, Lienhart z Kornstattu, Leoś Mozelki i Leoś Chorowity”; inny młody złodziej miał pięć pseudonimów, zanim ukończył 16 lat. Człowiek uczciwy posiada natomiast tylko jedną tożsamość; stąd u mistrza Frantza domniemanie autentycznej skruchy, którą przypisuje on Fritzowi Mustererowi (zwanemu Fryckiem lub Ślimakiem), skoro ten „ujawnił prawdziwe nazwisko tuż przed wyprowadzeniem [na szubienicę], a dawniej dał się poznać jako złodziej i rozbójnik Georg Stengel, rodem z Bachhausen”. Wiadomo też było o konkubinach zbójców i innych zawodowych kryminalistów, że posiadają wiele pseudonimów i że zmieniają nazwiska tak często, jak mężczyzn. „Złodziejka i ladacznica” Anna Gröschlin (inaczej: Niewiasta Szybkiego) wyznała Frantzowi, że trzy lata wcześniej „podawała się za Margarethę Schoberin”, przybrawszy nazwisko ówczesnego konkubenta Georga Schobera (i zmieniwszy imię)[240].

Pomówienia, też będące kradzieżami reputacji, oburzały bodaj jeszcze bardziej tego kata czulego na punkcie pozycji społecznej, człowieka, który sam ucierpiał z powodu złośliwych plotek oraz uprzedzenia doń. Przewrażliwienie Frantza podzielało wtedy wielu — dla nich ugodzenie w czyjeś dobre imię było dotkliwsze niż rana cielesna. Bastian Grübel (*alias* Żużel) „wiele nakradł i przyznał się do dwudziestu morderstw”, ale Schmidt jest w diariuszu bardziej przejęty pomówieniem wroga, rzekomo współnika, czym Grübel skazał niewinnego człowieka na areszt i tortury. Z większym nawet gniewem pisze Schmidt o dawnym katowskim pomocniku nazwiskiem Friedrich Stigler, który „oskarżył połowice poniektórych tutejszych obywateli o uprawianie czarów. Z rozmysłem je wszakże skrzywdził” — za to poważne przestępstwo Stigler został ścięty przez mistrza Frantza, zde gustowanemu takim postępowaniem. Świadomy udręki emocjonalnej, jaką powoduje obmowa, Schmidt nader surowo osądza niedoszłego gwałciela Valentina Sundermanna, który oszczerczo stwierdził, że był świadkiem „rozpusty pani domu z paroma najemnikami”, i — niespodziewanie — okazuje współczucie zawodowemu złodziejowi o nazwisku Georg Mötzela, ten bowiem spędził „w więzieniu trzy kwartały, jako że 9-letni brat jego ladacznicy oskarżył go o pięć morderstw, nie mając podstaw po temu”[241].

Możni tego świata, czasem kapryśni, czasem okrutni, potrafili zapewnić status człowieka honoru albo tegoż honoru pozbawić. Z uczciwością — i co za tym idzie reputacją — rzecz

miała się inaczej: obie zależały od własnych wyborów. Odrzuciwszy kastowy fatalizm większość ludzi tamtej epoki i obrawszy drogę konsekwentnego działania — jak sam sądził, mogącą zapewnić mu lepszy status i większy dłań respekt — Frantz Schmidt bezwiednie opowiedział się za bardziej nowoczesnym rozumieniem ludzkiej tożsamości. Niedouczony samouk okazał się, o dziwo, humanistą. Jego dalsze rozważania o naturze człowieka i wolnej woli były pod pewnymi istotnymi względami podobne do refleksji, na jakie zdobywały się największe podówczas umysły, chociaż Frantz Schmidt bywał nieporadny i powierzchowny w doborze środków wyrazu. Ale wszelkie filozoficzne spekulacje znaczyły dla niego o wiele mniej niż osiągnięcie oczywistego i praktycznego celu, który uznawał za swój absolutny priorytet — tym celem była reputacja uczciwego człowieka.

Mściciel ofiar

Na każdym szczeblu drabiny społecznej wiedziano, od czego przede wszystkim zależy dobre imię. Przebiegły i nieznający skrupułów młody człowiek mógł łatwo zyskać pozytywną opinię ogółu poprzez manipulowanie recepcją swojej osoby, mógł uchodzić za kogoś przyzwoitego, choć żadnych zasad nie przestrzegał. Dałoby się zrozumieć, gdyby Frantz, który był świadkiem tylu przejawów ludzkiego okrucieństwa i przewrotności, popadł w apatię albo nawet zaczął się odnosić cynicznie do wymiaru sprawiedliwości i tegoż dwuznacznych aspektów moralnych. Wiedział przecież, iż nie wszystkich złoczyńców schwytano i nie każdego spotykała kara, tak jak i nie wszystkie ofiary były całkiem bez winy. Co więcej, zadowalające wykonywanie obowiązków nie wymagało od niego zamilowania do sprawiedliwości ani głębokiej wiary w słuszność tego, co czynił na co dzień. Mogło tak się stać, iż bardzo wcześniej postanowiłby dbać tylko o własną karierę, demonstrując niezbędną konformizm.

Tymczasem zapisy w prowadzonym przez całe życie dzienniku potwierdzają, że Frantz Schmidt był katem nie tylko gorliwym, ale też pełnym pasji. Jego gniew z powodu okrucieństw popełnianych przez rozbójników i podpalaczy wydaje się nieklamany i z głębi serca płynie również zaangażowanie w restytucję ładu społecznego — nie widać w tej aktywności żadnej kalkulacji, nie ma też powodu, by podejrzewać skrywaną niechęć. Empatia Frantza wobec ofiar, zwłaszcza tych, „które ograbiono z całego doczesnego mienia”, jest przezeń wyrażana często i przekonująco. Innymi słowy, nie tłumił on swoich uczuć ani się ich nie wypierał, lecz — przeciwnie — dawał im upust, przynosząc ofiarom przestępstw jedyną możliwą pociechę i odwet z mocy prawa.

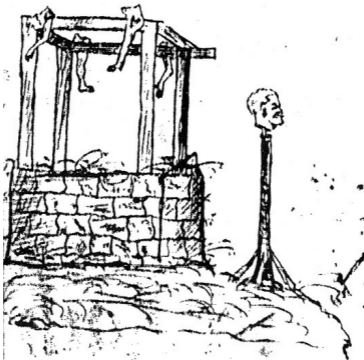
Frantz pojmował sprawiedliwość bardzo tradycyjnie, a więc zgola inaczej aniżeli twórcy cesarskich kodeksów, które powinny były stanowić dlań pewne mierniki^[242]. Otóż powołując się na „starodawny obyczaj” i „Boże nakazy”, XVI-wieczni reformatorzy prawa i religii dążyli do osiągnięcia — nowej jednak — spójności pojęć stosowanych w prawie karnym, zgodnej z oczekiwaniami obu autorytatywnych władz. Wedle tego bardziej abstrakcyjnego modelu głównymi stronami, które cierpiały z powodu przestępstwa, nie były już ofiara i jej najbliżsi, lecz prawowity suweren i sam Bóg. Natomiast w poglądach Frantza Schmidta wszelki czyn karalny pozostawał w istocie aktem czyjejs osobistej zdrady wobec innej jednostki albo całej grupy ludzi. A zatem sprawcy przestępstw wykraczali przeciwko żywionemu do nich wcześniej zaufaniu, rozumianemu jako większa świętość niż posłuszeństwo wobec Boga i państwa, i niegodziwość tychże sprawców mierzył mistrz Frantz odpowiednio do tego, jak dalece owo zaufanie zostało zawiedzione.

Uczeni juryści poszerzyli, dodajmy, definicję zdrady tak, aby ująć w niej, oprócz wystąpienia przeciw osobie stojącej wyżej, również rozmaite naruszenia ładu społecznego, za jakie uważali buntury godzące w prawowitość danej przez Boga władzy świeckiej — na takiej wykładni zdrady stanu oparto większość późniejszych kodeksów. Ale Frantz, jak ogół ówczesnych ludzi, kojarzył tę zdradę polityczną nadal z krzywdą osobistą, żadnych abstrakcji nie biorąc pod uwagę. Na przykład w trwającej zimnej wojnie Norymbergi z margrabią Ansbachu obie strony stale zatrudniały dywersantów, szpiegów i innych najemników, ażeby gromadzić informacje wywiadowcze oraz wychwytywać ewentualnych agentów[243]. W dotyczących takich aktów „zdrady” zapisach diariusza Frantza nie dostrzeżemy jednak szczególnej emocji, póki nie pojawi się wzmianka o Hansie Ramspergerze, który

zdradził wielu obywateli Norymbergi, a denuncjował też kłusowników i prawie dziesięciu spotkała egzekucja, choć nie znaleziono niczego [tj. żadnych dowodów winy]. Śmiał on także wobec starego margrabię zdradzić miasto Norymbergę, albowiem ujawnił tamtemu najsłabsze miejsca w murach, najłatwiejsze tedy do atakowania, i przyobiecał, iż uczyni, co w jego mocy, ażeby to się stało. Nadto zgodził się w domu Weyera wskazać takie osoby, jak pan Hans Jacob Haller, pan Schmitter i mistrz Weyerermann, iżby trafili oni do więzienia.

Mimo że Ramsperger w końcu „został tu, w imię miłosierdzia, święty mieczem”, jego kat dodaje z wyraźną satysfakcją, iż „ciało tegoż [następnie] poćwiartowano i każda kończyzna znalazła się w innym rogu szubienicy, głowa zaś utkwiała wyżej, na palu”[244].

Fałszerstwa, przez autorów *Caroliny* zaliczone do najcięższych naruszeń prawa skierowanych przeciwko państwu [karą za nie było spalenie żywcem), w poglądach norymberskiego kata też pozostawały szkodami osobistymi. Frantz Schmidt odnotowuje, że takie czyny obrażają norymberskich sędziów, ale nie jest właściwie skory do oburzania się tymi postępkami, przy których nie wchodzi w grę przemoc, i pisze o nich tak samo rzeczowo, jak o innych kradzieżach. Zresztą nawet ci, co rządili Norymbergą, mieli wątpliwości, czy zalecona oficjalnie kara jest adekwatna, i konsekwentnie zastępowali karę bardzo surową, spalenie żywcem, ścięciem z późniejszym spaleniem[245].



Wykonany przez notariusza sądowego rysunek przedstawia odcięte kończyny i głowę zdrajcy Hansa Ramspergera, wystawione na widok publiczny (rok 1588).

Natomiast opisy wykroczeń przeciwko ładowi w relacji pan — sługa, przez kodyfikatorów uznane (na nowo) za zdradę, stale wywołują u mistrza Frantza pewne reakcje emocjonalne, nie dlatego jednak, że ów kat upatruje w nich wielkiego zagrożenia dla ładu społecznego. Z aprobatą pisze on o tym, że służka, która zamordowała swą panią, kobietę z patrycjatu, „została dwakroć ugodzona w oboje ramion rozpalonymi obcęgami, i to kiedy wsiadała na wózek”, po czym ścięto ją mieczem, a ciało „spoczęło w dole pod szubienicą, głowę natomiast zatknięto na żelaznym drągu nad miejscem straceń” [246]. Prawdziwym gniewem zawrzał kat w obliczu zdrady popełnionej przez kogoś wobec ufnej i starszej wiekiem chlebobawczynie, zadżganej nocą w jej własnym łóżku. Jak można się domyślać, norymberscy sędziowie byli bardzo surowi dla służby, gdy ta okradała panów ze sporych sum, i także w tych przypadkach Frantz podkreśla swoje zgorzzenie zdradą jednej osoby wobec innej: Maria Cordula Hunnerin nie tylko „kradnie ze szkatułki swego pana równowartość 800 guldenów w talarach i trzy monety grajcarowe”, ale niestety traktuje tak kogoś, „komu służyła już pół roku”. Większą niegodziwość zademonstrował Hans Merckel (inaczej: Jasio Łoś), „który odsłużył 22 lata”, zdradził wielu kolejnych panów, „w kolejnych domach pozostając na pół roku do dwóch lat, po czym zniknął i zabierał pludry, kubraki, buty, wełniane koszule i wszelkie znalezione pieniądze” [247].

W społeczeństwach patriarchalnych najbardziej rażącymi aktami zdrady były ojco- i królobójstwo, co do których wreszcie mistrz Frantz całkowicie podziela opinię jurystów. Z niedowierzaniem pisze on o karygodnym zachowaniu Petera Köchla, który dotkliwie bił „rodzonego ojca”, i to przez wiele lat, w końcu zaś przyczaił się na pewnej ulicy i „zadał mu siedem ran, a uznawszy go za zmarłego, tamże pozostawił”. Przewidziane łamanie kołem ominęło Köchla tylko dlatego, że ojciec przeżył tamten ostatni atak. Ojcobójca Frantz Seuboldt

nie miał tyle szczęścia, gdyż okazał o wiele wyraźniej to, iż działał z premedytacją i w złą wierzę, najpierw bowiem próbował ojca otruć, potem natomiast zastrzelił go, ukryty w jakichś zaroślach. O motywach agresji dla przestępców nie ma w ogóle mowy w diariuszu Frantza. Dopiero znacznie później, w podeszłym wieku, nie waha się on wyrazić swego współczucia dla kobiety, która postanowiła otruć niecnego ojca, „złośliwego człowieka, skorego do przemocy, ponieważ pastwił się nad nią” [248].

Zdrady wobec osób spokrewnionych — obojga pici — zwykle oburzały mistrza Frantza daleko bardziej niż jakakolwiek przemoc (chyba że szczególnie okrutna), co znowu może świadczyć o jego konserwatyzmie w pojmowaniu sprawiedliwości. Frantz był zgorszony tym, że Ulrich Gerstenacker nie tylko zabił brata, ale „powiózł go do lasu i dopiero tam z premedytacją uśmiercił”, po czym udawał, iż doszło do wypadku. Również w lasach zasadził się na siostrę Hans Müllner, a dodatkowo obciążyli go jej odmienny stan i „rozpustne zbezczeszczenie [zwłok]”. Czyż wolno wątpić w słusność kary dla tych, co zniżyli się do okradzenia kuzynów, albo dla młodzieńca, który zagroził, iż puści z dymem domy swoich krewnych i opiekunów, jeśli ci odmówią mu pieniędzy, choć był je trwonił na białogłowy i wszetecznicze?” [249]. Całkiem niegodziwie postąpił też Cunz Nenner, gdy

okradł krewnego z Perngau z rzeczy wartych bodaj 60 guldenów i, przez tegoż pobity, zagroził spaleniem domu, czym sprawił, że ów zgodził się dopłacić 50 guldenów. Nadto ostrzegł, że spali dom innej osoby spośród krewnych — człowieka, który z litości przyjął na cztery lata pod swój dach córkę tamtego — że uczyni tak, jeżeli owo 8-letnie dziecko nie otrzyma jakiej zapłaty. Później zagroził jeszcze komuś, krewnemu z Rockstocku, który zdołał odzyskać ukradzioną przez owego kuzyna krowę, że puści z dymem dom krewniaka, jeśli ten nie da mu 15 guldenów [250].

Bezwstydną długoletnią niweczenie świętych więzów krwi stało się również tematem głównym zapisu dotyczącego „Laurenza Schroppa, młynarskiego pomocnika z Lichtenau, przez 22 lata w młynie swojego kuzyna, skąd wykradał pszenicę, mimo że, jak sam wyznał, zarobił tam ledwie [!] [podkreślenie moje — J.H.] 400 guldenów”, sumę sporą, nawet jeśli przepracował ponad dwie dekady [251]. „Jaką cenę ma honor i przyzwoitość?” — tak musiałyby brzmieć pytanie, którego zdęgowany normberski kat nie zadaje.

Identyfikując się niezmiennie z ofiarami, mistrz Frantz rezerwował największe współczucie dla ludzi o niskim statusie społecznym, ilekroć byli oni wykorzystywani przez osoby obdarzone władzą i zaufaniem publicznym. Najbardziej gniewało go i wyprowadzało z równowagi atakowanie dzieci. Wśród lakonicznych na ogół zapisów z pierwszych lat znajdujemy w diariuszu Frantza szczegółowe omówienie karygodnego oczywiście czynu Hansa Müllnera (inaczej: Odlewacza), „który zgwałcił 13-letnie dziewczę, napełniwszy jej usta piaskiem, iżby nie krzyczała”. O wstrząsie wywołanym przez podobne nadużycia dziecięcego zaufania ze strony Endresa Feuersteina świadczy podanie wieku każdej z pięciu dziewczynek zgwałconych przezeń w prywatnej szkole jego ojca (sześć, siedem, osiem, dziewięć i 12 lat), i podkreślenie tego faktu, iż „dwie spośród nich ucierpiały tak [poważnie], że jedna nie trzymała później moczu, drugą zaś niejaki akuszerki pielęgniową przez dłuższy czas, obawiając się, iż mogłaby umrzeć”. Im większe oburzenie, tym dokładniej Frantz podaje wiek ofiary, jak we wzmiacie o parobku, który „chciał zgwałcić trzypięcioletnie dziewczętko, powstrzymała go wszakże matka dziecięcia, która nadeszła właśnie” [252]. Cieszy kata to, że może odnotować fakt wielokrotnego szarpania rozpalonymi obcęgami, co zastosował wobec rozbójnika Georga Tauchera, który włamał się do pewnego domu i „zamordował syna właściciela zajazdu

przecięciem szyi oraz gardła, a potem zabrał z kasy pieniądze”; po latach tak samo może zamęczyć Georga Müllnera (inaczej: Chudego Jerzyka), który ze swymi kompanami włamał się nocą do domu pewnego rolnika, poderżnął mu gardło i „zaatakował syna tegoż (wcześniej ów został przez ojca ukryty w piecu), dźgnął go w udo i wiele ukradł, a syn gospodarza zmarł osiem dni później”^[253].

Oprócz brutalnych nadużyć dziecięcego zaufania i pogwałceń niewinności smuciła pełnego empatii kata nienaturalna różnica wieku między sprawcą a ofiarą. Frantz podaje najpierw, iż Gabriel Heroldt był „tutaj, w Norymberdze, krawcem, obywatelom, naczelnikiem Żabiej Wieży [i] człowiekiem leciwym”, a następnie omawia wszystko, czego Heroldt się dopuścił, mianowicie pisze, że „ów zgwałcił brutalnie Katherine Reichlin, którą miał w swojej pieczy jako więźniarkę, i poczynił sobie z nią rozpustnie. Na takież porubstwo pozwolił sobie był w poprzednim roku z 13-letnim dziewczęciem, lecz dla młodego wieku czci nie pozbawił”^[254]. W przypadku fałszerza i niegdysiejszego człowieka zaufania publicznego, Kunrada Kraffta, faktem ostatecznie pograżającym jest przywłaszczanie sobie pieniędzy przeznaczonych na opiekę nad dziećmi i jako w pełni zasłużona jawi się kara śmierci dla stolarza Georga Egloffa za „umyślne zabicie ucznia, który był mu winien 9 guldenów, a mord został popełniony w bukowym lesie pilnikiem stolarskim”^[255].

Mistrz Frantz nie umiał przebaczyć jakiegokolwiek przemocy wobec dzieci; przemoc, która dotykała krewnych, była też całkiem niezrozumiała i niewybaczalna. W swojej długiej karierze zawodowej Frantz pozbawił życia 20 dzieciobójczyń i w każdym przypadku był przejęty grozą w obliczu potworności owych czynów. Na ogół pisze on, iż „matka ścisnęła szyję dziecięcia” albo „roztrząsała główkę”, o jednej zaś morderczyni opowiada, że „dziecię płci męskiej dźgnęła nożem w lewą pierś”^[256]. Tak jak w relacjach dotyczących bezwzględnych zbrojców, również tutaj pojawia się — jako temat niezmienny — kontrast między niewinnością a brutalnymi zachowaniami. Frantz pisze w przejmujący sposób o tym, że Dorothea Meüllin „zatkała dziecięciu usta ziemią i własnymi rękoma wykopała grób, w którym dziecko pochowała, mimo że się broniło”. Margaretha Marranti urodziła nocą nieopodal pewnej szopy nad rzeką Pegnitz i „ledwo dziecko jęło się bronić rękoma, rzuciła je do wody, iżby utonąło”. Pozbywano się dzieci jeszcze inaczej, ale tak samo przerażającymi sposobami: pogrzebaniem w stodole, zamknięciem w kufirze, rzuceniem na wysypisko śmieci czy, co może szokować, topiąc żywcem w latrynie^[257]. Frantz brał udział w przesłuchaniach tych wszystkich kobiet, czasem grożąc im torturami, toteż wiedział, że niejedna miała zaburzenia emocjonalne albo była niespełna rozumu; dotyczyło to zwłaszcza morderczyń starszych dzieci, na przykład Anny Strölin i Anny Freyin. Ów kat nie udawał jednak, iż interesują go kwestie medyczne czy niuanse prawne, lecz wolał dać wyraz grozie, jaką wzbudziła Anna Strölin, straszna kobieta, która „z premedytacją uśmierciła toporem własne dziecko, 6-letnie pachole” i dopiero w ostatniej chwili darowała życie czworgu pozostałych dzieci^[258].

Ataki na osoby starsze wiekiem i chore nie były do pogodzenia z tym, jak mistrz Frantz pojmował podstawy międzyludzkiego zaufania w życiu społecznym, i oczywiście z niczym pojmowaniem tych podstaw. Nietrudno sobie wyobrazić jego szok z powodu próby gwałtu dwóch pijanych najemników na „niewieście 80-letniej” oraz innych aktów przemocy wobec niemłodych osób^[259]. Frantz jest zaskoczony, ale i uradowany, kiedy Hansa Hoffmana, sześć razy wypędzonego wcześniej z Norymbergi, przytapano, „gdy okradł z odzienia zakażonych mieszkańców lazaretu [hospicjum], po czym Czciogodna Rada zarządziła, iżby miejski pedel odczytał wyrok przed lazaretem”, skąd „został ów człowiek następnie wyprowadzony i tutaj, w Norymberdze, zginął od stryczka”. Kat dodaje, i to z naciskiem, że „nigdy dotąd nie słyszano i nie widziano, iżby z kim tak postąpiono”. Ale po tygodniu, bo 21 października 1585 r. czterej

złodzieje zawiśli jako sprawcy czegoś, co było porównywalne: włamywali się do domów ludzi zmarłych niedawno; powieszenie spotkało w późniejszych latach — z jednym wyjątkiem — wszystkich takich przestępców[260]. Najwyższa kara ominęła skazanego złodzieja i cudzołóżnika nazwiskiem Heinz Teurla, przy czym mistrz Frantz daje wyraz osobistemu oburzeniu faktem, że „ów spłodził dziecię z nieszczęsnym beznogim dziewczęciem”[261].

Zważywszy na głęboką niechęć Frantza do zdradzieckich zachowań wobec krewnych, nieco fałszywie brzmi jego zwięzły zapis na temat czynów Georga Preisigela, który „uśmiercił swą połowicę, potem zaś ją powiesił, iżby sądzono, że takim sposobem zabiła samą siebie. W przeszłości zadągał on szpikulcem pewnego mężczyznę”, jak i jeszcze krótsza notatka dotycząca Hansa Dopffera (vel Schillinga), który „z premedytacją zadągał i uśmiercił połowicę, bez jakiegokolwiek przyczyny z jej strony, a ta była widocznie brzemienną”. Mistrz Frantz nie pochwałał bynajmniej mordowania żon ni mężów, ale niezbyt też interesował się podłożem domowych konfliktów (co widać zwłaszcza w tamtym okresie jego kariery) i zbrodnie tego rodzaju komentował tak samo lakonicznie, jak pospolite kradzieże. Mimo że w grę wchodziła sytuacja sensacyjna, dowiadujemy się tylko, iż Margaretha Brechtlin „dodała do owsianki, jajecznicy i smalcu dla małżonka, Hansa Prechtela (stolarza w Gostenhofie) środek przeciw insektom, który nie zabił go wszakże natychmiast”[262]. Fabuły łączące niewierność z pazernością pozostawiano brukowej prasie i teatrowi, gdzie, jak łatwo odgadnąć, miały wielkie powodzenie[263].



Oto ilustracje z reportażu. Po prawej stronie ojciec dusi żonę i dwójkę dzieci, po czym sam się wiesza. Po lewej stronie widać scenę wleczenia jego zwłok ulicami Szafuzy; znalazły się one potem na miejscu kaźni, i to na szczycie koła (rok 1561).

Tam, gdzie nie groziła ani śmierć, ani nawet szkoda cielesna, zainteresowanie mistrza Frantza losem ofiar zamężnych i żonatych było jeszcze mniejsze. Spodziewalibyśmy się gniewu kata w przypadkach zdrady wcale niebłażej, mianowicie cudzołóstwa. W XVI stuleciu karano za to chłostą i banicją; co więcej, bigamia została w *Carolinie* i wielu innych ówczesnych kodeksach niemieckich zdefiniowana jako zbrodnia najcięższa (w Norymberdze groziła za bigamię kara taka sama, jak za cudzołóstwo). Rażąco obojętność mistrza Frantza na tę odmianę niewierności poświadczają zwięzłe zapisy w diariuszu, na przykład „różgami wyгнаłem stąd Petera Rittlera

(ze Steinbühlu), który pojął dwie małżonki” albo — tak też bywało — „miał trzy połowice”; „miał cztery, z których dwie zapłodnił”; „poślubił pięć niewiast i żył z nimi rozwiązłe”[264]. W każdym takim zapisie szokującemu, jak można by sądzić, wykroczeniu poświęca Frantz jedno, może dwa zdania, nie wymienia wszystkich osób zainteresowanych z nazwiska, a okoliczności w ogóle pomija milczeniem. Opis takiej sytuacji zostaje uzupełniony o dodatkowy wers tylko wtedy, gdy Frantz wie, że ucierpiał dzieci[265]. Bywa zresztą i tak, iż wiadomość o popełnionej bigamii jest poniekąd marginalna, na przykład kończy długą listę przestępstw pewnego skazańca, którego spotkała egzekucja: „(...) gdy jeszcze żyła pierwsza małżonka, poślubił kolejną; kiedy ta była jeszcze wśród żywych, pojął trzecią, doczekawszy śmierci tamtej pierwszej”. Frantz nie pamięta nazwiska „parobka, który ukradł łańcuch z szubienicy w Hilpoltsteinie i miał ponadto dwie połowice”[266].

Czy za pozorną obojętnością Frantza na cudzołóstwo powinniśmy się doszukiwać nieszczęśliwego pożycia kata z własną małżonką, Marią, albo nawet jakiegoś konfliktu? Chyba że *implicite* daje on do zrozumienia, że sam nie dochował wierności? Wielka dbałość Frantza o *decorum* czyni ten ostatni scenariusz nieprawdopodobnym, gdyż nawet przelotny romans musiałby dosłownie z dnia na dzień obrócić niewiecz budowaną przez wiele lat reputację. A czy żył z Marią szczęśliwie, tego ocenić nie sposób. W dzienniku kata brak uwag na temat życia rodzinnego, z innych źródeł wiemy tylko, że w ciągu 22 lat pożycia, zanim Maria zmarła jako osoba 55-letnia, doczekali się siedmiorga dzieci. Frantz podzielał — jakkolwiek im się razem żyło — powszechny wówczas pogląd, iż wszelkie domowe zdarzenia należy zachować w tajemnicy — o ile nie wchodziłyby w grę takie sytuacje, jak mord albo przemoc z ewentualnym śmiertelnym skutkiem. Gdy rogacz przyjmował niewierną żonę nawet kilkakrotnie z powrotem pod swój dach albo po wielokroć ją więził, Frantz uważał to za ich prywatne sprawy, wymagając oficjalnej interwencji tylko w przypadku zakłócenia ładu społecznego[267].

Przemiana w norymberczyka

Mistrz Frantz przez całe życie zabiegał o swą dobrą opinię w nastawionym sceptycznie środowisku lokalnym. O wiele krócej trwały zabiegi o finansowe bezpieczeństwo rodziny. W grudniu 1579 r., gdy od podpisania pierwszej umowy o pracę minęły niespełna dwa lata, Frantz poprosił o noworoczną gratyfikację — wedle zwyczaju, na który jeszcze za życia zwrócił mu uwagę zmarły szwagier — i tę przełożeni chętnie przyznali. Następnej zimy Frantz upomniał się o niemłą podwyżkę, bo pół guldena tygodniowo, ale jej nie otrzymał — w zamian obiecano mu jeszcze jedną gratyfikację i później dodatkowy dar w wysokości 6 guldenów[268]. Po czterech latach młody kat podjął kolejną próbę uzyskania stałej podwyżki i znowu daremnie, ale tym razem doczekał się jednorazowej gratyfikacji, która wyniosła 12 guldenów i była równoważnością miesięcznych poborów. Niezrażony Frantz ponawiał naciski i wreszcie 25 września 1584 r. osiągnął swój następny istotny cel zawodowy: gwarancję dożywotniego zatrudnienia z upragnioną wyższą pensją, a także skromnej emerytury. W umowie o pracę zobowiązywał się Frantz do tego, by okazywać:

wierność, posłuszeństwo i szacunek łaskawym chlebodawcom, póki żyć będę, służyć im wedle potrzeb i chronić ich najlepiej, jak potrafię, nigdy nie przejść na cudzą służbę gdzie indziej poza tym miastem, nie uzyskawszy na to zgody Czcigodnej Rady, za co

moi chlebowadcy przyznają mi łaskawie 3 guldeny tygodniowo i 6 guldenów noworocznej gratyfikacji, które będą otrzymywać dopóty, dopóki wiek, choroba, słabość nie pozbawią mię możliwości piastowania urzędu[269].

Przełożonym ulżyło zapewne, kiedy ambitny kat przysiągł także, iż już nigdy nie będzie „żądać wyższego uposażenia”, czego rzetelnie dotrzymał przez następne 34 lata.

Hojne ustępstwa chlebowadców dają się objaśnić nie tylko talentem negocjacyjnym Frantza. Zanim Schmidt się pojawił, władze miasta od lat szukały kata, który znałby się na rzeczy, a przy tym był uczciwy i godny zaufania. Mistrz Frantz spełniał wszystkie trzy warunki, a liczył sobie dopiero 30 lat. Uwadze rajców nie uszło i to, że mistrz Heinrich z Bambergu niedomagał i że jego nadzwyczaj zdolny syn mógł kandydować do przejścia obowiązków[270]. W czasie, gdy norymberskie sądy skazywały średnio 12 osób rocznie na śmierć i dwudziestu innym osobom przeznaczały kary cielesne, ci, którzy rządili miastem, obawiali się zaległości oraz impasu prawnego, gdyby Schmidt wymknął im się z rąk i musieliby szukać zastępstwa. Mogło być tak, iż bamburski marszałek dworu (dobrze znany Frantzowi) zapewnił mu inną opcję, albo młody kat sam ją upozorował; jakkolwiek się sprawa miała — osiągnął cel.

Pod największym dotąd sukcesie zawodowym nastąpił wyjątkowo trudny rok; tak często bywa. Przyszło mu, po pierwsze, wykonać zadanie raczej nie do pozazdroszczenia: torturować i potem uśmiercić własnego szwagra. Friedrich Werner (*alias* Frycek Garmcarczyk) był, jak sam przyznawał, „zły od młodych lat”, chociaż jego ojciec należał do znanych obywateli, ojczyma zaś darzono szacunkiem jako fachowego garmcarza. Z zachowanych archiwaliów nie sposób się dowiedzieć, jak i kiedy człowiek o „prawdziwie niecnym” charakterze dostąpił ożenku z owdowiałą siostrą Frantza, a zarazem ten niefortunny związek potwierdza, że katowska córka nie miała wielkiego wyboru. Werner, mężczyzna „silny i postawny”, łasy na pieniądze, buszował po okolicy „w złym towarzystwie, wiele kradł, włamywał się do domów, które plądrował, dopuścił się niejednej grabieży”[271]. Co gorsza, przyznał się do trzech mordów, między innymi na „pacholeciu, które napotkał w lesie nieopodal Fischbachu”, i kilku prób pozbawienia życia: wśród nich najbardziej wstrząsające było brutalne ograbienie „pewnej niewiasty w lesie około Schwabachu, pozostawionej przezeń na pastwę losu, gdy uznał, że zmarła”[272].

W końcu aresztowany i sprowadzony przed oblicze szwagra do norymberskiej izby przesłuchań, Werner zarzekał się niezręcznie, iż „nie pojmuje, dlaczego został uwięziony”. Obecni tam sędziowie zapytali wtedy, co jego, osobę jakoby niewinną, skłoniło do występowania pod pseudonimem, na przykład w Hersbrucku, gdzie używał nazwiska Jorg Schmidt. Nie znamy reakcji mistrza Frantza na tę indagację, ale najpewniej rozgniewał się i poczuł wstyd. Dalsze wypieranie się Wernera sprawiło, że szwagier — bez ostrzeżenia, które było zwyczajowe — zastosował *strappado* i rozpoczął przesłuchanie „z użyciem małego kamienia”. Po dręczeniu, którego czas też nie jest wiadomy, tupet Wernera zniknął i wyznał on potem niejedną zbrodnię.

Nietrudno zgadnąć, jak Frantz odnosił się do tego osławionego szwagra, człowieka nie tylko winnego różnych ohydnych zbrodni, lecz również groźnego — ze względu na wejście do rodziny Schmidtów — dla samego kata, któremu mógł popsuć dobrą opinię, z takim wysiłkiem przeciw wypracowaną. To wymowne, że kilku naocznych świadków potwierdziło ich powinowactwo, a Frantz pomija je milczeniem w diariuszowym zapisie na temat owej egzekucji. Ale chyba przez respekt dla siostry odwiódł on przełożonych od upierania się przy bezprecedensowym wyroku skazującym na „sześć szarpnięć rozpalonymi obcęgami: dwa przed ratuszem, dwa pod kościołem świętego Wawrzyńca i dwa obok kościoła świętej Marty przy [miejskiej] bramie” oraz na powolną śmierć w następstwie łamania kołem. Tyle przypaleń obcęgami —

przekonywał Schmidt — musiałoby zabić skazańca przed dotarciem na miejsce kaźni. Sędziowie przystali na dwa szarpnięcia zamiast sześciu, byleby kat kaźnią Wernera „odstraszył innych”. „W łagodnych słowach” odrzucili jednak prośbę ojczyma i siostry Wernera o zmianę łamania kołem na ścięcie. Tak więc wypadło katu potraktować szwagra jak każdego innego zbrojce i mordercę: nakazane dwa szarpnięcia obcęgami spotkały Wernera na dwukołowym wozie w drodze do Kruczego Kamienia, po nich zaś nastąpiła brutalna egzekucja z użyciem koła.

W dniu kaźni, kiedy mistrz Frantz przygotowywał rozpalone obcęgi oraz wyeksponowanie Wernera, kapelan zapytał nieszczęsnego grzesznika, czy ten nie chciałby „wyznać jakich innych niecznych czynów”, ażeby ułatwić wybawienie duszy i rozprościć wątpliwości, czy aby nie skazano osoby niewinnej. Pewien kronikarz odnotował to, że Werner „długo rozprawiał przy kamieniu egzekucyjnym z duchownymi i wieszczem, który był jego szwagrem”. Tę rozmowę odtwarza inna relacja, gdzie stwierdza się, iż „mistrz Frantz, szwagier tegoż, zapewnił go, że zadba o to, by sprawa zakończyła się jak najrychlej”, ale niechby Werner powiedział więcej o swoich zbrodniach. Skazaniec powtórzył tylko nazwiska współników, na których wcześniej wydano wyroki śmierci, po czym oświadczył, że niczego już nie doda. Ze swymi ostatnimi słowami zwrócił się do mistrza Frantza, ten bowiem stał tuż obok z kołem w rękach, i nie całkiem zrozumiałe poprosił kata, żeby pozdrowił od niego córkę rzeźnika Wolfa Kleinleina. Nie przejąwszy się tą prośbą, Frantz przystąpił zaraz do wykonania 31 ruchów kołem i okazał publiczności, że odżegnuje się od bezecnego „mordercy i zbrojca”. Nazbyt się natrudził i zbyt daleko zdążył zajść, aby komuś takiemu pozwolić sobie popchnąć z powrotem do rynsztoka [\[273\]](#).



Tak miejski kronikarz przedstawił Frantza Schmidta w trakcie uśmiercania szwagra, bandyty Friedricha Wernera (rok 1616).

W miesiącach, które nastąpiły po egzekucji Wernera (ta odbyła się w lutym 1585 r.), na samego Frantza spadło kilka bolesnych ciosów. Wiosną zmarł jego ojciec, Heinrich. Nie zachowały się żadne dokładniejsze informacje o śmierci i pogrzebie; wiemy tylko, że odszedł między 22 lutego — dniem ostatniej, wykonanej przez niego publicznej egzekucji — a 1 maja, kiedy to jego majątek otrzymali w równych częściach: córka w Kulmbachu i syn

w Norymberdze. Wieloletni pomocnik mistrza Heinricha, Hans Reinschmidt, zastąpił go na katowskim stanowisku w Bambergu[274]. Jeszcze w maju tegoż roku zmarła wdowa po Heinrichu i Frantz powrócił do Bambergu, aby uporządkować sprawę macochy[275].

Jakie znaczenie miała dla Frantza ta okoliczność, że ojciec nie doczekał pełnego odzyskania czci przez rodzinę Schmidtów? Żył przynajmniej dosyć długo, by się dowiedzieć o dożywotnim kontrakcie Frantza ze sławną Norymbergą i ucieszyć rodzinami trojga wnucząt. Frantz nie miał, niestety, wiele czasu na żałobę po ojcu i macosze, gdyż niebawem spadło nań nowe nieszczęście. Latem znowu zapanowała w Norymberdze dżuma i w ciągu kilku miesięcy odebrała co najmniej pięciu tysiącom ludzi szansę na dalsze życie[276]. Wśród ofiar znaleźli się — ku rozpaczy Frantza — jego 4-letni syn Vitus i 3-letnia córka Margaretha. W tamtych czasach śmiertelność europejskich dzieci była znacznie większa niż dzisiaj, wszakże rodzice boleli nad tymi stratami wcale nie mniej. Zamieszanie, jakie spowodował czas zarazy, sprawiło, że dokładne daty zgonów Vitusa i Margarethy nie są znane, wiemy natomiast, iż w owym roku 1585 Frantz nabył dla rodziny miejsce na cmentarzu świętego Rocha, jednym z najbardziej „prestżowych” w Norymberdze, ulokowanym tuż poza murami miasta[277]. Być może przychodziło mu na myśl, że chociaż tyle dostojęstwa zapewnił dzieciom, które odeszły, zanim młody ojciec mógł zacząć żywić nadzieję na zwrócenie rodzinie honoru. Więcej o tym mówić nie trzeba.

A jednocześnie przybywało miejskiemu katu zajęć. Wówczas, w roku 1585 oznaczało to dla Schmidta 11 egzekucji, 19-krotną chłostę i bezlik przesłuchań. Na pierwszą dekadę pracy w Norymberdze przypadło w sumie 191 chłost, 71 powieszzeń, 48 ścięć, 11 łań kółem, 5 odrąbań palców i 3 odcięcia uszu. Najpracowiciej przedstawiał się rok 1588 (13 egzekucji oraz 27 kar cielesnych); najmniej działało się w pierwszym roku pracy Frantza, dziesięć lat wcześniej (wykonał tylko 4 egzekucje i wychostał 13 osób). Średnio w tym okresie pozabawiał życia 13,4 osób rocznie i w 20 przypadkach karał cielesnie. Ogromna większość egzekucji odbywała się w Norymberdze, ale kilka razy w roku — zawsze za przyzwoleniem władz — wyjeżdżał Frantz również w okolice, zwłaszcza do Hilpoltsteinu i Hersbrucku, sporadycznie przesłuchiwał i wykonywał wyroki śmierci[278].

W domu żałoba po przedwczesnym zmarłych dzieciach ustąpiła z czasem miejsca radościom związanym z powiększaniem się rodziny, i to w szybkim tempie. Frantz i Maria doczekali się 21 stycznia 1587 r. córeczki, którą nazwali Rosiną. Do tej „Różyczki” i starszego brata, Jorga (przeżył on zarazę), dołączyli kolejno: 8 czerwca 1588 r. Maria, 16 lipca 1591 r. Frantz Steffan i wreszcie 13 grudnia 1596 r. beniaminek imieniem Johannes, znany także jako Frantzenhans[279]. Liczna już gromadka Schmidtów sama w sobie zaświadczała o coraz lepszym statusie ojca rodziny i większym dlań poważaniu w lokalnej społeczności. Rzemieślnicy mieli na ogół mniejsze rodziny, a uboższym mieszkańcom miasta (ci przeważali) dochody pozostawały przeciętnie na dwoje, może troje dzieci[280]. Przy rodzinach zamożniejszych pozostawało czasem pokolenie dziadków i Schmidtów byłoby zapewne na to stać, gdyby rodzice Frantza czy Marii jeszcze żyli.

Kulminacja społecznego awansu Frantza w ciągu dwóch początkowych dekad życia w Norymberdze nastąpiła 14 lipca 1593 r., prawie dokładnie 40 lat po upokorzeniu rodziny przez margrabiego Albrechta. Obywatelstwo miasta cesarskiego było przywilejem cenionym, który wymagał sporego majątku i nieposzlakowanej reputacji. Toteż dla ogółu mieszkańców XVI-wiecznej Norymbergi, zwłaszcza oczywiście dla jednostek karanych oficjalnym ostracyzmem, pozostawało nieosiągalne. Wkrótce po uczczeniu 15-lecia swojej pracy na stanowisku miejskiego kata Frantz Schmidt odważył się wystąpić do rady miasta z prośbą o przyznanie statusu obywatela. Zdumieni rajcy stwierdzili, że jeszcze żaden kat nie posiadał obywatelstwa

Norymbergi, a mistrz Frantz odparł, iż ubiega się o taki status prawny nie tyle z myślą o terażniejszości, ile na przyszłość, kiedy to (na co liczy) jego dzieci „zajmą się czym innym”, on sam zaś będzie — już na emeryturze — wykonywać także inny zawód. „Jako że dotąd sprawował się nienagannie”, rajcy spełnili prośbę kata i przyznali mu w tymże roku status obywatela Norymbergi, znalazł się więc w liczbie zaledwie 108 osób tak uhonorowanych. Ale że ostracyzm jeszcze obowiązywał, wypadło mu ślubować osobno, nazajutrz po przysiędze 13 innych nowych obywateli. Tę przykrość gotów jednak był przełknąć, bo przecież uzyskaniem obywatelstwa zapewnił on — człowiek, który coraz bardziej wierzył w siebie i któremu coraz lepiej się wiodło — sobie i potomstwu niemało korzyści prawnych^[281]. Po siedmiu latach Frantz Schmidt, wtedy mężczyzna 45-letni, mógł rozpocząć nowe stulecie jako pełnoprawny obywatel jednego z największych miast cesarstwa, pewien dożywotniego oraz intratnego zatrudnienia, a także darmowego dachu nad głową dla siebie, małżonki i pięciorga dzieci w wieku od czterech do 15 lat. Ten syn wieszacza osiągnął doprawdy wiele, ale mistrz Frantz nadal uważał, że jeszcze nieprędko doczeka się realizacji celu, który miał dla niego szczególne znaczenie.

Mędrzec

Jak stoicy powiadają, iż występki mają swój wyraźny pożytek w tym, aby niejako podeprzeć cnotę i przydać jej wartości, tak samo możemy powiedzieć, z lepszą racją i mniejszym zuchwalstwem, iż natura użyczyła nam boleści ku chwale i pożytkowi beztroski i rozkoszy.

Michel de Montaigne, *O doświadczeniu* (1580)[282]

*Ci, co mękę i chwałę po niej za nic mają,
Takowych pewno pojąć nie zdołają;
Niechaj hardzi dalej hardzieją, ślepi dalej ślepną,
Iżby się potykali i coraz niżej upadali;
Im jednym litości nigdy nie okażę.*

John Milton, *Raj utracony*, księga 3 (1667; przekład M.L.K.)

MISTRZ FRANTZ, KAT WETERAN, NIE POTRZEBOWAŁ WIELE czasu na to, by odgadnąć „nader zły charakter” balwierza i chirurga nazwiskiem Hans Haylandt. Na krótko przed egzekucją, która nastąpiła 15 marca 1597 r., Haylandt został skazany na śmierć za mord popełniony z budzącą grozę zimną krwią, o czym jego kat opowiada doprawdy ciekawie, nie skąpiąc szczegółów:

[Haylandt] i jego kompan, Kilian Ayrer, wyruszyli dokąds z pewnym młodzianem z Rotenfelsu, który służył ongiś w szlacheckim domu we Frankfurcie, a gdy o północy zatrzymali się przy fontannie w okolicy Eschenburga, aby się napić, Ayrer poprosił tamtego młodziana o imbir i otrzymał to, kiedy zaś ów cesał się, Ayrer dodał coś do swego jadła, po czym wręczył je [młodemu człowiekowi]. Gdy ten tak osłabł, że nie mógł wstać, [Ayrer] uderzył go w głowę i ów upadł, wyjęczawszy: „Au!”. Haylandt, nie zważając na to, poderżnął młodzianowi gardło i zabrał 200 guldenów, które to pieniądze jego pan dał owemu we Frankfurcie w ich przytomności, poprosiwszy obu, iżby wybrali się razem z młodzianem i ów mógł bezpiecznie dotrzeć do Rotenfelsu, wszak znał obu, jednego z Hamburga, drugiego z Rotenfelsu. Jeszcze we Frankfurcie, nim wyruszyli, obydwaj uknuli ten morderczy napad i gdy go spełnili przy fontannie, z winnicy wzięli kamień, który pasem [młodszego człowieka] zawiązali mu na ciele, owo ponieśli przez łąkę i rzucili do Menu tak, iż utonęło; zakrwawioną pałkę

zagrzebali. Nazajutrz eschenburski dziedzic zapragnął odwiedzić winnicę i naonczas jego psy wykopaly pokrytą krwią pałkę. Wypatrzył także, iż mur wokół winnicy utracił jeden kamień, [po czym] poszukał tropu i dojrzał, że łąką poniesiono przedem coś mocno krwawiącego, iżby owo rzucić do wody, i takim to sposobem odnalazł ofiarę morderstwa. Tamci dwaj [mordercy] podzielili się pieniędzmi i balwierz odjechał do Norymbergi (licząc, iż nie będąc na miejscu i jakoby nie mogąc pomóc, uchroni siebie przed ujawnieniem czynu). Wszelako jego śladem ruszył ojciec zamordowanego młodziana i zażądał tutaj [w Norymberdze] aresztowania balwierza, ten musiał tedy się przyznać [\[283\]](#).

W pierwszej relacji widać wszystkie te haniebne działania, które napawały mistrza Frantza odrazą: mord z premedytacją, dla pieniędzy, nadużycie zaufania młodego człowieka i jego chlebodawcy, zasadzenie się na ofiarę w sposób godny tchórzów oraz umyślne zbezczeszczenie ciała młodzieńca. Znajdujemy tutaj i parę upiększeń literackich, wyraźnie kontrastujących z rzeczowością diariuszowych zapisów, jakie Schmidt sporządzał za młodu. Będący teraz osobą w średnim wieku kat rozpoczyna opowieść scenograficznym: nie bez kozery ukazuje sytuację na pozór spokojną, bo skromną kolację przy fontannie w publicznym miejscu, spożywaną o północy przez trzech podróżnych — tym większy będzie wstrząs czytelników w obliczu następných zdarzeń. Perfidia czynu zostaje podkreślona za pomocą szczegółów, które uwytatniają kontrast między dobrem i złem, jako że młodzieniec dzieli się chętnie swoim prowiantem i w spokoju ducha czesze włosy w tym czasie, gdy Ayrer zatrzuwa jadło. Cios w głowę, okrzyk młodego człowieka i szybkie poderżnięcie gardła temuż — oto momenty akcji, które wskazują na straszliwą przemoc. Geniuszem literackim mistrz Frantz zapewne nie był — zwłaszcza za wypowiedziom bohaterów (na przykład wyjącznanemu „au”) przydałoby się dopracowanie — a jednak w drugiej połowie życia zaczął, ponad wszelką wątpliwość, posługiwać się wyobraźnią w swoich reminiscencjach poświęconych znanym mu zbrodniom oraz ich sprawcom. Co wielce znamienne, chciał w tych komentarzach dociec motywów różnych czynów, wcześniej zaś pisał po prostu o złym charakterze albo pomijał motywy milczeniem.

Dlaczego ludzie są wobec siebie nawzajem okrutni i dlaczego Bóg na to pozwala? Frantz nie potrzebował teologii, wiedzy o teodycei czy Opatrzności Bożej, ażeby rozważyć pozorną przypadkowość ludzkich cierpień i śmierci albo zgłębiać niekonsekwencje wymiaru ludzkiej sprawiedliwości. Jako jej realizator mógł czerpać niejaką satysfakcję z kar (i, być może, z przypadków odkupienia winy), ale od dawna miał świadomość tego, że pocieszenie dla ofiar, jak i dla pozostających przy życiu krewnych i przyjaciół osób zamordowanych jest krótkotrwałe, nieadekwatne i często wręcz iluzoryczne. Będąc człowiekiem 46-letnim, miał za sobą bez mała trzy dekady poznawania mrocznej strony kondycji ludzkiej, sam też musiał niejedną raz uciekać się do zwodzenia i przemocy, gdy przesłuchiwał schwytanych i wykonywał wyroki na skazanych. Skoro przychodziło Frantzowi być w nieustannej styczności z okrucieństwem i cierpieniem, musiał on — jak wszyscy związani z wymiarem sprawiedliwości — już to zachowywać niemały dystans, już to posiadać głęboką wiarę, aby przetrwać tyle lat. Źródło wewnętrznej siły Frantza pozostaje wszakże zgoła niepoznawalnym elementem tożsamości tego człowieka — wiadomo tylko o wielkiej determinacji w przywracaniu rodzinie czci, której została pozbawiona.

Oprócz zabójczej dla duszy człowieka pracy było w życiu Frantza Schmidta dosyć innych powodów po temu, by z biegiem lat popadał w coraz większy pesymizm, by zgorzkniał, a nawet stał się cyniczny. Mimo że osiągnął dożywotnie bezpieczeństwo materialne oraz obywatelstwo,

i on, i jego najbliżsi nadal byli wykluczeni z grona mieszczan darzonych szacunkiem, co dawano im odczuć w sposób subtelny, a zarazem bolesny. Mało tego, ledwo minęło nowe stulecie, Frantz Schmidt zetknął się bezpośrednio z okropnościami tego świata. Dnia 15 lutego 1600 r., w czasie najbardziej mroźnej zimy w dziejach Norymbergi, kolejna zaraza przerwała życie najstarszego syna Frantza, 16-letniego Jorga. Pięć dni później pogrążeni w żałobie Schmidtowie szli w kondukcje pogrzebowym na cmentarz świętego Rocha, gdzie Jorg spoczął w rodzinnym miejscu pochówku, odprowadzony przez kolegów z Łacińskiej Szkoły Świętego Egidiana. Po trzech tygodniach wyzionęła ducha 55-letnia Maria, małżonka Frantza od ponad 20 lat, powalona chyba przez tę samą epidemię, która zabrała wcześniej syna i miała zabić jeszcze 2500 mieszkańców miasta. Trumnę Marii odprowadziło na cmentarz „kilkoro sąsiadów [Schmidta], spontanicznie, z dobroci serca”, nie zważając na ewentualny dyshonor dla siebie z powodu tej ostatniej posługi. Niewykluczone, że — jakże upragnione — oznaki życzliwości ogółu złagodziły cokolwiek dotkliwość tych kolejnych ciosów, jakie spadły na norymberskiego kata. Kiedy Frantz Schmidt 12 marca 1600 r. odchodził od świeżych grobów żony i młodocianego syna, był 46-letnim wdowcem i ojcem czworga żyjących dzieci w wieku od czterech do 13 lat [\[284\]](#).

Obie straty na pewno przytłoczyły, ale zasmucony mąż i ojciec nie pozostawił żadnego śladu ówczesnych przeżyć; w diariuszu brak bowiem wzmianek o życiu osobistym. Mimo wzburzenia, poniekąd i religijnego, mistrz Frantz nie ustawał w pracy: sześć tygodni później ściał dwóch złodziei i powrócił także do innych obowiązków. W tamtych czasach większość wdowców decydowała się przed upływem roku od śmierci żony na ponowny ożenek, zwłaszcza gdy w domu były jeszcze małe dzieci. Frantz Schmidt, przejęty żałobą albo po prostu pozbawiony dobrych widoków, nie poślubił następnej kobiety, a gospodarstwo i pieczęć nad młodszymi braćmi powierzył 13-letniej Rosinie i 12-letniej Marii, którym pomagała służąca. I tak ta odrębna rodzinna minispoleczność, mniej liczna i pogrążona w smutku, nadal trwała.

Cóż w tak surowym i niesprawiedliwym świecie znaczą wiara i odkupienie? Jaka jest rola Opatrzności Bożej i osobistych wyborów? W latach, które nastąpiły po osobistych tragediach, Frantz interesował się coraz bardziej ludzkimi zachowaniami oraz ich podłożem — tę fascynację potwierdzają zapisy w dzienniku. Próbmę doszukiwania się ładu i sensu pośród ewidentnego chaosu tego świata towarzyszyły częstsze sięganie po techniki narracji przyjęte w literaturze kryminalnej, niewątpliwie dobrze znane Frantzowi [\[285\]](#). Z na pozór niepowiązanych wydarzeń powstają spójne opowieści, pełne patosu i ludzkiej determinacji. Jego złoczyńcy — na ogół żądni krwi zbójcy i skorzy do mordów krewniacy — przypominają postaci znane z ówczesnych tabloidów. Ale, w odróżnieniu od autorów występujących w takich pisemkach i chętnie słuchanych kaznodziejów, Frantz nie umoralnia i nie próbuje generalizować, gdy mówi o motywach. W jego mniemaniu grzech i zbrodnia są na wskroś osobiste, stanowią wytwory charakteru i własnych preferencji, nie zaś jakichś kosmicznych sił poza człowieka. Przedkładanie konkretnego nad abstrakcję wzięło się zapewne u Frantza z tego, że osobiście miał do czynienia z niejednym przestępcą i z niejedną ofiarą. Owe kontakty sprawiły też, iż uznał grzech i odkupienie winy za nierozzerwalnie związane z ludzką naturą. W pełni akceptując luteraniską naukę o zbawieniu wyłącznie dzięki wierze, Frantz — paradoksalnie — przejawiał w średnim wieku i większą surowość, i więcej zrozumienia dla nieszczęsnych grzeszników. Czy wiara w miłosiernego Boga, która była pociechą tylu nawróconych złoczyńców, ofiar tego kata, jemu samemu przyniosła ukojenie w osobistym mozole, na drodze samotnych poszukiwań?

Premedytacja

W tym czasie, kiedy diariuszowe zapisy Frantza wydłużają się i stają coraz bardziej złożone, wychodzą na jaw dwa stosowane przez niego kryteria oceny przestępstw: po pierwsze, stopień nadużycia zaufania osobistego i społecznego, po wtóre, poziom premedytacji u sprawców. Przestępstwa i zbrodnie zaplanowane, popełnione z bezpodstawnym okrucieństwem i z jakichś innych względów odrażające, nasuwały katu myśl, że sprawcy arbitralnie odrzucili normy zachowania cywilizowanego i sami wykluczyli się ze społeczeństwa, w sensie moralnym i prawnym stając się wyrzutkami, ludźmi zmarginalizowanymi (dotyczyło to osób obojga płci, ale ze sporadycznym uwikłaniem kobiet). Zbójców i wszelkich innych grabieżców mistrz Frantz niejako negatywnie wyróżniał spośród tych nieszcześnych grzeszników, którzy przed nim stawali, przypisując im zachowania rażąco antyspołeczne i tym samym karygodne — uważał on, że tacy ludzie zasługują, gdy zostaną schwytani, na najgorsze tortury i najsurowsze kary. W toku swej długiej kariery Frantz stale przekonywał się jednak, że również jednostki na pozór zwyczajne są zdolne do czynów znamionujących wyjątkową niegodziwość. Nie zaliczając istot tego pokroju do profesjonalistów, Frantz obwiniał je o takie samo arbitralne negowanie praw boskich i ludzkich. Nie inaczej niż Kaina albo szatana postrzegali te osoby jako świadomie odżegnujące się od norm i pozytywnych aspektów życia w społeczeństwie „przyzwoitym” i, będąc człowiekiem marginalizowanym mimo woli, takiego świadomego wyboru nie potrafił ów kat zrozumieć.



Widać tu niecną zasadzkę dwóch zbójców na całkiem niewinną osobę, która dokądś jechała. Zauważmy błysk w oczach sprawców i strach ofiary (rok 1543).

Premedytacja, o jakiej Frantz pisze najczęściej w diariuszu, przejawia się w planowanych z zimną krwią nadużyciach zaufania: zasadzkach i niespodziewanych atakach. Zasadzający się na ofiarę morderca zostaje przedstawiony w dzienniku jako groźniejszy niż ci, co chcą, by widziano w nich inne osoby, i bardziej niebezpieczny niż ci, którzy rzucają oskarżenia na

niewinnych ludzi — taki morderca podważa bowiem wszelkie zaufanie do siebie, choćby i najsilniejsze, i kwestionuje zarazem potrzebę elementarnej przyzwoitości. Bez względu na relacje między sprawcą i ofiarą, bez względu na dotkliwość nieoczekiwanych ataków najbardziej burząco w nich mistrza Frantza — oczywiście karygodne — łączenie premedytacji z podstępem. Młody kat zetknął się z takim właśnie zwodniczym działaniem w pierwszym roku pracy zawodowej, i to w sprawie zbrojcy nazwiskiem Barthel Mussel, który „poderznął gardło komuś, kto spał w tej samej stodole, i zabrał pieniądze tego człowieka”. Jeszcze 13 lat później Frantz jest nie mniej zbulwersowany tym, że Georg Teurla „na jakiejś łące uderzył pałąk w głowę czeladnika u kogoś, kto wytwarzał kukiełki, po tym, jak tamten powiedział był o czymś tkwiącym w bucie Georga, [jeszcze] dźgnął go w kark sztyletem i spiesznie przykrył jego ciało”. Z podobnymi uczuciami pisze Frantz o czynie Hansa Kruga, który „podstępnie poprosił swego kompana Simona, aby ten pokazał mu koszulę, jaką ma na sobie, potem zaś wbił mu w kark nóż, przyniesiony tam i ukryty”[\[286\]](#). Gorszącą przewrotność popełnionego czynu podkreśla często pospolita sceneria: pewien mężczyzna atakuje ciężarną siostrę „na drodze, kiedy wracali oboje ze swej codziennej pracy”; leśniczy zabija brata, „gdy jadą saniami przez las”; pewna kobieta bije od tyłu w głowę toporem przyjaciółkę, „którą przedtem [jakoby] iska i głaszczce po włosach”.

Jak prasowe kroniki kryminalne dla szerokiego kręgu czytelników, tak i relacje Frantza uprawdopodobniała obfitość dramatycznych szczegółów, przy czym te ostatnie mogły uzmysłowić przerażającą chłodną kalkulację morderców. Kiedy do Lienharda Tallera (inaczej: Leosia Szpikulca) przysłano kogoś po należny dług, ów gospodarz niezwłocznie zapłacił, po czym zaproponował „nocleg na ławie w tej izbie, gdzie przyjmowano gości. Rozprawiając z posłańcem, [Haller] zdjął ze ściany topór, dwoma ciosami w głowę zabił onego natychmiast i odebrał pieniądze”. A oto historia, która budzi jeszcze większą grozę: żołdak o nazwisku Steffan Stayner spokojnie „dźgnął [kompana] w lewy bok tak, iż ostrze wyszło z prawej strony, a potem zdążył je oczyścić, nim [tamten] upadł”[\[287\]](#). Jedną z najbardziej szczególnych opowieści Frantza o zasadzkach konfrontuje gwałtowność ataku z karą, jaką spotkała sprawcę, ustanawiając tym samym miłą katu równowagę pod względem okrucieństwa:

Georg Franck z Poppenreuth, pomocnik kowala i żołdak, przekonał Nadobną Anusię, iżby zgodziła się na jego opiekę w drodze do miasta Bruck an der Leuth[\[288\]](#), na Węgry, gdzie miała się spotkać z narzeczonym, Martinem Schönherlinem. Kiedy z innym najemnym żołnierzem, Christophem Frischem, sprowadzili ją do lasu — obaj uknuli coś [przeciw niej] — Christoph uderzył ją od tyłu kołkiem w głowę i upadła. Leżącej zadał jeszcze dwa ciosy. Franck dodał parę ciosów od siebie i w końcu poderznął jej gardło. Rozdziali ją obaj do białizny i pozostawili tam, a odzienie sprzedali za 5 florenów we wsi Durn Hembach. Wedle zaleceń, łamano go tu kołem, najsamperw oboje ramion i za trzecim razem tors[\[289\]](#).

Odnosnie do tej i innych zasadzek Schmidt podkreśla konkretnie premedytację, obmyślenie zawczasu czynu karalnego — fakt, na który zwracały także uwagę ówczesne kodeksy, ze stosownym naciskiem komentowany ponadto przez działających wtedy sędziów[\[290\]](#). Tak jak jest to przyjęte w większości dzisiejszych społeczeństw, władza sądownicza z dawien dawna uznawała mord zaplanowany za gorszy aniżeli zwyczajne zabójstwo i za ten pierwszy karała surowiej. Najemny kat daje wyraz przerażeniu tym, że złodziej Georg Taucher „zamordował o trzeciej w nocy syna właściciela zajazdu [dokąd się włamał] i poderznął temuż gardło”, przy czym przedstawia dokonaną zbrodnię jako jeszcze straszliwszą przez to, że sprawca popełnił ją

„umyślnie, albowiem użył zabranego w tym celu noża”. I podobnie, gdy Anna Strölin „zabiła toporem własne dziecko, 6-letnie pacholę” albo Hans Dopffer „zadźgał, zamordował wielce brzemiennej połowicę”, Frantz Schmidt uznaje, że w każdym z takich przypadków trzeba podkreślić tę okoliczność, iż ów szokujący mord został popełniony „z premedytacją”[291].

Dla mistrza Frantza ideałem mężczyzny jest taki, który demonstruje uczciwość, pobożność, lojalność, respekt, odwagę. Wyrachowani mordercy w rodzaju Frantza Seuboldta byli całkowitymi przeciwieństwami tego heroicznego ideału. Nie dość, iż Frantz Seuboldt „z rozmysłem, powodowany nienawiścią i pazernością, zabił własnego ojca”, to jeszcze wybrał isticie tchórzliwy i niemęski sposób działania:

Zaczął się [on] na ojca (ochmistrza zamku w Osternohe) na obszarze łowieckim, ukryty za skałą i schowany w zaroślach, iżby go nie widziano. Gdy ojciec był już na słupie zwanym — o ironio — drzewem zasadzkowym, skąd zamierzał zdjąć ptaka służącego jako wabik, syn wystrzelił do ojca cztery kule i ów zmarł nazajutrz. Nikt wszelako nie wiedział, kto był się tego dopuścił, ale syn zbiegł stamtąd, gubiąc w biegu rękawiczkę połataną w przeddzień przez krawca w Gräfenbergu. Tę [rękawiczkę] odnalazła pewna niewiasta i tak ujawniła ów czyn.

Zdradzieckie, wynaturzone postępowanie Seuboldta wyszło, mimo starannego obmyślenia, na jaw za sprawą jego nieuwagi; był to przyczynek do wykrywania zbrodniczych czynów na początku ery nowożytniej, ale, co niewybaczalne, również do działania Opatrzności Bożej. Kiedy Seuboldt złożył pełne zeznania (dotyczyły one i „roku poprzedniego, w którym dwakroć bez powodzenia próbował otruć [ojca]”), trafił ten ojciec „na wóz dla skazańców, jego ciało doświadczyło trzech szarpnięć rozpalonymi obcęgami, a kończył łamania kołem, i wreszcie nastąpiła egzekucja” — dodane tutaj szczegóły proceduralne po raz kolejny uświadamiają to, że kat jest w pełni przekonany o słuszności wyroku[292]. (Porównajmy ilustrację z początku rozdziału 2, na stronie 86).

Czas i miejsce zasadzki wzmagaly niegodziwość podobnego czynu w rozumieniu mistrza Frantza, który nie mógł się oczywiście pogodzić z takim rażącym lekceważeniem norm społecznych. Zapisy w diariuszu uwypuklają nie tyle samą przemoc, która cechuje leśne napady, ile moment zaskoczenia — być może dlatego, że lasy uchodziły z natury rzeczy za niebezpieczne. Do napaści uzbrojonych band na domy mieszkalne odnosił się ów kat inaczej: bolał nad nimi całym swym jestestwem i jego opisy tych przestępstw pozwalają się domyślać osobistego zasmucenia, nie mniejszego niż w obliczu ataków na dzieci. Uważał on też nocne włamania za bardziej naganne niż typowe kradzieże, zwłaszcza że tym pierwszym mogą towarzyszyć napaści na zaskoczonych właścicieli domów. „Noc nie jest przyjazna” — przestrzegało ówczesne porzekadło gwoli podkreślenia zagrożeń związanych z ciemnościami, jakie panowały w owych czasach, kiedy nie istniały jeszcze uliczne latarnie. W samym mieście całkowity zakaz pozostawiania na ulicach po zachodzie słońca oznaczał, że nawet złodziej, który ograbiał przechodniów z odzieży w nocnych godzinach, mógł otrzymać wyrok śmierci. Mistrz Frantz miał szczególną pogardę dla morderów i napaści, których ofiarami padały osoby śpiące, uważał bowiem takie czyny za oczywiste dowody tchórzostwa i nieprzyzwoitości sprawców[293].

Od przypadkowych śmiertelnych ciosów, zadawanych w ferworze kłótni, odróżniał Frantz Schmidt przemoc tych, co mordowali z premedytacją. I potrafił paroma szczegółami uzmysłowić okrucieństwo sprawców takich zbrodni. Elisabeth Rossnerin, „robotnica rolna i żebraczka, uduśiła na grochowym polu i zadźgała sztyletem inną robotnicę, co zdarzyło się

w Gebersdorfie”, dla zaledwie 4 funtów i 9 fenigów (niecałego guldena). Peter Köchl, skazany później za próbę mordu, „dotkliwie zbił swego ojca szufłą do nawozu”[\[294\]](#). Jeszcze brutalniejszy Michel Köller „umyślnie posłał wielkim kamieniem ku głowie furmana z miejscowości Wehr tak, iż ów spadł z kozła, po czym Köller zabrał mu pieniądze, ale że kamień uderzył tamtego w ramię, furman zdążył się uzbroić, Köller jednak wbił mu 32 razy w głowę szczyryk”[\[295\]](#). Liczba zadanych ran jest często skrótowym wskazaniem na bezsensowną przemoc takich przestępców: Elisabeth Püffin „weszła w nocy do domu rządcy majątku Velden, gdzie odsłużyła dawniej 16 tygodni, następnie zaś do izby jego szwagra Datzela, starca z podagrą i trąbką w uchu, którego bodaj jedenaście razy raniła [żelaznym] prętym w głowę”. Czyn nie mniej brutalny i zdradliwy popełnił Michel Seitel, wtedy w terminie u pewnego szewca, jako że włamał się do „domu brata swego dziadka i zaatakował tego stolarza we śnie, przy czym zadał mu trzydzieści osiem ran, dziurawiąc głowę postrzępionym kamieniem, i szewskim nożem zranił mu kark, iżby poderznąć gardło i zabrać pieniądze”[\[296\]](#).

Podobne w tym do żądnych sensacji gazet, łasych na takie przejawy okrucieństwa, relacje Frantza posługują się odwiecznymi technikami dramatyzacji, ażeby ukazać przerażenie ofiary i haniebne zachowanie sprawcy. W swojej opowieści o gorszącym napadzie na leciwą starą pannę z patrycjuszowskiej rodziny, Urszulę von Ploben, dokonany przez mężczyznę i kobietę, których wpuściła do domu ich współpracowniczka, służąca ofiary, Frantz Schmidt odtwarza zwięźle sytuację tejże osoby, która niczego się nie spodziewa i zostaje zaskoczona w sypialni przez intruzów, ci zaś „podeszli, dusili ją dwiema poduszkami i dźgali nikiem, co zajęło prawie pół godziny, jako że [Ploben] broniła się i musieli dusić jeszcze trzykroć, nim umarła”[\[297\]](#).

Frantz Schmidt, ojciec dwóch dorastających córek, był, co rozumiały, wrażliwy na grozę, jaką u swych ofiar wzbudzili dwaj natarczywi mężczyźni, którzy chcieli je gwałcić. Wędrowny balwierz nazwiskiem Hans Schuster

w Wielkim Tygodniu spotkał na skraju wsi zamężną niewiastę z Rückersdorfu, przystąpił do niej i spróbował ją zawiadnąć. Gdy [ona] stawiała opór, [on] uderzył ją dwakroć toporem w głowę i rzucił na ziemię, a kiedy krzyczała, zatykał jej usta, także obficie sypiąc w nie ziemię i piasek, póki ktoś nie zechciał jej pomóc; gdyby nie to, poddałby ją swojej woli [tzn. zgwałciłby ją].

Aresztowany tego samego dnia 15-latek, Hans Wadl, okazał się nie mniej bezlitosny, jako że:

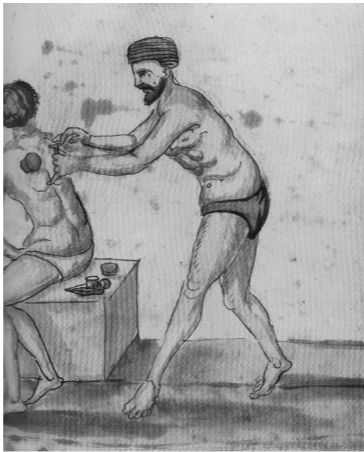
w lasku za Ostenfoosem przystąpił do czworga dziewcząt, które zbierały drewno, dopadł najstarszej, prawie 11-letniej, rzucił ją na ziemię i chciał, iżby mu uległa. Gdy dziewczę wykrzyczało, że jest zbyt młode, odpowiedział: „Przebóg, masz całkiem zdatną cipeczkę”. Póki krzyczała rozgłośnie, [on] zatykał jej usta, a wyjął też nóż [i zagroził], że ją zadźga, jeśli nie zamilknie, po czym tak ją sponiewierał, iż [później] potrzebni byli dwaj balwierze, i wreszcie kazał dziewczęciu przysiąc, iż nikomu — nawet diabłu — nie wspomni o tym[\[298\]](#).

Kodeks *Carolina* zaliczył gwałt do przestępstw najcięższych, tyle że nie zawsze wychodziło ono na jaw i często pozostawało bezkarne. W całym XVII stuleciu wykonano w Norymberdze wyroki śmierci na sześciu gwałcicielach i był to rekord w skali cesarstwa[\[299\]](#). Zwykle — tak się stało z Wadlem — napastnik, „zważywszy na jego młody wiek”, był karany tylko chłostą. Ale mistrz Frantz miał dla takich napaści nie mniejszą pogardę niż dla zbójcekich morderców, oburzony brutalnością, wulgarnym charakterem gwałtów oraz niecnymi zamiarami sprawców

tychże.

Za młodu Frantz przywiązywał większą uwagę do różnicy między przemocą umyślną a niezamierzoną; w późniejszym okresie życia, już bardziej doświadczony, interesował się raczej rozpoznawaniem i analizą nieprostych motywów tych nieszczęśników, z którymi musiał mieć do czynienia. Motywem najpowszechniejszym, gdy z rozmysłem popełniano morderstwa i dochodziło do innych napaści, zwłaszcza za sprawą zawodowych bandytów, były oczywiście pieniądze. Ale Schmidt chętnie podkreśla to, że zysk, na jaki liczone, okazuje się często mizerny albo nawet problematyczny i czyni samą zbrodnię tym plugawszą. Krawiec Michael Dietmayr „poszedł na spacer ze [znajomym rolnikiem] i uderzył tamtego tak mocno w tył głowy, że ów padł, po czym zadał jeszcze dwa ciosy” — to wszystko dla 3 guldenów i 3 fenigów, które znalazł przy zmarłym. Dwaj przedsiębiorczy zbójcy po wielokroć atakowali furmanów, roznosicielki chleba i domokrażców, „choć niewiele mogli od nich uzyskać”. Inny bandyta zabił posłańca za 5 orthów (czyli całego i ćwiartkę guldena) oraz jakieś paczki z nieznaną zawartością (jak się okazało, nikłej wartości), a Hans Raim, twórca płaskorzeźb, był rozczarowany mizerną sumą zabraną kobiecie, którą dopiero co z zimną krwią zamordował^[300].

U przestępców niezawodowych norymberski kat dopatrzył się — jako typowego motywu zaplanowanych aktów zemsty — dłuższej osobistej wrogości między sprawcą i ofiarą. Georg Praun (inaczej: Gruby Jerzyk) „wadził się z pewnym rolnikiem i czyhał nań”, natomiast rzeźnik Hans Kumpler „był się pokłócił ze strażnikiem wspólnych łąk wioskowych, w nocy wszedł do domu [tegoż], iżby się pogodzić, i uśmiercił go jego własnym młotem do rozstrzygania sporów (*Streithammer*), wyjętym owemu z ręki”. Spierając się z innym wędrownym balwierzem, Andreas Seytzen „zagroził, iż dopadnie tamtego i da mu przypamiętne, potem zaś wetknął skrobaczkę [czyli brzytwę] w cebulę, okrom tego nawarzył swego wroga w łaźni publicznej, gdzie obaj pracowali, było jednak tak, iż „ucierpiało tam co najmniej 70 osób, które zapadły na francuską chorobę [tj. syfilis]; [wiele] niestety zmarło”. Frantz nie wyjaśnia, o co toczył się spór, lecz informuje „z niejaką satysfakcją, że sprawiedliwości stało się zadość, ponieważ tenże mściwy łaźnienik „sam zachorzał i 8 tygodni spędził w domu”^[301].



Łaźnie publiczne były i lecznicami, i miejscami różnych kontaktów społecznych, także nierządnych (ok. roku 1570).

Podobnie jak sumy uzyskiwane czasem przez morderców, błahe wydawały się Frantzowi także powody aktów zemsty, ponieważ ci, co brali odwet, wyolbrzymiali doznane krzywdy. Służąca Ursula Becherin „spaliła stajnię u swego pana, rolnika znad rzeki Marelstein, albowiem starsi ludzie tamże źle ją traktowali, a w obecnym roku 1582 podpaliła stajnię w obejściu dawnego chlebodawcy, w Haselhofie, bo wedle tamtejszych ludzi niczego nie wykonywała należycie”. Anna Bischoffin „spaliła stajnię w zagrodzie Kützenów z przyczyny sakiewki, której nie umiała odnaleźć i którą, jak sądziła, ukradziono jej”; z kolei Cunz Nenner zagroził podpaleniem „z przyczyny zabranych mu gołębi”. Zdarzały się i inne godne potępienia przestępstwa, a powody były jeszcze mniej ważne. Czy Schmidt gani ludzką głupotę, czy niewspółmierną przemoc, kiedy mimochodem nadmienia, że napaści z premedytacją miewają za przyczyny na przykład „spór o zapaloną pochodnię, brakującą łyżkę” albo „kłótnię o broszkę, prowadzoną w środku lasu”[\[302\]](#)?

Pieniądże, pragnienie zemsty i chyba miłość okazały się motywami zmywy między Kunradem Zwickelspergerem a Barbarą Wagnerin, która chciała się pozbyć męża:

Trzykroć [Zwickelsperger] zachęcił [Wagnerin], iżby do mężowskiej stawy dodała środek przeciwko owadom, co też uczyniła, zawarłszy tenże w owsiance i osobiście

zjadłszy trzy łyżki, wszakże małżonek nie ucierpiał. Sześć razy wymiotował, ona dwakroć, jako że — co wyjaśnił jej był Zwickelsperger — nadmiar proszku uśmierciłby, a nazbyt mała ilość spowodowałaby tylko wymioty. Przystąpieniem do komunii świętej ów Zwickelsperger zobowiązał się także do tego, że nie będzie mieć do czynienia z żadną inną niewiastą okrom niej, połowicy cieśli, ona zaś winna była przyrzec to samo i w tenże sposób. Ów Zwickelsperger wręczył również dwa guldeny starej wiedźmie, iżby sprawiła, że cieśla zostałyby zadżgany czy pokonany w walce albo utonąłby[303].

Nie wiadomo, czy ci, co byli w zмовie, darzyli siebie nawzajem szczerym uczuciem, wiemy jednak, iż ten, którego chcieli się pozbyć, przetrwał wszystkie zamachy na swoje życie i oglądał śmierć obojga niedoszłych morderców z ręki mistrza Frantza. Miłość lub pożądanie trzeba też brać pod uwagę jako motyw napaści ze skutkiem śmiertelnym, której w norymberskim lesie dopuścił się Georg Wigliss, a zginął wtedy domokrażca, „któremu Wigliss mógł ukraść ledwie 8 guldenów, potem jednakże poślubił wdowę po zamordowanym, która mieszkała w Leinburgu”[304]. Zmowa, podjęta przez mordercę próba wybielenia siebie, dziwny przypadek niewątpliwiej atrakcyjności kobiety — Schmidt nie ujawnia swojego poglądu na ożenek poprzez morderstwo, stwierdza tylko, że Wigliss, sprawca tych mordów, zginął „łamany kołem” obok dwóch powieszonych złodziei.

Bandyci i zbrojcy uosabiali okrucieństwo ekstremalne, praktykowane całkiem bez sensu, dla kaprysu — zło gwoli samego zła. Chociaż wśród ofiar mistrza Frantza stanowili niespełna jedną dziesiątą, właśnie mordercy, owi ludzie wyjęci spod prawa, zdominowali obszerniejsze zapisy w katowskim dzienniku i są tam postaciami przedstawionymi bodaj najciekawiej[305]. Ich napaści na bliźnich, którzy albo podróżują, albo pozostają w domach, nie wskazują na to, by je starannie zaplanowano, lecz wydają się pretekstami do dawania upustu sadystycznym impulsom: tacy ludzie potrafią pętać swoje ofiary, torturować ogniem i gorącym tłuszczem, po wielokroć gwałcić i tych, co jeszcze żyją, zabijać na różne straszliwe sposoby. Poznawszy najrozmaitsze przejawy okrucieństwa, Frantz jest jednak zaszokowany działalnością szajki 16 bandytów, którzy „atakowali ludzi w nocy, pętali ich, dręczyli, ograbiali z pieniędzy i odzienia, stosując przemoc”[306]. Z ewidentną empatią pisze Frantz o dwu ofiarach szajki, „niewieście, która otrzymała siedemnaście ran, ciosów, dżgnięć i zmarła z tej przyczyny po trzynastu tygodniach; drugiej odrąbali rękę i zmarła trzeciego dnia”[307]. W zapisach Frantza wzmianki o ukradzionym mieniu zdają się często informacjami dodanymi do ważniejszych opisów barbarzyństwa. Tacy ludzie, jak owi bandyci, byli dumni z lekceważenia wszelkich norm społecznych i prześcigali się w brawurze — dla Frantza Schmidta w sposób zgoła niewyobrażalny, ilekroć w grę wchodziły przypadki dręczenia z zimną krwią i zabijania ciężarnych kobiet, poprzedzanego wydobyciem płodów z łon i morderstwami na tych dzieciach na oczach matek. Jeszcze raz godzi się przypomnieć tutaj o tym, że sam kat potrzebował uzasadnień dla okrucieństwa wobec takich zbrodniarzy. Czasami chyba przesadzał, ale przemoc była oczywista, podobnie jak nie może nigdy budzić wątpliwości strach przed zbrodniarzami.



Ta rycina francuska z XVIII w. naocznie okrucieństwo włamywaczy i strach bezradnych ofiar, zwłaszcza w ustronnych młynach (rok 1769).

Zresztą nawet śmierć ofiar nie kładła kresu przejawom okrucieństwa. Frantz Schmidt doszedł do wniosku, że zwłaszcza po zawodowych bandytach można było się spodziewać bezczeszczenia zwłok. Wniosek to zaskakujący ze strony kata, którego zawód wymuszał czasem podobne zachowania, ale konkluzja ta wynika z przywiązywania wagi do chrześcijańskiego pochówku, co charakteryzowało i mistrza Frantza, i właściwie ogół ówczesnych ludzi. Pozostawienie zwłok wiszących na szubienicy, wyeksponowanych na kole albo spopielonych wstrząsało do głębi tymi, którzy wierzyli w życie pozagrobowe i w cielesne zmartwychwstanie. Umysłne zhańbienie osoby niedawno zmarłej albo obojętność dla trupa takiego człowieka uchodziły za jednakowo naganne. Wcześniej naszkicowany portret bandyty Klausa Renckharta, który zmusił żonę zamordowanego przezeń młynarza, by podała temu zbrodniarzowi jajecznicę na ciele zmarłego, nie miał sobie równych pośród wizji mogących szokować, ale wskazywał też na lekceważenie elementarnej ludzkiej przyzwoitości przez ludzi tego pokroju[308]. Z odrazą odnotowuje Frantz każdy przypadek pozostawienia nagich zwłok ofiary przy drodze, czasem przykrytych chrustem, kiedy indziej rzuconych do pobliskiego rowu z wodą. Co się zaś tyczy Lienharda Tallera (inaczej: Leosia Zabijaki), nie wiadomo, czy Schmidt wyraża ulgę, czy raczej zakłopotanie z tego powodu, że morderca najpierw ukrył ciało ofiary „w sianie położonym w pewnej stajni, po czym, następnej nocy, razem z połowicą zaniósł [owe] zwłoki do lasu i je spalił”[309].

Niezbitego dowodu gwałcenia wszelkich norm społecznych przez takie jednostki upatrywał mistrz Frantz w tym, jak ludzie ci odnosili się do siebie nawzajem. W odróżnieniu od swoich literackich odpowiedników kryminaliści ukazywani przez Schmidta nie stosowali się do żadnego środowiskowego kodeksu, nie stać ich było na dłuższą lojalność, a nawet zwracali się regularnie przeciwko sobie. Nierzadko motywowała ich chęć odwetu, jak wtedy, gdy rozbójnik Hans Paier „został wydany władzom przez banitę Adama Schillera (którego [Paier] miał, choć tego pewnie nie pamięta, dopaść w Nowym Lesie, iżby ów natychmiast zginął)”. Częściej przyczyną konfliktu była pazerność — zwłaszcza, kiedy dzielono się łupem. Hans Georg Schwartzmann (inaczej: Gruby Żołdak; jeszcze inaczej: Czarny Włóścianin) „pokłócił się o podział zysku z kompaniami w Fischbachu, ci zaś pobili go i rozpruli ciało ładacznicy, która chciała mu

„pomóc”. W podobnej sytuacji Michel Vogl wdał się z długoletnim współnikiem w bójkę „z przyczyny pewnej grabieży, której [razem] się dopuścili, i spróbował go zadźgać, po czym [Vogl] uchwycił strzelbę [wspólnika] i oddał do tamtego strzał, który zabił go na miejscu”. Ażeby pokazać zupełny brak honoru u złodziei, mistrz Frantz dodaje, że dawny kompan ofiary „rozdział potem i ograbił owego człowieka, zabrawszy 40 guldenów”. Nawet przypadkowe zastrzelenie współnika przez bandytę o nazwisku Christoph Hoffman zakończyło się tym, że zbójca obnażył zwłoki, po czym utopił je w sadzawce.

Brutalne bywały także bandyckie porachunki: na przykład Georg Weysshubtel „odrapał rękę i niemal przepołowił drugą jednemu ze współników, a następnie ranił go w głowę i tak uśmiercił”. Znany z brutalności Georg Müllner (Czudy Jerzyk) nie tylko ograbił i zamordował dawnego kompana, lecz nazajutrz w pobliskim lesie zaczął się na tegoż małżonkę, którą zabił, „udusiwszy ją noszoną przez nią na szyi chustą, a dokonawszy mordu, pozabawił tę niewiastę pieniędzy i odzienia”. Wszystkich prześcignął bandyta Hans Kolb (czyli Długi Ceglarczyk), „albowiem przed dwoma laty zadźgał w miejscowości Büch swą połowicę [i] później uśmiercił pewnego kompana na jednym z gościńców Frankonii. Na jakimś polu uciął też ucho małżonce swego kompana” [310].

Gniew Schmidta na rozbójników, którzy za nic mieli wszelką moralność, był tym większy, że i on, i wszyscy inni ludzie związani ze ściganiem przestępców przeżywali głęboką frustrację z tego powodu, iż nie potrafili zapobiegać napaściom i nie zawsze mogli karać, gdy do nich dochodziło. Łatwo więc zrozumieć, że cieszył kata każdy przypadek pojmania i wykonania wyroku śmierci na którymś spośród owych bandytów. Ilekroć jest to możliwe, Frantz Schmidt podaje nazwiska współników, zwłaszcza, gdy nastąpiły wcześniej schwywanie i egzekucja. Pisząc o bandycie nazwiskiem Hans Hammer (czyli Młodym Szewcu, inaczej: Kamyku), kat daje przy okazji wyraz dumie uzasadnionej faktem, że osobiście mógł pozabawić życia licznych kompanów Hammera w szczególnie brutalnym napadzie na pewien dom, ale i zasmuceniu tym, iż „Kamyk miał jeszcze więcej współników”, nadal chyba nieschwytanych. Z nie mniejszą satysfakcją odnotowuje Frantz to, że kompani Hansa Georga Schwartzmanna i „jego ladaczniczy” Anny Pintzrinin — mianowicie Michał Kominiarz, Szkolarz z Bayreuth, Kaspar Łyżka, Kędzierzawy, Szkolarz Paweł, Niezgrabiasz, Szóstka i Lizach — „otrzymali później to, co im się należało”. Omawiając przestępstwa i egzekucje takich bandytów, jak Heinrich Hausmann oraz Georg Müllner, kat zdobywa się nawet na podanie imion, nazwisk i/lub pseudonimów 49 współników. Nie wiadomo, dlaczego sporządza tę listę, skoro tylko czterech winowajców udało się schwytać. Być może zakłada, że zostaną aresztowani i tworzy spis osób, które trzeba by pojmać, przydatny i jemu, i wszystkim innym funkcjonariuszom wymiaru sprawiedliwości. Jest to, tak czy inaczej, gest osobliwy, dowód swoistego uwrażliwienia [311].

Afekt

Frantz Schmidt potrafił oczywiście odróżnić umyślne pogwałcenie elementarnej przyzwoitości od przypadków, kiedy ktoś okazał chwilową słabość. Toteż na przestępstwa, które nie spowodowały niczyjej śmierci i którym nie towarzyszyła przemoc, poświęcał o wiele mniej miejsca i uwagi w swoim diariuszu. Niezbyt interesowała Frantza obyczajność, niezbyt także seksualne podłoże przestępstw (chyba że znał nazwiska osób skrzywdzonych z premedytacją), chociaż co najmniej trzy czwarte kar przezeń wymierzanych dotyczyło tego rodzaju czynów [312]. Również wobec nich odgrywał Schmidt rolę mściciela w imieniu społeczeństwa,

nie widać jednak jego głębokiej satysfakcji w odnośnych zapisach, tak przecież ewidentnej, kiedy Frantz opowiada o egzekucjach bandytów. Ujmijmy to inaczej: większość egzekucji oraz innych realizowanych kar nie stanowiła wyzwia, które wymagałyby miarkowania własnego oburzenia. Frantz Schmidt zbliżał się zatem do ideału kata odpowiadającego wyobrażeniem o praworządności — kata, który zawsze jest beznamietnym realizatorem państwowej przemocy.

Postawa, jaką Frantz manifestował wobec przestępstw nieplanowanych, pozwalała mu okazywać ich sprawcom większe współczucie. Jego zdaniem wybaczone są zwłaszcza zbrodnie w afekcie — *ex definitione* wolne od premedytacji — jako chwilowe akty przemocy motywowane gniewem. W tamtej, jeszcze burzliwej epoce większość mężczyzn — łącznie z Frantzem Schmidtem — na stałe nosiła przy sobie nóż albo inną broń. Nic w tym dziwnego, że zaciekle spory, czasem w stanie nietrzeźwym, których przedmiotem był męski honor, kończyły się z reguły co najmniej bójkami, ale też niejednym zabójstwem albo pojedynkiem, niekiedy ze skutkiem śmiertelnym. W *Carolinie* i innych kodeksach karnych zastosowano wąskie definicje samoobrony i „honorowego zabójstwa”, ale — podobnie jak na amerykańskim Dzikim Zachodzie i dziś w niektórych regionach USA — mężczyzna zraniony cielesnie albo obrażony słowem nie miał obowiązku się wycofać, wręcz przeciwnie: odwet pozostawał normą[313]. Osoby, które doznawały niegroźnych dla życia obrażeń fizycznych, zwykle upominały się o tradycyjną rekompensatę finansową (*wergild*) [314]. Ilekroć gniewna wymiana słów prowadziła do czyjegoś zgonu, Frantz uznawał, że należy wymierzyć sprawiedliwość, przywykł jednak traktować zabójstwo popełnione pod wpływem gniewu jako fakt niefortunny, ale zrozumiały.

W najwcześniejszych zapisach Schmidt odnotowuje lakonicznie to, że pewien rolnik „zadźgał leśnika” albo kuśnierza „uśmiercił członka Zakonu Niemieckiego”. Tu i ówdzie znajdujemy określenia ludzi („zdrajca”, „złodziej”, „rzezimieszek”), użytej broni („nóż”, „topór”, „młotek”, „strzała”) czy — trywialnych czasem — przyczyn sporów: „poszło o ladacznicę i zapłatę za wódkę”, „poszło o grajcara” [0,02 guldena], „poszło o to, że [znajomy] nazwał go zdrajcą” [315]. W innych miejscach zapisy te brzmią czasem jak monotonne raporty o ruchu drogowym [316]. Frantz daje do zrozumienia, że w świecie, który wymaga od mężczyzn nieustannej gotowości do obrony własnego honoru, niepodobna uniknąć wypadków i przytacza przykład łuczniczki miejskiego, Hansa Hackera, który „na służbie rozbroił, z przyczyny obelżywych słów, syna [innego] łuczniczki, przemówił się z jeszcze innym i Onego przypadkowo uderzył młotkiem, co sprawiło, iż ów umarł” [317]. Hackera spotkała tylko chłosta, natomiast coraz gwałtowniejsza sprzeczka Petera Plancka z pewną prostytutką skończyła się doprawdy tragicznie dla obojga. Jak pisze mistrz Frantz, ciąg pożałowania godnych zdarzeń rozpoczął się w chwili, gdy Planck wracał do domu po wieczornej libacji:

Kiedy obok bramy zwanej *Spitlerthor* szedł ku świńskim straganom, ujrzał niewiastę, która była ladacznicą i szła przed nim ulicą o nazwie *Sunderspühl-Strasse*, pospieszył tedy za nią. Wedle jego opowieści, ta odezwała się doń, prosząc, iżby zaszedł do jej domu, gdy on zaś odmówił, oznajmiła, iż winien by przysiąc na sakrament, albo coś podobnego. Później, kiedy usiadł, zabrała mu kapelusz, chyba gwoli zadrwienia zeń, i stwierdziła, że sam był go ukrył. On chciał kapelusz odzyskać i jęli się bić. Uderzona w twarz ladacznica rzuciła się nań z dwoma nożami. Gdy była tuż, synpnął w jej stronę piaskiem; ona uczyniła to samo, kiedy zaś nie poniechała atakowania nożami, on wyjął swój i dźgnął, raniąc jej oko, po czym ona upadła i złamał się jego nóż; w rękę pozostała mu rękojeść. On klęknął na niej, wyrwał noże z jej rąk i jednym ostrzem

zranił własną dłoń, i wreszcie, rozeźlony, wbił nóż w lewą pierś leżącej [\[318\]](#).

Raptowny gniew, podsycony przez alkohol i skazę na honorze (ranę na ciele), skłaniał do przemocy w takich przypadkach jak ten — ich żar można przeciwstawić chłodowi ludzi zdolnych do perfidii.



Tam, gdzie noszenie broni było normą, nawet służący, który usuwał pajęczynę, miał pod ręką sztylet (ok. roku 1570).

Wieloletni norymberski kat odnosił się nie mniej wyrozumiale do innych przejawów namiętności, zwłaszcza do pożądania, którego raczej nie potępiał, lecz uważał je za nieuchronne. Chłosty dla osób winnych cudzołóstwa i nierządnic stanowiły bez mała czwartą część w sumie 384 kar cielesnych, które mistrz Frantz musiał wykonać, ale dziennikowe zapisy na ich temat są, co znamienne, najkrótsze — prawdopodobnie przesądził o tym ich nagminny charakter. Najczęściej karał zawodowe prostytutki, mieszkanki półświatka, który Frantz potępiał, ilekroć mógł. W przeciwieństwie jednak do swych kolegów spośród kleru odczuwa on mniejszy dyskomfort w obliczu tego, co sam określa jako „lubieżność” (*Unzucht* — dosłownie: „brak dyscypliny”), aniżeli w obliczu jakiegokolwiek innej przyczyny publicznego zgorzenia. Wątpliwe, czy pobożny Schmidt negował grzeszny charakter seksu pozamałżeńskiego, ale okazuje się on w swoich zapisach nieszczerze oburzony, zwłaszcza gdy jest przekonany o zgodzie zainteresowanych osób. Nie rozwodzi się nad takimi zdarzeniami, pisze bardzo rzeczowo i najkrócej. W stylu przypomina chwilami zbereźnego Chaucera, w takim na przykład tekście:

Sara, piekarka w miejscowości Fach, córka zwanego Kuśnierzem właściciela zajazdu w Heilbronner Hof, pozwoiliła służącej na czyn lubieżny. I namówiła pewnego kowala, iżby się zajął służącą i okazał potem dowód: parę włosów z jej kępkki. Gdy służąca

krzyknęła, [Sara] usiadła na jej ustach, a później poila ją zimną wodą[319].

Inny fragment, będący rozważaniem o dawniejszych chwilach ucieśnych w karierze kata, mógłby pochodzić z *Dekameronu* Boccaccia, z opisywanych tam bachanaliów:

Pewien rolnik z Hersbrucku pił z innymi w gospodzie, a potem odszedł, iżby się wysuszać, odwiedził wszakże tej nocy połowicę kompana, jakby sam był powracającym do domu małżonkiem, leżał z nią i poczynął sobie z nią lubieżnie, później wstał i oddalił się, a podówczas niewiasta ujrzawszy w nim innego człowieka niżli jej małżonek[320].

Przaśny humor kata, który miał na ogół do czynienia z kryminalistami i pochodzącą z nizin społecznych strażą więzienną, nie powinien nas dziwić. Przypomina on zarazem, że pobożność mistrza Frantza nie była równoznaczna z pruderią i że narzucane przez ówczesny kler normy, które dotyczyły zachowań seksualnych, nie miały poparcia całego społeczeństwa i nie przestrzegali ich nawet wierni.

Człuy na punkcie statusu społecznego Schmidt, człowiek ceniący sobie nade wszystko dobre imię, niezmiennie uznawał publiczny skandal za coś gorszego niż dyskretny grzech. Zgodnie z tym poglądem, na przyganę albo i gniew w obliczu niecznych czynów o seksualnym podłożu zdobywa się tylko wtedy, gdy sprawca zhańbił siebie, najbliższych i całą społeczność nieprzyzwoitym zachowaniem. Georg Schneck nie tylko dopuszczał się porubstwa, lecz „poślubił w Nowym Lesie ladacznicę o przydomku Malowana Basia”. Złodziej Peter Hoffman również „porzucił małżonkę i żył z inną niewiastą, a gdy zmarła, związał się z następną i w Laufie dał na zapowiedzi; i kiedy mu odmówiono [ślubu], przyjął pod swój dach Brigidę[321]”.

Dzisiejszych czytelników zdziwi na pewno to, że w owych czasach przysięga małżeńska nie musiała być złożona w obecności pastora czy księdza, aby uzyskała moc prawną. Zwyczajne wzajemne ślubowanie obojga lub przy kilku świadkach, po którym następowało dopełnienie seksualne, można było traktować jak ślub urzędowy. Gorszył oczywiście całą społeczność taki mężczyzna, który przysięgał fałszywie, byleby młodą partnerkę nakłonić do dzielenia z nim łoża, a potem ją porzucił. Kobieta zapłodniona w podobnych okolicznościach miała trzy niezbyt kuszące opcje: ujawnić odmienny stan i zhańbić siebie, najbliższych oraz dziecko w jej łonie; usunąć ciążę, co było zabiegiem nielegalnym i często narażającym na śmierć; albo też ukrywać ciążę, a następnie porzucić noworodka. Niektóre wybierały trzecią opcję (przeważnie były to kobiety młode, ubogie, bez nadziei na wsparcie przez rodzinę), rodziły w samotności, po czym z rozpaczą popełniały dzieciobójstwo, za co w przypadku ujawnienia zawsze czekała egzekucja[322].

Heleńko składano przysięgi w złej wierze — i skutkiem nie było jednak dzieciobójstwo — Schmidt zawsze potrafił okazać współczucie zhańbionym młodym kobietom oraz ich rodzinom, zwłaszcza gdy sprawa stała się głośna. Mistrz Frantz pisze z oburzeniem o skrybie Niklausie Hertzogu, który „zapłodnił pewne dziewczę w Hofie [rodzinnym mieście Schmidta] w Vogtlandii, przyrzekł [jej] małżeństwo i dał na zapowiedzi, potem zaś wycofał się i ją porzucił”; ten zapis uzupełnia wiadomością, iż Hertzog „zapłodnił inne dziewczę tutaj, we wsi Wehr, i to właśnie poślubił”. Niecierpliwą mistrza Frantza pokretnie zeznania parobka Georga Schmiedta, „który ujawnił, że zalecał się był do gospodarskiej córki, że dwadzieścia razy posiadał ją, zapewnił nadto, iż gotów byłby to dziewczę poślubić, aliści później wyparł się tego”[323]. Tak jak w przypadku każdego innego przestępstwa, tak też tutaj gniewały kata zwłaszcza szalbierstwa i przejawy tchórzostwa, z zadowoleniem odnotowuje więc te nieliczne sytuacje,

kiedy mógł brzożowymi różgami wychłostać oszustów na miarę ich przewinień.

Inne wzmianki o seksualnym podłożu przedstawianych czynów potwierdzają również, że Frantz Schmidt był bardziej zatroskany ewentualnym zgorzeniem niż dyskretnymi grzechami, raczej niedbałością o pozory niż upadkiem obyczajów. Pogwałcenie sypialnianej prywatności jest na przykład faktem budzącym tylko niesmak, jak można wnioskować z zapisu na temat chłosty, która spotkała wędrownego krawca, Veita Heymanna, i jego świeżo poślubioną małżonkę, Margarethę Grossin, „albowiem zachowywali się lubieżnie i pozwolili patrzeć na to dziewczętom”. Nieco większą niechęć okazuje dwóm kobietom, Ameley Schützin oraz Margarecie Puchfelderin, które sprostytuowały swoje córki, jak też Hieronimusowi Beyhlsteinowi, ten bowiem stręczył ślubną małżonkę[324]. Jeszcze bardziej gorszy kata pewien kancelista, Hans Brunnauer, który

miał lubieżnie do czynienia z Barbarą Kettnerin, póki żyła jego połowica (i póki żył jeszcze jej małżonek); obiecał jej ożenek, trzy lata zadawał się z nią, pół roku wędrowali pospołu, nadto miał z nią dziecię. Okrom tego dwakroć poczynił sobie lubieżnie z siostrą rzeczonyj Kettnerin i kilka razy z macochą obu sióstr. Co więcej, pół roku trwało jego zadawanie się z połowicą stolarza o nazwisku Thoma, której przyrzekł ożenek i z którą żył pod jednym dachem. Póki miał jeszcze własną połowicę, pewna służąca urodziła mu bliźnięta[325].

Mimo że widział w życiu niemało, mistrz Frantz jest zaskoczony postępowaniem Apollonii Groschin, „która wpuściła do małżeńskiego łoża właścicielkę cukierni, Elisabeth Mechtlin, i sama poczyniła sobie lubieżnie z nią właśnie i z wędrownym balwierzem, przezywanym Anielską Głównką; jego miały pośrodku, iżby zadawała każdą”[326].

Zgodnie z doktryną chrześcijańską, najcięższymi przestępstwami seksualnymi były kazirodztwo i sodomia, oba uznawano bowiem tradycyjnie za obrazę Boga i karano spaleniem. Zwłaszcza ohydne kazirodztwo narażało ponoć całą społeczność na Bożą zemstę, jeśli nie wymierzono za nie kary. A jednak tylko przypadek 17-letniej Gertraut Schmidin, „która cztery lata przeżyła w porubstwie z rodzonym ojcem i bratem”, rzeczywiście wstrząsnęła mistrzem Frantzem i wyjątkowo kazał mu nazwać Gertraut „heretyczką”. Przejęty wszakże współzuciem (i być może świadomy jej statusu ofiary) Frantz nie podważa słuszności złagodzenia kary, czyli ścięcia dziewczyny, a zarazem odnotowuje to, że kat z Ansbachu osiem dni później spalił żywcem, w pobliskiej miejscowości Langenzenn, ojca i brata[327]. Frantz nie podaje także żadnych intymnych szczegółów owego kazirodczego związku, chociaż były mu one dobrze znane, skoro wziął udział w przesłuchaniach dziewczyny.

Szczególna reakcja Frantza na tę sprawę mogła mieć swą przyczynę w tym, że w całej jego karierze był to jedyny przypadek kazirodztwa krewnych biologicznych. Rzadko kiedy zdarzało się podówczas, aby takich przypadków nie obejmowała zmowa milczenia ludzi, którzy znaleźli się pod jednym dachem, toteż były one prawdziwymi wstrząsami dla ogółu, gdy je ujawniono. Wyroki skazujące za kazirodztwo przeważnie dotyczyły ojcymów i pasierbic albo osób, które współżyły cielesnie z dwoma innymi, spokrewnionymi ze sobą nawzajem (na przykład kobietę będącą partnerką dwóch braci; mężczyznę z związanego z pewną kobietą i równocześnie siostrą oraz macochą tej pierwszej; i tak dalej)[328]. Druga z powyższych relacji kazirodczych, niepojęta dla większości ludzi u progu ery nowożytnej, uchodziła za straszliwe bluźnierstwo i narażała zwykle na wyrok śmierci, w Norymberdze zawsze łagodzony, jako że ścinano albo nawet kończyło się tylko chłostą.

Co dla tamtej epoki typowe, banicja jako kara za kazirodztwo mogła spotkać wyłącznie

mężczyzn. Mistrz Frantz miał niewątpliwie świadomość tej dwoistości standardów — widocznej we wszystkim, co wiązało się z pędem płciowym — i chyba był jej zwolennikiem. Od czasu do czasu usprawiedliwia ową nierówność w taki sposób, że wskazuje na niejednakowe uwikłanie, jak w przypadku ojca i syna, którzy sypiali z tą samą służącą: „(...) żaden nie był świadom tego, co robi drugi”, obaj zostali więc ukarani tylko chłostą, a służącą skazano na śmierć. Natomiast Kunigunda Küplin była w pełni świadoma „wszystkiego, co się działo [między jej drugim mężem i córką], i sama [nawet] temu sprzyjała”, sprawiedliwie zatem ścięto ją i spalono jej zwłoki. Szczególną surowość uzasadniały zawsze zachowania nadzwyczaj gorszące. Frantz nie omieszczał zapisać, że gdy Elisabeth Mechtlin „okazała się rozwiązać z dwoma biologicznymi braćmi (każdy zwał się Hans Schneider)”, poczyniała sobie tak „pośród masarskich straganów” (w miejscu wręcz hańbiącym), i że Anna Peyelstainin (inaczej: Cipa Anka) nie tylko „okazała się skorą do porubstwa z pewnym ojcem i synem, których zwano Kotłami i którzy obaj mieli swoje połowice, a ona swego małżonka, lecz na to samo pozwalała sobie z innymi mężczyznami w stanie małżeńskim, podobnie z rozmaitymi młodzianami, i małżonek ułatwiał jej to, a było takich mężczyzn dwudziestu jeden”[\[329\]](#).

Nazwę „sodomia” odnoszono na początku ery nowożytnej do najróżniejszych naruszeń prawa, obejmując nią homoseksualizm, bestialstwo, wszelkie „nienaturalne” kontakty płciowe (a nawet herezję)[\[330\]](#). Frantz miał po raz pierwszy zawodowo do czynienia z homoseksualizmem w 1594 r., gdy musiał spalić na stosie Hansa Webera,

sadownika, przezywanego czasem Grubym Owocarzem, który trzy lata uprawiał sodomię [z Christophem Mayerem] i został wydany przez ucznia pewnego wytwórcy haków po tym, jak ów czeladnik wypatrzył obu za żywopłotem przy drodze obok rzeczki Thon. Sadownik był sodomitą od dwudziestu lat i popełniał ten grzech z kucharzem Andreasem, z Alexandrem, gdy był w wojsku, z niejakim Georgiem, w miejscowości Lauf z piekarzem, którego zwano Krzyśkiem Żębatym, z wieloma nadto pracownikami piekarskimi, których imion nie potrafił podać. Mayer został skazany na ścięcie i spalenie zwłok, i zginął w tym czasie, co żywcem spalony sadownik[\[331\]](#).

Dwa lata później kupiec Hans Wolff Marti, z większą bodaj liczbą partnerów tej samej płci, a ponadto oskarżony o zabicie żony jednego z nich, uniknął spalenia żywcem (choć uzasadnienie tej łagodności pozostaje tajemnicą).

Frantz Schmidt bardzo się obawiał rozbójników, każdego z osobna i całego ich środowiska, natomiast nie zaniepokoiło go raczej istnienie podziemia homoseksualnego. Nade wszystko chyba ciekawość — jak też potrzeba napiętnowania ludzi „niereformalnych” — każe mu rozwodzić się nad licznymi prawdopodobnymi partnerami obu skazanych sodomitów. W przypadku Martiego lista okazuje się zresztą dłuższa:

(...) dopuścił się był sodomii z [rzeczonym] mularzem, jak i z cieślą. To samo czynił nadto tu i ówdzie w całej okolicy, najpierw z pewnym flisakiem w miejscowości Ibis, z innym w Brauningen, jeszcze innym we Frankfurcie, okrom tego z rolnikiem we wsi Mittenbrück, furmanem w Witzburgu, ślusarzem w mieście Schweinfurt, rolnikiem z wioski Windsheim, wozakiem z Pfaltzy, także z kimś w Nördlingen, za partnerów miał nadto sieczkarza w Salzburgu i wreszcie strażnika w miasteczku Wehr, imieniem Hans[\[332\]](#).

Mimo że Marti mówił o swych partnerach bardzo mgliście — chciał ich zapewne chronić albo sam nie znał imion ani nazwisk — mistrz Frantz nie wziął przykładu z tych, co w tamtej epoce polowali na czarownice, i nie uciekł się do tortur, aby wymusić ujawnienie współwinnych. Co znamienne, Schmidt nie używa słów, które potępiłyby jednoznacznie czy wyrażały pogardę — pisze całkiem inaczej niż wtedy, gdy daje wyraz obrzydzeniu, jakie budzi w nim „Georg Schörpff, heretyk, który poczynił sobie lubieżnie, zadawszy się z czterema krowami, dwójgim cieląt i owcą”, i za to zbroczenie „został ścięty w miejscowości Velln, a następnie spalony pospołu z krową”, z którą miał do czynienia^[333]. Schmidt pisze również o pewnym rolniku: temu postawiono zarzut, że „napadał na ludzi i próbował z nimi uprawiać sodomie”, ale spotkała go tylko chłosta, czyli kara złagodzona z racji „wielkiego opilstwa”^[334]. Powściągliwość Frantza w jego zapisach na temat sodomii nie należy uważać za potwierdzenie częstego występowania homoseksualizmu w ówczesnej Norymberdze ani tolerancji dlań w tym mieście. Dostrzeżmy jednak to, że nie ma w diariuszu Schmidta surowego potępienia takich „abominacji” oraz komicznych wręcz następstw tych perwersyjnych czynów.

Owszem, Frantz zapewne uważał kazirodztwo i sodomie za obrazę Boga, ale nie mamy dowodów na to, by podzielał powszechną rzekomo wiarę w Boży odwet na całym kraju (*Landstraffe*), czyli w pokaranie ludności epidemią, głodem albo inną klęską. Inaczej miała się sprawa z oczywistym bluźnierstwem. Podobnie jak każdy mężczyzna z początku ery nowożytnej, Bóg Ojciec mógł się zemścić, jeśliby kto godził w Jego cześć — czy poszłoby o żart „pospolitej ladacznicy”, czy o słowa, które syn miejskiego łuczника wypowiedziałby w ferworze sprzeczki, czy też o słowa zgorzkniałego szklarza, człowieka, który „w czas wielkiej burzy z potężnymi piorunami bluźnił Bogu w niebiesiach, przeklął Go (Boże, wybacz, iż to piszę), nazwał starym łobuzem, powiedział nadto, że stary głupiec wdał się w hazard i przegrał w karty pieniądze, które teraz pragnie odzyskać grą w kości”. Pobożny kat gotów byłby udobruchać rozgniewanego Boga w swoim prywatnym dzienniku, z pewnym zażenowaniem wspomina więc o tym, że szklarz bluźnierca został potraktowany „miłosiernie”: „na kwadrans zakuto go w dyby, potem zaś, na Moście Mięsnym (*Fleischbrücke*), ucięto mu skrawek czubka języka”^[335].

Nie przejmował się natomiast mistrz Frantz, protestant, kradzieżami w kościołach i klasztorach, które w tradycji katolickiej uchodziły za świętokradcze i bluźniercze. Pisze on na przykład o czynie Hansa Kraussa (Jasia Ślusarza), który „włamał się do kościoła w Endtmannsbergu, ukradł kielich, otworzył cztery kufy i zabrał szaty liturgiczne”. Jak każdy inny złodziej, Krauss został powieszony, mimo że udowodniono mu ponadto „udział w nocnych zasadzkach i napadach na ludzi w ich domach”. Takież obojętny ton przybiera Schmidt, mówiąc o dwóch złodziejach, którzy okradli więcej kościołów, a byli to Hans Beütler (inaczej: Chuderlak) i Hans Georg Schwartzmann (zwany Grubym Żołdakiem). W całym diariuszu kat daje do zrozumienia, że na szubienicę szybciej zaprowadziła złodziei manifestowana aktywność — „częste kradzieże w wielu miejscach” — niż niezwykle respekt dla samych przedmiotów, które zabrał^[336].

Przyzwyczajenie

Ogromna większość kryminalistów, z którymi — jako wykonawca kar — spotykał się mistrz Frantz, nie działała ani z premedytacją, ani pod wpływem takich czy innych emocji. Pojął on, że nad ludźmi naruszającymi prawo to przyzwyczajenie, zwłaszcza złodziejami, nie ma nawet władzy pazerność, ponoć najważniejszy bodziec do tego, by okradać bliźnich. Odmienne niż

brutalni bandyci albo ci, co łamią prawo wyjątkowo, złodzieje — przestępcy bez upodobania do przemocy — wydają się Frantzowi ludźmi niezaangażowanymi emocjonalnie w swoje czyny. Kat zachowuje podobny dystans, kiedy zwięźle odnotowuje w diariuszu takie fakty, zwracając jedynie uwagę na związane z nimi straty finansowe. Czytamy w dzienniku o najrozmaitszych przedmiotach kradzieży: czasem jest to kilkaset guldenów w gotówce, czasem drobna suma; pojawiają się też odzież, materace, pierścionki, to, co przydatne w gospodarstwie domowym, broń, kurczęta, nawet miód z niestrzeżonych uli. Najbardziej opłacało się kraść konie i bydło, najpowszechniej wszakże handlowano ludzką odzieżą. Z dzisiejszego punktu widzenia trudno zrozumieć, dlaczego wszelkie kradzieże były wtedy uważane za jednakowo ciężkie przestępstwa i, co więcej, karane śmiercią. Jak to możliwe, że pobożny ponoć kat był najprawdopodobniej zwolennikiem takiej surowości w karaniu za czyny popełnione bez użycia przemocy i potrafił usprawiedliwić własny udział w wykonywaniu tak bezlitosnych wyroków?

Wypada nam po raz kolejny przypomnieć o głębokiej empatii Frantza wobec ofiar przestępstw. W społecznościach ludzi na ogół biednych strata kilku płaszczy albo niewielkiej ilości pieniędzy mogła mieć wręcz katastrofalne skutki dla rodzin walczących o byt. Toteż kat pisze o kradzieżach sum poniżej 50 guldenów (tyle wynosiły, w przybliżeniu, roczne zarobki nauczycieli), podając te sumy bardzo dokładnie i bardzo nad takimi faktami bolejąc — świadomy przecież przykrych następstw owych kradzieży dla osób poszkodowanych. Mistrz Frantz raczej nie przykładał jednej miary do wszystkich czynów tego rodzaju i dostrzegał większy ciężar gatunkowy przywłaszczenia sobie sporych sum, ale — kładąc stale w diariuszu nacisk na cierpienie ofiary — pozwalał sobie na znamienne dwoistość. Mniejsze sumy są zawsze podawane dokładnie, czasem co do grosza (nawet drobna strata znaczyła przecież wiele dla ofiary, która żyła w ubóstwie), natomiast większe sumy są prawie zawsze zaokrąglane i okazują się wielokrotnościami stu guldenów. W 1609 r. Schmidt opowiada o tym, że Hans Frantz „ukradł jakieś osiem tygodni wstecz dziesięć kap na łoża i włamał się w Bambergu do domu budowniczego chat, skąd zabrał odzienia na 26 guldenów”, a w następnej notatce pisze po prostu, iż pewien złodziej znany z tego, że wspinał się po rynnach, ukradł „srebrną biżuterię wartości prawie 300 guldenów”. Inny dłuższy zapis poświęca Frantz oszustwie Marii Corduli Hunnerin, która nie zapłaciła 32 guldenów w zajeździe, i nieco dalej informuje, że ukradła ona „równowartość 800 guldenów w talarach i trzech monetach grajcarowych ze szkatułki swego chlebodawcy” [337].

W jeszcze innym zapisie kat niejako z obowiązku mówi o wielu kradzieżach popełnionych przez tego samego człowieka, a zarazem — i to jest istotne — podkreśla zły charakter sprawcy oraz niemałą liczbę ofiar: „Simon Starck sześciokrotnie wykrał pieniądze z sakiewki pewnego sługi, 1½ guldena ze skrytki, swemu arendarzowi odebrał 29 guldenów, nadto w Schweinau 5 guldenów zabrał domokraczy, blisko 2 guldeny swojemu furmanowi i w sumie prawie całego guldena komuś, kto pochodził z Italii” [338]. Co dzisiejszego czytelnika musi szczególnie dziwić, identyfikowanie się Frantza z ofiarami przestępstw każe mu pisać tak, jak o Sebastianie Fürsetzlichu, „który kradł pieniądze z sakiewek wozaków, kiedy nocowali w zajazdach, mianowicie 80 guldenów i 6 szylingów, 45 guldenów, 37 guldenów, 35 guldenów, 30 guldenów, 30 guldenów, 20 guldenów, 18 guldenów, 17 guldenów, 8 guldenów, 7 guldenów, 6 guldenów, 3 guldeny, 2 guldeny” [339]. Zamiast zsumować to wszystko albo zachować chronologię zdarzeń, Schmidt pieczołowicie odtwarza kolejne kradzieże według malejących wartości zabieranych pieniędzy, czym próbuje uzmysłowić wpływ owych przestępstw na finanse tamtych, dosyć licznych wozaków, jak również moralną zasadność kary dla Fürsetzlicha, czyni to jednak schematycznie.

W moralnym uniwersum mistrza Frantza złodzieje i inni przestępcy, którzy nie stosowali

przemocy, niewątpliwie zasługiwali na karę, ale czyny przez nich popełnione, nie inaczej niż prostytucja i stręczycielstwo, jawią się na ogół jako skutki świadomego wyboru pewnego stylu życia — wybór, którego dokonują jednostki słabe, a więc niekoniecznie zdolne do premedytacji. Taka postawa kata oczywiście różni się od bezwzględnego potępiania wszystkich przestępstw, charakterystycznego dla prawników i kleru. Mimo że Schmidt okazuje szczególne zrozumienie dla strat ponoszonych przez ofiary, każdy spośród 174 złodziei, których musiał powiesić, nie tyle go gniewa, co zasmuca; można się też domyślać pewnego znużenia. Skoro własny samolubny wybór zaprowadził tych ludzi na szubienicę, Schmidt nie stara się ich usprawiedliwić przywołaniem okoliczności, które towarzyszyły dokonaniu kradzieżom. Ten człowiek, skazany na profesję niepoważaną w społeczeństwie, bez większego współczucia wysłuchiwał opowieści przestępców o niefortunnych kolejach losu. A jednak w zapisach o wieszaniu złodziejasków recydywistów nie sposób się doszukać triumfalizmu, nie ma także zażenowania własną rolą, lecz pobrzmiwa w nich zasmucenie kogoś, kto pewnie niejedną raz kręcił głową. „Dlaczego społeczeństwo wiesza człowieka za to, że ukradł miód?” — pytamy z naszej perspektywy. „Dlaczego człowiek po wielokroć naraża siebie na powieszenie tym, że kradnie miód?” — dziwi się Frantz.

Na oba pytania można odpowiedzieć tak: złodziejstwo stało się prawdopodobnie przyzwyczajeniem tego czy innego sprawcy, nawykiem, który jest już utrwalony; co więcej, przełożeni Frantza Schmidta po prostu stracili cierpliwość. Dla nich liczyło się zwykle nie to, co dana osoba sobie przywłaszczyła, lecz jak często kradła. Właściwie wszyscy skazani na śmierć byli recydywistami, ludźmi w niejednym przypadku aresztowanymi, więzionymi i wypędzonymi kilkakrotnie. Ujmijmy to inaczej: większość osób powieszonych w końcu przez mistrza Frantza przemieniła się, jego zdaniem, w złodziei zawodowych, sporadyczne okradanie zastąpiwszy „przyzwyczajeniem do takich czynów”[\[340\]](#). Norymberscy funkcjonariusze organów ścigania, spragnieni posłuszeństwa mieszkańców, mówili przeważnie o działaniu „uporczywym”, ale wielu ówczesnych recydywistów dałoby się chyba lepiej określić, zgodnie z dzisiejszą psychologią, jako osoby ulegające natręctwom — i byłaby to kwalifikacja zbliżona do oceny tych ludzi w katowskim diariuszu. Frantz Schmidt odnotowuje, że wcale nie biedna robotnica rolna, Magdalena Geckenhofferin, „raz po raz pożyczczała sobie parę płaszczy, staników, inne odzienie, i chodziła nawet na przyjęcia komunikjne czy wesela, iżby tak czynić”, wyraźnie pod wpływem wewnętrznego impulsu, a nie za sprawą jakiejś okoliczności zewnętrznej. Dla mistrza Frantza było to oczywiste, że rolnik nazwiskiem Heinz Pflügel i jego żona, Margaretha, „właściciele majątku wartego prawie 1000 guldenów, którzy często zajmowali się okradaniem”, również mieli inny motyw niż całkowity brak skrupułów[\[341\]](#).

Kat weteran uważał, że złodziejstwo jest zawsze efektem wyboru, ale dla wielu ponadto — użyjmy terminu już anachronicznego — nieodpartym natęgiem. Aż nazbyt często takie przyzwyczajenie pojawiało się w młodym wieku. Balthasar Preiss, „syn miejscowego obywatela, trafił jedenaście razy do Lochu, kilkakroć był związany łańcuchem z innymi aresztantami, pół roku spędził w Żabiej Wieży, rok tamże, przykuty do muru, aliści nie porzucił złodziejstwa. Gdy go oddawano na naukę rzemiosła, uciekał i kradł”. Mistrz Frantz osobiście chłostał i upominał wielokroć swoich dawnych kolegów, łuczników miejskich, Georga Götza i Lienharda Hertla, z których każdy wioślował przez kilka lat na weneckich galerach; obaj pozostali przy kradzieżach i rozbojach, póki nie trafili na szubienicę. Zdarzało się nawet, iż zawodowi przestępcy, którzy chcieli się zrehabilitować, byli wbrew woli wikłani ponownie w kryminalną aktywność. „Senior pośród złodziei”, Simon Gretzelt — jak pisze Frantz — przed 40 laty „wyrzekł się okradania”, a wieloletni złodziej Andreas Stayber (inaczej: Minstrel) „kradł rozmaite rzeczy tu i ówdzie, wszakże na pięć lat porzucił był te praktyki i zechciał się zmienić”

[dosłownie: „zostać pobożnym”]. Kat nie wydaje się ucieszony tym, że w obu przypadkach dała o sobie znać przeszłość dawnych złodziei: Gretzelt powrócił do życia niemoralnego, a Minstrel został skazany na powieszenie, przy czym pogrążyły go zeznania byłego współnika, Hansa Kolba, osławionego bandyty[342].

Złodziejstwo z przyzwyczajenia nie zawsze oznaczało wprawę. Wiele kradzieży popełniano dlatego, że nadarzała się okazja: chwilowa nieuwaga ulicznego handlarza, pozostawiona na sznurze odzież, której nikt nie pilnował, dom wyludniony z powodu wesela. Robotnik rolny Hans Merckel (inaczej: Jasio Łoś), „który odsłużył 22 lata”,

w jednym miejscu spędzał zwykle najmniej pół roku i nie więcej niżli dwa lata, po czym odchodził i zabierał pludry, kaftany, buty, wełniane koszule, wszelkie znalezione pieniądze. Kiedy jego pan poprosił o to, iżby odprowadził on stado owiec do Augsburga, ów otrzymał za nie 35 guldenów i zbiegł z pieniędzmi. To samo uczynił swemu panu w Amburgu, który posłał go był po jasne piwo do Czech; dał mu 21 guldenów i konia z wozem; ów porzucił konia i uciekł z pieniędzmi. Nadto ukradł pludry i kaftan, w którego kieszeniach było 15 guldenów, o czym on wcale nie wiedział[343].

Mniej dodatkowych okoliczności wystąpiło w historii posłańca nazwanego Uprawiaczem Kapusty, któremu „wręczono torbę ze srebrnym sztućcami i równowartością 200 guldenów w groszowych monetach, iżby zabrał to wszystko do miasta Neustadt, wszelako ów otworzył torbę i za 100 guldenów w gotowiznie sprzedał srebro Żydom w mieście Furth”, po czym cały zarobek wydał na jadło i hazard[344].

Groźniejsze niż takie kradzieże były zapewne włamania, gdyż nie tylko zakłócały mir domowy, lecz narażały także na osobisty kontakt ze sprawcami. Posunięty w latach kat weteran stał się znawcą takich czynów, tyle że rzadko dochodziły doń wieści o akcjach dobrze zaplanowanych i zręcznie przeprowadzonych, o których później krążyły legendy. Bawiła go nieporadność amatorów w rodzaju Anny Pergmennin, która „wkradła się chyłkiem do domu pewnego nauczyciela obok kościoła świętego Wawrzyńca i zamierzała kraść, pochwycono ją jednak i trafiła do więzienia; osiem dni wcześniej dała się zamknąć w piwnicy domu Hansa Payra, gdzie także chciała kraść”. Erhard Rössner „wyłamał pewnej nocy zamki dwunastu magazynów, wszakże nie wszedł tam”, gdy tymczasem Lienhard Leydtner, kowal, który wytwarzał kłódki, „w ostatnich dwóch latach włamał się do czterdziestu dwóch sklepów w tym mieście, używszy kluczy z tą intencją wykonanych, liczył bowiem, że znajdzie pieniądze, aliści wykradł mało co godnego uwagi”[345]. Jeszcze bardziej zbłądził się pasterz Cunz Pütner, który

był się dwakroć ukrył w domu pana Fürera i spróbował włamać się do kantoru, iżby wykraść pieniądze, kiedy zaś przy pierwszej sposobności wydrążył był w drzwiach siedem otworów, na nic to się mu zdało. Znów tedy skrył się w domu i usiłował wyjść do głównej izby. Ledwo pan go usłyszał i krzyknął, rozpoczęto rewizję i znaleziono buty [pasterza] na podłodze, albowiem ów był je zdjął, iżby cicho stąpać. Został wszelako pojmany, kiedy jeszcze ukrywał się w głównym pokoju[346].

Nawet zawodowego włamywacza Lienharda Gössweina, „który posiadał wiele narzędzi, schwytano w piwnicy zajazdu Wastli przy Targu Owocowym, chciał bowiem kraść”[347].

Włamania nieudane miawały też poważniejsze następstwa. Lorenz Schober, który — jak napisał mistrz Frantz — „ukradł niewiele, bo 12 bochenków chleba, 6 serów, koszulę i kaftan”,

włamał się do domu pewnej ubogiej niewiasty we wsi Gründlein, a gdy ona wypatrzyła go i zatrzymała, wołając o pomoc, on dźgnął ją trzykroć nożem, najpierw w głowę, ponownie w prawą pierś i po raz trzeci w szyję, i potem ją pozostawił, sądząc, iż umarła; z trudem powróciła do zdrowia[348].

Jedynie włamywacz, który umiał się wysoko wspinać, Hans Schrenker (znany Pełzaczem), wzbudził chyba pewien profesjonalny respekt u Frantza Schmidta, choć nie całkiem wolny od szysterstwa:

Wspiął się on na zamek nad miastem Freienfels, [najpierw] dzięki drabinie przystawionej do obory, potem przydała mu się drabina aż po szczyt wieży i jeszcze jedna, która ułatwiła ujście do jednej z komnat, gdzie się zbierano. Swoim bednarskim nożem otworzył szkatułkę i ukraść srebrną biżuterię wartą prawie 300 guldenów. Zszedł później po owych drabinach, przedostał się przez dziedziniec i ukrył klejnoty pod pewnym kamieniem po przeciwnej stronie wzgórza. Następnie znowu wszedł po drabinach, włamał się do biurka i zabrał sakiewkę, w której było 40 guldenów. Niedaleko leżał worek i znalazł w nim 500 guldenów, i byłby zabrał te pieniądze, gdyby nie ogarnął go taki strach, iż uciekł, przekonany, że ktoś go tropi[349].

Po części, być może, aby wynagrodzić sobie pisanie o przeciętnych złodziejach, mistrz Frantz odnotowywał przypadki szczególnej pomysłowości, wspominał o tych najbardziej przedsiębiorczych. Pewien przeciągacz drutu „używał przez półtora roku podrobionych kluczy, ażeby wchodzić do sklepu, gdzie sprzedawano żelazne przedmioty, i pojawiał się tam niejedyn raz w ciągu tygodnia, i wykraść bodaj 21 łokci [około półtora metra] drutu, 14 łokci [niespełna metr] pręta stalowego i 40 tysięcy gwoździ”. Rezolutna Anna Rebbelin „weszła nie mniej niżli czterdzieści razy do tutejszych domów, zawsze zachodziła dwa, trzy półpiętra wyżej i wykradała z pokoiów wiele rozmaitych rzeczy”[350].

Intrygowali mistrza Frantza, i to bardzo, tacy okazjonalni złodzieje, którzy byli ulubionymi bohaterami powieści łotrzykowskich, najprawdopodobniej jako ludzie z tupetem. Christoph Schmiedt (inaczej: Krzysiek Bednarz), wprawiony od lat w kradzieżach, całkiem niedawno „zaszedł do ośmiu sal łaźni publicznej, zrazu miał na sobie łachy, gdy zaś odchodził, był w najlepszym cudzym odzieniu, owo zastąpił bowiem swoimi rzeczami”. Margaretha Kleinin, która bywała co pewien czas włamywaczką, „zblizła się do ludzi z pobrzękującymi w małych torebkach szklankami, jakby to były pieniądze, i przekonywała ludzi do siebie na tyle, iżby ich okradła”. Georg Praun „zabrał 13 talarów [około 11 guldenów] z torby pewnego młodziana z Grafenbergu, który z nim pospół podróżował, i włożył tam kamienie”, a Hans Weckler „ukradł 200 guldenów z torby wożonej przy siodle, która należała do [innego] krawca, towarzysza noclegu w zajeździe we wsi Goldkronach, po czym nasypał tam piasku, iżby torba ważyła tyle, co dawniej”. Mistrz Frantz dopowiada, że Weckler nie skorzystał na tym, gdyż niebawem „przegrał owe pieniądze, oszukany przez Gderacza i Wesołka, którzy byli dekarzami, i oskarżył ich, potem zaś obaj z tej przyczyny zostali różgami wypędzeni z miasta”; ci dwaj szulerzy zawiadomili później władze o złodziejstwie tego, który padł ich ofiarą[351]. Frantz pisze chętnie i z rozbowieniem o pikareskich kolejach losu złodziei okradanych po pewnym czasie przez ludzi im podobnych[352]. Rozumie on przecież, iż nietrudno zwieść ufnego człowieka i nie wymaga to szczególnego talentu — wystarczy obojętność na cudze cierpienie.

Ci natomiast, co z powodzeniem oszukiwali bliźnich, przyprawiali mistrza Frantza

o konsternację, zwłaszcza gdy wazyli się tak postępować wobec osób dobrze urodzonych, że wspomnimy tu o fałszerzu Gabrielu Wolfie i „poszukiwacze skarbów” nazwiskiem Elisabeth Aurholtin. Wystrzegając się przemocy, tacy szaliberze artyści umieli lepiej kalkulować i okazać więcej premedytacji niż pospolicci złodzieje. Potrafili też kłamać w żywe oczy, co czyniło ich złodziejskie wyczyny jeszcze bardziej nagannymi w oczach tego kata. Anna Domiririn, która „często trafiała do szpitala zakaźnego”, potrafiła jednak „z rozmysłem oszukiwać wróżbami i ludzi nadzieją na skarby”, i spotkała ją za to chłosta w pełnym wymiarze, „choć nie chodziła samodzielnie i dwaj pedle musieli ją prowadzić pod rękę”. Margaretha Schreinerin, „stara wiedźma, prawie 60-letnia, również oszukiwała tu i ówdzie, wmawiając, iż odziedziczyła fortunę” i sporządzając wiele zapisów na rzecz miejskich notabli w zamian za jałdo, coś do picia oraz drobne pożyczki (które przyrzekała wkrótce zwrócić). Mimo wieku i kiepskiego zdrowia „na obu policzkach wypalono jej piętna należne oszustom”. Ani mistrz Frantz, ani jego przełożeni nie mieli też pobłażania dla Kunrada Kraffta, który jako długoletni urzędnik sądowy dopuścił się fałszerstw i rozmaitych malwersacji, za co w końcu musiał umrzeć [\[353\]](#).

Miłosierdzie a odkupienie grzechów

Według tego pojmowania sprawiedliwości, które cechowało mistrza Frantza, nie godziłoby się, aby sprawców przestępstw — jakiegokolwiek mieli motywy i czymkolwiek zawinili — pozbawiać wszelkiej nadziei. Jako pobożny luteranin akceptował on to, że świat jest siedliskiem zła i że wszyscy — i kobiety, i mężczyźni — po wielokroć w swoim życiu popadają w grzeszność. Cóż, jedni naruszają prawo bardziej i są sprawcami gorszych przestępstw niż inni, ale Frantz ma dla wszystkich dobrą nowinę, właściwie najistotniejsze przesłanie religii chrześcijańskiej: zapowiedź Bożego miłosierdzia. Nie mylmy jej z rehabilitacją w znanym nam, żyjącym dzisiaj, świeckim znaczeniu — wszak XVI-wieczni luteranie wierzyli, że szkodliwe skutki grzechu pierwotnego pozostają odczuwalne także dla prawowiernych chrześcijan. Schmidt i jego koledzy, przedstawiciele sądownictwa i kleru, oczekiwali od skazańców wyznania swoich win oraz ukorzenia się wobec Boga i państwa. W zamian sędziowie świeccy i duchowni mamili obietnicą abszolucji, czyli szansą na odkupienie grzechów.

A zatem miłosierdzie uchodziło w XVI-wiecznej koncepcji wymiaru sprawiedliwości za nader istotną alternatywę dla kary. Frantz podziela szacunek, jakim darzono tę opcję, i w diariuszu używa tego słowa 93 razy, częściej niż wyrazu „Bóg” (16 razy), wyrazu „sprawiedliwość” (dwukrotnie) czy wyrazu „prawo” (ten nie pojawia się wcale). Każdy właściwie przypadek posłużenia się w dzienniku słowem „miłosierdzie” ma związek z łagodniejszą karą za przestępstwo, ale pobożny kat pragnął najwyraźniej tego, by nieszczęśni grzesznicy nie tylko odkupili swoje czyny tu, na ziemi, lecz także mogli dostąpić odkupienia grzechów w niebie. Warunkiem wstępnym była prawdziwa skrucha.

Trafiały katu do przekonania widome oznaki wyrzutów sumienia. Mistrz Frantz odnotowuje z zadowoleniem to, że morderca Michel Vogt „był już w lasach, a powrócił tutaj”, jak i dobrowolne oddanie się w ręce władz, na co zdecydowali się: dzieciobójczyni Anna Freyin, złodziej Hans Helmet i morderca Matthias Stertz (warte wzmianki w diariuszu jest ponadto przejście Stertza „z wiary katolickiej na luterzańską”, i to na krótko przed egzekucją). W niejednym diariuszowym zapisie, zwłaszcza z późniejszych lat, Frantz wyraża osobistą radość z tego powodu, że ktoś „rozstał się z tym światem jako chrześcijanin” [\[354\]](#). I kata, i więzienny kapelanów uradowało to, że skruszony złodziej Hans Drechsler (inaczej: Góral

albo Jasio Żołdak) nie tylko „w ostatnich trzech dniach nauczył się więcej od kapelanów i strażnika więziennego niżli w poprzednich latach”, lecz przykładowo pożegnał się z życiem na tym świecie, przed egzekucją, przemówił bowiem do zebranych tak: „Niechaj Bóg błogosławi was: liście i trawę, i wszystko, co pozostawiam! Zmówcie w mojej intencji Modlitwę Pańską. Jeszcze dzisiaj będę się za was modlił w raju[355].”

Więźniowie zgorzkniali, zwłaszcza bandyci, którzy uporczywie „wzbraniaли się przed modlitwą”, potrafili rozgniewać kapelanów i kata[356]. Zlekceważony magister Hagendorn nie zaważał się zapisać, iż pewien oporny złodziej „był aż po czas egzekucji w silnej gorączce, z której wyleczył go dopiero mistrz Frantz, i to zawieszeniem amuletu na szyi”[357]. I kapelan, i kat zdawali sobie także sprawę z tego, że skazańcy często wykorzystują troskę o ich dusze, ażeby odwlec nieuchronną śmierć. Po kilku wizytach u 25-letniego złodzieja biżuterii, Jakoba Fabera, magister Hagendorn zaczął ubolewać nad oczywistą nieszczerością i konsekwentnym oporem tego desperata:

Gdy go odwiedził, miał w pogotowiu swoje dawne wybiegi. Wspomniał o czcigodnej rodzinie, zwłaszcza o lamentach starej i bezradnej matki, i przedstawił najróżniejsze powody, dla których miałyby żyć dalej i uniknąć kary śmierci. Więcej przejmował się ciałem niżli duszą i zniecierpliwiał sędziów, jak i nas, chociaż nie brak mu wiedzy i umiałyby siebie pocieszyć, albowiem wcześniej poznał był katechizm i znane mu są niektóre psalmy, osobliwie szósty i dwudziesty trzeci, nadto inne modlitwy, wszelako upiera się przy dawnym sposobie myślenia. Czyśmy przemawiali doń łagodnie, czy surowo, pragnął tylko pozostać wśród żywych[358].

Mistrz Frantz nie miał także pobażania dla złoczyńców, którzy nie wyciągali żadnych wniosków ze swej sytuacji, nie umieli okazać stosownej pokory. Niesławnej pamięci Georg Mayer (inaczej: Szczwany Lis)

często udawał padaczkę. Gdy nadchodziła pora przesłuchania i torturowania, pozorował zapaść, nawrót choroby. Trzy dni wstecz pod tym pretekstem uniknął był dręczenia, potem zaś doradził tenże fortel współnikom, iżby się uchronili, aliści kiedy Knau spróbował powtórzyć symulację, nie powiodło mu się to, i gdy rozpoznano, że udaje, wyznał co uczynił[359].

Niewykluczone, że także pozorowanie chorób zniechęciło Schmidta do tego, by manifestować współczucie dla skazanych nieszczęsnych grzeszników z ewidentnymi objawami zaburzeń psychicznych, którzy już to bełkotali tuż przed egzekucją, już to zachowywali się tak, iż można było się domyślać psychozy[360]. Gniewały kata próby wyłudzenia łagodności czy odroczenia egzekucji, na co pozwoliła sobie oskarżona o bandytyzm Katherina Bücklin (zwana Kaską Jąkąłą lub Cudzoziemką), która „miałaby umrzeć dwanaście tygodni wstecz, jednakowoż odłożono egzekucję z przyczyn rzekomej brzemienności”, oraz Elizabeth Püffin, skazana także za bandytyzm i próbę mordu, której „przyznano odroczenie o 32 tygodnie, albowiem twierdziła, iż jest w odmiennym stanie i 18 razy składała jej wizyty legacja niewiast zaprzysiężonych”, zanim w końcu „nastąpiła egzekucja z użyciem miecza”[361].

W pewnych sytuacjach zdanie się na osąd Boży skłaniało do łagodności ze strony osób świeckich, do sądowego miłosierdzia, o którym Frantz pisze niejednokrotnie w swoim dzienniku. Złodziej Hans Dietz uzyskał suplikami i modlitwą, jako iż z tej racji, że wiele był wycierpiał, kiedy go torturowano, zmianę powieszenia na ścięcie[362]. Na ogół jednak norymberscy sędziowie nie

brali pod uwagę ani przemian duchowych, ani wcześniejszych cierpień i demonstrowali pobłażliwość tylko wtedy, gdy im samym dodawała prestiżu w tamtejszej społeczności. Ilekroć obdarzani władzą sędziowską rajcy zbierali się w dniu egzekucji, aby rozstrzygnąć, czy ukarać „wedle księgi” czy „wedle miłosierdzia”, największe znaczenie miała dla nich pozycja społeczna osób oskarżonych, nie liczyły się natomiast — być może odmienione — dusze nieszczęsnych grzeszników[363]. Za Hansem Kornmeyerem, „wielce nadobnym 20-letnim młodzianem, wstawiła się matka z pięciorgiem potomstwa i zarazem dwojgiem jego rodzeństwa, ujął się nadto jego mistrz [który kazał być go aresztować] pospołu z całym ruchem tych, co wytwarzali kompaszy”, i wszyscy oni uzyskali dla młodego złodzieja zamiast stryczka na miecz jako narzędzia egzekucji[364]. W jeszcze bardziej zadziwiającej sytuacji społecznego wstawiennictwa wytwórca kolczyków nazwiskiem Hans Mager i złotnik Caspar Lenker, obaj ze statusem obywateli, doczekali się anulowania wyroków skazujących za popełnione zabójstwo dzięki temu, że wybaczyli obu: miejscowy cech, prócz tego najlepszy złotnik w Augsburgu, pewien kurier z Lotaryngii, jak również liczni znajomi i krewni[365].

Co więcej, w norymberskiej dokumentacji spraw karnych nie brak ułaskawień więźniów ustosunkowanych (albo takich, którym nadzwyczajnie się poszczęściło), na prośbę różnych *illustrates personae* (łac. — znakomitości przyp. tłum.), między innymi wybitnym filologą Filipa Melanchtona czy księcia Bawarii[366]. Nawet potomstwu miejscowych urzędników niższego stanu pomagał czasem oficjalny status rodziców. Tak było chyba w przypadku Margarethy Brechtlin: ta skazana na śmierć — jako trucicielka swego męża — córka mytnika z rogatki Spitzlerthor dostała „miłosiernego ścięcia z użyciem miecza”. Pomimo wielu popełnionych kradzieży zarówno syn jednego z członków nocnej straży, jak i syn policjanta uniknęli chłosty i nawet Georg Christoff (inaczej: Goleń), aresztowany niejednokrotnie „złodziej, którego często dla wspólnej pracy wiązano łańcuchem z innymi”, skorzystał na tym, że jego ojciec był miejskim łucznikiem[367].

Owa sędziowska skłonność do tego, by lepiej traktować ludzi ustosunkowanych, stawiła oczywiście w gorszej sytuacji biedotę i cudzoziemców, a więc osoby na ogół pozbawione takiego kapitału społecznego, jakim dysponowali obywatele Norymbergi oraz miejscowi rzemieślnicy. Czyniła ta skłonność również mało przekonującymi argumenty kapelanów, którzy zachęcali skazanych złoczyńców do żałowania swoich grzechów, ci ostatni bowiem nie uzyskiwali zapewne żadnej korzyści dla siebie nawet z pozornego pojednania z Bogiem. Niemniej sędziowie doszli z czasem do wniosku, że każdy przejaw łagodności z ich strony owocuje sprawnym przebiegiem egzekucji, toteż postanowili spuścić z tonu. Młody Hans Kornmeyer wiele razy padł na klęczki przed sędziami, aby wyrazić im wdzięczność za to, że zastąpili powieszenie ścięciem, a Niklaus Kilian z entuzjazmem wychwalał sędziów, gdy usłyszał o takiej samej zmianie jego wyroku, i w ostatnich chwilach życia modlił się słowami psalmu 33, następnie śpiewał i w końcu „umarł w radosnym nastroju”. Kiedy kapelan więzienny przyniósł złodziejowi nazwiskiem Hans Dietz wiadomość o tym, że czeka go łagodniejsza egzekucja, czyli ścięcie,

tak się radował i pocieszył tym, że całował po rękach nas obu, jako też więziennego strażnika, i nader żarliwie wyrażał swą wdzięczność. Gdy stanął przed sądem, iżby wysłuchać wyroku, gorzko zapłakał, potem zaś podziękował jeszcze raz za doznane miłosierdzie. Idąc na egzekucję, śpiewał niemal bez ustanku, wzbudziwszy litość w gawiedzi, a na końcu w samym kacie[368].

Wszakże ostateczne decyzje o złodziejach pozostawały strzeżonymi zazdrośnie

prerogatywami zacnej rady miejskiej. Dawno minął ów przedreformacyjny czas, kiedy mniszka albo dziewczica świecka mogła uchronić skazańca przed śmiercią. W innych niemieckich państwach nadal dopuszczano, by kobiety ciężarne oddziaływały łagodząco na sędziów, natomiast w Norymberdze odnotowano taką sytuację po raz ostatni w 1553 r., gdy ułaskawiono żołnierza bigamistę, ponieważ ujęły się za nim „krewne jego [brzemiennej] pierwszej małżonki, szesnaście innych niewiast” [369]. Nawet w wyjątkowej sprawie z 1609 r., gdy za skazanym na śmierć Hansem Frantzem wstawiły się jego dwie córki, które przekonywały sędziów, że „narzeczeni nie zechcą z nimi pozostać ani ich poślubić, jeżeliby mieli zobaczyć, iż twój powieszono”, skończyło się zmianą na ścięcie, nie zaś ułaskawieniem [370]. Wiele było w oświeca czasach opowieści o kobietach gotowych poślubić skazańca (zwroca na siebie uwagę ludowa powiastka ze Szwabii o złodzieju, który przyznał się potencjalnej jednookiej małżonce, po czym wybrał stryżek), ale od początku XVI stulecia rządy niemieckich krajów wykluczyły w praktyce możliwość takiego ratowania osób skazanych. Pozbawiono tego przywileju także katów, którzy dawniej — w Norymberdze jeszcze w 1525 r. — mogli ożenkiem ratować kobiety z wyrokami śmierci [371].

Skoro już tyle wyjaśniliśmy, uznajmy za prawdopodobne to, że mistrz Frantz wywierał — zwłaszcza w późniejszych latach — pewien wpływ na łagodzenie wyroków. Na tym etapie życia mógł zapewne swobodnie okazywać pogardę dla dawnych naiwnych aktów oficjalnej wspaniałości. Z jego młodych lat zachował się w diariuszu neutralny zapis o złodzieju, któremu „przed dwunastu laty oszczędzono w Kulmbachu śmierci na szubienicy” [372]. A potem, gdy stawało przed nim coraz więcej ludzi tego pokroju, dawał już wyraz rozgoryczeniu miłosierdziem manifestowanym pochopnie. W 1592 r. ubolewał na tym, że skazany zbrojca Stöffel Weber, „którego czekało ścięcie, wyblęgał, kiedy go prowadzono, darowanie kary śmierci, a tę zastąpiło nałożone cło”, i uzupełnił zapis dłuższym wywodem na temat innych przypadków nieprzemysłanego anulowania kar w niedawnej przeszłości Norymbergi. W roku 1606 pisze, iż dwóch braci Widtmannów, w końcu powieszonych za liczne kradzieże, „godziło się uśmiercić dwa i pół roku wstecz, albowiem na to zostali pierwsi skazani (jam darował podówczas), aliści egzekucja nie nastąpiła”. I nie podoba się katu to, że Gabriel Wolff „mógł się spodziewać utraty prawej ręki, skoro zdecydowano się i to zarządzone, jednakowoż później została mu owa kara darowana”; jest, co więcej, szczerze zdumiony faktem, iż „pewnego rolnika z Gründli, który zamordował dwóch innych — na tych czyhał i zabił ich toporem — ocalała petycja”. Takie przejawy miłosierdzia nie tylko stanowiły oszustwa wobec ofiar, lecz — dotyczy to takich zbrojów zawodowych, jak Michel Gemperlein, „przed trzema laty ułaskawiony, chociaż czekało go powieszenie za kradzież” — narażały więcej niewinnych ludzi na cierpienia, póki nie powstrzymano złoczyńców [373].

Poza szczerą skrucą, według dojrzałego już kata okoliczności łagodząca miał stanowić młody wiek, coraz powszechniejszy wśród tych, których skazywano za kradzieże. Jako że w drugiej połowie XVI stulecia zaczęto surowiej karać za przestępstwa przeciwko osobistemu mieniu, zawodowa postawa mistrza Frantza zbiegła się dokładnie w czasie z tym jedynym okresem dziejów Niemiec na początku ery nowożytnej, kiedy egzekucje wykonywano na osobach małoletnich nie tylko jako kary za morderstwa czy „przestępstwa przeciwko Bogu”, lecz także na podstawie oskarżeń o kazirodztwo, sodomie i czary. Włamań bez użycia przemocy i pospolitych kradzieży często dopuszczali się młodoci, przy czym osób w wieku 15-17 lat było tyle, że w niektórych okolicach co trzeci złodziej okazywał się niepełnoletni. Zdarzało się, iż młodzież, która działała czasem w szajkach, kradła spore sumy pieniędzy, zwykle jednak łup był skromniejszy: bransoletka, spodnie, kilka bochenków chleba [374].

Kodeks *Carolina* pozostawiał sędziom, którzy orzekali w sprawach karnych, niemałą

swobodę co do wyznaczania dolnej granicy wieku osób karanych śmiercią, zabraniając co prawda wykonywania egzekucji na młodocianych poniżej 14 roku życia, ale i od tej reguły można było odstąpić, jeżeli ktoś w tak młodym wieku okazywał się „dojrzałym sprawcą zła”[375]. Nadzwyczajaj surowe karanie młodocianych złodziei szokowało oczywiście ludzi, którzy wtedy żyli, zresztą norymberscy sędziowie, podobni w tym do ogółu ówczesnych europejskich sędziów, nie przestali uznawać młodego wieku za okoliczność łagodzącą, i to przy ferowaniu większości swoich wyroków[376]. W roku 1605 17-letni złodziej Michel Brombecker doczekał się zamiany kary śmierci na dwa lata połączenia łańcuchem z innymi więźniami i wspólnej pracy, ale tylko dzięki apelom jego nauczyciela zawodu i „całej rzeźnickiej braci” — znowu mamy tu przykład interwencji społecznej, na jaką uboga, tułająca się po świecie młodzież raczej liczyć nie mogła[377]. Młody uczeń i syn norymberskiego obywatela Julius Tross również dostał zmiany najwyższego wymiaru kary, w jego przypadku na chłostę; tak samo potraktowano dwóch braci Wechterów, skazanych za kradzieże, i dwóch innych wyrostków, którzy mieli wyroki śmierci za brutalne gwałty (zaliczane do zbrodni najcięższych)[378]. Tymczasem młody furman nazwiskiem Laurenz Stollman „nie zdążył nawet nacieszyć się ostatnim łupem, sumą 150 guldenów”, a że nie miał kto ująć się za nim, został jednak „miłosiernie” ścięty[379].

Mimo wszystko brak zaplecza społecznego nie wykluczał zwykle łagodności wobec niepełnoletnich przestępców. Owszem, poprzednik Frantza powiesił 18-letniego Hansa Beheima za „wielkie złodziejstwo”. Ale rok przed przybyciem Schmidta do Norymbergi, czyli w 1578 r., trzy różne grupy skazanych małoletnich kieszonkowców w wieku od 7 do 16 lat zostały uznane za „nazbyt młode, iżby zawisnąć”, toteż karę zamieniono na wspólną pracę z innymi więźniami, połączonymi jednym łańcuchem, po czym czekała tych wyrostków chłosta i banicja. Aby uświadomić powagę naruszenia prawa i wspaniałomyślność, jaką okazano złagodzeniem kary, sędziowie nakazali jednej grupie chłopców, „co najwyżej 11-letnich”, wejście po szubienicznej drabinie, i dopiero wtedy ogłosili ułaskawienie, a następnie polecili, żeby chłopcy stanęli obok i przypatrywali się rzeczywistemu powieszeniu ich 18-letniego herszta. Niemal 20 lat później Frantz powiesił dorosłego Steffana Kebweller'a za przewodzenie podobnej grupie młodych rzeźmieszków, którym ten herszt płacił za ich pracę sporo, bo całego talara (0,85 guldena) tygodniowo, i zapewniał mieszkanie oraz wikt — i także w tym przypadku młodocianych przestępców zwolniono[380].

Wreszcie wszyscy małoletni złoczyńcy, których w Norymberdze trzeba było pozbawiać życia za popełnione kradzieże, okazywali się recydywistami. Zdarzyło się nawet, że jeden trafił do więzienia, a następnie odzyskał wolność 24 razy. Benedict Fellbinger (inaczej Pomocnik Szatana) „był spętany wspólnym łańcuchem, piętnaście razy znalazł się w lochu, jedenaście razy wykroczył przeciw nałożonej banicji”. Każdy członek pewnej nader aktywnej szajki młodocianych złodziei miał za sobą co najmniej dziesięć pobytów w stołbie (wieży), w niejednym przypadku uzupełnionych publiczną chłostą. Co znamienne, wszyscy niepełnoletni złodzieje, których w końcu skazano na śmierć, zwykle dwa albo i trzy razy słyszeli wcześniej drugi pod względem surowości wyrok banicji. Niezmiennie w sentencjach wyroków najsurowszych zawierano słowa o tym, iż „oskarżeni przyjmowali byli takie przestrogi i takie łagodne traktowanie z pogardą”, po czym młodociani przestępcy powracali do Norymbergi i dalej kradli. W każdym momencie sędziowie doszli do wniosku, że „żadnej poprawy oczekiwać nie należy”, i łagodność motywowana młodym wiekiem nagle ustała[381].

I dlatego mistrz Frantz musiał w swej długiej karierze powiesić co najmniej 23 osoby oskarżone o kradzieże, które liczyły sobie 18 lat albo były młodsze — wśród takich skazańców znalazł się nawet pewien 13-latek[382]. Pierwsza egzekucja wykonana przez Frantza

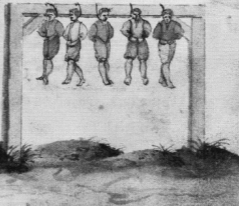
w Norymberdze, kiedy on sam kończył dopiero dwudziesty czwarty rok życia, zetknęła tego kata ze skazańcem spośród ułaskawionych ledwie przed rokiem młodocianych kieszonkowców — według ówczesnego kronikarza był to „wielce nadobny młodzian w wieku siedemnastu lat”[\[383\]](#). Co czynił Frantz, gdy musiał powiesić tego i innych młodocianych? Zawsze wykazywał powściągliwość w wyrażaniu uczuć, ale w obliczu takich trudnych przypadków daje do zrozumienia swój początkowy dyskomfort i później okazuje nieco więcej pewności siebie, której nabrał, lepiej poznając się na charakterze człowieka.

Póki sam był młody, Frantz nie podkreślał młodego wieku uśmiercanych skazańców. Gdyby nie zachowały się miejskie kroniki z dokładnymi informacjami o wieku powieszonych przezeń młodych złodziei, nie wiedzielibyśmy nawet, że spotykał się pod szubienicą z osobami niepełnoletnimi. Jego powściągliwy stosunek do tematu jest widoczny także w zapisach dotyczących niezwyklego powieszenia siedmiu młodych złodziei w wieku od 13 do 18 lat, które odbyło się 11 i 12 lutego 1584 r. Ta piątka chłopców i dwójka dziewcząt była wcześniej wiele razy wypędzana z miasta za włamania, a jedną z dziewczyn, Marię Kürschnerin (inaczej Maryskę Strażniczkę), spotkało nawet w poprzednim roku przycięcie uszu, co wykonał mistrz Frantz. Szokująca grupowa egzekucja tak młodych osób przyciągnęła ogromny tłum i zrobiła wielkie wrażenie na miejscowych annalistach, którzy odnotowali w kronikach i wiek skazanych, i mnóstwo innych szczegółów. Natomiast 29-letni Franz Schmidt notuje tylko, że owi złodzieje „dopuszcili się włamań do obywatelskich domów, skąd niemało wykradli”. I dodaje, z pewnym zażenowaniem, iż „nigdy dotąd nie zdarzało się” w Norymberdze, aby wieszano osoby płci żeńskiej. Szczegół nie mniej zdumiewający, jakim był bardzo młody wiek tamtych dziewcząt, zostaje w dzienniku kata pominięty milczeniem[\[384\]](#).

Anno 1584 Jar Gernck Wlan In Verurtheilung zweij
 Weiblicher Leib 3 hat die Dürstern Maria Grotzen
 von Weil gelollten Land In dem Grotzen gelollten
 Ost bey mank gelollten kein Grotzen In Grotzen Grotzen



Anno 1584 Jar in die Ten Woczen alle man die letzten
 Bescheit ist Was 2 Tag Grotzen Gernck man
 5 Buben die jar Gernck Grotzen die Grotzen
 dem Grotzen Grotzen gelollten gelollten Grotzen
 Grotzen die In Grotzen



Pewna norymberska kronika uwiecznia bezprecedensowe powieszenie w roku 1584 dwóch mlodych kobiet i taką samą egzekucję, w dniu następnym, pięciu mlodocianych — wszyscy oni należeli do miejscowej bandy włamywaczy (rok 1616).

Dziesięć lat później mistrz Frantz nie skąpi informacji o tym, że złodzieje Hensa Kreuzmayer i Hensa Baur liczyli sobie obaj „jakie szesnaście lat” i pewnie z tej racji „okazano im miłosierdzie egzekucją z użyciem miecza”. Ów zapis staje się początkiem podawania wieku wszystkich mlodocianych skazańców i znikają z dalszych zapisów specjalne uzasadnienia — prócz tego, że ktoś „wiele nakradł” [385]. Zarówno 16-letni Balthasar Preiss, jak i 15-letni Michel König — dopowiada Schmidt — otrzymali w przeszłości niejedną szansę na poprawę, ale za każdym razem woleli „pozostać złodziejami, nie potrafiąc się powstrzymać [od popełnienia kradzieży]” [386]. Relacja z roku 1615 na temat kolejnej grupowej egzekucji, tym razem na

pięciu nieco starszych złodziejach, bo 18- i 19-letnich, pozwala domyślać się jeszcze mniejszego współczucia:

Wielki Gospodarz [Klaus Rodtler] nakradł wiele pospołu ze skazanym Młodym Diablem i z rolnikiem Cunzem, miał wielu innych współników i często bywał w Lochu, zawsze [jednak] umiał się wyłgać. Bruner [vel Junkman] zbiera jeno sakiewki; odkąd go czternaście dni wstecz wypuszczono, zdążył ukraść jakie 50 guldenów. Póki trwała [w minionym miesiącu] egzekucja tych trzech rzeźmieszków, wykradł dwie sakiewki. Oprych [Johann Bauer] też należał do tej kompanii, bywał w Lochu i pracował z innymi więźniami, spętany tym samym łańcuchem. Tkacz [Georg Knorr] również trafiał kilkakroć do Lochu, wszakże z powodu swej pobożności zawsze wychodził na wolność. Egzekucja wszystkich pięciu złodziei odbyła się z użyciem sznura[387].

Cóż począć z usprawiedliwieniami tortur i wykonywania wyroków śmierci, jakie dojrzały już Frantz podawał odnośnie do osób młodocianych? Czy należy przydługie wywody na temat ich „niereformowalności” uznać za próby przekonania samego siebie — mino niespokojnego sumienia — do słuszności kar? Chyba że, jak niektórych sędziów, tak go irytowała recydywa nastolatków, tak oburzała go pogarda względem licznych dowodów miłosierdzia ze strony rady miejskiej, iż uwierzył, że młodociani przestępcy zasługują na egzekucję? Albo może wchodził tu w grę coraz bardziej pesymistyczny pogląd na ludzką naturę, a nawet pewien cynizm?

Podobnie jak większość ludzi, mistrz Frantz raczej nie potrafił rozstrzygnąć, czy na krzywdę dzieci, które stają się zawodowymi przestępcami, bardziej oddziałują ich własne przedyspozycje, czy zabiegi wychowawcze. I chyba nie upatrywał wiążącego objaśnienia tego, że młodzi ludzie w jego czasach wchodziłi na drogę przestępczą, w braku dostępu do nauki szanowanego fachu, co było bolesnym faktem dla niego osobiście i dla jego dzieci. Wcale jednak nie miał zrozumienia dla tych, co mogli się uczyć, ale marnowali swoją szansę. Laurenz Pfeiffer, określony przez Schmidta jako „sprzedawca żywności i złodziej”, był „młodym człowiekiem, który próbował być poznać krawiectwo, aliści nie poradził sobie”, i dlatego został złodziejem; podobnie potoczyły się losy włamywacza Pangratza Paumgartnera, „który uczył się od Petera Zieglera wyrobu kompasów”[388]. Tak czy inaczej większość młodocianych, z którymi Frantz miał do czynienia pod szubienicą, poznawała przedtem jakieś rzemiosło, podobnie jak niemal wszyscy mężczyźni, których uśmiercił. Szanse na zatrudnienie mieli ci ludzie różne, ale każdy wchodził w życie z pewną przewagą nad katem, człowiekiem zmarginalizowanym.

Jeszcze jedną częstą zachętą do przestępstwa było obracanie się w „złym towarzystwie”, co w jednym przypadku już wcześniej naraziło na kiepską opinię albo nawet na podejrzenia o czyny karalne. Frantz uważa ten czynnik za istotny, ale nie upatruje w nim usprawiedliwienia, na przykład dla sługi nazwiskiem Hans Dorsch, który został przez kuzyna i męski krąg przyjaciół namówiony do okradania swego wieloletniego chlebodawcy ze znacznych ilości rumu[389]. Kto dnie i noce tracił na pijaństwo, hazard i kłótnie w męskim gronie, rzadko kiedy dobrze kończył. Jeżeli ten czy inny młodzieniec pragnął wieść żywot uczciwego człowieka, to musiał posiadać dosyć samodyscypliny, by unikać towarzystwa takich ludzi, którym na uczciwości nie zależało — sam tak wybrał przed laty tę pierwszą opcję. Okazją do oswojenia się z występkiem, zresztą nader skuteczną, była, jak się zdaje, służba wojskowa. Odbywszy wiele kampanii na Węgrzech, dwaj potomkowie norymberskich rodzin, Hans Taumb i Peter Haubmayr, dołączyli do zawodowych bandytów, i mimo wielokrotnego aresztowania oraz darowania kar „obaj, jako

i przedtem, stręczyli ludziom swoje latawice. Ledwo kto okazał się chętnym, albo do której przemówił, wycofywali te niewiasty, potem zaś niedoszły klient, szantażowany przez nich, tracił wszystkie pieniądze czy też odzienie” [390].

Tak jak i współcześnie, Frantz i ludzie jego epoki najczęściej doszukiwali się przyczyny zachowań przestępczych w rodzicach, już to biorąc postawę dziecka za skutek błędnego wychowania, już to upatrując w niej efektu wrodzonej predylekcji do czynów karalnych [391]. Frantz odnotowuje zawsze fakt pokrewieństwa między osobą wychłostaną bądź pozbawioną życia a kimsz ukaranym wcześniej, ale nie chce interpretować tego faktu [392]. Przeświadczony o wielkim znaczeniu wolnej woli, a zarazem pomny wielu spotkań z pobożnymi i pełnymi szacunku do prawa rodzicami osób wykołojonych, Schmidt zdaje się coraz bardziej zdecydowanie opowiadać za przemożnym wpływem zabiegów wychowawczych i ma do niektórych rodziców pretensje o to, że źle wychowali swoje dzieci, przy czym nie przestaje właśnie na nie — przecież dorosłe już osoby — składać odpowiedzialności za czyny karalne. Z wyraźną niechęcią pisze Frantz o sprawie Hansa Ammona (inaczej: Cudzoziemskiego Krawka), który nie tylko obrabiał kościoły, lecz ponadto „nauczył rodzoną córkę kraść”, i o tym, że Pani Widtmenin „pomagała obu synom w złodziejskim fachu, przyjmując od nich rzeczy kradzione”. Na jednakowe potępienie zasłużyli ci rodzice, którzy sprostywali córki albo uwikłali dzieci w różne fałszerstwa [393]. I chociaż nad losem dzieci, które w takich środowiskach stały się ofiarami, można było ubolewać, Frantz nie zwalniał ich od odpowiedzialności za popełnione czyny, mimo że czasem sprawcy ci okazywali się ludźmi jeszcze dosyć młodymi. Bastla Hauck, ukarany chłostą i w końcu pozbawiony życia za kradzież, oglądał wcześniej „powieszenie ojca i brata oraz wygnanie innego brata różgami z miasta” za to samo przestępstwo, a jednak nie zechciał się poprawić [394]. Mistrz Frantz pozostał obojętny także na tę okoliczność, że zrečna oszustka Elizabeth Aurholtz została w dzieciństwo porzucona przez niezrównoważonego ojca w pełnym śniegu lesie, co ów uczynił, skoro tylko utopił jej matkę i powiesił brata Elizabeth [395]. Nad nieklamany współczuciem Schmidta dla skrzywdzonej niegdyś małej dziewczynki nie mógł nie przeważać fakt niewątpliwy: wina kobiety, która przed nim stanęła.

Podkreślając osobistą odpowiedzialność przestępców, Frantz Schmidt nie zapominał o tym, że zły charakter może być po części dziedziczny. Podryta Hans Rühl „kilka lat wstecz, jeszcze w pacholęcym wieku, zabił 10-letniego rówieśnika kamieniem i za karę musiał pracować związany z innymi więźniami, a gdy go wypuszczono, pomagał zabijać konie, póki nie został wypędzony z miasta za swe nieczne czyny” [396]. Wielu skazanych złodziei, przyuczonych do innych rzemiosł, kradło od najmłodszych lat; zwraca na siebie uwagę sprawca licznych włamań nazwiskiem Jörg Mayr, 17-latek, „który zaczął kraść osiem lat wstecz” [397]. Mistrz Frantz dostrzegał także u różnych innych młodych mężczyzn przemożny wpływ agresywnego usposobienia, który wzmagał się za sprawą pijaństwa, złego towarzystwa oraz kontaktów z kobietami lekkich obyczajów. Charakter takich niegodziwców kształtował się we wczesnym okresie ich życia, jak i w przypadku Friedricha Wernera, który był szwagrem Frantza Schmidta i zginął z jego ręki, „a złym człowiekiem okazał się za młodu i przebywał potem w złym towarzystwie” [398].

Kat weteran obstawał przy fundamentalnej dlań zasadzie kierowania się wolną wolą, której to cechy dopatrywał się u przestępców jako niezależnej od takiego czy innego wpływu posiadanych predyspozycji oraz wychowania na każdą z owych osób. Czyż mógł myśleć inaczej *self-made man*, ktoś, kto potrafił przezwyćczyć klątwę swego pochodzenia? Los jest wykowany, losu się nie dziedziczy. Była w tym pewna ironia, że niesławnej pamięci „rozpustnik i wielki zdrajca”, Simon Schiller, uniknął ukamienowania przez rozgniewany tłum „skokiem do wody

i ukryciem się pod młynem”, ale po roku zginął z tej właśnie przyczyny, zresztą w tym samym miejscu; wszakże o takiej jego śmierci przesądził nędzny żywot i — wbrew twierdzeniu wielu skazanych złoczyńców — gwiazdy nie miały tu nic do rzeczy. Jako luteranin Frantz akceptował doktrynę grzechu pierworodnego i Bożej Opatrzności, ale nie uważał bynajmniej, iżby cokolwiek zwalniało grzesznika od osobistej odpowiedzialności za przyjęcie bądź odrzucenie łaski Boga.

Niedawne życiowe dramaty Frantza mogły już to osłabić jego wiarę, już to ją wzmocnić. To samo można powiedzieć o kilkudziesięciu latach styczności z przestępcami. Niestety, nie wiemy, w jakich dziełach religijnych — prócz Biblii — albo jakich rozprawach filozoficznych kat samouk szukał inspiracji oraz pociechy duchowej. O jego pobożności w tamtym momencie życia najwięcej mówi tekst opatrzonej datą 25 lipca 1605 r. Znane z ówczesnych miast niemieckich szkoły mistrzów śpiewu (*Meistersinger Schulen*) były cechowymi kontynuacjami średniowiecznej tradycji minstrelskiej i miały męski skład, przy czym odpowiednio do kompozytorskiego talentu poszczególnych członków rozróżniano tam terminatorów, czeladników i mistrzów. Kompozytorzy musieli przy tworzeniu swoich pieśni przestrzegać surowych reguł, które narzucały sposób rymowania, metrum i melodię, a ponadto wykonywać nowe utwory a *cappella* przed grupą sędziów (ci byli już mistrzami). Minęło bez mała 30 lat od śmierci najsławniejszego wśród norymberskich mistrzów śpiewu Hansa Sachsa, a tamtejszy cech pieśniarski nadal organizował doroczne konkursy otwarte dla niezrzeszonych. Co ciekawe, także wieloletni kat, pewnie nie bez pomocy, zdobył się na własną pieśń. Do jej wykonania nigdy chyba nie doszło, ale trafiła ona później do zbioru utworów mistrzowskich, który wydano drukiem w 1617 r., kiedy dla mistrza Frantza nadszedł czas ostatniej egzekucji z jego ręki [\[399\]](#).

Nie wszyscy historycy są skłonni uznać tę pieśń za dzieło sławnego kata, zwłaszcza z powodu lepszego panowania nad stylem niż w diariuszu. A jednak ważne wczytanie się pozwala rozwiać wątpliwości co do autorstwa. Sam tekst jest sygnowany tak oto: „Mistrz Frantz, z parafii pod wezwaniem świętego Jakuba” ze wskazaniem na kościół niedaleki od miejsca zamieszkania kata. Nazwisko *Schmidt* było oczywiście wtedy mocno rozpowszechnione, czego — przynajmniej odnośnie do Norymbergi czy innych protestanckich miast — nie można powiedzieć o imieniu *Franz* albo *Frantz*, upamiętniającym świętego Franciszka z Asyżu. Rzadko zdarzało się też, aby „pieśń mistrzowską” *Meisterlieder* podpisał jako „mistrz” (*Meister*), jak tytułowano Frantza, a nie „magister”. Dowodem rozstrzygającym to, czy właśnie „nasz” Frantz Schmidt skomponował tamtą „mistrzowską” pieśń, jest wybór tematu: okazuje się nim rzekoma korespondencja króla Edessy, Abgara, z Jezusem — nadzwyczaj interesująca dla tego kata i medyka.

Według legendy syryjski król Abgar V, który żył w czasach Jezusa, zasłyszał o galilejskim cudotwórcy i napisał do niego, prosząc o spotkanie. Abgar, udręczony trędem, artretyzmem i innymi przykrymi dolegliwościami, zapewnił, że wierzy w boskość Jezusa, i gotów był ugościć Mesjasza, jeśliby ten zechciał się wybrać do Edessy (dziś jest to Şanlıurfa w Turcji) i uleżyć chorogo monarce. Jezus odpisał ponoć, że sam przybyć nie może, ale w dowód uznania dla wiary króla przysłał mu ucznia, Tadeusza Tomasza, w miejscowej mowie zwanego Addajem. I rzeczywiście, wkrótce po wniebowstąpieniu Jezusa św. Tomasz pojawił się w Edessie i, jak obiecał jego nauczyciel, cudownym sposobem uzdrowił Abgara, który natychmiast przyjął chrzest. Ta opowieść znana była w całym starożytnym świecie, rzekome listy zaś ogłosił w IV stuleciu naszej ery historyk Kościoła Euzebiusz z Cezarei. Po pewnym czasie legendę dopełnił „niestworzony ludzką ręką” obraz Jezusa na całunie czczony we wschodniej części cesarstwa rzymskiego, gdzie zyskał szczególne znaczenie liturgiczne.

Opowieść o Abgarze i Jezusie — przez ogół dzisiejszych uczonych odrzucona jako niewiarygodna — nie doczekała się takiej samej popularności w zachodniej części Imperium, co

czyni dokonany przez Mistrza wybór zdumiewającym. Ale przynajmniej można domniemywać, iż euzebiuszowa *Historia Kościelna* (napisana około roku 323) nie była mu całkiem obca, skoro w pieśni jest mowa o tamtych dwóch listach i skoro odtwarza ona dokładnie ich teksty. Nadrzędny temat uzdrawiania trafił zapewne do przekonania katu medykowi, częściej bowiem niż jakikolwiek inny wyraz pojawia się w pieśni słowo „choroba” — w jego znaczeniu fizycznym i użyciu abstrakcyjnym, duchowym. „Nieczyste duchy”, podobnie jak ślepotą i kalectwo, „boleśnie nękają ludzi”, a dzięki „wierze” niewierzący król powraca do zdrowia. Często także występują „cuda” i „moc”, znowu jako aluzje do duchowej natury Jezusowego uzdrawiania. Jeżeli nawet ktoś miał swój udział w doskonaleniu stylu i teologicznego wydzwieku pieśni, to przecież realizacja głównego tematu pozostaje wyłącznie dokonaniem Frantza, w pełni zgodnym z tym, co pisze gdzie indziej. Mając w pamięci swoją wieloletnią styczność z przejawami okrucieństwa i z ludzkim cierpieniem, Frantz nie może akceptować fundamentalnego dla protestantów przekonania o tym, że koniecznymi warunkami zbawienia są łaska i wiara. Grzech jawi się jako nieuchronny skutek upadku rodzaju ludzkiego, ale pewne jest również Boże przebaczenie — o ile upragnione. Kara wymierzona za przestępstwa daje nie tylko szansę na pokutę, jakiej wymaga prawo, lecz także na odkupienie duchowe, czyniąc kata niejako kapłanem (choćaż mistrz Frantz, luteranin, chciałby raczej, aby widziano w nim mesjasza, który miałby osobiście udzielać bożej absencji) [400]. Zdanie się na przebaczenie ze strony Boga uważał Frantz za wybór każdego człowieka z osobna, dający się porównać z decyzją o życiu w grzechu i poza prawem.



Oto reportażowa, ilustrowana wersja przypowieści o synu marnotrawnym: po lewej — główny bohater odchodzi, pośrodku — żyje w luksusie, po prawej — musi karmić świnie (ok. roku 1570).

Istnieje, jak wiadomo, wiele ewangelicznych opowieści o przebaczeniu, a w diariuszu pobożnego kata odnajdujemy nawiązania do dwóch takich historii. Pierwszą jest znana

przypowieść o synu marnotrawnym, który w niemoralny sposób trwoni swoje dziedzictwo, ale zostaje przyjęty życzliwie przez ojca, który umie współczuć (Łk 15, 11-32). Tak jak tamten bohater Biblii, złodziej Georg Schweiger dokonał wielu wyborów godnych pożałowania i nade wszystko:

za młodu, wspólnie z bratem, najpewniej ukradł 40 guldenów rodzonemu ojcu. Później, posłany przez ojca do uiszczenia długu, zatrzymał pieniądze i grał nimi. I wreszcie ledwo wykrył skarb, który ojciec był schował w stajni za domem, zabrał stamtąd 60 guldenów. Co gorsza, miał ślubną małżonkę, którą porzucił, iżby związać się z dwiema ladacznicami, przy czym każdej obiecał ożenek.

Jednakowoż ten syn, który pobłądził, nie doczekał się przebaczenia, gdyż „ojciec osobiście sprawił, że go uwięziono, po czym zażądał wymierzenia sprawiedliwości, mimo że był odzyskał pieniądze i z tej sumy zapłacił 2 guldeny [za pobyt syna w więzieniu]”^[401]. Frantz doszedł prawdopodobnie do wniosku, że ojciec Schweigera miał się o co gniewać i później nie zakwestionował słuszności egzekucji, która spotkała owego złodzieja za jego czyny. To zaś, iż ojciec zachował w sercu urazę do marnotrawnego syna, uznał kat za nienaturalne i niechrześcijańskie, czyli za zgoła odmienną niegodziwość.



Sugestywne rysunki Albrechta Dürera przedstawiają (po lewej) złego i (po prawej) dobrego złodzieja (rok 1505).

Drugie nawiązanie do Biblii pochodzi z tego roku, w którym Frantz uczestniczył w konkursie dla autorów „pieśni mistrzowskich” i pojawiło się po jednoczesnym wykonaniu wyroków śmierci na dwóch złodziejach. Jak w pierwszym przykładzie coś jest tutaj

rozpoznawalne jako występujące *implicite*, mianowicie kontrast między skruchą i wiarą obu skazańców, który kojarzy się szanującemu Biblię katy ze sceną ukrzyżowania złych i dobrych złodziei razem z Jezusem (Łk 23, 29-43). Podobnie jak Dyzma, dobry złodziej, który poprosił: „Jezu, wspomnij o mnie, gdy wejdiesz do Królestwa swego”[\[402\]](#), pasterz Cunz Pütner należycie okazał skruchę i „umarł po chrześcijańsku”. Natomiast Hans Drentz był ponownym wcieleniem niecnego złodzieja (tradycyjnie nazywanego Gestasem), który na krzyżu drwił z Jezusa i przeklinał go jako fałszywego proroka:

Nie zechciał się modlić ani wspomnieć o Bogu, ani wymówić imienia Chrystusa. Pytany o Boga zawsze odpowiadał, że nic o nim nie wie, i nie zdobywał się na żadną modlitwę. Jako że ponoć otrzymał ongiś koszulę od pewnej młodej służki, nie stać go było na modlitwę. Nie przyjąwszy komunii, umarł w grzechu i spadł pod szubienicę, jakby w napadzie choroby. Był bezbożnikiem [\[403\]](#).

Frantz daje do zrozumienia, że wszyscy ci ludzie dokonali pewnych wyborów, toteż ich losy zależały od nich samych. Grzech jest przeznaczeniem każdego człowieka, miłosierdzie zaś — czy to upragnione, czy to okazane — stanowi efekt dokonanego wyboru. Ten owdowiały ojciec czworga dzieci nie porzucił przykrego zajęcia, które kto inny wybrał jako dla niego właściwe i które sam też wybrał, aby osiągnąć sukces w powolnej, acz wytrwałej walce o pozycję społeczną, a ostatecznie zapewne pociechę i utwierdzenie samego siebie w takim rozumowaniu.

Uzdrowiciel

Ta uległość. To uszanowanie do wieku zaprawia goryczą najpiękniejsze dni życia naszego; zagradza nam drogę do szczęścia, którego w starości kosztować już nie będziemy mogli. Zaczyna mi się coraz niedorzeczniejsze wydawać poddawanie się tej tyranii starszeństwa, które panuje nie dlatego, że silne, ale dlatego że jest cierpiane.

William Szekspir, *Król Lir*, akt 1, scena 2, 46-51
(1606 rok, w przekładzie Józefa Paszkowskiego)

Zdaje się, że imię cnoty mieści jako warunek trudności i walkę, która nie może mieć miejsca bez oporu. Dlatego to może nazywamy Boga dobrym, mocnym, miłosiernym i sprawiedliwym, ale nie nazywamy go cnotliwym.

Michel de Montaigne, *O okrucieństwie* (1580)[\[404\]](#)

PRZESZŁO PÓŁ WIEKU WYKONYWANIA ZAWODU KATA SPRAWIŁO, że mistrz Frantz Schmidt zetknął się z najróżniejszymi przejawami ludzkiego występku i okrucieństwa. Nikt nie wzbudził w nim jednak aż takiej odrazy, jak socjopatyczny zbójca Georg Hörnlein z miasta Bruck i jego nie mniej zdeprawowany giermek Jobst Knau z Bambergu. Skrupulatne wyliczenie przez kata ich licznych przestępstw — jak sam stwierdził, nie wszystkich — stało się jedynym bardzo długim zapisem w dzienniku. W towarzystwie złoczyńców skorych do wspólnego działania, zwykle Georga Mayera z Gostenhofu (zwanego Łębskim Człowiekiem), Hörnlein i Knau przez wiele lat grasowali na drugorzędnych drogach i w lasach Frankonii, napadając, grabiąc i brutalnie mordując niezliczonych obcokrajowców, ludzi wędrujących w poszukiwaniu pracy, rolników i innych podróżnych, a także kobiety i osoby młodociane. Po przytoczeniu kilkunastu znanych mu przykładów perfidii zbójców mistrz Frantz jest gotów zakończyć zapis dotyczący minionego dnia. Ale zmienia zdanie — możemy się domyślać, że poirytowany pokręcił głową — i dalej spisuje jeszcze bardziej przerażające niedogodności zbrojeckiego duetu, między innymi to, że „dopadali ludzi na łące zwanej Mөгeldorf i wszędzie tam, gdzie obywatele zwykli spacerować, zaatakowali nadto osiem osób na ulicach Heroldsbergu, przy czym mocno zranili mężczyznę i niewiastę, i pewnemu furmanowi przepołowili rękę”.

Demonstrując niemal namacalną niechęć, Schmidt pisze o kolejnych, w jego mniemaniu,

Sześć tygodni wstecz [Hörnlein] i Knau, wspólnie ze swymi kompanami, mieli do czynienia z pospolitą ładaczną, gdy ta w domu [Hörnleina] rodziła syna, którego Knau ochrzcił i żywym odciął prawą rączkę. Następnie współnik zwany Czarnym — ten odegrał rolę ojca chrzestnego — podrzucił dzieciątko tak, że upadło na stół i oznajmił: „Niechaj tak urośnie mój mały chrześniak!”. I zawołał zaraz: „Patrście, jako działa szatan!”, po czym poderżnął dziecięciu gardło i pochował ono w swoim ogródku. Bodaj osiem dni później, kiedy ładaczka Knaua wydała na świat pacholę, Knau ukłcił jego szyjkę, następnie zaś Hörnlein odciął prawą rączkę i pogrzebał to dzieciątko w szopie.

Zapis Schmidta ukazuje grozę obu sytuacji. Autor używa zdrobnień: „dzieciątko”, „szyjka” i „prawa rączka” dla podkreślenia kontrastu z cyniczną parodią chrztu i serdeczności ojca chrzestnego, na jaką pozwolili sobie pijani mężczyźni. Frantz widzi w tym incydencie potwierdzenie skrajnej demoralizacji obu zbójców i nie ukrywa zadowolenia, kiedy pisze o dwóch szarpnięciach rozpalonymi obcęgami zaaplikowanych bandytom, zanim 2 stycznia 1588 r. spotkała ich bolesna egzekucja poprzez łamanie kołem „ku górze”. Po dziewięciu dniach Schmidt uśmiercił, także łamiąc kołem, ich współnika, Łebskiego Człowieka, a jeszcze tydzień później pozbawił życia żonę i współniczkę Hörnleina, Margarethę, i w jej przypadku żądał „śmierci z użyciem wody”, czyli zaniechaną w zasadzie karę utopienia, po raz ostatni przywróconą przez rajców wobec nadzwyczajnej potworności czynów Margarethy (kat nie sprzeciwił się temu wznowieniu)[405].

Ale dlaczego tenże zbójcy w ogóle ucinali niemowlętom ręce? To okrucieństwo miało swoją przyczynę. Knau, przesłuchiwany przez mistrza Frantza i pod tegoż nadzorem dręczony z zastosowaniem *strappado*, wyjaśnił, że — jak powszechnie wtedy uważano — prawa ręka noworodka płci męskiej ponoć przynosi szczęście, a nawet zapewnia niewidzialność przydatną zawodowym złodziejom. Zeznał również, iż Hörnlein opowiedział mu o ucięciu wielu niemowlęcych rąk, czym zajmował się, kiedykolwiek był w podróży, i o tym, że ilekroć dokonywał włamań, „małe palce” przydawały mu się jako świece, „które nikogo nie obudziły”. (W Anglii taką praktykę znano pod nazwą „Ręka Chwały”[406]). Hörnlein potwierdził słowa Knaua we własnym zeznaniu złożonym w czasie tortur i dodał, że ręce muszą przez osiem dni być pogrzebane, najlepiej w stajni, po czym można je wykopać i nosić. Przyznał, iż on sam zapoznał Knaua z taką praktyką i jedną z odciętych rąk dał mu do własnego użytku, ale podkreślił, że o nowych „sztukach magicznych” ma niewielkie pojęcie. Torturowany dalej Hörnlein ujawnił jednak, iż pewna stara kobieta poradziła mu zabrać woreczek pełen ołowiu i prochu strzeleckiego na trzy kolejne niedzielne msze, aby tak uzyskać magiczną moc. Przyznał się ponadto do tego, że w jednym z pobliskich miast „w biały dzień” ukraść kawałek szubienicznego sznura i razem z innymi talizmanami nosił go potem dla ochrony przed zastrzeleniem. Gdy ci, co przesłuchiwali Hörnleina, wyrazili swój sceptycyzm, odparł on, że nawet zachęcił dwóch współników do wymiany strzałów, aby moc amuletu została wystawiona na próbę, i skoro żaden nie ucierpiał, wygrał od każdego pięć guldenów[407].

W świecie mistrza Frantza magiczne zaklęcia i zabezpieczenia były wszechobecne. Ludzie tamtych czasów toczyli zaciekle spory o naturę i skuteczność takich mocy (i oczywiście o źródło tychże). Ale nikt w gruncie rzeczy nie kwestionował tajemniczości świata naturalnego ani, co za tym idzie, szansy ludzi na to, by dzięki pewnej hermetycznej wiedzy uzyskiwali oni jakąś magiczną moc. Zmienność i — nienależąca do rzadkości — wzajemna sprzeczność

rozpowszechnionych wyobrażeń o magii przed XVIII stuleciem stawia mistrza Frantza w niezręcznej sytuacji. Będąc dodatkowo medykiem, Schmidt mógł skorzystać na tym, że z dawien dawna wierzono w „uzdrowiającą moc” kata i jego atrybutów. Ale że w tym samym czasie nastąpiła w Europie kulminacja polowań na czarownice, ktoś, kto poprzez pracę zawodową mógł choćby w niewielkim stopniu być kojarzony z magią, też musiał się liczyć z realnym zagrożeniem. Budząc i obawę, i respekt — na podobieństwo wpływowych mędrców albo plemiennych szamanów — Frantz miał wzięcie (i spory dochód) jako wprawiony uzdrowiciel. A zarazem panująca na rynku usług medycznych bezwzględność oraz istnienie wielu różnorakich konkurentów narażały go na oskarżenia o niekompetencję i czarną magię, możliwe także ze strony niezadowolonych pacjentów.

Taka dwuznaczna i nie całkiem bezpieczna sytuacja życiowa nie była oczywiście niczym nowym dla norymberskiego kata. Mistrz Frantz potrafił jednak obrócić na swoją korzyść popyt władz Norymbergi na katów pobożnych i odpowiedzialnych, ale i spożytkować aurę, jaka otaczała jego zawód, w taki sposób, aby sprzyjała ona coraz większemu poważaniu dlań w społeczeństwie, przy czym zręcznie unikał gniewu gorliwych „łowców czarownic” i zazdrosnych rywali w sztuce uzdrawiania. Ale medycyna, co wyznał w podeszłym wieku, zawsze była dla długoletniego kata czymś więcej aniżeli środkiem do osiągnięcia nadrzędnego celu, a nie tylko stałym źródłem dodatkowych zarobków. „Sztuka leczenia” okazała się jego prawdziwym powołaniem, czego nie można powiedzieć o hańbiącej profesji, która została mu narzucona. Frantz pisze tak: „Niemal każdy posiada niezmienną inklinację ku czemuś, co pozwoli się utrzymać, a mnie [sama] Natura zaszczepiła pragnienie uzdrawiania”[\[408\]](#). Praktykowane przez całe życie przywracanie zdrowia fizycznego — bardziej niż rola w kompensującym rytuale wykonywanych egzekucji — dawało katu poczucie spełnienia, posiadania celu, nawet osobistej odnowy. Walka o taką zawodową tożsamość, która posłużyłaby i jemu, i jego synom, przesądziła w istocie o trzech ostatnich dekadach życia Frantza. Czas miał pokazać, czy żmudnie tworzony pozytywny wizerunek kata ułatwił czy utrudnił jego schyłkową autoprezentację.

Ciała żywe

Na początku ery nowożytnej oczekiwano od wszystkich katów pewnego zasobu wiedzy medycznej. Niektórych mianowano nawet na ich stanowiska właśnie z powodu domniemanej biegłości w leczeniu ludzi i zwierząt, zwłaszcza krów i koni. Norymberscy rajcy zatrudnili ponownie jednego z poprzedników Frantza, osobę znaną z rozwiązłego trybu życia, zaledwie kilka miesięcy po tym, jak owego człowieka — zniecierpliwieni jego rozpustą — zwolnili, przy czym motywem była okoliczność, iż „swoim sposobem leczenia pomógł wielu rannym i chorym powrócić do zdrowia, natomiast Jörg Unger, tańszych kat, w ogóle się nie nadaje [do tego]”[\[409\]](#). Gdy żył jeszcze ojciec Frantza Schmidta, udzielanie porad medycznych zapewniało regularny dodatek do poborów większości katów. A w czasach samego Frantza — ściślej: gdy rozpoczął on karierę zawodową — honoraria za uzdrowienie równały się połowie rocznego dochodu kata[\[410\]](#). Odkąd Schmidt w 1618 r. oficjalnie przeszedł na emeryturę, utrzymywał się właśnie z działalności leczniczej i tę prowadził przez kilka ostatnich lat życia.

Początek ery nowożytnej znamionowała silna i żywiołowa konkurencja w świadczeniu różnorodnych i po części kontrowersyjnych usług medycznych oraz quasi-medycznych. Najwyższym szacunkiem mogli się cieszyć lekarze z wykształceniem akademickim, ale tych

było niewielu i żądali tyle, że ich usługi pozostawały niedostępne dla większości ewentualnych pacjentów. W wielkich miastach, jak Norymberga, nie mniej niż dziesięciokrotnie większym poważaniem niż owi akademicy cieszyli się balwierze-chirurdzy, „lekarze ran” i aptekarze, zrzeszeni w swoich cechach[411]. Ich terminowanie i wędrowki za pracą trwały zwykle o kilka lat dłużej aniżeli uniwersyteckie studia lekarzy. Pod koniec XVI stulecia prawie każde niemieckie państewko zatrudniało własnych oficjalnych medyków, balwierzy-chirurgów, aptekarzy i własne akuszerki, co nadawało wszystkim tym zawodom odpowiedni prestiż i budziło większe zaufanie do wykonujących je osób.

Instytucjonalne legitymizacje nie zapobiegały oczywiście temu, że bardzo często szukano pomocy u najróżniejszych „empiryków” bez oficjalnej sankcji — domokrażców, wędrownych aptekarzy, okulistów, cyganów i uzdrowicieli religijnych. Wiele z tych osób miało do zaoferowania rozmaite lecznicze mieszaniny, związki chemiczne, maści i zioła. XVII- i XVIII-wieczni lekarze zwykle szydzili z uzdrowicielskich zdolności takich „znachorów” i „szarlatanów”, ale przynajmniej część remediów, które proponowali owi wędrowcy, przynosiła ulgę. Maści siarkowe leczyły czasem skórę, a pewne zielne wywary potrafiły pomóc przy bólu kręgosłupa. Rzekomo nadzwyczajne panaceja wędrownych uzdrowicieli okazywały się jednak po prostu lekami pozornymi. Dowiedzmy, że tacy znachorzy umieli reklamować swój towar wesołą piosenką, zabawnym przedstawieniem teatralnym, nawet popisami panowania nad węzami (gdy chciano przekonać do środka rzekomo uodparniającego na ukąszenia).

Dobra opinia o mistrzu Frantzu jako uzdrowicielu nie brała się ani z oficjalnego poparcia dla niego, ani z ludycznych promocji, lecz niewątpliwie sprzyjały takiemu mniemaniu niezliczone gminne wierzenia związane z jego profesją. Sądono, że — podobnie jak „zmyślni” ludzie płci obojga, spotykani bodaj w każdej wiosce — kaci znają tajniki leków oraz kuracji przydatnych przeciw najrozmaitszym schorzeniom: rakowi, niewydolności nerek, ale też bólowi zęba czy bezsenności, i że zazwyczaj przekazują taką wiedzę ustnie swoim młodym następcom. Paracelsus (1493-1541), kontrowersyjny lekarz, który odrzucił publicznie nieomal wszystko, czego nauczył się na medycznej uczelni, zadziwił twierdzeniem, iż remedia i metody uzdrawiania, jakie sobie przyswoił, przekazali mu kaci i „zmyślni ludzie”. Hamburski kat, mistrz Valentin Matz, był powszechnie znany z tego, że „lepiej, niżli niejeden uczony doktor, rozumie się na ziołach i uzdrawianiu”[412]. Niezależnie od skuteczności katowskiego leczenia „ponura charyzma” Frantza i innych przedstawicieli tej profesji była bezcennym atutem na ówczesnym rynku medycznym (zresztą bardzo lukratywnym) — rynku z zaciekłą konkurencją. Nierzadko z atutu tego korzystali synowie katów, którzy niekoniecznie przejmowali ojcowski zawód, ale radzili sobie jako uzdrowiciele. Z medycyną wiązało się także wiele małżonek katów i wdów po nich, czasem rywalizując w pozyskiwaniu pacjentek z miejscowymi akuszerkami[413].

Jak przedstawiała się rzeczywista wiedza mistrza Frantza o sztuce uzdrawiania i gdzie ją posiadł? Mistrz Heinrich przekazał zapewne synowi wszystko, czego sam mógł go nauczyć. Ale że ojciec Frantza wychował się w rodzinie szanowanego krawca, to na pewno poznał techniki leczenia tylko w praktyce. A skoro Schmidowie zostali zaakceptowani jako koledzy przez innych katów, ci ostatni prawdopodobnie podzielili się niektórymi sekretami, bo przecież nie musieli się obawiać konkurencji ze strony kogoś, kto osiadł tak daleko. Zarówno Heinrich, jak i Frantz mieli w swej pracy do czynienia z wieloma przestępcami i z niejednym włóczęgą, tak więc również od nich pozyskali sporo pożytecznych informacji, wśród których nierzadko pojawiały się formuły zaklęć magicznych, gdyby się jednak owymi zaklęciami posługiwali, lecząc ludzi, oznaczałoby to, że zapuścili się na niebezpieczne terytorium.

Najcenniejszymi źródłami dla kata oswojonego z tekstami drukowanymi były prawdopodobnie liczne broszury medyczne i inne kompendia, które zaczęły się pojawiać na

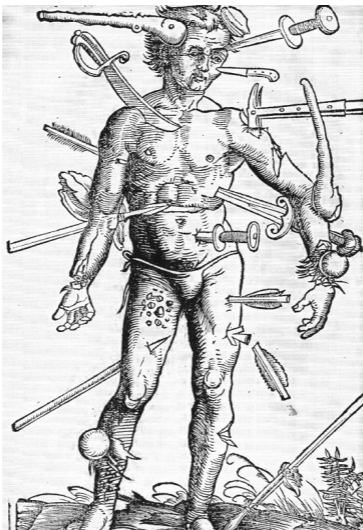
rynku księgarskim w pierwszych latach XVI stulecia[414]. Zaledwie kilka pokoleń później lekarze z wykształceniem uniwersyteckim gorszyli się na pewno wyraźną tendencją większości podręczników medycznych wydawanych za życia Frantza Schmidta. Jeszcze bardziej musiało szokować to, że niejeden popularyzator sam należał do lekarskiej elity. Johann Weyer (1515-1588), darzony szacunkiem lekarz, którego dziś pamiętamy przede wszystkim jako wczesnego i mającego pewien posłuch krytyka polowań na czarownice, swoim kolegom daje się lepiej poznać dziełem *O leczeniu chorób dotąd nieznanymi i nieopisanymi*, gdzie omówił metody walki z takimi schorzeniami jak tyfus, syfilis (w 1583 r. nie był on już chyba „nieznany”), „nocne ataki”, biegunka[415]. Weyer zakładał a ewentualnych czytelników niktę kwalifikacje zawodowe albo ich brak, toteż w opisie objawów i sposobów leczenia posłużył się stylem klarownym, konkretnym i zrozumiałym dla laików, przy czym uzupełnił swoje wywody ilustracjami użytecznych ziół, owadów leczniczych i ropuch. W całym dziele występują także aluzje do Biblii (charakterystyczne dla większości popularnych wówczas autorów), z przypomnieniem na samym początku, że cierpienie i choroba mają swą przyczynę w niełasce, czyli grzechu pierworodnym Adama i Ewy.

Z większą nawet dozą prawdopodobieństwa możemy przyjąć, iż mistrz Frantz korzystał z *Felczerskiej księgi o zablźnieniu ran*, wydanej w 1517 r. z kilkoma wznowieniami, autorstwa Hansa von Gersdorffa[416]. To liczące 224 strony kompendium, podsumowanie długoletniego doświadczenia autora nabytego na polach bitewnych, jest wykładem całej ówczesnej wiedzy medycznej: rozpoczyna się omówieniem uzdrawiającej roli czterech humorów, żywiołów i planet, po czym krok po kroku radzi, jak rozpoznawać objawy i jak leczyć. Mimo skupienia się na ranach zewnętrznych Gersdorff zawarł w swym dziele także podstawową wiedzę o anatomii człowieka oraz ilustracje z dokładnymi oznaczeniami. Tak jak Weyer i inni poczytni autorzy, Gersdorff zamieścił ryciny przedstawiające zioła, ale prócz tego schematy, które uczą konstruowania skalpeli, wiertła czaszkowych, zabezpieczeń dla złamanych kończyn, zacisków, a nawet aparatu destylacyjnego. Nie mniejsze znaczenie miał dla uzdrowicieli bez akademickiego przygotowania fakt umieszczenia w tej *Felczerskiej księdze* obszernego słownika łacińskich terminów medycznych z ich niemieckimi odpowiednikami, jak również pełnego alfabetycznego indeksu objawów, poszczególnych części ciała i wszelkich terapii.

Szukając wyjaśnienia medycznego sukcesu mistrza Frantza, nie możemy pominąć pożytku, jaki odnosił z uważnego słuchania pacjentów[417]. Demonstrowana dla dodania otuchy pewność siebie i inne umiejętności interpersonalne bywały wielce przydatne zwłaszcza wtedy, na początku ery nowożytnej, gdy rozmowa z pacjentami znaczyła o wiele więcej niż badanie fizyczne. W popularnym podręczniku medycznym ujęto tę kwestię tak: „Rzetelna historia choroby to już połowa diagnozy”[418]. Zasięganie informacji o zawodach pacjentów, członkach ich rodzin, o żywieniu i nocnym spoczynku, i nie tylko takich, pomagały wszystkim leczącym, ale w szczególności katom i tym ludowym uzdrowicielom, którzy nie musieli się wykażać ani oficjalną certyfikacją, należąną lekarzom, balwierzom chirurgom, ani charakterystyczną dla wędrownych empiryków umiejętnością zabawiania gawiedzi. Sukces mistrza Frantza był realny tylko dzięki żmudnemu tworzeniu kręgu lojalnych pacjentów, którzy mieli tę świadomość, iż on rozumie wszystkich i wie, co im dolega. Słynny „katowski dotyk” zapewne zniechęcał niektórych pacjentów, ale — mając inne opcje medyczne — nie powracaliby, gdyby Frantz jednak tego i owego nie leczył.

Rzeczywista biegłość była konieczna w tradycyjnej sferze medycznej działalności katów, mianowicie w „leczeniu zewnętrznym”, które polegało na tym, że trzeba było nastawiać złamane kości, eliminować skutki poważnych oparzeń, powstrzymywać krwotoki po amputacjach kończyn, zablźniać otwarte rany, czasem postrzałowe. Co najmniej jedna trzecia

ran leczonych przez felczerów i katów brała się z ataków nożem, mieczem lub pistoletem[419]. Tu Frantz miał pole do popisu, jako że długoletnia praca w izbie tortur pozwoliła mu nabyć niemałe doświadczenie w zapobieganiu poważniejszym ranom w czasie przesłuchań i leczeniu tych, które powstawały już to przed przesłuchaniem, już to przed publiczną egzekucją. Frantz nie otrzymywał raczej żadnej dodatkowej zapłaty za opiekę medyczną nad więźniami, ale niektórzy kaci zarabiali na leczeniu osób podejrzanych o przestępstwa trzy albo i czterokrotnie więcej, niż przynosiły zastosowane nieco wcześniej tortury[420].



Oto po wielokroć odtwarzany rysunek „rannego” (źródło: *Feldbuch* Hansa von Gersdorffa) z rozmaitymi — zadawanymi przez ludzi — ranami, które przychodziło zwykle zasklepiać katom i balwierzom (rok 1517).

Dzienniki medyczne Schmidta nie zachowały się, on sam jednak wyliczył, że w ciągu prawie 50 lat praktykowania miał do czynienia, w Norymberdze i okolicach, z pacjentami,

których liczba przekroczyła 15 tysięcy[421]. Choć Frantz (na ogół niedokładny w obliczeniach) mógł popaść w przesadę lub tę czy inną osobę uwzględnić wielokrotnie, działał jednak wiele. Średnio przypadało nań ponad tysiąc pacjentów rocznie, czyli co najmniej 9 razy więcej osób, niż musiał torturować albo ukarać. Czy to było mu pociechą, rekompensatą za świadome dręczenie? Czy niemal codziennym uprawianiem medycyny pogłębiał swoje współczucie wobec ofiar przestępstw? Niewątpliwie sukcesami w leczeniu, o których było powszechnie wiadomo, zmniejszał pogardę, jaka zwykle spotykała katów. Ale to jedno nie wystarczało, aby uzyskać poważanie dla siebie i swojej rodziny.

W tym kontekście wybiórczy charakter interpretowania pożytku z „katowskiego dotyku” przez ówczesnych ludzi musi nam, dzisiaj żyjącym, wydawać się co najmniej niezrozumiałym potwierdzeniem bezzasadnego okrucieństwa. Ci sami ludzie, którzy nie chcieli jadać ni pić w towarzystwie darzonego pogardą kata i nie wpuściliby go do swoich domów, byli, jak się zdaje, gotowi odwiedzać Frantza w Domu Katowskim i przystawali na to, by tam ich dotykał[422]. Stosowanie podwójnych standardów brało się po części z prywatności, jaka cechowała takie spotkania, a ponadto bywanie u mistrza Frantza w celach zdrowotnych nie narzucało trzymania tego w tajemnicy i nie stanowiło wstydlivego wyboru. Zauważmy, że większość pacjentów biegłego w leczeniu kata wywodziła się ze środowisk żołnierzy, pracowników fizycznych i włościan. Często składali mu wizyty także szanowani rzemieślnicy, patrycjusze, nawet niektórzy arystokraci, a wśród nich trzej cesarscy emisariusze, proboszcz bamberskiej parafii katedralnej, pewien członek Zakonu Krzyżackiego, jak również patrycjuszowskiej proveniencji rajcy miejscy z rodzinami[423]. Stały napływ ludzi ze wszelkich warstw do katowskiej siedziby zadaje oczywiście kłam całkowitej marginalizacji kata i jego najbliższych. Mimo to ci ostatni musieli bardzo źle znosić swoje położenie: z jednej strony regularny kontakt z ludźmi, którzy gdzie indziej woleli ich unikać, z drugiej — osobliwy status osób pozostających w swoistej społecznej otchłani.



Widać tu wykonywaną przez felczera amputację kończyny pacjenta niecałkiem trzeźwego, ale zachowującego przytomność. Felczer i balwierz byli dla kata uzdrowiciela (także dla Frantza) główną konkurencją na rynku usług medycznych (ok. roku 1550).

Leczenie ran zewnętrznych mieściło się także w zakresie czynności wykonywanych przez balwierzy chirurgów i nie mogło nie prowadzić do częstych sporów między nimi a katami, przy czym dla eliminowania takich konfliktów na ogół potrzebna była interwencja władz. Gniew konkurencji oraz rajców uśmierzała osiągnięta przez Frantza dobra opinia o nim osobiście i o jego kwalifikacjach zawodowych. Nie zdarzyło się, aby przełożeni mieli do niego pretensje o działania uzdrowicielskie, a w 1601 r. właśnie mistrz Frantz, nie zaś lekarze municypalni, zajęli się — na prośbę rajców — prawym kolaniem 7-letniego chłopca, niewyleczonym przez miejscowego balwierza, na co poskarżył się ojciec tego pacjenta^[424]. Osiem lat później balwierz Hans Duebelius oświadczył, że ponieważ rannemu właścicielowi zajazdu pomógł poprzednio mistrz Frantz, cech lekarzy uznałby jego samego za zhańbionego, gdyby spróbował leczyć tego człowieka. Rajcy zapewnili wątpiącego, że się nie pokala, i nie zechcieli zganić kata za jego medyczne działania^[425]. Nie jest to prawdopodobne, by norymberscy balwierze chirurdzy byli życzliwi Frantzowi jako człowiekowi leczącemu, ale nie wazyli się jawnie kwestionować jego umiejętności ani występować przeciwko ewidentnemu poparciu dłań ze strony władz.

Innym potencjalnym zagrożeniem dla medycznego sukcesu Frantza był szybki za jego życia wzrost liczby lekarzy z wykształceniem akademickim. Ci zawodowi uzdrowiciele już od dawna stanowili elitę dzięki prestiżowi i dochodom, było ich jednak niewiele. Ale schyłek XVI stulecia stał się początkowym okresem ich dominacji na rynku usług medycznych. Najpierw dali się poznać w niemieckich miastach, gdzie tworzyli quasi-rządowe korporacje, że wymienimy tu

norymberskie Collegium Medicum, które powstało w roku 1592, z doktorem Joachimem Camerariusem na czele. Tacy lekarze nie omieszkali także przekonywać świeckich władz co do konieczności surowego nadzoru nad „uzdrowicielami” o „praktycznym nastawieniu”, by zapanować nad ich różnorodną i często „ignorancją” działalnością, przy czym mieli na myśli balwierzy z cechowymi dyplomami, aptekarzy i akuszerki. W Norymberdze oznaczało to dalsze ograniczenia dla medyków licencjonowanych oraz wysokie grzywny — a nawet banicję — dla wyrwizębów amatorów, alchemików, kabalarek, Żydów, osób uprawiających czarną magię i innych empiryków[426].

Tamtejsze Collegium Medicum nie podjęło się jednak nadzoru nad medycznym zaangażowaniem katów, co było pomyslnym zrządzeniem losu z punktu widzenia Frantza i jego następców, ale narzuciło im wyłączone zabliźnianie ran zewnętrznych, „albowiem posiadają o nich niejaką wiedzę”[427]. Jak się zdaje, mistrz Frantz uniknął też konfliktów z wykształconymi na uniwersytetach lekarzami, które były nagminne wśród katów na obszarze całego cesarstwa i nie ominęły jego dwóch następców[428]. Co może zdziwić, kontakt Frantza z medycyną sądową sprawił, że zwykle bezpośrednio i częściej stykał się z owymi profesjonalistami o patrycjuszowskim rodowodzie aniżeli z balwierzami chirurgami zrzeszonymi w rzemieślniczym cechu, którzy byli mu o wiele bliżsi pod względem przygotowania fachowego i biegłości. Niewykluczone, że poważanie dla Schmidta w kręgach oficjalnych zachęciło go nawet do rojenia o tym, iż jeden z jego synów oberzeze tę szlachetną, jak dotąd niedostępną profesję. Możliwość takiego społecznego awansu pojawiła się szybciej, niż Frantz Schmidt sobie wyobrażał.

Ciała martwe

Wiele zadań mistrza Frantza wymagało od niego styczności z osobami żywymi (więźniami, kręgiem oficjeli, chorymi i wieloma innymi), ale sporo czasu spędzał także ze zmarłymi, ściślej: ze zwłokami nieszczęsnych grzeszników, których sam pozbawiał życia. Niektóre ciała posłanych przezeń na tamten świat doczekały się potraktowania, jakiego mogła dostąpić każda osoba zmarła, łącznie z pochówkiem w poświęconej ziemi[429]. Innym jednak — takich była większość — gotowano los niezbyt fortunny. Zwłoki powieszonych złodziei oraz łamanych kołem morderców skazywane były na kontakt z różnymi żywiołami. A to, co z nich pozostało, należało rzucić na stos utworzony przed szubienicą. Jeszcze inne zwłoki kat przejmował, aby dokonać sekcji albo inaczej je spożytkować. Ciało przestępcy, którego pozbawiono życia, nie mogło się zmarnować: świadczyło o miłosierdziu sędziów, stanowiło koszmarną przestrożę albo była z niego korzyść medyczna.

Na początku ery nowożytnej powszechnie wierzone w Europie — dotyczy to i lekarzy z akademickim wykształceniem, i uzdrowicieli ludowych — w niezwykłe lecznicze właściwości zwłok. Konsekwencją tego przekonania były praktyki dzisiaj zapewne trudne do przyjęcia, zdumiewające, ale za czasów mistrza Frantza akceptowane przez wieki: polykanie, noszenie lub inne medyczne posługiwanie się częściami ludzkiego ciała jako remedium dla osób chorych i rannych.

Wiare w leczniczą moc różnorakich szczątków ludzkich można datować co najmniej od czasów Pliniusza Starszego (23-79 n.e.), konstatując jej utrzymywanie się aż do XVIII stulecia[430]. Mimo ewidentnego związku tego tradycyjnego przekonania z magią właściwie wszyscy medycy z początku ery nowożytnej twierdzili, że uzasadnieniem takiej wiary jest

i filozofia przyrody, i sama anatomia człowieka. Według naśladowców Paracelsusa, znanych pod nazwą doktorów chemicznych, skóra, krew i kości ludzkie mają nie mniej właściwości uzdrawiających niż pewne minerały i rośliny, a poza tym obdarowują osobę chorą czymś, co określono mianem leczniczej siły duchowej. Lekarze ze szkoły galenowskiej, kształceni na klasyczną modłę, odrzucali „magiczne” eksplikacje, obstając przy twierdzeniu, iż poszczególne części ciała oddziałują na chorych leczniczo poprzez przywracanie wewnętrznej równowagi między czterema humorami (krwią, flegmą, żółcią czarną i żółtą). W gruncie rzeczy nikt spośród tych, co leczyli — czy to oficjalnie kształceni, czy też bez takiego przygotowania — nie podważał utrwalonego przeświadczenia o tym, że ciało osoby niedawno zmarłej dysponuje pełnym zestawieniem czynników leczniczych.

Picie krwi „humoru najszlachetniejszego” uchodziło za remedium o szczególnej mocy i wielu zastosowaniach, do których zaliczono: rozpuszczanie skrzepów, ochronę pacjentów przed bólem śledziony czy uciążliwym kaszlem, zapobieganie atakom chorób, przywracanie właściwego toku menstruacji, a nawet leczenie wzdęć [\[431\]](#). Jako że lekarska elita zakładała nieustanne wytwarzanie krwi przez wątrobę, przyjmowano, iż krew powinna występować w nieograniczonych ilościach, co zwalniało od niepokoju z powodu nazbyt czystych flebotomii, czyli puszczania krwi, praktykowanego gwoli równowagi humoralnej. Nadzwyczaj ceniono krew młodych mężczyzn, którzy byli pozbawiani życia w trybie doraźnym i których siła życiowa nie zdążyła zniknąć, gdyż panował pogląd, że młody wiek i męski wigor skazańca przesądzają o przydatności tego płynu. Po niejednym ścięciu pod szubienicą ustawiali się w kolejce epileptycy spragnieni świeżej, gorącej krwi nieszczęsnych grzeszników — nas taka scena musiałaby przerazić, ale Frantz Schmidt i inni ludzie z tamtej epoki nie uznawali jej za godną uwagi.

Aż do połowy XVII stulecia kaci — wśród nich mistrz Frantz — byli niemal monopolistami w dystrybucji różnych części ludzkiego ciała na potrzeby uzdrowicieli. Niejeden kat osiągnął dodatkowy zysk dzięki zaopatrywaniu aptekarzy i innych stałych klientów. W oficjalnej norymberskiej farmakologii, której obitym źródłem były zwłoki pozbawianych życia przestępców, mieściły się czaszki (kompletne i odpowiednio spreparowane), „mięso ludzkie” (ze zmielonych kości), „marynowane mięso ludzkie”, tłuszcz ludzki, sól uzyskiwana z ludzkiego mięsa i spirytus kostny (wywar z ludzkich kości). Kobiety w ciąży oraz osoby dotknięte obrzękiem stawów albo nękane skurczami nosiły specjalnie wyprawione paski ludzkiej skóry, znane już to jako „skóra ludzka”, już to jako „tłuszcz nieszczęsnych grzeszników”. Uzdrawiająca moc, którą przypisywano „mumiom” (zakonserwowanym zwłokom ludzkim), stała się podstawą nowego mistycznego kultu, zresztą z inicjatywy jezuitę, Bernarda Caesiusa (1599-1630). Dzisiaj nie sposób ustalić, jak duży był dodatkowy dochód Frantza z handlu częściami ciała i czy w ogóle to lukratywne zajęcie — w naszych oczach niesamowite — go pociągało [\[432\]](#).

Niekiedy uzdrowiciele z tamtej epoki znajdowali, jak się można spodziewać, różne magiczne zastosowania dla poszczególnych części ludzkiego ciała. Pewien kat wymyślił takie oto remedium przydatne rzekomo do wyleczenia konia, na którego ktoś rzucił urok: sproszkowany lek z kilku ziół, krowiego tłuszczu, octu i spalonego ludzkiego mięsa, przy czym wszystko to należało zmieszać ze sobą ostruganym patykiem znad rzeki, i to znalezionym przed zachodem słońca [\[433\]](#). Protestantcy lekarze z uniwersyteckim wykształceniem, skorzy do tego, by dezawuować katolicką wiarę w moc rozmaitych relikwii osób kanonizowanych, w gromkich słowach odmawiali częściom ludzkiego ciała jakichkolwiek właściwości nadprzyrodzonych. Co za tym idzie, zabobonem była dla nich — niestety podobna — wiara w to, że palec albo dłoń złodzieja, który zginał na szubienicy, przynosi szczęście w hazardzie,

a gdy jedno czy drugie połknie krowa, chroni to ją przed czarami, czyli urokami. Katolickie władze Bawarii również dawały wyraz wielkiemu zdumieniu tym, że „wielu śmie przywłaszczać sobie rzeczy uśmierconych przestępców, zabierać łańcuchy i sznury z miejsc kaźni, iżby posługiwać się tymiż w pewnych swoich sztukach” i zabroniły sięgania po takie przedmioty, „którym zabobon przypisuje działania inne niżli to, jakie mogą mieć ze swej natury”^[434]. Jeszcze większe zaniepokojenie przywódców obu Kościołów wywołały podejmowane przez katów próby wzbogacenia się dzięki sławie zdobytej praktykami magicznymi. Otóż w roku 1611 kolega Frantza z bawarskiego miasta Passau rozpoczął — kontynuowaną przez dłuższy czas — nader intratną sprzedaż kartek z magicznymi formułami, tak zwanych Passauer Zettel, które ponoć chroniły przed zastrzeleniem.



Oto wizja układu mięśniowego u człowieka, jedna z bez mała dwustu ilustracji szczegółowych w dziele z 1543 r., *De humani corporis fabrica*, autorstwa Wesaliusza. Zauważmy, że nawet temu sławnemu znawcy anatomii jako model posłużył człowiek niedawno powieszony.

Zwłoki, jakimi dysponował mistrz Frantz, bywały również — co jest łatwiejsze do zrozumienia (i nadal praktykowane) — użyteczne przy poznawaniu anatomii^[435]. Już znacznie wcześniej tacy artyści jak Leonardo da Vinci czy Michał Anioł wypraszaży u katów, właśnie w tym celu, zwłoki ich ofiar, na co zezwalał dekret papieża Sykstusa IV z 1482 r., ale bodźcem do tego, by świat lekarski szczerze zainteresował się sekcjami, było doskonale

zilustrowane dzieło Andreeasa Vesaliusa pod tytułem *De humani corporis fabrica (O budowie ciała ludzkiego, 1543)*. Opatrzone przez tego 28-letniego lekarza szczegółowymi komentarzami dokładne obrazy układu kostnego, nerwowego, mięśniowego i trzewnego zadziwiły medyczny establishment. Niemal natychmiast po wydaniu dzieła Vesaliusa wydziały lekarskie europejskich uniwersytetów postanowiły zainicjować programy wykładów oraz katedry anatomii człowieka, bowiem dzięki konstatacjom tego autora oraz innych pionierów rozumiano, że dotychczasowa tradycyjna wiedza, którą zapoczątkował grecki medyk z II wieku, Galen, jest niedostateczna albo wręcz fałszywa. Po upływie stu lat 21 uniwersytetów niemieckich, między innymi ten w Altdorfie pod Norymbergą, mogło się pochwalić teatrami anatomicznymi i sekcje zwłok były już wykonywane wszędzie[436].

W tej sytuacji popyt na zwłoki skazańców nieustannie rósł, co mistrz Frantz obserwował przez całe swoje życie. W odniesieniu do początku XVII stulecia można nawet mówić o kulminacji handlu zwłokami ludzkimi i częściami ciała. Niedługo po śmierci mistrza Frantza monachijscy mieszczaństwo i rajcy dowiedzieli się o pewnym gorszącym zdarzeniu: Martin Leichnam („trup”), kat ze sławnym nazwiskiem, przekazał zwłoki ściętej dzieciobójczyni jej rodzicom, aby umożliwić chrześcijański pochówek, najpierw jednak sprzedał niektóre części ciała, między innymi serce, które zostało zmielone i posłużyło jako medykament[437]. Studenci medycyny z uniwersytetu w Altdorfie zwykle prosili Frantza i jego następców o zgodę na zabranie zwłok skazańców, ale gdzie indziej bywało tak, że żacy pozwalali sobie na nocne rabowanie cmentarzy i miejsc kaźni. Najbardziej zhańbionym łowcą zwłok w cesarstwie był niewątpliwie profesor Werner Rolfinck (1599-1673), którego upodobanie do tego, by wykradać trupy z miejscowej szubienicy, sprawiło, że studenci medycyny na uniwersytecie w Jenie upamiętnili jego aktywność nowym czasownikiem „rolfinkować”[438].

Osobiste zainteresowanie mistrza Frantza sekcjami zwłok wyróżniało go spośród katów, co stanowi jeszcze jedno potwierdzenie jego większych aspiracji medycznych. W roku 1548 rada miejska Norymbergi uznała, że zaledwie kilku lekarzy będzie mogło „rozcinać trupy nieszczęsnych skazańców” i to w obecności nielicznych osób. Na trzy lata przed pojawieniem się Frantza Schmidta w Norymberdze doktor Volker Coiter otrzymał zgodę na wykonanie sekcji zwłok dwóch złodziei i oddanie tłuszczu katu — do tegoż kolekcji remediów[439]. Taki tradycyjny rozdział pracy od robienia użytku z ciała mieli chyba na myśli rajcy, którzy przychyliili się do prośby nowego kata z lipca 1578 r. i przystali na to, by „rozprawać zwłoki skazańców i wszystko, co przydatne w leczeniu, zabierać”[440]. A jednak w dziennikowym zapisie na temat dalszego losu zwłok ściętego bandyty Heinza Gorssna (inaczej: Leniwego Heńka) 24-letni Frantz rzetelnie podaje informację: „Później rozciąłem [zwłoki]”[441]. Schmidt rzadko używał w dzienniku zaimka „ja”, możemy się więc domyślać, że w tym zapisie młody kat zapragnął upamiętnić nie lada osobiste osiągnięcie. I tylko o trzech podobnych sytuacjach mówi explicite (w latach 1581, 1584, 1590), przy czym w najpóźniejszym zapisie wyjaśnia swoje intencje słowami „wykonałem sekcję” (*adominirt*) „rozciąłem”. Być może Frantz po prostu przyswoił sobie poważniej brzmiący termin anatomiczny, aby określić własne rozpruwanie zwłok, ale zauważmy, że wyraził się tak samo, gdy przekazywał zwłoki złodzieja nazwiskiem Michel Knüttel miejscowemu lekarzowi dla wykonania pełnej sekcji — tę zrealizował w roku 1594 doktor Pessler. Innymi słowy Frantz Schmidt nie był zainteresowany tylko pozyskiwaniem użytecznych części ludzkich ciał — nie mniej pociągało go zgłębianie samej anatomii, czym mógł przypominać wielu lekarzy[442].



Volker Coiter (1534-1576) był lekarzem miejskim w Norymberdze. Podobnie jak jego następca, Joachim Camerarius Młodszy (1534-1598), pasjonował się anatomią i spotkała go nawet czasowa banicja za okradanie grobów (rok 1569).

Amatorska eksploracja anatomiczna miała oczywiście zakres bardzo skromny, choćby prowadzono ją z pomocą mniej unaukownionych wersji dzieła Vesaliusa i choćby, jak w przypadku Frantza Schmidta, przydawało się doświadczenie lecznicze, nie mówiąc już o koniecznym zapasie zwłok. Na przejawianą przez Frantza ciekawość anatomii człowieka wywierała pewien wpływ sama epoka, w której większość ludzi spoza kręgu fachowców była zafascynowana tym, co dziwaczne i nietypowe, lecz nie interesowała się tworzeniem takich czy innych teorii jako efektów obserwacji, zajęcie to pozostawiając przedstawicielom filozofii przyrody oraz teologom; nie wykluczamy także braku świadomości tego, że twórczy wkład w tworzenie systemów teoretycznych jest w ogóle możliwy. W diariuszu Frantza Schmidta dopiero w drugiej połowie życia pojawiają się okazje do systematycznego poznania zwłok ofiar, jak również dowody na to, że był zainteresowany charakterami tych ludzi. Otóż kiedy zaczął pisać dziennik, zdarzyło się Frantzowi zauważyć, iż miał do czynienia z „trzema złodziejami w młodym wieku, obdarzonymi siłą” albo wspomnieć mimochodem o tym, że uśmiercony zbójca „jest człowiekiem jednorękim”^[443]. Dowiadujemy się ponadto o balwierzu nazwiskiem Balthasar Scherl, iż „był małej postury i miał garb, tak z przodu, jak i z tyłu”, a żebraczka Elizabeth Rossnerin odznaczała się „wykrzywioną szyją”^[444]. Po latach Frantz pisze — z precyzją znamionującą tu amatora, który traktuje siebie bardzo poważnie — o tym, że ścięty złodziej Georg Praun (inaczej: Gruby Język) „miał szyję długą na dwie piędzi, a jej grubość równała się szerokości dłoni [orientacyjnie: 48 na 20 centymetrów], że Laurentz Demer (czyli:

Długi Włoscianin) „miał o dwa palce mniej niż trzy łokcie wzrostu [tj. około 224 cm] i że wychłostany Simon Starck „ma 92 ślady po ospie”. Wszystkie te fakty były do ustalenia dzięki wykonywanym osobiście skrupulatnym sekcjom zwłok[445]. Jedynym zapisem odbiegającym od manifestowanego naukowego obiektywizmu jest ten, który powstawał po ścięciu złodzieja Georga Prauna, wtedy bowiem skazaniec „kilkakrotnie obrócił głowę [na kamieniu], jakby chciał przemówić i trwało to ponad kwadrans. Podobnej sytuacji nie zdarzyło mi się oglądać nigdy przedtem”[446]. Jak większość kronikarzy z początku ery nowożytnej zdziwiony kat nie silił się na wyjaśnienie, lecz po prostu odnotowuje coś godnego uwagi.

Czarna magia

Lecznicze umiejętności katów, jak również ich orientacja w niedozwolonych praktykach świata przestępczego sprawiły, że z profesją katowską kojarzono zarazem dobrą znajomość sztuk tajemnych. Według ludowych wierzeń kaci ze swymi czarodziejskimi mieczami (nurzanymi w krwi niedawno ściętych młodych mężczyzn) potrafili pokonać wampiry i wilkołaki, wywoływać duchy zmarłych, a także swoistymi egzorcyzmami przepędzać duchy straszące w domach. W pewnej charakterystycznej ludowej opowieści z dawnych czasów domowy duch, który daje się szczególnie we znaki, jest powodem rywalizacji między egzorcystą z zakonu jezuitów a katem, przy czym ten ostatni odnosi w końcu zwycięstwo, ponieważ kłopotliwy duch trafia do jęgo worka, skąd zostaje później uwolniony gdzieś w lesie. XVI-wieczne norymberskie kroniki wspominają o dramatycznym zdarzeniu tego rodzaju — wyjątkowo — w roku 1583, gdy Frantz był jednym z wielu obserwatorów zaaprobowanego przez władzę wypędzenia demonów, czego podjął się pewien luterański pastor[447].

Oczywiście w napiętej atmosferze, za sprawą ogólnoeuropejskich polowań na czarownice, które przypadły orientacyjnie na lata 1550-1650, jakiegokolwiek skojarzenie z magią — nawet leczniczą — mogło okazać się bardzo niebezpieczne. Nie brakowało takich, co w szczytowym okresie paniki spowodowanej przez „wiedźmy”, a więc na początku XVII stulecia, kiedy wszelkie praktyki magiczne zaczęto uważać za wymysły szatana, postrzegali każdego kata jako „kryjącego się czarownika” oraz „nauczyciela czarownic”. Mimo późniejszej rehabilitacji monachijski kolega Frantza nie odzyskał spokoju ducha po tym, jak w 1612 r. trafił do więzienia za nielegalne uprawianie magii (na podstawie dowodów przedłożonych sądowi przez oskarżającego jezuitę). Nawet następca Schmidta został upomniany jako realizator „czynów magicznych” i zagrożono mu banicją „albo czymś gorszym”, gdyby rajcy dowiedzieli się o jego kontaktach ze „złym duchem”. Mniej poszczęściło się pewnym innym osobom z katowskiego środowiska, że wspomnimy tu o wdowie po późniejszym norymberskim Lwie, która w jednym tamtejszym procesie o rzekomy pakt oraz uprawianie seksu z szatanem[448] stanęła przed sądem i została spalona żywcem za czary.

W miarę często bywało jednak za czasów mistrza Frantza tak, iż kaci profesjonalści przydawali się samozwańczym łowcom czarownic jako nieodzowni sprzymierzeńcy. Johann Georg Abriel, kolega Frantza z Schongau, i Christoph Hiert z Biberachu sami byli wziętymi specjalistami w odnajdywaniu tak zwanego znamienia czarownicy i w latach 90. XVI wieku niejako ułatwili polowanie na kobiety w Bawarii i w Górnej Szwabii. Innym katom przypadły nie mniej istotne role — tyle, że w wymuszaniu torturami oczekiwanych wyznań i w sianiu paniki. Odtóż na południu Niemiec odbyło się więcej egzekucji z powodu czarostwa niż gdziekolwiek indziej w Europie — bodaj 40% kaźni z ogólnej i przerażającej liczby 60 tysięcy —

a Frankonia stała się miejscem kulminacji tego szaleństwa, z najbardziej haniebnymi przypadkami paniki w Bambergu i Würzburgu w latach 1626-1631, której konsekwencją były wyroki śmierci wykonane na co najmniej dwóch tysiącach osób[449].

Pod tym względem miasto Frantza stanowiło oazę powściągliwości pośród szerzącego się obłędu. Aż do ostatniej ćwierci XVI stulecia oglądano w Norymberdze tylko jedną egzekucję osoby skazanej za magię, a właściwie w grę wchodziło przypadkowe otrucie afrodyzjakiem — na niespełna 60 lat przed przybyciem Frantza Schmidta do miasta[450]. Ale lipiec 1590 r. pokazał, że i ta aglomeracja nad rzeką Pegnitz do pewnego stopnia uległa powszechnej w tamtych stronach hysterii. Rada miejska zareagowała szybko, ale inaczej niż władze pozostałych państweczek aresztowała i uwięziła Friedricha Stiglera, człowieka wyganego z Norymbergi, katowskiego pomocnika w Eichstätt, „za to, iż oskarżył niektóre połowice tutejszych obywateli o czarowanie, na co wskazał ponoć ich znamiona, jak i rzucanie uroków na innych ludzi”[451].

Stigler, który przechwalał się niemałą wprawą nabytą dzięki pracy dla kolegi Frantza w Eichstätt, zapewniał, że tylko na swojej ulicy rozpoznał 11 czarownic, a konkretnie 5 kobiet starszych wiekiem i 6 „uczących się dziewcząt”. Przesłuchiwany przez mistrza Frantza, także z torturą *strappado*, nowo przybyły weteran polowań na wiedźmy zeznał, iż początkowo odrzucał prośby miejscowych obywateli i pomoc w wykrywaniu norymberskich czarownic, gdyż doszedł do wniosku, że to miasto „ma własnego kata”, który może się czymś takim zająć. Niewykłuczone, iż tym stwierdzeniem Stigler postanowił wytknąć Frantzowi łagodność wobec czarownic, ale odniósł odwrotny skutek, jako że lojalni chlebobdawcy kata mieli nie mniej sceptyczny stosunek do wszelkich pomówień o czary. Niezrażony tą reakcją Stigler opowiedział z kolei, że nieustępliwi petenci wymusili na nim, aby podzielił się z nimi swą wiedzą, co też uczynił, sprzedał im bowiem — za cenę 1 orta (1/4 guldena) każdą — torebki zawierające poświęconą sól, chleb i воск. Według Stiglera, „te torebki, które nauczył go wytwarzać jego przełożony, kat z Abensbergu, chronią przed czarownicami i są użyteczne przy szukaniu u nich diabelskiego znamienia, to zaś — jak każdy wie — jest odporne na ból zadawany igłą”[452].

Obdarzeni władzą sędziowską rajcy nie dali wiary „fałszywym oskarżeniom” z ust Friedricha Stiglera — zarówno nieprzemysłanym, jak i cynicznym — i zaniepokoiili się bardziej jego znajomością magii oraz trzema żonami. Nade wszystko, dla zapobieżenia panice w mieście, skazali „bezbożnego” Stiglera na karę śmierci, „albowiem dał sumpt do wszelakiego zamętu, fałszywych podejrzeń, jako i zwaśnienia obywateli, nadto przyczynił się gdzie indziej do bezbożnego, zabobonnego rzucania rozmaitych uroków i zachęcił do pewnych knowań oraz inszych zakazanych sztuk magicznych”[453]. Dnia 28 lipca 1590 r. Stiglerowi „okazano łaskawość”, został bowiem ścięty przez mistrza Frantza[454].



Trzy rzekome czarownice zostają spalone żywcem w Badonii. Powszechne w całej Europie polowania na czarownice zbiegły się prawie dokładnie w czasie z latami życia Frantza Schmidta (rok 1574).

Zdecydowana reakcja władz Norymbergi na to pierwsze poważne starcie z paranoicznym tropieniem czarownic spotkała się z pełną aprobatą ze strony Frantza Schmidta. Skoro powszechnie przypisywano katom uwikłanie w sztuki tajemne, był on szczerze ucieszony karą dla tak niegodziwego przedstawiciela jego zawodu. To, że Stigler „umyślnie krzywdził [oskarżone niewiasty]”, zyskało mu jeszcze większą pogardę mistrza Frantza, który nie cierpiał oszczerstw. Co najważniejsze, pojawiały się oskarżenia o czary, a także wielki strach przed nieuchronnym wtedy zamętem i bezprawiem. Zapewne ze zdumieniem i odrazą przypatrywał się masowemu skazywaniu i paleniu na stosach, do czego dochodziło w — znanej mu z okresu wędrówek za pracą — Frankonii. Podobnie jak Stigler, Frantz był, dzięki wcześniejszemu zatrudnieniu w Bambergu, świadomy metod stosowanych przez tych, co polowali na czarownice, a także niebezpieczeństw, na jakie narażały zeznania w czasie tortur, gdy uciekał się do nich ktoś, kto miał w tym wprawę. Istotna rola zawodowych katów w takim nieuczciwym procedowaniu musiała być dla Frantza Schmidta przyczyną dyskomfortu albo nawet zawstyżenia.

Norymberscy rajcy stawiali jeszcze przez następne 20 lat silny opór panice, która ogarniała okoliczne państewka. Niespełna pół roku po uśmierceniu Stiglera wymuszone torturami zeznania kobiety podejrzanej o czary w sąsiedniej marchii ansbachskiej sprawiły, że

aresztowano dwie inne niewiasty z wiosek podlegających jurysdykcji norymberskiej. Po starannym zbadaniu oskarżeń sformułowanych w obu przypadkach jurysdyści z Norymbergi nie znaleźli uzasadnienia dla tortur i zalecili wycofanie się z oskarżeń. A gdy mistrz Frantz uznał, że podeszły wiek obu kobiet wykluczałyby przetrwanie fizycznego przymusu, rada miejska zarządziła, aby obie wypuszczono na wolność. W następnym roku sędziowie z marchii dowiedzieli się o zatuszowanym samobójstwie rzekomej czarownicy, mieszkanki miasta Fürth (w granicach ich jurysdykcji), po czym zażądali nie tylko ekshumowania i spalenia zwłok, lecz także konfiskaty całego mienia rodziny. Znowu w obawie przed paniką norymberscy jurysdyści ripostowali, że nie można ustalić ponad wszelką wątpliwość, czy owa niewiasta zawiąła, ani tego, że odebrała sobie życie, toteż postanowili wspierać bolejącego wdowca i jego syna, póki ci byli dalej nękani na gruncie prawnym przez ansbachskich sędziów. W kolejnych latach rada miejska Norymbergi uwolniła trzech mieszkańców Altdorfu, skonfiskowawszy tylko ich „księgi magiczne i talie kart”, jak również przywróciła wolność dwóm starszym kobietom, które zostały — każda osobno — oskarżone o czarodziejskie praktyki lecznicze. Kara spotkała jedynie krzywoprzysięcę Hansa Rössnera, który powtórzył błąd, jaki wcześniej przytrafił się Stiglerowi, a mianowicie pomawiał i oskarżał o czary, ale Rössner uniknął śmierci, skazany tylko na zakucie w dyby i dożywotnią banicję (z groźbą egzekucji, gdyby powrócił)[455].

Ani mistrz Frantz, ani jego przełożeni nie negowali skuteczności magii jako takiej, ale chcieli wiedzieć, czy stosując ją, nie wyrządzono komuś krzywdy, którą nazwano *maleficia*. Schmidt odnotowuje ze spokojem, iż ostatni nieszczęsny grzesznik spośród osób ściganych przez nich, Georg Karl Lambrecht, „zajmował się i rzucaniem uroku”, ale skoro żadne niecne czyny, *maleficia* nie wyszły na jaw, to w sentencji wyroku zabrakło wzmianki o nich jako przestępstwach[456]. Autor diariusza uznaje za istotną tę okoliczność, iż Kunrad Zwickelsperger, który „dopuszcił się porubstwa” z zameżną Barbarą Wagnerin, „dał dwa guldeny starej wiedźmie, iżby przyczyniła się do zadźgania, pokonania w boju lub utopienia [małżonka Barbary]”, jednakże wyrok skazujący miał poważniejsze podstawy, gdyż Zwickelsperger po wielokroć namawiał kochankę, by otruiła męża (co gorsza, sypiał z matką i trzema siostrami Barbary)[457]. Niejeden raz pisze Frantz o „magicznych” klątwach jako domniemanych przyczynach aktów przemocy, przesądzających także o ich przebiegu: młody rzeźnik, wyspecjalizowany w uboju koni, „zaczarowuje” publicznie nieuczciwego człowieka, „iżby ów zaraz umarł”; wioskowy postrach grozi sąsiadom, że „puści z dymem ich dom, po czym obetnie i połknie ich dłonie”[458]. Niejako antycypując konstatacje o kilka wieków późniejszych przedstawicieli antropologii historycznej, Frantz napisał, że takie klątwy i groźby są często objawami własnej bezsilności. Aresztowana złodziejka Anna Pergmennin zagroziła, że „wespół ze starą wiedźmą, która wytwarza miotły, odleci na miotłach”, a Schmidt uzupełnia zapis zgryźliwym komentarzem: „tak się nie stało”[459]. Widoczne tu branie pod uwagę tej ewentualności, że coś mogło się wydarzyć, odróżnia jego sceptyczną postawę od naszej, ale niezmienna odporność na historyczne ściganie czarownic dorównuje naszej obojętności.

Podobieństwo poglądu Frantza Schmidta na ową histerię do tego, jaki reprezentował współczesny mu lekarz Jan Wier, sugeruje, że znane było katu dzieło Wiera pod tytułem *De praestigiis daemonum (O złudnym istnieniu demonów)*, pierwsze wydanie po niemiecku: 1567), już to pośrednio, już to dzięki własnej lekturze. Ten najślynniejszy (i stale atakowany) wczesny przeciwnik polowań na czarownice nie wykluczał skuteczności magii, ale twierdził zarazem, że ogromna większość kobiet, które miały siebie za czarownice, uległa złudzeniu albo posunęła się do oszustwa. Resztę określił jako świadome trucielki, tak czy inaczej winne straszliwej zbrodni. Nie inaczej niż ich rówieśnik, Michel de Montaigne, i Wier, i mistrz Frantz manifestowali pełne zrozumienie przemożnego wpływu różnych emocji na wyobraźnię

człowieka, którzy potrafili dostrzec tak u prawdopodobnych ofiar, jak u domniemyanych sprawców przestępstw.

Niewątpliwie mistrz Frantz rozpoznawał autentyczną psychiczną udrękę niejednego spośród nieszczęśliwych grzeszników, których musiał oglądać i którzy zdążyli siebie samych przekonać o nieuchronnej zależności do szatana. Uwieszony w lochu złodziej Georg Prückner wyznał, iż nocny strażnik w Kreinbergu wręczył mu był coś przeciw ranom, wszelako w zamian przyszło mu przysiąc, że nie pomyśli już nigdy o Bogu i zaniecha modlitwy, co też uczynił i powierzył siebie szatanowi. Spróbował się wy dostać z lochu i zadziwił zaiste swoim zachowaniem, jakby nękał go zły duch.

Umiarkowane słowa kata, owo „zaiste..., jakby...” świadczą tyleż o akceptacji dla istnienia diabelskiej mocy, co o jego przekonaniu, że Prückner okłamał samego siebie. Ani Frantz, ani kapelan, magister Müller (ten pomstował, że na odległej o dwie przecznice plebanii przy kościele świętego Sebald nie mógł spać z powodu hałaśliwego zachowania Prücknera), nie dostrzegli w udręczonym przestępcy ucznia szatana, a potem uznali zgodnie, iż „[pod koniec] zachował się na modłę chrześcijańską” [460]. Innymi słowy, Schmidt wierzył w to, że kuszenie, jakiego podejmuje się zły duch, może oddziaływać na kogoś nieodpornego, chociaż i sabaty czarownic, i wszelkie inne podobne spotkania w świecie fizykalnym uznał za wytwory fantazji. Lienhard Schwartz, który trafił do więzienia jako złodziej, podjął desperacką próbę odebrania sobie życia — najpierw nożem, a później z użyciem rozdartej koszuli (na niej chciał się powiesić), i wyznał, iż „usłyszał czyjś głos, choć nikogo nie widział, głos, który zapowiedział rychłą pomoc, jeśli on mu się podda”. Mistrz Frantz dopowiada dobitnie, że „po tym wyznaniu ów człowiek okazał skrucę, aliści gdyby głos odezwał się znowu, mogłoby nastąpić co innego” [461]. Ewentualną przynależność i realność głosu pomija kat milczeniem.

Resztki grozy, jaką niegdyś wywoływała u Frantza Schmidta tak zwana czarna magia, przekreśliła skutecznie jego wieloletnia praca w izbie tortur. Zdążył tam doświadczyć trwałości niezliczonych daremnych złudzeń zawodowych przestępców, którzy nie zetknęli się z ani jednym przypadkiem rzeczywistego działania takiej magii. W swoim diariuszu pisze on nierzadko o pożałowania godnej naiwności tych, co uwierzyli w niewidzialność, w ochronę dzięki uciętych częściom cudzych ciał, fragmentom szubienicy albo innym talizmanom. W czasie pewnego przesłuchania niepoprawny złodziej miodu, Peter Hoffman, kilkakrotnie powtórzył, że czaszka i kości, które przy nim znalezione, kiedy został aresztowany, nie miały służyć niczemu, co byłoby naganne, lecz kurowaniu epileptyków (wyparł się on także czarodziejskiego sprowadzenia z daleka utraconej partnerki, ale później zeznał, że w tym samym celu, zamierzyszy — zresztą daremną — magię miłosną, przywłaszczył sobie jej bieliznę osobistą). Nie chcąc pogrążyć Hoffmana w pisanym przez siebie dzienniku, Schmidt woli podkreślić liczne kradzieże i cudzołóstwo, a nieszkodliwych „zaklęć i czarów” wcale nie brał pod uwagę [462]. Nawet osławiony Georg Karl Lambrecht wyznaje najpierw, przyparty do muru, że „jest on prawdziwym czarownikiem i mistrzem sztuk diabelskich”, ale w końcu stwierdza tylko, iż nabył amulet i parę zaczarowanych skrawków papieru, aby chronić się przed strzałami z pistoletów. Co więcej, Lambrecht wypróbował „czarodziejskim sposobem chroniącą” czaszkę na psie (ten zdechł niebawem, kilkakrotnie postrzelony) i wyciągnął z próby wniosek, że „działania i przechwałki tych wagabundów są fałszywe, wyimaginowane, przeto nie chce z takimi ludźmi mieć dalej do czynienia” — wniosek, do którego kat doszedł zapewne o wiele wcześniej [463].

Ogromną większość tak zwanych specjalistów w dziedzinie magii, z którymi Frantz Schmidt zetknął się w swojej karierze, można by po prostu uznać za oszustów. Różgami wypędzą on z miasta Cunza Hoffmanna, „rzekomego znawcę planet [tj. astrologa] i człowieka, który umie czytać z dłoni”, jak i cztery wróżące cyganki, a ponadto „wróżkę i poszukiwaczkę

skarbow", Annę Domiririn, która „otrzymała nieomal 60 guldenów i 5 złotych pierścionków od pani Michaeli Schmiedin, i to w jednym dniu”. Biorąc przykład z wielu wędrowców złodziej i szuler Hans Meller dorabiał handlem przedmiotami magicznymi: skazano go między innymi za to, że powlekał tuszczem żółte rzepy, wtykał w nie włosy i sprzedawał jako ponoć lecznicze mandragory[464]. Stręzczyielka Ursula Grimin (zwana Błękitną) oświadczyła, że jest niewiastą przebiegłą i potrafi orzec, który mężczyzna mógłby spłodzić jakie dziecko, prócz tego informowała klienta, iż dla ochrony przed niechcianą ciążą powinien czym prędzej wniknąć w jej służkę; jeśli tak nie uczyni, przyjdzie mu czekać pospołu z kochanicą, póki [Grimin] nie powie: „Popatrzmy , co porabia moja owieczka, moja mała”, a potem obnażywszy się przed mężczyzną, wołała: „Hej cipko, połknij tego człowieka”.

Naiwność klientów Ursuli Grimin bawi Frantza ogromnie, bardziej wszakże dość niewinne oszustwo młodego pasterza ze wsi Weyer, „który przez dwa lata udawał domowego ducha, szarpiąc ludzkie głowy, włosy i stopy, kiedy insi spali, dzięki czemu mógł potajemnie miłować córkę gospodarza”[465].

Osobą, która Schmidt poznał, kiedy jeszcze pracował w zawodzie kata, jako najbardziej bezwystną w uprawianiu — zresztą z powodzeniem — magii oszukańczej, była niewątpliwie jedyną szwaczka z miasta Vilsack, Elizabeth Aurholtin; nazwała siebie Poszukiwaczką Złota. Mieniając się „złotym dzieckiem urodzonym w niedzielę”, zgromadziła ponad cztery tysiące guldenów w taki sposób, że wmawiała przedstawicielom wszelkich stanów, iż potrafi docierać do ukrytych skarbow i uwalniać je od obecności smoków, węży i psów, czyli zwierząt, które ich strzegą[466]. W ocenie kata kluczem do sukcesu tej kobiety nie był repertuar „diabelskich zaklęć i ceremonii”, nieskutecznych głupstw, lecz oczywisty dar nadawania wiarygodności różnym i całkiem nieprawdopodobnym opowieściom. Wysłuchawszy jej opowiadania o zatopionym zamku i ukrytym tam żelaznym kufrze pełnym skarbow, trzech z początku sceptyczni mężczyźni dokopywali się przez cały dzień do białej żmii, której chcieli użyć „gwoli zaczarowania skarbu, iżby wypłynął spod wody”. Inni tracili wiele dni na wędrowki z „czarodziejką” i jej różdżką, niezrażeni całkowitym brakiem efektów i gotowi płacić coraz więcej za specjalne usługi owej kobiety.

Mistrz Frantz nie posiada się ze zdumienia w obliczu tupetu tej sprytniej oszustki oraz łatwości jej pazernych ofiar. O największym sukcesie pani Aurholtin pisze nadzwyczaj szczegółowo:

Oto jak oszukiwała. Zapragnąwszy zwodzić w cudzych domach, zwykła padać, jakoby zaniemogła lub nękały ją konwulsje, potem zaś twierdziła, iż w lewej nodze ma mądrą żyłę, która pozwala przepowiadać i wyjawiać przyszłe zdarzenia, jako też odkrywać tajemne skarby, nadto zapewniała, że ilekroć wchodzi do czyjego domu, żyły dają jej się we znaki, póki owych rzeczy nie ogłosi. Krom tego otwierają się przed nią królestwa ziemi i widzi w onych złoto i srebro, jakby patrzyła w ogień. Gdy kto powątpiewał, prosiła, iżby dano jej spędzić noc w tymże domu, gdzie chciałyby rozprawić z duchem skarbu. Zaproszona udawała w nocy (szepcząc, pytając i udzielając odpowiedzi), iż ktoś odzywa się do niej, a później utrzymywała, że nieszczęsna dusza, która błądzi w domu, dopóty nie zazna spokoju, dopóki skarbu nie wykopie. Tak oto pozwalali, iżby ich przekonywała, dawali wiarę takowym opowieściom, a to z przyczyny strasznych zaklęć i zapewnień, którymi zachęcała też do kopania w ziemi. Kiedy ono trwało, potrafiła w otworze umieścić kociołek napełniony bryłkami węgla i twierdzić, że wykopała go własnymi rękoma. Następnie przykazywała, iżby raz w tygodniu pozostawiono ów w jakim kufrze i tam nie

dotykano, a gdy sama go wyjmie, ukaże się złoto, wszelako bryłki węgla były dalej bryłkami węgla.

Co było do przewidzenia, Schmidt jest szczególnie zdziwiony tym, że pani Aurholtin śmie lekceważyć ustaloną hierarchę społeczną. Szukuje ona wiele osób dobrze sytuowanych, co więcej, zostaje dzięki darowi przekonywania przyjęta do domu przez pewnego arystokratę i to ze swą córeczką, ponadto dwie inne osoby spośród tej elity godzą się wystąpić jako rodzice chrzestni jej dziecka. Kiedy indziej powołuje beczelnie patrycjusza będącego we władzach Norymbergi na świadka tego, że ponoć „sprawiła, iż przy domu pana Endresa Imhoffa wytrysnęła fontanna złota, nadto wykopano złoty skarb, mianowicie szczerozłote posągi bożków”. Mistrz Frantz nie traktuje żadnych zapewnień tej kobiety, że posiada ona moc nadprzyrodzoną, poważnie, ale jest pełen podziwu dla jej talentu narracyjnego.

Katowskie dziedzictwo

Jeszcze na krótko przed końcem szóstej dekady życia nie było po mistrzu Frantzu widać zbyt wielu oznak znużenia pełnionymi przezeń obowiązkami. Rzadziej co prawda jeździł do pracy — po roku 1611 zapewne wcale — nadal jednak wykonywał osobiście prawie każdą chłostę i większość innych kar cielesnych, i to w wieku, który zwykle zachęcał kolegów do zlecenia takich uciążliwych zadań młodszym pomocnikom[467]. Pierwsza zapowiedź kresu sił pojawiła się w lutym 1611 r., kiedy zdarzyła się w jego karierze egzekucja całkiem nieudana, ponieważ musiał uderzyć trzy razy, aby ściąć winną kazirodztwa i cudzołóstwa Elizabeth Mechtlin. Widzom zaparło dech na widok „zawstydzającego, wręcz ohydneho” wykonania tego wyroku śmierci przez 57-letniego weterana[468]. Jedynym komentarzem kata do tej głośnej kompromitacji było zamieszczone na końcu odnośnego zapisu w diariuszu słowo „partactwo”. W następnym roku pewien darzony szczególną pogardą stręczyciel i konfident władz wymknął się katu, gdy był różgami wypędzany z miasta, po czym został ukamienowany przez rozwścieczony motłoch. W efekcie przeprowadzono oficjalne śledztwo i bezprecedensowo upomniano kata weterana[469]. Nastąpiły potem jeszcze dwie złe wykonane egzekucje: pierwsza w drugiej połowie roku 1613, mianowicie 17 grudnia, druga 8 lutego 1614 r.; żadnej z nich nie określa Frantz w diariuszu jako spartaczoney. Mimo wszystko raczej nie domagano się odejścia leciwego kata na emeryturę i w ciągu kolejnych 34 miesięcy posłał jeszcze 18 nieszczęsnych grzeszników na tamten świat.

Jak się potem okazało, ostatni rok katowskiej kariery mistrza Frantza zaczął się zwyczajnie, od dwóch prawidłowych ścięć i kilku chłost. Ale oto w nocy z 30 na 31 maja ktoś przewrócił norymberską szubienicę (chyba wzięto w tym udział parę osób)[470]. W dzienniku Schmidta nie ma wzmianki o samym fakcie i wątpliwe, czy przypisał mu jakiegokolwiek znaczenie — potraktował je zapewne jako akt pijackiego wandalizmu. Ale niespełna miesiąc później Schmidt odnotowuje wydarzenie bardziej irytujące, z 29 lipca 1617 r., gdy miał zawisnąć koniokrad Lienhard Kertzenderfer (inaczej Leos Krowiarz). Według pewnego kronikarza, pierwszą próbę wejścia na szubienicę, którą podjął kat, udaremnił „nagły wicher”, jako że zmiotł on stamtąd dwie drabiny, po czym trzeba je było sprowadzić i przymocować. Tak czy inaczej mistrz Frantz i „całkiem oghupiały, nieszczęsny grzesznik” nie mogli się posuwać do przodu za sprawą silnych podmuchów wiatru, „który dął i hulał tak, iż miałał ludzi”. Kiedy jednak skazaniec, nie zmówiwszy modlitwy, gdyż się tego wyrzekł, w końcu

zawiał, „wiatr ustał i zapanowała zupełna cisza”. I „znikąd pojawił się wówczas zając, pobiegł pod zubienicę, i dalej w tłum”, ścigany przez psa, „którego nikt nie rozpoznał” (wielu widzom wydał się demonem w pogoni za duszą nieszczęsnego grzesznika). Wstrząśnięty, ale oględniejszy mistrz Frantz napisał, nie mając pewności, że „jeden Bóg raczy wiedzieć, jakież to zając i jakież ma cel” [471].

Nie przejmując się chyba ani złymi znakami, ani podeszłym wiekiem, mistrz Frantz powiesił w następnych pięciu miesiącach trzech złodziei, a dwóch wychłostał, aż nadeszła pora ostatniej egzekucji w jego karierze. Georg Karl Lambrecht, fałszerz, miał spłonąć żywcem 13 listopada 1617 r. i było to rzadkie w Norymberdze wydarzenie, dopiero drugie wykonanie wyroku taką metodą w ciągu z górą 40-letniej służby Frantza Schmidta. Norymberscy rajcy, zawsze spragnieni spektakularności prawomocnych aktów przemocy, zażądali od kata, by przyspieszył śmierć skazańca już to zawieszeniem woreczka z prochem strzeleckim na jego szyi, już to wcześniej go udusiwszy, „byleby tłum się nie spostrzegł” [472]. Mistrz Frantz odparł, że woli go udusić, ponieważ może chybić celu albo wybuchnąć z taką siłą, iż ucierpią Ci, co znajdują się poblizu. Jak zwykle rajcy zdali się na jego fachowość i poprosili jeszcze raz o to, by dusił „nie dając tłumowi niczego zauważyć”. Nie tyle miłosierdzie, ile potrzeba efektywności przesądziła o decyzji rajców — w obliczu palenia żywcem należało utrzymać grozę wśród gawiedzi.

Egzekucja Lambrechta zapowiadała się na jedną z najłatwiejszych w zawodowym życiu Schmidta. Jak twierdził więzienny kapelan, nieszczęśliwy grzesznik w ostatnich pięciu tygodniach „więcej rozprawił z Bogiem niżli z ludźmi”, nieustannie się modląc i tonąc we łzach [473]. Odbiwszy pełną spowiedź i przyjąwszy w celi komunię świętą — na pięć dni przed terminem egzekucji — Lambrecht oznajmił, że „nie będzie kazić ni płamić ciała jedzeniem czy picciem”. Wędrówka na miejsce egzekucji też była przykładna, gdyż nieszczęsny grzesznik na przemian modlił się głośno i prosił mijanych ludzi o przebaczenie. Co wielce ucieszyło mistrza Frantza, skazaniec odbył jeszcze jedną — końcową — spowiedź i po raz ostatni błagał o wybaczenie, zanim padł na kłęczki, aby zmówić Modlitwę Pańską i parę innych.

Frantz uznał w końcu, że lepiej będzie zawiesić mu woreczek z prochem i dyskretnie udusić — wbrew swojej argumentacji wobec rajców. Chyba nie miał pewności co do skutku uduszenia w dyskretny sposób, ale nie mógł oczywiście przewidzieć tego, że oba zabezpieczenia okazały się daremne i przyniosą tyłż bolesną, co spektakularną porażkę, której świadkami byliśmy już na początku książki. Przywoitość nie pozwala Schmidtowi zrzucić winy za niedoskonałe uduszenie na Lwa, Clausa Kohlera — ani wobec przełożonych, ani w prywatnym diariuszu. Tam jest zręcznym rewizjonistą, ponieważ przedstawia owo spalenie żywcem jako egzekucję pomyślną i neguje, jakoby cokolwiek zawiodło. Wbrew późniejszym rękopiśmiennym kopiom dziennika nie uznaje również tamtej egzekucji za końcową i nie schodzi z placu boju, trzy tygodnie później bowiem osobiście zarządza chłostą, a 8 stycznia 1618 r. wykonując tę czynność ponownie i już po raz ostatni.

Finał 45-letniej kariery raczej nie mógłby nikomu zaimponować. Zakrystian z długim stażem, Lienhard Paumaister, powiadomił 13 lipca 1618 r. radę miejską, że czcigodny mistrz Frantz nazbyt zaniemógł, aby wykonywać którąkolwiek z egzekucji przewidzianych na następny tydzień. Paumaister nie określił bliżej samej choroby, ale Schmidt pisze, że zapadł na nią dokładnie dziewięć dni wcześniej. Poproszony o wskazanie „kompetentnej osoby” na swoje miejsce, „póki sam nie powróci do zdrowia”, Frantz Schmidt, co znamienne, nie kwapił się kogokolwiek wymienić z nazwiska: odpowiedział, że nie zna żadnej osoby godnej polecenia i poradził „wielmożnym panom”, aby zasięgnęli języka w pobliskim Ansbachu albo Ratyzbonie. Jeżeli kat weteran chciał zachować jakąś perspektywę dla siebie, to niebawem stracił wszelką

nadzieję. Przełożonym Frantza zależało na rychłym wykonaniu wyroków śmierci wydanych na złodzieja i dzieciobójcę, dlatego poszli po linii najmniejszego oporu, kiedy niespodziewanie tydzień później zgłosił się Bernhard Schlegel, kat zatrudniony dotąd w nieodległym miasteczku o nazwie Amberg. Pobieźnie przejrzawszy jego referencje, zaproponowali 2 i pół guldena na tydzień i służbowe mieszkanie. Kandydat nie omieszkał jednak — w bezpośredni sposób, który dał się potem norymberskim rajcom we znaki — żądać takiej stawki, jaką miał mistrz Frantz (czyli 3 guldeny tygodniowo), drewna opałowego na cały rok i natychmiastowego przejścia Domu Katowskiego. Nadal oczekując odpowiedzi z Ratyzbony, rada miejska przystała na warunki Schlegla i odebrała od niego ślubowanie przed dożywotnią służbą, której początek miał nastąpić w ciągu dwóch tygodni od pierwszej zapowiedzi rozstania się z mistrzem Frantzem. Zaledwie tydzień później nowy kat uciął na norymberskim Kruczym Kamieniu głowy swoich dwóch pierwszych ofiar^[474]. Ostatni zapis w prowadzonym przez niemal pół wieku diariuszu Frantza jest, a jakże, bardzo zwięzły: „4 lipca [1618 r.] rozchorowałem się i w dzień świętego Wawrzyńca [10 sierpnia] porzuciłem służbę, która trwała 40 lat”.

Zamanifestowanej tu łatwości przejścia Frantza na emeryturę zadaje kłam rychły wybuch wojny o wpływy między dotychczasowym katem a jego następcą, trwającej jeszcze wiele lat. Pozorna obojętność przełożonych na wzorową 40-letnią służbę mistrza Frantza świadczy chyba o tym, że nie kierowali się sentymentami, ale potrafili zachować dlań szacunek, a przyjęcie takiej postawy przychodziło im tym łatwiej, im korzystniej poprzedni kat wypadł w porównaniu ze swym następcą. Lojalność przełożonych wobec Schmidta była ewidentna od chwili przyjazdu Schlegla, wtedy bowiem norymberscy rajcy mieli tylko jedno zastrzeżenie do żądań nowego kata: poprosili o to, by Schlegel dał Frantzowi i jego rodzinie czas na poszukanie nowego domu oraz na opuszczenie obecnej siedziby. Ten racjonalny, jakby się zdawało, i nieszkodzący nikomu kompromis był przyczyną dożywotniego sporu między Schmidtem i Schleglem oraz ich rodzinami, któremu położyła kres dopiero śmierć obu katów.

Zaledwie dwa dni po pierwszych egzekucjach wykonanych w Norymberdze nowo zatrudniony Schlegel poskarżył się na to, że jeszcze (!) nie przygotowano mu tymczasowej kwatery w budynku dawnego szpitala zakaźnego i że pobyt w zajeździe naraża go na wielki dyskomfort i koszty. Rada miejska zareagowała natychmiast przyznaniem gratyfikacji w postaci 14 guldenów (równiej miesięcznym poborom), po czym delikatnie „zapytała mistrza Frantza”, kiedy ten będzie gotów opuścić Dom Katowski. Nastąpiła pierwsza demonstracja długotrwałej gry na zwłokę: Schmidt odpowiedział, że oczywiście zamierza kupić nowy dom, ale nie może się tym zająć z powodu choroby. Nie chcąc ponaglać szanowanego weterana, jego przełożeni zarządzili zatem przyspieszenie remontu dużego mieszkania dla nowego żonatego kata na trzecim piętrze budynku, który razem z rodziną miał dzielić z dwudziestoma najemcami w kawalerskim stanie, a od czasu do czasu pojawiały się tam także grupy połączonych łańcuchami więźniów. Dodatkowym ustępstwem wobec rozgniewanego chyba Schlegla było przyznanie mu przez radę miejską w ciągu paru kolejnych miesięcy kilku dłuższych urlopów „dla uporządkowania swoich spraw”, jak również 12 guldenów na koszty przenosin^[475].

W następnym roku rajcy odczuwali coraz większe rozczarowanie nowym katem i odpowiednio rósł ich respekt do jego poprzednika, gdyż uświadamiali sobie, że Bernhardowi Schleglowi daleko do Frantza Schmidta. Schlegel okazał się nieustępliwy nawet w sprawie pensji. Podczas gdy mistrz Frantz poprosił o podwyżkę tylko dwa razy w ciągu 40 lat (ostatnio w 1584 r.), mistrz Bernhard wciąż narażał na niedostateczne pobory, nawet kilkakrotnie w jednym roku. Rada miejska godziła się czasem na jednorazowe gratyfikacje w wysokości 25 guldenów, ale też odrzucała jego żądania — i to w coraz bardziej stanowczym tonie.

Niespełniona prośba Schlegla o pożyczanie sumy 60 guldenów pozwala się domyślać, że nowy kat nie tylko był pazyry, ale tonął w długach, pewnie za sprawą hazardu, opilstwa czy innych przejawów „żywota frywolnego”, co czyniło go zupełnym przeciwieństwem jego zawsze trzeźwego poprzednika, powszechnie darzonego szacunkiem. Nie minął jeszcze rok od przybycia Schlegla do Norymbergi, a już musiał stanąć przed rajcami, wdał się bowiem (obok szkółki szermierczej) w karczemną bójkę podczas scysji, którą wywołały docinki kolegów po fachu pod adresem kompana Schlegla. Ojcowie miasta nie przejęli się tradycyjnym domniemaniem „zakażenia” i ze swojej strony potwierdzili, że ów garncarz jest jednak godzien szacunku, ale zarazem upomnieli Schlegla, „iżby zachował większy umiar i nie brał udziału w karczemnych bijatykach pośród obywateli”[\[476\]](#).

Nikom nie udało się łatwo zastąpić człowieka, który zasłużył na estymę, dał się poznać jako żyjący skromnie, pobożnie i w trzeźwości — a było to jeszcze trudniejsze dla osoby z zewnątrz, dla kogoś, kto powszechnie uchodził za pazyry i konfliktowego i komu zarzucano życie ponad stan[\[477\]](#). Widmo mistrza Frantza musiało straszyć mistrza Bernharda, odkąd ten zjawił się Norymberdze, potem zresztą ośmieszany bywał często niepoehlebnymi dlań porównaniami z poprzednikiem, co zaczęło podważać zaufanie ogółu do profesjonalnych kwalifikacji Schlegla. Po kilku tygodniach od reprimydu za bratanie się w miejscu publicznym rada miejska „żarliwie upomniła” Schlegla, by zechciał z lepszym skutkiem dbać o porządek w czasie publicznych egzekucji. Niespełna rok później kat został zganiony, ponieważ wieszanie przeciągnęło się ponad miarę, Schlegel przewrócił drabinę i sam musiał ucześcić się poprzeczną belką, a tymczasem nieszczęsny grzesznik powoli dogorywał przez kilka minut, zanim wyzionął ducha, wykrzykując imię Jezusa. W końcu kat weteran uratował uczezionego belki kata — przedtem jednak obaj zostali obrzuceni zamazniętym błotem przez rozwścieczony tłum[\[478\]](#).

W 1621 r., mimo poważnych wątpliwości, znużeni rajcy przyznali wreszcie Schleglowi obywatelstwo miasta, czego mistrz Frantz doczekał dopiero po 15 latach służby, a czego mistrz Bernhard zażądał, gdy tylko trzy lata wcześniej przybył do Norymbergi[\[479\]](#). Ku konsternacji rajców nowy kat nie pracował jednak coraz lepiej. Gdy Schlegel winę za kolejną nieporadną egzekucję zrzucił na Lwa, rada miejska skarciła kata, zagroziwszy odprawieniem, jeżeli się natychmiast nie poprawi i „nie zaniecha pazerności”. Świadomy tego, że chlebobdawcy woleliby nie szukać nowej osoby, mistrz Bernhard nie bez trudu znosił regularne nagany i upokarzające przypomnienia przed egzekucjami, „iżby traktował [sprawę] poważnie i niczego nie popsuł”[\[480\]](#).

Wciąż atakowany niepoehlebnymi porównaniami z wielkim Frantzem Schmidtem, Schlegel chętnie wyładowywał na poprzednim kacie złość za jego trwający opór przed opuszczeniem Domu Katowskiego. Pretensje nowego kata były zasadne i trudno nie współczuć mu, skoro ciągle wyprowadzał go w pole przebieglejszy, lepiej utosunkowany rywal. Zapewne z powodu częstego uskarżania się Schlegla na tyle różnych rzeczy, jego biadolenie w sprawie dalszego koczowania Schmidtów w domu, który obiecano właśnie jemu, puszczano mimo uszu przez prawie siedem lat. Rajcy sądzili prawdopodobnie, że śmierć niemłodego Schmidta okaże się w miarę prostym rozwiązaniem problemu.

W końcu w 1625 r. zniszczenia wojenne, napływ uchodźców i kolejna zaraza wywołały taki kryzys lokalowy, że rajcy musieli wystąpić przeciw nadal pełnemu życia 70-letniemu mistrzowi Frantzowi. Prawdopodobnie potrzebując przestrzeni szpitalnej, zarządzili oni ewakuację ze szpitala zakaźnego, gdzie mieszkał Schlegel ze swą żoną, oraz usunięcia jego poprzednika z Domu Katowskiego, przy czym obiecali pokryć koszty przeprowadzki Schmidtów. Frantz znowu stawał opór, twierdząc, że przyrzeczono mu niegdyś ów dom dożywotnio, czym pewnie zadziwił, ponieważ przeczył samemu sobie — przeprowadzkę deklarował przecież już siedem

lat wcześniej. Jego taktyka odnosiła jednak skutek i rajcy poradzili Schleglowi szukać innego lokum na własną rękę. Gdy urzędnik biura kryminalnego powiadomił później, iż nie znalazł w oficjalnych rejestrach żadnego śladu dożywnotnego przydziału dla Schmidta, ten od razu zmienił taktykę. Oświadczył, że wypatrzył odpowiedni dom dwie przecznice dalej, przy Obere Wöhrdstrasse, ale zażądał od rady miejskiej, aby ta wsparła go finansowo sumą 75 guldenów na pokrycie corocznej hipoteki. Sam dom, złożony z dwóch, był od 60 lat własnością znanego złotnika, kosztował niemało, bo 3000 guldenów, i wymagał sporej zaliczki, która wynosiła ponad 12,5% ceny. Rajcy, spragnieni szybkiego zakończenia sprawy, nie sprzeciwili się kosztowi i sprawdzili tylko, że pieniądze zainwestowane przez dawnego kata przynoszą mu roczne odsetki w wysokości zaledwie 12 guldenów, po czym przyznali Schmidtowi 60 guldenów corocznego stypendium. Zaraz po 1 maja 1626 r. (dniu świętej Walpurgi) Frantz Schmidt w końcu opuścił dom zajmowany przez niemal 50 lat, a wprowadził się tam z wielką radością Bernhard Schlegel[481].

Tuż po zwycięstwie Schlegel przeniósł swoją niechęć do szanowanego mistrza Frantza na obszar medyczny, gdzie też rywalizowali. Wcześniej nowy kat wchodził w konflikty głównie z miejscowymi balwierzami chirurgami, którzy rychno zaczęli się skarżyć na agresywne nękanie przezeń ich pacjentów[482]. W pewnym momencie rajcy zganili go za wmieszanie się do leczenia magicznym sposobem kogoś, kto był chory umysłowo i przypomnieli, że powinien się ograniczać w swojej pracy do „urazów zewnętrznych”[483]. Schlegel znów pokazał, że brak mu dyplomatycznego talentu poprzednika i ucierpiała na tym jego zawodowa reputacja. Kilka razy zdarzyło się nawet, że mistrz Frantz miał okazję upokorzyć go tym, że podważył jego rozpoznanie[484]. Od przejścia Domu Katowskiego nie upłynął jeszcze rok, a Schlegel zdążył się poskarżyć rajcom na to, iż dawny kat odbiera mu zbyt dużo pacjentów i zażądał, aby przywołano Schmidta do porządku i utworzono osobne wejście, które służyłoby jego własnym pacjentom, z dala od hańbiącego sąsiedztwa w postaci świńskiego targu. Żadna z tych prośb nie została spełniona, a przypomniano Schleglowi, że „Frantz Schmidt pomaga mu od lat, niechby tedy tolerował jego obecność”[485]. Po tej kolejnej przyganie bezradny już kat przestał występować z oficjalnymi skargami na szanowanego poprzednika, ale zapewne niecierpliwie wyczekiwał śmierci starca.

Scheda ojcowska

Największe upokorzenie Schlegla miało miejsce wówczas, kiedy mistrz Frantz doczekał się ze swymi dziećmi największego triumfu. Późną wiosną 1624 r., jeszcze z Domu Katowskiego, mistrz Frantz Schmidt napisał do cesarza Ferdynanda II (panującego w latach 1619-1637) z prośbą o to, by rodzinie oficjalnie zwrócono honor. Bezpośrednie apele do dworu cesarskiego zdarzały się, a jakże, ale dlaczego Frantz wybrał właśnie ten moment na uwiecznienie swoich starań? Być może emerytowany kat potrzebował takiej afirmacji w celu zakupu nowego domu albo też jego synowie poprosili o pomoc w uzyskaniu godnego statusu zawodowego. Niewykluczone, że mistrz Frantz pomyślał o przyszłości 11-letniej wnuczki, która niedawno znalazła się pod jednym dachem z nim i jego dorosłymi dziećmi. Jeszcze bardziej zastanawia to, dlaczego wystąpił z petycją do cesarza, gdy od przejścia na emeryturę minęło już sześć lat. Wiemy, że zależało Schmidtowi na tym, by przywrócić rodzinie dobre imię, możliwe więc, iż od pewnego czasu przymierzał się do sformułowania i wysłania petycji, ale przeszkodziły w tym okoliczności, na które nie miał wpływu — brak poparcia ze strony patrycjatu albo jakaś inna

kwestia polityczna.

Cokolwiek odwlekle ten godny uwagi dokument — w pierwotnej wersji tekst niespełna 15-stronicowy — zawiera on przygotowane przez starszego człowieka podsumowanie pracy całego życia, a ponadto jest wymowną ilustracją osobistych zabiegów, jak również potwierdzeniem daru przekonywania, dzięki czemu jego życie potoczyło się bardzo pomyślnie. Petycja Frantza Schmidta jest wzorcowym przykładem kunsztu retorycznego, autor przeplata bowiem nader umiejętnie opowieść o licznych działaniach na chwałę cesarza i dla dobra poddanych z osobistym błaganiem o współczucie w obliczu nieszczęścia, jakie dotknęło jego i całą rodzinę. Nie inaczej niż *Meisterlied* na temat uzdrowienia króla Abgara, petycja została niewątpliwie ułożona z czyjąś pomocą, prawdopodobnie któregoś z notariuszy. Ale sam wywód i ekspresja uczuć są charakterystyczne dla mistrza Frantza. Po zwyczajowym hołdzie rozpoczyna on właściwą petycję nawiązaniem do „odpowiedzialności świeckich władz przed Samym Bogiem za to, iżby ludzie pobożni, ci, co przestrzegają prawa, nie musieli się niczego obawiać, osobliwie żadnej przemocy, zaśię ludzi niepokornych i złych spotykała należąca surowa kara, iżby przeto trwały mir, spokój i jedność”. Dalej mistrz Frantz podkreśla boskie pochodzenie urzędu kata, cytując starotestamentową opowieść o rytualnym kamienowaniu u Izraelitów i cesarskie regulacje prawne z *Caroliny*. I pisze, że wykonywał pracę uprawnioną i potrzebną, choć profesja kata została mu narzucona za sprawą niefortunnego przypadku, „o którym godzi się rzec”.

Zawarty nieco niżej apel o cesarskie współczucie różni się od wszystkiego, co kiedykolwiek Frantz napisał, głębią introspekcji oraz nadzwyczaj osobistym tonem. Wreszcie z dala od czujnych oczu tłumów w sposób zadziwiająco szczerzy wspomina on o strasliwym wstydzie całej rodziny, odkąd przed laty margrabia Albrecht bezlitośnie zmusił Heinricha Schmidta do wykonania kilku egzekucji na rynku miasta Hof. Faktem nie mniej bolesnym, „który niechby przestał być mi brzemieniem” — pisze Frantz — okazało się to, iż hańba rodzinna także jemu narzuciła katowską profesję, stojącą w okrutnej sprzeczności z naturalnym powołaniem — medycyną. I oto mistrz Frantz przechodzi do omówienia najważniejszego motywu prośby o restytucję honoru rodziny: jak pisze, medycynę uprawiał 46 lat, „krom owej trudnej profesji, i udało się przywrócić zdrowie co najmniej piętnastu tysiącom osób w Norymberdze i okolicach, w czym wspierał mię Bóg najwyższy i wieczny”. Sztukę uzdrawiania przyswoił i dzieciom — pisze dalej — „w imię prawdziwej ojcowskiej odpowiedzialności, zachowawszy dobrą dyscyplinę (...), jako mię uczył był ojciec, choć obu nam przyszło sprawować urząd narzucony, trudny i darzony powszechną pogardą”. Co więcej, zawsze obracał swą wiedzę medyczną „rzetelnie i na cudzy pożytek”, i dane mu było wyleczyć nawet pewnych wysoko postawionych przedstawicieli cesarza, których nazwiska wylicza w aneksie, razem z nazwiskami bez mała 50 pacjentów spośród arystokracji oraz patrycjatu, przy czym ponad jedna trzecia tych osób była płci żeńskiej.

Dopiero w tym miejscu powraca mistrz Frantz do swej 40-letniej służby dla cesarza i jego norymberskich przedstawicieli w roli kata, „w profesji podjętej i wykonywanej całkiem bez dbałości o własny żywot. Ni mojej osobie, ni moim egzekucjom niczego nie zarzucano w tym czasie, pókim nie odszedł dobrowolnie sześć lat wstecz, z przyczyny wieku i choroby, wszelako na dobrych warunkach”. Dołączona rekomendacja ze strony rady miasta Norymbergi potwierdza, że Schmidt „dał się poznać jako człowiek żyjący spokojnie, powściągliwie, i jednako się zachowuje, nadto znakomicie uzdrawia i egzekwuje cesarskie prawo”. Frantz Schmidt kończy petycję pokorną prośbą o przywrócenie jego rodzinie dobrego imienia — ze względu na lata pracy w wymiarze sprawiedliwości i w charakterze uzdrowiciela, jak i 31-letni status obywatela Norymbergi — co położy wreszcie kres tej stygmatyzacji, której doświadczał przez

całe życie, i synom umożliwi dostęp do wszelkich szanowanych zawodów.

Krótko po 9 czerwca 1624 r. Frantz opłacił prywatnego kuriera, aby ten zawiązał opieczątowaną petycję na dwór cesarski, do Wiednia, być może razem z regularną dyplomatyczną korespondencją rady miejskiej. Minęły ledwie trzy miesiące, gdy prywatny kurier pojawił się w Domu Katowskim z odpowiedzią na petycję, której to odpowiedzi udzielono ozdobnym pismem, w kopercie z woskową pieczęcią. Oryginał petycji nie zachował się, natomiast oficjalna reakcja na nią istnieje nadal w norymberskim Archiwum Państwowym (*Staatsarchiv*), ponieważ Frantz Schmidt zadbał niezwłocznie, 10 września, o złożenie pisma w kancelarii rady miejskiej[486]. Prawdopodobnie Ferdynand nie oglądał prośby dawnego kata i cała sprawa rozegrała się co najmniej o kilka sześciu biurokratycznej drabiny niżej, co dotyczyło pewnie także cesarskiego podpisu. Ale ową krótką odpowiedź kończyły — poprzedzone rekapitulacją prośby Frantza — słowa, których oczekiwał całe życie:

Zważywszy na uniżoną petycję wielce czcigodnego burmistrza i rady miasta Norymbergi, niniejszym przekreślona zostaje, cesarską władzą i łagodnością, dziedziczna hańba Frantza Schmidta, która jego samego, jako i potomstwo, pozbawiała należnej czci lub była asumptem dla inszych przeszkód, co pozwala mu powrócić pomiędzy ludzi godnych szacunku[487].

Mniejsza o to, że na podjętą decyzję wpłynęła nie tyle żarliwa prośba kata czy jego długa służba, ile rekomendacja ze strony życzliwych dostojników — mistrz Frantz rozumiał przecież, co jest najważniejsze dla społeczności przywiązujących wagę do statusu. Swoją rolę osiągnął: dyshonor jego ojca stał się — zwróconym — honorem synów. Im nie katowski miecz zamierzał przekazać w spadku: tym dziedziństwem był skalpel.

Kiedy triumfujący 72-letni *pater familias* przeprowadzał się dwa lata później do dużego domu przy pobliskiej Obere Wöhrdstrasse, miał przy sobie całe żyjące potomstwo, w sumie pięć osób, oraz kilkoro służby. Rosina, najstarsze i jak dotąd jedyne dziecko po własnym ślubie, była wtedy 39-letnią wdową i miała córkę w wieku 13 lat. Gdy przed 15 laty wychodziła za szanowanego frankfurckiego drukarza nazwiskiem Wolf Jacob Pickel, jej ojciec, kat, musiał się zdobyć na spore wiano i chyba jeszcze inne ustępstwa finansowe. Po dwu latach od ich prywatnej ceremonii ślubnej ucieszyli oboje mistrza Frantza pierwszą wnuczką, Elisabeth, i jej przyjsięcie na świat było już faktem, który zbliżał dziadka do realizacji marzenia o kolejnych generacjach potomków zasługujących na poważanie[488]. Ale mimo niezłej pozycji w swoim rzemiośle i dobrych podstaw finansowych Pickel, ów cudzoziemiec rodem z Frankfurtu, nie potrafił osiągnąć stabilizacji w nowym miejscu zamieszkania za sprawą całego ciągu zawodowych niepowodzeń. Wkrótce po narodzinach następnego dziecka Wolf udzieloną przez teścia pożyczkę w wysokości 20 guldenów już to roztrwonił, już to ukradł niedoszły współpracownik drukarza i, ku jeszcze większemu zawstydzeniu mistrza Frantza, córkę i zięcia uwięziono za malwersacje. Osobista interwencja kata zakończyła sprawę, a młodzi małżonkowie wyszli po pięciu dniach na wolność[489]. Minęły cztery lata i Pickel nadal borykał się z kłopotami finansowymi, co gorzej, poskarżył się rajcom, że miejscowi drukarze nie akceptują jego obecności w cechu, gdyż poślubił córkę kata. Wysłuchawszy obu stron, rajcy zapytali jurystów, czy Pickel „może być uznany za godnego szacunku [*redlich*]”, a gdy dowiedzieli się o jego dobrej opinii wśród frankfurckich drukarzy, przekazali ich norymberskim kolegom, aby na próbę przyjęli cudzoziemca do swego grona[490]. Takie polecenia nie zobowiązywały do niczego, ale Pickel nie występował z oficjalnymi skargami. Wszakże tuż przed rokiem 1624 zmarł albo wziął nogi za pas. Właśnie w 1624 r. Rosina znowu trafiła do więzienia, raczej fałszywie oskarżona

o porubstwo. Krótki pobyt w zamknięciu zakończyła, jak poprzednio, interwencja zakopobanego ojca[491]. Wkrótce Rosina razem z córką zamieszkała w jego domu.

Obaj pozostali przy życiu synowie mistrza Frantza, mianowicie Frantz Steffan, 35-latek, i 31-letni Frantzenhans, także żyli dalej z resztą rodzeństwa w odtworzonym wspólnym domostwie. O ich zajęciach wiadomo niewiele. Ojciec postanowił zawczasu, że żaden nie przejmie hańbiącej profesji, choć była intratna i mogłaby zapewnić im stałe zatrudnienie w Norymberdze albo gdzie indziej. Jedno tylko późniejsze źródło określa Frantza Steffana jako „prawego [ersam] młodego najemnika bez majątku”, lecz nie podaje ani zawodu, ani faktycznego zatrudnienia tego człowieka. Skoro miał status czeladniczy jako najemnik, to zapewne nie należał do ludzi niepełnosprawnych fizycznie czy umysłowo. Być może nie mógł po prostu znaleźć intratnej pracy z powodu ojcowskiej profesji[492].

Frantzenhans, beniaminek w rodzinie Schmidtów, przypuszczalnie również był ofiarą nieustannej dyskryminacji ze strony norymberskich rzemieślników, i to mimo oficjalnego zwrócenia rodzinie honoru oraz mimo cesarskiej proklamacji z roku 1548, która dała katowskim synom prawo do zajęcia się szanowanym rzemiosłem. Ten najmłodszy syn poszedł w ślady ojca jako uzdrowiciel. O jedno pokolenie później kilku synów niemieckich katów dostało się na studia medyczne, a w XVIII stuleciu jeszcze więcej odnosiło sukcesy w chirurgii oraz w innych działach medycyny[493]. Ale dla synów Frantza Schmidta na tę chlubną możliwość było zbyt wcześnie, toteż Frantzenhans przyswoił sobie umiejętności, a także przejął krąg pacjentów wielce szanowanego ojca i nastawiał złamane kości, zasklepił zewnętrzne zranienia, pomagał chorym i rannym zwierzętom.

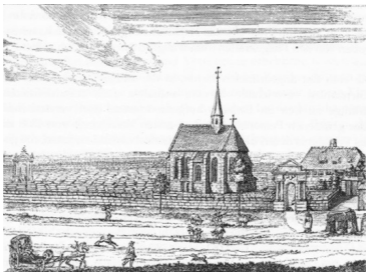
Inna córka Frantza, Maria, w roku 1626 38-letnia, prowadziła gospodarstwo domowe Schmidtów ponad 15 lat, odkąd starsza siostra wyszła za mąż i zamieszkała gdzie indziej. Powrócił Rosiny z córką sprawił chyba, że dominująca rola Marii straciła na aktualności, jako że starsza siostra miała za sobą prowadzenie gospodarstwa w domu męża i była już matką. Możemy tylko domniemywać, że właśnie ta sytuacja skłoniła Frantza do nabycia dwóch przylegających do siebie siedzib.

Zamieszkawszy w domu przy Obere Wöhrdstrasse, mistrz Frantz Schmidt miał zapewne ogromną satysfakcję ze swych dokonań. Po latach pracy i poświęceń — i częstego lawirowania politycznego — wreszcie zdołał zapewnić rodzinie dobre, niczym nieskalane imię, a ponadto duży i wygodny dom, gdzie można było się cieszyć lepszym statusem. Niestety, po niespełna dwóch latach na rodzinę spadła tragedia, której nie mógł zapobiec nawet przedsiębiorczy Frantz. W swoje 16. urodziny, 10 stycznia 1628 r., zmarła z nieodnotowanego nigdzie powodu wnuczka Schmidta, Elisabeth. Miała dokładnie tyle lat, ile liczył sobie w chwili śmierci, niemal trzy dekady wcześniej, jej wuj Jörg. Zgon dziewczyny wstrząsnął najpewniej wszystkimi domownikami. Pozbawieni obecności jedynej wśród nich dorastającej osoby, leciwy Frantz Schmidt i jego czworo dorosłych już dzieci odprowadzili zmarłą następnego dnia do grobu rodzinnego, a jej niewielką trumnę nieśli dwaj zakrystanie, za którymi szedł — nie wiadomo jak liczny — kondukt żałobny[494].

Ostatnie lata życia mistrza Frantza rozjaśnił jeszcze jeden sukces, niemal porównywalny ze zwróceniem honoru przez cesarza. Czterdziestoletnia Maria 6 lutego 1632 r. poślubiła swego rówieśnika, Hansa Ammona, i to w domu Schmidtów, całkiem prywatnie. Ammon, człowiek z nizin społecznych i w przeszłości poważany aktor o pseudonimie Peter Leberwurst (Paszetnik), zdążył osiągnąć godną pozadroszczenia pozycję wśród licznych w mieście artystów i rytowników. Dla córki Frantza poślubienie kogoś takiego było większym awansem, niżby wiele osób uznało za realny w rodzinie dawnego kata. Jako symboliczny dowód przyjęcia rodziny pomiędzy ludzi godnych szacunku tamten ślub stał się uwieńczeniem długoletnich

starań Frantza i wreszcie zakończył egzystowanie w hańbie, które musiały znosić cztery generacje Schmidów.

Ale także ten triumf okazał się niestety krótkotrwały. Mimo symbolicznego znaczenia ceremonia ślubna odbyła się dyskretnie. Nie wchodziło już jednak w grę pohafbienie oblubienicy, a powodem braku imponującej ceremonii w kościele było słabe zdrowie Hansa. Niewykluczone, że artysta wiedział, iż nie pozostało mu dużo czasu, i przede wszystkim chciał przekazać schedę po sobie osobistemu lekarzowi, w którym znalazł serdecznego przyjaciela i mentora. Obaj, i dawny aktor, i emerytowany kat, byli wszak ludźmi z marginesu, a zdołali pokonać nie lada przeszkody i w końcu coś osiągnęli. Motywów decyzji Ammona już nie poznamy, wiadomo tylko, że z domu przy Obere Wöhrdstrasse nigdy więcej się nie ruszył; a po dziewiętnastu dniach zmarł[495]. Maria zachowała nazwisko i majątek znanego artysty, ale jej leciwy ojciec nie zdążył się doczekać wnuków.



Kondukt pogrzebowy zmierza na Cmentarz św. Rocha, nieopodal murów miejskich, na południowy zachód od nich. Grób Frantza znajduje się w odległości około 15 metrów na lewo od — widocznej na pierwszym planie — kaplicy cmentarnej (ok. roku 1700).

W następnym miesiącu pułk szwedzkich żołnierzy pod wodzą króla Gustawa II Adolfa wkroczył na norymberski rynek, witany z aplauzem przez protestancki tłum. Od roku 1618 na większości niemieckich ziem szalała wojna, którą nazwano później trzydziestoletnią i na którą złożyło się wiele zbrojnych starć wywołanych przez toksyczne przemieszanie żarliwości religijnej, ambicji dynastycznych oraz przemocy manifestowanej atakami i przeciwnatarciami. Szwedzka interwencja w roku 1630 wróżyła zrazu odebranie stronie katolickiej, imperialnej, jej wcześniejszych zdobyczy oraz bliski koniec nieomal 12 lat wojowania i cierpienia. A tymczasem nacechowane pochopnym triumfalizmem wkroczenie Gustawa Adolfa do Norymbergi stało się początkiem najbardziej rujnującego okresu dziejów miasta — trwał on aż pięć lat — i dalszego rozprzestrzeniania się wojny. W kolejnych miesiącach 20-tysięczna armia szwedzka, która stanęła obozem pod murami Norymbergi, żądała ogromnych „kontrybucji” z municypalnego skarbcza. Dla władz miasta faktem jeszcze gorszym okazała się śmierć samego Gustawa Adolfa

w bitwie pod Lützen na krótko przed końcem 1632 r., oto bowiem strona protestancka straciła najbardziej charyzmatycznego wodza, a wojna znalazła się w impasie i skazało to Europę Środkową na 16 lat dalszego rozlew krwi. Równocześnie na Norymbergę runął pierwszy z trzech ataków zarazy, który zabił ponad 15 tysięcy mieszkańców i uchodźców, między innymi 41-letniego Frantza Steffana Schmidta; zmarł on 11 stycznia 1633 roku [496]. Nie ożenił się nigdy i aż do śmierci mieszkał w domu rodzinnym. Dzieci też po sobie nie pozostawił.

Jak wszyscy norymberczycy, tak i Frantz oraz trójka żyjących dorosłych dzieci — Rosina, Maria i Frantzenhans — z ulgą powitali krótką przerwę w masowych pochówkach i kwarantannach, która nastąpiła wreszcie latem 1633 r., poprzedziwszy jednak, już najbliższej zimy, kolejny, groźniejszy atak dżumy oraz inne epidemie. Rok 1634 przyniósł Norymberdze największą śmiertelność, ponieważ co najmniej 20 tysięcy dorosłych i dzieci zabrały grasujące w mocno przeludnionym mieście choroby. I być może sprawiedliwie szalejąca wokół śmierć zabrała także człowieka, który pod względem liczby osób zabitych własnymi rękoma nie miał sobie równego w mieście albo nawet w całym cesarstwie. Frantz Schmidt zmarł w piątek, 13 czerwca 1634 r. w wieku 80 lat [497].

Pogrzeb mistrza Frantza byłby w spokojniejszych czasach znaczącym lokalnym wydarzeniem, ale pośród powszechnych cierpień roku nazwanego rokiem grozy, *annus horribilis*, został ledwo zauważony. O samym pochówku szanowanego kata wiemy niewiele prócz tego, iż rada miejska jednogłośnie uznała, że „zważywszy na cesarską restytucję honorowego rodowodu” należy się Frantzowi tytuł „czcigodnego” (*kunstreich*). Pochowano go nazajutrz po jego zgonie na cmentarzu świętego Rocha, w miejscu, które zakupił przed półwieczem, obok zmarłej dawno temu Marii i czworga dzieci. Co nader istotne, we wszystkich oficjalnych rejestrach widnieje zapis: „Wielmożny Frantz Schmidt, lekarz przy Obere Wöhrdstrasse”, wskazujący tylko na profesję medyczną, nie zaś na mniej zaszczytny zawód, w którym zmarły pracował 45 lat i który przesądził o statucie „wielmożnego” [498]. Gdy Frantz umarł, spełniło się wreszcie to, o czym — na pozór daremnie — roił przez całe życie i co dla potomności wyryto na czytelnym dotąd nagrobnym kamieniu.

Epilog

*Taka spokojna i solidna,
rada trudom, pełna bogactw,
pośrodku Niemiec zadziwia
Norymberga droga!*

Richard Wagner, *Śpiewacy norymberscy*, akt 3, scena 1 (1868)

*Gdyby społeczeństwo naprawdę wierzyło w to, co mówi [o karze
śmierci jako straszaku], wystawiałoby ścięte głowy na pokaz.*

Albert Camus, *Rozważania o gilotynie* (1957)[\[499\]](#)

ROK ŚMIERCI FRANTZA SCHMIDTA — 1634 — BYŁ NIEJAKO nadirem w nadzwyczaj burzliwym dziesięcioleciu norymberskiej historii. Po kulminacji okresu *prosperity*, który przypadł na środkowe lata życia Schmidta, zaczął się dla miasta czas stopniowego i niebawem bardzo szybkiego podupadania. Rozwój handlu światowego stanowił coraz większe wyzwanie, któremu musieli stawić czoło miejscowi kupcy i bankierzy, podobnie jak rosnącej konkurencyjności doskonałych wyrobów niderlandzkich i francuskich. Straszliwy wzrost inflacji oraz bezrobocia przyćmił wkrótce fatalne skutki wojny trzydziestoletniej. Zanim w 1648 r. podpisano traktat westfalski, ponad 50 tysięcy mieszkańców Norymbergi zmarło z powodu epidemii albo głodu w okresie minionych 15 lat, rada miejska była zadłużona na siedem i pół miliona guldenów i to sławne miasto przeżyło katastrofę, która pod koniec XVII wieku sprowadziła je do poziomu prowincjonalnej miściny. Jak napisał Mack Walker, „wojny trzydziestoletniej nie wygrał nikt”, ale Norymberga niewątpliwie należała do miast, które straciły najwięcej — po dwóch stuleciach chlubnego rozwoju nastąpiła koda o tragicznym wydzwieku[\[500\]](#).

Jakąkolwiek spuściznę pozostawił po sobie Frantz, wcale nie miała się lepiej. Minął niespełna rok od jego śmierci, gdy zmarła 47-letnia Rosina — być może za sprawą epidemii, która zabiła jej sędziwego ojca — żyli więc już tylko Maria i Frantzenhans. Syn praktykował jako lekarz w zawodzie odziedziczonym po ojcu i w ten sposób wspierał mniejsze już domostwo. Zaledwie kilka miesięcy po śmierci Frantza jego następca i długoletni wróg, Bernhard Schlegel, wznowił wendetę przeciw powszechnie lubianemu poprzednikowi. Tym razem poskarżył się rajcom na to, że syn Schmidta nie pozostawia mu „nikogo, kto potrzebowałby leczenia” i odbiera „kromkę chleba”, na którą mógłby zarobić dodatkowym zajęciem. Jak zaznaczył mistrz Bernhard, cesarska restytucja nie dotyczyła potomstwa

Frantza, jeżeli zatem rada miejska nie przywoła konkurenta do porządku, to niechby przynajmniej zrekompensowała straty Schlegla — „zwłaszcza w tych ciężkich, niespokojnych czasach”. Po szybkim zbadaniu egzemplarza aktu restytucyjnego i konsultacji z głównym miejskim jurystą rajcy odrzucili petycję, ale przyznali niewielką premię. Rok później niestrudzony Schlegel znowu narzekał, że jedyny żyjący Schmidt nie pozostawia mu „żadnych pacjentów” i ponowił prośbę o interwencję lub odpowiednią podwyżkę poborów. Raz jeszcze niczego nie wskórawszy, Schlegel oznajmił pracodawcom, że Ratzybna i Linz poszukują etatowych katów, ale 52 guldeny (35%) podwyżki w skali rocznej zatrzymałyby go w Norymberdze. Zniecierpliwieni rajcy zalecili biuro kryminalnemu już to znalezienie innego kata, już to ugodę z obecnym, podkreślając, że „niepodobna zabronić Schmidtowi uzdrawiania”. Wobec braku innej opcji pracodawcy zgodzili się na podwyżkę wypłat cotygodniowych „do lepszych czasów”, mniejszą jednak niż ta, jakiej żądał stale potrzebujący gotówki mistrz Bernhard. Trzy lata później, w maju 1639 r., „kat cudzoziemski” Valentin Deuser uzyskał zgodę na leczenie pacjentów w mieście i jeszcze przed końcem roku zastąpił niedomagającego Bernharda Schlegla najpierw czasowo, a potem na stałe jako urzędowy norymberski kat. Schlegel zmarł 29 sierpnia 1640 r. i spoczął na cmentarzu świętego Rocha, nieopodal miejsca pochówku znieławidzonego poprzednika[501].

Wreszcie uwolnieni od wieloletniego prześladowcy Frantzenhans i Maria żyli dalej spokojnie w domu przy Obere Wöhrdstrasse i już nigdy więcej nie pojawiały się wzmianki o nich w urzędowych dokumentach. Maria przeżyła 75 lat, a zmarła w roku 1664; Frantzenhans trwał samotnie w domu rodzinnym jeszcze przez 19 lat i w końcu, jako starzec 86-letni, dołączył do zmarłych wcześniej rodziców, braci i sióstr[502]. Maria nie wyszła za mąż po raz drugi, a Frantzenhans pozostał na całe życie w stanie kawalerskim. Kiedy odchodziło o wieczność ostatnie dziecko państwa Schmidtów, jedyny wnuk Frantza nie żył od pięćdziesięciu kilku lat. Innego potomstwa w tym pokoleniu nie było. Nie spełniło się marzenie kata o potomkach w linii prostej, którzy wiedliby żywot godny, wolni od jakiegokolwiek skazy społecznej, a owo marzenie było dlań przecież bodźcem do długoletniej walki o dobre imię.

Śmierć mistrza Frantza zbiegła się w czasie także z kresem złotego wieku dla europejskich katów. Już w drugiej połowie kariery Schmidta malała częstotliwość publicznych egzekucji, po czym negatywne skutki wojny trzydziestoletniej przyspieszyły ten proces. Wszędzie, nie wyłączając Norymbergi, wyroki śmierci ferowano rzadziej i zwykle zastępowano łagodniejszymi. Równocześnie nastąpił rozwój zakładów poprawczych dla osób dorosłych i ośrodków przymusowej pracy, gdzie umieszczano drobnych zawodowych przestępców, którzy nie posuwali się do przemocy. Widocznie zmalała liczba wykonywanych wyroków śmierci za kradzieże: z jednej trzeciej do jednej dziesiątej wszystkich egzekucji. Rok 1700 był momentem obniżenia tej ogólnej liczby do poziomu jednej piątej wszelkich egzekucji realizowanych sto lat wcześniej, przy czym trzeba by mówić o znaczącym spadku, gdyby wziąć pod uwagę XVII-wieczne egzekucje osób oskarżanych o czary — przestępstwo pod koniec stulecia nieaktualne. Równie drastycznie zmalała liczba kar cielesnych, zwłaszcza chłost i okaleczeń, podobnie jak okrutniejszych kar, które miały swoją tradycję: palenia żywcem, topienia i łamania kołem. Ten ostatni rodzaj egzekucji zdarzył się w Norymberdze tylko sześć razy w całym XVII stuleciu — co porównajmy z 30 przypadkami w okresie kariery mistrza Frantza — i ledwie jeden raz w wieku XVIII, ale po uprzednim ścięciu skazańca. Jako sposoby pozbawiania życia przeważały w końcu wieszanie i ścinanie głów, oba ucywilizowane dzięki wynalezieniu zapadni oraz gilotyny[503].

Co spowodowało tak istotne przemiany społeczne? Dzisiejszy historycy sformułowali już niejedną teorię, aby to wyjaśnić. Zwraca się przykładowo uwagę na większą empatię

Europejczyków, która ogarniała coraz liczniejsze kraje w toku sięgającego głęboko „procesu cywilizowania”, zapoczątkowanego w późnym średniowieczu. Inni znawcy historii twierdzą, że nowo powstałe państwa europejskie po prostu zmieniły swą socjotechnikę, zastąpiwszy karę główną za przestępstwa popełniane bez użycia przemocy wtrącaniem do więzień albo wysyłaniem do zamorskich kolonii. Ani takich teorii, ani ich popularyzatorów nie wspierają niestety żadne dowody jakiegokolwiek zmiany powszechnej mentalności, która kazałaby naszym przodkom inaczej odnieść się do ludzkiego cierpienia, ponadto rozwój placówek resocjalizujących i modernizacja sposobów uśmiercania z mocy prawa, czyli zjawiska dopiero XVIII-wieczne albo późniejsze, nie mogą tłumaczyć głębokich zmian zainicjowanych z górą sto lat wcześniej (zwłaszcza odnośnie do Norymbergi, gdzie pierwszy zakład poprawczy dla dorosłych powstał w roku 1670)[504]. Aby zrozumieć, dlaczego publicznych egzekucji było od pewnego momentu mniej, trzeba raczej rozważyć przyczyny ich wcześniejszej popularności.

Ani rajcy norymberscy, ani też inni europejscy przedstawiciele władzy świeckiej nie złagodnieli w XVII wieku wobec przestępczości, wręcz przeciwnie, ale dopiero wtedy byli na tyle pewni swej nienaruszalnej pozycji w egzekwowaniu prawa, że mogli przedłożyć publiczne demonstracje miłosierdzia nad przemyślnie rytualizowaną brutalnością. W Niemczech mierze dzięki takim ludziom, jak mistrz Frantz oraz inni kaci prestiżu państwa i sędziów stał się faktem, mimo że sto lat wcześniej nie zawsze trafiał do przekonania. Działalność katów profesjonalnych i trzeźwych była już normą, a nie czymś wyjątkowym — mało tego: w świadomości społecznej kojarzenie szubienicy z rytuałem publicznego odkupienia winy utrwaliło się na tyle, że nazbyt częste zachęty do takiej asocjacji nie były potrzebne. Przystępność kwitła nadal, wojny pochłaniały więcej ofiar niż dawniej, a jednak rządowej kontroli nad wymierzaniem sprawiedliwości tym, co dopuszczali się czynów karalnych, nikt już nie kwestionował[505].

Wyraźny spadek liczby publicznych egzekucji niedługo po okresie kariery mistrza Frantza był błogosławieństwem niekoniecznie radosnym dla jego kolegów po fachu. W krótkim czasie pociągnął za sobą zmniejszenie popytu na katów, a także obniżenie ich płac. A w dłuższej perspektywie czasowej zlikwidował, choć nie od razu, wiele barier społecznych w życiu tych bardziej już akceptowanych społecznie realizatorów/egzekutorów państwowej sprawiedliwości. Na początku XVIII stulecia synowie katów byli z reguły przyjmowani na uczelnie medyczne i dopuszczani do innych profesji. Sami aktywni zawodowo kaci mogli wreszcie bez przeszkód zajmować się leczeniem i pruski król Fryderyk I (zmarły w 1713 r.) mianował nawet berlińskiego kata, Martina Koblentza, swoim lekarzem nadwornym — mimo gwałtownego sprzeciwu środowiska akademickiego. Później, bo w 1731 r., cesarzowa Maria Teresa (rok śmierci: 1780) z własnej woli zatwierdziła nowy status katów dekretem przywracającym dobre imię wszystkim katowskim dzieciom i samym katom, skoro tylko zakończą służbę.

Jednakowoż wiele przejawów społecznej niechęci do nich utrzymywało się jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku, znowu głównie za sprawą cechów rzemieślniczych, ponieważ ich członkowie — nie inaczej niż w XVI stuleciu — próbowali się ratować przed utratą wpływu przez ograniczanie mobilności społecznej ludzi, których bieg dziejów skazał na niższy status. W efekcie wiele rodzin katowskich nadal stanowiło swoiste klany i tylko między tymi klanami zawierano związki małżeńskie. W Norymberdze katowska profesja pozostawała od połowy XVII do początków XIX stulecia w rękach zaledwie dwóch — ale licznych — dynastii. Hańbiące piętno, które miało wielkie znaczenie w życiu Frantza Schmidta, wyraźnie już blakło i w końcu całkiem zniknęło[506].

Gdy w roku 1801 pewien norymberski prawnik ogłosił drukiem dziennik mistrza Frantza, kaci schodzili właśnie ze sceny, stając się zarazem coraz bardziej interesującymi mieszkańcami masowej wyobraźni. Miejscowy patrycjusz, Johann Martin Friedrich von Endter, zajmował się

w owym czasie, ze szczególnym darem przekonywania i zapalem, reformą systemu prawnego Norymbergi, który miał za „przestarzały i drażniący”. W manifestie pt. *Rozmyślenia i zalecenia odnośnie do sprawiedliwego wymierzania kar w Norymberdze* (1801) zaproponował zmiany oparte na jego własnej — oświeceniowej z ducha — interpretacji Złotej Zasady: „Niech inni będą sądzeni tak, jak pragniesz, by sądzono ciebie”. Natrafiony w miejskim archiwum na rękopiśmienną kopię „od dawna zapomnianego diariusza” mistrza Frantza, Endter ujrzał w nim świetne tło dla manifestu, który zamierzał wkrótce ogłosić. Dzięki publikacji dziennika Endter chciał go „ocalić od zapomnienia” i przy tej okazji pokazać brutalność „naszego nieokrzesanego Frantza wobec [karanych] nieszczęślików”. Ale nade wszystko mierzyły Endtera okrucieństwa niegdysiejszych władz, mniej zaś to, co czynił „poczczywy stary Frantz, nie podług własnych odczuć albo instynktu, lecz na rozkaz tych, co włożyli mu w ręce miecz”. Pokonawszy opór municypalnych cenzorów, którzy obawiali się, że diariusz mógłby postawić władze miasta w złym świetle, edytor pasjonat wniósł ostatnie poprawki do tekstu, po czym nagle, w wieku 37 lat, zmarł, toteż nie doczekał się ani pozytywnych efektów zaproponowanych zmian prawnych, ani dobrego przyjęcia jego edycji dziennika mistrza Frantza[507].

Z perspektywy czasu nie powinno dziwić, że diariuszem zaciekawili się najbardziej, wbrew przewidywaniom Endtera, nie prawnicy i nie ludzie związani z nauką, lecz literaci. Zwłaszcza autorom romantycznym przypadła do gustu melodramatyczna postać „średniowiecznego wieszacza”, która musiała śmieszyć w dobie mechanicznych gilotyn i szubienic z zapadniami. W liście z 1810 r. skierowanym do Jacoba i Wilhelma Grimmów, uczonych badaczy folkloru, poeta Ludwig Achim von Arnim pisał z entuzjazmem o „znanych annałach norymberskiego kata, który pięćset osób pozbawił życia”[508]. Wzbudziwszy zapewne zainteresowanie wspomnianych tu sławnych zbieraczy ludowych — niesamowitych często — opowieści, drukowana wersja diariusza Schmidta rychło zyskała sobie popularność w salonach niemieckiej inteligencji, jak i wśród literatów. Niejaki „mistrz Frantz” pojawił się nawet u Clemensa Brentano, w jego sztuce dla mas pod tytułem *Die Geschichte vom braven Kasperl und dem schönen Annerl* (*Historia dzielnego Kasperla i pięknej Anuli*; 1817), gdzie kat uzdrowia chorego psa i za dzieciobójstwo ścina główną bohaterkę. Johann Wolfgang von Goethe, najslawniejszy podówczas niemiecki pisarz, zdjął ciężące na katach odium długą osobistą przyjaźnią z Karlem Hussem, katem z Egeru, który dzielił z poetą zainteresowania geologiczne[509].

Romantyczna postać średniowiecznego kata nigdzie nie fascynowała bardziej niż w odrodzonej XIX-wiecznej Norymberdze. To stare cesarskie miasto zostało w 1806 r., po dwustu z górą latach wegetacji, przyłączone do Bawarii, monarchii w miarę postępowej i dość dobrze prosperującej. Opłakiwana w Norymberdze utrata niepodległości po siedmiu wiekach samodzielnej egzystencji stała się zaczynem rzeczywistego ożywienia gospodarki, położyła kres niepożądanym reliktom przeszłości i przyspieszyła — postulowane od dawna przez Endtera — reformy karnia przestępców. Jest w tym pewna ironia, że miasto, które wkroczyło na drogę postępu, przyjęło dziennik mistrza Frantza przychylnie. Jeszcze przed „bawarską okupacją” (takie żartobliwe określenie tamtego okresu słyszy się w Norymberdze po dziś dzień) ojcowie miasta zrezygnowali z tortur i publicznych egzekucji, odesławszy w 1805 r. na emeryturę ostatniego kata, którym był Albanus Friedrich Deubler. Cztery lata później zamknięto municypalną placówkę resocjalizacyjną (zakład poprawczy dla dorosłych połączony z ośrodkiem przymusowej pracy) i zastąpiono ją Domem Ludowym, miejscem koncertów publicznych, odczytów i balów. W tym samym roku runęła wreszcie szubienica za Niewieścią Bramą i cały okoliczny teren stał się parkiem. Nawet mieszkanie strażnika Lochu, który niegdyś budził grozę, było potem chętnie odwiedzana karczma „Pod Zieloną Żabą”.

Czy XVI-wieczny kat z niecałkiem zapomnianym diariuszem przystawał do odmienionej

Norymbergi? W połowie XIX w. miasto zyskało międzynarodową sławę nie tylko ze względu na bujnie rozwijający się przemysł, ale także dzięki swej atrakcyjności turystycznej. Wysiłki tamtejszych popularnych poetów — najbardziej wyróżniali się Johann Konrad Gröbel i Johann Heinrich Witschel — sprawiły, że rodzinne miasto Albrechta Dürera i Hansa Sachsa urosło do rangi symbolu idealizowanej tradycyjnej kultury niemieckiej. Ojcowie miasta chętnie zbijali kapitał na — pomyślnej dla Norymbergi — nacjonalistycznej aurze kulturalnej. W latach 30. i 40. XIX w. nabyli i odrestaurowali niemało zabytkowych budowli, między innymi dawny dom Albrechta Dürera, gdzie urządzili muzeum. Rok 1857 obdarzył Norymbergę Germańskim Muzeum Narodowym (*Germanisches Nationalmuseum*), posiadającym coraz bogatszą kolekcję dzieł sztuki i artefaktów, która zaświadcza o splendorze „germańskiej” cywilizacji oraz o jej rozwoju na przestrzeni dziejów. Pełna restauracja starej części Norymbergi, łącznie z murami i bramami miejskimi, dokonała się, zanim w roku 1870 nastąpiło pierwsze zjednoczenie, czyli przed powstaniem II Rzeszy Niemieckiej. Norymberga stała się w tym cesarstwie niejako ucieleśnieniem chlubnej niemieckiej przeszłości[510].

Duma z rozwoju miasta w toku dziejów miała oczywiście i swój wyraz materialny, w imię lukratywnego eksponowania norymberskiego dziedzictwa wskazywano turystom nowe miejsca godne uwagi, na przykład „izbę tortur” w Żabiej Wieży (dawnym więzieniu), urządzoną tam przez norymberskiego antykwariusza, Georga Friedricha Geudera. Tworząc kolekcję narzędzi tortur, Geuder wyciągnął wnioski z nieustającej powszechnej fascynacji, której obiektem był średniowieczny kat, a eksponatem najciekawszym uczynił Żelazną Pannę, starodawne ponoć narzędzie tortur i uśmiercania używane podczas tajnych sądów. I Żelazna Panna, i sądy tajne były konfabulacjami, które wzięły się prawdopodobnie z opacznego odczytania starych tekstów, ale sam eksponat przyczynił się do popularyzacji takiego wyobrażenia o „sprawiedliwości” i jej bezwzględnych realizatorach sprzed epoki Oświecenia, jakie sugerowała choćby powieść gotycka. Romantyczna wizja „średniowiecznych okrucieństw” nadzorowanych przez kata w kapturze — postać również wymyślona w XIX wieku — była magnesem dla turystów i powieściopisarzy. Bram Stoker, autor *Draculi* (1897), dwa razy odwiedził Norymbergę i Żelazna Panna została nawet bohaterką jednego z opowiadań, które wyszły spod jego pióra. Norymberski zbiór narzędzi tortur trafił potem w miejsce sprzyjające lepszemu wyeksponowaniu, do tak zwanej Wieży Pięciokątnej cesarskiego zamku, skąd wyruszył w długie tournée po Wielkiej Brytanii oraz Ameryce Północnej. W efekcie tych działań powstało jeszcze więcej poczytnych utworów literackich o katach, a w 1913 r. wznowiono diariusz Frantza Schmidta[511]. W końcu Żelazna Panna razem z całym zestawem zacisków na kciuki, z kajdanami, bogactwem katowskich mieczy i innych przedmiotów — w niejednym przypadku doskonale wykonanych XIX-wiecznych falsyfikatów — trafiła dzięki aukcjom w ręce prywatnych kolekcjonerów.

„Gotycki” kat był już wtedy postacią stale obecną w kulturze nowych czasów. Zaledwie od kilkudziesięciu lat nie pisze się już rozpraw naukowych o dziejach tej profesji tak, jakby nadal działała siła przyciągania „gotyckiego” stereotypu, ale nawet najznakomitsze spośród tych prac nie zdołały wyprzeć z masowej wyobraźni owej wspaniałej ikony, którą bez mała dwa wieki temu wykreowali romantycy[512]. Podobnie jak o piratów, czarownice i inne postacie zmarginalizowane przez historię, o katów upomnieli się, dla udratyzowania akcji, autorzy powieści awanturnych i z gatunku *fantasy*, dla efektu komicznego — rysownicy, a dla zysku — twórcy kultury masowej[513]. Skromne XIX-wieczne inicjatywy, którymi chciano ściągnąć turystów do Norymbergi, błędą wobec tego, co proponuje się w naszych czasach. Różne miasta europejskie chlubią się rozreklamowanymi ofertami wycieczek po miejscach związanych z dziejami przestępstw, na przykład po lochach więziennych, a w pierwszej niemieckiej

rekonstrukcji urbanistycznej, jaką stanowi miasto Rothenburg ob der Tauber, istnieje muzeum przestępczości średniowiecznej. Takie atrakcje bywają czasem fachową prezentacją dziejów, ale niektóre są niczym więcej jak nieszkodliwą rozrywką albo nawet przejawem wandalizmu historycznego w imię zysku. Najgorsze spośród nich eksploatują jedynie nasycenie współczesnej kultury „pornografią cierpień i śmierci” [514].



Typowo romantyczna wizja średniowiecznej sprawiedliwości: widać tu zakapturzonego kata, jego pomocników, Żelazną Pannę i potajemną rozprawę, czyli sąd kapturowy (ok. roku 1860).

Mniej schlebające masowym gustom i zarazem bardziej unaukowione charakterologiczne interpretacje kata z początków ery nowożytnej również poniekąd oddalają się od tej postaci. Norymberski dom mistrza Frantza stał się niedawno muzeum historycznym poświęconym miejscowemu karaniu przestępców, a straszliwy Loch pod ratuszem jest dziś celem wycieczek po przenikliwe wilgotnych celach oraz izbie tortur. W obu przypadkach wykorzystuje się świetną dokumentację, a przewodnicy są gawędziarzami o dużej wiedzy, którzy dzielnie trzymają się prawdy historycznej, choć przecież mogliby jakimś nieprawdziwym szczegółem (albo i opowieścią o duchach) wywołać grozę wśród turystów. Wszakże nawet wielka dbałość o historyczny autentyzm nie staje się przeciwwagą dla nieodłącznego od turystyki podglądactwa, które z kolei sprawia, że dawne triumfy i tragedie nieuchronnie dostarczają rozrywki, potrafiąc odwrócić naszą uwagę od własnego „rzeczywistego życia”. Większość uśmiechniętych turystów, którzy pozują przed Domem Katowskim, nie zastanawia się nawet przez chwilę, jakie było życie emocjonalne i umysłowe najślawniejszego mieszkańca tego domu — należy ono do obojętnej przeszłości.

Mistrz Frantz Schmidt pozostaje — bardziej niż większość ludzi z jego epoki — ofiarą nowomodnej odrazy i lekceważenia. Będąc symbolem czasów barbarzyństwa i ciemnoty, pozwala nam cieszyć się postępek w życiu współczesnych nam społeczeństw. Nadal dzieła na

pozór mądre, „naukowe”, jak *The Better Angels of Our Nature* (*Lepsze anioły ludzkiej natury*) autorkwa Stevensa Pinkera, przedstawiciela psychologii społecznej, utrwalają „gotyckie” wyobrażenie o rozpowszechnionym w dawnych wiekach okrucieństwie, a ma to związek z laicyzującymi ambicjami twórców takich dzieł[515]. Dbając o dystans między mistrzem Frantzem i resztą ówczesnych katów a nami, czynimy z nich postacie bezpieczne, baśniowe, sprawców różnych okropności, które nas nie mogą dotyczyć, a przy tym mówimy więcej o własnych lękach i rojeniach niż o świecie, jaki odziedziczyliśmy po tamtych ludziach. Obecna w dzisiejszej kulturze masowej karykaturalna postać zakapturzonego kata śmieszy nas i budzi pewne politowanie; patrzymy na nią tak, jak dorośli przyglądają się dzieciom, które są zajęte zabawą — niezmiennie przekonani o wyższości własnego rozumowania.

Ale czy taki dystans uczuciowy oraz intelektualny jest usprawiedliwiony? Postawa ta nie zasługuje na pochwałę choćby dlatego, że nie sprzyja autentycznemu pojmowaniu dawnych jednostek i społeczeństw. Zadając kłam modernistycznym narracjom, które sugerowały cywilizowanie się i stopniową akwizycję sumienia w późniejszych generacjach, trzeba stwierdzić, że ani Frantz Schmidt, ani ktokolwiek inny z jego epoki nie jawi się jako bardziej podatny na okrucieństwo niż ci, którzy żyją w XXI stuleciu; brakuje również dowodów większego czy mniejszego strachu, większej czy mniejszej nienawiści, większego czy mniejszego współczucia. Tamten kat, ktoś, kto — jakże chętnie — identyfikował się z ofiarami przestępstw i zbrodni, na pewno byłby zdziwiony przypisaniem ówczesnemu społeczeństwu szczególnego okrucieństwa i braku litości, zwłaszcza gdyby usłyszał o takich koszmarach jak ludobójstwo, zagłada atomowa i wojna totalna. Owszem, potwierdziłby surowość tamtego wymiaru sprawiedliwości, ale przeraziłby go wieloletnie procesy, trwające nawet po kilkadziesiąt lat pobyty w więzieniach, czasem w całkowitej izolacji. Michel Foucault określił rytuał egzekucyjny z początków ery nowożytnej jako ludyczną uciechę z ludzkiego cierpienia i jest ów rytuał rzeczywiście najmocniejszym argumentem w sporze z tymi, co doszukują się zmiany jakościowej w reakcjach tłumów, które ongiś pragnęły odwetu, gdy egzekucja odbyła się nie po ich myśli, czyli wzmożła okrucieństwo i cierpienie. Dziś nie sposób oczywiście bronić takich metod jak stosowanie tortur czy uśmiercanie przy użyciu koła, ale musimy przyznać, że ani jedno, ani drugie nie wynikało z sadyzmu mas lub wszechogarniającej obojętności na cudze cierpienie.

Od świata Frantza Schmidta oddalają nas nie tyle odczucia w obliczu przestępstw i cierpienia, ile dwa konkretne procesy historyczne obserwowane w praktyce i teorii. Pokazane w tej książce mechanizmy sądenia z przełomu średniowiecza i ery nowożytnej były, według naszych standardów, rażąco nieskuteczne. Pozbawieni dzisiejszych możliwości śledczych, obecnej techniki oraz naszych zamienników banicji (zwłaszcza więzień), przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości w czasach Frantza Schmidta musieli się zadowalać torturowaniem i samooskarżeniami, stosując karę główną za rozmaite poważne naruszenia prawa i w przypadkach recydywy. Powszechny lęk i manifestowana przez sędziów dbałość o prestiż wymagały ponadto publicznego karania tych nielicznych sprawców, którzy na swoje nieszczęście dali się schwytać; nierzadko efektem była sprawiedliwość „z pogranicza” — nie tak gorsząca, jak lincz, ale niewolna od pewnego przymusu i przyspieszeń proceduralnych.

Pomiędzy najbardziej rozwiniętymi społeczeństwami dzisiejszej doby a XVI-wieczną Norymbergą widać różnicę nader istotną, mianowicie obecne zadowolenie się niezbywalnych praw człowieka. Respektowanie tych praw obowiązuje w sferze publicznej od niedawna i bywa kontestowane, ale przecież jest podstawą teoretyczną i prawną przy ograniczaniu państwowego przymusu i przemocy, także w wymiarze sprawiedliwości. Dawne i terażniejsze reżimy autorytarne nie chciały i nie chcą uznawać takich narzucanych z zewnątrz organizacji

ani też nie stawały i nie są skłonne stawić suwerenności jednostki na równi z suwerennością państwa (i oczywiście nie ponad tę ostatnią). Mistrz Frantz zapewne podzieliliby opinię, że aresztant ma prawo do uczciwego procesu, ale nie zgodziłby się z tezą, jakoby obejmowało to prawo do ochrony cielesnej po przedstawieniu dowodów winy albo skazaniu za poważne przestępstwo. Norymberscy sędziowie i podległy im kat pragnęli umiaru, konsekwencji w działaniu, nawet odkupienia religijnego, i to pomimo powszechnego nacisku na to, by obowiązywał zwyczajny odwet. Wszakże zaniechanie państwowej przemocy byłoby zmianą daleko wykraczającą poza ich potencjał intelektualny.

My natomiast potrafimy łatwo wyobrazić sobie własny swoisty regres i nie musiały on trwać długo. Chociaż niechętnie to przyznajemy, udoskonalenia proceduralne oraz innowacje techniczne w egzekwowaniu prawa nie spowodowały aż takiego rozdźwięku między wymiarem sprawiedliwości z początku ery nowożytnej a tym dzisiejszym, aby trzeba było mu przypisać niezmiennosc, jak również fundamentalne znaczenie. Zakładamy, że nie grozi nam rychły powrót do uśmiercania metodą tortur na kole czy palenia na stosie, ale przecież autentyczny lub domniemany wzrost przestępczości, i to właściwie wszędzie, nadal skłania różne społeczeństwa do upominania się o mniejszą powściągliwość w dociekaniu prawdy i surowsze wyroki dążące. Wiele współczesnych państw nie odeszło od systematycznego torturowania, zresztą bez ograniczeń prawnych, jakie obowiązywały w XVI-wiecznej Norymberdze, a pewne rządy (nie wyłączając rządu mojego kraju, Stanów Zjednoczonych) z rozmysłem zataryły linię podziału między dopuszczalnym a niedopuszczalnym wymuszaniem zeznań na osobach podejrzewanych o przestępstwa. Kara śmierci pozostaje aktualna w 58 krajach i takie wyroki feruje się najczęściej w Chinach oraz Iranie (statystyki dotyczące roku 2011 informują o tysiącach egzekucji), a nie odżegnano się od niej także w państwach pretendujących do liberalnej demokracji, że wspomnimy tu o Stanach Zjednoczonych czy Japonii^[516]. Obawa przed brutalnym napadem i niezadowolony z zawodnego systemu prawnego — odczucia zasadne same w sobie — jawią się nie tylko jako stale obecne w dziejach, ale i jako zapowiedzi mogących wybuchnąć lada chwila niepowstrzymanych pasji. Abstrakcyjna koncepcja zbioru podstawowych praw człowieka pozostaje zatem pewnym *novum*, zdumiewająco podatnym na uznanie za zbyteczny luksus w ciężkich czasach, możliwy do zrekompensowania zaspokojeniem znacznie starszych i ważniejszych potrzeb społecznych.

Czy powinniśmy czerpać otuchę z faktu, że po epoce mistrza Frantza przemoc państwowa została istotnie ograniczona, czy raczej odczuwać smutek z powodu nietrwałości tego osiągnięcia? W historii Frantza Schmidta niewiele jest pretekstów do naszego samozadowolenia, chociaż temat książki pozwalał się ich spodziewać. Jego biografia nie może stanowić moralitetu, który byłby do przyjęcia w naszych czasach. Przychodzi nam dzielić radości i rozczarowania jednostki mocno osadzonej w otaczających ją realiach. W rozumieniu współczesnych mu ludzi mistrz Frantz wywiązywał się ze swoich obowiązków tak sumiennie, że obywatele Norymbergi zyskiwali poczucie ładu i sprawiedliwości. W swoim rozumieniu dotrzymał obietnicy danej ojcu, dzieciom i sobie — mimo przeszkód na pozór niemożliwych do pokonania — w czym pomagała mu wiara i nie lada sukces osiągnięty w zawodzie lekarskim, który nasz kat miał za swe prawdziwe powołanie. O przeżyciach wewnętrznych Frantza wiadomo zbyt mało, by ocenić, czy jego żywot był w sumie szczęśliwy. Ale na pewno był on wypełniony realizacją istotnych celów. Niewykluczone, że w okrutnym i kapryśnym świecie źródłem nadziei jest opór wobec własnego losu, przewyciężenie powszechnej wrogości i dzielne przetrwanie wielu osobistych tragedii. Tak zapewne myślał mistrz Frantz. I zgódźmy się z nim, że jest to akt wiary godny tego, aby o nim pamiętać.

Przypisy

Skróty użyte w przypisach:

Angstmann: Else Angstmann, *Der Henker in der Volksmeinung: Seine Namen und sein Vorkommen in der mündlichen Volksüberlieferung* [Kat w powszechnej percepcji: jego określenie i obecność w tradycji ustnej], Fritz Klopp, Bonn 1928.

ASB: Amts- und Standbücher; Staatsarchiv Nürnberg, Bestand 52b [Księgi urzędowe i księgi stanu cywilnego; Archiwum Państwowe w Norymberdze, zespół 52b].

CCC: *Die Peinliche Gerichtsordnung Kaiser Karl V: Constitutio Criminalis Carolina: Die Carolina und ihre Vorgängerinnen. Text, Erläuterung, Geschichte* [Kodeks karny cesarza Karola V: *Constitutio Criminalis Carolina: Carolina* i jej poprzedniczki. Tekst, komentarz, dzieje]; red. J. Kohler, Willy Scheel, Verlag Buchhandlung des Waisenhauses, Halle an der Saale 1900.

DFS: Diariusz Frantza Schmidta; Biblioteka Miejska w Norymberdze, sygnatura: Amb 652.2°.

DJH: Diariusz kapelana więziennego Johannes Hagendorna (1563-1624); Germanisches Nationalmuseum Nürnberg, rkp. 3857.

G&T: Johann Glenzdorf i Fritz Treichel, *Henker, Schinder, und arme Sünder* [Kaci, oprawcy i niešťczęśni grzesznicy], t. 1-2, Wilhelm Rost, Bad Münden am Deister 1970.

GNM: Germanisches Nationalmuseum Nürnberg [Germańskie Muzeum Narodowe w Norymberdze].

Hampe: Theodor Hampe, *Die Nürnberger Malefizbücher als Quellen der reichsstädtischen Sittengeschichte vom 14. bis zum 18. Jahrhundert* [Norymberskie księgi złoczyńców jako źródła do historii obyczajów w miastach cesarskich od XIV do XVIII wieku], C.C. Buchner, Bamberg 1927.

Keller: Albrecht Keller, *Der Scharfrichter in der deutschen Kulturgeschichte* [Kat w dziejach niemieckiej cywilizacji], K. Schroeder, Bonn 1921.

Knapp, *Kriminalrecht*, w: Hermann Knapp, *Das alte Nürnberger Kriminalrecht* [Dawne norymberskie prawo karne], J. Guttentag, Berlin 1896.

Knapp, Loch: Hermann Knapp, *Das Lochgefängnis. Tortur, und Richtung in Alt-Nürnberg* [Więzienie zwane Lochem. Karanie i tortury w dawnej Norymberdze], Heerdengen-Barbeck, Norymberga 1907.

LKAN: Landeskirchliches Archiv Nürnberg [Krajowe Archiwum Kościelne w Norymberdze].

MVGN: *Mitteilungen des Vereins für die Geschichte der Stadt Nürnberg* [Biuletyn Norymberskiego Towarzystwa Historycznego].

Nowosadtko: Jutta Nowosadtko, *Scharfrichter und Abdecker: Der Alltag zweier „unehrlicher Berufe“ in der Frühen Neuzeit* [Kaci i rakarze. Życie codzienne przedstawicieli dwóch „haniebnych profesji” na początku ery nowożytnej], Ferdinand Schöningh, Paderborn 1994.

Restitution: Haus-, Hof-, Staatsarchiv Wien. *Restitutionen* [Wiedeńskie Archiwum Dynastyczne, Dworskie i Państwowe. *Restytucje*], zespół 6/S, Franz Schmidt, 1624.

RV: *Ratsverlaß* (uchwała norymberskiej rady miejskiej); Staatsarchiv Nürnberg [Archiwum Państwowe w Norymberdze], repertorium 60a.

StaatsAB: Staatsarchiv Bamberg [Archiwum Państwowe w Bambergu].

StaatsAN: Staatsarchiv Nürnberg [Archiwum Państwowe w Norymberdze].

StadtAB: Stadtarchiv Bamberg [Archiwum Miejskie w Bambergu].

StadtAN: Stadtarchiv Nürnberg [Archiwum Miejskie w Norymberdze].

Stuart: Kathy Stuart, *Defiled Trades and Social Outcasts: Honor and Ritual Pollution in Early Modern Germany* [Haniebne profesje i ekskuzja społeczna. Cześć a rytualne pokalanie w Niemczech z początków ery nowożytnej], Cambridge University Press, Cambridge — Nowy Jork 1999.

Wilbertz: Gisela Wilbertz, *Scharfrichter und Abdecker im Hochstift Osnabrück: Untersuchungen zur Sozialgeschichte zweier „unehrlichen“ Berufe im nordwestlichen Raum vom 16. bis zum 19. Jahrhundert* [Kaci i rakarze w diecezji Osnabrück. Badania nad historią społeczną dwóch „haniebnych” profesji w regionie północno-zachodnim od XVI do XIX wieku], Wenner, Osnabrück 1979.

[1] Heinrich Sochaczewsky, *Der Scharfrichter von Berlin* [Berliński kat], A. Weichert, Berlin 1889, s. 297.

[2] DJH 13 XI 1617; por. także: Theodor Hampe, „Die letzte Amstverrichtung des Nürnberger Scharfrichters Franz Schmidt” [„Ostatnia czynność urzędowa norymberskiego kata Frantza Schmidta”], w: MVGN 26 (1926), s. 321 i nast.

[3] W XX-wiecznej historiografii kaci z początków ery nowożytnej są charakteryzowani jako osoby socjopatyczne, pozbawione uczuć albo — również — ofiary społeczeństwa; Nowosadtko, s. 352.

[4] *Meister Frantzen Nachrichten alhier in Nürnberg, all sein Richten am Leben, so wohl seine Leibs Straffen, so Er verRicht, alleß hierin Ordentlich beschrieben, aus seinem selbst eigenen Buch abschrieben worden* [Mistrza Frantza, kata tutaj w Norymberdze, wszelakie kaźnie, jako też kary cielesne z jego ręki, rzetelnie tu opisane wedle jego osobistej księgi], red. J.M.F. von Endter, J.L.S. Lechner, Norymberga 1801; reprint z komentarzem J.C. Jacobsa i H. Röllekego, Harenberg, Dortmund 1980. *Maister Frantzn Schmidts Nachrichters inn Nürnberg all sein Richten* [Mistrza Frantza Schmidta, kata w Norymberdze, wszelakie kaźnie], red. Albrecht Keller, Heims, Leipzig 1913, reprint ze wstępem W. Leisera, P.C.W. Schmidt, Neustadt an der Aisch 1979. Angielskie tłumaczenie tej ostatniej edycji nosi tytuł: *A Hangsman's Diary, Being the Journal of Master Frantz Schmidt, Public Executioner of Nuremberg, 1573-1617* [Dziariusz katowski, czyli dziennik mistrza Frantza Schmidta, kata w Norymberdze, 1573-1617], tłum. C.V. Calvert i A.W. Gruner, D. Appleton, Nowy Jork 1928, reprint: N.J. Patterson Smith, Montclair 1973.

[5] Por. np. „dzienniki” katów ansbachskich z lat 1575-1603 (StaatsAN, repertorium 132, nr 57); katów w Reutlingen z lat 1563-1568 („Württembergische Vierteljahrshäfte für Landesgeschichte”, 1/1878, r. 85-86); Andreasa Tinela z Oławy, ok. 1600 r. (cyt. w: Keller, s. 257); Jacoba Steinmayera z Haigerlochu, 1764-1781 („Württembergische Vierteljahrshäfte für Landesgeschichte”, 4/1881, s. 159 i nast.); Franza Josepha Wohlmutha w Salzburgu *Das Salzburger Scharfrichtertagebuch* [Dziennik salzburskiego kata], red. P. Putzer, Österreichischer Kunst- und Kulturverlag, Wiedeń 1985; Johanna Christiana Zippela ze Stade (Gisela Willberts, *Das Notizbuch des Scharfrichters Johann Christian Zippel ze Stade [1766-1782]* [Notatnik kata z miasta Stade [1766-1782], Johanna Christiana Zippela], „Stader Jahrbuch”, 65/1975, s. 59-78. Odnośnie do wykazów katów z początków ery nowożytnej por. Keller, s. 248-260.

W najlepszym przypadku jedna na trzy osoby płci męskiej była w Niemczech mniej lub bardziej piśmienna. Hans Jörg Künast, „*Getruckt zu Augspurg*”: *Buchdruck und Buchhandel in Augsburg zwischen 1468 und 1555* [„Drukowane w Augsburgu”. Sztuka drukarska i handel książkami w Augsburgu w latach 1468-1555], Max Niemeyer, Tybinga 1997, s. 11-13; R.A. Houston, *Literacy in Early Modern Europe: Culture and Education, 1500-1800* [Piśmienność w Europie na początku ery nowożytnej. Kultura i oświata, 1500-1800], Pearson Education, Harlow 2002, s. 125 i nast.

[6] Najśłynniejszymi były pamiętniki paryskiej dynastii katowskiej Sansonów, zebrane przez Henriego Sansona pod tytułem *Sept générations d'exécuteurs, 1688-1847* [Siedem pokoleń katów, 1688-1847], t. 1-6, Décembre-Alonnier, Paryż 1862-1863; w skróconej wersji angielskiej:

Chatto and Windus, Londyn 1876. A oto przykłady anglojęzyczne: John Evelyn, *Diary of John Evelyn* [Diariusz Johna Evelyn], Bickers and Bush, Londyn 1879 oraz Stewart P. Evans, *Executioner, The Chronicles of James Berry, Victorian Hangman* [Kat. Kroniki Jamesa Berry'ego, wiktoriańskiego kata], Sutton, Stroud 2004.

[7] Niemieckie *mich* lub *mir* (przyp. tłum.).

[8] Dodajmy tutaj pewne wzmianki z początku i końca diariusza, jak też o pierwszym okresie kariery Schmidta w Norymberdze: 1573 (2x); 1576 (3x); 1577 (2x); 6 marca 1578 r.; 10 kwietnia 1578 r.; 21 lipca 1578 r.; 19 marca 1579 r.; 26 stycznia 1580 r.; 20 lutego 1583 r.; 16 października 1584 r.; 4 sierpnia 1586 r.; 4 lipca 1588 r.; 19 kwietnia 1591; 11 marca 1598 r.; 14 września 1602 r.; 7 czerwca 1603 r.; 4 marca 1606 r.; 23 grudnia 1606 r.

[9] Mowa o Friedrichu Wernerze, który zginął 11 lutego 1585 r. Jedynym wyjątkiem jest krótka wzmianka o „Hansie Spissie, moim krewnym, wypędzonym z miasta różgami przez Lwa” (o człowieku, który namówił do zbrodni zbiegłego morderce); DFS, 7 czerwca 1603 r.

[10] Według Kellera, „nigdy nie udaje mu się zebrać myśli” (s. 252).

[11] Edycja Endtera z roku 1801 została oparta na rękopisie z XVIII w. przechowywanym w StaatsAN, repertorium 25: S II. L 25, nr 12. Swoją wersję, wydaną w roku 1913, Albrecht Keller oparł głównie na egzemplarzu z końca XVII wieku, ze zbiorów biblioteki GNM, 2° HS Merkel 32. Moje tłumaczenie DFS jest odtworzeniem egzemplarza włączonego do kroniki norymberskiej z roku 1634, autorstwa Hansa Rigela, zachowanej w bibliotece miejskiej (652 2°). Na przełomie XVII i XVIII wieku powstawały prawdopodobnie dalsze kopie oraz wydania fragmentów i co najmniej dwa takie przekłady przetwarzały w bamberskiej bibliotece państwowej (SH MSC Hist. 70 i MSC Hist. 83), a dwa inne w GNM (Biblioteka: 4° HS 187 514; Archiwum Cesarskiego Miasta Norymbergi, zbiór prawny: nr V1/3).

[12] Tę motywację sugerują i Keller (*Maister Franntzn Schmidts Nachrichten*, wstęp, s. X-XI), i Nowosadtko („*Und nun alter, ehrlicher Franz*”: *Die Transformation des Scharfrichtermotivs am Beispiel einer Nürnberger Malefizchronik* [„Otóż, poczcwy stary Franciszku”. Przemiany wątku katowskiego na przykładzie pewnej norymberskiej księgi złoczyńców], „*Internationales Archiv für Sozialgeschichte der deutschen Literatur*”, 31, 1/2006, s. 223-245), ale o implikacjach dla życia Frantza Schmidta nie ma mowy w żadnym z tych przypadków.

[13] Przechowywane w LKAN księgi stanu cywilnego pozwoliły mi na odtworzenie pewnych faktów dotyczących pochodzenia Schmidta i życia jego rodziny. Protokoły przesłuchań i inne zapisy związane z egzekucją prawa karnego, głównie ze zbiorów Archiwum Państwowego w Norymberdze, wniosły wiele do obrazu zawodowej działalności Schmidta. Najcenniejszymi źródłami okazały się uchwały norymberskiej rady miejskiej, *Ratsverlässe*, będące kopalnią wiadomości pozwalających zrozumieć oba aspekty życia owego człowieka. Co więcej, uchwały rajców naświetliły medyczne zaangażowanie Frantza Schmidta, zwłaszcza jednak w latach, które nastąpiły po zakończeniu kariery katowskiej w Norymberdze (diariusz przedstawia tamten okres powierzchownie). Wiele zawdzięczam również pożytecznym informacjom biograficznym, które zebrali wcześniej inni badacze, że wspomnę tu z największym uznaniem

o takich osobach, jak Albrecht Keller, Wolfgang Leiser, Jürgen C. Jacobs oraz Ilse Schumann.

[14] Użytecznym omówieniem tematu jest praca: Julius R. Ruff, *Violence in Early Modern Europe, 1500-1800* [Przemoc w Europie na początku ery nowożytnej] (Cambridge University Press, Cambridge 2001).

[15] *Collected Works of Erasmus* [Dzieła zebrane Erazma], s. 25: *Literary and Educational Writings* [Prace literackie i pedagogiczne], red. J.K. Sowards, University of Toronto Press, Toronto 1985, s. 305.

[16] *Próby*, tłumacz: Tadeusz Boy-Żeleński, Zielona Sowa, Kraków 2004, s. 176.

[17] Odnośnie do przejawów obojętności ludzi z początków ery nowożytnej na cierpienie zwierząt por. zwłaszcza: Robert Darnton, *The Great Cat Massacre and Other Episodes in French Cultural History* [Wielka rzeź kotów i inne epizody z dziejów cywilizacji francuskiej], Vintage, Nowy Jork 1985.

[18] Tę rekonstrukcję oparto na podobnych doświadczeniach dydaktycznych w życiu potomków katowskich dynastii według opisu zawartego w: Wilbertz, s. 120-131. Frantz Schmidt nie zajmuje się szerzej w diariuszu nauką pod okiem ojca, wspomina o niej tylko wtedy, gdy podaje czerwiec roku 1573 jako początek wędrówek za pracą.

[19] Tu przydała się najbardziej interpretacja Arthura E. Imhofa z dzieła *Verlorene Welten* (w przekładzie Thomasa Robisheaux: *Lost Worlds: How Our European Ancestors Coped with Everyday Life and Why Life Is So Hard Today* [Zaginione światy. Jak nasi europejcy przodkowie radzili sobie z codziennym życiem i dlaczego jest ono dzisiaj takie ciężkie], University of Virginia Press, Charlottesville 1996, s. 68-105.

[20] Temat został niedawno omówiony w pracy: C. Pfister, „Population of Late Medieval Germany” [„Ludność Niemiec u schyłku średniowiecza”], będącej częścią dzieła *Germany: A New Social and Economic History* [Niemcy. Nowa historia społeczna i gospodarcza], t. 1, 1450-1630, pod red. Boba Scribnera, s. 213 i nast.

[21] Imhof, *Lost Worlds*, s. 72.

[22] Imhof, *Lost Worlds*, s. 87-88. Por. także: John D. Post, *The Last Great Subsistence Crisis in the Western World* [Ostatni wielki kryzys żywniowy w świecie zachodnim], Johns Hopkins University Press, Baltimore 1977. Odnośnie do „małej epoki lodowcowej” por. Wolfgang Behringer, *Kulturgeschichte des Klimas: Von der Eiszeit bis zur globalen Erwärmung* [Dzieje oddziaływania klimatu na cywilizacje. Od epoki lodowcowej do globalnego ocieplenia], C.H. Beck, Monachium 2007, zwłaszcza s. 120-195.

[23] Thomas A. Brady, Jr., *German Histories in the Age of Reformations* [Reformacyjne kompendia dziejów narodu niemieckiego], Cambridge University Press, Cambridge 2009, s. 96-97.

[24] Brady, *German Histories*, s. 97. Por. także: Knapp, *Kriminalrecht*, s. 155-160.

[25] Przekonuje mnie argumentacja Hillaya Zmory w: *The Feud in Early Modern Germany* [Wąśnie rodzinne w Niemczech w progę ery nowożytnej], Cambridge University Press, Cambridge 2011. Por. tegoż autora dzieło po części zbieżne co do tematyki: *State and Nobility in Early Modern Franconia, 1440-1567* [Państwo a magnateria we Frankonii u progę ery nowożytnej], Cambridge University Press, Cambridge 1997.

[26] Uchwała z 12 sierpnia 1522 r., przytoczona przez Monikę Spicker-Beck w: *Räuber, Mordbrenner, umschweifendes Gesind: Zur Kriminalität im 16. Jahrhundert* [Zbójcy, podpalacze, włóczęgi. O szesnastowiecznej przestępczości], Rombach, Fryburg Bryzgowijski 1995, s. 25.

[27] Hans Jakob Christoffel von Grimmelshausen, *An Unabridged Translation of Simplicius Simplicissimus* [Pełny przekład dzieła o Simpliciusie Simplicissimusie], tłum. Monte Adair, University Press of America, Lanham, MD 1986, s. 9-10.

[28] DFS, 14 lutego 1596 r. W XVI w. co najmniej jeden na trzech zbójców okazywał się lancknechtem; Spicker-Beck, *Räuber*, s. 68.

[29] Por. Bob Scribner, „The Mordbrenner Panic in Sixteenth Century Germany” [„Paniczny strach przed podpalaczami w szesnastowiecznych Niemczech”], w: *The German Underworld: Deviants and Outcasts in German History* [Niemiecki półświatek. Dewianci i ludzie z marginesu społecznego w dziejach Niemiec], red. R.J. Evans, Routledge, Londyn — Nowy Jork 1988, s. 29-56; Gerhard Fritz, *Eine Rotte von allerhandt räuberischem Gesind: Öffentliche Sicherheit in Südwestdeutschland vom Ende des Dreissigjährigen Krieges bis zum Ende des Alten Reiches* [Rozmaita zbójcka hałastra. Bezpieczeństwo publiczne na południowym zachodzie Niemiec od końca wojny trzydziestoletniej po kres Pierwszej Rzeczy], J. Thorbecke, Ostfildern 2004, s. 469-500; i Spicker-Beck, *Räuber*, zwłaszcza s. 25 i nast.

[30] Imhof, *Lost Worlds*, s. 4.

[31] Angstmann, s. 85.

[32] Na ziemiach niemieckich: *Henker*, w Anglii *hangman* (przyp. tłum.).

[33] Przedstawicielami profesji hańbiących byli ponadto: balwierze, żebracy, czyściciele ulic, garbarze, nadworni słudzy i łucznicy, pasterze, kastratorzy macior, czyściciele latryn, młynarze, członkowie nocnych patroli, aktorzy, kominiarze i celnicy; Nowosadtko, s. 12-13 oraz 24-28.

[34] „Der Hurensohn der Hencker” [Wieszacz, syn ładacznicy] w augsburskim statucie miejskim (*Stadtrecht*) z 1276 r.; Keller, s. 108. Argumentacja tamtego komentatora nie przekonuje, ponieważ najpowszechniejsze nazwiska katów pochodziły od rzemiosł: Schmidt (kował), Schneider (krawiec) i Schreiner (cieśla). Zdarzali się co prawda wśród katów skazani za swe czyny kryminaliści, ale były to raczej wyjątki. Else Angstmann (s. 74-113) jest pod wyraźnym wpływem odnośnych badań antropologicznych z początku XX wieku, jak też własnych ustaleń,

opartych na sagach. Niektórzy historycy, zafascynowani jungowskimi rozważaniami o *sacrum* i magii (bez dowodów historycznych), dopatrywali się w średniowiecznych katach nawet dziedziców germańskich kapłanów, kojarząc jednych i drugich z rytualnym całopaleniem, i sugerowali, że późniejsze zohydowanie katów było elementem kampanii zorientowanej na propagandę chrystianizmu, zamiast dalszego utrzymywania pogańskich wierzeń; Karl von Amira, *Die germanischen Todesstrafen* [Germańskie egzekucje], Verlag der Bayerischen Akademie der Wissenschaften, Monachium 1922, por. także omówienie w: Nowosadtko, s. 21-36 oraz G&T, s. 14, 38-39.

[35] Oto nazwiska najbardziej znanych niemieckich dynastii katowskich z początku ery nowożytnej: Brand, Döring, Fahner, Fuchs, Gebhardt, Gutschlag, Hellriegel, Hennings, Kaufmann, Konrad, Kühn, Rathmann, Schwanhardt i Schwarz; G&T, s. 46, ponadto: Stuart, s. 69.

[36] Opowieść Frantza o pohańbieniu jego ojca, zawartą w *Restitution*, s. 201 (*recto-verso*) potwierdziła *Enoch Widmans Chronik der Stadt Hof* [Enocha Widmana kronika miasta Hof], red. C. Meyer, Lion, Hof 1893), s. 430, gdzie Heinrich Schmidt nie jest jednak wymieniony z nazwiska i można przeczytać, iż margrabia kazał powiesić dwóch służących i jednego rusznikarza. Oblężenie Hofu opisał Friedrich Ebert w: *Kleine Geschichte der Stadt Hof* [Dzieje miasta Hof w zarysie], Hoermann, Hof 1961, s. 34 i nast.; E. Dietlein w: *Chronik der Stadt Hof* [Kronika miasta Hof], t. 1: *Allgemeine Stadtgeschichte bis zum Jahre 1603* [Ogólna historia miasta do roku 1603], Hoermann, Hof 1937, s. 329-394; Kurt Stierstorfer, *Die Belagerung Hof's, 1553* [Oblężenie Hofu], Verlag des Nordoberfränkischen Vereins für Natur-, Geschichts- und Landeskunde, Hof 2003.

[37] Metryki chrztu mieszkańców Hofu z tamtego okresu nie zachowały się. Datację oparłem na zapisie w diariuszu kapelana Johannes Hagendorna, który w kontekście odejścia mistrza Frantza na emeryturę, co nastąpiło na początku sierpnia 1618 r., zanotował, że kat obchodził niedawno 64. urodziny (DJH, s. 68 *recto*). Jako że edykt restytucyjny, czyli niejako zwracający Schmidtowi honor, wydany w roku 1624, nie wspomina o tym, iż był on już na świecie w momencie pohańbienia ojca, wypada nam przyjąć, że Frantz urodził się między listopadem 1553 a lipcem 1554 r.

[38] Ebert, *Kleine Geschichte der Stadt Hof*, s. 25-27.

[39] *Widmans Chronik*, s. 180, 188.

[40] Dietlein, *Chronik*, s. 434-435.

[41] Ilse Schumann, *Der Bamberger Nachrichten Heinrich Schmidt: Eine Ergänzung zu seinem berühmten Sohn Frantz* [Bamberski kat Heinrich Schmidt. Postać uzupełniająca wobec sławnego syna tegoż, Frantza], „Genealogie”, 3/2001, s. 596-608.

[42] Johannes Looshorn, *Die Geschichte des Bisthums Bamberg* [Dzieje diecezji bamberskiej], s. 5: 1556-1622 (Handels-Druckerei, Bamberg 1903), s. 106, 148, 217.

[43] StaatsAB A231/a, nr 1797, 1-nr 1809, 1 (Ämterrechnungen, 1573-1584) [Rachunki

urzędów].

[44] StadtAB, repertorium B5, nr 80 (1572/1573).

[45] Stuart, s. 54-63; G&T, s. 23; Keller, s. 120; Wilbertz, s. 323-324.

[46] Ludność Hofu była niemal wyłącznie luterańska, natomiast w Bambergu mieszkało w roku 1570 zaledwie 14% protestantów; Karin Dengler-Schrieber, *Kleine Bamberger Stadtgeschichte* [Bamberg. Dzieje miasta w zarysie], Friedrich Puslet, Regensburg 2006, s. 78.

[47] Wilbertz, s. 319-321.

[48] Werner Danckert, *Unehrlche Leute. Die verfehtem Berufe* [Ludzie drugiej kategorii. Zawody haniebne], Francke, Berno 1997, s. 39 i nast. Odnośnie do moralności cechowej por. Mack Walker, *German Home Towns: Community, State, and General Estate, 1648-1871* [Niemieckie miasta samodzielne. Ich państwowość, ludność i rozwarstwianie społeczne], Cornell University Press, Ithaca, NY 1971, s. 90-107.

[49] Katów berlińskich rozpoznawano po sporych kapeluszach z czerwonymi otokami, o niektórych katach z XIV w. wiadomo natomiast, że nosili czapki, które zachodziły na uszy, ale nie zakrywały twarzy. W roku 1543 władze Frankfurtu nad Menem zażądały od katów ozdobienia rękawów kamizelek „czerwonymi, białymi i zielonymi paskami” pod groźbą grzywny w wysokości 20 guldenów; Keller, s. 79 i nast., 121-122; G&T, s. 26-28; Nowosadtko, s. 239-248.

[50] Wilbertz, s. 333; Nowosadtko, s. 266; ponadto Stuart, s. 3.

[51] Władcy z dynastii Karolingów nadal odnosili do tych urzędników rzymską nazwę *carnifices* (dosłownie: masarze) i, alternatywnie, nazwę *apparitores* albo też określali ich już to jako sługi (*Knechte*), już to jako egzekutorów prawa (*Gerichtsherren*). W pierwszej połowie XIII wieku postacią wielkiej wagi stał się „siepacz” (*Fronbote, Büttele*), w *Sachsenspiegel* [Zwierzciadło wszelakich rzeczy] z 1224 r. nazwany „świętym posłańcem” i „sługą Bożym”, dla zaakcentowania sakralnego charakteru jego powinności. O kacie etatowym nie wspomina ani *Sachsenspiegel*, ani *Schwabenspiegel* [Zwierzciadło szwabskie] z roku 1275. Por. także: Keller, s. 79-91.

[52] *Bambergensis Constitutio Criminalis* [Bamberski kodeks karny]; w innych edycjach jest to *Johann von Schwarzenberg: Bambergische halßgericht und rechtliche Ordnung* [J.v.S., Bamberski kodeks postępowania karnego i wykonywania wyroków śmierci]; reprint mogunckiego wydania z roku 1510 ukazał się w 1979 r., Verlag Median & Kultur, Norymberga 1979; s. 258b.

[53] Stuart, s. 23-26; Nowosadtko, s. 50-51, 62; G&T, s. 9, 15; Keller, s. 46-47.

[54] Stuart, s. 29 i nast.

[55] *Bambergensis, CCC.*

[56] CCC, preambuła.

[57] Termin *Nachrichter* pojawił się w Norymberdze już w XIII stuleciu, ale gdzie indziej wszedł do obiegu dopiero 300 lat później (por. artykuły 86, 96 i 97 w CCC), a na północ Niemiec dotarł z początkiem XVII wieku. Natomiast określenie *Scharfrichter* zadomowiło się na całym obszarze niemieckojęzycznym w pierwszych dekadach XVI stulecia. Odnośnie do regionalnych wariantów niemieckich określeń kata por. Angstmann, s. 4-75, zwłaszcza s. 28-31, 36-43 i 45-50; ponadto Keller, s. 106 i nast., oraz Jacoba i Wilhelma Grimmów *Deutsches Wörterbuch* [Słownik języka niemieckiego] (Leipzig: S. Hirzel, 1877), 4, cz. 2: s. 990-993; 7: s. 103-104; i 8: s. 2196-2197.

[58] CCC, art. 258b.

[59] Gerd Schwerhoff, *Köln im Kreuzverhör: Kriminalität, Herrschaft, und Gesellschaft in einer frühneuzeitlichen Stadt* [Kolonja w krzyżowym ogniu pytań. Przystępność, władza i społeczeństwo w niemieckim mieście u zarania ery nowożytnej], Bouvier, Bonn 1991, s. 155; Schumann, „Heinrich Schmidt Nachrichten”, s. 605; Angstmann, s. 105.

[60] W pewnym zestawieniu, które dotyczy Kolonii u schyłku XVI w., wykazano nie mniej niż 75% takich egzekucji w przedmiotowym okresie: 85 spośród 193 egzekucji dotyczyły złodziei, a w 62 przypadkach skazanymi byli grabieżcy i zbrojcy; Schwerhoff, *Köln im Kreuzverhör*, s. 154.

[61] DFS, 5 kwietnia 1589 r.

[62] Ekspediowanie do zamorskich kolonii było popularniejsze w osiemnastowiecznej Anglii oraz w następnym stuleciu we Francji. Por. André Zysberg, *Galley and Hard Labor Convicts in France (1550-1850): From the Galleys to Hard Labor Camps: Essay on a Long Lasting Penal Institution* [Galerńicy i ludzie skazani we Francji na ciężkie roboty (1550-1850). Od galer do obozów ciężkiej pracy. Esej o mającym długą tradycję pomyśle penitencjarnym], w: *The Emergence of Carceral Institutions: Prisons, Galleys, and Lunatic Asylums, 1550-1900* [Pojawienie się instytucji penitencjarnych. Więzienia, galery i psychiatryczne zakłady zamknięte], red. P. Spierenburg, Erasmus Universiteit, Rotterdam 1984, zwłaszcza s. 78-85; ponadto Knapp, *Kriminalrecht*, s. 79-81.

[63] Odnośnie do genezy norymberskiego resocjalizacyjnego ośrodka pracy przymusowej por. Joel F. Harrington, *Escape from the Great Confinement: The Genealogy of a German Workhouse* [Rezygnacja z zakładów karnych. Genealogia pewnego niemieckiego ośrodka przymusowej pracy], „Journal of Modern History”, 71/1999, s. 308-345.

[64] DFS, 15 grudnia 1593 r.; 5 września 1594 r.; 29 marca 1595 r.; 19 maja 1601 r.; 28 maja 1595 r.; 22 listopada 1603 r.; 17 sierpnia 1599 r.; 2 maja 1605 r.; 25 stycznia 1614 r. (2x); 19 lipca 1614 r.; 11 stycznia 1615 r.; 12 stycznia 1615 r. Por także: Harrington, „Escape from the Great Confinement”, s. 330-332.

[65] *Ob Kriegsleute auch im seligem Stande sein können* [O tym, czy ktoś, kto wojuje, może dostąpić błogosławieństwa Bożego], 1526, w: *D. Martin Luthers Werke: Kritische Gesamtausgabe*

[Krytyczne wydanie zbiorowe dzieł Marcina Lutra], Herman Böhlau, Weimar, s. 1883 i nast.; reprint: 1964-1968, 19, s. 624-626; *Kirchenpostille zum Evangelium am 4. Sonntag nach Trinitatis* [Postylla kościelna do ewangelii na 4. niedzielę po dniu Trójcy Świętej], ibidem 6, s. 36-42; *Von weltlicher Obrigkeit, wie weit man ihr Gehorsam schuldig sei* [O zwierzchności świeckiej — jak dalece należy jej okazywać posłuszeństwo], ibidem 11, s. 265.

[66] *Praxis rerum criminalium, durch den Herrn J. Damhouder, in hoch Teutsche Sprach verwandelt durch M. Beuther von Carlstat* [Rozstrzyganie spraw karnych, dzieło pana J. Damhoudera, na wykwintną niemczyznę przetłumaczone przez M. Beuthera z Karlstadtu], Frankfurt nad Menem 1565, s. 264 i nast.; Jacob Döppler, *Theatrum poenarum, suppliciorum, et executionum criminalium: oder, Schau-platz derer leibes und lebens-straffen* [Teatr kar, mąk i egzekucji złooczyńców, czyli miejsce zadawania kar cielesnych i wykonywania wyroków śmierci], Sondershausen 1693, 1: s. 540.

[67] G&T, s. 23.

[68] W Bayreuth dnia 2 września 1560 r.; G&T, s. 5398.

[69] RV w 1313, s. 14 verso (4 marca 1570 r.).

[70] Nowosadtko, s. 196; Wilbertz, s. 117-120.

[71] Keller, s. 114-115.

[72] Keller, s. 245-246. W żargonie *Rotwelsch* połączono potoczną łącinę wędrownych zakonników i studentów z elementami języków: hebrajskiego, jidysz i romskiego (cygańskiego). Podobnie jak w angielskiej gwarze *Cockney*, większość wyrazów powstała w efekcie modyfikacji semantycznych, czyli metafor wprowadzających nowe znaczenia, a także „zabiegów formalnych, na przykład różnych wsubstytucji, dodawania przedrostków albo przyrostków lub przestawień spółgłosek, samogłosek i sylab”); Robert Jütte, *Poverty and Deviance in Early Modern Europe* [Ubóstwo i dewiacje społeczne w Europie u zarania ery nowożytnej], Cambridge University Press, Cambridge 1995, s. 182-183; idem, *Abbild und soziale Wirklichkeit des Bettler- und Gaunertums zu Beginn der Neuzeit: Sozial-, mentalitäts-, und sprachgeschichtliche Studien zum Liber vagatorum* [Portret zbiorowy oraz kondycja społeczna żebraków i oszustów u zarania ery nowożytnej. Komentujące Księgę obieżyświatów (1510) przyczynki do dziejów społeczeństw, ich mentalności oraz języków], Böhlau, Kolonia — Wiedeń 1988, zwłaszcza s. 29-106; ponadto Siegmund A. Wolf, *Wörterbuch des Rotwelschen: Deutsche Gaunersprache* [Słownik niemczyzny złodziejskiej], Bibliographisches Institut, Mannheim 1956; Ludwig Günther, *Die deutsche Gaunersprache und verwandte Geheim und Berufssprachen* [Niemczyzna złodziejska i inne gwary tajemne lub zawodowe], Sändig, Wiesbaden 1956.

[73] W brzmieniu niemieckim: *Meister Hämmerlein* lub *Meister Hammerling* (przyp. tłum.).

[74] Por. fascynujące omówienie w: Angstmann, zwłaszcza s. 2-73.

[75] Jacob Grimm i in., *Weisthümer* [Dawne zbiory praw], Dietrich, Getynga 1840, 1, s. 818-819;

Eduard Osenbrüggen, *Studien zur deutschen und schweizerischen Rechtsgeschichte* [Szkice z dziejów prawodawstwa i orzecznictwa w Niemczech i Szwajcarii], Fr. Hurter, Szafuza 1868, s. 392-403; Keller, s. 243.

[76] Keller, s. 247-248; G&T, s. 68-70.

[77] DFS, 1573; 13 sierpnia 1577 r.; 19 marca 1579 r.

[78] Wilbertz, s. 123.

[79] Podstawa: dyplom mistrzowski (*Meisterbrief*) Johanna Michaela Edelhäusera z 1772 r.; G&T, s. 99. Odnośnie do pęnego tekstu dyplomu mistrzowskiego z roku 1676 por. Keller, s. 239; ponadto Nowosadtko, s. 196-197.

[80] *Restitution*, s. 201 verso — 202 recto.

[81] *Próby*, s. 137.

[82] Hollfeld: dwukrotnie w roku 1573, jeden raz w roku 1575; Forchheim: czterokrotnie w 1577 i jeden raz w 1578 r.; Bamberg: jeden raz w 1574 i dwa razy w 1577 r.

[83] Harrington, *The Unwanted Child: The Fate of Foundlings, Orphans, and Juvenile Criminals in Early Modern Germany* [Dziecko niechciane. Losy znajd, sierot i młodocianych przestępców w Niemczech u zarania ery nowożytnej], University of Chicago Press, Chicago — Londyn 2009, s. 78-79. Katherine A. Lynch podaje szacunkowo w *Individuals, Families, and Communities in Europe, 1200-1800: The Urban Foundations of Western Society* [Jednostka, rodzina i społeczność lokalna w Europie, 1200-1800. Miejski trzon społeczeństw zachodnich], Cambridge University Press, Cambridge 2003, na s. 38, że w większości miast niemieckich ludność napływowa stanowiła 3-8% mieszkańców.

[84] Angstmann, zwłaszcza s. 2-73.

[85] Odnośnie do przykładów takich symboli por. Spicker-Beck, *Räuber*, s. 100 i nast. Por. także: Florike Egmond, *Underworlds: Organized Crime in the Netherlands, 1650-1800* [Półświatki. Przystępczość zorganizowana w Niderlandach], Polity Press, Cambridge 1993; Carsten Küther, *Menschen auf der Strasse: Vagierende Unterschichten in Bayern, Franken, und Schwaben in der zweiten Hälfte des 18. Jahrhunderts* [Ludzie na gościach. Wędrowni ludzie z nizin społecznych po drogach bawarskich, frankońskich i szwabskich w drugiej połowie XVIII wieku], Vandenhoeck & Ruprecht, Getynga 1983, zwłaszcza s. 60-73.

[86] Dwie trzecie ówczesnych zabójstw to przypadki zadżgania nożem, na ogół w karczmie; Julius R. Ruff, *Violence in Early Modern Europe, 1500-1800*, Cambridge University Press, Cambridge 2001, s. 123. Odnośnie do kultury picia w czasach mistrza Frantza por. B. Ann Tlusty, *Bacchus and Civic Order: The Culture of Drink in Early Modern Germany* [Bachus a ład społeczny. Kultura picia w Niemczech u zarania ery nowożytnej], University Press of Virginia, Charlottesville — Londyn 2001; *Public Drinking in the Early Modern World: Voices from the*

Tavern, 1500-1600 [Picie w miejscach publicznych u zarania ery nowożytnej. Odgłosy karczemne]; *The Holy Roman Empire* [Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego], red. B.A. Tlusty i B. Kūmin, t. 1-2, Pickering & Chatto, Londyn 2011; Marc Forster, *Taverns and Inns in the German Countryside: Male Honor and Public Space* [Karczmy i gospody na niemieckiej prowincji. Obrona męskiego honoru w miejscu publicznym], w: *Politics and Reformations: Communities, Politics, Nations, and Empires: Essays in Honor of Thomas A. Brady, Jr.* [Polityka a reformy społeczne. Społeczności lokalne, strategie polityczne i cesarstwa. Prace poświęcone Thomasowi A. Brady'emu juniorowi], red. C. Ocker i in., Brill, Leiden 2007, s. 230-250.

[87] Odnośnie do typowej wzmianki o tym, że mistrz Frantz „nie pił wina ni piwa”, por. ASB 210, s. 248 verso.

[88] DFS, 18 listopada 1617 r.; 3 grudnia 1612 r.; 15 marca 1597 r.; 14 listopada 1598 r.

[89] W pewnej norymberskiej opowieści z 1549 r. kobiecie podejrzanej o dzieciobójstwo przedstawiono zwłoki noworodka, które udało się odnaleźć w domowej ubikacji: „Gdy pan domu poprosił: «Niewinne dziecko, daj nam znak, jeśli kto spośród nas jest winien [twojej śmierci]», zaraz pono dzieciątko uniosło lewą rękę, a oskarżona służąca zemdlała”; ASB 226a, s. 32 verso; DFS, 3 maja 1597 r.; StaatsAN 52a, s. 447, 1155. Ulinka Rublack znajduje nawiązania do *Bahrprobe* (próby nar) w niektórych pochodzących z XVII w. opowieściach o zbrodniach (*The Crimes of Women in Early Modern Germany* [Zbrodnie kobiet niemieckich u zarania ery nowożytnej], Clarendon Press, Oksford 1999, s. 58, a Robert Zagolla twierdzi, że takie próby zdarzały się gdzieś jeszcze dłużej — *Folter und Hexenprozess: Die strafrechtliche Spruchpraxis der Juristenfakultät Rostock im 17. Jahrhundert* [Tortury a procesy czarownic. Orzecznictwo karne wydziału prawa uniwersytetu w Rostocku w XVII wieku], Verlag für Regionalgeschichte, Bielefeld 2007, s. 220.

[90] DFS, 6 lipca 1592 r.; 16 stycznia 1616 r.; ponadto DJH, 16 stycznia 1616 r. Johann Christian Siebenkees, edytor książki *Materialien zur nürnbergischen Geschichte* [Materiały do dziejów Norymbergi], Norymberga 1792, odnotowuje: w części drugiej na s. 593-598 dwie próby nar w XVI-wiecznej Norymberdze, jedną w 1576 i drugą w 1599 r.

[91] Np. RV 1419, s. 26 verso. Por. także: Knapp, *Loch*, s. 25 i nast.; Zagolla, *Folter und Hexenprozess*, s. 327-328.

[92] Christian Ulrich Grupen, *Observationes Juris Criminalis* [Komentarze do prawa karnego] (1754), cyt. w: Keller, s. 200.

[93] Ledwie 1-2% podejrzanych o czyny karalne w Kolonii u schyłku XVI w. poddawano torturom, i to na ogół zawodowych zbójców i złodziei; Schwerhoff, *Köln im Kreuzverhör*, s. 109-115; ponadto Stuart, s. 141-142.

[94] G&T, s. 86-88; Zagolla, *Folter und Hexenprozess*, s. 399-400.

[95] Por. CCC, art. 131, ust. 36, odnośnie do wystarczających powodów torturowania osób podejrzanych o dzieciobójstwo; ponadto Rublack, *Crimes of Women*, s. 54; Wilbertz, s. 80;

[96] DFS, 10 maja 1599 r.; Knapp, *Loch*, s. 37.

[97] DFS, 4 grudnia 1599 r.; 23 grudnia 1605 r. Por. także: RV 2551, s. 23 *recto-verso* (10 października 1663 r.).

[98] DJH, s. 88 *verso*-89 *recto* (8 lutego 1614 r.). Tym, którzy przesłuchiwali Helenę Nusslerin (RV 1309, s. 16 *verso* [12 listopada 1569 r.]), polecono, aby ze wznowieniem tortur poczekali osiem dni. W porównywalnej sytuacji pozwolono, ażeby Margaretha Voglin odzyskała siły, zanim nastąpiła egzekucja tej osoby (RV 2249, s. 24 *verso* [19 lutego 1641]).

[99] StadtAN F1-2/VII (1586).

[100] ASB 215, s. 18.

[101] Sędziowie mieli do Kreuzmayera pretensje o „kilkaset sakramenckich przekleństw”; ASB 212, s. 121 *recto*-122 *verso*, 125 *verso*-126 *recto*; DFS, 5 września 1594 r.

[102] Odnośnie do szczegółowej analizy sprawy Mayra por. Harrington, *Unwanted Child*, s. 177-227.

[103] ASB 215, s. 332 *recto*.

[104] Trudno oszacować, w ilu seansach tortur Schmidt brał udział w jednym roku. Ówcześni kaci ansbachscy (1575-1600) realizowali średnio jeden seans tygodniowo; Angstmann, s. 105.

[105] DFS, 21 kwietnia 1602 r.

[106] Por. np. DFS, 25 maja 1581 r.; 20 lutego 1582 r.; 4 sierpnia 1586 r. (2x); 11 lipca 1598 r.

[107] DFS, 6 lipca 1592 r. Odnośnie do kwestionowania przydatności tortur przez wielu ówczesnych prawników por. Zagolla, *Folter und Hexenprozess*, s. 34 i nast.

[108] Lata 1588 i 1591, cyt. w: Knapp, *Loch*, s. 33. O swobodzie dawanej katom w takich sytuacjach piszą: Zagolla, *Folter und Hexenprozess*, s. 367-373; Joel F. Harrington, *Tortured Truths: The Self-Expositions of a Career Juvenile Criminal in Early Modern Nuremberg* [Prawda wymuszana. Samooskarżenia zawodowego młodocianego przestępcy w Norymberdze z początkowego okresu ery nowożytnej], „German History”, 2/2005, s. 143-171.

[109] Do takich wniosków uprawnia 114 przypadków tortur w Kolonii, w latach 1549-1675; Schwerhoff, *Köln im Kreuzverhör*, s. 114-117. Przykładowo w Kolonii oraz Rostocku torturom poddawano sześciu na dziesięciu zbrojców i tylko jednego na dziesięciu sprawców zabójstw; Zagolla, *Folter und Hexenprozess*; s. 48, 61-63.

[110] Jacob Grimm, *Von der Poesie im Recht* [O poezji w prawie], pierwsza edycja: rok 1815.

[111] *Lex talionis* (łac.) — prawo odwetu (przyj. tłum.).

[112] Knapp, *Kriminalrecht*, s. 60.

[113] DFS, 13 sierpnia 1578 r.; 9 października 1578 r.; 19 listopada 1579 r.; 7 lutego 1581 r.; 6 maja 1581 r.; 22 kwietnia 1585 r.; 25 czerwca 1586 r.; 23 sierpnia 1593 r.; 25 września 1595 r.; 24 października 1597 r.; 23 lutego 1609 r.; 25 listopada 1612 r.; 30 stycznia 1614 r. Por. Jütte, *Poverty and Deviance*, s. 164 i nast., w kwestii ówczesnego wypalania piętna włóczgom. Do ucinania uszu doszło: 29 stycznia 1583 r., 4 września 1583 r.; 22 stycznia 1600 r.; 4 sierpnia 1601 r. i 9 grudnia 1600 r. Jedyne ucięcie języka zdarzyło się 19 kwietnia 1591 r.

Młody najemnik nie odnotowuje liczby ani rodzajów kar cielesnych, jakie zadawał w tych początkowych latach, ale wiadomo, że był świadkiem ucięcia przez ojca co najmniej sześciorga uszu i dwóch palców albo nawet w tym pomagał, i że wypalił dwa piętna. W 1576 r. pisze o skazanym Hansie Peyhelu: „Dwa lata wstecz w mieście Herzogenaurach jam odciął mu uszy i wychłostał go”. W okresie 1572-1585 Heinrich i, przed rokiem 1578, sporadycznie Frantz Schmidt wykonali 85 chłost, jeden raz pozbawili uszu, trzykrotnie odrąbali palce i wypalili 2 piętna; Schumann, „Heinrich Schmidt Nachrichten”, s. 605.

[114] StaatsAB A231/a, nr 1797, 1 — nr 1803, 1.

[115] Jason P. Coy, *Strangers and Misfits: Banishment, Social Control, and Authority in Early Modern Germany* [Ludzie obcy i nieprzystosowani. Banicja, kontrola społeczna i demonstrowanie władzy w Niemczech u zarania ery nowożytnej], Brill, Lejda 2008, s. 2-3; Schwerhoff, *Köln im Kreuzverhör*, s. 148-153. W drugiej połowie XVI w. stosowanie banicji osiągnęło, jak się zdaje, w krajach niemieckich swoją kulminację. Wzmianki w diariuszu Frantza Schmidta o innych chłostach — prócz tych nieodnotowanych sprzed roku 1578 — są opatrzone datami: 29 lutego 1580 r.; 7 czerwca 1603 r. i 4 sierpnia 1586 r.

[116] DFS, 24 października 1597 r.

[117] DFS, 10 stycznia 1583 r.

[118] Pewna chłosta z ręki poprzednika Schmidta zakończyła się — był to rok 1573 — zgonem ukaranego, który nastąpił nazajutrz; Knapp, *Kriminalrecht*, s. 63.

[119] Stuart, s. 143.

[120] Keller, s. 100.

[121] Siebenkees, *Materialien*, cz. 1, s. 543 i nast.; Keller, s. 189-196; Knapp, *Kriminalrecht*, s. 52-53. Obie tradycje utrzymały się tu i ówdzie w Niemczech aż do połowy XVIII wieku.

[122] Keller, s. 7.

[123] Siebenkees, *Materialien*, cz. 2, s. 599-600. O takim przypadku z roku 1513 jest mowa

w: Keller, s. 160. Por. także: G&T, s. 55-56; Richard van Dülmen, *Theatre of Horror: Crime and Punishment in Early Modern Germany* [Teatr grozy. Zbrodnia i kara w Niemczech u zarania ery nowożytnej]; tłum. E. Neu, Polity Press, Cambridge 1990, s. 88-89; CCC, art. 124, 130 i 133.

[124] Keller, s. 185; Knapp, *Kriminalrecht*, s. 58.

[125] DFS, 6 marca 1578 r. Pełniejsze omówienie udreki Apollonii Vöglin w: Harrington, *Unwanted Child*, s. 21-71.

[126] DFS, 26 stycznia 1580 r.; opinie prawników cyt. w: Knapp, *Kriminalrecht*, s. 58.

[127] DFS, 17 lipca 1582 r.; 11 sierpnia 1582 r.; 11 lipca 1598 r.; 5 marca 1611; 19 lipca 1595 r.; 10 sierpnia 1581 r.; 26 października 1581 r.; 8 czerwca 1587 r.; 11 października 1593 r.

[128] DFS, 18 stycznia 1588 r.

[129] DFS, 1573; 1576; 6 sierpnia 1579 r.; 26 stycznia 1580 r.; 3 marca 1580 r.; 16 sierpnia 1580 r.; 27 lipca 1582 r.; 11 sierpnia 1582 r.; 14 sierpnia 1582 r.; 9 listopada 1586 r.; 2 stycznia 1588 r.; 28 maja 1588 r.; 5 maja 1590 r.; 7 lipca 1590 r.; 25 maja 1591 r.; 30 czerwca 1593 r.; 2 stycznia 1595 r.; 15 marca 1597 r.; 26 października 1602 r.; 13 sierpnia 1604 r.; 7 grudnia 1615 r.

[130] RV 1551, s. 5 *verso* (2 stycznia 1588 r.).

[131] DFS, 27 lipca 1582 r.; 9 listopada 1586 r.; 2 stycznia 1595 r.; 10 lutego 1597 r.; 15 marca 1597 r.; 7 grudnia 1615 r.

[132] DFS, 29 marca 1595 r. Dokładna liczba szarpnięć występuje w diariuszu tylko pod czterema datami: 11 lutego 1585 r. (2); 16 sierpnia 1580 (3); 23 października 1589 r. (3); 5 marca 1612 r. (4). Wleczenie za koniem i ćwiartowanie zwłok osób winnych zdrady stanu — przedstawione odstręczająco przez Foucaulta i innych komentatorów — były u zarania ery nowożytnej tak rzadkimi sposobami wykonywania wyroków śmierci, że nie są warte uwzględnienia w historiografii życia społecznego.

[133] DFS, 10 maja 1599 r.; DJH, 4 sierpnia 1612 r.

[134] DFS, 11 lutego 1584 r.; 12 lutego 1584 r.; 21 października 1585 r.; 19 grudnia 1615 r. Por. także: wyżej, s. 173-179. Pierwszą kobietę powieszono dopiero: w Hamburgu — w roku 1619, w Akwizgranie — w roku 1662, natomiast we Wrocławiu — w roku 1750; Keller, s. 171; G&T, s. 55.

[135] Cyt. w: Keller, s. 170. Por. także: CCC, artykuły 159 i 162; Wilbertz, s. 86-87.

[136] DFS, 23 września 1590 r.; 10 lipca 1593 r.; ponadto Knapp, *Kriminalrecht*, s. 136.

[137] DFS: „187 egzekucyj z użyciem miecza; 172 egzekucje z użyciem stryczka”. Kiedy

Heinrich Schmidt pracował w Bambergu (od końca 1572 do pierwszego kwartału 1585 r.), 105 osób skazanych (na ogólną liczbę 106) już to powieszono (67 przypadków), już to ścięto (38 przypadków); Schumann, „Heinrich Schmidt Nachrichten”, s. 605.

[138] Odsetek powieści wykonanych przez Frantza Schmidta wyniósł 47,5% (187 na ogólną liczbę 394 egzekucji).

[139] DFS, 5 czerwca 1573 r.; 1573; 1576. Potwierdzenie tego, że Schmidt określał siebie jako *Nachrichter*, a nie *Henker*, znajduje się w: *Restitution*, s. 201 verso-202 verso.

[140] Knapp, *Kriminalrecht*, s. 52-53; Wilbertz, s. 87-88.

[141] DFS, 19 marca 1579 r.; 16 sierpnia 1580 r.; 17 lipca 1582 r.; 11 sierpnia 1582 r.; 7 lipca 1584 r.

[142] Keller, s. 157, 160-165.

[143] Dülmen, *Theatre of Horror*, zwłaszcza s. 5-42.

[144] DJH, 5 marca 1612 r., cyt. W: Hampe, s. 73.

[145] DJH, s. 97 *recto-verso* (7 marca 1615 r.); DFS, 7 marca 1615 r. Por. także: Stuart, s. 175 i nast., w kwestii doniosłości dobrej śmierci na szubienicy.

[146] Hampe, s. 73.

[147] Hampe, s. 69, 75.

[148] Hampe, s. 19; ponadto Richard J. Evans, *Rituals of Retribution: Capital Punishment in Germany, 1600-1987* [Rytuał odwetowy. Kara śmierci w Niemczech], Oxford University Press, Oksford — Nowy Jork 1996, s. 69-70.

[149] DFS, 9 lutego 1598 r.

[150] ASB 226a, s. 58 verso; DFS 23 września 1590.

[151] DFS, 18 lutego 1585 r.; 16 września 1580 r.; ponadto 19 grudnia 1615 r. *Wenn mein Stündlein vorhanden ist* [Kiedy nadejdzie moja godzina] (1562) i *Was mein Gott will* [Jako zechce mój Bóg], 1554, Jürgen C. Jacobs i Heinz Rölleke, komentarz do wiersza diariusza Schmidta z roku 1801, s. 230.

[152] DJH, 5 marca 1611 r.

[153] DFS, 11 marca 1597 r.; DJH, 11 marca 1597 r. Por. także: 18 grudnia 1600 r.; 18 marca 1616 r.

[154] DFS, 6 listopada 1595 r.; 10 stycznia 1581 r.; 1576; 1 lipca 1616 r.; DJH, 1 lipca 1616 r.

[155] DFS, 9 marca 1609 r.; 23 grudnia 1600 r.; 8 lipca 1613 r.

[156] DFS, 11 lipca 1598 r.

[157] DFS, 28 stycznia 1613 r.; DJH, 28 stycznia 1613 r.; ASB 226, s. 56 *recto*-57 *verso*.

[158] DFS, 16 sierpnia 1580 r.

[159] DJH, 28 lutego 1611 r.; DFS 28 lutego 1611 r.

[160] 1506, 1509, 1540 i 20 lipca 1587 r.; DFS, 12 lutego 1596 r.; 2 września 1600 r.; 19 stycznia 1602 r.; 28 lutego 1611 r. Dwa dodatkowe zapisy wyrazu *putzen*, które pojawiają się tylko w manuskrypcie bamberskim (17 grudnia 1612 i 8 lutego 1614 r.), były najprawdopodobniej ekstrapolacjami jednego z późniejszych edytorów, opartymi na opisach kronikarskich, ponieważ o mistrzu Frantzu mówi się w trzeciej osobie; Hampe, s. 31; ponadto G&T, s. 73-74.

[161] Angstmann, s. 109-110; Wilbertz, s. 127-128; Dülmen, *Theatre of Horror*, s. 231-290; Keller, s. 230.

[162] StaatsAN 52b, 226a, s. 176; Hampe, s. 79; RV 2250, s. 13 *recto-verso*, s. 15 *recto-verso* (16 marca 1641 r.), s. 29 *recto-verso* (30 marca 1641 r.), s. 59 *recto* (1 kwietnia 1641 r.); StadtAN FI-14/IV, s. 2106-2107.

[163] *Restitution*, s. 202 *verso*. W innym czasie Schmidt pisze, że „egzekucja była niecałkiem bezpieczną” (DFS, 12 stycznia 1591 r.). Do ukamienowania Simona Schillera i jego żony doszło 7 czerwca 1612 r.

[164] G&T, s. 68; ponadto Angstmann, s. 109.

[165] RV 1222, s. 5 *recto* (14 kwietnia 1563 r.); RV 1224, s. 5 *recto* (28 czerwca 1563 r.); RV 1230, s. 29 *verso* (9 grudnia 1563 r.), s. 38 *recto* (16 grudnia 1563 r.); RV 1250, s. 31 *verso* (19 czerwca 1565 r.); RV 1263, s. 20 *recto* (4 czerwca 1566 r.)

[166] RV 1264 r., s. 17 *verso* (28 czerwca 1566 r.); RV 1268, s. 8 *verso* (10 października 1566 r.); RV 1274, s. 2 *recto* (14 kwietnia 1567 r.); RV 1275, s. 14 *recto* (14 kwietnia 1567 r.); RV 1280, s. 24 *recto* (10 września 1567 r.); RV 1280, s. 25 *verso* (12 września 1567 r.). Oto siedmioro dzieci Lienhardta i Kunigundy Lippertów: Michael (ochrzczony 25 października 1568 r.), Lorentz (8 listopada 1569 r.), Jobst (27 grudnia 1570 r.), Conrad (17 lipca 1572 r.), Barbara (10 lipca 1573 r.), Margarethe (13 lutego 1575 r.) oraz Magdalena (6 grudnia 1577 r.); LKAN, chrzty w kościele św. Sebalda.

[167] RV 1310, s. 24 *recto-verso* (3 grudnia 1569 r.), s. 29 *recto-verso* (7 grudnia 1569 r.); RV 1402, s. 22 *recto* (24 października 1576 r.); RV 1404, s. 1 *recto* (6 grudnia 1576 r.), s. 39 *verso* (28 grudnia 1576 r.).

[168] RV 1405, s. 24 *verso* (14 stycznia 1577 r.).

[169] ASB 222, s. 75 *verso* (23 października 1577 r.).

[170] RV 1421, s. 14 *verso* (21 marca 1578 r.); RV 1422, s. 24 *verso* (5 kwietnia 1578 r.), s. 58 *recto-verso* (25 kwietnia 1578 r.), s. 68 *recto* (29 kwietnia 1578 r.).

[171] RV 1423, s. 33 *verso* (16 maja 1578 r.).

[172] *Próby*, s. 145.

[173] Podstawa w oryginale książki: *The Art of Worldly Wisdom: A Pocket Oracle*, tłumacz: Christopher Maurer, Doubleday, Nowy Jork 1990, s. 73.

[174] DFS, 11 października 1593 r.

[175] StaatsAB A245/1, nr 146, s. 124-125 *recto*. Odnośnie do innych gorszących przykładów oszustw por. DFS, 9 lutego 1598 r.; 3 grudnia 1605 r.; 12 lipca 1614 r.; ponadto Knapp, *Kriminalrecht*, s. 247 i nast.

[176] Stuart Carroll, *Blood and Violence in Early Modern France* [Krew i przemoc we Francji u zarania ery nowożytnej], Oxford University Press, Oksford 2006, s. 49.

[177] *Brevis Germaniae Descriptio* [Krótki opis Niemiec], s. 74; cyt. w: Klaus Leder, *Kirche und Jugend in Nürnberg und seinem Landgebiet: 1400-1800* [Kościół a młodzież w Norymberdze i okolicy], Degener, Neustadt an der Aisch 1973, s. 1. Mój krótki opis wyglądu Norymbergi zawdzięcza wiele pełnemu liryzmowi i różnych refleksji opisowi Geralda Straussa w: *Nuremberg in the Sixteenth Century* [Norymberga w szesnastym stuleciu], John Wiley, Nowy Jork 1966, s. 9-35, w dziele, które pozostaje najlepszym anglojęzycznym obrazem tamtejszego życia codziennego u progu ery nowożytnej. Przydały mi się ponadto prace następujące: Emil Reicke, *Geschichte der Reichsstadt Nürnberg* [Dzieje cesarskiego miasta Norymbergi], Joh. Phil. Pawschen, Norymberga 1896; reprint: P.C.W. Schmidt, Neustadt an der Aisch 1983; Werner Schultheiß, *Kleine Geschichte Nürnbergs* [Dzieje Norymbergi w zarysie], Lorenz Spindler, Norymberga 1997; *Nürnberg: Eine europäische Stadt in Mittelalter und Neuzeit* [Norymberga. Średniowieczne i nowożytne dzieje europejskiego miasta], pod red. Helmuta Neuhausa, Selbstverlag des Vereins für Geschichte der Stadt Nürnberg, Norymberga 2000; ponadto nieodzowna publikacja encyklopedyczna *Stadtlexikon Nürnberg* [Leksykon norymberski], red. M. Diefenbacher, R. Endres, W. Tümmels Verlag, Norymberga 2000.

[178] *Erdäpfel* (niem.) — w uzusie językowym południa Niemiec: ziemniaki (przyp. tłum.).

[179] Emil Reicke, *Geschichte der Reichsstadt Nürnberg*, s. 998.

[180] Andrea Bendlage, *Henkers Hertzbruder. Das Strafverfolgungspersonal der Reichsstadt Nürnberg im 15. und 16. Jahrhundert* [Pobratymcy katów. Funkcjonariusze organów ścigania w cesarskim mieście Norymberdze w wieku XV i XVI], UVK, Konstancja 2003, s. 28-31.

[181] William Smith, *A Description of the Cittie of Nuremberg* [Opis miasta Norymbergi], 1590, MVGN, 48/1958, s. 222. O zatrudnionych przez radę miejską informatorach (*Kundschaftler*) pisze Andrea Bendlage w *Henkers Hertzbruder*, s. 127-137.

[182] W dzisiejszym sądownictwie niemieckim tym terminem określa się ławników (przyp. tłum.).

[183] W ciągu 13 lat pracy w Bambergu roczny dochód Heinricha Schmidta — suma zapłat za kolejne egzekucje, a nie poborów cotygodniowych — wynosił średnio 50 guldenów, czyli 87 guldenów w latach 1574 i 1575, w roku 1576 zaś tylko 29 guldenów, StaatsAB A231/1, nr 1797/1. Szczegóły kontraktu Frantza podaje RV 1422, s. 68 *recto* (29 kwietnia 1578 r.); ponadto Knapp, *Loch*, s. 61-62. Kat w mieście Bregenz miał pobory zasadnicze w wysokości 52 guldenów rocznie i otrzymywał 1-2 guldeny od egzekucji; kat monachijski zarabiał do roku 1697 aż 83 guldeny rocznie; ich kolega w Osnabrück otrzymywał 2 talary (1,7 guldena) od egzekucji; Nowosadtko, s. 65-67; Wilbertz, s. 101.

[184] RV 1119, s. 9 *verso*, s. 11 *verso*, s. 12 *recto*, s. 17 *recto-verso*, s. 18 *recto*, s. 20 *recto* (13-15 listopada 1554 r.); Knapp, *Loch*, s. 56-57.

[185] StaatsAN 62, s. 54-79; LKAN, Pogrzeby z parafii św. Wawrzyńca, s. 57 *verso*: „Jorg Peck Pallenpinder bey dem [sh]onnetbadt Sep 16 1560” [Jorg Peck, ładowacz, Schonnetbadt, 16 września 1560 r.]. Co najmniej dwoje spośród dziesięciorga dzieci Jorga i Margarety Pecków zmarło w latach dziecińczych, a niewykluczone, że i więcej; LKAN, Chrty w kościele św. Sebalda: s. 93 *verso* (Magdalena, 24 lipca 1544 r.), s. 95 *recto* (Maria, 20 września 1545 r.), s. 96 *recto* (Jorg, 26 maja 1546 r.), s. 97 *recto* (Bertrand, 14 marca 1547 r.), s. 99 *recto* (Sebastian, 10 sierpnia 1549 r.), s. 104 *verso* (Georgius, 1 grudnia 1551 r.), s. 105 *verso* (Barbara, 6 października 1552 r.), s. 107 *verso* (Magdalena, 30 sierpnia 1554 r.), s. 110 *verso* (Philippus, 29 listopada 1555 r.).

[186] LKAN, Śluby w kościele św. Sebalda, 1579, s. 79; RV 1430, s. 34 *recto* (7 grudnia 1579 r.).

[187] *Stadtlexikon Nürnberg*, s. 437.

[188] Ernst Nummenhoff, *Die öffentliche Gesundheits- und Krankenpflege im alten Nürnberg: Das Spital zum Heiligen Geist* [Publiczne placówki lecznicze w dawnej Norymberdze. Szpital Świętego Ducha], w: *Festschrift zur Eröffnung des Neuen Krankenhauses der Stadt Nürnberg* [Księga pamiątkowa na otwarcie Nowego Szpitala w Norymberdze], Norymberga 1898, s. 6-8; Stuart, s. 103.

[189] G&T, s. 92. Pod koniec XVI w. norymberski Lew miał roczną pensję zasadniczą w wysokości 52 guldenów; Bendlage, *Henkers Hertzbruder*, s. 36-37, 89.

[190] RV 1576, s. 6 *verso*, s. 10 *verso* (11 i 18 listopada 1589 r.); StaatsAN 62, s. 82-145.

[191] DFS, 16 sierpnia 1597 r.

[192] Knapp, *Loch*, s. 67.

[193] Schwerhoff, *Köln im Kreuzverhör*, s. 103.

[194] Knapp, *Kriminalrecht*, s. 64-81. O wtrącaniu obłąkanych do więzień w tym okresie dziejów Niemiec pisze H.C. Erik Midelfort w: *A History of Madness in Sixteenth-Century Germany* [Historia obłądzenia w szesnastowiecznych Niemczech], Stanford University Press, Stanford, CA 1999, zwłaszcza s. 322-384.

[195] Przykładowo w roku 1588 za pobyt, który trwał jedenaście tygodni i trzy dni, Christoph Greisdörffer musiał zapłacić 13 guldenów, 2 szylingi i 8 halerzy (w całości w dniu wyjścia na wolność); StaatsAN 54a, II, s. 340.

[196] Öhler, który służył jako *Lochhirt* (naczelnik tego więzienia) od 26 października 1557 r. z cotygodniową pensją w wysokości 2 guldenów, zarabiał prawie tak samo dobrze, jak Frantz Schmidt; RV 1148, s. 24 *verso*-25 *recto* (26 października 1557 r.). Odnośnie do obowiązków naczelników norymberskich więzień por. Bldage, *Henkers Hertzbruder*, s. 37-42.

[197] StaatsAN 52a, 447, nr 1002 (23 czerwca 1578 r.); Knapp, *Loch*, s. 145-147.

[198] Knapp, *Loch*, s. 20-21.

[199] Knapp, *Loch*, s. 20; DFS, 3 lipca 1593 r.; 22 listopada 1603 r.; 15 września 1604 r. Por. także: przypadki samobójstw więźniów w latach 1580, 1604, 1611 i 1615, jak również próby samobójcze, o których wspomina Frantz Schmidt; StadtAN F1 47, 8314, s. 876 *recto*; DFS, 11 lipca 1598 r.; 10 maja 1599 r. W 1604 r. pewien człowiek skazany za morderstwo zadźgał innego więźnia, oskarżonego o kradzież koni (ASB 226, s. 17 *recto-verso*).

[200] Istniało ono w latach 1806-1918 (przyp. tłum.).

[201] StaatsAN 52a, 447, nr 1009-1010; ASB 226, s. 23 *verso*; RV 1775, s. 12 *recto-verso* (marzec 1605 r.). Odbudowę szubienicy przez całą społeczność nakazywał kodeks CCC, art. 15. Por. także: Keller, s. 209 i nast.; Knapp, *Loch*, s. 69-70; Dülmen, *Theatre of Horror*, s. 70-73.

[202] DFS, 3 września 1588 r.; 5 listopada 1588 r.; 22 grudnia 1586 r.

[203] DFS, 15 czerwca 1591 r.; Jacobs, komentarz do edycji diariusza Schmidta z 1801 r., s. 212.

[204] William Ian Miller, *Humiliation: And Other Essays on Honor, Social Discomfort, and Violence* [Upokorzenie i inne eseje o czci, dyskomforcie społecznym oraz przemocy], Cornell University Press, Ithaca, NY 1993, s. 16.

[205] DFS, 16 grudnia 1594 r.; 21 czerwca 1593 r.

[206] DFS, 10 listopada 1596 r.; 12 stycznia 1583 r.

[207] DFS, 16 sierpnia 1580 r.

[208] DFS, 4 stycznia 1582 r.; 24 lipca 1585 r.; 5 października 1597 r.

[209] DFS, 10 lipca 1593 r. i np. także: 23 grudnia 1605 r.

[210] DFS, 11 października 1593 r.; 9 lutego 1598 r.; 12 lipca 1614 r.

[211] DFS, 12 maja 1584 r.

[212] Knapp, *Kriminalrecht*, s. 100. Pełniejsze omówienie w: Wilhelm Fürst, *Der Prozess gegen Nikolaus von Gülchen, Ratskonsulenten und Advokaten zu Nürnberg, 1605* [Proces wytoczony Nikolausowi von Gülchen, radcy prawnemu i adwokatowi w Norymberdze], MVGN, 20/1913, s. 139 i nast.

[213] DFS, 23 grudnia 1605 r.

[214] DFS, 10 kwietnia 1578 r.; 12 sierpnia 1578 r.; 1576 r.

[215] DFS, 15 kwietnia 1578 r.; 1576; 22 grudnia 1586 r.; 1 czerwca 1587 r.; 18 lutego 1585 r.; 29 maja 1582 r. Por. także: 17 listopada 1582 r.; 12 września 1583 r.

[216] DFS, 6 marca 1578 r.; 26 stycznia 1580 r.; 10 sierpnia 1581 r.; 17 lipca 1582 r.; 8 czerwca 1587 r.; 20 lipca 1587 r.; 5 marca 1612 r.

[217] ASB 210, s. 74 verso i nast., s. 112 recto; ASB 210, s. 106 recto-verso. Por. także: Norbert Schindler, *Die Welt der Beinamen* (w przekładzie Pamelii E. Selwyn: *The World of Nicknames: On The Logic of Popular Nomenclature* [Świat przydomków. O logice onomastyki ludowej]), w: *Rebellion, Community, and Custom in Early Modern Germany* [Bunt, społeczności lokalne i obyczajowość w Niemczech u zarania ery nowożytnej], Cambridge University Press, Cambridge 2002, zwłaszcza s. 57-62; ponadto F. Bock, *Nürnberger Spitzname von 1200 bis 1800* [Norymberskie przezwiska od 1200 do 1800 r.], MVGN, 45/1954, s. 1-147; ponadto F. Bock, *Nürnberger Spitzname von 1200 bis 1800 — Nachlese* [Norymberskie przezwiska od 1200 do 1800 r. — uzupełnienia], MVGN, 49/1959, s. 1-33. Podobne tendencje onomastyczne były widoczne w ówczesnej Anglii: Paul Griffiths, *Lost Londons: Change, Crime, and Control in the Capital City, 1550-1660* [Londyn niegdyś. Przemiany społeczne, przestępczość i praworządność w angielskiej stolicy w latach 1550-1660], Cambridge University Press, Cambridge 2008, s. 179-192.

[218] DJH, s. 39 verso.

[219] DFS, 19 lipca 1614 r.; 22 czerwca 1616 r.; 16 września 1580 r.; 4 sierpnia 1612 r.; 23 sierpnia 1594 r.; 21 listopada 1589 r.; 16 sierpnia 1587 r.; 30 sierpnia 1596 r.; 4 i 7 lipca 1584 r.

[220] Pisząc nierzadko o wykonywaniu wyroków w innych miejscowościach Frankonii, Schmidt czyni to w sposób sugerujący, że nie opiera się na wiadomościach zasłyszanych. Przykładowo

wymienia z nazwiska pewnego człowieka skazanego za kradzież: „(...) był to Hans Weber rodem z miasta Neuenstadt, któremu przed dziesięcioma laty oglądał, gdy go różgami wypędzano z Neuenkirchen” (DFS, 4 sierpnia 1586 r.). Por. także: 29 stycznia 1583 r.; 9 lutego 1585 r.; 20 czerwca 1588 r.; 6 listopada 1588 r.; 15 stycznia 1594 r.; 6 marca 1604 r.

[221] DFS, 29 maja 1582 r.; 17 listopada 1582 r. 12 września 1583 r.; 4 grudnia 1583 r.; 9 stycznia 1581 r.; 23 lipca 1583 r. Por. także: przypadek Georga Mayra, różgami wypędzonego z miasta za kradzież (11 sierpnia 1586 r.); ponadto zapisy opatrzone datami: 18 listopada 1589 r.; 3 marca 1597 r.; 16 sierpnia 1597 r.; 2 maja 1605 r.; 10 lutego 1609 r.; 15 grudnia 1611 r.. O częstym przywoływaniu takich pracowników do porządku pisze Andrea Bendlage w *Henkers Hertzbruder* na s. 165-201 oraz 226-233.

[222] DFS, 3 marca 1597 r.; 16 sierpnia 1597 r.; 25 maja 1591 r.

[223] DFS, 10 lutego 1596 r.; 24 marca 1590 r.

[224] Griffiths, *Lost Londons*, s. 138. Por. także: ibidem, s. 196 i nast., odnośnie do ówczesnych angielskich określeń ludzi o złej reputacji.

[225] DFS, 21 maja 1611 r.; 24 listopada 1585 r.

[226] DFS, 24 maja 1580 r.; 15 kwietnia 1581 r.; 20 grudnia 1582 r.; 19 listopada 1584 r.; 14 sierpnia 1584 r.; 16 marca 1585 r.; 17 listopada 1586 r.; 21 listopada 1586 r.; 14 lipca 1593 r.; 26 lipca 1593 r.; 9 października 1593 r.; 10 listopada 1597 r.; 14 grudnia 1601 r.; 3 marca 1604 r.; 12 lutego 1605 r.; 11 listopada 1615 r.; 8 grudnia 1615 r. Por. także: zapisy dotyczące kar cielesnych; autor diariusza opatrzył je datami: 8 września 1590 r.; 18 stycznia 1588 r.; 9 grudnia 1600 r.; 21 kwietnia 1601 r.; 27 stycznia 1586 r.

[227] DFS, 9 października 1578 r.; 15 października 1579 r.; 31 października 1579 r.; 20 października 1580 r.; 9 stycznia 1581 r.; 31 stycznia 1581 r.; 7 lutego 1581 r.; 21 lutego 1581 r.; 6 maja 1581 r.; 26 września 1581 r.; 25 listopada 1581 r.; 20 grudnia 1582 r.; 10 stycznia 1583 r.; 11 stycznia 1583 r.; 15 lipca 1583 r.; 29 sierpnia 1583 r.; 4 września 1583 r.; 26 listopada 1583 r.

[228] DFS, 20 października 1580 r.; 10 stycznia 1583 r.; 31 stycznia 1581 r.; 2 kwietnia 1589 r.; 2 stycznia 1588 r.; 18 stycznia 1588 r. Por. także: 5 maja 1590 r.; 11 czerwca 1594 r.; 3 stycznia 1595 r.; 8 czerwca 1596 r.

[229] O typowych przestępstwach kobiet i ferowaniu wyroków śmierci za czyny popełniane przez kobiety piszą: Rublack, *Crimes of Women; Von Huren und Rabenmüttern: Weibliche Kriminalität in der frühen Neuzeit* [O nierządnicach i wyrodnym matkach. Przestępczość kobiet u zarania ery nowożytnej], red. O. Ulbricht. Böhalu, Wiedeń — Kolonia — Weimar 1995); Joel F. Harrington, *Reordering Marriage and Society in Reformation Germany* [Nowe rozumienie instytucji małżeństwa i życia społecznego w Niemczech doby reformacji], Cambridge University Press, Cambridge — Nowy Jork 1995, s. 228-240; Schwerhoff, *Köln im Kreuzverhör*, s. 178-179.

[230] DFS, 9 lutego 1581 r.; 27 marca 1587 r.; 29 stycznia 1599 r.

[231] DFS, 7 lipca 1584 r.

[232] DFS, 6 listopada 1610 r.; 19 lipca 1588 r. Por. także: Laura Gowing, *Domestic Dangers: Women, Words, and Sex in Early Modern London* [Zagrożenia domowe. Losy łżonych i upokarzanych seksualnie mieszkanek Londynu u zarania ery nowożytniej], Oxford University Press, Oksford 1996.

[233] DFS, 3 lipca 1593 r.; 4 grudnia 1599 r.; 7 maja 1603 r.; 9 marca 1609 r.

[234] DFS, 20 lipca 1587 r.; 15 września 1604 r.

[235] Warto tu wspomnieć o corocznych kontrybucjach, które pobierano od zamieszkałych w Hofie Żydów i o częstych włamaniach do żydowskich domów, gdzie nierzadko pozostawiano płyty wieprzowiny; Dietlein, *Chronik der Stadt Hof*, s. 267-268; DFS, 23 września 1590 r.; 3 sierpnia 1598 r.; 26 października 1602 r.

[236] DFS, 23 września 1590 r.; 25 sierpnia 1592 r.; 10 lipca 1592 r.; 10 lipca 1593 r.

[237] Tę kwestię — takiego zmieniania tożsamości, jakie praktykowano u zarania ery nowożytniej — poruszają: Natalie Zemon Davis, *The Return of Martin Guerre* [Powrót Martina Guerry], Harvard University Press, Cambridge, MA 1983 oraz Valentin Groebner, *Wer bist du?*, tłum. M. Kyburz i J. Peck: *Who Are You? Identification, Deception, and Surveillance in Early Modern Europe* [Kim jesteś? Identyfikacja i ewidencja ludności a próby zwodzenia władz w Europie u zarania ery nowożytniej], Zone, Cambridge, MA 2007.

[238] DFS, 2 grudnia 1613 r. Por. także: 3 lipca 1593 r.; 12 lipca 1614 r.

[239] DFS, 23 stycznia 1610 r.

[240] DFS, 23 lutego 1593 r.; 3 maja 1596 r.; 27 lipca 1594 r.; 8 września 1590 r.

[241] DFS, 12 sierpnia 1579 r.; 28 lipca 1590 r.; 21 kwietnia 1601 r. Por. także: 18 kwietnia 1598 r.; 9 lutego 1581 r.; 12 lutego 1600 r.

[242] DFS, 29 stycznia 1588 r.

[243] DFS, 4 lipca 1588 r.; 30 lipca 1588 r.; 16 grudnia 1594 r.; 4 lipca 1588 r.; 10 lutego 1597 r.

[244] DFS, 28 maja 1588 r.

[245] DFS, 12 lutego 1596 r.; 11 lipca 1598 r.; 18 listopada 1617 r.; 13 listopada 1617 r.

[246] DFS, 16 stycznia 1616 r. Por. także: 17 lipca 1582 r.

[247] DFS, 23 stycznia 1595 r.; 4 marca 1606 r.; 23 maja 1615 r.; 25 czerwca 1617 r.; 23 stycznia 1610 r.; 14 listopada 1598 r.

[248] DFS, 16 października 1584 r.; 23 października 1589 r.; 8 marca 1614 r. Por. także: 27 października 1584 r.

[249] DFS, 3 marca 1580 r.; 17 listopada 1580 r.; 3 lipca 1593 r.; 30 marca 1598 r.; 18 stycznia 1603 r.; 20 listopada 1611 r.; 2 listopada 1615 r. Por. także: 29 kwietnia 1600 r.

[250] DFS, 27 maja 1603 r.

[251] DFS, 2 lipca 1606 r.

[252] DFS, 23 lipca 1578 r.; 23 czerwca 1612 r. Por. także: 2 maja 1579 r.; 10 kwietnia 1582 r.; 4 czerwca 1599 r.

[253] DFS, 28 kwietnia 1579 r.; 21 czerwca 1593. Por. także: 28 lutego 1615 r.

[254] DFS, 18 listopada 1589 r. Por. także: 10 kwietnia 1582 r.; 1 listopada 1578 r.; 2 września 1598 r.

[255] DFS, 12 lipca 1614 r.; 22 stycznia 1611 r.

[256] DFS, 6 marca 1578 r.; 13 lipca 1579 r.; 26 stycznia 1580 r.; 29 lutego 1580 r.; 14 sierpnia 1582 r.; 5 maja 1590 r.; 7 lipca 1590 r.; 15 marca 1597 r.; 20 maja 1600 r.; 21 kwietnia 1601 r.; 4 sierpnia 1607 r.; 5 marca 1616 r.

[257] DFS, 26 stycznia 1580 r.; 5 maja 1590 r.; 7 lipca 1590 r.; 26 czerwca 1606 r.; 8 lutego 1614 r.

[258] DFS, 17 maja 1606 r.; 4 sierpnia 1607 r.; 6 grudnia 1580 r.; 17 listopada 1584 r.

[259] DFS, 11 czerwca 1585 r. Por. także: 21 czerwca 1593 r.; 23 grudnia 1601 r.; 15 września 1604 r.; 9 lipca 1605 r.; 20 listopada 1611 r.; 5 marca 1612 r.; 19 listopada 1613 r.

[260] DFS, 15 października 1585 r.; 21 października 1585 r.; 14 kwietnia 1586 r.; 25 kwietnia 1587 r.; 15 lipca 1589 r.

[261] DFS, 11 listopada 1585 r.

[262] DFS, 1 czerwca 1581 r.; 27 lipca 1582 r.; 3 października 1587 r.

[263] W rozpowszechnionych, stereotypowych wyobrażeniach o mężo- i żonobójstwie, jakie istniały w Niemczech na początku ery nowożytnej, przeciwstawiano zazwyczaj żonę mordującą z rozmysłem i zimną krwią — mężowi zapalczywemu i brutalnemu. Por. Silke

Göttsch, „*Vielmahls aber hätte sie gewünscht einen anderen Mann zu haben*”. *Gattenmord im 18. Jahrhundert* [„Tego, że nie wyszła za innego mężczyznę, żałowała niejedną raz”. Mordy na współmałżonkach w XVIII wieku], w: Ulbricht, *Von Huren und Rabenmüttern*, s. 313-314.

[264] Dwie żony: DFS, 15 lutego 1580 r.; 27 kwietnia 1583 r.; 9 lipca 1583 r.; 26 marca 1584 r.; 29 października 1584 r.; 6 czerwca 1586 r.; 14 lipca 1590 r. Trzy żony: 1 grudnia 1580 r.; 3 kwietnia 1585 r. Cztery żony: 3 kwietnia 1585 r.; 29 maja 1588 r. Pięć żon: 5 listopada 1595 r.

[265] DFS, 28 lipca 1590 r. Por. także: 20 lutego 1582 r.; 16 października 1582 r.; 27 kwietnia 1583 r.; 9 lipca 1583 r.; 16 marca 1585 r.; 20 września 1586 r.; 4 października 1587 r.; 10 lipca 1592 r.; 23 lipca 1605 r.; 6 grudnia 1609 r.

[266] DFS, 28 lipca 1590 r. Por. także: 20 lutego 1582 r.; 16 października 1582 r.; 27 kwietnia 1583 r.; 9 lipca 1583 r.; 16 marca 1585 r.; 20 września 1586 r.; 4 października 1587 r.; 10 lipca 1592 r.; 23 lipca 1605 r.; 6 grudnia 1609 r.

[267] DFS, 28 lutego 1611 r.; 7 czerwca 1612 r.

[268] RV 1431, s. 37 *verso* (29 grudnia 1579 r.); RV 1456, s. 46 *recto* (8 listopada 1580 r.); RV 1458, s. 25 *verso* (28 grudnia 1580 r.).

[269] StaatsAN 44a, rejestr nominacyjny, 35 nowych stanowisk pracy, nr 1979; StaatsAN 60c, nr 1, s. 181 *recto*; ponadto RV 1507, s. 9 *verso*-10 *recto* (19 sierpnia 1584 r.); RV 1508, s. 32 *recto* (25 września 1584 r.).

[270] Wkrótce po świętach wielkanocnych roku 1582 Frantz poprosił o zgodę na odwiedziny u chorego ojca w Bambergu i otrzymał ją; RV 1475, s. 23 *verso* (10 kwietnia 1582 r.).

[271] ASB 210, s. 154; ponadto RV 1523, s. 8 *recto-verso*, s. 25 *recto*, s. 31 *recto* (1, 8, 9 i 10 lutego 1585 r.; StaatsAN 52a, 447, s. 1076.

[272] DFS, 11 lutego 1585 r. Por także: 23 lipca 1584 r.

[273] StaatsAB 245/1, nr 146, s. 106 *verso*-107 *verso*; StaatsAN 52a, 447, nr 1076-1077. W innym fragmencie Schmidt określa winowajcę jako krewnego, a ponadto ceduje wykonanie chłosty na pomocnika; DFS, 7 czerwca 1603 r.

[274] StaatsAB A231/1, nr 1809, s. 1.

[275] StaatsAB B7, nr 84 (1 maja 1585 r.); StaatsAB B4, nr 35, s. 102 *recto-verso* (1586); RV 1517, s. 21 *verso*-22 *recto* (25 maja 1585 r.).

[276] StadtAN F1-2/VII, s. 682.

[277] Na planie Cmentarza św. Rocha: kwadrat H5, miejsce 654; Ilse Schumann, *Neues zum Nürnberger Nachrichten Franz Schmidt* [Nowe wiadomości o życiu norymberskiego kata Franza

[278] Hilpoltstein (DFS, 20 lipca 1580 r.; 20 sierpnia 1584 r.; 6 marca 1589 r.; 19 września 1593 r.; 28 lutego 1594 r.); Lauf (DFS, 4 sierpnia 1590 r.; 8 czerwca 1596 r.; 4 czerwca 1599 r.); Sulzbach (DFS, 23 lutego 1593 r.; 11 marca 1597 r.); Hersbruck (DFS, 19 lipca 1595 r.; 18 grudnia 1595 r.; 10 lutego 1596 r.; 2 września 1598 r.); Lichtenau (DFS, 18 kwietnia 1598 r.). Por. także: RV 1706, s. 38 *recto* (12 stycznia 1600 r.).

[279] LKAN Parafia św. Sebalda, s. 49 *verso*, s. 50 *verso*, s. 70 *verso*.

[280] Z analizy socjologicznej jednego z ówczesnych subregionów wynika przykładowo, że ledwie jedna na sześć rodzin ubogich cieszyła się zamieszkiwaniem co najmniej trojga dzieci w tym samym mieście, natomiast prawie trzy na cztery rodziny dobrze sytuowane i zaliczane do patrycjatu miały ten przywilej. Co się tyczy rodzin katowskich, występowało tam — statystykę odniesiono do 782 spośród nich — przeciętnie po trzech synów i po trzy córki; Jürgen Schlumbohm, *Lebensläufe, Familien, Höfe: Die Bauern und Heuerleute des osnabrückischen Kirchspiels Belm in proto-industrieller Zeit, 1650-1850* [Życiorysy, rodziny, zagrody. Chłoptwo i robotnicy rolni z parafii Belm (w diecezji Osnabrück) w epoce protoindustrialnej w latach 1650-1850], Vandenhoeck & Ruprecht, Getynga 1994, s. 201 i 297; G&T, s. 45-50.

[281] RV 1621, s. 3 *verso*, s. 10 *verso* (14 lipca 1593 r.); ASB 308 (Księga obywatelska, 1534-1631), s. 128 *verso*.

[282] *Próby*, s. 824.

[283] DFS, 15 marca 1597 r.

[284] RV 2122, s. 23 *recto-verso* (19 maja 1613 r.); StaatsAN, repertorium 65 (mikrofilm S 0735). Omówienie zarazy i zimy 1600 r. znajduje się w: StaatsAN 52b, 226a, s. 1256-1257.

[285] Por. zwłaszcza świetne omówienie w: Joy Wiltenburg, *Crime and Culture in Early Modern Germany* [Przestępczość na tle cywilizacji niemieckiej u zarania ery nowożytnej], University of Virginia Press, Charlottesville 2012.

[286] DFS, 1573, 9 listopada 1586 r.; 17 listopada 1580 r.; 3 marca 1580 r.; 16 sierpnia 1580 r.; 14 grudnia 1579 r.

[287] DFS, 11 października 1604 r.; 18 kwietnia 1598 r.

[288] Ten dawny ośrodek niemieckiego osadnictwa nosi węgierską nazwę Lajtabruck (przyp. tłum.).

[289] DFS, 29 marca 1595 r.

[290] Knapp, *Kriminalrecht*, s. 179-180.

[291] DFS, 28 kwietnia 1579 r.; 6 grudnia 1580 r.; 27 lipca 1582 r.

[292] DFS, 23 października 1589 r. Por. także: 16 października 1584 r.; 13 marca 1602 r.; 11 października 1604 r.

[293] DFS, 28 kwietnia 1579 r.; 5 marca 1612 r.; 16 stycznia 1616 r.; 27 stycznia 1586 r.; 23 września 1590 r.; 18 maja 1591 r.; 17 grudnia 1612 r. Por. także: 1574; 25 maja 1581 r.; 20 lutego 1582 r.; 4 sierpnia 1586 r.; 22 grudnia 1587 r.; 5 stycznia 1587 r.; 30 maja 1587 r.; 11 kwietnia 1592 r.; 21 czerwca 1593 r. Odnośnie do nocnych zagrożeń por. Craig Koslofsky, *Evening's Empire: A History of the Night in Early Modern Europe* [Imperium zmierzchu. Historia pory nocnej w Europie u zarania ery nowożytnej], Cambridge University Press, Cambridge 2011.

[294] DFS, 29 sierpnia 1587 r.; 16 października 1584 r.

[295] DFS, 30 czerwca 1593 r.

[296] DFS, 18 września 1604 r.; 13 sierpnia 1604 r. Por. także: 2 stycznia 1588 r.; 10 lipca 1593 r.; 28 lutego 1615 r.

[297] DFS, 16 stycznia 1616 r.

[298] DFS, 4 czerwca 1599 r.

[299] W czterech przypadkach w grę wchodził bandytyzm (Dülmen, *Theatre of Horror*, tabela 5), podobnie jak w kilku sytuacjach znanych z XVI stulecia. Trzy osoby oskarżone o gwałty na nieletnich otrzymały (wykonane) wyroki śmierci (DFS, 3 lipca 1578 r.; 10 kwietnia 1583 r.; 23 czerwca 1612 r.).

[300] DFS, 13 marca 1602 r.; 22 sierpnia 1587 r. Por. także: 19 listopada 1612 r.; 2 czerwca 1612 r.; 7 grudnia 1615 r.

[301] DFS, 4 czerwca 1596 r.; 28 listopada 1583 r.; 13 listopada 1599 r.

[302] DFS, 17 lipca 1582 r.; 11 sierpnia 1582 r.; 27 maja 1603 r.; 8 maja 1598 r.; 17 maja 1611 r.; 11 października 1608 r.

[303] DFS, 13 października 1604 r.

[304] DFS, 15 lipca 1580 r.

[305] DFS, 1578; 15 lipca 1580 r.; 25 maja 1581 r.; 20 lutego 1582 r.; 14 marca 1584 r.; 4 sierpnia 1586 r.; 2 stycznia 1588 r.; 4 lipca 1588 r.; 21 czerwca 1593 r.; 10 lutego 1596 r.; 22 lipca 1596 r.; 11 lipca 1598 r.; 20 stycznia 1601 r.; 21 kwietnia 1601 r.

[306] DFS, 25 maja 1581 r.

[307] DFS, 21 lipca 1593 r. Por. także: trzy przypadki w roku 1573; 15 lipca 1580 r.; 25 maja 1581 r.; 20 lutego 1582 r.; 4 sierpnia 1586 r.; 8 grudnia 1587 r.; 10 lutego 1596 r.; 22 lipca 1596 r.; 21 kwietnia 1601 r.

[308] DFS, 1574 r.

[309] DFS, 11 października 1603 r. O innych przypadkach zbezczeszczenia zwłok wiadomo z roku 1574 i z zapisów opatrzonych datami: 25 maja 1591 r.; 28 sierpnia 1599 r.; 15 lipca 1580 r.; 2 stycznia 1588 r.; 13 marca 1602 r.; 2 grudnia 1596 r.; 15 marca 1597 r.; 5 marca 1612 r.

[310] DFS, 2 maja 1605 r.; 29 lipca 1600 r.; 12 listopada 1601 r.; 2 grudnia 1596 r.; 18 lutego 1591 r.; 21 czerwca 1593 r., 11 lipca 1598 r. Por. także: 1573; 1574; 11 lutego 1585 r.; 4 maja 1585 r.; 2 maja 1605 r.

[311] DFS, 3 marca 1597 r.; 29 lipca 1600 r.; 10 lutego 1596 r.; 17 stycznia 1611 r.; 20 lutego 1582 r.; 27 lipca 1582 r.

[312] DFS, 300 spośród 394 wykonanych wyroków śmierci; 301 spośród 384 kar cielesnych.

[313] Odnośnie do „kodeksu Dzikiego Zachodu” por. zwłaszcza *Violence* [Przemoc], pracę Richarda Maxwella Browna w: *The Oxford History of the American West* [Oksfordzka historia amerykańskiego Zachodu], pod red. Clyde’a A. Milnera II i in., Oxford University Press, Oxford 1994, s. 393-395. Dziękuję mojemu koledze, Danowi Usnerowi, za wskazanie tego źródła.

[314] Knapp, *Kriminalrecht*, s. 170-171, 191-195.

[315] DFS, 26 października 1602 r.; 17 marca 1609 r.; 4 maja 1585 r. Por. także: 28 kwietnia 1586 r.

[316] DFS, 1577, 10 kwietnia 1578 r.; 6 października 1579 r.; 28 listopada 1583 r.; 28 kwietnia 1586 r.; 18 lutego 1591 r.; 1 czerwca 1587 r.; 13 października 1588 r.; 11 sierpnia 1600 r.; 11 sierpnia 1606 r.; Knapp, *Kriminalrecht*, s. 31-37. Por. także: Schwerhoff, *Köln im Kreuzverhör*, s. 265-322.

[317] DFS, 13 października 1588 r.

[318] DFS, 7 sierpnia 1599 r.

[319] DFS, 20 kwietnia 1587 r.

[320] DFS, 11 kwietnia 1592 r.

[321] DFS, 20 września 1587 r.; 6 marca 1604 r.

[322] Harrington, *Unwanted Child*, s. 30-34.

[323] DFS, 5 października 1597 r.; 8 lipca 1609 r.; ponadto 1 lipca 1609 r.

[324] DFS, 9 stycznia 1583 r.; 18 lipca 1583 r.; 1 września 1586 r.; 4 lipca 1584 r.; ponadto 16 czerwca 1585 r.

[325] DFS, 28 czerwca 1614 r.

[326] DFS, 22 lutego 1611 r.

[327] DFS, 20 lipca 1587 r.

[328] Por. Ulinka Rublack, „*Viehisch, fech vnd onverschämpt*”: *Inzest in Südwestdeutschland, ca. 1530-1700* [„Zwierzęce, gorszące, ohydne”. Kazirodztwo na południowym zachodzie Niemiec], w: Ulbricht, *Von Huren und Rabenmüttern*, s. 171-213; ponadto *Kinship in Europe. Approaches to the Long-Term Development (1300-1900)* [Więzi rodzinne w Europie. Ich rozwój w dłuższej perspektywie czasowej], red. David Warren Sabean, Simon Teuscher i Jon Mathieu, Berghahn, Nowy Jork 2007.

[329] DFS, 23 lipca 1605 r.; 29 stycznia 1599 r.; 5 marca 1611 r.; 28 lutego 1611 r.; 7 lipca 1584 r. Por. także: 27 marca 1587 r.; 23 kwietnia 1588 r.; 2 kwietnia 1589 r.; 26 czerwca 1594 r.; 17 czerwca 1609 r.

[330] Najlepszą pracą na ten temat jest: Helmut Puff, *Sodomy in Reformation Germany and Switzerland, 1400-1600* [Sodomia w Niemczech i Szwajcarii doby reformacji, w latach 1400-1600], University of Chicago Press, Londyn — Chicago 2003.

[331] DFS, 13 sierpnia 1594 r.

[332] DFS, 11 marca 1596 r.

[333] DFS, 11 marca 1596 r.; 10 sierpnia 1581 r.

[334] DFS, 3 lipca 1596 r. Potwierdzeniami zadziwiającej tolerancji wobec tego zjawiska zajmuje się Maria R. Boes w pracy *On Trial for Sodomy in Early Modern Germany* [O procesach niemieckich sodomitów u zarania ery nowożytnej], w: *Sodomy in Early Modern Europe* [Sodomia w Europie u progu ery nowożytnej], red. T. Betteridge, Manchester University Press, Manchester 2002, s. 27-45.

[335] DFS, 19 kwietnia 1591 r. Por. także: 15 lipca 1584 r.; 13 października 1587 r.; 17 maja 1583 r.; 15 lipca 1585 r. Odnośnie do obawy przed karą Bożą za bluźnierstwo por. Knapp, *Kriminalrecht*, s. 277-279.

[336] DFS, 5 stycznia 1587 r.; 25 czerwca 1590 r.; 29 lipca 1600 r. Por. także: 12 sierpnia 1600 r.; 19 stycznia 1602 r.; 21 kwietnia 1601 r.

[337] DFS, 10 lutego 1609 r.; 9 marca 1609 r.; 23 stycznia 1610 r.; 19 stycznia 1602 r.

[338] DFS, 1 października 1605 r.

[339] DFS, 27 stycznia 1586 r. Por. także: 4 sierpnia 1586 r.; 2 stycznia 1588 r.; 4 marca 1589 r.; 23 września 1590 r.

[340] Knapp, *Kriminalrecht*, s. 119-122. Por. także: s. 233 i nast. co do „złodziejskich zachowań” („diebliche Behalten”), stwierdzanych przez przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości.

[341] DFS, 29 grudnia 1611 r.; 19 lipca 1588 r.

[342] DFS, 12 stycznia 1615 r.; 12 września 1583 r.; 23 lipca 1584 r.; 3 sierpnia 1598 r.; 26 sierpnia 1609 r.

[343] DFS, 14 listopada 1598 r.

[344] DFS, 18 listopada 1617 r.

[345] DFS, 13 grudnia 1588 r.; 18 listopada 1597 r.; 13 października 1601 r.

[346] DFS, 15 września 1604 r.

[347] DFS, 29 kwietnia 1600 r. Por. także: 1 lipca 1616 r.

[348] DFS, 25 października 1597 r. Por. także: 1 czerwca 1587 r.

[349] DFS, 9 marca 1609 r.

[350] DFS, 18 listopada 1617 r.; 2 września 1600 r. Por. także: 23 lipca 1594 r.; 13 lipca 1613 r.

[351] DFS, 17 października 1587 r.; 7 września 1611 r.; 14 września 1602 r.; 16 września 1595 r.

[352] DFS, 1 października 1612 r.; 8 lipca 1613 r.

[353] DFS, 11 października 1593 r.; 9 lutego 1598 r.; 20 marca 1606 r.; 23 lutego 1609 r.; 12 lipca 1614 r.

[354] DFS, 4 maja 1585 r.; 17 listopada 1584 r.; 5 października 1588 r.; 7 maja 1603 r. O jednoznacznie „dobrej” śmierci informują zapisy datowane: 10 stycznia 1581 r.; 6 listopada 1595 r.; 23 grudnia 1600 r.; 15 września 1605 r.; 18 września 1605 r.; 8 lipca 1613 r.

[355] DJH, cyt. w: Hampe, s. 71; DFS, 19 lipca 1614 r. Por. także: 17 maja 1611 r.

[356] DJH, s. 39 *verso*.

[357] DJH, cyt. w: Hampe, s. 19.

[358] DJH, cyt. w: Hampe, s. 17-18.

[359] DFS, 11 stycznia 1588 r.

[360] DFS, 28 stycznia 1613 r.; 8 lipca 1613 r.

[361] DFS, 20 lutego 1582 r.; 18 września 1604 r. Por. także: 11 sierpnia 1582 r.; 9 października 1593 r.

[362] DJH, 10 marca 1614 r.

[363] Dülmen, *Theatre of Horror*, s. 28-32; Schwerhoff, *Köln im Kreuzverhör*, s. 166 i nast.

[364] StaatsAN 226a, s. 40 verso, s. 77 recto; DJH, s. 153 recto; DFS, 15 marca 1610 r.

[365] Hampe, s. 14-16.

[366] Ibidem, s. 83.

[367] DFS, 3 października 1588 r. Por. także: 12 lipca 1614 r.; 15 czerwca 1588 r.; 23 maja 1597 r.; 18 grudnia 1593 r.

[368] DJH, 10 marca 1614 r., cyt. w: Hampe, s. 16.

[369] Cyt. w: Hampe, s. 83.

[370] DFS, 10 lutego 1609 r.

[371] Keller, s. 144-145 i 148.

[372] DFS, 10 stycznia 1581 r.; ponadto 16 października 1585 r.

[373] DFS, 11 kwietnia 1592 r.; 4 marca 1606 r.; 11 października 1593 r.; 11 sierpnia 1606 r.; 5 marca 1612 r. Por. także: 17 marca 1609 r.; 5 września 1611 r.

[374] Por. Harrington, *Unwanted Child*, s. 195-214.

[375] CCC, art. 179 i art. 14.

[376] Harrington, *Unwanted Child*, s. 221-225.

[377] StadtAN F1-14/IV, 1634.

[378] DFS, 16 maja 1594 r.; 22 lipca 1593 r.; 4 czerwca 1600; 29 listopada 1582 r.

[379] DFS, 1 października 1612 r.

[380] Hampe, s. 84. Pięciu chłopców z pierwszej grupy zmuszono do przypatrywania się egzekucji ich 18-letniego herszta, Heinricha Linda, po czym spotkała ich publiczna chłosta i banicja. W tym samym roku nie inaczej potraktowano grupę 13 chłopców, „pośród których żaden nie miał więcej niżli dwanaście lat”; StadtAN F1-2/VII, 529; Knapp, *Kriminalrecht*, s. 9.

[381] DFS, 25 stycznia 1614 r.; StaatsAB A245/I, nr 146, s. 82 *verso*; ASB 210, s. 86 *verso*.

[382] DFS, 7 października 1578 r.; 19 marca 1579 r.; 28 kwietnia 1580 r.; 2 sierpnia 1580 r.; 4 października 1580 r.; 11 lutego 1584 r.; 12 lutego 1584 r.; 20 lipca 1587 r.; 15 maja 1587 r.; 5 września 1594 r.; 3 maja 1597 r.; 16 czerwca 1604 r.; 12 stycznia 1615 r.; 19 grudnia 1615 r.; ponadto ASB 226a, s. 49 *recto*-52 *verso*.

[383] ASB 226a, s. 48 *recto*; DFS, 25 stycznia 1614 r.

[384] DFS, 11 lutego 1584 r.; 12 lutego 1584 r.

[385] DFS, 5 września 1594 r.; 3 maja 1597 r.; 16 czerwca 1604 r.; 28 lutego 1615 r.; 14 grudnia 1615 r.

[386] DFS, 12 stycznia 1615 r.; Por. także: 14 grudnia 1615 r.

[387] DFS, 19 grudnia 1615 r.; ASB 218, s. 72 *verso* i nast.

[388] DFS, 29 stycznia 1588 r.; 13 stycznia 1592 r. Por. także: 11 lutego 1584 r.; 12 lutego 1584 r.; 5 czerwca 1593 r.; 12 stycznia 1615 r.; 14 grudnia 1615 r.; 19 grudnia 1615 r.

[389] DFS, 25 października 1615 r.

[390] DFS, 19 maja 1601 r.

[391] Joel F. Harrington, *Bad Parents, the State, and the Early Modern Civilizing Process* [Żli rodzice, państwo i cywilizowanie u progu ery nowożytnej], „German History” 16(1)/1998, s. 16-28.

[392] DFS, 8 stycznia 1582 r.; 1574; 15 kwietnia 1578 r.; 6 marca 1606 r.; 2 kwietnia 1590 r.; 14 stycznia 1584 r.

[393] DFS, 12 grudnia 1598 r.; 6 marca 1606 r.; 18 lipca 1583 r.; 1 września 1586 r.; 7 czerwca 1612 r.; RV 1800, s. 48 *verso*-49 *verso* (14 marca 1607 r.).

[394] DFS, 14 stycznia 1584 r.; ponadto 8 stycznia 1582 r.

[395] ASB 213, s. 214 *verso*.

[396] DFS, 2 maja 1605 r.

[397] DFS, 16 czerwca 1604 r.

[398] ASB 210, s. 154 *recto*; DFS, 11 lutego 1585 r.

[399] Dieter Merzbacher, *Der Nürnberger Scharfrichter Frantz Schmidt — Autor eines Meisterliedes?* [Czy norymberski kat Frantz Schmidt jest autorem „pieśni mistrzowskiej?"], w: MVGN, 73/1986, s. 63-75.

[400] Stuart, s. 179-180.

[401] DFS, 2 kwietnia 1590 r.

[402] Ze względu na wyznanie Frantza Schmidta podstawą cytatów biblijnych jest protestancki przekład wydany przez Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne.

[403] DFS, 15 września 1604 r. O przedstawianiu dobrych i złych złodziei w sztuce XV i XVI w. pisze Mitchell Merbeck w *The Thief, the Cross, and the Wheel: Pain and the Spectacle of Punishment in Medieval and Renaissance Europe* [Złodziej, krzyż i koło. Spektakle zadawania bólu osobom karanym w Europie średniowiecznej i renesansowej], University of Chicago Press, Chicago 1999), s. 218-265.

[404] *Próby*, s. 319.

[405] DFS, 2 stycznia 1588 r.; 11 stycznia 1588 r.; 18 stycznia 1588 r.

[406] Geoffrey Abbott, *Lords of the Scaffold: A History of the Executioner* [Władcy szubienic. Dzieje profesji katowskiej], Eric Dobby, Londyn 1991, s. 104 i nast.

[407] ASB 210, s. 289 *recto-verso*, s. 292 *verso*-293 *verso*.

[408] *Restitution*, s. 201 *verso*.

[409] RV 1119, s. 13 *recto* (22 lipca 1555 r.); G&T, s. 104-106.

[410] Nowosadtko, s. 163. W roku 1533 emerytowany kat augsburski nie mógł się utrzymać z medycyny praktykowanej w pełnym wymiarze godzin i musiał prosić o przywrócenie mu dawnej profesji; Stuart, s. 154.

[411] Robert Jütte, *Ärzte, Heiler und Patienten: Medizinischer Alltag in der frühen Neuzeit* [Lekarze, uzdrowiciele i pacjenci. Medycyna na co dzień u progę ery nowożytnej], Artemis & Winkler, Monachium 1991, s. 18-19.

[412] Angstmann, s. 92; Keller, s. 226; Paracelsus, *Von dem Fleisch und Mumia* [O ciałach i mumiach], cyt. w: Stuart, s. 160.

[413] Matthew Ramsey, *Professional and Popular Medicine in France, 1770-1830: The Social World of Medical Practice* [Medycyna profesjonalna i ludowa we Francji w latach 1770-1830. Tło społeczne], Cambridge University Press, Cambridge 1988, s. 27; Nowosadtko, s. 165.

[414] O rozpowszechnieniu ogólnej wiedzy medycznej w rodzinach rzemieślniczych pisze Michael Hackenberg w *Books in Artisan Homes of Sixteenth-Century Germany* [Książki w domach szesnastowiecznych niemieckich rzemieślników], „Journal of Library History”, 21/1986, s. 72-91.

[415] *Artzney Buch: Von etlichen biß anher unbekandten unnd unbeschriebenen Kranckheiten/deren Verzeichnuß im folgenden Blat zu finden* [Księga lecznicza, w jakowej przedstawiono rozmaite nieznanne i nieopisane rychlej choroby], Frankfurt nad Menem 1583.

[416] Oparłem się na edycji: *Feldtbuch der Wundartzney, newlich getruckt und gebessert* [Księga felczerska, wydana drukiem po raz wtóry i poprawiona], Strasburg 1528.

[417] Popularne dziełko z roku 1532, *Spiegel der Artzney* [Zwierciadło leczenia], autorstwa Lorenza Friesa, dotyczyło w istocie rozmów lekarzy z pacjentami. Por. także: Claudia Stein, *Negotiating the French Pox in Early Modern Germany* [Leczenie kiły w Niemczech u progu ery nowożytnej], Ashgate, Farnham 2009, s. 48-49.

[418] Jütte, *Ärzte*, s. 108. Por. także: David Gentilcore, *Medical Charlatanism in Early Modern Italy* [Szarlatanstwo medyczne we Włoszech u zarania ery nowożytnej], Oxford University Press, Oksford 2006).

[419] 36,6% wszelkich obrażeń cielesnych u 2179 pacjentów, których dotyczyła pewna statystyka sporządzona dla Kolonii u schyłku XVI w., leczyli felczery; Jütte, *Ärzte*, tabela 6; G&T, s. 111.

[420] Nowosadtko, s. 163-166.

[421] *Restitution*, s. 202 *recto*.

[422] Valentin Deuser uzyskał w roku 1641 przywilej cesarski, który pozwolił mu „odwiedzać domy gdzie bądź i bez przeszkód uprawiać profesję felczera i balwierza”; G&T, s. 41.

[423] *Restitution*, s. 203 *recto-verso*.

[424] RV 1726, s. 58 *recto-verso* (7 lipca 1601 r.).

[425] RV 1835, s. 25 *recto* (14 października 1609 r.).

[426] Mummenhoff, *Die öffentliche Gesundheit*, s. 15; L.W.B. Brockliss i Colin Jones, *The Medical*

World of Early Modern France [Realia medyczne Francji u progu ery nowożytnej], Clarendon Press, Oksford 1997), s. 13-14.

[427] W roku 1661 rada miejska Norymbergi udzieliła odpowiedzi na pełne gniewu zapytanie augsburskich lekarzy, którzy mieli do tamtejszego kata pretensje o aktywność uzdrowicielską, i to w szerokim zakresie, przy czym rajcy wyjaśnili, że taka działalność katów jest dopuszczalna; Stuart, s. 163.

[428] G&T, s. 41. O konfliktach gdzie indziej piszą: Wilbertz, s. 70 i nast.; Stuart, s. 164-172; G&T, s. 109 i nast.

[429] W Norymberdze był to zwykle Cmentarz św. Piotra, choć grzebano zmarłych czasami, w jego obrębie, na ziemi niepoświęconej; Knapp, *Loch*, s. 77.

[430] Karl H. Dannenfeldt, *Egyptian Mumia: The Sixteenth-Century Experience and Debate* [Mumia egipska. Szesnastowieczne doświadczenia i dyskusje], „Sixteenth Century Journal”, 16(2)/1985, s. 163-180.

[431] Stuart, s. 158-159; Stuart porównuje obdzielanie krwią i czasem częściami ciał z komunią chrześcijańską, s. 180.

[432] Markwart Herzog, *Scharfrichterliches Medizin. Zu den Beziehungen zwischen Henker und Arzt, Schafott und Medizin* [Medycyna katowska. O relacjach „kat-lekarz” i „szafot-medycyna”], „Medizinhistorisches Journal”, 29/1994, s. 330-331; Stuart, s. 155-160; Nowosadtko, s. 169-170.

[433] Nowosadtko, s. 179.

[434] Stuart, s. 162; Angstmann, s. 93.

[435] Odmianą interpretację przydatności anatomii dla artystów przedstawia Andrea Carlino w *Libri del corpo*, tłum. J. Tedeschi, A.C. Tedeschi: *Books of the Body: Anatomical Ritual and Renaissance Learning* [Księgi ciała. Rytuał anatomiczny a nauka renesansowa], University of Chicago Press, Chicago 2009.

[436] Roy Porter, *Blood and Guts: A Short History of Medicine* [Krew i wnętrzności. Dzieje medycyny w zarysie], Allen Lane, Londyn 2002, s. 53-58.

[437] Nowosadtko, s. 168-169.

[438] G&T, s. 67.

[439] Hampe, s. 79-81.

[440] Cyt. w: Knapp, *Kriminalrecht*, s. 64.

[441] DFS, 21 lipca 1578 r.; RV 1425, s. 48 *recto* (17 lipca 1578).

[442] DFS, 1 czerwca 1581 r.; 16 października 1584 r.; 8 grudnia 1590 r.; 18 grudnia 1593 r. Pessler wykonywał sekcje zwłok skazańców jeszcze w roku 1641; Knapp, *Kriminalrecht*, s. 100.

[443] DFS, 26 czerwca 1578 r.; 22 sierpnia 1587 r.

[444] DFS, 20 stycznia 1601 r.; 29 sierpnia 1587 r.

[445] DFS, 4 czerwca 1596 r.; 21 marca 1615 r.; 1 października 1605 r.

[446] DFS, 14 września 1602 r.

[447] Angstmann, s. 99-101; StaatsAN 42a, nr 447, s. 1063 (7 sierpnia 1583 r.).

[448] Döpler, *Theatrum poenarum*, 1, s. 596; Nowosadtko, s. 183-189; RV 2176, s. 56 *recto* (15 lipca 1635 r.); Hartmut H. Kunstmann, *Zauberwahn und Hexenprozess in der Reichsstadt Nürnberg* [Strach przed czarostwem i procesy czarownic w cesarskim mieście Norymberdze], Nürnberg Stadtarchiv, Norymberga 1970, s. 94-97.

[449] Nowosadtko, s. 98-117; Zagolla, *Folter und Hexenprozess*, s. 368; Wolfgang Behringer, *Zauberei- und Hexereiverfolgung in Bayern* (tłum. J.C. Grayson, D. Lederer: *Witchcraft Persecutions in Bavaria: Popular Magic, Religious Zealotry, and Reason of State in Early Modern Europe* [Prześladowanie domniemanych magów i czarownic w Bawarii. Magia ludowa, fanatyzm religijny a racja stanu w Europie u zarania ery nowożytnej], Cambridge University Press, Cambridge — Nowy Jork 1997, s. 401, tabela 13. Odnośnie do strachu przed czarostwem w innych częściach Frankonii por. także: Susanne Kleinöder-Strobel, *Die Verfolgung von Zauberei und Hexerei in den fränkischen Markgraftümern im 16. Jahrhundert* [Prześladowanie magów i czarownic w szesnastowiecznych markiach frankońskich], J.C.B. Mohr-Siebeck, Tybinga 2002.

[450] Kunstmann, *Zauberwahn*, s. 39-44.

[451] DFS, 28 lipca 1590 r.

[452] ASB 211, s. 111 *recto*-114 *recto*; por. także: Kunstmann, *Zauberwahn*, s. 69-78.

[453] ASB 211, s. 111 *recto*.

[454] DFS, 28 lipca 1590 r.

[455] Kunstmann, *Zauberwahn*, s. 78-86. W drugiej połowie stulecia Norymbergę również ogarnęła powszechna mania, co doprowadziło do egzekucji trzech mężczyzn i dwóch kobiet oskarżonych o czary (porównajmy te liczby z 4500 osobami uśmierconymi w całej Frankonii).

[456] DFS, 13 listopada 1617 r.; ASB 217, s. 326 *recto-verso*.

[457] DFS, 13 października 1604 r.

[458] DFS, 2 maja 1605 r.; 23 grudnia 1600 r.

[459] DFS, 13 grudnia 1588 r.

[460] DFS, 8 lipca 1613 r.; DJH, 8 lipca 1613 r.

[461] DFS, 10 maja 1599 r.

[462] DFS, 6 marca 1604 r.; ASB 215, cyt. w: Hampe, s. 59-60.

[463] ASB 218, s. 324 *recto*-342 *recto*.

[464] DFS, 7 marca 1604 r.; 17 sierpnia 1599 r.; 20 marca 1606 r.; 18 lutego 1585 r.

[465] DFS, 25 września 1595 r.; 26 listopada 1586 r.

[466] DFS, 9 lutego 1598 r. Ten temat porusza fascynująca książka Johannes Dillingera, *Magical Treasure Hunting in Europe and North America: A History* [Dzieje magicznego poszukiwania skarbów w Europie i Ameryce Północnej], Palgrave Macmillan, Nowy Jork 2011.

[467] W latach 1601-1606 Schmidt jeździł co najmniej raz albo i dwa razy w roku na egzekucje do takich miejscowości, jak: Hilpoltstein, Altdorf, Lauf, Salzburg, Lichtenau i Gräfenberg (DFS, 20 czerwca 1601 r.; 8 lipca 1601 r.; 3 marca 1602 r.; 7 maja 1603 r.; 27 maja 1603 r.; 16 czerwca 1604 r.; 13 sierpnia 1604 r.; 6 maja 1605 r.; 17 maja 1606 r.). W roku 1609 (10 lutego i 17 marca) wybrał się do Heroldsbergu i Hersbrucku, a 17 stycznia 1611 r. do Eschenau. W ciągu następnych 7 lat mistrz Frantz wykonywał średnio tylko dwie chłosty rocznie, chociaż tak karano oczywiście częściej.

[468] ASB 226, s. 43 *recto-verso*; DFS, 28 lutego 1611 r.

[469] StaatsAN 52a, nr 447, s. 1413-1414; RV 1871, s. 7 *verso*, s. 22 *verso*-23 *verso*, s. 25 *verso*, s. 31 *verso*-32 *recto*.

[470] StaatsAN 52a, nr 447, s. 1493.

[471] Siebenkees, *Materialnie*, 4, s. 452; DFS, 29 lipca 1617 r.

[472] RV 1943, s. 12 *verso*, s. 18 *recto-verso*, s. 24 *verso* (10, 12 i 13 listopada 1617 r.).

[473] DJH, 13 listopada 1617 r.

[474] RV 1943, s. 37 *verso*, s. 58 *verso*, s. 80 *recto*, s. 85 *recto-verso* (13, 17, 24 i 27 lipca 1618 r.); 1953, s. 10 *verso*, s. 41 *recto*, s. 47 *recto* (1, 10 i 12 sierpnia 1618 r.).

[475] RV 1953, s. 55 *recto*-56 *recto*, s. 72 *verso*, s. 80 *recto* (14, 20 i 22 sierpnia 1618 r.); 1954, s. 33 *verso*, s. 74 *recto* (7 i 21 września 1618 r.); 1957, s. 42 *recto* (4 grudnia 1618 r.).

[476] RV 1963, s. 4 *verso*, s. 27 *recto-verso*, s. 39 *recto* (29 kwietnia, 8 i 13 maja 1619 r.).

[477] RV 2005, s. 104 *recto-verso* (17 lipca 1622 r.); 2018, s. 45 *verso* (23 czerwca 1623 r.); 2037, s. 17 *recto* (16 listopada 1624 r.); 2038, s. 32 *recto* (12 grudnia 1624 r.); 2068, s. 117 *recto* (17 kwietnia 1627 r.); 2189, s. 30 *recto-verso* (22 lipca 1636 r.); 2194, s. 25 *recto-verso* (7 grudnia 1636 r.); 2214, s. 36 *recto* (31 maja 1638 r.).

[478] Keller, s. 174.

[479] RV 1969, s. 29 *verso* (22 października 1619 r.); 1977, s. 54 *verso* (7 czerwca 1620 r.); 1991, s. 35 *verso* (8 czerwca 1621 r.).

[480] RV 2052, s. 92 *verso* (21 lutego 1626 r.).

[481] RV 2044, s. 29 *verso*-30 *recto*, s. 64 *recto-verso* (23 czerwca i 4 lipca 1625 r.); 2045, s. 13 *recto-verso*, s. 41 *recto-verso*, s. 71 *verso* (18 i 26 lipca, 3 sierpnia 1625 r.); 2047, s. 16 *recto* (13 września 1625 r.); 2048, s. 1 *verso* (6 października 1625 r.); StadtAN B14/1 138, s. 108 *verso*-110 *recto*, co do zaliczkowej zapłaty 373 guldenów i 27¼ grajcarów, a pozostałej sumy po opuszczeniu domu (22 września 1625 r.), por. StadtAN B1/II, nr 74 (ok. 1626 r.).

[482] RV 1959, s. 37 *verso*-38 *recto* (23 stycznia 1619 r.); RV 1968, s. 9 *recto* (18 września 1619 r.).

[483] RV 2040, s. 29 *verso*-30 *recto* (10 lutego 1625 r.).

[484] RV 2002, s. 2 *recto* (4 kwietnia 1622 r.); RV 2046, s. 7 *recto-verso* (13 sierpnia 1625 r.).

[485] RV 2071, s. 25 *verso* (26 czerwca 1627 r.); RV 2046, s. 7 *recto-verso* (13 sierpnia 1625 r.).

[486] StaatsAN 54a II, nr 728.

[487] *Restitution*, s. 209 *recto*-211 *recto*; RV 2039, s. 34 *verso* (17 stycznia 1625 r.).

[488] LKAN, Kościół św. Wawrzyńca, Chrzty, 910 (4 stycznia 1612 r.); Schumann, *Frantz Schmidt*, s. 678-679.

[489] RV 1877, s. 15 *recto*, s. 21 *recto*, s. 31 *verso*-32 *recto* (2, 4 i 7 grudnia 1612 r.).

[490] RV 1929, s. 64 *recto* (13 listopada 1616 r.); 1931, s. 49 *verso*-49 *recto* (30 grudnia 1616 r.); 1933, s. 8 *verso*-9 *recto* (8 lutego 1617 r.).

[491] RV 2025, s. 25 *verso*, s. 37 *recto* (8 i 14 stycznia 1624 r.). Początkowo jest ona wymieniona

jako Rosina Schmidin, a dalej jako Rosina Bückhlin; o mężu nie ma mowy.

[492] StaatsAN, repertorium 65, nr 34, s. 42 *recto*, s. 56 *recto*.

[493] W latach 1680-1770 na uniwersytecie w Ingolstadt było co najmniej dziewięć takich przypadków; G&T, s. 17-20 i s. 111-112; Nowosadtko, s. 321 i nast.

[494] RV 2122, s. 23 *recto-verso* (19 maja 1631 r.).

[495] RV 2133, s. 74 *verso* (3 lutego 1632 r.); LKAN, Kościół św. Wawrzyńca, 512; *Nürnberger Künstlerlexikon* [Leksykon artystów norymberskich], red. M.H. Grieb, Saur, Monachium 2007), 1, s. 24; StaatsAN 65, 20 (24 lutego 1632 r.).

[496] LKAN, Kościół św. Wawrzyńca, 109; StaatsAN, repertorium 65, nr 34, s. 56.

[497] LKAN, Kościół św. Wawrzyńca, 129; RV 2162, s. 49 *verso* (13 czerwca 1634 r.).

[498] StaatsAN 65, nr 32, 244.

[499] *La résistance, la rebellion et la mort* (tłum. J. O'Brien: *Resistance, Rebellion, and Death*) [Opór, bunt i śmierć], Vintage Books, Nowy Jork 1974, s. 180.

[500] Walker, *German Home Towns*, s. 12.

[501] StaatsAN 54a, nr 728; ponadto RV 2189, s. 30 *recto-verso* (22 lipca 1636 r.); 2194, s. 25 *recto-verso* (7 grudnia 1636 r.); 2225, s. 97 *recto* (10 maja 1639); 2232, s. 10 *verso*-11 *verso* (2 listopada 1639 r.); 2243, s. 91 *verso* (23 września 1640). Jak Schlegel sam wyliczył, leczył on w Norymberdze tylko 97 osób, a w poprzednim miejscu zamieszkania miał co najmniej tysiąc pięciuset pacjentów.

[502] Maria zmarła 12 kwietnia 1664 r.; Frantzenhans zakończył życie 26 lutego 1683 r. (LKAN, Pogrzeby w parafii św. Wawrzyńca, fol. 311 i 328).

[503] Evans, *Rituals of Retribution*, s. 109-149.

[504] W istocie podzielałam sformułowaną przez Richarda Evansa druzgocącą krytykę teologicznych i obciążonych także innymi wadami argumentów Michela Foucaulta i Philippe'a Arièsa, bardziej przekonał mnie natomiast Norbert Elias, którego koncepcja „procesu cywilizowania” pozostaje cenna w innych kontekstach kulturowych (por. *Rituals of Retribution*, s. 880 i nast.). Niestety Steven Pinker, orędownik teorii Eliasa, przypisał niedawno nadmierne znaczenie jej najsłabszemu elementowi, mianowicie domniemaniu wzrostu empatii począwszy od XVIII wieku. Pinker pisze na przykład, że „w średniowiecznym świecie chrześcijańskim istniała cywilizacja zdominowana przez okrucieństwo” i dopiero „humanizm” oświeceniowy sprawił, iż „rosło współczucie ludzkie dla bliźnich”; por. Steven Pruker, *The Better Angels of Our Nature: Why Violence Has Declined* [Lepsze anioły naszej natury. Dlaczego panuje mniejsza przemoc], Viking, Nowy Jork 2011, s. 132-133. Wnikliwsze analizy zmian

w powszechnej percepcji publicznego wykonywania wyroków śmierci przedstawili: Pieter Spierenburg, *The Spectacle of Suffering: Executions and the Evolution of Repression* [Cierpienie jako widowisko. Wykonywanie wyroków śmierci a ewolucja represyjności], Cambridge University Press, Cambridge 1984 oraz Paul Friedland, *Seeing Justice Done: The Age of Spectacular Punishment in France* [Sprawiedliwości staje się zadość. Epoka publicznego karnania we Francji], Oxford University Press, Oksford 2012. Lauren Clay zechce przyjąć moje wyrazy wdzięczności za wskazanie drugiej z tych prac.

[505] Podobne wnioski Dülmena w *Theatre of Horror*, s. 133-137.

[506] Keller, s. 262-279; Stuart, s. 75-82 i 227-239; Nowosadtko, s. 305-336; Knapp, *Loch*, s. 60-61.

[507] Przy formułowaniu tej części epilogu przydała mi się zwłaszcza świetna interpretacja Jutty Nowosadtko w: „*Und nun alter, ehrlicher Franz*”...

[508] List opatrzone datą 3 września 1810 r.; *Achim von Arnim und Jacob und Wilhelm Grimm* [A.v.A. a J. i W. Grimmowie], red. R. Steig, J.G. Cotta, Stuttgart 1904, s. 69-70.

[509] G&T, s. 49; Nowosadtko, „*Und nun alter, ehrlicher Frantz*”..., s. 238-241.

[510] Por. zwłaszcza: Stephen Brockmann, *Nuremberg: The Imaginary Capital* [Norymberga. Stolica wymaginowana], Camden House, Rochester, NY 2006.

[511] Por. fascynującą wyprawę w przeszłość, na którą zaprasza Wolfgang Schild w: *Die Eiserne Jungfrau: Dichtung und Wahrheit* [Żelazna Panna. Zmyślenie i prawda], Schriftenreihe des Mittelalterlichen Kriminalmuseums Rothenburg ob der Tauber, 2001. Doktor Hartmut Frommer zechce przyjąć moje wyrazy wdzięczności za wskazanie tej publikacji.

[512] O prezentacjach niemieckich katów z początków ery nowożytnej w XX-wiecznej historiografii piszą: Wilbertz, s. 1 i nast.; Nowosadtko, s. 3-8; Stuart, s. 2-5.

[513] Spośród ogromu utworów literackich ze średniowiecznym „wieszaczem” jako głównym bohaterem największy sukces odniosły powieści Wilhelma Raabego: *Das letzte Recht* [Prawo ostateczne] z roku 1862 i *Zum wilden Mann* [Gospoda Pod Dzikusem], rzecz napisana w 1873, a wydana drukiem w 1884 r.; ponadto sztuki Gerharta Hauptmanna (zwłaszcza *Magnus Garbe*, 1914 i [w wersji zmienionej] 1942 r.) oraz napisana przez Ruth Schaumann sztuka *Die Zwiebel* [Cebula] z roku 1943. Ostatnimi czasy kat staje się bohaterem czytań w rodzaju powieści Olivera Pötzscha *Die Tochter des Henkers* [Katowska córka], tłum. L. Chadeayne, *The Hangman's Daughter*, Amazon Crossing, Seattle 2011] albo książki *Der Henker von Nürnberg* [Norymberski kat], Wellhöfer, Mannheim 2010), zbioru pobudzających wyobraźnię opowiadań, które zebrały A. Hassel i U. Schmid-Spreer.

[514] To określenie przejmuję od Evansa, z jego *Rituals of Retribution*, XIII.

[515] Pinker, *Better Angels of Our Nature*, zwłaszcza s. 129-188.

[\[516\] www.amnesty.org/en/death-penalty/numbers.](http://www.amnesty.org/en/death-penalty/numbers)

Podziękowania

Pracę nad tą książką rozpocząłem w trakcie pamiętnego jesienno-zimowego semestru, który spędziłem w Akademii Amerykańskiej w Berlinie, placówce będącej, moim zdaniem, wręcz idealnym inkubatorem dla rodzących się projektów. Dyrektor Gary Smith i jego personel zrealizowali tam platoński ideał aktywności umysłowej, umożliwiając przybyszom osiągnięcie pełnego spokoju i koncentracji w przepięknej willi na przedmieściu Berlina, w Wannsee, a ponadto zapewnili doskonałe zaplecze naukowe i niezliczone okazje do intelektualnych interakcji, a wszystko to wieńczyły wieczorne popisy szefa kuchni, Reinolda Kegela. Wśród — jakże wielu — osób należących do personelu Akademii, które współtworzą tę sielankową scenę, na szczególną wdzięczność zasługują: Gary Smith, R. Jay Magill, Alissa Burmeister, Malte Mau i Yolande Korb. Mojej rodzinie i mnie dane było spotkać także — jako rezydentów — ludzi nadzwyczaj towarzyskich, z którymi mogliśmy niejedną godzinę poświęcić na ciekawe rozmowy, wyprawy do miasta i zaciekle mecze pingpongowe (Jochen Hellbeck jest mi wciąż winien rewanż). Za okazaną przyjaźń i pozytywne sugestie jestem szczerze wdzięczny takim osobom, jak Nathan Englander, Rachel Silver, George Packer i Laura Secor. Ta książka zawdzięcza wiele także wspaniałomyślności, na jaką zdobył się wobec mnie podziwiany powszechnie Rick Atkinson, który nie tylko udzielił mi pewnych mądrych rad co do zbudowania narracji, ale „wypożyczył” mi również swojego świetnego agenta literackiego i kartografa (oczywiście nie zrezygnowawszy ze swoich Pulitzerów).

W kwerendzie archiwalnej wiele pomogli mi swoją fachowością: dr Stefan Nöth i dr Klaus Rupprecht z Archiwum Państwowego w Bambergu; dr Arnd Kluge z Archiwum Miejskiego w Hofie; dr Gerhard Rechter i dr Gunther Friedrich z Archiwum Państwowego w Norymberdze; dr Andrea Schwarz, pracowniczka Krajowego Archiwum Kościelnego w Norymberdze; dr Christine Sauer z Biblioteki Miejskiej tamże oraz dr Horst-Dieter Beyerstedt, pracownik Archiwum Miejskiego w Norymberdze. Dr Martin Baumeister z Germańskiego Muzeum Narodowego w Norymberdze był łaskaw poświęcić całe przedpołudnie na rozmowę ze mną i pokazanie mi różnych mieczy katowskich, i pozwolił mi nawet obejrzeć dokładnie oraz potrzymać (w bezpiecznej odległości) miecz, który mógł należeć do samego mistrza Frantza. Michaela Ott ucieszyła mnie dłuższą wycieczką do norymberskiego więzienia zwanego Lochem (*Lochgefängnis*) i miała tyle cierpliwości, by odpowiedzieć na bardzo szczegółowe pytania, co więcej, pozwoliła mi to i owo zmierzyć i sfotografować w tym nadal przerażającym miejscu. Dr Hartmut Frommer, który sprawował nadzór nad godną pochwałą przemianą Domu Katowskiego we wzorcowe historyczne muzeum przestępczości, niejedną raz zaprosił mnie do swego gabinetu na szczycie domowej wieży, gdzie podzielił się ze mną swą ogromną wiedzą o kryminalnej historii Norymbergi oraz o geografii Frankonii, a prócz tego przekonał mnie, że sławne norymberskie kielbaski są nie lada rozkoszą dla podniebienia.

Kiedy powróciłem do Nashville, wielu znajomych i kolegów zechciało mi pomóc w ukończeniu książki i wydaniu jej. Steve Pryor był pierwszym czytelnikiem całego rękopisu,

a Holly Tucker zapoznała się ze sporymi jego fragmentami, ledwo one powstały. Sugestie obojga uczyniły książkę klarowniejszą i bardziej potoczystą w warstwie narracyjnej. Utalentowany publicysta i znawca historii prawa, Dan Scharfstein, zechciał spojrzeć bacznym edytorskim okiem na niektóre rozdziały, natomiast Ellen Fanning odniosła się do książki tak, jak przystało na osobę, której dziedziną jest biologia molekularna. Spośród wierzycieli intelektualnych pragnę wyróżnić znakomitych kolegów i koleżanki z wydziału historycznego Vanderbilt University, którzy nie przestają mnie zadziwiać rozległością posiadanej wiedzy i niezmienną życzliwością. Należałoby wszystkie te osoby wymienić z nazwiska, ale — by nie ucierpiała pożądana zwięzłość — niechaj pojawią się tutaj: Michael Bess, Bill Caferro, Marshall Eakin, Jim Epstein, Peter Lake, Jane Landers, Catherine Molineux, Matt Ramsey, Helmut Smith i Frank Wcislo. Magistrowie w osobach Christophera Mapesa, Frances Kolb i Seana Bortza wnieśli wielki wkład w realizację różnych zadań redakcyjnych i w dobór materiału ilustracyjnego. Chociaż bardzo się starałem, nie znużyłem Jima Toplona i jego wspaniałego zespołu ze służby wypożyczeń międzybibliotecznych Vanderbilt University (doprawdy mam się czym pochwalić). Dziękuję rektorowi uniwersytetu Richardowi McCarty'emu i pani dziekan Carolyn Dever za konsekwentne moralnie i finansowe wspieranie tego projektu.

Do powstania książki przyczyniło się ponadto — na różne sposoby — wiele innych życzliwych mi osób. Na szczególną wdzięczność zasłużyli: Wolfgang Behringer, Jennifer Bevington, Tom Brady, Joyce Chaplin, Jason Coy, Heiko Droste, Sigrun Haude, Claudia Jarzebowski, Mark Kramer, Paul Kramer i uczestnicy jego Warsztatów Historiograficznych, Wendy Lesser, Mary Lindemann, Gary Morsches, Hannah Murphy, Tom Robisheaux, Ulinka Rublack, Thomas Schnalke, Gerd Schwerhoff, Tom Seemann, Richard Sieburth, Phil Soergel i Jeff Watt. Dzięki Kathy Stuart, autorce pracy o katach, która stała się dla mnie drogowskazem oraz inspiracją bardziej niż jakakolwiek inna pozycja bibliograficzna, nie wybrałem się do Wiednia (co raczej nie byłoby przykre), ponieważ użyczyła mi ona swojej kopii cesarskiego dokumentu z 1624 r., kładącego kres pohańbieniu Frantza Schmidta. Pragnę poza tym stwierdzić, iż poczuwam się do ogromnego długu wdzięczności wobec historyków katowskiej profesji w Niemczech u zarania ery nowożytnej (świadczą o tym długie przypisy na końcu książki), a zatem takich dziejopisów sprzed stulecia, jak Albrecht Keller, Theodor Hampe, Else Angstmann i Hermann Knapp, oraz dzisiejszych historyków, spośród których niech zostaną tu wyróżnieni: Jutta Nowosadtko, Richard J. Evans, Wolfgang Schild, Gisela Wilbertz, Ilse Schumann i — nieżyjący już — Richard van Dülmen.

Mój agent, Rafe Sagalyn, wierzył we mnie i w ten projekt od początku, i stopniowo przybliżył człowiekowi z kręgu uniwersyteckich historyków nowy wspaniały świat wydawniczy. Thomas LeBien, mój pierwszy redaktor w firmie Hill and Wang, również dodawał mi otuchy słowami o potencjale tej książki, entuzjastycznym zachęcaniem i mądrymi radami. Courtney Hodell, która przygotowała książkę do druku, okazała się mentorką *sans pareil*, niezrównaną (choćby wymogła na mnie rezygnację z niektórych terminów obcojęzycznych). Dzięki życzliwemu podejściu i kreatywności Courtney oraz jej współpracowników — niech pojawią się tu zwłaszcza Jeff Seroy, Jonathan Lippincott, Debra Helfand, Nick Courage i Mark Krotov — moje kontakty z wydawnictwem Farrar, Straus i Giroux przebiegały tak, jakby tego pragnął każdy autor. Skrupulatność Stephena Wagleya i rozsądny czerwony ołówek w jego ręku nadały mojemu tekstowi znacznie większą klarowność, a świetne mapy Gene'a Thorpa są doskonałą wizualizacją świata Frantza Schmidta.

Podobnie, jak się stało ze wszystkimi książkami, które dotąd napisałem, i ta jest — ku mojemu zdziwieniu — obrazem życia rodzinnego, chociaż o czym innym opowiada. Mogę tylko żywić nadzieję, że Frantz Schmidt doświadczył ze strony najbliższych bodaj po części takiej

miłości i takiego wsparcia, jakich ja doznaję. Moja żona, Beth Monin Harrington udziela mi tego wsparcia nieustannie, pozostając najbardziej bezlitosną redaktorką mych tekstów. Jej ciągła walka ze stroną bierną zakończyła się także tym razem kilkoma niebagatelnyymi zwycięstwami, ale błędy nadal są popełniane (a wdzięczność kochającego męża zostaje wyrażona szczerze). Nasze dzieci, George i Charlotte, zaczęły upatrywać w mistrzu Frantzu domownika i, obcując z nim, stały się najlepszymi wśród amerykańskich licealistów znawcami zbrodni i kary z początków ery nowożytnej (ku zadowoleniu kolegów, koleżanek, przyjaciół). Nie mniej pobłażliwie do mojego zauroczenia tematem odnieśli się inni członkowie mej rodziny: prawdziwie zaciekawieni słuchali tego, co opowiadałem. Za życzliwość i wyrozumiałość pragnę podziękować Filloonom z Lebanonu i Harringtonom z Tamy, jak też Moninom ze Sparty, Jonesborough i Tulsy. I wreszcie za stałą bezinteresowną miłość i podtrzymywanie na duchu dziękuję rodzicom, Jackowi i Marilyn Harringtonom. Tę książkę zadedykowałem ojcu, któremu należy się podziw i wdzięczność za to, że przekazał swemu najstarszemu synowi upodobanie do pracy pisarskiej i nie przestaje do niej zachęcać.

Źródła zamieszczonych ilustracji

Bayerisches Hauptstaatsarchiv München [Główne Archiwum Państwowe Bawarii w Monachium], s. 211

Germanisches Nationalmuseum Nürnberg [Germańskie Muzeum Narodowe w Norymberdze], s. 86, s. 127; s. 186; s. 250; s. 314

Kunsthistorisches Museum Wien [Wiedeńskie Muzeum Historii Sztuki], s. 41

Luzern Zentralbibliothek [Biblioteka Centralna w Lucernie], s. 96; s. 99

Mary Evans Picture Collection [Stała Wystawa Obrazów z Kolekcji Mary Evans], s. 201

Museen der Stadt Nürnberg [Muzea Miasta Norymbergi], s. 37

Staatliche Museen Nürnberg [Muzea Państwowe w Norymberdze], s. 301

Staatliche Museen zu Berlin, Kunstbibliothek [Muzea Państwowe w Berlinie, Biblioteka Plastyczna]: s. 208; s. 217

Staatsarchiv Nürnberg [Archiwum Państwowe w Norymberdze]: s. 25; s. 72; s. 143; s. 158; s. 159; s. 180

Stadtarchiv Nürnberg [Archiwum Miejskie w Norymberdze], s. 59; s. 69; s. 109, s. 112; s. 148; s. 165; s. 191; s. 243

Stadtbibliothek Nürnberg [Biblioteka Miejska w Norymberdze]: s. 22; s. 274

Zentralbibliothek Zürich [Biblioteka Centralna w Zurychu], s. 114; s. 117; s. 132; s. 279

Polecamy również:

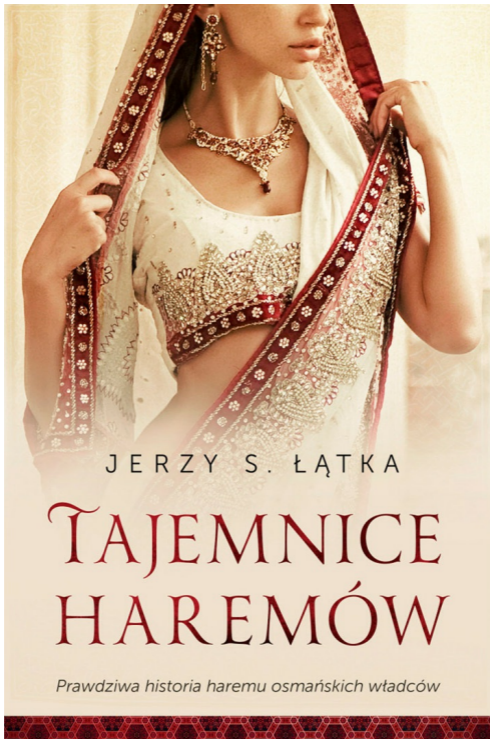
Jerzy S. Łątka

TAJEMNICE HAREMÓW

Harem był w każdym muzułmańskim domu, lecz jeden z nich — harem padyszacha w pałacu Topkapy — wywoływał najwięcej emocji. Pełna przepychu, wręcz baśniowego bogactwa, a zarazem okrutnie wyrafinowana rzeczywistość przez wieki podniecała wyobraźnię nie tylko Europejczyków. Najpiękniejsze dziewczęta, ich okaleczeni strażnicy-eunuchowie i jeden zdrowy mężczyzna — pan ich życia i śmierci, a zarazem władca potężnego imperium, żyli, podporządkowani okrutnym nieraz regułom namiętności i zbrodni.

Zapraszamy do fascynującej podróży po świecie haremów, a przede wszystkim po owianym legendami słynnym haremie władców Imperium Osmańskiego, w którym nie brakowało również branek z ziem Rzeczypospolitej. Przewodnikami w tej podróży będą zarówno dawni dziejopisarze i podróżnicy, jak i współcześni historycy.

W dalszej części znajdziecie Państwo
fragment publikacji



JERZY S. ŁĄTKA

TAJEMNICE HAREMÓW

Prawdziwa historia haremu osmańskich władców

RZĄDY SUŁTANEK

Przez prawie półtora wieku garstka kobiet znajdująca się na samym szczycie haremu nie miała powodów do narzekań na nudę i monotonię życia. Oddawały się one namiętnie politycznym grom i pośrednio sprawowały władzę w całym Imperium Osmańskim. Proces przejmowania przez nie władzy zaczął się w okresie największego rozkwitu państwa, za panowania Sulejmana Wspaniałego (1520–1566), przy dużym udziale urodzonej na kresach Rzeczypospolitej Roksolany, czyli Hürrem Sułtan, jak ją po turecku nazywano.

Nie ma pełnej zgodności co do pochodzenia Roksolany. W XVI wieku błędnie uważano, że była Włoszką, Francuzką lub Rosjanką. Dzisiaj wiadomo, że pochodziła ze wschodnich kresów Królestwa Polskiego. Prawdopodobnie była córką prawosławnego popa z Rohatyna, miasteczka leżącego 68 km na południowy wschód od Lwowa. Podobno, ale to nie zostało udowodnione, nazywała się Aleksandra lub Anastazja Lisowska. Urowadzona przez Tatarów, być może podczas ich najazdu na te ziemie w 1509 roku, trafiła na targ niewolników w Stambule.

Alev Lytle Croutier pisze, że Roksolana została zakupiona przez bliskiego przyjaciela padyszacha sadrazama Ibrahima z myślą o prezencie dla władcy. Tymi słowami kreśli wizerunek tej najświetniejszej z osmańskich sułtanek:

Portret, jaki jej zrobiono, ukazuje ją w mozaikowej delikatności z klasycznymi rysami twarzy i błyszczącymi czerwonymi włosami. W jej oczach widać głębię i inteligencję. Roksolana, będąc nadzwyczajnym strategiem i „artystką polityczną”, jak mistrz szachowy rozgrywała wszelkie ataki.

Od początku Sulejman uległ urokowi słowiańskiej niewolnicy, która

bardzo szybko stała się jego ulubienicą. Zapewne nie był to przypadek. Branki z Polski były cenionym towarem w ówczesnej Porcie. Sława ich urody i miłośnego kunsztu przetrwała dziesięciolecia. Słynny z erotyków i frywolnych utworów poeta turecki drugiej połowy XVIII wieku — bej Fazył, zwany najczęściej Fazyłem Enderumi, czyli Fazyłem Pałacowym (słowo *enderum* oznacza część pałacu, w której znajduje się harem i skarbiec), w jednym ze swoich najwybitniejszych poematów *Zenanname* (*Księga kobiet*) opisuje wady i zalety kobiet rozmaitych narodowości. Według poety Francuzki to „róże o srebrnych listkach”, ale ich wpływ na umysły mężczyzn „sprzeczny jest z przyrodzonym pożytkiem”. Radzi nie brać ich za żony, bo są chciwe rządów. Rosjanki są zdradzieckie i podstępne, a Murzynki podobać się mogą tylko chciwemu nowości szaleńcowi. Nieco lepszego zdania jest Fazył Pałacowy o Gruzinkach, które „pełne dobroci mogą przywiązać serce męża”. Polkom zaś poświęcił Fazył bej takie słowa:

Spojrzenie wasze roznieca w sercu nawet pustelnika płomień żądz, a spłoty waszych włosów stają się dlań przepaską w zamian pustelniczego pasa. Niewiasty bowiem Lechistanu są istoty całkiem wyłączone: lica ich piękne jak róża, kibić ich wyniosła jak cyprys, kiedy idą, postawa ich pełna wdzięku, kiedy mówią, usta ich pełne słodczy, każda z nich w sztuce kochania jest mistrzynią, duszę swą oddaje przyjacielowi, którego pozyskała dla siebie.

W innym utworze, *Chuban-name* (*Księga pięknych*), w podobny sposób komplementuje poeta piękne Polki:

Piękne bóstwa Lechistanu są kłeską świata, niepokojem wielu, nieszczęściem czasu, kiedy strzały oczu zdolne są przeszywać wnętrzości, miecz w jego ręku jest rzeczą j błahą, na nic nieprzydatną; serce ich kamienne zmiękcza się dla ludzi, a zatem nie miej urazy dla takiej piękności, która porywa serce.

Ofiarą uroku „bóstwa Lechistanu” był też padyszach Sulejman. Roksolana miała szczęście, że jej pierwsze dziecko było chłopcem, tym samym awansowała na trzecią kadynę, a więc stała się jedną z trzech najpotężniejszych kobiet w haremie. Zgodnie z prawem, jakie ustanowił Mehmed Zdobycyca, po śmierci Sulejmana jego następca miał obowiązek

likwidowania pozostałych braci, aby uchronić się przed ewentualnymi próbami przejęcia tronu. Na następcę Sulejmana przewidziany był jego najstarszy syn, książę Mustafa. Oznaczało to wyrok śmierci dla syna Roksolany.

Przebywający w Stambule w 1526 roku poseł wenecki Pietro Bragadio donosił swoim zwierzchnikom o sporze pomiędzy dwiema sułtankami. Baszkadyna Sulejmana, matka Mustafy, sułtanka Gülbahar, zapewne zaniepokojona uległością władcy wobec słowiańskiej niewolnicy, potargała jej włosy i podrapała twarz. Rezultat zwykłej kobiecej zazdrości. Takich scen zazdrości w każdym haremie musiało być bardzo wiele. Lecz ta awantura miała nietypowy finał. Poszkodowana zamknęła się w swoim apartamencie i pod pretekstem ran na twarzy odmawiała sułtanowi spotkania. Nie ulegała żadnym namowom, a nawet postawiła warunek, aby padyszach uczynił ją prawdziwą żoną i aby... podzielił się z nią władzą.

Oczywiście taka przekora mogła skończyć się dla krnąbrnej Roksolany jak historia „nie spełniającej posługi igrającej z własną godnością” niewolnicy Gülfem, której Sulejman Wspaniały rozkazał ściąć głowę. Tym razem władcę zachwyciła stanowczość, inteligencja i odwaga pięknej niewolnicy. Aby przebłagać swą ulubienicę, mianował księcia Mustafę gubernatorem Manisy, a tym samym wydalil go ze stolicy. Zgodnie z pałacowym prawem również jego matka Gülbahar musiała towarzyszyć synowi w wyjeździe na prowincję. Nie koniec na tym. Aby udowodnić Roksolanie swe przywiązanie, Sulejman wyzwolił pozostałe niewolnice, a najpiękniejsze wydał za paszów. Spełnił także najważniejsze jej żądanie — ożenił się z nią. Tym samym Roksolana formalnie z trzeciej kadyny awansowała na baszkadynę.

Fakt ten tak skomentował angielski obserwator sir George Young (1530):

W tym tygodniu w mieście miało miejsce nadzwyczajne wydarzenie, nie spotykane w dotychczasowej historii sułtanów. Potężny sułtan Sulejman wybrał dla siebie jako cesarzką młodą Rosjankę [!] o imieniu Roksolana i urządzono wielkie przyjęcie. Wesele odbyło się w pałacu Topkapı i przyćmiło wszystkie dotychczasowe weselne zabawy, jakie dotychczas urządzano. Nadesłane prezenty przedstawiono ludowi. Na ozdobionych i oświetlonych nocą głównych ulicach miasta trwały uczyty i zabawy. Udekorowano kokardami również budynki i umożliwiono ludowi przyłączenie się do zabawy weselnej. Na trybunach, zbudowanych na placu starego hipodromu, ukazali się, ubrani w pozłacane

stroje, sułtanka Roksolana i inne pałacowe osoby. Roksolana wraz z całym haremem śledziła turniej, w którym brali udział rycerze chrześcijańscy i muzułmańscy. Oglądali popisy cyrkowców i kuglarzy oraz pokazy dzikich zwierząt. Przedefilowały tak wielkie żyrafy, że zdawało się, iż ich szyje sięgną nieba...

Wiele mówiło się na temat wesela, wiele dyskutowało, ale nikt nie może powiedzieć, co to oznaczało.

W 1541 roku spłonął Stary Pałac. Wszystkie kobiety przeniesione zostały do pałacu Topkapy. Dzięki temu Roksolana znalazła się bliżej władzy. Alev Lytle Croutier uważa ten fakt za początek sprawowania władzy w Imperium przez sułtanki.

Po księciu Mustafie i jego matce Gülbahar największym rywalem Roksolany był bliski przyjaciel padyszacha — wielki wezyr Ibrahim, ten właśnie, który ofiarował Roksolanę padyszachowi. Był on szwagrem władcy, gdyż pojął za żonę sułtankę Hatidże, siostrę sułtana. Dzięki temu doszedł do wielkiego dostojęstwa i bogactwa. Roksolanę niepokoił wpływ Ibrahima na Sulejmana, postanowiła więc go usunąć. Ponoć starała się osłabić jego pozycję, rozpuszczając różne plotki i wręcz nieprawdziwe wiadomości. Pewnej nocy, kiedy Ibrahim nocował w pałacu, głuśi i niemi strażnicy udusili go podczas snu. Nie wiadomo, kto zbrodnię tę zaplanował. Wiele osób oskarżało Roksolanę, ale dostatecznych dowodów przeciw niej nie znaleziono.

Wkrótce potem Sulejman postanowił wybudować nowy pałac. Oddzielenie haremu od rezydencji władcy było zagrożeniem dla wpływów Roksolany. Zaproponowała więc zamiast pałacu budowę meczetu noszącego imię sułtana. Jej plan został przez Sulejmana zaakceptowany. Był to rok 1549. Budowę powierzono architektowi Sinanowi — jego dziełem był już Meczet Błękitny. Obok powstało mauzoleum władcy, w którym spoczęła także Hurrem Sułtan.

Tymczasem *shehzade* Mustafa okazał się zdolnym księciem, kochanym przez lud i wojsko. Godnego siebie następcę widział w nim także Sulejman. Ale dorastali też synowie Roksolany. Ambitna sułtanka uciekła się do intryg. Fałszywy list, który niby książę Mustafa wysłał do szacha perskiego z prośbą o pomoc w zrzuceniu ojca z tronu, ostatecznie poróżnił ojca z synem. W 1553 roku głuchoniemi oprawcy z polecenia padyszacha udusili następcę tronu.

W tym czasie Roksolana znaczyła coraz więcej w życiu władcy. Jeden z habsburskich posłów tak ocenił jej wpływ na Sulejmana: „Jedną rzeczą, którą zarzucić można sułtanowi Sulejmanowi, to że znajdował się pod zbyt wielkim wpływem swojej żony”. Zaś da Zara:

Padyszach tak kochał sułtankę i tak bardzo jej ufał, że aż jego niewolnicy dziwili się temu i mówili nawet, że sułtanka Roksolana zaczarowała padyszacha i że jest ona czarownicą. Z tego powodu armia i mieszkańcy pałacu nie cierpieli jej, nie kochali też jej dzieci, ale ponieważ jego wysokość padyszach żył tylko z nią, nikt nie ważył się sprzeciwić. Ja sam byłem świadkiem tego, że nikt dobrze nie mówił o Roksolanie i nie kochał jej dzieci. Znacznie bardziej lubiano pierwszego syna Sulejmana i jego matkę.

Roksolana korespondowała z królową Boną, a następnie z Zygmuntem Augustem, zapewniając ich o swojej życzliwości i staraniu o przychylne usposobienie Turcji dla Polski. Jej listy znajdują się w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie. Polskę zbliżała w tych latach do Turcji wspólna polityka antyhabsburska.

Ta piękna i zachłanna — jak uważają Turcy — kobieta rządziła Sulejmanem przez 32 lata, dopóki nie umarła. Podobno Roksolana miała wpływ również na jego poetycką duszę, gdyż był on także poetą.

Rozmawiali między sobą wierszem, głos Roksolany był jak brzęk mieczy i odgłos kul armatnich na polu walki — pisze Alev Lytle Croutier. — Kanuni [Prawodawca — tak Turcy nazywają Sulejmana Wspaniałego] znalazł w niej godną siebie kobietę. Nie tylko zaspokajała go w łóżku, ale także dawała mu oparcie w sprawach państwowych. Również mieli wspólny gust w dziedzinie sztuki. Harem wyszedł z mrocznych podziemi i stał się centrum sztuk pięknych.

Z czterech synów Roksolany Mehmed zmarł w dzieciństwie, Dżihangir był epileptykiem, Bajezit człowiekiem zdolnym, ale bezlitosnym. Czwarty — Selim, był najlepszym zdaniem matki kandydatem na przyszłego władcę. Już po śmierci matki Bajezit w wyniku rodzinnych kłótni o tron schronił się u szacha perskiego. Sulejman wymógł jednak na władcy Persji wydanie Bajezita. Został on zgładzony wraz ze swymi synami.

Sułtanka Roksolana zmarła w 1559 roku. Jej miejsce niebawem zajęła córka Mihrimah, i jej to, a nie jej braci, radził się Sulejman Wspaniały

w ważnych sprawach państwowych. Książę Selim i jego syn Murad (późniejszy padyszach Murad III) większe zainteresowanie wykazywali kobietami i rozrywką niż polityką. W ślady swej matki Mihrimah poszła wnuczka Roksolany Ajsze Hümaszah. Dawały one kadynom i pozostałym sułtankom przykład angażowania się w politykę i na rzecz przygotowywania dla swych synów i mężów wysokiej pozycji w państwie.

Następcy Sulejmana zaprzestali osobistego dowodzenia wyprawami wojennymi. Miejsce batalii wojennych zajął im harem. Oderwanie od spraw państwowych zmniejszyło skuteczność rządu. Sułtanki coraz częściej zaczęły wyręczać padyszachów w podejmowaniu ważnych decyzji. Poprzez dawanie łapówek i obsadzanie uległymi ludźmi ważniejszych stanowisk kontrolowały sytuację. Rządziły przy pomocy agów haremowych, którzy przekazywali ich polecenia wielkim wezyrom i innym urzędowym osobom. Czasami nawet osobiście spotykały się z różnymi politykami, rozmawiając przez zasłonięte lub okratowane okno. Decydowały o wyborze gubernatorów prowincji. Starły się wpływać na kierunek i realizację polityki zagranicznej. Sułtanka Safiye była na przykład Wenecjanką, porwaną przez tureckich korsarzy. Trafiła do haremu Murada III (1574–1595). Historycy tureccy oskarżają ją o sprzyjanie interesom Wenecji. Kiedy statki weneckie zaczęły zagrażać flocie tureckiej, odwiodła ona padyszacha od zamiaru zaatakowania Wenecji, a nawet namówiła go do przyznania jej specjalnych przywilejów handlowych.

Alev Lytle Croutier uważa, że poseł wenecki, a nawet sama Katarzyna Medycejska mogła nawiązać stosunki z Safiye przez Żydówkę Kiraz, która zarządzała handlarkami dostarczającymi do pałacu tkaniny i biżuterię. Sułtance miłe były prezenty otrzymywane od królowej Anglii Elżbiety I i dlatego sprzyjała Anglikom w dziedzinie polityki i handlu. Prowadziła nawet z królową osobistą korespondencję, co — zdaniem pani Croutier — według prawa osmańskiego było zdradą ojczyzny. Sułtan Mehmed III zdawał sobie sprawę z roli, jaką odgrywała jego matka, ale nie był zdolny przeciwstawić się prowadzonej przez nią polityce.

Wprawdzie sułtanka Safiye zakończyła swe życie we własnym łóżku, ale została uduszona przez nieznaną sprawców.

Syn Mehmeda III, Ahmed, także nie wykazywał większego

zainteresowania polityką. Podobno co noc brał do swego łóżka inną niewolnicę. Miał też ulubienicę — Kösem. Darował jej najpiękniejsze klejnoty. Kiedy Kösem została uznana za faworytę księcia, oboje mieli dopiero po 15 lat.

W roku 1603 Ahmed wstąpił na tron. Oszczędził swego brata Mustafę, ale skazał go na wegetację w Złotej Klatce razem z kilkoma kobietami. Wejście do jego apartamentów zabudowano ścianą, w której pozostawiono tylko okna, aby można było podawać jedzenie, napoje i opium. Ahmed zmarł po 14 latach panowania, a Mustafa, nazywany później Deli, czyli Szalonym, został ogłoszony padyszachem. Wtedy w Złotej Klatce wyładowali synowie Ahmeda i młodej wdowy Kösem — Murad, Bajezit i Ibrahim.

Agowie haremowi nie uznawali Szalonego za władcę i zdetronizowali go w drugim roku panowania. Ponownie trafił do Złotej Klatki, a na tronie zasiadł jego syn Osman. Jednak młody padyszach wkrótce stał się ofiarą buntu janczarów i sipahów. Buntownicy wdarli się do pałacu, pojmali Osmana i zamknęli go w więzieniu Jedikule. Zabili go, a matce postali ucięte ucho na znak rzuconego wyzwania. Mordowanie braci panującego było procederem akceptowanym przez wszystkich, jednak zabójstwo monarchy było wydarzeniem bezprecedensowym.

Szalony Mustafa ponownie został uwolniony ze Złotej Klatki (1622) i osadzony na tronie, lecz nadal nie miał poparcia eunuchów. Gdy polecił zabić synów sułtanki Kösem, ci sprzeciwili się temu i wprowadzili na tron najstarszego jej syna, Murada IV (1623–1640).

W ten sposób urzeczywistniło się największe pragnienie Kösem. Została *Walide Sułtan* — sułtanką matką. Jednak wkrótce zaniepokoiło ją okrucieństwo Murada. Nowy padyszach pod groźbą kary śmierci zakazał w całym imperium używania alkoholu i tytoniu, chociaż sam nimi nie gardził. Gdy był pijany, wraz z towarzyszącym mu tajemniczym derwiszem wędrował się po okolicy w poszukiwaniu buntowników. Na wszystkich ulicach spotykało się ludzi powieszonych na sznurze.

Najmłodszy syn Kösem był chory umysłowo. Matka wiązała więc swoje nadzieje z Bajezitem, przystojnym, zdolnym, mistrzem gry *dżirit*. Była to gra zespołowa. Jadąc na koniu, rzucało się do siebie kij lub laskę. Pewnego razu podczas gry Bajezit zrzucił Murada z konia. Wkrótce potem, podczas

podróży do Iranu, Bajezit został zamordowany na polecenie brata.

Hulaszczy tryb życia Murada stał się przyczyną jego śmierci. W Złotej Klatce żył ostatni jego brat, Ibrahim. Gdy przyszła delegacja z oznajmieniem, że zostanie padyszachem, wpadł w panikę. Uważał, iż jego okrutny brat chce go zabić. Odmówił więc wyjścia z „klatki” i dopiero sułtanka Kösem, stawiając jedzenie z dala od apartamentu, wywabiła go stamtąd.

Panowanie Ibrahima (1640–1648) jest okresem rzeczywistej władzy sułtanki Kösem, która zarządzała imperium z pomocą wielkiego wezyra Mustafy Paszy. Ibrahim, człowiek o słabym charakterze, zainteresowany tylko zabawami haremowymi, stał się, podobnie jak jego brat Murad, ofiarą alkoholu i hulank. Francuzi nadali mu przydomek! Futrzany Szaleniec, ponieważ pasjami uwielbiał futra. W każdym zakątku haremu chciał dotykać futer, czuć ich miękkość. Opowiadano, że rozkazał sprowadzić do haremu najgrubsze kobiety. Jedną Ormianką tak się zachwycił, że... mianował ją gubernatorem Damaszku. Ulubione niewolnice mogły wybierać i kupować na bazarach, co tylko chciały, a siostrom rozkazał usługiwać swoim nałożnicom, którym rozdawał posiadłości. W końcu całkiem postradał zmysły i kazał wszystkie swoje kobiety wrzucić w workach do Bosforu. Jedna z nich miała zostać uratowana przez francuskiego marynarza i dotarła do Paryża.

Turecki historyk Uluçay powątpiewa w prawdziwość powyższych przekazów, gdyż nie udało mu się odnaleźć żadnych dokumentów mogących je potwierdzić. Prawdą jest jednak, że wieści o szaleństwach władcy rozchodziły się po całym imperium. W końcu janczarzy podnieśli bunt. Przybyli do Topkapy i zażądali głowy padyszacha. Sułtanka Kösem przez wiele godzin pertraktowała z nimi. Ostatecznie zadowolili się detronizacją Ibrahima, ale zażądali, aby ponownie został zamknięty w Złotej Klatce. Jeszcze raz zamknięty, Ibrahim popadł w rozpacz. Dniem i nocą przez grube ściany dochodził jego lament. W dziesięć dni później za zgodą muftiego został uduszony.

Niewolnice urodziły Szalonemu Ibrahimowi sześciu synów. Następcą Ibrahima został siedmioletni syn sułtanki Turhan — Mehmed IV (1648–1687). Jednak Kösem wcale nie miała zamiaru oddać swojej godności sułtanki matki i odmówiła wyprowadzenia się z pałacu. Starła się otruć

Mehmeda i osadzić na tronie innego księcia, sierotę, którym łatwo mogłaby sterować. Tak zaczęła się bezlitosna wojna między Kösem i Turhan. Był to rok 1651.

Janczarzy popierali Kösem, ale za sułtanką Turhan stał wielki wezyr, pasza Köprülü Mehmed, oraz agowie haremowi. Kösem przygotowała spisek. Janczarowie mieli pewnej nocy zabić młodego padyszacha i jego matkę. Ale gdy o tych planach dowiedziała się sułtanka Turhan, do akcji wkroczyli eunuchowie. Alev Lytle Croutier pisze, że doprowadzona do obłędu Kösem napełniła swe kieszenie najdroższymi klejnotami i starała się uciec przed eunuchami ciemnymi korytarzami haremu. Znała je lepiej niż ktokolwiek inny i miała nadzieję, że ukryje się do czasu, aż janczarzy przybędą jej z pomocą. Ale eunuchowie też dobrze znali harem. Dopadli ją, zdarli z niej ubranie, odebrali klejnoty i podzielili między siebie. Kösem została uduszona jedwabnym sznurem. Jej nagie, zakrwawione zwłoki rzucono przed janczarów.

Od tej chwili haremem i całym imperium rządziła sułtanka Turhan. Niezbyt znała się na sprawach państwowych, ale musiała umieć postępować z ludźmi, bo przeszła do historii jako lubiana sułtanka. Jej śmierć w 1687 roku była końcem okresu panowania kobiet, choć w następnych wiekach niektóre z sułtanek także próbowały odegrać pewną rolę w rządzeniu państwem. Historię jednej z nich warto przytoczyć, gdyż pasuje do haremowej, okrutnej i jakże mrocznej rzeczywistości. Nie wszystkie szczegóły z życia tej kobiety zostały w pełni wyjaśnione, jednak nikt nie powątpiewa w jej istnieniu.

Sułtanka Nakszidil, piękna blondynka o niebieskich oczach, urodziła się jako Aimée de Rivery na Martynice w 1763 roku w rodzinie szlacheckiej. Podobno była kuzynką Josephine Tascher de la Pagerie, ukochanej żony Napoleona Bonaparte. Według legendy w Point Royale metyski wróżbita przepowiedział tym dwóm młodym dziewczynom, że obie będą królowymi, jedna na Wschodzie, druga na Zachodzie.

Aimée porwali korsarze tureccy w 1783 roku, kiedy wracała na Martynikę po ukończeniu szkoły klasztornej w Nantes. Miała dwadzieścia lat, gdy została kupiona przez Dżezajira Dajjisy, bliżej nieznanego osobnika nazywanego Wujkiem z Algeru. Zaskoczony urodą dziewczyny Wujek postanowił przypodobać się sułtanowi Abdulhamidowi I.

Aimée była posłuszną, inteligentną dziewczyną. Padyszach nazwał ją Nakszidil, co można by przetłumaczyć jako „wykonana, upiększona dla serca”. Absolwentka szkoły klasztornej została więc sułtańską faworytą. Kiedy osiągnęła godność czwartej żony, znalazła się w centrum haremowych intryg. Wtedy to pierwsza żona Abdulhamida, sułtanka Nūkheteza, rywalizowała z drugą jego żoną — sułtanką Mihrimah, w zabiegach o wyniesienie na tron swoich synów. Sułtanka Nakszidil nie brała udziału w tych intrygach, obserwowała je i uczyła się. Próbowwała natomiast wprowadzać do haremu kulturę francuską.

Abdulhamid zmarł w 1789 roku, w roku rewolucji francuskiej. Na tronie padyszachów zasiadł 27-letni Selim III. Pragnął on, żeby Nakszidil wraz z księciem Mahmudem, jego bratankiem, pozostała w pałacu Topkapy. W oczach sułtana Selima Nakszidil była symbolem Francji, którą podziwiał. Nakszidil uczyła władcę języka francuskiego i stała się jego powierniczką. Selim III — o czym będzie jeszcze mowa — rozpoczął w Imperium Osmańskim wprowadzanie wielkich, wzorowanych na Francji reform.

W 1807 roku Selim został zamordowany przez swych przeciwników, niezadowolonych z jego liberalnej polityki. Fanatyczni wyznawcy islamu chcieli zabić również jego bratanka Mahmuda, ale Nakszidil uratowała syna, chowając go do pieca. Dzięki temu Mahmud mógł zasiąść na tronie i kontynuować dzieło swego wuja. Protokół haremowy wymagał jednak przyjęcia islamu przez jego matkę. Sułtanka Nakszidil wymóg ten spełniła, ale podobno pozostała w sercu chrześcijanką. Opowiadają, że na łożu śmierci kazała wezwać księdza, by móc się wypowiedzieć. Mahmud II spełnił jej życzenie. Była przecież pierwszą i chyba jedyną absolwentką szkoły klasztornej, która przekroczyła Bramę Szczęśliwości (*Babüssaad*) i stała się częścią osmańskiego haremu.

